

Mark Helprin

**Pamiętnik z mrówkoszczelnej
kasety**

Tłumaczenie Maciej Płaza

Dla Juana Valdeza

„Nieprostą drogą do prostych rozwiązań”.
Hamlet, akt II, scena 1,

tłum. Stanisław Barańczak

PROTESTUJĘ PRZECIWKO SEKSUALNOŚCI BRAZYLIJCZYKÓW

Mówcie mi Oscar Progresso. Zresztą mówcie mi, jak chcecie, wcale nie nazywam się Oscar Progresso. Ani też Wacusz Podnózek, Euclid Pychotta, Franklyn Chubeck czy jakie tam jeszcze nazwiska zmuszony byłem z biegiem lat przybierać. Minęło tyle czasu, że nikt już nie zna mojego prawdziwego nazwiska. A wszystko, co sam kiedyś znałem, jest jak statek lśniący w ciemności: odpływa sobie w dal, pozostawiając mnie w przytulnej ciszy. Mój czas dobiega końca, postanowiłem więc, że po raz ostatni pokażę, co potrafię.

No i proszę, oto macie w rękach kronikę mojej porażki i izolacji opowiedzianą poprzez zwycięstwo oraz kronikę moich zwycięstw opowiedzianą poprzez porażkę i izolację – czyli tak naprawdę kronikę samotności. Moje życie nie było proste, ale panuję nad opowieścią.

Wy pewnie nie jesteście nawet w połowie takimi dziwolągami jak ja, ale jeśli porzucicie swoje próżnkości i złudzenia, swoje błahe zaszczyty, których tak kurczowo się trzymacie i które was definiują, swoje abstrakcyjne i bezduszne pieniądze trzymane na kontach, swoje fałszywe teorie i daremne triumfy, cóż wam zostanie prócz ciała – które, nawet jeśli na razie jesteście zdrowi jak byki, prędzej czy później wypowie wam wojnę i w końcu zostanie tylko pamięć i żal?

Możecie sobie biegać w poczwórnych maratonach i stawać na jednej ręce, wystarczy mgnienie oka i proszę, już kuśtykacie jak owad na wpół zmiażdżony przez koło ciężarówki. Właśnie tak wyglądam: ledwie powłócząc nogami, codziennie wdrapuję się tysiąc stóp nad poziom morza, w najwyższej położone zakątki Parque da Cidade, ukryte w chmurach zielone platformy z widokiem na morze.

Mieszkańcy Niterói znają mnie właśnie jako starca, który wdrapuje się na wzgórze – i mają rację. Przyjechałem tu po to, by móc czuć morską bryzę i wyobrazić sobie choć przez chwilę, że stoję na zimnych wzgórzach mojego dzieciństwa, gdzie arktyczne wichry wyciskały mi łzy z oczu, widzących idealnie na dwieście mil. Było to nad rzeką Hudson, w północnej części stanu Nowy Jork, surowej, śnieżnej krainie. Moja równowaga psychiczna od samego początku uzależniona była od forsownych spacerów, pozwalały mi one skupić się na krajobrazie i zapomnieć o sobie. Teraz wspinam się na wzgórze, by popatrzeć na Rio, to wspaniałe ludzkie rojowisko po drugiej stronie zatoki, i wspominać swoje życie.

Obie części mojego życia, północna i południowa, gorąca i zimna, wydają się względem siebie idealnie równoważne, a zarazem zupełnie do siebie nie pasują. Często nachodzi mnie pytanie, o co właściwie tak usilnie walczyłem, skoro skończyłem w takim miejscu – myślę jednak, że walka jest czymś odruchowym i nagradza nas po swojemu. Nawet teraz, ilekroć stoczę walkę ze stromym wzgórzem, czuję, jak po czole gładzi mnie błogi spokój.

Czy wiecie, że plemnik w chwili wytrysku przemieszcza się z prędkością ośmiu tysięcy swoich długości na sekundę? To tak, jakby mnie albo was splukano w klozecie z szybkością trzydziestu czterech tysięcy mil na godzinę. Możliwe, że właśnie z tego pierwotnego szoku wzięło się napomnienie: „nie wchodź łagodnie do tej łagodnej nocy...”, ponieważ według praw fizyki ciecz przepływająca przez rurę robi to z niejednorodną prędkością, w centrum przemieszcza się szybciej niż na obrzeżach. Powstaje wówczas siła uderzeniowa zdolna rozedrzeć komórki na strzępy. Tymczasem krągłe jajo siedzi niewzruszone jak ptak altannik, czeka z zamkniętymi oczyma, aż ogłupiały od szybkości plemnik zapuka do drzwi.

Walka zaczyna się już u zarania, a nawet wcześniej. Gdy zaś ludzkie ciało pozostaje w spoczynku, życie w jego wnętrzu przypomina jaszczurkę, która tylko czeka, by wyrzucić z siebie długi język i schwytać przelatującą muchę. Nawet kiedy nic nie robimy, napełniają się zbiorniki,

następują eksplozje, układane są plany, w mózgu otwierają się lokale taneczne. Nawet księża, choć starają się okiełznać swoje ciała, poddani są działaniu tej siły – popycha ich do poczynań bardziej wyrafinowanych, lecz nie mniej ekstatycznych niż te, których się wyrzekli.

Po części właśnie dlatego przeprowadziłem się do Niterói, ale tylko po części. Drugi powód jest taki, że istnieje mniejsze prawdopodobieństwo, iż mnie tu znajdą i zabiją. Rozważałem to gruntownie przez wiele lat i już dawno doszedłem do wniosku – a może po prostu wpadło mi to przypadkiem do głowy – że moje życie może się skończyć w każdej chwili, choćby na którychś z wielu stromych schodów w Santa Teresa, po postrzale w ramię z małokalibrowego pistoletu.

Dokoła ani żywej duszy. Strzał z miniaturowego pistoleciku wybrzmiał jak odpalenie petardy lub kasznięcie motocyklowego gaźnika.

– Nie skrzywdzicie Marlise, prawda? – pytam.

Mordercy śledzili mnie, wiedzą wszystko.

– Marlise, czyli...?

– Tej młodej dziewczyny o rudawych włosach.

– Ale nie naprawdę rudej, tak jak te irlandzkie zdziury? – rzuca jeden z nich.

– Nie. To karioka. Jej włosy mają raczej kolor gliny.

– Kto to jest karioka? – pyta morderca pochodzący z Jersey City.

– Ktoś, kto jest stąd, kto mieszka w tych stronach.

– Nie zastrzeliłbym kobiety.

– Jest w ciąży.

– Z tobą?

– Nie, z kimś innym.

– To kiepsko – mówi. – Przykro mi.

Wzruszam nieuszkodzonym ramieniem. Nagle rozlega się ryk syreny policyjnej, gdzieś bardzo daleko, ale to wystarcza, by mordercy wzięli nogi za pas.

Zawodowi zabójcy preferują małe pistolety kalibru 12, używane do polowań na chomiki. Ale kto wie? Mogliby też mieć automat kalibru 44 magnum. Widziałem taki w sklepie z bronią w São Paulo, gdy kupowałem sobie pistolet Walther P-88. Ten walther jest bardzo ciężki. Od noszenia go boli mnie kręgosłup – mięśnie napinają mi się z jednej strony, próbując zrównoważyć ciężar. Musiałem przekupić kilka osób, żeby go dostać, a ponieważ w ekspresowym tempie wzrasta przestępczość pospolita, nigdy się z nim nie rozstaję. Jestem już za stary, by znów być ranny, choćby nawet wskutek postrzału z pistoletu na chomiki, jeżeli więc się pojawią i zastaną mnie żywego, pozabijam ich.

Przeprowadziłem się do Niterói po trosze właśnie dlatego, że jeśli mnie nie znajdą, to do mnie nie strzelą, a jeśli do mnie nie strzelą, ja też nie będę musiał strzelać do nich. Zapłaciłem dwudziestu osobom – ulicznemu gazeciarzowi, mojemu byłemu fryzjerowi, mojemu gospodarzowi, a nawet policji – by w razie czego mówili, że nie żyję. Jedyne miejsce to akademii marynarki wojennej, gdzie pojawiają się trzy razy w tygodniu. Dojeżdżam tam wprawdzie przez zatokę i przychodzę zawsze z nietypowej strony, ale ryzyko pozostaje. Mieszkam tu już tak długo, że jeśli ktoś naprawdę będzie chciał mnie znaleźć, to mnie znajdzie.

Mógłbym się przenieść w głąb lądu lub do innego miasta na wybrzeżu. Ukrywając się i płacąc łapówki, zdołałbym się skutecznie zaszyć w którymś z cichych miast Urugwaju. Tyle że wtedy straciłbym dostęp do wielu rzeczy, które trzymają mnie przy życiu. Czyli, według rosnącej ważności: miasta, akademii, Marlise, słodko-gorzkich wspomnień oraz Funia.

Akademia marynarki wojennej znajduje się na półwyspie, który niegdyś był wyspą, a przez krótki czas także stolicą *La France Antarctique*. Francuzi uważali, że Rio de Janeiro to

antarctique, ponieważ świat jest tu obrócony do góry nogami. Kto nie urodził się na południe od równika, ten nigdy nie oswoi się z tutejszym położeniem geograficznym.

Akademię wypełniają młodzi kadeci w źle skrojonych marynarskich mundurach, zaprojektowanych przez cywilizację Północy. Oderwani od swoich korzeni – obróconych do góry nogami – muszą studiować taktykę, balistykę, historię morską, elektronikę, no i oczywiście język angielski, którego uczyć ich ja.

Jeśli ktoś nie jest córką brazylijskiego admirała – a pewnie nawet wówczas, gdy nią jest – może się nie domyślać, że Brazylia ma jakąś marynarkę wojenną. Teraz już o tym wiecie i pewnie zastanawiacie się, po co jej ona.

Przypomnijcie sobie mapę. Zauważcie, jak długą linię brzegową ma Brazylia. Miasta, ogromne nawet dla nas, z dalekiego, obojętnego świata, wiszą na niej jak żarówki na tarasie nadmorskiej restauracji. A teraz pomyślcie, w jaki sposób Brazylia połączona jest z resztą kontynentu. Od głównych miast Ameryki Południowej – Buenos Aires, Santiago, Caracas – odgradzają ją rzeki, dżungle, Andy i ciągnące się w bezkresną dal pustkowia. Wychodzi na to, że Brazylia jest wyspą, a wyspa musi mieć flotę.

Dlaczego? Zamiast wikłać się w skomplikowane wyjaśnienia, powiem krótko: dlatego że gospodarkę wyspy można szybko doprowadzić do ruiny, wprowadzając blokadę morską. Można więc oczekiwać, że flota brazylijska koncentruje się na walce z okrętami podwodnymi – i tak właśnie jest. Jedyne brazylijski lotniskowiec Minas Gerais (Brazylia to jeden z niewielu krajów, które mają lotniskowce) służy głównie do zwalczania celów podwodnych. Siedem okrętów podwodnych również zorientowanych jest na wykrywanie i niszczenie swoich wrogich odpowiedników. Coś wam powiem, ale nikomu o tym nie mówcie: marynarka brazylijska planuje zbudować trzy okręty podwodne o napędzie atomowym. Dzięki temu będą miały większy zasięg i lepszą wydolność na południowym Atlantyku. W tym celu uruchomiono w São Paulo próbny reaktor. To tajemnica wojskowa, podsłuchałem ją w stołówce, ale mam też dowody: wielu moich byłych studentów pracuje teraz na przykład w charakterze fizyków i elektroenergetyków i czasem dostają od nich widokówki z miejsc położonych zdecydowanie daleko od morza.

Mógłbym sprzedać tę tajemnicę Argentynie, ale jestem wdzięczny Brazylii i lojalny wobec jej floty. Zresztą i tak już za dużo miałem w życiu do czynienia z mordercami. Wolałbym nie mieć jeszcze na karku agentów brazylijskiego wywiadu, zwłaszcza że Niterói to jedno z niewielu miejsc na świecie, gdzie potrafiliby mnie znaleźć.

W skład brazylijskiej floty wchodzi też piętnaście fregat do zwalczania okrętów podwodnych i liczne jednostki desantowe i patrolowe. Flota patrolowa ma służyć do niszczenia okrętów podwodnych i odpierania innych ataków, desantowa zaś, jak mi się zdaje, do kontrataków na bazy, które nieprzyjaciel mógłby założyć na terytorium Brazylii, oraz tłumienia buntów. Do tego dochodzą liczne jednostki badawcze powołane do tworzenia map środowiska podmorskiego, które jest tu przeraźliwie skomplikowane i które ze względu na duże rozwarstwienie termiczne i liczne prądy trzeba odwzorowywać nie jako idealnie precyzyjny obraz, lecz nieustannie zmieniającą się trójwymiarową rzeźbę. Stan floty uzupełniają statki zaopatrzenia okrętów podwodnych, zbiornikowce, barki i tym podobne jednostki.

Wszyscy moi studenci żyją w strachu, że zostaną wysłani do Mato Grosso i dołączą do dziewięćdziesięciu nieszczęśników służących na okręcie Parnaíba – „monitorze rzeczny” wybudowanym w 1937 roku, czyli w czasach tak pradawnych, że młodzi kadeci aż wzdrygają się ze zgrozy na samą wzmiankę. Nie potrafię im wyznać, że w owym roku miałem już tyle lat, ile Jezus w chwili ukrzyżowania.

Parnaíba jednak i tak błędnie przy paragwajskiej łodzi patrolowej Capitan Cabral,

zbudowanej w 1907 roku, pływającej ostatnio po górnym biegu rzeki Parana. Lecz Capitan Cabral nie jest królem paragwajskiej marynarki wojennej – honor ten przypada transportowcowi rzeczemu Presidente Stroessner, zwodowanemu w 1900 roku, czyli jeszcze przed moimi narodzinami. W przeciwieństwie do mnie stracił on już wszystkie zęby, czyli pływa nieuzbrojony.

Kadeci wpadli na pomysł, żeby przejąć ten okręt inwalidę i urządzić na nim karnawał, ale natychmiast wybito im to z głowy – wszystko niechybnie skończyłoby się skandalem dyplomatycznym. Ale kto w ogóle wie, a jeśli wie, to co go obchodzi, że istnieje coś takiego jak paragwajska marynarka wojenna? Paragwaj nawet nie ma dostępu do morza. Kadeci tłumaczyli, że właśnie dlatego jest to idealny pomysł na karnawał: oddaliby w ten sposób należny hołd ironii i absurdalności całej sprawy.

Osobiście nie znoszę karnawału, lecz wiem przynajmniej tyle, że jest to pokaz ludzkiej pokory: olbrzymia rzesza śmiertelników paraduje przed Bogiem, zawstydzona i zasmucona, odsłaniając swoje cielesne zepsucie. Jako człowiek Północy, niezbyt zresztą zainteresowany upokarzaniem się i samobiczowaniem, gardzę tymi rytuałami, ale w przeciwieństwie do idiotów, którzy przylatują tu w poszukiwaniu łatwego seksu, wiem, że ludzie świętujący karnawał nie szukają seksualnych rozkoszy, tylko wykrzykują swoją słabość. Dla mnie jest w tym zbyt wiele pokory, chyba więc dlatego sam tego nie robię.

Kadeci są jak szczeniaczki – wydaje im się, że lubią karnawał. Widzą w nim tylko seks i taniec, bo nie mają czasu zadumać się nad znaczeniem jednego i drugiego – z kolei ja w moim wieku zarówno seksu, jak i tańca mogę doświadczać już tylko poprzez zadumę.

Ich niedoświadczone organizmy są w szoku, że muszą wstawać o piątej rano, gdy połowa Rio dopiero kładzie się spać. Szokiem jest dla nich wojskowa dyscyplina, uczenie się języków germańskich, ćwiczenia, skoki i boks, po których są cali w siniakach. Z samego rana piją kawę i przegryzają sucharem i kawałkiem sera. Potem, gdy ja przedzieram się w mroku przez tłumy hulaków wracających z Rio do Niterói, gimnastykują się. Gdy docieram na miejsce, włączam klimatyzację i biorę ich do galopu.

Każdy z nich cuchnie kawą, co niezmiennie doprowadza mnie do wściekłości. Nie rozumieją, jak złą rzeczą jest kawa, złą i potworną, ani co się z nimi stanie, jeśli będą ją pili. Wpatrują się we mnie ze zdumieniem i przerażeniem, a ja mrużę oczy i z zaciętą twarzą zaprzęgam ich do ćwiczeń umysłowych, tak forsownych, że najryzykowniejsza wspinaczka górską wygląda przy nich jak relaks na kanapie.

Marlise twierdzi, że nie powinienem w ogóle rozmawiać o kawie, wspominać o niej nawet słowem. Mówi, że i tak nie zmienię świata. Chyba ma rację: poprzedni *comandante* wziął mnie kiedyś na stronę i powiedział, że jeśli wciąż będę wspominał o kawie i groził pijącym ją instruktorom i kadetom, zostaną zwolniony. Nikt nie każe mi pić kawy – tłumaczył – ale nie mam prawa zabraniać tego innym. Zresztą jesteśmy w Brazylii, za kogo się uważam, by zabraniać całej brazylijskiej marynarce wojennej raczenia się tak niewinną przyjemnością?

– To nie jest przyjemność – warknąłem. – To grzech. Kawa to diabelski nektar. Jest wstrętna, niezdrowa i zniewala pół świata.

Nie ciągnąłem tematu, choć mógłbym. Powstrzymałem się, bo uznałem, że to nie ma sensu, ale oczy zwęziły mi się z wściekłości, a twarz przybrała obłąkańczy wyraz, tak jak zwykle, gdy czuję woń parzonej kawy.

– Niech pan posłucha – powiedział komendant. – Jeśli nie przestanie pan wywracać ekspresów i rzucać się z pięściami na stewardów, brazylijska flota wymierzy w pana lufy swoich dział. Mówię poważnie. Niech pan da nam spokój.

W Niterói zamieszkałem także dlatego, że jest tu mniej kawy niż we właściwym Rio. Rzecz jasna, i tak spotyka się ją na każdym kroku, ale w Niterói jest wszystkiego mniej. Poza

tym jest tu więcej otwartych przestrzeni, a zabudowa rzadsza niż na przykład w Ipanemie, nie muszę więc krążyć po mieście wymyślnymi szlakami, przelatywać co chwila z jednej strony ulicy na drugą niczym lotka do badmintona z nadczynnością tarczycy, a niektórych tras unikać zupełnie tylko po to, by nie przechodzić obok wentylowanych na ulicę kawiarni, palarni kawy i innych spelunek, w których gromadzą się sympatycy, apologeci, miłośnicy, maniacy i fanatycy tego napoju. W Niterói można się jeszcze cieszyć morską bryzą, niezakłóconą odorem olejku do opalania i kofeiny. Sądźcie, że kofeina nie śmierdzi? Spytajcie psa. Ale uwaga: tutejsze psy mówią tylko po portugalsku.

Portugalski to wspaniały język: intymny, zmysłowy i zabawny. Gdy recytuje się w nim wielką poezję, brzmi jak muzyczny zaśpiew, pełen miękkich elizji, z zatartym rytmem. Wersja codzienna, nieładzona, tętniąca życiem, pełna zepsucia, idealnie oddaje rozproszony charakter współczesnego miasta. Lecz to, co portugalski zyskuje na humorze i intymności, traci na precyzji i dokładności. W porównaniu z angielszczyzną brzmi po prostu dziecinnie.

Nie zrozumcie mnie źle: uwielbiam dziecięce gaworzenie, bo uwielbiam dzieci, ale w ustach ludzi dorosłych może być irytujące, zwłaszcza jeśli słucha się go przez trzydzieści lat bez jednego dnia odpoczynku – jeśli samemu jest się człowiekiem dorosłym, w pełni ukształtowanym, przybyłym skądś, gdzie język nie jest perfumowaną poduszką, tylko napiętym lukiem, z którego zawsze można trafić ostrą strzałą w samo sedno.

Językiem moich lat chłopięcych był język lodu i stali, pieśń świata pod śniegiem. Miał mocne i piękne metrum pracujących w transie silników. Był żałośnie niezdolny do wysłowienia cielesnej ekstazy, lecz aż nadto wystarczał, by wyrazić duchowy triumf.

Na moich wykładach nie wdaję się w takie subtelności, kadeci nie są ani na tyle zaawansowani, ani zainteresowani, by robić cokolwiek nadobowiązkowego. Muszą umieć porozumieć się po angielsku na pokładzie okrętu oraz czytać literaturę techniczną i naukową ze swojej dziedziny. Nie są to wcale małe wymagania – uzmysławiam im więc, jakie możliwości tkwią w angielszczyźnie, z nadzieją, że dzięki ciężkiej pracy lub naturalnej zdolności docenią ją i nauczą się nią płynnie posługiwać.

Dla nich jest to jednak szok. Przechodzą ich dreszcze, nie znajdują pocieszenia w swych starodawnych drewnianych krzesłach. Na zewnątrz leje się z nieba słoneczny żar lub tropikalna ulewa, a ja prowadzę ich w góry Hudson Highlands, tysiąc pięćset stóp nad poziomem morza, w zimnym marcowym wietrze, który świszczy im w uszach, przeszywa ich do kości i zamyka im usta.

– Wy idioci! – mówię im. – Jesteście uwięzieni na najdalszym przyczółku Francji Antarktycznej, a ja jestem niedźwiedziem polarnym!

Najpierw sami zaczęli mnie tak nazywać, dopiero później to podchwyciłem. Mam białe włosy, białe wąsy, noszę biały garnitur i mam niebieskie oczy. W Rio takie stworzenia widuje się tylko w klimatyzowanej części ogrodu zoologicznego. Przyjaźnię się z pingwinami. Pingwiny nie piją kawy, podobnie jak żaden inny gatunek, nie licząc niektórych zwierząt udomowionych, które przyzwyczaili do kawy zdegenerowani właściciele – bądź dla żartu, bądź z typowej dla nałogowców potrzeby szerzenia nałogu. Wolałbym już pocałować psa niż najpiękniejszą kobietę na świecie, która pije kawę. I zrobiłem tak. Poświęciłem się, by udowodnić niezłomność swoich przekonań i oświecić grupę nałogowców – na próżno. Pocałowałem psa, oni pocałowali kobietę i poszli sobie, a pies pobiegł za nimi.

Nie jestem jedynym nauczycielem angielskiego w akademii. Drugim jest pewien Kopt z Egiptu, nazywa się Nestor B. Watoon i wygląda jak czarnoskóry Albert Einstein. Nauczył się angielskiego od Pakistańczyka w szkole językowej Berlitz w Addis Abebie.

Wiem o tym od samego Watoona. Mówi mi o wszystkim, bo jest moim niewolnikiem.

Nie potrafi wykonywać swego zawodu bez nieustannej pomocy z mojej strony. Wśród studentów Watoon znany jest z tego, że dziesięć razy na godzinę wychodzi do toalety. Ilekroć wstanie z biurka, wiadomo, że chce wyjść.

– Zaraz wrócę, przyrzekę – mówi i wybiega z sali. Oczywiście wcale nie idzie do łazienki, tylko pędzi do mojego pokoju, by mnie o coś spytać, na przykład: – Jak się mówi po mnogiemu: „oficerowie” czy „oficerzy”?

Został moim niewolnikiem z wdzięczności, bo zawsze ma mnie pod ręką – musiałem sobie tak ułożyć plan zajęć i konsultacji, by dostosować się do jego godzin pracy. Watoon zrobi wszystko, co mu każe, i tylko dzięki temu udaje mu się przetrwać. Od lat nie pije kawy. Zlecam mu różne sprawunki. Załatwił mi lekką kamizelkę kuloodporną. Kiedy umrze, będzie mi bardzo trudno żyć. Jeśli ja umrę pierwszy, on wylądowuje w przytułku.

Gdyby nie Nestor B. Watoon, kadetom brazylijskiej marynarki wojennej nawet nie przyszyłoby do głowy, że „popcorn” to nazwa owocu. Nie mogliby pójść w ślady pewnego młodego porucznika, który na oficjalnym pogrzebie podszedł do oficjalnej wdowy, ukłonił się ze smutkiem i powiedział: „*bon appetit!*”. Nie dowiedzieliby się, że antonimem słowa „jasny” jest „ziemny”, a w skład silnika „spaleniznowego” wchodzi „korbowzwód”.

Największym wydarzeniem w życiu Nestora był kilkudniowy rejs patrolowy po południowym Atlantyku na pokładzie amerykańskiego lotniskowca. Miałem jechać ja, ale zrezygnowałem – bałem się, że aresztują mnie po wejściu na pokład. Byłem zrozpaczony, że nie mogę wypłynąć z rodakami w morze, a potem bezbrzeżnie zażenowany, gdy marynarka brazylijska posłała zamiast mnie Nestora Watoona.

Amerykanie chyba dobrze się z nim bawili. Nie wiem, co wyczyniał, ale mogę sobie wyobrazić. Rejs trwał bardzo krótko, ale jego pokłosie jeszcze długo będzie przekleństwem dla świata, Nestor bowiem wziął ze sobą notes i nie słucha już mnie, tylko kurczowo trzyma się tego, co sobie zapisał. Ten notes stał się jego biblią, zapisane w nim frazy chyba jeszcze przez stulecia będą wybrzmiewać na wspólnych manewrach i urozmaicać kariery brazylijskich *attaché* morskich.

W świętej księdze Watoona stoi na przykład, że rosyjscy admirałowie to po angielsku „śmierzące cipy”. O tym, że cała załoga serdecznie go przyjęła, świadczy następujący wpis: „wyraz powszechnej aprobaty: »cze, gnoju«”. A ponieważ w Brazylii wojskowi często aspirują do wysokich stanowisk politycznych, mogę sobie wyobrazić, że gdy kiedyś, wiele lat po mojej śmierci, amerykański sekretarz stanu poprosi Brazylię na przykład o obniżenie taryf celnych, otrzyma uprzejmą odpowiedź „pocałuj mnie w dupę”. Studenci Watoona niewolniczo go naśladują, wierzą, że naprawdę uczy ich „angielszczyzny królów”. Ciekawe, których królów?

Nie mogę jednak udawać, że nie wzrusza mnie nieskalana niewinność tych młodzieńskich kadetów. Są dla mnie jak synowie, których nigdy nie miałem – tak jak Funio. Kiedy im się przyglądam, często nachodzi mnie wrażenie, jakbym siedział w ciemnym kinie i oglądał film. Przede mną, niczym we śnie, paradują filmowe postacie, milczące, roześmiane lub z oczyma błyszczącymi od gniewu. W filmach zdarza się czasem, że widzimy bohaterów, lecz nie słyszymy, co mówią, jedynym komentarzem jest muzyka. Są to dla mnie momenty najbardziej poruszające, ponieważ w swym oddaleniu bywam tym postaciom bliższy, niż mógłbym być w rzeczywistym życiu. Widz ogląda film w ciemności, jak gdyby już nie żył i przypominał sobie własne życie. Jest to perspektywa jeszcze łaskawsza niż starcze zobojętnienie. Gdy zmarnuje się wszystkie szanse, wyczerpie wszystkie możliwości i tylko siedzi się już samotnie w mroku i spogląda wstecz, przeżywa się życie w sposób najpełniejszy i najczystszy. Wtedy też, po fakcie, można zrozumieć, czym naprawdę jest miłość.

Moim kadetom jeszcze do tego daleko, ale z biegiem lat się wyciszą. Zatracą się w

cielesnej miłości, jak Paolo i Francesca, zdawałoby się – na wieki. Będą unosić się na falach, pozorować lub odparowywać ciosy, wychowywać dzieci. Będą walczyć o swoją pomyślność, tak jak łoś walczy z prądem wezbranej zimowej rzeki. Poznają smak triumfu i porażki, nieoddzielnych od siebie, splecionych w jeden warkocz niczym życie i śmierć. Lecz na koniec zasiądą w cichym pokoju i rozumieją, że wszystkie te pogodne dni i zażarte boje służyły tylko temu, by mogli się pogрузić w przejmującej i tkliwej ciszy.

Z czasem jednak coraz bardziej zdumiewa mnie, że nawet gdy już doświadcza się takich chwil, gdy dusza ludzka osiąga stan najwyższej czystości, gra i tak wciąż zaczyna się od nowa, wciąż wznawiana jest walka, wciąż biorą górę złudzenia. Nawet w takim starcu jak ja.

Codziennie przed świtem przemierzam zatokę, by stanąć naprzeciw kilku roczników dziarskich młodych chłopców, którzy nie wiedzą o świecie właściwie nic, lecz mają w sobie energię tygrysów szablozębnych. Angażuję się w te spotkania, lecz przyglądam im się z boku, jakby z zaciemnionego pokoju. Złoszczę się i wzruszam. Śmieję się i rozczulam.

U podstaw tej prostodusznej spowiedzi – choćby dlatego, że wyznaję jednak nieupiększoną prawdę – leży pewien obraz. Nie jestem pewien, co on oznacza, ale raz po raz staje mi przed oczyma. Oto w gęsto zarośniętym zakątku Jardim Botânico długą piaszczystą drogą wysadzaną niemożliwie wysokimi palmami idzie rodzina. Idzie pomału, samotnie, na poły w cieniu, na poły w osłabiającym słońcu. To nie sen, widziałem coś takiego na własne oczy. W pewnej odległości za ojcem i matką podąża chłopiec, trzy-, czteroletni, bosi, ubrany tylko w krótkie spodenki. Ciągnie za sobą plastikowy wózek na białym sznurku i wie jedynie to, co widzi przed sobą. Może to Funio, a ja jestem jego ojcem – ale nie, ten ojciec jest młody, a mnie doprowadza do rozpaczmyśli, że w chwili mej śmierci Funio będzie jeszcze dzieckiem.

Przyjechałem tu jako dorosły mężczyzna. Od dawna już nie byłem żołnierzem, od niedawna nie byłem złodziejem. Wąsy miałem blond, nie białe, i byłem silny jak małpa w nowojorskim zoo. Małpa ma to do siebie, że gdy chwyta umięśnionymi rękoma za pręty klatki i mocije się z nimi, trzymamy za nią kciuki, nawet gdyby w razie powodzenia tych wysiłków miała odegrać się na nas. Ideały, które w młodości zaszczepili nam księża, zakonnice czy rabini, są na tyle silne, że życzymy takiej małpie wolności, uważamy, że na nią zasługuje. To, że zamknęliśmy ją w klatce, przynosi nam korzyść, lecz przecież stanowi też dość oczywiste naruszenie zasady wzajemności.

Ja jednak zdołałem się uwolnić. Uciekłem. Złamałem prawo, zawiodłem oczekiwania, naruszyłem równowagę. Miałem pięćdziesiąt lat, Marlise dwadzieścia, ale wtedy jej jeszcze nie znałem. Poznaliśmy się dopiero trzy lata później. Marlise nie miała pojęcia o świecie, ale była tak piękna, że nie musiała go mieć. Tak bardzo wpadliśmy sobie w oko, że przeskoczyła między nami olśniewająca, zapierająca dech iskra, która rozwiązała wszystkie zagadki, odpowiedziała na pytania, przyniosła nam szczęście. Poddaliśmy się sobie nawzajem, lecz prywatnie, zgodnie z rytmem istniejącym od miliona lat, a nie po to, by zaspokoić na poły polityczne wymagania, jak to często dziś bywa między mężczyznami i kobietami.

Kiedy tu przyjechałem, poczułem się tak, jakbym przebił się do innego wymiaru. Przez pierwsze lata nie czułem nawet tęsknoty za domem, bo zdawało mi się, że trafiłem do nieba. Zamiast zatracić się w iluzorycznych rozkoszach ciała, zakochałem się w dziewczynie młodszej ode mnie o trzydzieści lat i traktowałem ją z wyjątkową czułością. Wiele czasu spędzałem wtedy na skalnych zboczach w São Conrado, patrzyłem, jak fale rozbijają się o wyslizgane kamienne brzegi, czułem wiatr na twarzy i wyglądałem na ciągnącą się dalej plażę.

Cokolwiek mnie tu przywiodło, mogło być tą samą siłą, która pozwala człowiekowi stanąć oko w oko ze śmiercią. Tego, że dane mi będzie jeszcze trochę żyć, nie uważałem za szczęśliwe zrządzenie losu – czułem raczej, że nie opuszcza mnie uporczywe brzemię.

Wiedziałem, że nigdy mnie nie opuści, choćbym nawet chciał. Pozwólcie jednak, że wrócę do konkretów – nienawidzę zagłębiać się w swoje wnętrze, człowiek staje się wtedy podobny do gryzonia.

Gdy poznałem Marlise, pracowała jako kasjerka w oddziale Banco do Brasil, położonym u stóp wzgórza w dzielnicy Santa Teresa, gdzie mieszkałem w 1957 roku. Chciałem zdeponować trochę pieniędzy i skierowano mnie do okienka, które od roku było jej więzieniem. Gdy ją zobaczyłem, koperta z pieniędzmi wypadła mi z rąk. Nie wiedziałem, co powiedzieć, wykrztusiłem więc prawdę – że ją kocham.

Marlise uznała, że jestem wariatem, sformułowała więc odpowiedź w skutecznym i obraźliwym języku, którego pracownicy banków uczą się na takie okazje.

– Marlise – powiedziałem, odczytując imię z tabliczki przykręconej przed okienkiem. – Kocham cię, Marlise. Mówię ci to prosto z mostu, bo zostało mi dwadzieścia pięć, może trzydzieści lat, przez poprzednie pięćdziesiąt byłem żołnierzem, jeńcem wojennym, Bóg wie kim jeszcze, i kochałem, i przegrałem, jak wszyscy, a teraz rozumiem, że nie mam już czasu do stracenia, podobnie jak ty, choć jesteś jeszcze młoda.

Może sprawiła to elegancka gramatyka mojej wypowiedzi, może bicie kościelnego dzwonu, które rozległo się właśnie w tej chwili – bicie dzwonu zawsze porusza w człowieku najgłębsze struny, nawet gdy stoi w kolejce do bankowego okienka – a może odpowiedni dzień lub godzina, może jej żarliwe pragnienie lub po prostu to, że mówię prawdę, w każdym razie uwierzyła mi, przyjęła moje słowa, dzwon dzwonił, ona pocałowała mnie przez kraty, kierownik wystawił szyję zza biurka jak bażant, i jeszcze tego popołudnia, w kompletnie niepraktyczny sposób, wzięliśmy ślub.

Czy możecie to sobie wyobrazić: kasjerka w banku, piękna dwudziestotrzyletnia dziewczyna, całuje klienta przez kraty swego okienka? O takich sytuacjach marzy się zawsze, lecz na próżno, w krajach Północy – mnie zaś przytrafiło się to naprawdę. Pocałowaliśmy się i przeżyliśmy chwilę prawdy, jak w biciu dzwonów, jak na korridzie, i potem przez wiele niełatwych lat ta właśnie chwila trzymała nas przy sobie.

Nie pochwalam związków, a co dopiero małżeństw, między ludźmi w tak różnym wieku, lecz nie mogłem się oprzeć i złożyłem jej śluby, na jakie nie zdobyłoby się wielu młodszych mężczyzn – chyba że słabo by siebie znali bądź nosiliby w sercu głęboką ranę. Gdyby wyszła za młodszego mężczyznę, który nie byłby wcześniej jezuitą lub innym kapłanem, kto wie, jaki spotkałby ją los?

Jako pięćdziesięcioletni byłem szczupły, miałem posturę atlety. Przez następne piętnaście lat odżywiałem się głównie cykorią, tuńczykiem, krewetkami i owocami, nie paliłem, nie piłem i nie brałem narkotyków, grałem diabłu na nosie i nie traciłem siły.

Do trzydziestego roku życia Marlise nawet nie zauważała między nami różnicy wieku. Jeśli już, to w częstotliwości zbliżeń, ale nie w ich halucynacyjnej intensywności. Niedostatek wigoru nadrabiałem wdzięcznością, umiałem też opowiadać. Gdy kończyliśmy, przytulałem ją, jak gdyby zależało od tego moje życie – co zresztą było prawdą.

Gdy Marlise weszła w wiek średni, a ja się zestarzałem, zaczęliśmy krzywo na siebie patrzeć. Ta rudowłosa kasjerka o zachwycających zębach i potężnych piersiach, wciąż jeszcze świetnie wyglądająca w kostiumie kąpielowym, była jak miarowo płonący węgiel – ja zaś przypominałem już raczej popiół na końcu cygara. Zaczęła miewać romanse. Wybaczyłem jej to, wybaczam i dziś, bo dała mi Funia, i choć jest dzieckiem innego mężczyzny, traktuję go jak syna.

Jakieś osiem lat temu wybraliśmy się na poszukiwanie ojca Marlise. Był księdzem, lecz zamiast porzucić kapłaństwo, porzucił swoje dziecko. Zawsze uważałem, że podejmował same złe decyzje. Pierwszą, że przyjął święcenia, drugą, że je zламаł, a trzecią, że nie sprzeniewierzył

im się do końca.

Na litość boską, czymże są aniołowie? Przecież to był ksiądz, czyli człowiek, którego serce – jak można założyć – rosnęło podczas kontemplacji aniołów i świętych, gdy więc w jego życiu pojawił się prawdziwy anioł, choćby nawet wskutek jego uchybienia, powinien był go przyjąć. Ja przyjąłem Funia, mimo że nie jest moim synem. Uroniłem jedną łzę, dosłownie jedna tylko łza spłynęła mi po policzku z żalu nad zdradą i własną starością, i zaraz pozwoliłem, by niemowlecy płacz na powrót wypełnił mnie życiem. Ale zanadto wyprzedzam fakty.

Pojechaliśmy na północ. Brazylia wygląda tam jak Afryka, jest rozległa, sucha, gorąca i biedna. W powietrzu czuć mango, padlinę i morze. Dowiedzieliśmy się, że ojciec Marlise rezyduje w parafii gdzieś w pobliżu Natal, i przez dwa dni wędrowaliśmy tam autobusem, statkiem oraz pieszo. W końcu dotarliśmy do zapomnianego wybrzeża, o które grzmocą wielkie białe bałwany, przepędzone przez olbrzymi Atlantyk aż z Zatoki Beninu. Plaża była długa na trzydzieści mil i na całym odcinku wciniała się w łąd milowym pasem białych wędrujących wydm, miękkich i suchych jak talk.

Piliśmy wodę z butelek i jedliśmy owoce umyte w falach. Kościół i parafia znajdowały się dwadzieścia mil dalej, w rozległym zakolu rzeki, która przebija się tam przez wydmy i wpada do morza.

- Jak można się tam dostać? – spytałem w małej wiosce na północny zachód od Natal.
- Piechotą – powiedzieli nam.
- Jakaś drogą?
- Tam nie ma drogi.
- Nie ma drogi?
- Nie.

Ludzie mieszkający na wsi czasem odpowiadają mi bardzo grzecznie, może dlatego że sam wyglądam na wieśniaka, któremu udało się dożyć sędziwego wieku. Zresztą jeśli pola, wśród których się urodziłem, można nazwać wsią – kiedyś można było, teraz już nie – to chyba rzeczywiście jestem wieśniakiem. Zamknąłem jedno oko i odchrząknąłem sceptycznie.

- Nie ma drogi – padła odpowiedź.
- Ale jak oni tam sprzedają swoje plony? Jak dociera poczta, zaopatrzenie?
- Statkiem.
- No to popłyniemy statkiem.
- Jeśli chce wam się czekać sześć tygodni...
- A łodzią rybacką?
- Piechotą zajdziecie dwa razy szybciej, a chodzenie nic nie kosztuje.
- A terenówką?
- Nie ma przejazdu przez rzekę.
- Tratwą?
- Budowa potrwa dwa i pół dnia.
- No to jak przedostaniemy się przez rzekę? – spytałem.
- Przepłyniecie.
- Może czółnem?

Wokół mnie i mojego rozmówcy zgromadziło się już pół wioski. Ujrzałem wtedy więcej bezzębnych ust niż przez wiele ostatnich lat. Wieśniacy byli bardzo ubawieni moją ignorancją.

– Jeśli chcecie, możecie płynąć czółnem, dziadku, ale po drodze i tak będziecie musieli co rusz kąpać się w morzu dla ochłody, nie lepiej więc połączyć jedno z drugim i od razu ruszyć wpław?

Zdawało nam się, że to tylko taki wymyślny żart, spodziewaliśmy się, że zaraz za

wydmy biegnie autostrada, po której kursują klimatyzowane autobusy, lub że natrafimy na jednoszynową kolej szwajcarskiej produkcji, z gratisowymi czekoladkami na siedzeniach. Pomysł dwudziestomilowego marszu przez wydmy spodobał nam się jednak, weszliśmy więc do rzeki, z owocami i butelkami z wodą pływającymi wokół nas w plastikowych siatkach, obserwowani przez całą wioskę.

Gdy wyszliśmy na drugi brzeg, serca nam łomotały, a ubrania mieliśmy odświeżone i przylepione do ciała. Po kilku minutach marszu wzdłuż rozhukanych, wysokich jak domy fal przypiływu znaleźliśmy się na odludziu: do końca dnia nie ujrzelśmy ani żywej duszy, ani śladu ludzkiej działalności.

Nic nas nie powstrzymywało, nikt nie mógł nas usłyszeć, zaczęliśmy więc śpiewać. Nawet teraz jeszcze mam mocny głos, Marlise też śpiewa dobrze, czysto i słodko. I co rusz kapaliśmy się w morzu.

Od dziecka uwielbiałem pływać w ubraniach, podobało mi się, że po przekroczeniu rzeki czy jeziora mogę po prostu wyjść z wody i pójść dalej. Lubię w gorący, wietrzny dzień czuć na sobie mokrą koszulę, lubię spodnie chrzęszczące od słońca i soli, sztywne jak wykrochmalony wojskowy mundur.

Gdy w 1943 roku zestrzelono mnie nad Morzem Śródziemnym, płynąłem do brzegu co najmniej dziesięć mil. Teraz, nie mogąc przejrzeć się w lustrze, z sercem rozradowanym od słońca i fal czułem się niemal tak samo wolny jak wtedy, niemal tak samo zwycięski.

Lecz byłem już stary, a śmierć, której wówczas się wymknąłem, znów wydała mi się wcale nie najgorszym rozwiązaniem. Miałem jednak Marlise, która w wieku czterdziestu dwóch lat była u szczytu swej świetności. Nigdy nie zapomnę, jak wtedy szła: bosa, potargana przez wiatr, doskonała. Nigdy nie zapomnę smużek soli rysujących się jej na plecach i bielejących na ramionach ani tanecznych ruchów, którymi w ciągu tych wspaniałych godzin wprawiała mnie w zachwyt. Gdy wiatr zmienił kierunek i zaczął zwiewać jej włosy z twarzy, związała je w gruby węzeł, czerwony jak jej usta, i pomyślałem sobie, że dobrze zrobiłem, że gdybym dalej pracował w biurze i zdobywał uznanie innych ludzi, nie zyskałbym nawet setnej części tego, co miałem tutaj: czystego morskiego powietrza, które wciągałem do płuc, jak gdybym w nim tonął, i południa jasnego i gorącego jak lampa.

Gdy doszliśmy do rzeki, za którą plaża biegła, zdawałoby się, w nieskończoność, skręciliśmy w głąb lądu i szliśmy dalej milę lub dwie nawodnionymi polami, pogrążonymi w takim bezruchu i ciszy, że jeszcze długo rozbrzmiewał nam w uszach śpiew oceanu.

Księdza zastaliśmy na drewnianej plebanii drewnianego kościoła. Pił kawę i czytał Biblię. Chwyciłem się za brzuch, obróciłem na pięcie i wyszedłem na zewnątrz.

Ksiądz podniósł się natychmiast, sądził pewnie, że jestem kolejnym parafianinem, który przyszedł po ostatnie namaszczenie. Marlise odciągnęła go jednak na bok i zaczęła coś szeptać, żywo gestykułując. Potem dała mu mocną miętówkę z pudłeczka, które zawsze nosi ze sobą, żeby... no, chyba już wiecie po co. Usłyszałem tylko początek jej wyćwiczonego monologu – zawsze wychodzę zaraz po słowach: „proszę wybaczyć, mój mąż jest stuknięty”.

Nieustannie mnie to żenuje, zwłaszcza że to ja mam rację, nie oni. Jeśli ktoś tu jest stuknięty, to na pewno nie ja. Katarzyna Wielka, która bez wątpienia nie miała urody Ingrid Bergman – wyglądała raczej jak bliźniaczka Borisa Karloffa – parzyła sobie kawę zaraz po wstaniu z łóżka, a wstawiała wcześniej, podobnie jak ja. Robiła to zwykle według przepisu: funt mielonej kawy na cztery filiżanki wody. I była znana ze swej porywczosci. Teraz już wiecie dlaczego.

Od razu wiedziałem, że ten ksiądz nie jest ojcem Marlise. Miał wzrost karzełka, ona była posągowo wysoka. Był od niej znacznie bardziej śniady, mimo że ona przebywała w słońcu, a on

w cieniu. Miał głęboko osadzone wylupiające oczy i brwi jak gąsienice, jej oczy zaś były duże, o niemal orientalnym rysunku, a brwi wznosiły się wysoko delikatnymi lukami niczym wierzbowe witki.

Czy to ze względu na ten brak fizycznego podobieństwa, czy na dyplomatyczne zabiegi, które poskutkowało wylaniem kawy do zlewu, pytanie, z którym przyszliśmy, zostało na moment odsunięte na bok. Lecz gdy wszedłem z powrotem do środka i stanęliśmy w trójkę w ocienionym frontowym pokoju, powróciło – po części może dlatego, że Marlise miała silne poczucie misji, a na pewno dlatego, że mieliśmy za sobą bardzo długą drogę.

– Ojcze! – zawołała Marlise i ze łzami w oczach rzuciła mu się do kolan.

– Słucham, moje dziecko – odpowiedział ze stosownym współczuciem, ale i z zakłopotaniem.

– Czy jesteś moim ojcem? – spytała.

– Tak, oczywiście.

– Dosłownie?

– Czemu pytasz?

– Tak mówią.

– Gdzie? – rzekł z irytacją.

– W Rio.

– W Rio! Nigdy nie byłem w Rio. Kto tak mówi?

– Moja matka.

– Nie znam twojej matki, nigdy nie złamałem ślubów, ani razu, a nawet gdyby tak się stało, spłodzone przeze mnie dziecko raczej nie wyglądałoby tak jak ty, chyba że matka byłaby...

– Żyrafą? – spytałem, pewnie trochę okrutnie, ale zapach kawy wyzwala we mnie okrucieństwo.

Marlise grzmotnęła mnie w brzuch, nieporównanie silniej niż skrytobójcze pistoleciki kalibru 12 (tyle że nie przebijając skóry), i zwałem się na ziemię. Była wrażliwa na punkcie swego wzrostu.

W tym momencie po raz pierwszy usłyszałem, że na świecie pojawi się Funio. Oto bowiem nagle Marlise obwieściła:

– Jestem żyrafą w ciąży.

Constance była zbyt zajęta, żeby mieć dziecko, Marlise zaś wychowała się w tak nędznych warunkach, że nie wyobrażała sobie, by mogła sprowadzić potomstwo na świat. Najwyraźniej jednak zmieniła zdanie – była już w wieku, w którym takie rzeczy przestają mieć znaczenie, chyba że w retrospekcji. Ja zdążyłem pogodzić się z tym, że umrę bezpotomnie.

I gdy tak leżałem zgięty wpół na chłodnej kamiennej podłodze, ta nagła nowina poraziła mnie. Wydaje mi się, że przez pół sekundy czułem ową niewypowiedzianą obecność, która nawiedza ojca, gdy rodzi się jego dziecko. Ponoć w żadnej innej sytuacji nie odczuwa się kontaktu z boskością wyraźniej niż wtedy.

Ksiądz był zdumiony, i trudno się temu dziwić, zachował się jednak naturalnie, czyli pogratulował mi i rozpoczął modlitwę. Przerwał mu krzyk Marlise:

– Nie, nie, nie! To nie jego dziecko!

Po raz drugi w ciągu krótkiej chwili straciłem dech. Ten mały ksiądz miał do czynienia z nieślubnymi dziećmi na co dzień, ja po raz pierwszy w życiu, a już na pewno po raz pierwszy w tak bolesny sposób: moja młoda, piękna żona spodziewała się dziecka spłodzonego z innym mężczyzną.

Marlise również była niepokieszona. Ksiądz ukląkł i próbował dodać nam otuchy.

– Przyjechaliście pewnie z bardzo daleka – powiedział ze zdumieniem. – Nieczęsto

widujemy tu obcych. Może byście przekąsili smażonego banana?

W taki właśnie sposób dowiedziałem się, że przyjdzie na świat Funio, choć w tamtym momencie nie wiedziałem jeszcze, że będzie to Funio, nie wiedziałem nawet, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka, czy żyrafa. Potem byłem już nazbyt wstrząśnięty, by cokolwiek robić czy odczuwać, siedziałem tylko w ciemności, jadłem smażone banany, których się brzydzę, i dziwiłem się, że nie czuję gniewu.

Gdybym był młodszy, mógłbym zrównać wioskę z ziemią – z uczuciem wściekłości żyłem za pan brat od dziesiątego roku życia. Pewnego razu rozbiłem na miazgę ośli wózek w Brooklyn Heights, nie tknąwszy jednak palcem ani osiołka, ani całej reszty świata. Zaczęło się od tego, że zajrzałem do kuchni jakiegoś domu z brązowego piaskowca przy Joralemon Street i zobaczyłem dwójkę małych dzieci, mniej więcej sześciolatniego chłopca i ośmioletnią dziewczynkę: siedzieli przy stole i jedli śniadanie, w szkolnych mundurkach, dziewczynka miała blond kucyki, obok leżały związane sznurkiem teczki. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom: oboje czytali gazety i popijali kawę z wielkich filiżanek. Nic nie wprawia mnie w taką wściekłość jak wykorzystywanie dzieci – nie mogłem zdzierżyć widoku tak nieodwracalnie i bezmyślnie zniweczonej niewinności. Najchętniej rzuciłbym się na rodziców, dzieci jednak i tak by nic nie zrozumiały, zresztą okna były uzbrojone w grube żelazne kraty, nie zdołałbym ich wygiąć, choćby potem przez tydzień miały mnie boleć ręce.

Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy tych biednych dzieci, otwartych szeroko ust, ani olbrzymich kulistych filiżanek przypominających muszle klozetowe, zastygłych o cal nad spodeczkami. Oboje wyglądali trochę jak ten ksiądz, który nakarmił mnie bananami. Wyładowałem złość na oślim wózku, w późniejszych latach jednak co najmniej po stokroć wyrównałem rachunki, demolując wózki i ekspresy do kawy.

Teraz mam osiemdziesiąt lat, Marlise pięćdziesiąt, i rozumiem już, czemu miewała romanse. Gdybym sam był pięćdziesięcioletnim i miał osiemdziesięcioletnią żonę, pewnie także kusiłoby mnie, żeby skoczyć w bok. W czasie, gdy poczęła Funia, byłem jeszcze zdolny do współżycia, ona jednak przeżywała swoją świetność, zamiast dopalającej się główki wołała pewnie płonąca pochodnię.

Gdy wreszcie dotarło do mnie, co zrobiła, próbowałem się na niej odegrać. Poznałem kobietę jeszcze młodszą niż ona, tancerkę z klubu nocnego. Jej praca polegała na podniecaniu mężczyzn (przynajmniej odrobinę) za pomocą obrotowych ruchów wykonywanych w kostiumie złożonym ze srebrnych taśm, diademu z piórami i purpurowych lusterek. W tym stroju nie bardzo przypominała człowieka, nawet piersi miała pokryte grubą warstwą pudru i różu. Zacząłem się z nią spotykać. Potem zacząłem chodzić do lekarza. Nie ma nic zimniejszego niż seks w rewanzu – choć ta smutna, porzucona kobieta zapewne oddawała mi się tylko z litości dla mojego wieku.

Nie można zatrzymać upływu czasu, wróciłem więc na ciche, samotne ławki w parkach, na których przesiadują starzy ludzie, i znów zacząłem się wspinać na wzgórze – tam, w obliczu przyćmionego, aseksualnego piękna wschodów słońca i błękitniejącego nieba, odkryłem swoje prawdziwe, właściwe mocne strony.

Funio na pewno przezwycięży swoje niewdzięczne pochodzenie. Byłem i jestem mu ojcem, a najbardziej smuci mnie to, że gdy umrę, on będzie jeszcze młody. Będzie płakał, ale nie sądzę, by się załamał – przynajmniej taką mam nadzieję. Oddałbym wszystko, by móc pożyć jeszcze czterdzieści-pięćdziesiąt lat i patrzeć, jak idzie przez życie. Funio obezwładnia mnie bystrością swojego umysłu. Idea cudownego dziecka nie bardzo do mnie przemawia, staramy się z Marlise nie zwracać uwagi na jego błyskotliwość: zdolne dziecko łatwo zepsuć, jeśli te zdolności wykorzystuje się, każąc mu popisywać się sztuczkami, jak cyrkowemu zwierzęciu.

W wieku czterech lat Funio sądził, że tablice rejestracyjne samochodów to metki z

cenami, i był zdumiony, że występują między nimi tak absurdalne różnice. Zdziwiłem się, gdy pewnego dnia jechaliśmy do São Conrado i Funio spytał, czemu jadący przed nami Volkswagen jest ponad trzy razy droższy niż rolls-royce.

– Wcale nie jest – stwierdziłem.

– No to popats na metkę! – wyseplenił po dziecięcemu.

Gdy wprawił mnie w osłupienie umiejętnością szybkiego i bezbłędnego wykonywania skomplikowanych rachunków, zacząłem wymyślać mu zadania. Nigdy nie zapomnę, jak zagadnąłem go kiedyś przed wejściem na plażę:

– Słuchaj, Funio, powiedzmy, że liczba liter twojego imienia wynosi x , liczba liter imienia mamy wynosi y i że x plus y minus z równa się dziesięć.

– Z równa się dwa – powiedział takim tonem, jak gdyby mówił: „masz jeszcze jakieś pytania, głupku?”.

Gdy miał pięć lat, zażyczył sobie książeczki czekowej, nauczyliśmy go więc podwójnej księgowości – opanował ją bez trudu. Rok temu zaczął poprawiać prace zaliczeniowe i testy egzaminacyjne moich studentów. Jest też w pełni dwujęzyczny.

Co może wyrosnąć z takiego dziecka? Wymogliśmy na nim obietnicę, że nie będzie przyspieszał swoich postępów w szkole, że będzie się trzymał w ryzach przynajmniej do studiów, tak by mógł mieć normalne dzieciństwo. Pod względem społecznym i emocjonalnym jest dzieckiem, a dorastanie polega nie tylko na rozwijaniu intelektu, ale też na kształceniu serca i duszy. Nie żeby umysł Funia dystansował jego serce i duszę, bynajmniej nie – duch po prostu wolniej się uczy, a ponieważ duchowe lekcje często odbiera się jak ciosy, człowiek słaby i tchórzliwy łatwo ulega pokusie, by nimi manipulować niczym danymi w algebrze, przyspieszać je bądź kontrolować, podczas gdy w rzeczywistości można je najwyżej przetrwać.

W szkole Funiowi idzie więc zaledwie idealnie, gdy zaś nauczyciele próbują go motywować, zamyka się. Na lekcjach pogrąża się w marzeniach i w myślach rozwiązuje problemy. W domu czyta książki historyczne, powieści i encyklopedie, ostatnio też zainteresował się ekonomią, do której z kolei zainspirowała go statystyka.

A przy tym wszystkim jest maluchem, śniadym jak Sycylińczyk, o ogromnych oczach i śnieżnobiałych zębach wielkości tabletek aspiryny – odziedziczył je po matce, ale ma nieco inny zgryz, dwa górne siekacze ma nieproporcjonalnie wielkie, trochę jak u wiewiórki.

W szkolnym mundurku czuje się jak w drugiej skórze. Od małego nie nosi nic innego prócz niebieskich spodenek i białej koszuli. Nawet pływa w spodenkach – pewnie dlatego, że widzi, jak ja pływam w swoich szortach koloru khaki, i zna opowieść o tym, jak wpadłem z samolotem do morza.

Może to zwykła sprawiedliwość, a może cud, że Funio przyswaja sobie wszystko, co mu powiem – kocham go bowiem nad życie, a nie pożyję już długo. Gdy był jeszcze malutki, brałem go na spacer: wnosiłem na szczyt wzgórza, tam szliśmy na moje stare miejsce, sadzałem go na kolanach i patrzyliśmy sobie w dół, na fale tak silne i szybkie, że światło nie nadążało z rozbijaniem małych białych grzywaczy, przynajmniej w moich steranych oczach. Opowiadałem mu przy tym wiele różnych rzeczy, zakładałem, że nic nie zrozumie, myślę jednak, że jakimś sposobem rozumiał.

Jednej rzeczy mimo wszystko znać nie może, bo nie może jej poczuć: ulotności chwili. Gdy idziemy na plażę, otwieram się na ocean całym sercem, jak zawsze, tyle że teraz, gdy fale ciskają nami i wyrzucają nas z powrotem na słońce, patrzę na wszystko jakby z góry i wzruszam się tym widokiem, jak gdybym już nie żył lub jakby ktoś mi tylko o tym opowiadał. Przypomina mi się też, jak mój ojciec zanurzał mnie w oceanie – w czasach, które przechodzą już do historii, a gdy przeminie moje pokolenie, przejdą do niej całkowicie. Zatraciłbym się w tych

wspomnieniach bez reszty, gdyby ocean nie chlapał mi w twarz rozkołysaną w nieskończoność pianą, a w górze nie ryczał wiatr. Funio unosi się na falach jeszcze lżej niż ja, a gdy tylko się zanurzy, zaraz wyskakuje jak korek.

Nie zostałem tu ani chwili dłużej, gdyby nie Atlantyck. To ten sam ocean, w którym uczyłem się ujeżdżać fale – w Amagansett, w 1910 roku, gdy miałem sześć lat. Później, przed moim wyjazdem ze Stanów, Amagansett było już popularnym przedmieściem Southampton, ale w czasach mojego dzieciństwa była to jeszcze wielorybiczna wioska, najpopularniejszym zaś miejscem w promieniu wielu mil był obóz piechoty morskiej, której rekrutom nie śniła się jeszcze nazwa Belleau Wood.

Wśród fal trudno odczuwać dumę bądź się zatracić, fale przemawiają bowiem w sposób intymny i są sugestywnym zwiastunem wieczności. Wciąż pływam cztery razy w tygodniu. W ciągu tygodnia po wchłonięciu codziennej dawki mroźnego powietrza w mocno klimatyzowanej akademii wpadam do Flamengo, a w sobotę jeździmy z Marlise i Funiem na wspanialsze plaże – w São Conrado lub w zatoce, gdzie fale są czyste, a ocean z daleka wydaje się zielony.

Gdyby nie morze, Rio byłoby nieznośne, i to nie tylko dla mnie. Fawele dosłownie by eksplodowały, gdyby nie bliskość plaży – miejsca, gdzie bogaci i biedni mogą zażywać kąpieli w tym samym oceanie i otrzymywać to samo błogosławieństwo.

Cudzoziemcy – ja też jestem cudzoziemcem, ale mocno zasiedziały – często nie potrafią zrozumieć, że dla mieszkańców Rio plaża jest katedrą, a morze najświętszym sakramentem. Turyści przyjeżdżają tu szukać wrażeń, nie zdając sobie sprawy, że potężna seksualna siła, która przenika to miasto, na plaży jest mocno zredukowana. Przecież w westernie kowboje też zabezpieczają rewolwery przed wejściem do saloonu.

Nim Marlise zdołała mnie powstrzymać, wybijałem to mylne przekonanie z głów wielu północnoeuropejskich kobiet, gdy widziałem, że zdejmują staniki od kostiumów kąpielowych. By dać odpór temu barbarzyńskiemu zwyczajowi, podchodziłem do takiej występnej grupki (zwykle znajdowało się w niej także kilku młodych mężczyzn mogących złamać mnie jak zapalkę), uderzałem końcem laski w piach, a potem celowałem nią w części ciała, które moim zdaniem prosiły się o większą skromność.

Kobiety zazwyczaj wybuchały śmiechem, lecz potem przyglądały się baczniej mej żylastej sylwetce, moim bliznom, spoglądały mi w zmrużone, pełne determinacji oczy. Myślę, że robiła też na nich wrażenie kolba mojego pistoletu oraz to, jak zaciskałem wciąż jeszcze silną rękę na trzonku bambusowej laski. Gdy wykrzyczałem gniewne żądanie moją surową, tajemniczą niemczyzną, ich rozbawienie niekiedy przeradzało się w błądy strach. Wtedy przechodziłem na angielski, bo i tak one wszystkie mówiły po angielsku. Wzorując się na Watoonie, wołałem na przykład:

– Strzeżcie się, śmierdzące cipy! Wizygockie szumowiny! Jesteście jak gówno i rzygi waszych ojców, którzy byli dzielnymi i nieustraszonymi żołnierzami, lecz zostali rozbici na miazgę przez anglojęzyczny świat, przeze mnie. Potęga Zachodu jest niekwestionowana, a Nowy Świat zmiażdży wyrzutków Starego Świata. Jeśli nie chcecie, by skumulowana we mnie furia Ameryki Północnej poraziła wasze miękkie dekadentkie ciała, ubierzcie się!

Udawało mi się to wiele razy, póki Marlise nie zakradła się kiedyś moim śladem i nie zobaczyła, jak besztam grupkę, którą stanowiły, jak się okazało, oszołomione ze zdumienia Kanadyjki. Skąd miałem wiedzieć, że są z Kanady? Może miały germańskie pochodzenie. Marlise zaprowadziła mnie do odludnego zakątka plaży i kiedy Funio zajęty był budową zamku, nastąpiło między nami coś, co ona nazywała rozstrzygającą dyskusją, bardziej jednak przypominało trzęsienie ziemi, ja zaś zwykłem o tym myśleć jako o zmianie równowagi sił między biednym, szacownym staruszkiem, któremu pozostało ledwie parę lat życia, a potężną,

choć wciąż jeszcze piękną harpią w średnim wieku, na domiar złego – ponieważ staruszek już nieco się przygarbił – wyższą od niego o dobre pół głowy. Rozmowa toczyła się po angielsku, nie umiem prowadzić poważnych dyskusji po portugalsku. Brzmiała mniej więcej – nie, brzmiała dokładnie tak:

– Słuchaj, dziwko – powiedziała Marlise, mrużąc oczy i wyciągając do mnie palec gestem wuja Sama, czyli naśladowując moje gesty.

– Zaraz, zaraz – przerwałem. – „Dziwka” to wulgarnie określenie kobiety. Nie używaj go. Brzmi głupio i brzydko.

– Jak się mówi na mężczyznę?

– Koniobij.

– Słuchaj, koniobiju – powiedziała. – Koniec na to. Płacisz rachunek.

Potem nieświadomie przeszła na portugalski, aż przestałem ją rozumieć, musiała więc wrócić do angielszczyzny. W końcu to ja nauczyłem ją angielskiego.

– Myślisz, że ja to kto, antylopa? – spytała ze złością.

– Nie – powiedziałem. W tamtej chwili była tylko trochę czerwieńsza od antylopy, ciało miała jednak niemal tak samo smukłe, a także podobny wyraz twarzy, dlatego właśnie powiedziałem jej kiedyś, że wygląda jak antylopa.

– Czemu przestraszasz ludzi w plaży? Zwariowałeś? Strzelasz ich, bo są nago?

– Ależ skąd, nie zastrzeliłbym nikogo tylko dlatego, że jest nagi. O co ci chodzi?

– Od teraz wszystko zmienione albo odchodzę. Razem z Funio. I już nigdy nas nie widzisz. Jak następnym razem przyjdiesz do drzwi, dom pusty. Jesteś jak farmer, co wali w kury piorunami.

– Chyba cię rozumiem.

– Jeden: daj spokój ludziom w plaży. Dwa: nigdy więcej gadanie o kawie.

– Przecież już nie mówię o kawie.

– Nie wymiguj się.

– No dobra.

– Nigdy więcej nie gadasz do Funio te swoje głupie pomysły.

– Dlaczego? Musi wiedzieć co i jak. Kiedyś i tak zaczniesz się zastanawiać, skąd się wziął.

Może zechce być bardzo bogaty.

– On szczęśliwy, rozumiesz?

– Ależ Marlise, szczęście to...

– Już teraz jest taki jak ty. Lubi widzieć dziewczyna w bikini.

– Wcale nie lubi. Popatrz na niego. – Funio siedział w otoczeniu niewiarygodnie pięknych ciał, lecz całą jego uwagę pochłaniał zamek z piasku. – Marlise, on się pasjonuje pociągami. Bez trudu zapamiętał rozkłady jazdy z kilku europejskich stolic. Cokolwiek mu wejdzie do głowy, już z niej nie wychodzi. Wszystko przychodzi mu bez wysiłku. Czy wyobrażasz sobie, do czego byłby zdolny, gdyby...? – Tu urwałem na chwilę i zacząłem liczyć na palcach, mamrocząc pod nosem, gapiąc się w niebo jak niewidomy żebrak.

Marlise nigdy tego nie rozumiała, ponieważ nie wiedziała tego, co powinna była wiedzieć, a nie wiedziała, bo jej nie powiedziałem. Nie powiedziałem zaś, bo wiedziałem, że nie rozumie, co to znaczy być bardzo bogatym. Ilekroć liczyłem na palcach, patrząc w niebo jak suficki mędrzec, tylekroć sądziła, że przeżywam atak wojennej traumy. Podeszła, objęła mnie i się rozplakała.

– Marlise, moja Marlise – powiedziałem. – Funio jest moją jedyną nadzieją. Ja sam mógłbym umrzeć bez mrugnienia okiem.

Ona jednak już powzięła decyzję, a nie miała zwyczaju się wycofywać.

– Nic mu nie mówisz. Obiecuj.

– Marlise!

– Nie, nie, obiecuj. Żadne kombinowanie, żadne mamrotanie, żadne nic.

Nawet nosorożce czasem się wycofują, ale nie Marlise. Obiecałem.

Myślę, że może to kwestia narodowego charakteru Brazylijczyków. Oni zawsze wydają się trochę nieprzewidywalni, nigdy nie wiadomo, z czym wyskoczą. Pierwszą Brazylijką, jaką poznałem, była żona starszego wiceprezesa banku Stillman and Chase. Wspaniali ludzie, z trójką czy czwórką dzieci, tak otwarci, że trudno było uwierzyć, iż mają coś wspólnego z największym i najbardziej nadętym prywatnym bankiem na świecie. Jack tak jak ja studiował na Harvardzie, tak jak ja był pilotem i też był ranny.

Nim ożenił się z Marią-Bethunią, starał się o stanowisko wiceprezesa wykonawczego, lecz powinięła mu się noga, gdy żony głównych dyrektorów Stillman and Chase zamówiły oficjalne portrety swoich mężów i zorganizowały ich wystawę. Chciały wskrzesić ducha epoki Johna Singera Sargenta, impreza wyszła naprawdę pięknie.

Maria-Bethunia umyśliła sobie, że przebiję wszystkich, i udało jej się: poleciała do Vallauris i namówiła Pabla Picassa, by namalował naturalnej wielkości portret Jacka. Szalona Brazylijka przypadła artyście do gustu. Picasso zgodził się namalować portret ze zdjęcia. Kurator wystawy był zelektryzowany i oczywiście umieścił obraz Picassa na honorowym miejscu. Pewnie zdumiał się, że Picasso nawrócił się na realizm, ale dla Marii-Bethunii nie było rzeczy niemożliwych. Był jednak pewien szkopuł: Picasso, jak zwykle niepoważny, wprawdzie namalował Jacka naturalnej wielkości, ale nago i przedstawił w odpowiednich proporcjach wszystko oprócz genitaliów – te były pięć czy sześć razy większe niż normalnie, a penis w stanie pełnej erekcji.

Gdy organizowano wernisaż, Jack był w Bostonie. Wrócił już po zamknięciu wystawy i prosto z lotniska pojechał na przyjęcie do ministra finansów Konga Belgijskiego. Było tam wielu jego znajomych, a wszystkie kobiety rzucały mu przeciągłe spojrzenia.

– Jack, czy to naprawdę ty? – spytała któraś.

Jack nie miał pojęcia, co zmalstrował Picasso, sądził, że odmalował go wiernie z dostarczonego zdjęcia – zapiętego po szyję, uśmiechniętego, z wyrazem wytwornego rozbawienia i przesadnej godności na twarzy – odpowiedział więc:

– Na pewno myślałem wtedy o tobie.

Musiał odejść ze Stillman and Chase, jeszcze zanim ja to zrobiłem.

Podobnie jak Maria-Bethunia, Marlise jest tak czarująca, że potrafi bez mrugnięcia okiem drastycznie zmienić komuś plany lub zniszczyć karierę. Obiecałem. Objęliśmy się ponownie. Otaczało nas morze i wiatr. I byłem szczęśliwy, bo nie ma nic piękniejszego niż obietnica chwilę po tym, jak się ją złożyło.

Nosorożca da się jednak na różne sposoby ominąć i w związku z tym przypomina mi się kwestia znacznie praktyczniejsza: po co to wszystko piszę, kto ma te zapiski czytać i jak powinien je przechowywać.

Powód najważniejszy stanie się dla was jasny w trakcie lektury, lecz spisuję to wszystko także w proteście przeciw niespodziewanemu wstrząsowi, którego doznałem w chwili narodzin i który powtarzał się potem wielokrotnie przez całe moje życie: gdy trzykrotnie zostałem zrzucony z mej fizycznej pozycji w niebiosach, gdy odkryłem, że moja pierwsza żona pije kawę, i w jeszcze gorszych momentach. Wszystko, co w życiu widziałem, złamało mi serce już tak dawno temu, że myślę o sobie jak o muzeum, którego nikt nie odwiedza. Któż miałby je odwiedzać? Brazylijczycy nie rozumieją, że można mieć serce złamane w taki sposób, jak mam ja. I wcale tego od nich nie oczekuję.

Ja z kolei nie do końca rozumiem ich obrzydliwą skłonność do publicznych tańców i bezmyślnego spółkowania – choć z grubsza rozumiem logikę tych działań i płynącą z nich przyjemność, tak jak żołnierz w bunkrze widzi przez wąskie otwory strzelnicze poblask słońca na powierzchni morza.

Nie jest to kraj dla starych ludzi, ta kraina zielonych klejnotów zawieszonych na szmaragdowym naszyjniku morza, gdzie ciało ociera się o ciało niczym makrele ściśnięte w sieci. Gdyby Szkocja nie miała ze Stanami Zjednoczonymi umowy o ekstradycję, nie napastowałyby mnie nieustannie nagie piersi i nasączone rumem orzechy kokosowe (chyba że Szkocja mocno by się zmieniła). Nie jestem stworzony do tego, by celebrować zmysły. Nigdy nie byłem zdolny celebrować niczego. I wcale nie chciałem tego robić – celebrowanie zawsze wydawało mi się mechanicznym powielaniem żywotnej chwili, która bezpowrotnie minęła. Gdy na przykład skończyła się wojna i ludzie tańczyli na ulicach i popijali kawę, ja płakałem – płakałem po tych, którzy zginęli, i po zostawionych przez nich rodzinach. A potem poszedłem spać. Dopiero następnego dnia pozwoliłem, by nadzieja przywróciła mnie do życia.

Możecie sobie wyobrazić, jak się czuję w kraju, gdzie wystarczy, by mucha usiadła na skórce mango, a dziesięć tysięcy tancerzy wpada w szaleńczą euforię i wylęga na ulice, gdzie człowiek, który wygrał na loterii, dwa razy więcej pieniędzy wydaje na przyjęcie, by uczcić wygraną. O, Brazylijczycy to nie Szkoci. Pojęcie cichej obserwacji kojarzy im się tylko z chorobą, niczego nie umieją przyjąć spokojnie. W grupach oglądają zachód słońca, dyskutują o wzroście roślin. Nawet wiatr nie może w spokoju marszczyć fal, od razu wszyscy muszą o tym śpiewać.

Mimo to brakuje im świadomości. Zupełnie jak gdyby byli pozbawieni tej części mózgu, która przekształca czas w geometryczną konstrukcję i zmienia go w pułapkę. Życie jest dla nich jak dryfowanie po ciepłej rzece. Nie mają naszego północnego daru postrzegania i pojmowania, naszego zrozumienia, czym jest ogień, naszego przenikliwego lęku przed lodem – przeżywają życie tak, jakby jechali na tęczach.

Lecz choć nie umieją tego dostrzec, nawet ich miałkie życie jest częścią prawdy – fałdą na powierzchni morza, diamentowym błyskiem w strumieniu. Jestem tego świadom od dawna. Nurzając się w pogardzie dla ich rozwiązłości, obrzydliwego uzależnienia od kawy i wylewającej się zewsząd nagości, zapominam o jednym: ich istnienie jest nie tylko częścią prawdy, ale też sposobem – metodologią, jeśli wolicie – docierania do niej, niczym taniec pszczoły lub kołysanie się orchidei w ciepłej bryzie; jest bezbolesne, żywiołowe, urocze i pełne gracji.

Zawsze uważałem, że 1900 rok był jak otworek na końcu tubki do dekorowania tortów, z której po naciśnięciu leci lukier, i że potem przez prawie sto lat wypływał z niego skomplikowany zakrętas cywilizacji. Antypody zostały w tyle za resztą świata, ale utknęły w lepszych czasach niż nasze. W Montevideo wszystko jest tak stare, że człowiek czuje się jak w 1910 roku. Ach, gdyby naprawdę był to 1910 rok! Chciałbym, żeby świat nie pędził tak szybko. Chciałbym, żeby przestano wreszcie zaburzać równowagę. Moje postęпки w pewnym sensie można wyjaśnić charakterem tego stulecia – choć wcale nie zamierzam się usprawiedliwiać.

Na początku lat pięćdziesiątych – był wtedy czerwiec – Stillman and Chase wysłał mnie do Rzymu. Europejskie miasta ciągle nosiły ślady wojny. Wiele budynków było zrujnowanych, jeszcze więcej uszkodzonych i poznaczonych dziurami po pociskach, betonowe fortyfikacje zaśmiecały pola i plaże niczym resztki cofającego się lodowca. Pamiętam Morze Tyrreńskie w Ardei, które przed wybuchem wojny i po jej zakończeniu szumiało w nieustającym rytmie bez najmniejszych zakłóceń. Niezmiennie fale były o kamienne wybrzeże niczym serce, dokładnie tak jak dziesięć lat wcześniej na innej plaży, nad tym samym morzem, lecz w Afryce Północnej, gdy wyczołgałem się na piach po zestrzeleniu mojego samolotu.

Przez te dziesięć lat nieco przybrałem na wadze – zbliżałem się do pięćdziesiątki – i nie umiałem już biegać z taką gracją jak kiedyś ani przelatywać nad przeszkodami niczym jeleń. I nie licząc wczesnych poranków i wieczorów, gdy nosiłem swoje tradycyjne spodenki w kolorze khaki, koszulkę polo i górskie buty, tkwiłem uwięziony w drogich garniturach.

Musiałem spędzić w Rzymie kilka dni, w tym weekend, nie miałem więc czasu odwiedzić lotnisk, z których wylatywałem nad Niemcy i już po chwili wzbijałem się nad Alpy w masywnym strumieniu powietrza, unoszącym mojego P-51 z taką siłą, że aż lekko zginały mu się skrzydła. Nie udało mi się też zorganizować sobie wyjazdu do Wenecji, zostałem więc na miejscu i w sobotni wieczór poszedłem do Villa Doria na recital operowy. Miałem szczęście, śpiewający panowie byli w szczytowej formie. Byli to najwspanialszy śpiewacy na świecie i wiedzieli o tym. Zdobyli też mistrzostwo świata w dziedzinie niezdrowej bladej cery i obwodu w pasie, ale śpiewali jak aniołowie. Może podpisali pakt z diabłem – a może operując na tak podniebnych wysokościach, po prostu coraz mniej potrzebowali swych ciał.

Słuchałem w ekstazie, snując chłopięce marzenia, że jestem na ich miejscu. Potem wróciłem do hotelu, a przed pójściem do apartamentu wstałem do baru po butelkę wody mineralnej – i tam ich ujrzałem: czterech największy śpiewacy na świecie siedzieli w samym kącie, niemal ukryci w półmroku. Kiedy szedłem przez miasto, mijając rabusiów i złodziei rowerów, cztery tłuściochy zamówiły taksówkę – i oto miałem ich przed sobą, na końcu długiego zielonego tunelu chłodnej nocy, wypełnionej wspomnieniem ich śpiewu.

Ściskając butelkę za szyjkę, jak wędkę, zagapiłem się na nich. Kieliszki na czarnym politurowanym stoliku, przy którym siedzieli, były zroszone i lśniły jak lód. Pośrodku stała misa z pokrojonym selerem i oliwkami.

Na mój widok popatrzyli po sobie, wzruszyli ramionami i dali znak, bym się zbliżył. Nie wyglądało to na gest, jakim gwiazdy cyrku zapraszają zachwycone dziecko. Byliśmy mniej więcej w tym samym wieku, miałem bardzo żywy i emocjonalny stosunek do Europy – w końcu niedawno odegrałem swoją małą rolę w największej operze w jej dziejach – a do tego, choć czułem się z tym bardzo niekomfortowo, nosiłem się jak minister finansów. Mimo wszystko serce podskoczyło mi z radości, niepokoiło mnie tylko, czy nie pogubię się we wzniosłych rozważaniach na temat muzyki i sztuki.

Oni jednak, jak to artyści, chcieli rozmawiać wyłącznie o pieniądzach, okazywali mi więc wielki szacunek – w końcu byłem wtajemniczony w największe finansowe arkana, ludziom się to bardzo podoba. Zasypywałem ich pytaniami o strukturę arii i nieskazitelne piękno harmonii, taktowania i tonu, a oni wypytywali mnie o kursy walut, umowy podatkowe i arbitraż. A potem, gdy zrobiło się późno, zaczęliśmy rozmawiać o naszym dzieciństwie – i wtedy poznaliśmy się lepiej.

Wszyscy czterech już nie żyją. Z oddali odnotowywałem, jak umierają, i choć byli bogaci, po śmierci nie zapamiętano ich ze względu na pieniądze, które zarobili.

Wtedy, w hotelowym barze, wiedziałem, że moje pytania są lepsze i ważniejsze niż ich, ponieważ ich zawód jest lepszy i ważniejszy niż mój. Wspominałem, jak dźwięki srebrnych trąbek (we Włoszech instrumenty dęte często są posrebrzane) odbijały się echem od murów ogrodu Villa Doria, i gdy rozmawialiśmy o naszych młodych latach – oni spędzili je w wioskach i miasteczkach Hiszpanii i północnych Włoch, ja nad rzeką Hudson i w prywatnym sanatorium Chateau Parfilage (był to właściwie zakład dla obłąkanych) – postanowiłem, że rzucę pracę w banku.

Obwieściłem im to z wielkim przekonaniem, sądzili więc, że jestem pijany, pokazałem im jednak, że piję tylko wodę. Z początku zaczęli mnie kurtuazyjnie i elegancko odwozić od tego pomysłu, tak jak się to robi, gdy ktoś na przykład oznajmia, że rzuca karierę i zamierza nająć się

do cyrku. Przypuszczam też, że wiedzieli, jak bardzo magnetyczny efekt wywierają na innych, i zawsze przestrzegali romantyków, którzy zapragnęli pójść w ich niebezpieczne i chwalebne ślady.

Po chwili jednak nieoczekiwanie przychylił się do mojego pomysłu. Hiszpan spytał, czy jestem niezależny finansowo. Pokręciłem głową niczym lalka brzuchomowcy.

– Jeśli można wiedzieć – zapytał – z czego będzie pan żył?

Dwaj Włosi zawtórowali mu równocześnie (ci ludzie potrafią zsynchronizować głosy z taką precyzją, z jaką Robin Hood strzela z luku):

– Kiedy pan zdecyduje się odejść – powiedzieli w C-dur – powinien pan to starannie zaplanować. Niech pan pogasi za sobą światła i zabierze całą forszę.

– Hm, może i macie panowie rację – stwierdziłem. – To jest myśl!

Nawet gdyby śpiewali przez milion lat, nie zarobiliby setnej części tego, co w ciągu jednego dnia przechodziło przez konta Stillman and Chase. A ja miałem wybór: albo dusić się przez kolejnych kilka dekad, dostać zawału serca i umrzeć w prywatnej klinice w Greenwich Village, albo przez parę wspaniałych, pełnych napięcia lat planować oszustwo, elektryzowany rozkosznym dreszczem występku, a potem uciec z taką sumą pieniędzy, że mógłbym kupić pięćset domów w Greenwich Village i umrzeć, w którejkolwiek klinice bym zapragnął.

– Naprawdę świetny pomysł! – powiedziałem. – Nigdy mi to nie przyszło do głowy!

– Bankierzy – odezwał się Austriak, który, jak to Austriak, był najpoważniejszy z całej czwórki – to najgorsza rasa kundli.

Nigdy nie myślałem o sobie w ten sposób, ale nie poczułem się urażony.

Ułożyliśmy plan. Śpiewacy ożywili się, jak gdyby weszli na scenę, ale nie byłem z nimi zupełnie szczery – najważniejsze szczegóły obmyślałem w sekrecie. W końcu chyba trochę straciłem entuzjazm, choćby dlatego że był to plan dość nieprawdopodobny – trudno spodziewać się czegoś innego po planie uknutym w barze hotelu Hassler przez czterech śpiewaków operowych i bankiera inwestycyjnego, który część swoich lat chłopięcych przesiedział w szpitalu dla umysłowo chorych. Mimo to, choć starałem się tego nie okazywać, płońałem z podniecenia.

Wybiegam teraz trochę naprzód, chociaż takie stwierdzenie brzmi dziwnie, gdy mowa o zdarzeniach sprzed niemal półwiecza – w końcu jedynym prawdziwym sposobem wybiegania naprzód jest przepowiadanie przyszłości i składanie relacji z życia po śmierci. Czy to nadchodząca śmierć skłania mnie do snucia tych wspomnień? Na pewno nie.

Jeśli wszystko dobrze pójdzie, wkrótce zrozumiecie, po co to piszę, jakkolwiek słów „pisać” i „mówić” używam w zasadzie zamiennie – nie żebym był nieświadomy różnicy, po prostu już na samym początku odkryłem, iż pamiętnik ma jedną zasadniczą zaletę: potrafi zmieniać głos w słowo, a słowo w głos, aż jedno i drugie zlewa się ze sobą w powierzchnię gładką niczym warstwa oliwy na bloku lodu.

Moje motywy są bardzo proste, zrozumiesz je bez trudu, czytelniku, jeśli jesteś tym, kim chciałbym, byś był. Być może moje słowa podziałają na ciebie inaczej, moje zamierzenie jest jednak równie proste jak pragnienie konstruktora, by naszkicować plan budowanego silnika, czy odkrywcy, by narysować mapę. Wyznaczyłem sobie skromne zadanie do wykonania i właśnie tak zamierzam je wykonać.

Jeśli te zapiski trafią w ręce osoby zupełnie mi nieznannej – trudno: strzała została wypuszczona z luku, ziarno poleciało na swoim smutnym przezroczystym spadochroniku do kompletnie nieznannej krainy, gdzie przez całą wieczność będzie migotać w jałowej ciszy. Decyzja nie należy do mnie. Należy ona, jak wszystko, do wiatru.

Załóżmy przez chwilę, że chybię celu, że nigdy nie dowiem się, kim jesteś. Nawet w takim wypadku mógłbym jednak zwracać się do ciebie „ty”. Jeśli jesteś mężczyzną, moglibyśmy

razem latać lub obrabować bank. Obie te czynności – jeżeli wykonuje się je prawidłowo – są równie absorbujące i przyjemne. W lataniu wspaniałe jest to, że docierasz do miejsc, o których ci się nawet nie śniło, i wracasz żywy. W rabowaniu banku trzeba uważać na to, by nikomu nie stała się krzywda, choć jest to równie trudne lub nawet trudniejsze niż sama kradzież. W idealnej sytuacji przemieszczanie środków pieniężnych nie powinno się odbywać ze szkodą dla przedsiębiorstw finansowych, rządów i społeczeństwa – winien to być raczej błyskawiczny atak na gniazdo korupcji, bezprawia i występku.

Jeśli natomiast jesteś kobietą, mógłbym cię pokochać. Wcale nie twierdzą, że ty mogłabyś pokochać mnie, nic z tych rzeczy, zakładam coś wręcz przeciwnego. Jestem człowiekiem trudnym i nieprzyjemnym, niektórzy powiedzieliby nawet: niemożliwym, i to już od urodzenia – no, powiedzmy, od dziesiątego roku życia – lecz mimo to zawsze miałem w sobie więcej miłości, niż ktokolwiek po mnie oczekiwał. Może dlatego, że w moim życiu, rządzone przez brak wzajemności, pełnym wielkich inwestycji i niewielkich wydatków, miłość rosła sama z siebie i mnożyła się po wielokroć.

Jeśli zaczniecie wątpić w wiarygodność mojej historii, pamiętajcie, że gdy wtłacza się osiemdziesiąt lat życia w ramy niewielkiego pamiętnika, znika czas, który normalnie oddziela od siebie znaczące wydarzenia – a to właśnie dzięki łasce powoli upływającego czasu odnosimy ludzkie wrażenie, że nagle życiowe przypadki są czymś, czego można się spodziewać.

Planowałem spisać te wspomnienia w porządku chronologicznym, lecz zdałem sobie sprawę, że przecież nie myślę w sposób chronologiczny. Spisywanie wspomnień jest jak łowienie ryb. Zarzucamy wędkę, a gdy czujemy szarpnięcie, wyciągamy ją, lecz nigdy nie wiadomo, co złapało się na haczyk, ponieważ ocean jest głęboki i wypełniony niesamowitymi stworzeniami, które nie wypływają na powierzchnię w oczekiwanym porządku. Nie pływają też pod falami w długich i zgrabnych szeregach, z wielorybami na czele i szprotkami na końcu. Pamiętnik, tak jak ryba, nie znosi dyscypliny. Mówiąc inaczej: gdyby ułożyć alfabetycznie *Iliadę*, otrzymalibyśmy mniej więcej książkę telefoniczną Aten. Kiedy rozmyślam o przeszłości, wspomnienia nie ustawiają się w rzędzie, tylko wyskakują jedno przez drugie, przyjmę je więc w takiej właśnie formie, tak jak niegdyś przyjmowałem wydarzenia mego życia.

Istnieje tylko jeden egzemplarz tego rękopisu, jeden jedyny, ponieważ w zakładzie kserograficznym w Niterói samoobsługowa kopiarka stoi obok ekspresu do kawy. Błagałem obsługę, żeby ją przestawili, błagałem niemal na kolanach, z klamerką do bielizny na nosie, ale odmówili. By ochronić tę opowieść przed ewentualnym zniszczeniem, kosztem żmudnych starań sprawiłem sobie mrówkoszczelną kasetę – ufam, że czytając te zapiski, będziecie odkładać do niej każdą przeczytaną kartkę.

PANNA MAJEWSKA

Jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, odłóżcie przeczytane kartki do mrówkoszczelnej kasety.

Jak można poznać historię? Można ją sobie tylko wyobrażać. Nawet gdy mamy oparcie w faktach i dokumentach, pisanie o historii jest jak pisanie powieści, w której napotykać punkty kontrolne – najprawdziwsza, absolutna prawda jest tak obszerna i niejednolita, że może ją zrozumieć tylko Bóg, trzeba ją więc wtlaczać w karby własnego rozumienia. Jeśli ktoś twierdzi, że napisał „definitywną” wersję jakiejś historii, to nie znaczy, że zdołał odtworzyć przeszłość – jedynie ukształtował ją podług własnych wyobrażeń, zdefiniował ją. Nawet najżywszy portret zawsze jest pełen smutku, ponieważ rozświetla mroki pamięci nikłymi rozbłyskami, a przeszłość nie domaga się garści barwnych obrazków, tylko kompletnej rekonstrukcji. Nie jesteśmy do tego zdolni, możemy jedynie podążać śladem złotych nici, a one są zawsze niesłychanie poplątane.

Gdy myśli się o 1919 roku, przed oczyma pojawiają się głównie obrazy świata budzącego się z koszmaru wojny: żołnierze wracający do domów, witające ich bądź pogrążone w rozpacz rodziny, zawieszenie broni, pokój. Dla Amerykanów był to czas rejsów przez Atlantyk ze wschodu na zachód, powrotu do świata cichego i pełnego nadziei, jakby wyjętego z płócien Childe’a Hassama, do dziś świecących pełnym blaskiem. Ja wtedy byłem daleki od spokoju: podążałem krętymi i splątanymi ścieżkami, z perspektywy czasu nie tylko rozświetlającymi swą epokę, niczym kości jaśniejące żelatynowym błyskiem na rentgenowskim zdjęciu, ale też wskazującymi, w którą stronę ta epoka zmierzała.

Wiosną na Atlantyku zaroilo się od parowców: potwornie przeładowane zdążyły na zachód i prawie puste wracały na wschód. Byłem jednym z wielu amerykańskich chłopców, którzy nimi podróżowali, lecz nie wracałem do Nowego Świata, nie byłem bohaterem. *Au contraire*. Płynąłem na wschód statkiem Jeanne d’Arc, miałem czternaście lat, jasne włosy, gładkie policzki, sylwetkę smukłą jak u baletmistrza, a ubrany byłem w kaftan bezpieczeństwa.

Nie było potrzeby mnie pętać, zwłaszcza w tak młodym wieku. Byłem chłopcem delikatnym i niewinnym jak karmione mlekiem matki cielątko. No ale wiecie, co dzieje się z niewinnymi, delikatnymi cielątkami, wiecie, gdzie one kończą. Sędzia, w którego srogiej wyobraźni zrodził się wyrok, przyniósł sobie na rozprawę filiżankę taniej, obrzydliwej kawy. Czy można było myśleć o jakiegokolwiek sprawiedliwości, skoro mój własny sędzia należał do licznego zastępu demonów, które pragnąłem zmieść z powierzchni ziemi?

Póki w pobliżu nie pojawiła się kawa, byłem bardzo łagodny. Łatwo się wzruszałem, nieustannie się zakochiwałem, cechowała mnie skłonność do poświęceń. Pracowałem ciężko, ponieważ zaś żyłem raczej samotnie i nie miałem żadnych rozrywek, a do tego byłem skrajnie poważny i skrajnie nerwowy, należałem do najlepszych uczniów w szkole. Oceny miałem mieszane, ale tylko dlatego, że nie potrafiłem zaangażować się w naukę przedmiotów, które mnie nie ekscytowały, nie zaskakiwały i nie pobudzały mojej wyobraźni – oraz dlatego że skwapliwie kwestionowałem wszelkie autorytety. Już w wieku szkolnym narobiłem sobie śmiertelnych wrogów wśród dorosłych. Należał do nich na przykład nauczyciel łaciny, okrutny, łysiejący mężczyzna w wieku dwudziestu siedmiu lat, z kłębem wystającym spod górnej wargi, nawet gdy miał zamknięte usta. Gdy spojrzeliśmy na niego pierwszego dnia szkoły, wiedzieliśmy od razu, że Bóg zesłał nas na ziemię po to, byśmy nieśli zwycięski sztandar aniołów, i to nie tylko na błękitnych niebiańskich równinach, lecz także w najbardziej nieprawdopodobnych zakątkach piekła. Z łaciny dostawałem same pały, ale nim wyzwoliłem się spod władzy łacinnika, zdążył dzięki mnie zarobić bliznę, poparzyć się, okuleć oraz stracić od ciosu mojej pięści swój ostry

wystający zęb.

Inni byli jeszcze gorsi. Nie miałem nawet dziesięciu lat, gdy nauczyciel plastyki Sanco Demirel kazał mi się ostrzyć. Odpowiedziałem mu krótkim, beznamiętnym „nie”. Nauczyciel natychmiast podbiegł do mnie, roztrzając ławki, poderwał i zatargał do sąsiadującego z klasą kantorka z książkami. Wściekłość często narasta sama z siebie, on nie stanowił wyjątku. Gdy w jego bolesnym uścisku leciałem nad podłogą, wyżej niż kiedykolwiek dotąd, naprawdę bałem się o swoje życie.

Nauczyciel zatrzasnął drzwi kantorka i porwał laskę leżącą na najwyższej półce.

– Nachyl się! – rozkazał.

Był to dla mnie rozstrzygający moment. Momentalnie uzmysłowiłem sobie, że zwycięstwo wymaga oporu i ofiar śmiertelnych, i zmrużyłem oczy, gotując się do walki. Zirytowany ponad wszelką miarę nauczyciel zaczął gonić mnie po pokoju, wymachując laską. Książki latały dokoła jak kurczaki, ale uciekałem skutecznie. Po niedługiej chwili mój prześladowca był bliski apopleksji, wiedziałem, że jeśli w końcu mnie złapie, zabije. Załomotałem do drzwi. Były zamknięte, klamka nawet nie drgnęła, nauczyciel sądził jednak, że zdołam uciec. Był wtedy po drugiej stronie pokoju. Między nami leżały już takie stosy książek, że zwątpił, czy zdoła mnie doścignąć, więc ze złością cisnął we mnie laską. Chybił, laska upadła z łoskotem, a po chwili tkwiła w mojej dłoni.

Nie zrobiło to na nim wrażenia, byłem w końcu o połowę mniejszy. Na końcu laska znacznie się zwężyła – gdy tylko to zauważyłem i zdałem sobie sprawę, że przejmując ją, dałem mu pretekst do rozerwania mnie na strzępy, wetknąłem ją w maszynkę do ostrzenia ołówków.

Kiedy zacząłem kręcić korbką, opadła mu szczeka. Gdyby ruszył od razu, dopadłby mnie, ale się zawahał. Wyciągając jasny bambusowy kijek z szarego korpusu temperówki, nie byłem już czwartoklasistą, który zaraz zostanie zbity na kwaśne jabłko – byłem Achillesem.

Laska miała trzy stopy długości, zakończona była teraz długim na sześć cali i ostrym jak brzytwa szpikulcem, a ja odznaczałem się zwinnością komara. Skakałem sprawniej niż jakikolwiek dorosły, a refleks miałem tak doskonały, że umiałem podrzucić grzbietem dłoni pięć jednocentówek i złapać je po kolei, nim upadły na ziemię. Nigdy nie zapomnę blasku i uniesienia, jakie mnie wypełniły, gdy przepłynęła we mnie moc nauczyciela. Promień słońca wpadł przez okno nad najwyższym regałem i otoczył mnie jasnym, złotym kręgiem.

Pierwszą rzeczą, jaką powiedział mój przeciwnik, gdy zaczął się cofać, było:

– Nie chciałem ci zrobić krzywdy.

Na to kłamstwo miałem tylko jedną odpowiedź:

– Sanco Demirelu, gotuj się na śmierć.

Zawsze z wielką pasją broniłem dzieci, zwłaszcza siebie samego, ponieważ od bardzo młodych lat nie mogłem liczyć niemal na nikogo. Nie miałem w sobie jeszcze wyrozumiałości, której zresztą i tak nie zdołałem nabrać z wiekiem, i naprawdę zamierzałem go zabić: tam, na miejscu, w kantorku z książkami. Wskoczyłem na sterty zwalonych z półek podręczników, pachnących sosnowych szuflad zaścielających pokój niczym wyrwane słoniowe zęby i żałośnie poprzewracanych krzesel. Jak Boga kocham, promień słońca podążył za mną, oświetlał złoty miecz, który gotów byłem zatopić w szkaradnym, zwalistym cielsku okrutnego Demirela.

Demirel cisnął we mnie podręcznikiem psychologii. Gdy książka leciała w moją stronę – nie muszę dodawać, że uchyliłem się bez trudu – spomiędzy kartek mignął mi czerwono-niebieski schemat układu krążenia. Postanowiłem, że dźgnę nauczyciela w *psaos quadratus anastimositum*. Smutek, samotność i determinacja, jakie malowały się w mych zmrużonych oczach, przekonały go, że naprawdę zamierzam go zabić. Wdrapał się na regały i usiłował uciec przez jedno z wąskich okien pod sufitem, odsłaniając przy tym swój *psaos*. Na ten widok

uczulem przyptyw furii i łaski, znamionujący prawdziwego wojownika. W chwili, gdy ruszałem naprzód, drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich pulchny dyrektor szkoły. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy.

Z wiekiem nabrałem subtelności, nauczyłem się, że w chwili decydującego ataku trzeba mieć zawsze otwartą drogę ucieczki. W ósmej klasie, tuż przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny, napastował mnie pederasta pełniący w szkole funkcję dziekana do spraw chłopięcych. Obłąpił mnie i sięgnął mi do rozporoka. Byliśmy wtedy sami na pustym korytarzu – nie do końca sami: w kącie, niczym cień, leżał szkolny pies, stary labrador o imieniu Cabot.

Na lekcjach biologii uczyliśmy się wcześniej o sile mięśni i w celach poglądowych nauczyciel wykorzystywał Cabota wgrzyzającego się w ciśnieniomierz. Ewolucja – objaśniał – uprzywilejowała te psy, które potrafiły zmiażdżyć kość i wyssać szpik. Funkcję ciśnieniomierza pełnił przecięty na pół trzonek rakiety tenisowej Lewis Teschner z włożoną w środek sztywną sprężyną. By całość trzymała się razem, biolog owinał ją taśmą, której używaliśmy na lekcjach boksu do owijania nadgarstków. Cabot był spokojnym, łagodnym psem, nigdy w życiu nikogo nie ugryzł, jednak od paru lat nagradzano go całusami, głaskaniem i przysmakami za to, że zatapiał zęby w ciśnieniomierzu. Ponieważ celem demonstracji było zwiększenie siły nacisku, wyszkolono go, by zagryzał szczęki, wyęczał się i za nic w świecie nie puszczał.

Myślałem, że już po mnie. Dziekan miał sześć stóp i pięć cali wzrostu, ważył dwieście pięćdziesiąt funtów, był urodzonym pięściarzem, trenerem boksu. Gdy szarpał mnie i okładał kułakami w nieopisanych kombinacjach, zamroczony wściekłością zdołałem spostrzec, że nadgarstki ma owinięte taśmą – widocznie przed chwilą skończył lekcję lub zaraz miał ją zacząć.

W następnej sekundzie wszystko połączyło mi się w głowie.

– Cabot, dobry piesek! – wrzasnąłem.

To jeszcze bardziej podnieciło dziekana, ale sprawiło też, że Cabot zerwał się na siwiejące łapy i zamerdał ogonem. Spojrzałem na roześmianą psią mordę i z najwyższym trudem zdołałem zawołać:

– Testuj, Cabot, testuj!

Cabot czujnie uniósł głowę, tak jak psy mają w zwyczaju, i rozejrzał się w poszukiwaniu ciśnieniomierza. W końcu zauważył go – jak mu się zdawało – i podszedł bliżej, jak uczono go na lekcjach. Zamachał ogonem.

– Gryź, Cabot, gryź! – rozkazałem.

I ugryzł.

Dziekan momentalnie odskoczył od obiektu swoich czułości i zaczął się tarzać po podłodze.

– Gryź, gryź, gryź! – wołałem, dokładnie tak jak robiliśmy to w klasie. – Gryź, gryź i nie puszczaj!

Kochany pies zmiażdżył kość, dostał się do szpiku i nawet nie spotkała go za to żadna kara – ku mojej niewyobrażalnej radości i ku zdumieniu całej szkoły dziekan opowiadał potem, że napadł go jakiś tajemniczy buldog, który leżał przyczajony przy pisuarach.

W drodze z Tombs do Chateau Parfilage towarzyszył mi nowojorski policjant z wydziału zabójstw, irlandzki imigrant Grays Spinney. Sędzia wiedział, że kaftan bezpieczeństwa źle się sprawdza w połączeniu z pewnymi cechami charakteru, mając więc w pamięci ósmą poprawkę do konstytucji, zakazującą stosowania kar okrutnych lub wymyślnych, pozostawił sobie i mnie wyjście awaryjne. Gdy tylko odpłynęliśmy trzy mile od brzegu, Spinney rozwiązał mnie i uwolnił z kaftana. Założył mi go potem, gdy jechaliśmy przez Paryż, Genewę i inne miejsca znaczące szlak mego wiecznego upokorzenia.

Nad Hudsonem i w dolinie Shenandoah panowała już wiosna. Słońce świeciło pod idealnym kątem, nie narzucając się ze swym blaskiem, młodziutka trawa była krótka i jednolicie zielona, noce wypełniał ciepły wiatr i euforia kwitnienia. Piękne wiosenne widoki, przyozdobione pasmami czerwonych i żółtych kwiatów, z daleka przypominały pociągnięcia malarzskiego pędzla na pejzażu lasów i pól.

Na północnym Atlantyku fale miały jednak kolor stalowoszary, a niebo stanowiło mieszaninę morskiej piany i mgły. Małe góry lodowe wielkości niedźwiedzi polarnych pływały naokoło jak bryłki ptasiego mleczka. Spinney, który całe życie spędził w czeluściach dzielnic nędzy w Tenderloin, ścigając uzbrojonych zbirów w melonikach, co rusz podbiegał do bulajów i krzyczał na przykład:

– Łojezus Maryja! Goluteńka Eskimoska! I jebaniutki kangur!

Spinney był detektywem wysokiej rangi, ale mocno niepiśmiennym, nie umiał czytać „Police Gazette” bez cudzej pomocy, wkrótce więc, po setkach pytań w rodzaju: „czy »godziwa« łożnacza to samo co » prostytutka«?”, zostałem jego prywatnym sekretarzem. Wspólnie potwierdziliśmy geniusz Isaaca Newtona: detektyw skrupulatnie wypłacał mi się za każdy wysiłek, snując opowieści o swojej służbie w policji, rozpoczętej „w tysiąc łożmset siedemdziesiątym siódmym” roku.

Spinney zbliżał się do emerytury i lubił się żalić.

– Mordowanie jest wogle nciekawe – powiedział kiedyś. – Efekt jest zawsze tyn som: trup! Jakbym był takim gładkim czternastoletnim chopokiem jak ty, najciksze byłyby dla mnie bańki.

– Bańki?

– Ano bańki. Zabijanie jest nimoralne, ale w rabowaniu bańków nie widzę nic nimoralnego, choć może jako oficer państwowy powinienem. Wisz, mieliśmy kiedyś takiygo jednygo koleżkę, co się przedstawiał jako Robin Banks: że niby napada jak Robin Hood, tyle że na bańki. Ubiyroł się gracko i wchodził do bańku. „Dziń dobry, mówił. Chciołbym założyć końto”. „Jak się pon nazywo?”, pytali. „Robin Banks”, odpowiadał i tylko patrzył, czy już mo wyciongnąć spluwę”.

Spinney przechylił się przez krawędź górnej koi, jak gdyby chciał mi powierzyć tajemnicę wszechświata.

– Bańki – powiedział – to takie miejsce, dzie ludzie trzymajo piniondze. Nie musisz sie za nimi uganiać, szyskie masz od razu w kupie. Na twoim miejscu bym kuł na blachę frańcuski, niemiecki czy co tam jeszcze, zakombinowolbym, jakby sie dostać na Harberd czy jakomś inszo uczelnie, i pomalutku bym se otworzył drogę do jakiegoś bańku inwestycyjnygo czy czegoś w tym rodzaju. Kapujesz?

Kapowałem, ale nie dałem tego po sobie poznać.

Nie przypominam sobie, bym zaznał w życiu czegoś gorszego niż kaftan bezpieczeństwa. Lepiej już było lecieć prosto w morze, z szybą kabiny zachlapaną olejem i krwią, krztuszącymi się silnikami, w śmiertelnie świszającym wietrze. Gorsza była chyba tylko „terapia” szokowa, której poddano mnie przed wysłaniem za granicę, rzecz tak straszna, że nawet nie umiem jej opisać. Ją również ściągnął mi na głowę opity kawą łajdak mieniący siebie sędzią.

Kaftan bezpieczeństwa jest prosty, ale działa niemal idealnie: tym mocniej paraliżuje, im bardziej ktoś się szamoce. Gdy nie można się wyładować za pomocą rąk, wewnętrzny ból staje się istną torturą. Z dwóch typów kaftana gorszy jest ten, w którym rękawy zwiążuje się z przodu. Zapewne jest bardziej humanitarny i lepszy dla krążenia, ale wywołuje uczucie dławienia i bezsilności, które trudno wytrzymać.

Już łatwiej wyobrazić sobie elektrowstrząs, choćby dlatego że większość ludzi miała do

czynienia z opisem krzesła elektrycznego i nauczyła się go bać. Czy możecie sobie wyobrazić urządzenie, które przygotowując człowieka o taki sam ból i przerażenie jak krzesło, odmawia mu zarazem błogosławionego odpoczynku, jakiego można zaznać po egzekucji – tak że przeżywa się niejako raz po raz wyrok śmierci? Wydaje mi się, że „elektroterapię” wciąż jeszcze rozważa się jako metodę leczenia. Jej obrońcy argumentują obłąkańczo, że jest korzystna dla pacjentów. Powiem wam, na czym ta korzyść polega. Po serii elektrowstrząsów człowiek jest na wpół martwy (jak gdyby go brutalnie pobito lub zrzucano z niewysokiego urwiska) i dlatego zachowuje się spokojnie. Cieszy się, że żyje, że tortury minęły i że już nic go nie boli. Wszystkie inne skutki wydają się niemal nieznaczącymi drobiazgami. Ja po elektrowstrząsach byłem nawet w stanie siedzieć obok dzbanka z kawą.

Dla czternastolatka wychowanego w cieniu więzienia Sing Sing kaftan bezpieczeństwa, a jeszcze bardziej „elektroterapia” były czymś trudnym do zniesienia. Wyobraźcie sobie, że wchodzić na wieżę Eiffla, odwiedzać Luwr i spacerujecie Polami Elizejskimi w kaftanie. Mnie to spotkało. Siedzieliśmy ze Spinneyem w Café de l’Opéra, on ze swoim wąsem, zegarkiem z dewizką i niklowanym pistoletem, ja w swoich białych okowach. Spinney był na tyle litościwy, że pozwolił mi usiąść jak najdalej od ekspresu do kawy, więc przy korzystnym wietrze nawet zbytnio nie cierpiałem. Przeciągłymi spojrzeniami, puszczeniem oka i chwackim wyrazem twarzy starałem się zwrócić uwagę kobiet. One jednak odwracały wzrok, uznałem więc, że może mam niezdrową cerę lub wyglądam zbyt chłopięco. Ani razu nie przyszło mi do głowy, że większość kobiet może nie palić się do kontaktu z chłopakiem, który siedzi w kaftanie bezpieczeństwa przy stoliku Café de l’Opéra i puszcza do nich oko lub unosi brwi.

Wielu żołnierzy chodziło jeszcze w mundurach, ale nie dręczył ich już strach przed nagłą śmiercią, byli wypoczęci, opaleni, niektórzy niewiele starsi ode mnie – sami bohaterowie, zwycięzcy. Ulice rozbrzmiewały łoskotem cudownych zielonych autobusów i tramwajów z żółtymi dachami i otwartymi platformami z tyłu. Wiele bym dał, by móc wskakiwać na te platformy w trakcie jazdy. Wiele bym dał, by móc wziąć francuską dziewczynę w ramiona i pocałować. Jeszcze nigdy dotąd nie całowałem dziewczyny.

Paryż obudzony po wojnie miał w sobie coś pięknego. Każdy zakątek kipiał życiem. Drzewa były najzieleńsze na świecie, zieleńsze niż w dolinach Shenandoah i Hudsonu; nigdy nie zapomnę tej prastarej delikatnej barwy.

Chateau Parfilage z czysto prestiżowych względów utrzymywał niewielkie biuro w Montreux. Dla Francuzów oraz przybyszów z anglojęzycznego świata miejsce nad jeziorem z czerwonymi tulipanami w starannie utrzymanych rabatkach było idealną lokalizacją dla szpitala psychiatrycznego. Niemcy woleli góry, Włosi morze, a ludzie bogaci i sławni miejsca, gdzie z błota wydostają się z bulgotem cuchnące gazy.

Wprawdzie Chateau Parfilage leżał wysoko w górach, ale Niemcy rozczarowali się stosowanymi tam metodami, żeby więc przyciągnąć Anglików i Francuzów, którym po wojnie porządnie odbijało, kierownictwo wynajęło biuro w Montreux.

– Jeszcze nigdy żem nie widział szpitala, co by był taki mały i wyglądał jak biuro – stwierdził Spinney, rozglądając się dokoła. – Przyprowadziłem wam nowego pacjenta, siostró, .ile dzie un byndzie spał?

Drobnitka siostra, nie młodsza niż ja teraz, rozpięła mi kaftan i uwolniła mnie, wyjaśniając, że to grzech zakładać komuś coś takiego, zwłaszcza dziecku.

– Siostró, a jeżeli opentól go diabeł i zara sie zabije albo rzuci na kogo?

– Wyprowadzimy go na środek wielkiej łąki – odparła – gdzie będzie sam na sam z Bogiem i mrówkami.

Dwadzieścia minut później wsiedliśmy z siostrą do małej kolejki i pojechaliśmy krętą

trasą wśród wzgórz nad jezioro. Był pogodny, błękitny dzień. Otworzyliśmy okno, wychyliłem głowę, by poczuć wiatr i woń nagrzanego słońcem roślinności. Czy może być coś wspanialszego niż pociąg pełnący z wolna po słonecznej wyżynie, pulsujący stukotem szyn, z otwartymi oknami, przez które wdiera się górskie powietrze? Zbliżając się do Chateau Parfilage, wjechaliśmy do świata olśniewającej bieli – bieli śnieżnych pól, lodu i chmur.

Gdy siostra Jacob de Meunière zauważyła, że rozkoszuję się alpejskim słońcem połyskującym na rozległych połaciach czystego lodu, rzekła:

– Jeśli byłeś kiedyś szalony, to już raczej nie będziesz, ale musisz zostać tu z nami na tyle długo, by przekonać tych, którzy nie potrafią wierzyć, widzieć czy wiedzieć, że ciężką i żmudną pracą osiągnąłeś to, czym Bóg obdarzył cię w jednym błysku.

Wysiadłszy z pociągu, pojechaliśmy dalej wozem zaprzężonym w kuca. Gdy kucyk stawał się głodny, zatrzymywał się i pasł się na trawie, siostra robiła w tym czasie na drutach. Ja wyskakiwałem wtedy z wozu, zdarzało mi się to też często w trakcie jazdy (przez większą część życia, a na pewno w dzieciństwie, uważałem, że możliwość wskakiwania do jadącego pojazdu i wyskakiwania z niego jest cenniejsza niż największe bogactwa świata). Podbiegałem na skraj stromych urwisk i podziwiałem krajobrazy. Pamiętam, że gdy tak wyskakiwałem, wskakiwałem i okrążałem jadącego powoli kucyka, moje ruchy miały w sobie coś z ruchów żrebiecia czy dziecka. Funio porusza się podobnie, często też zaczyna spontanicznie tańczyć. Swobodnie poruszające się dziecko to jeden z najpiękniejszych widoków na świecie. Gdy ojciec zabierał mnie na ryby na plażę Amagansett, wyprzedzałem go na drodze, nachylałem się nad kępki wrzosów, rozcierałem ich kwiaty w palcach, żeby poczuć zapach, a potem puszczałem się biegiem przez miękkie piaszczyste wydmy w stronę chłodnego błękitnego morza.

Zamek znajdował się tak wysoko, że po zachodniej stronie widać było Francję, a po północnej pasmo Szwarzwaldu. Stał na niewielkim wzniesieniu pośrodku wielkiej łąki otoczonej szpalerami iglastych drzew, gęstymi jak zęby grzebienia, tak chłodnymi i pachnącymi, że trudno mi to sobie teraz wyobrazić w gorącym, nasłonecznionym ogrodzie.

Sam szpital był zgrabną budowlą z surowego kamienia, z dziedzińcem, na którym rosło pięćdziesiąt tysięcy pelargonii i stała okrągła fontanna wypełniona po brzegi lodowatą wodą, świeżo utoczoną z niedalekich lodowców.

Jeszcze nigdy dotąd nie widziałem tak rozległych pól. Nigdy dotąd nie oddychałem tak czystym powietrzem. Nigdy dotąd nie widziałem tak czystego i białego śniegu: w dolinie Hudsonu śnieg też jest biały, ale tę biel plami kanadyjski błękit. Nigdy dotąd nie widziałem tylu dzikich kwiatów, zazdrośnie i dumnie strzegących swych wysokich posterunków rozszalałą paletą jaskrawych barw. Francja rozciągająca się w stronę Atlantyku była tak odległa i purpurowa, że spoglądanie w tamtym kierunku przypominało patrzenie przez pryzmat. Nigdy dotąd nie byłem też na wysokości trzech tysięcy metrów, tak blisko słońca, nieosłonięty przed jego dobroczynną chwałą.

Zsiadłem z wozu i resztę drogi pokonałem pieszo obok idącego z mozołem kucyka – chciałem poczuć własnym ciałem każdy cal drogi wiodącej w stronę zakładu psychiatrycznego, który, jak dziś mi się wydaje, mógł być jednym z niewielu azylów zdrowego rozsądku w oszalałym świecie.

Dyrektor szpitala był nie większy od bernardyna, ale roztaczał wokół siebie taką władczą aurę, jakby był olbrzymem. Od razu poczułem się przy nim bezpiecznie, ale wzbudzał też respekt: domyślałem się, że ukończył już dawno szkołę średnią – ja miałem ją jeszcze przed sobą i w końcu nigdy do niej nie poszedłem – oraz studia wyższe i uczelnię medyczną, a także ma bogatą praktykę, która na całe życie zapewnia człowiekowi miejsce w świecie. Odniosłem wrażenie, że w porównaniu z amerykańskimi psychiatrami w dobrze skrojonych garniturach

lekarze w Szwajcarii trochę bardziej przypominają mnichów i uczonych, mają niższy status społeczny, lepiej wyszkolone umysły i więcej pokory.

Zasiadłem naprzeciwko dyrektora. Nie mogłem oderwać wzroku od zaśnieżonych stoków Jungfrau, które, choć dalekie, zdołały pośłać swój wściekły blask w wąskie okno gabinetu, prosto w moje oczy.

– Amerykanin? – spytał dyrektor. Mówił, o czym jeszcze wówczas nie wiedziałem, z duńskim akcentem.

Skinąłem głową.

– Zatem na początek muszę ci powiedzieć, że niczego od ciebie nie oczekujemy.

– Niczego? – spytałem.

– Jedynie ciężkiej pracy, nauki, wstawania o piątej i pomocy w polu. Nic ponad to, czego można by wymagać od mnicha, rzymskiego galernika lub cnotliwego króla. Z doświadczenia wiem, że Amerykanie od zawsze czują potrzebę zadziwiania innych. Może dlatego, że Nowy Świat jest mniej zmęczony niż Stary.

– A co z tym całym psychologicznym majdanem? – spytałem.

– Jakim psychologicznym majdanem?

– No, wie pan: kaftanami, elektrowstrząsami, długimi wywiadami.

– Nie stosujemy takich rzeczy.

– Nie?

– Nie, skądże. Dziesięć lat takich zabiegów nie jest warte miesiąca sianokosów.

– Czyli to jest takie miejsce, gdzie przez cały czas ma się coś do roboty? Mamy takie na skraju Long Island. Nazywa się sanatorium Butterworth. I nie działa. Ludzie idą tam jako czubki, siedzą jako głupki, a umierają jako strupki.

– Słucham? – spytał dyrektor, nie rozumiejąc mojej uczniowskiej gwary. Ja sam chyba nie do końca się zrozumiałem. – To nie jest miejsce, gdzie przez cały czas ma się coś do roboty. Tutaj pracuje się tylko pięć dni w tygodniu. W soboty i niedziele, jeśli ktoś chce, można się pogrążyć w trwodze, letargu i żalu. Nie chodzi o to, by kręcić wieloma talerzami naraz, lecz żeby pozwolić im upaść.

– Czy jest tu kawa?

– Nie. Żadnej kawy, żadnej herbaty, żadnego alkoholu, żadnego tytoniu. Żadnych leków. Żadnego tłustego czy słodzonego jedzenia. Żadnych pojazdów silnikowych. Żadnej czekolady. Żadnego światła elektrycznego, żadnych patefonów, żadnych telefonów, żadnych telegramów, żadnych czasopism.

– Nie ma kawy? – Poczuję się tak, jakby ktoś oczyścił mi płuca z szufli żużlu. Moja neurastenia zaczęła się przejaśniać.

– Kawa jest dziełem diabła – odparł dyrektor. – Jestem lekarzem i wiem, co mówię. To, że ludzie biorą tę substancję do ust, jest jedną z największych tragedii naszego świata, żalną operą szaleństwa i samoudręczenia.

Byłem zdumiony, ale oczywiście także uradowany. Lekarz mówił dalej:

– Wystarczy przeanalizować jej skład chemiczny. Uczyłeś się chemii organicznej?

– Nie mam pojęcia, co to jest. Nawet nie zacząłem jeszcze szkoły średniej.

– Pomińmy kwestię twojego wykształcenia. Po podgrzaniu przez ponad minutę do temperatury dziewięćdziesięciu pięciu stopni Celsjusza lub wyższej kawa wydziela trioksytan inetyloparasorcynatu, loksifenylometatroskliwian, oksypalinian chlorku dendrabucefału, paraben indostolcanu, siarkowodorozeloeksypon, toksytol trójmoksibobulu i benzenowe estry bezwójścianu soksytycyny. Badania wykazały, że każdy ze zdejonizowanych loksifenylów jest wysoce rakotwórczy w obecności nasyconego oksytanu. Nawet minimalne oddziaływanie

siarkowodorooksyponów niemal nieodmiennie wywołuje atomatoksozę serca i zaostrzoną palagromię nerkową.

– Pan żartuje? – zapytałem.

– Może odrobinę – odparł – ale kawy nie mamy tu na pewno. Nie znoszę kawy. Doskonale rozumiem, czemu zrobiłeś to, co zrobiłeś, nie będę się starał wykorzenić z ciebie złości i odrazy. Nie musisz żyć w zgodzie ze światem. Ilekroć ludzie chcą wydrzeć prawdę z serca uczciwego człowieka, mówią: „musisz żyć w zgodzie ze światem”. Wcale nie. Możesz mieszkać w takim miejscu jak to, żyć sobie samotnie na łonie natury, możesz zejść tak wysoko, że nikt nie śmie wypić w twojej obecności filiżanki kawy, możesz się zabić, możesz spać... Jedno jest pewne: nie musisz się dostosowywać do tych wstrętnych, potwornych, uzależniających ziaren, które na całym świecie uczyniły z ludzi niewolników. Przynajmniej przez najbliższe cztery lata. To będą kluczowe lata twego życia. Zapamiętasz je jako czas wolności, odpowiedzialności, wykańczająco ciężkiej pracy, miłości i objawienia.

– Chce pan powiedzieć, że nie będę chodził do szkoły?

– Twoją edukację powierzmy Bogu, twej własnej ciekawości i ojcu Bromeuszowi.

– Kto to?

– Dogłąda krów i jest specjalistą od musztry.

– Jak to od musztry?

– Większość naszych pacjentów to ludzie dorośli. Nie stać nas, by zapewnić dorastającym pacjentom kształcenie ze wszystkich przedmiotów, których potrzebują, ale zgodnie z prawem kantonalnym co pewien czas będziesz musiał zdawać egzamin z francuskiego, niemieckiego i włoskiego, z historii, fizyki, matematyki, chemii, botaniki, niszczącego działania kawy i innych dziedzin.

– Jak chcecie to zrobić bez systemu nauczania? – przerwałem mu. – Nie znam tych języków. Jestem beznadziejny z matematyki. Jak można uczyć chemii, nie mając laboratorium?

– O nic się nie martw. Opracowaliśmy własny system nauczania. On działa. Wymyśliłem go w 1910 roku po wizycie w Stanach Zjednoczonych. Byłem tam na meczu baseballu. Gracze nazywani przez was miotaczami ćwiczyli wzdłuż bocznych linii. Jako człowiek uczony przechyliłem się przez poręcz i zapytałem: „czy zawsze ćwiczyacie piłką tej samej wielkości?”. Rzeczywiście tak było, przynajmniej tak twierdzili. „Czemu?”, spytałem. „A czemu nie?”, odpowiedzieli mi pytaniem. Powiedziałem im wtedy, że z punktu widzenia fizyki i fizjologii zrobiliby ogromne postępy, gdyby ćwiczyli piłkami najróżniejszej wielkości, od piłeczek rozmiarów kamyka po futbolówki. Dzięki trudniejszemu i cięższemu treningowi osiągnęliby mistrzostwo w posługiwaniu się piłką dostosowaną rozmiarem do ludzkiej garści, o wadze i gęstości odpowiedniej do rzucania. Nie wiem, czy zastosowali mój system, ale my tak zrobimy, jak się wkrótce przekonasz. Swoją drogą, czy grasz na jakimś instrumencie?

– Nie.

– Ona gra.

– Jaka ona? – spytałem.

– Siedzi tu z powodu wstrętu do pasikoników.

– Nie ma tu na polach pasikoników?

– Na tej wysokości już nie.

– A skąd ona pochodzi, że się ich brzydzi?

– Z Paryża. W Paryżu jest mnóstwo pasikoników.

– Nie zauważyłem.

– A długo tam byłeś?

– Dwa dni.

– *Voilà*. Zresztą wyrój zaczyna się dopiero na przełomie maja i czerwca. Panna Majewska mieszkała tam przez okrągły rok i co roku na początku lata doznawała poważnego rozstroju emocjonalnego.

– Czy panu wolno o tym mówić?

– Tutaj wszyscy to wiedzą. W sierpniu panna Majewska jeździła z rodziną na południe Francji i gdy miała czternaście lat, trafiła na rok szarańczy. Dlatego teraz jest tutaj. Plaga objęła całą Prowansję i była dla niej czymś nieopisanie przeraźliwym.

– Jest Francuzką? Co to za nazwisko: Majewska?

– Wywodzi się z polskich Żydów, ale owszem, jest Francuzką, choć jeśli się wsłuchać, można usłyszeć ślad obcego akcentu.

– Rozumiem.

– Nie, jeszcze nie rozumiesz.

Niebawem nauczyłem się pewnej kocowniczej techniki, którą stosowałem później w latach drugiej wojny światowej, najsilniej jednak kojarzy mi się ona z latami uwięzienia i wolności w Chateau Parfilage: używania koca. Marlise nawet nie bardzo wie, co to jest koc, lecz tam, gdzie powietrze było rozrzedzone, a błękitne niebo mogło w każdej chwili zasnuć się chmurami i sypanąć śnieżną zadymką, koce były niezbędne.

Jeden koc z gęstej, dziewiczej, ciasno tkanej wełny, dostatecznie długi, by dało się go złożyć na dwoje czy nawet na czworo i zarzucić sobie na ramiona, wystarczał na wszystkie pory roku. W pokojach nie mieliśmy kominków ani, rzecz jasna, nowoczesnego centralnego ogrzewania, cudownie było jednak zawinąć się w koc i zatopić w nauce lub – jak panna Majewska – w ćwiczeniach na fortepianie.

Nie widywałem panny Majewskiej, lecz niemal nieustannie słyszałem jej grę, choć niekiedy grała bardzo cicho. Sądziłem, że spotkamy się przy pierwszym posiłku, ponieważ jednak był to zakład dla obłąkanych, posiłki przyjmowaliśmy jak w klasztorze, czyli delektowaliśmy się nimi samotnie w naszych zimnych pokojach.

Moim pierwszym zadaniem wyznaczonym przez ojca Bromeusza w celach, których mi nie wyjawiał, ale które później okazały się zupełnie oczywiste, było nauczenie się na pamięć książki telefonicznej Zurychu. Do dziś pamiętam niektóre numery i nazwiska: dziś już z niczym się nie kojarzą, przepadły na zawsze, lecz w tamtych czasach serca chłopców i dziewcząt były szybciej na widok tych tajemnych kodów, dzięki którym mogli się przenieść uchem i głosem do domów swych ukochanych.

Celem ojca Bromeusza było wytrenowanie mojego umysłu do przyswajania informacji. Była to francuska połowa edukacji, jaką odebrałem w Chateau Parfilage. Do dziś pamiętam, że masa atomowa kobaltu wynosi 58,93, stacja kolejowa Neuchâtel leży 482 metry nad poziomem morza, Szekspir użył 94 razy słowa „gloria”, dyftong to po włosku *dittongo*, Johann Georg Pickel wynalazł w 1786 roku lampę gazową (nie umiem jednak powiedzieć, kto wynalazł pikle), a Roberts podbił Bloemfontein 13 marca 1900 roku, choć Bloemfontein nigdy nie zdołało podbić serca Roberta.

Ojciec Bromeusz pokazywał mi najrozmaitsze tabele, listy, teksty, fotografie, obrazy i utwory muzyczne, a ja przez wiele godzin dziennie uczyłem się ich na pamięć. Wkrótce umiałem opanować i przyswoić praktycznie każdy materiał, nie zapominałem niczego, chyba że rozmyślnie wyparłem to z pamięci. Dopiero później przyszedł czas na następny test, nie mniej szokujący niż pierwszy kontakt z zurycką książką telefoniczną. Była to analiza, którą ojciec Bromeusz z jezuicką dyscypliną podzielił na interpolację, ekstrapolację, indukcję, redukcję i dedukcję.

Gdy ślęczałem nad analizą, zostałem przeegzaminowany.

– Dowiedziałem się od ojca Bromeusza – oznajmił dyrektor – że posiadasz zasób informacji niezbędny do określenia, w jaki sposób w miejscu, w którym się znajdujemy, można wybić do nogi paryskie pasikoniki.

– Słucham? – spytałem. Jeszcze nigdy nie zmuszano mnie do myślenia o czymś takim.

Nie wolno było mi zatrudnić nikogo w Mieście Świąteł ani przetransportować tam koleją czy statkami dziesiątków tysięcy ptaków i nietoperzy, musiałem więc zaprojektować i zbudować olbrzymie działo. Do tego celu zaprząłem całą swoją dotychczasową wiedzę z fizyki, metalurgii, chemii, geometrii i geologii (musiałem używać własnych metali, sporządzić sobie własne narzędzia, postawić budynki). Niestety, aby wytepić pasikoniki, musiałbym zniszczyć całe miasto. Moja odpowiedź była czysto hipotetyczna. Skąd miałem wiedzieć, że stanie się dominującą logiką dwudziestego stulecia?

Co dzień dyrektor stawiał przede mną podobne zadania – niekiedy czysto naukowe, innym razem technologiczne, poetyckie, historyczne, polityczne lub estetyczne, czasem łączące w sobie kilka dziedzin. Wszystkie były ciekawe, niektóre bardzo pomysłowe. Nawet gdy nie udawało mi się ich wykonać, już samo wypróbowywanie rozmaitych rozwiązań, choć frustrujące, było doskonałą zabawą. Dyrektor polecał na przykład: „napisz sonet w stylu Szekspira, po francusku, z użyciem reguł włoskiej prozodii” lub porzucał mnie w lasach północnej Kanady i kazał mi (oczywiście teoretycznie) przetrwać zimę i zbudować amfiteatr ze śniegu i kości morsów.

Gdy się myliłem, poprawiał mnie, gdy się gubiłem, cola i mnie na początek. Najbardziej lubiłem proste polecenia: „rozwiąż problemy rewolucyjnej Francji” (najpierw musiałem się domyślić, jakie to mogły być problemy) lub „zaprojektuj maszynę elektryczną, na której w przyszłości będzie można bezbłędnie wykonywać muzykę”. Tę ostatnią rzecz w teorii wykonałem i wiele lat później uśmiechnąłem się, gdy w Brazylii napotkałem coś, co nazywa się syntezator. Albo „rozwiń gospodarkę Egiptu” – ułożyłem dobry plan, ale mnie nie posłuchali. Innym razem dyrektor pokazywał mi buteleczkę z jakąś mazią.

– Powiedz mi, co to jest.

Znając na pamięć rozmaite techniki analiz jakościowej i ilościowej, po kilku dniach przynosiłem mu listę składników, podanych w ilościach bezwzględnych i proporcjonalnych.

Wszystkiemu temu towarzyszyła ciężka praca w polu, wstawanie o piątej, wspinanie się na okryte lodem szczyty oraz rąbanie i noszenie drewna na opał. Potwierdzając niejako, że życie jest wielką akademią przeznaczenia, jedyne pytanie, jakie dyrektor zadał mi więcej niż raz, miało zwyczajową formę rozkazu. Stawiał mnie przed tym wyzwaniem dobre cztery czy pięć razy, a ja zawsze poświęcałem kilka dni na ułożenie misternego planu. Brzmiało ono: „obrabuj Bank of England”.

W paryskich kawiarniach, gdzie siadywałem w kaftanie i w towarzystwie Spinneya, widywałem kobiety ubrane zgodnie z aktualną modą. Miały starannie ufrizowane włosy, umalowane twarze, palce zmysłowo przystrojone pierścionkami, szyje naszyjnikami, a nadgarstki bransoletkami. Sądząc po tym, co dyrektor mówił o urodzie panny Majewskiej, i po tym, że była paryżanką, zakładałem, że również będzie uosobieniem takich uwodzicielskich sztuk. Zakładałem, że stać ją na jedwabie, perfumy i złoto potęgujące naturalne kobiece piękno – w końcu Chateau Parfilage był jednym z najdroższych szpitali psychiatrycznych w zachodniej Szwajcarii. Lecz choć słyszałem jej prześliczną grę, często także w snach, zobaczyłem ją dopiero po kilku miesiącach i do tego momentu nie miałem najblidszego pojęcia, jak wygląda. Potem już nigdy nikogo tak nie kochałem – i już nie będę.

Nie umniejsza to mego uczucia do Marlise, bo Marlise pokochałem dokładnie tak, jak kocha się w tropikach, czyli poprzez półprzytomne, szaleńcze, pełne krzyków i języków

zbliżenia, które następnie pozwoliły nam osiągnąć pewną bliskość. Nasze ciała i płyny ustrojowe wciskaliśmy w siebie, wchłanialiśmy i mieszaaliśmy w sposób tak żywiołowy, że czasem traciliśmy pewność, gdzie kończę się ja, a zaczyna ona.

Z panną Majewską nie spałem natomiast ani razu, choć całowałem ją tysiące godzin, i właśnie panna Majewska, choć po raz ostatni widziałem ją w sierpniu 1923 roku, na zawsze pozostanie mi najbliższa.

Najpierw zakochałem się w niej w chwili, gdy wspomniał o niej dyrektor. W taki sposób łatwo się zakochać, ale nietrudno też odkochać. Po raz drugi pokochałem ją wówczas, gdy usłyszałem jej transkrypcję opusu czterdziestego szóstego Brucha. Ojciec Bromeusz, jak zawsze skrupulatny, kazał mi porównać oba zapisy. Adaptując utwór na fortepian, panna Majewska sporo dodała, dużo opuściła, w wielu miejscach zmieniła tempo, utwór nie stracił jednak swego ducha i był równie piękny, a może nawet piękniejszy.

Wciąż jeszcze jej nie widziałem, ale nie miało to wielkiego znaczenia, bo sposób jej gry trafiał prosto do mego serca, zupełnie jak gdybyśmy mogli porozumiewać się jedynie za pośrednictwem tych uduchowionych posłańców, których – miejmy nadzieję – śmierć się nie ima.

Lecz niezależnie od swego wyrafinowania, subtelnego pojmowania świata i zrozumienia własnego w nim miejsca panna Majewska miała zaledwie szesnaście lat, była więc też psotna, ambitna i czarująca, jakkolwiek nie do końca rozumiałem jej dziewczęcy urok – traktowałem ją jak kobietę starszą ode mnie.

Gdy ją ujrzałem po raz pierwszy – kiedy zamykam oczy, pamiętam jeszcze tamten dzień, godzinę, ciepło alpejskiego słońca na twarzy – byliśmy na najwyższej łące, zwoziliśmy siano. Był sierpień 1919 roku.

Przedstawialiśmy malowniczy widok: pacjenci i personel, mężczyźni, kobiety, chłopcy i dziewczęta, ponad dwadzieścia narodowości, nie mniej nerwic i psychoz, niektórzy w dziwnych ludowych strojach, niektórzy ledwie zdolni do ruchu na tak wielkiej wysokości, inni uwijający się jak pająki na wietrze. Brueghel nie byłby zdziwiony paletą barw: niezemskim błękitem nieba i złotem snopków rozrzuconych dokoła niczym niema, lecz błyszcząca zbroja Achillesa, połyskujących spokojnie w blasku wirującego i kwitującego słońca. Nie zdziwiłyby go też grymasy na twarzach robotników, od wytrzeszczu oczu, przez wyraz oszołomienia, po głęboki lęk. Mimo wszystko byli to sympatyczni ludzie, całkiem nieźle ich poznałem.

Około ósmej rano dołączyła do nas druga grupa. Byłem tak zajęty pracą, że nawet jej nie zauważyłem. Podszedłem do wozu, taszcząc cztery snopki, żeby pokazać całemu światu, jaki jestem silny, ale trzy pogubiłem po drodze. Chciałem wrzucić co prędzej ten czwarty i szybko pobiec po resztę, cisnąłem go więc tak wysoko, że przez chwilę zawisł w górze, jakby wyjęty z czasu.

A potem obróciłem się, bo w powietrze wyleciał kolejny snopek: szybował krócej niż mój, ale również z gracją, na szczycie łuku także jakby zawahał się przez wyjątkowo długą chwilę.

Panna Majewska i ja staliśmy na wyciągnięcie ręki od siebie, z twarzami rumianymi od wczesnorannego słońca, rześkiego powietrza i pracy. Nigdy dotąd nie widziałem tak pięknych, bujnych, czarnych włosów ani tak intensywnie błękitnych oczu, wyraźnie powiększonych przez okulary o złotych oprawkach i matowych brzeżkach szkielec. Oddychała przez usta, co nadawało jej twarzy wyraz oczekiwania i zdziwienia.

Staliśmy jak wryci przez dłuższą chwilę, potem ona się uśmiechnęła. Był to najwspanialszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałem, z maleńkimi półksiężycami między ustami a policzkami, które spotyka się niemal u wszystkich pięknych kobiet.

Panowałem nad sobą nie bardziej niż jeleń trafiony strzałą prosto w serce – miałem tak

wielką ochotę ją objąć, że musiałem coś zrobić, by moje ramiona same nie wyciągnęły się ku niej. Odezwałem się więc, lecz sam nie wiedziałem, co mówię:

– Och! Prynna Maciewska! Panna Majańska! – Następnie (powiedziała mi o tym później) zacząłem bezdźwięcznie poruszać wargami, jak pacjent zakładu dla obłąkanych.

Pracowałem przy niej przez cały ranek, zerkając na nią tak często, że co rusz wpadałem na wóz. Zachwycało mnie to, jak niepewnie, lękliwie porusza się wśród siana, nie mogłem też nie zakochać się w niej za jej absurdalną przypadłość. Jedynym jej felerem, jednym jedynym, było to, że boi się pasikoników. Ja zawsze lubiłem pasikoniki, uwielbiałem też świerszcze, lecz potępiłem je wtedy na wieki. Powiedzcie mi, dlaczego zamknięto ją w zakładzie dla obłąkanych, skoro jedyną jej dolegliwością było to, że wpadała w histerię na widok pasikonika. (Nie mogła nawet obierać groszku – wiadomo, do czego podobny jest strączek grochu widziany z boku). Powiedzcie mi, dlaczego po latach, kiedy wylatywałem już nad Morze Śródziemne na patrole i wracałem do bazy w Tunezji, ją wraz z mężem i dwiema córkami wpędzono do bydłowego wagonu i wywieziono na rzeź do obozu śmierci gdzieś na polskich równinach, nieopodal miejsca, gdzie spędziła pierwsze lata życia.

Myślę, że po części właśnie stąd wzięła się moja miłość do niej, właśnie dlatego ciągle ją kocham, tak jak gorliwy katolik kocha świętą. Lecz nawet przed wojną, gdy jeszcze nie wyobrażaliśmy sobie, jaki czeka ją los, kochałem ją z niespotykaną u młodych chłopców powagą i melancholią.

A potem miałem siedemnaście lat. Nie znaczy to, że przeskoczyłem piętnasty i szesnasty rok życia, tylko że te lata minęły bardzo szybko, w niemal nieprzerwanym kontinuum opadów śniegu, straszliwych burz i wspaniale słonecznych alpejskich dni (czyli w zupełnie innym klimacie niż tutejszy), i że te wyczerpujące dni i noce spędziłem w towarzystwie zakonników, zakonnicy i pacjentów szpitala psychiatrycznego. Ja sam nie byłem obłąkany. Mój postępek był w pełni usprawiedliwiony i dokonany w samoobronie. Problem polegał chyba na tym, że pociągnął za sobą zatrważające skutki, dlatego prosił się o reakcję wymiaru sprawiedliwości.

Wiele słyszy się rozważań o przyczynach zbrodni, mówi się, że popełnia się je pod wpływem nieznośnego cierpienia i że każda zbrodnia jest w dużej mierze tragedią. To jednak nieprawda. Zjawisko zbrodni – wiem o tym dobrze – rodzi się głównie pod wpływem okoliczności. Zbrodnię popełnia się nie po to, by wziąć odwet na świecie, który nas okrutnie potraktował, lecz raczej po to, by doznać spełnienia, by dostać coś za nic, by doświadczyć dreszczu i ryzyka, wykroczyć poza strukturę społeczną, a także – jak mi się zdaje, przede wszystkim po to – by wpaść w nieporównaną z niczym euforię ucieczki.

Jeśli nasza zbrodnia wymaga znacznych umiejętności i drobiazgowego planu, to tym lepiej, ale, jak już chyba mówiłem, zbrodnia jest niewybaczalna, gdy wiąże się z czyjąś krzywdą. Jedyna godziwa zbrodnia to taka, która godzi w zło. Inne są godne pogardy. Na przykład obrabowanie banku w Kansas uderza w niewinnych ludzi, a w Nowym Jorku już nie.

Zawsze uważałem, że kradzież niesłychanie drogich klejnotów, o ile nie wiąże się z czyjąś cielesną krzywdą, nie jest bardziej niemoralna niż zabawa w podchody. Niech wybaczą mi rozmaici książęta, księżne i gwiazdy filmowe, których ścieżki skrzyżowały się ze ścieżkami moich zręcznych kolegów po fachu, ale noszenie spinki do krawata za milion dolarów jest taką zuchwałością, że aż się prosi o kradzież. Och tak, wiem, że wszystko ma swoją ekonomię, że bęcwał, który kupił spinkę do krawata za milion dolarów, uwolnił w ten sposób pieniądze, które następnie będą pracować dla kogoś innego, że ten ktoś potem kupi sobie na przykład farmę szparagów, sprawiając tym wielką przyjemność tysiącowi Belgów, lub zainwestuje w kopalnię, z której zostanie wydobyty metal, służący do wytworzenia wysięgnika dla masywnego srebrnego reflektora, w którego świetle chirurdzy uratują życie dziecku. Ale jeżeli złodziej zwędzi mu ten

diament, pieniądze również będą mogły pracować.

Ludzie podobni do mnie zazwyczaj robią to, co robią, dlatego że próbują walczyć z systemem społecznym od środka. Nie ma co się jednak nad nimi litować, bo w ogromnej większości sami dokonali wyboru, wielu z nich popełniło też różne nikczemności i wyrządziło krzywdę innym.

Ja z kolei wpadłem w serię zupełnie przypadkowych zdarzeń i zareagowałem na nie w sposób całkowicie usprawiedliwiony. W tamtych czasach mieliśmy coś takiego jak krzesło elektryczne i używaliśmy go. Spodziewałem się, że za kilka miesięcy ja także na nim zasiądę – najszlachetniejsze z tych urzędzeń znajdowało się w mieście, gdzie się, że tak powiem, wychowałem. Na dodatek dopuściłem się (jeszcze przed usłyszeniem wyroku) fizycznej napaści na sędziego – lecz mimo to skazano mnie tylko na pobyt w miejscu, które okazało się chyba najlepszą prywatną szkołą na świecie. Na pewno żadna uczelnia na całym globie nie miała lepszego położenia i lepszego stosunku liczby nauczycieli do liczby uczniów. Brakowało mi jedynie czegoś, czego właściwie brakowało mi zawsze – koleżeńskiej ferajny.

Pod pewnymi względami wolę towarzystwo kobiet. Przyznaję, że panna Majewska, Constance i inne kobiety albo mnie opuściły, albo nie żyją, mam jednak nadzieję, że Marlise wyłamie się z tego schematu. Może po mej śmierci ujrzy obrazy, które przepływają mi przed oczyma, gdy siedzę tu, w ogrodzie.

Jest bardzo wczesny ranek, jestem w parku w Niterói. W polu mego widzenia przeleciał z prawa w lewo czerwony ptak. To jedna z tych tropikalnych papug o długim żółto-niebieskim ogonie, które chłopcy w fawelach łapią i za równowartość pięcioletnich zarobków sprzedają przemysłom przyplływającym jachtami z Nowego Jorku. Mam nadzieję, że tej, która przede mną przeleciała, nie złapią, choć na widok jej upierzenia przypomniało mi się, co spotkało Walończyka z pociągu. Po upływie niemal siedemdziesięciu lat zaczynam tego żałować – nie żebym miał wtedy wybór, po prostu sądzę, że Walończyk mógł mieć jednak jakieś zalety, a ja wymazałem je razem z całą resztą.

Choć siedzę teraz w ogrodzie i patrzę, jak wschodzące słońce brukuje morze żółcią i złotem, zaplątany w rozmazane czerwone wstęgi ptaków przelatujące dokoła i rozogniające łagodne ranne powietrze, moja pamięć uporczywie przywołuje mi przed oczy obraz panny Majewskiej, gdy miała dziewiętnaście lat i przepysznie opatulona w czarne sobolowe futro stała o północy w osłepiającym arktycznym słońcu.

To wcale nie sen, to zdarzyło się naprawdę, choć tak dawno i daleko, że z czasem przeobraziło się w przepiękne *adagio*. Pamięć już dawno stałaby się dla mnie czystą teorią, gdyby nie nieustanna siła i obecność panny Majewskiej, która, choć nie żyje, istnieje nadal w jakiejś niewidzialnej komnacie faktów i prawdy, niejako na wieki.

Gdy miałem siedemnaście lat, w ostatnim roku mojego pobytu w Chateau Parfilage, jej już tam nie było, wyjechała na studia muzyczne na wolne od pasikoników przedmieście Berlina, miasta zbiedniałego, ale jeszcze niepograżonego w szaleństwo. Nie miałem wówczas pojęcia, że pewnego dnia nadlecę tam, sprawny i śmiertelnie przerażony, otepiały i chory, gniewny, zdeterminowany i zawstydzony, eskortując bombowce, te zaś z pewnością rozbiją w drobny mak fortepian, na którym panna Majewska ćwiczyła w latach, gdy ją kochałem i dotykałem. Cudowny był to czas, gdy żadne z nas nie wiedziało o nadciągającej zagładzie, gdy ona była jeszcze dziewczyną, gdy jeszcze żyła, a ja nie miałem złamanego serca.

W czerwcu 1922 roku podjechała do bramy szpitala (wypisała się poprzedniej jesieni), oczywiście ją wpuszczono. Z wielką gracją przywitała wszystkich, których знаła, ale to mnie szukała, i znalazła: budowałem płot na jednym z wysokich pastwisk, z których rozciągał się widok na pół świata. Podbiegłem do niej, upuszczając młotek i garść starannie wykutych

gwoździ, lecz gdy się zbliżyła, widoczna na tle tarczy śniegu przykrywającej Oberland Berneński, zabolowało mnie serce – wiedziałem, że niebawem znów przyjdzie nam się rozstać.

Trwało to jednak tylko chwilę, ponieważ panna Majewska przyjechała mnie uwolnić. Siedziałem tam wskutek wyroku prawa, dyrektor zgłosił więc moje zniknięcie szwajcarskiej policji. Gdybyśmy zostali w Szwajcarii, pewnie by mnie znaleźli, ale nie zostaliśmy, więc nie znaleźli mnie.

Dotarliśmy na stację kolejową dokładnie w chwili, gdy podjeżdżał pociąg. Było to możliwe, ponieważ wiedzieliśmy doskonale, co do sekundy, co do kroku, jak długo trwa podróż na stację, pieszo lub wozem zaprzężonym w kucyka – młodszy pensjonariusze mieli obowiązek przywozić pocztę. W tamtych czasach pociągi jeździły punktualnie, co zresztą nie znaczy, że nie jeżdżą teraz (choć właściwie nie jestem tego pewien, bo tutejsze pociągi trudno uznać za przykład – Brazylijczycy jeszcze nie połapali się, czy należy jeździć wewnątrz wagonów, czy na dachach). Nie licząc parowców rzecznych i wozów konnych, jedynym środkiem transportu były koleje. Nie było ani sieci autostrad, ani porządných samolotów, ani oczywiście oceanicznych liniowców, które mogłyby odwrócić uwagę Szwajcarów od jedynego zadania, jakiemu uparcie poświęcali uwagę: punktualnego kursowania pociągów. Właściwie były to trzy zadania w jednym: francuska część szwajcarskiego umysłu kochała pociągi same w sobie, cudowną linearność kolei, część niemiecka upierała się przy punktualności, jak gdyby każdy Niemiec był tykającą bombą zegarową wymagającą okresowego rozbrajania w dokładnie określonym momencie, część włoska zaś, przepadająca za dobrym jedzeniem w pociągach, ustępowała dwóm pozostałym, choć sądziła, że brak im piątej klepki.

Nim ktokolwiek za nami zatęsknił, byliśmy w Bernie. Nie dalej niż trzy minuty po tym, jak wyszliśmy przez arkady dworca kolejowego, znaleźliśmy się w prywatnym gabinecie dyrektora berneńskiego oddziału czołowego szwajcarskiego banku. Bez zastanowienia i zawahania, nawet bez zmrużenia oka, panna Majewska podjęła sto tysięcy franków szwajcarskich, co wówczas stanowiło fortunę.

Żeby to zrobić, musiała podać cyfrowy szyfr i odpowiedzieć na kilka pytań. Spytałem, skąd ma dostęp do takiego bogactwa i co zamierza z nim zrobić.

– Wybierzemy się na biegun północny – powiedziała.

– Och!

– Wiem, że któregoś dnia odejdę z tego świata, więc choć oszczędność jest dla mnie pokusą, wolę wydać te pieniądze teraz, w jednej chwili, na coś niezapomnianego.

Każdy członek jej rodziny miał po kilka rachunków w kilku szwajcarskich bankach, a także poumieszczane tu i ówdzie depozyty z pieniędzmi, które w razie czego mogły posłużyć do ucieczki.

– Dla Żydów – wyjaśniła – pieniądze są przede wszystkim środkiem ratowania życia. Gromadzimy je, jeśli tylko możemy i gdzie tylko możemy, nie z chciwości, lecz ze strachu.

– W takim razie jak możecie się nimi cieszyć?

– Nie cieszymy się nimi – odparła. – Ale się staramy.

Błagałem, by je zwróciła, czułem ten sam odwieczny lęk, który kazał jej ojcu porozmieszczać na całym kontynencie sekretne schowki, na wypadek gdyby jego dzieci musiały pewnego dnia kryć się jak szczury. Powiedziała, żebym się nie martwił. Jej ojciec był właścicielem linii żeglugowej i wielu budynków w Paryżu przy Polach Elizejskich oraz w ich pobliżu, wypłata takiej sumy nie była więc zagrożeniem ani dla niego, ani dla niej, ani dla ich bezpiecznej przyszłości. Wręczyła mi pięćdziesiąt tysięcy franków i ruszyliśmy na spacer po mieście, a następnie kupiliśmy bilet i w przedziale sypialnym, mocno objęci, pojechaliśmy do Hamburga.

Nasz statek nazywał się Meteor. Odpływał dopiero za dziesięć dni, wynajęliśmy więc dwa pokoje w małym hoteliku z ogrodem i udawaliśmy, że używamy obu. Właśnie wtedy odkryłem, że ludzie przemykający się w środku nocy przez hotelowe korytarze wbrew wszystkiemu udają, że zarówno oni, jak i ci, z którymi mają schadzki, są niewidzialni, przy śniadaniu zaś płoną czerwienią przywodzącą na myśl atlasowe kurtyny w duńskiej operze.

I nawet jeśli rano trzeba prowadzić grę pozorów, jest to słodka gra, bo napędzana miłością – słodsza niż filizanka herbaty, do której wsypało się w roztargnieniu szesnaście łyżeczek cukru.

Hamburg był portem dalekomorskim, niemieccy marynarze przywozili z tropików aromatyczne, żółte i cierpkie owoce, które nazywali *Zitronen* – słowo to kojarzyło mi się z rowerem elektrycznym lub chorobą komórek ziarnistych. W naszym hotelu było tak dużo *Zitronen*, że aż brakowało cukru i nawet w mgliste dni świeciło słońce.

Codziennie wypuszczaliśmy się na wielomilowe spacer. Kupowaliśmy ubrania na wyprawę na biegun. Chadzaliśmy do rewii i teatru. Panna Majewska grywała na fortepianie w hotelowym salonie, czym wywoływała zdumienie wśród gości – w tamtych czasach mistrzowską grę umiał rozpoznać nawet prosty człowiek, była to oznaka nobliwości, coś, co się zauważało i co budziło szacunek. Myślę, że mógłbym zostać tam z panną Majewską na zawsze. Któregoś dnia jednak nadpłynął Meteor, prosto z norweskich fiordów.

Choć wycieczka przewidywała postoje w Edynburgu i Islandii, gdzie teoretycznie zdarzają się pasikoniki, większość podróży miała prowadzić przez daleką Północ, a tam szansa trafienia na pasikonika jest bliska zera. Zmierzaliśmy w stronę granicy lodu stałego na Oceanie Arktycznym, w okolicach osiemdziesiątego drugiego stopnia szerokości północnej. Organizatorzy zapowiadali, że jeśli warunki pozwolą, może dotrzemy do północnego bieguna magnetycznego, ale było to kłamstwo. Kłamali też co do zorzy polarnej, ale i tak widzieliśmy ją kilkakrotnie: wschodziła co noc ze zdumiewającą dokładnością w samym środku parominutowej ciemności, gdy statek nawigował ostrożnie między Spitsbergenem a polarną czapą, po morzach zadziwiająco wolnych od lodu.

Nikt nie szukałby nas na Morzu Grenlandzkim, choćby dlatego że mało kto w ogóle o nim słyszał, a gdyby nawet, nikt by się nie domyślił, że właśnie tam udał się niedorośli uciekinier ze szpitala dla obłąkanych. Panna Majewska z kolei słyszała, że tamtejsze światło jest jak światło czyścicowe, bardziej niż można to sobie wyobrazić, że skąpany w nim świat wygląda jak beczasowa komnata, gdzie tkwi się po śmierci: szara, smutna pewność, za którą czyha niepewna jasność większa od jasności słońca, biel i srebro ryczące jak lew, tańczące niczym zorza polarna wśród krętych ścian, załomów, promieni, zasłon i łuków, we wszystkich jasnych i pastelowych odcieniach, jakie tylko zna człowiek i jakich jeszcze nie dane było mu widzieć. Chciała poczuć tę jasność, dotrzeć do niej przez szarość skrywającą ją przed wzrokiem śmiertelników, pragnęła też kilku tygodni wytchnienia od czegoś, co nazywała swoją wielką trwogą.

Meteor był stary, ale szybki, jednak między Hamburgiem a Edynburgiem znalazłem czas, by uszkodzić sobie plecy na mechanicznym koniu. Później już nigdy nie widziałem mechanicznych koni, nawet o nich nie słyszałem, całkiem możliwe, że nikt nigdy nie zechciałby ich opisać, nie dowiedzielibyście się więc o ich istnieniu – a szkoda, bo były to urządzenia kuriozalne i smutne, stanowiły zapowiedź straszliwych wypaczeń, jakie przyniósł później dwudziesty wiek.

Dziś nawet w Rio, gdzie, odkąd pamiętam, ideałem fizycznej urody była krągłość, gładkość i miękkość (okrągłe piersi i pośladki, ramiona o krzywiźnie gładkiej i niezmaconej jak lot jaskółki), gdzie cenilo się ciało nie o konsystencji skórzanego siodła czy choćby kiełbasy, lecz

raczej balonu wypełnionego do połowy ciepłą wodą – nawet w Rio stymulatorem pożądania stała się sztywność, siła, sprawność i zwartość. Oznacza to, że kobiety, nie mówiąc o mężczyznach, ćwiczą, by zachować kondycję.

Żałuję, że tak nie było w czasach mej młodości. Może gdyby Constance biegła po dziesięć kilometrów i lewitowała wysoko na drążku, nie odczułaby potrzeby porzucenia mnie. Swoją drogą potrafiłaby przebiec dziesięć kilometrów i lewitować wysoko na drążku – była atletycznie zbudowana. Może gdyby Marlise miała piersi jak delfin i silne, giętkie ramiona pływaczki, nie kłóciłibyśmy się tak często. Kto wie? Wiem tylko, że nawet w ogrodzie botanicznym można spotkać kobiety pędzące przed siebie, jak gdyby gonił je diabeł, dyszące, jak gdyby każdy oddech miał być ostatni, lecz jeśli są piękne i poruszają się z gracją, wyglądają jak boginie.

Widziałem niedawno dziewczynę biegnącą przez ogrody Niterói, na tle błękitnego nieba. Ubrana była w brzoskwińową bluzeczkę bez rękawów. Twarz miała rumianą od krążącej pod skórą krwi. I lśniła od potu. Pasma jasnych włosów, które uwolniły się z gumki, powiewały miękko w rozgrzanym powietrzu, a zielone oczy wydawały się niemożliwie rozjarzone i głębokie, z tyloma smużkami błękitu i szarości, że aż zapatrzyłem się na nią z łomoczącym sercem i pomyślałem sobie: ona się chyba urodziła w sklepie jubilerskim!

W moich czasach ćwiczenia fizyczne równały się pracy, ponieważ większość zawodów wiązała się z pracą fizyczną. Jedynie arystokraci musieli wymyślić sobie sposoby zmuszania się do wysiłku, żeby nie ulec atrofii, dlatego ówczesne zabiegi zdrowotne przeznaczone były właśnie dla nich. Przejawiało się to na przykład w tym, że wagi w salonie gimnastycznym na pokładzie Meteoru zaopatrzone w obszyte frędzlami krzesła – żeby tylko ważony nie musiał się hańbić stanem. Każde stanowisko było zarezerwowane niczym łoża w operze, a między jedną a drugą serią ćwiczeń asystenci czyścili je i polerowali. Palki indyjskie do ćwiczenia zonglerki werniksowano niczym drewniane ściany wind w luksusowym domu towarowym Brooks Brothers, ich szyjki codziennie owijano irlandzkim lnem, a gałki na końcach uchwytów obłożone były złotem.

Nic jednak nie mogło się równać z szeregiem piętnastu mechanicznych koni. Ich kadłuby wykonano z idealnie zaokrąglonych bel palisandru i zaopatrzone w londyńskie siodła, przed każdym wisiał też starannie namalowany obraz olejny przedstawiający polowanie. Konie zainstalowano na teleskopowych wysięgnikach przytwierdzonych do grubych desek podłogi, w ruch wprawiały je zaś masywne koła i drążki pomalowane na czerwono i zielono. Zapach skóry i skrzypienie puślik były tak sugestywne, że człowiek mimo woli rozglądał się dokoła, spodziewając się, że naprawdę ujrzy pokryte pianą gniasosze, potrząsające głowami i ryjące kopytami w ziemi. Koni jednak nie było – arystokraci w tweedach i wysokich butach dosiadali maszyn, wymachując niebezpiecznie szpicrutami niczym epileptycy polujący na muchy. Inni jeździli stępa, szybowali spokojnie półtora metra nad ziemią, jak gdyby niósł ich prąd tropikalnego powietrza.

Myślę, że jednym z ważnych powodów kwalifikujących pannę Majewską i mnie do szpitala psychiatrycznego była pewna nasza wspólna skłonność objawiająca się na przykład tym, że wszedłszy do owego salonu gimnastycznego, spontanicznie i ku naszemu obopólnemu przerażeniu spytaliśmy jednym głosem:

– A gdzie konie? To jakiś obłąd. Co wyście zrobili z końmi?

Momentalnie zostaliśmy obłożeni towarzyską kłutwą, ale niższa szlachta, z którą podróżowaliśmy, zaczęła podejrzewać, że należymy do wyższej warstwy niż oni. Musieliśmy być albo wysoko urodzonymi arystokratami, albo rewolucjonistami, skoro mieliśmy tupet, by narazić się piętnastu pruskim właścicielom ziemskim, w dodatku dawnym wojskowym. Jako

wariaci wiedzieliśmy dobrze, że nie można jeździć w siodle na maszynie, że jazda na przekładniach i drążkach pozbawionych życia i tchnienia jest grzechem przeciw Bogu.

Zawsze byłem człowiekiem zdecydowanym. Mogę wręcz powiedzieć, że moje życie wyglądało tak, jak wyglądało, po trosze dlatego, że w działaniu ograniczał mnie raczej Bóg niż inni ludzie. Gdy wybuchła wojna, zaciągnąłem się bez wahania. A potem jak szalencie zgłaszałem się na ochotnika do każdej akcji, na własne życzenie śmigiałem wśród nieprzewidywalnych gwiazd białego fosforu, które z trzaskiem rozbłyskiwały w powietrzu i miotały we mnie uderzeniami wysokiego ciśnienia. Lataliśmy w dolinach wypalonych w niebie przez wytryskujące z ziemi świetlne trajektorie, delikatne jak ślady fluorescencyjnych morskich stworzeń chlupoczących wśród fal. Rozdygotany z emocji przemykałem wśród nich, sądząc, że zginę, ale przeżyłem – a panna Majewska zginęła.

Działanie, może niekoniecznie służące samemu działaniu, ale na pewno pozbawione skrupułów, było rzeką, którą płynąłem w latach młodości. Lecz było coś, czego mimo wszystko nie zrobiłem, a gdybym to zrobił... Mój Boże, gdybyśmy to zrobili, może dziś żylibyśmy razem, może ona urodziłaby moje dzieci. Mój kurs został ustalony, całe moje życie zostało rozstrzygnięte – i to nie przez wojnę ani zawieruchę historii, a przez pęknięcie ciastka.

Meteor był niedużym statkiem, nie większym niż królewski jacht Britannia, rufę miał skośną i zaokrągloną według dawnej mody. Pod wieloma względami przypominał zresztą jacht, natomiast z dzisiejszymi kanciasnymi wycieczkowcami łączyło go tak mało, jak gdyby zbudowano go nie sześćdziesiąt, a sześćset lat temu. Wiele z tych tak zwanych statków widuję w Rio: wyglądają jak bezmyślne krzyżówki szafy grającej, kasyna z Las Vegas, kantyny i burdelu, projektowane i wodowane przez architektów morskich niegodnych tego miana, małpy z komputerami zamiast mózgów, zaśmiecające morza gigantycznymi automatami do gry.

Meteor był inny: śmigły, cichy, wyposażony w fortepiany i kwartet smyczkowy. Jedynym jego grzechem były mechaniczne konie. Miał na tyle płaskie dno i dużą zwrotność, że wpłynęliśmy głęboko w szkockie fiordy – tak głęboko, że można było się wychylić z pokładu i zerwać jabłko z brzegu. Razem z nim w fałdy szkockiego krajobrazu wpłynęła okazała biblioteka, w której nie brakło Tołstoja, Szekspira, Goethego oraz nowych ekscytujących autorów w rodzaju Yeatsa, Bunina i Rilkego, a nawet niemieckich gazet (wiszących na trzcinowych stojakach), wówczas niebędących jeszcze, jak dziś, wielkości znaczka pocztowego wypełnionego drukiem o gęstości diamentu.

Wysiedliśmy na brzeg w spokojnej zatoce, wsiedliśmy do olbrzymich powozów – musiały być olbrzymie, skoro w każdym mieściło się dwudziestu pięciu Niemców – i objeździliśmy jeziora, zamki i hotele w głębi lądu. Widok tamtejszych stron urzekł mnie tak bardzo, jakby były mi przeznaczone.

Panna Majewska nie mogła ani w ząb zrozumieć szkockiego akcentu. Na statku nie było właściwie ani jednej osoby, która rozumiałaby choć słowo z tego, co mówią miejscowi, ja natomiast nie tylko rozumiałem szkocką mowę, ale szybko ją opanowałem, posługiwałem się nią z taką łatwością, jakbym mieszkał tam od urodzenia. Byłem z tego dumny: nie miałem już rodziny, moim domem był język, kochałem go, był dla mnie żywy i ciepły niczym piękna młoda dziewczyna, którą miałem u swego boku.

Potężnymi powozami pojechaliśmy do ustronnie położonego hotelu, wybranego zapewne dlatego, że był piękny, luksusowy, leżał na uboczu, a jego nazwa Trossachs była równie łatwa do wymówienia dla Niemców, jak dla Szkotów. Hotel otaczały wzgórza i wąwozy i właśnie w tych wąwozach najsilniej odczuwaliśmy niedający się z niczym pomylić wczesnoczerwcowy spokój. Mówi się niekiedy, że Szkocja jest tak piękna, że aż banalna. Z mego miejsca w ogrodzie, skąpany w oparzę rannego powietrza, nie potrafię zrozumieć, co znaczy „banalność”. Tylu ludzi

wciąż wzdryga się przed tym, co zwyczajne i zużyte, że można odnieść wrażenie, jakby całym światem rządził jakiś odruch obronny ograbiający go z tego, co sprawdzone i prawdziwe. Czy trzeba odrzucać prawdę tylko dlatego, że jest pospolita? Czy trzeba gardzić pospolitością, nawet jeśli jest piękna? Nie trzeba – i ci, którzy są na tyle wolni, by zachować świeżość spojrzenia, tak nie robią. Ludzka dusza też przecież jest pospolita, istnieją miliardy dusz, na ruchliwej ulicy można ich minąć tysiąc w ciągu minuty. Mimo to we wnętrzu każdej z nich rozbrzmiewa wdzięczna, promienna pieśń, cudowniejsza niż wspaniałe katedry górujące samotnie nad wiejskim krajobrazem. Najprostsze pieśni są najlepsze. Wrastają w czas równie niewzruszenie jak światło.

Nie snułbym takich rozważań, gdybym nie siedział teraz w ogrodzie na szczycie góry w Brazylii, samotnie, w świetle dnia, który szybko staje się coraz skwarniejszy, dokładnie tak jak lubią pszczoły.

W panie Majewskiej kochałem się od samego początku, od kiedy tylko ją poznałem – a właściwie zanim ją poznałem, za sprawą sugestii i opisów – lecz w ciągu kolejnych paru lat dorosłem na tyle, by pogłębić tę miłość. Oznacza to między innymi, że w jednej chwili poświęciłbym własne życie, żeby ją ochronić – lecz nie było mi to dane. Miałem szczęście, a ona miała wielkiego pecha, i nic nie mogłem z tym zrobić.

Jedną z najbardziej rozbrajających cech panny Majewskiej było to, że choć naturalnie piękna – miała najczarniejsze i najmiejsze włosy, największe i najczystsze oczy oraz najszlachetniejszą i najdelikatniejszą twarz, jakie kiedykolwiek widziałem – nie ubierała się najlepiej. Stać ją było na każdy, nawet najdroższy strój na świecie, lecz mimo to (nie licząc wspaniałego futra z soboli, które kupiła sobie na wycieczkę) nosiła się kiepsko jak udręczona urzędniczka.

Okolice hotelu skojarzyły nam się z polami wokół Parfilage, na których trudziliśmy się w latach, gdy nasze umizgi nie wykraczały poza rzucane najwyżej raz dziennie ukradkowe spojrzenia. Od razu wiedzieliśmy też oboje, że bylibyśmy szczęśliwi, mogąc spędzić całe życie na farmie w Szkocji. Pieniądze, jakie mieliśmy przy sobie, wystarczyłyby na kupienie ziemi, porządnego domu oraz maszyn – można by wtedy na tyle wydajnie uprawiać ziemię, żeby spłacić dług ludziom, którzy umożliwili nam ten start. Choć byłem dopiero niedorostkiem i zbiegiem z zakładu dla obłąkanych, rozumiałem doskonale, że są to pożytki płynące z kapitału, tak potępianego przez pewną osobę, która ślęczała niegdyś w czytelni British Museum, i że samo zjawisko kapitału, wolnego od ograniczeń, przekształciło uprzemysłowiony świat, zmieniając chłopów w gospodarzy.

Wtedy jednak nie obchodziła mnie jeszcze ekonomia. Błagałem pannę Majewską, by za mnie wyszła. Mogliśmy zostać w Szkocji. Mogliśmy się tam zgubić, bo Szkocja to równie dobre miejsce do zgubienia się jak każde inne. Mogliśmy mieć synów i córki.

Prawie się zgodziła. Zaatakowałem ją najczulszymi, najbardziej natchnionymi i najbardziej nieprawdopodobnymi wizjami pracy na roli. Przedstawiłem jej bardzo konkretne plany. Powiedziałem, że będę jej wierny do końca życia, i dotrzymałbym słowa. Powiedziałem, że ją kocham, i mówiłem prawdę.

Ona była pełna zahamowań, jak to młoda dziewczyna. Młody chłopak to żywe srebro, i powinien taki być. Sądzę, iż panna Majewska bała się, że po jakimś czasie strzeli mi do głowy coś nowego, a ona pozostanie przykuta do szkockiej farmy, z dzieckiem lub dwoma.

W połowie czerwca popłynęliśmy z naszymi grubo ciosanymi Niemcami do Edynburga. Po drodze zaliczyliśmy obowiązkowy przystanek przy moście nad zatoką Firth of Forth, podziwialiśmy żelazną konstrukcję rozpiętą ryzykownie nad naszymi głowami, w Edynburgu zaś zatrzymaliśmy się w Royal Hotel Macgregor z widokiem na rzekę i park.

Któregoś popołudnia, promiennego, ale chłodnego, staliśmy na pobliskiej ulicy, bliscy podjęcia brzemiennej w skutki decyzji. Po wczesnej kolacji w hotelu mieliśmy wrócić na statek, więc jeśli chcieliśmy przerwać podróż, należało zrobić to właśnie tego popołudnia, w ciągu najbliższej godziny.

Staliśmy przed witryną księgarni wypełnioną w połowie nowymi książkami. Kobieta, która zmieniała wystawę, zrobiła sobie przerwę, piła właśnie herbatę. Była niemłodą Szkotką, klasycznie piękną, choć przez sposób ułożenia włosów podobną trochę do bawołu.

Gdy rozmawialiśmy, przyglądała się nam, a my przyglądaliśmy się jej. Piła herbatę z porcelanowej filiżanki ze złotym brzeżkiem, na spodeczku od kompletu leżały trzy delikatne maślane herbatniki. Zjadła dwa, bardzo powoli, jak gdyby łamała jakieś prawo lub odstępowała od reguły. Chwilę przed tym, nim panna Majewska miała mi dać swoją zgodę, a jestem pewien, że by mi ją dała, wzięła ostatnie ciastko i wyprawiła je w podróż przez potężną, niebezpieczną przestrzeń między talerzykiem a ustami.

Pozbawione euklidesowego punktu oparcia na drugim końcu bądź podpory w rodzaju mostu na Firth of Forth ciastko nie przeżyło rejsu: pękło, złamało się i upadło na podłogę.

– Ojej – powiedziała kobieta, co odczytaliśmy przez szybę z ruchu jej warg. Odstawiła herbatę, podniosła ciastko, odłożyła je na spodek i wróciła do pracy.

Z ust panny Majewskiej już miało paść słowo „tak”, lecz w tym momencie księgarka przełożyła jakiś ciężki tom ponad drewnianą przegrodą oddzielającą witrynę od wnętrza księgarni. Był to francuski album z ilustracją na okładce, z rodzaju, który dziś zwykle się określać mianem – ledwie przechodzącym mi przez gardło – *coffee table book*. Nosiła tytuł *L'Aurore*, czyli *Zorza*. Ilustracja na okładce była zniewalająca, zupełnie jak gdyby zorza polarna przeniosła się z nieba na ten mały kwadrat papieru. Gdy tylko panna Majewska na nią spojrzała, jej serce znów zaczęło się rwać na północ.

W ciągu dwóch tygodni potężny prąd zaniósł nas za północny skraj Spitsbergenu, najbliższej bieguna, jak tylko się da w Europie. Woda była boleśnie zimna i idealnie czysta, wysączona z białego lodowca, na którym nigdy nie stanęła ludzka stopa. Co wieczór staliśmy samotnie na pokładzie, czekając, aż świat pociemnieje i wstanie zorza. Niebo wyglądało jak pola pszenicy w całej swej krasie, lecz tańczyło z niebiańskim przepychem, jak gdyby śniło sen o śmierci.

Twarz panny Majewskiej okalało ciemne futro z soboli, a jej oczy wypełniał niezmiernie kolor zorzy.

PIERWSZY CZŁOWIEK, KTÓREGO ZABIŁEM

Jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, odłóżcie przeczytane kartki do mrówkoszczelnej kasety.

Minęło sześć miesięcy, od kiedy siedziałem ostatnio w ogrodzie, jak teraz otoczony świeżo wyklutymi owadami, latającymi po kursach prostych niczym elektryczne druty tramwajów, śpiewającymi i połyskującymi w słońcu. Nie znam się ani trochę na życiu owadów, ale przyszło mi do głowy, że gdy pół roku temu spadłem ze swej ławki na ziemię, na świecie nie było jeszcze nawet prapraprapradziadków i praprapraprababek żyjątek, które latają tu teraz.

A gdy już ci dziadkowie przyszli na świat, zupełnie nie przypominali krągłych, wymagających opieki niemowląt naszego gatunku, które uczą nas, czym jest miłość i po co żyjemy. Nie, owady nie wymagają ani treningu, ani opieki, ani czułości. Po prostu wchodzą w świat, podobne trochę do ekspresu do kawy, a trochę do packarda z 1928 roku, i od razu zaczynają wycinać w powietrzu koła i luki, kreślić czerwone i złote linie w świetle brzasku zalewającym ogrody Niterói. Przypuszczam, że ich rodzice nawet nie czekają, aż otworzą się jaja.

To wielki przywilej, że nie wykluwamy się w taki sposób i nie startujemy z miejsca do przerażających powietrznych wyścigów, by upolować parę niemrawych komarów, złożyć jaja i szczeznąć. Zachowując proporcje, można by uznać, że te maleńkie bzyczące bomby latają z prędkością czterech tysięcy mil na godzinę. Nie mają emocji, skrupułów, głębokich i niespełnionych pragnień... Tak sądzę. Jeśli się jednak myślę, to mają kłopot.

Mało brakowało, a umarłbym na tej ławce. Przyszedłem o zwykłej porze, nim ulice i zaułki zdażyły się wypełnić wstrętnym smrodem parzonej kawy, i najpierw jak zwykle przez pół godziny uspokajałem oddech i oglądałem wschód słońca. Potem zdjąłem skuwkę z pióra i wyjąłem rękopis z mrówkoszczelnej kasety. W tym momencie daleko w dole zaryczała syrena okrętowa.

Nie umiem ignorować takich sygnałów, zawsze wstaję, by sprawdzić, co to za wielki stwór zakrada się od strony morza, i popatrzeć, jak wiatr rozwiewa dym z komina po gładkich pokładach. Gdy tylko wstałem, ujrzałem źródło dźwięku: czerwony statek załadowany srebrnymi i czarnymi kontenerami wpływał właśnie na kotwiczowisko po drugiej stronie zatoki.

Gdy usiadłem z powrotem, ujrzałem, że pióro toczy się ku krawędzi ławki. Ławka nie jest zupełnie równa, pióro toczyło się płynnie jak jeden z owych bali, po których Egipcjanie transportowali gigantyczne bloki piaskowca.

Wyciągnąłem lewą rękę, by je złapać, ale wymknęło mi się o mikron. Wyciągnąłem się cały, ale znów mi uciekło, i tak dalej, aż w końcu jeden koniec mojego ciała znajdował się na jednym krańcu ławki, a drugi na drugim. Ławka ma jakieś pięć stóp długości, a mój tułów, od kości ogonowej po gładyszkę, około trzech. Sądzę, że właśnie wskutek tego chwilowego rozciągnięcia moje tętnice na moment straciły łączność z sercem – i serce się zatrzymało.

Na szczęście w tym momencie zadziałała grawitacja, ściągając mnie na ziemię. Upadek sprawił, że arterie powróciły na miejsce i przeżyłem. Chwilowe rozłączenie wywołało jednak tak silny wstrząs i ból, że nie mogłem wstać, leżałem obok ławki przez pół godziny, nim znalazł mnie ogrodnik i wezwał karetkę.

Ku memu zdumieniu ambulans zdołał dowieźć mnie do szpitala i nie zabić przy tym nikogo ani nie przewrócić się na dach. Potem pędziłem na noszach przez szpitalne korytarze z taką prędkością, jak gdyby groziła mi śmierć. Staralem się wyjaśnić – najpierw po portugalsku, lecz nie byłem w stanie, przeszedłem więc na prosty język mej młodości – że dzięki przypadkowi

i sile grawitacji moje serce odzyskało już połączenie z rzekami krwi, ale nikt mnie nie rozumiał. Wszyscy byli zaaferowani, tylko ja zachowałem spokój. Uwijali się nade mną jak na wojnie, a ja mogłem im się jedynie przyglądać. Powtarzałem, że nie ma powodu do pośpiechu, ale oni chyba za dużo naoglądali się amerykańskich filmów, w których lekarze na oddziałach intensywnej opieki medycznej działają z szybkością karateków.

– Słuchajcie – mówiłem – ciało jest jak gitara, gra własną muzykę. Odnajdźcie tempo tej muzyki. Włączcie muzykę. Nie jestem maszyną. Dostrójcie się do rytmu mojego serca, a nic mi nie będzie.

Te matoly przywiązały mnie jednak do stołu i dały mi zastrzyk atropiny. Potrzebny był mi odpoczynek, a nie dwadzieścia filiżanek oczyszczonej cappuccino. Omal mnie to nie zabiło. Potem zaczęli łomotać w moją klatkę piersiową niczym mały próbujące otworzyć orzech kokosowy. Złamali mostek. Z ust popłynęła mi krew.

To już koniec, myślałem. Umrę, nie zdążę nawet skończyć pamiętnika.

– Funio! – powiedziałem, gdy ugniatali mnie nieustępliwie. – Funio, Funio – łkałem, bo bardzo za nim zatęskniłem.

Lecz w momencie, gdy zdawało mi się, że turlam się już w dół przez zsypany na śmieci, rozległy się dźwięki muzyki. Dochodziły z wnętrza mojego ciała (ci idioci byli zbyt poważni, by mieć radio na oddziale) i zatrzymały mnie w tym nieustępliwym pędzie – a potem uczułem, że unoszę się, zastępyły w słońcu niczym Wenus Botticellego.

Wszystko ucichło i ujrzałem jakby wielką spiralną skorupę mieniającą się błękitem porannego nieba i złotem, oba kolory spletały się i skręcały naokoło siebie, i usłyszałem jedną nutę, prosty zew, czysty dźwięk, który dał mi siłę potrzebną do zerwania więzów.

Lekarze odskoczyli. Nic dziwnego: mam osiemdziesiąt lat, a pasy, którymi mnie skrepowali, były grube.

– Nic mi nie jest – powiedziałem. – Jedyne, czego mi trzeba, to szklanka lodowatego soku z papai.

To już zrozumieli – nie dlatego że byli lekarzami, lecz dlatego że byli Brazylijczykami. Wyłączyli zegar, który odliczał ostatnie chwile mego życia, zdjęli maski i odłożyli swoje głupie igły.

Potem przez pół roku ciągnęło się coś, co miało być odpoczynkiem. Pierwsze dwa tygodnie rekonwalescencji spędziłem w szpitalu. Zabrano mnie do sali położonej na jednym z wyższych pięter, z widokiem na zatokę. Leżałem tam z kapłanem wudu.

Cierpiał na to samo co ja: jego naczynia krwionośne zostały na chwilę odłączone od serca. Od tamtego czasu przytrafiło mi się to jeszcze kilka razy i teraz wiem, że trzeba to po prostu przeczekać jak skurcz czy ból głowy. Rozumiecie: naczynia krwionośne połączone są za pomocą bardzo elastycznego materiału i gdy się zanadto rozciągną, wskutek potężnego ciśnienia po chwili wracają do normalnej pozycji.

Lekarze oczywiście wyśmiali moją wiedzę kardiologiczną, odparłem jednak, że w moim wieku przydaje się wszystko, byle było skuteczne – cokolwiek postawi mnie na nogi, jest dobrym lekarstwem.

– Traciecie ludzi w najróżniejszym wieku – powiedziałem – nawet nastolatków silnych jak antylopy A co dopiero mówić o osiemdziesięciolatkach! Jedyne, co możecie zrobić, to odgrywać przed nami handlarzy narkotyków, klawiszy i szantażystów.

– Nie możemy przedłużyć życia wbrew naturze – odparł mój lekarz. – Nie jesteśmy bogami.

– No to mnie wypiszcie.

– Nie możemy. Umrze pan.

– Jeśli tu zostanę, też umrę, a wolę umrzeć w ogrodzie różanym w Niterói niż tu, w tym ohydny szpitalu, obok tego tam... – Pokazałem na sąsiednie łóżko.

– Co jest z nim nie tak?

– Och, nic takiego – powiedziałem. – Tyle że jest kapłanem wudu i bez przerwy ogląda telewizję. To robot, niewolnik, zombi. Spędza wiele radosnych godzin na oglądaniu oper mydlanych i wydekoltowanych kobiet kręcących kołem fortuny. Wrzeszczy, gdy ludzie wygrywają tostery i deski windsurfingowe, a odpoczywa tylko wtedy, kiedy nadawane są wiadomości: wówczas wyłącza telewizor i obżera się kurzymi sercami i jaszczurkami, które codziennie przynoszą mu kobiety z bandanami na głowach.

– Chce się pan przenieść do innej sali?

– Nie możecie mnie przenieść. Prosiłem już o to, powiedziano mi, że to niemożliwe.

– Obraża mnie pan, jak gdybym był pogrążony w transie – odezwał się kapłan, odwracając głowę od telewizora, w którym widać było mężczyznę i kobietę kłócących się przy wodospadzie. – A ja wszystko słyszę.

– Pan jest w transie. Ogląda pan to przez okrągły dzień.

– Zdarzają się dobre programy.

– Nawet gdyby tak było, a tak nie jest, nie powinien pan tego oglądać. Telewizor to uzurpator. Jak przedrzeźniacz, jak tlenek węgla, jak Klaudiusz.

– To ty – kapłan wyciągnął palec w moją stronę – jesteś nienormalny. Zaatakowałeś mnie, bo zobaczyłeś, że piję kawę – dodał ze złością.

– Nie byłby to pierwszy taki wypadek – mruknąłem pod nosem.

Gdy lekarz wyszedł, kapłan odwrócił się ode mnie – nie żeby brakło mu siły argumentów, po prostu zaczynał się nowy program w telewizji. Opadłem na poduszki osłabły, pokonany. Na szczęście miałem jeszcze siłę wspominać.

Przegrałem moją bitwę ze światem, pomyślałem. Nie mogę postawić stopy w swoim rodzinnym kraju, nie mam się do kogo odezwać w ojczystym języku, nie licząc psotnego cudownego dziecka i nadpobudliwych kadetów brazylijskiej marynarki. Już dawno zerwałem kontakty ze wszystkimi przyjaciółmi – a może to oni zerwali kontakt ze mną. Większość z nich zaczęła budzić we mnie silną antypatię po dwudziestu-trzydziestu latach znajomości, gdy odkryłem, że tak naprawdę wcale ich nie znam i że zdolni są do takich rzeczy jak porzucanie dzieci, konwersja religijna czy napastowanie mnie dlatego, że nie piję kawy.

A kawa, ten narkotyk, ta obrzydliwa, cuchnąca trucizna, uzależniająca i wyniszczająca, podbiła ludzką duszę, zepsuła niewinność, zniszczyła dzieciństwo. Jest praktycznie wszechmocna: nigdy nie udało mi się przekonać nikogo, ani jednej osoby, by przestał ją pić.

Nie piła jej panna Majewska, ale to był tylko szczęśliwy przypadek. Choć gdyby piła, może przestałaby to robić – ona jedna spośród wszystkich ludzi na świecie – ponieważ naprawdę mnie kochała.

Constance piła, z początku w sekrecie. A Marlise... Marlise, rzecz jasna, nie pije w domu, ale w ogóle pije, pije kilka razy dziennie: espresso, cappuccino, mokkę, Bóg wie, co jeszcze. Uważa, że to rzecz zupełnie normalna i niewinna, pije od czwartego roku życia. Picie kawy przychodzi jej równie łatwo jak oddychanie. To wspaniałe ciało, któremu nigdy nie umiałem się oprzeć, zawiera w sobie kawę: ten wstrętny płyn przepływa jego wewnętrznymi kanałami i w ohydny sposób je psuje, choć nikt by się tego nie domyślił. Gdy się całujemy, nie czuję smaku kawy, ale ona tam jest i robi swoje. To straszne.

Piją ją ludzie na całym świecie, piją ślepo, piją miliony filiżanek, setki milionów, miliardy. I muszą ją pić, wydaje im się, że nie mogą bez niej żyć, a przecież to nie jest pożywienie, woda ani tlen. Nikt nigdy nie zrezygnowałby z kawy dla mnie ani dla nikogo innego.

To potężniejsze niż miłość.

Kapłan wudu i wszystkie jego proszki to nic w porównaniu z espresso, cappuccino i mokką, kawa jest silniejsza niż wszystkie religie świata razem wzięte, może nawet silniejsza niż ludzka dusza. Nawet on, kapłan, spożywał kilka filiżanek dziennie. Moje łóżko musiało być wtedy haniebnie wytaczane na korytarz.

W czasie posiłków smród był nie do zniesienia. Ludzie nawet nie umieją jeść bez kawy. Nie umieją się bez niej budzić. Wielu nie umie bez niej zasnąć. Nazywają ją nawet swoją kawą. Co najmniej raz zostałem zaatakowany przez pielęgniarkę pytaniem, czy mam ochotę na moją kawę.

– Droga pani – powiedziałem – to nie działa automatycznie! Zbyt wiele sobie pani wyobraża! To, że pani i większość ludzi na świecie to fanatycy i nałogowcy, nie znaczy jeszcze, że i ja nim jestem!

Próbowałem z tym walczyć na tysiące sposobów i choć wzorowałem się na francuskim ruchu oporu, który przecież w końcu zwyciężył, nie zdołałem pozyskać ani jednego sojusznika, ani jednego przyjaciela, i jestem skazany na klęskę. Łagodny świat został zniewolony przez substancję służącą do oliwienia tych, którzy dają się zsynchronizować, skoordynować, sprzęgnąć, skolektywizować i dostosować.

Moją jedyną siłą, jedynym zwycięstwem, jest pamięć, ponieważ w pamięci się oczyszczam, w pamięci jestem sam, w pamięci stoję przed najwyższym sędzią wysoko nad chmurami i radiowym szumem niczym na osłonecznionych polanach ogrodu w Niterói, gdzie panuje idealny spokój, a świat w dole jest chłodny, wietrzny i błękitny.

Opadłem na poduszki w poczuciu porażki, wspominając moje pierwsze śmiertelne starcie, które pod wieloma względami nadało ton mojemu życiu. Było to smutne zdarzenie, spadło na mnie tak nagle i niespodziewanie, że później zawsze wspominałem je jak porażenie prądem – coś, co dobrze poznałem niedługo po tym, jak moją samoobronę uznano za grzech.

Najpierw powinienem wam chyba powiedzieć, o ile jeszcze tego nie wiecie, że każde miasto – a miastem, w którym się urodziłem i które znam najlepiej, jest Nowy Jork – ma swój niepowtarzalny głos. Nie, to nie żadna jałowa metafora wymyślona przez pomylnych akademików piszących wielostronicowe elaboraty bez odniesień do konkretnych rzeczy, kolorów czy historii, które zdarzyły się naprawdę (lub mogły się wydarzyć). Wcale nie. Miasto ma głos, śpiewa swoją pieśń, która zmienia się z biegiem dziejów i którą naprawdę można usłyszeć. W 1950 roku, gdy na Manhattanie prawie nie stosowano jeszcze klimatyzacji, otwierano okna w biurach i jeździła naziemna kolejka, szum unoszący się nad ulicami był zupełnie inny niż ten późniejszy o ćwierćwiecze, kiedy to, jak w São Paulo, budynki nie tłumiły już dźwięku i powietrze wypełniał świst milionów klimatyzatorów.

Obecność lub brak samochodów, potem także różnice w ich liczebności, wyraźne zmiany w budowie silników i układów wydechowych, klaksonów i radiów, odmienne trzaśnięcia drzwiami i tym podobne dźwięki nadają ton symfonii miasta. Do 1950 roku z ulic zniknęła też większość zwierząt, później nie słyszało się już tętentu setek tysięcy końskich kopyt po nawierzchniach z makadamu. Pamiętam też, jak dawniej brzmiał krok tłumu ubranego w buty o skórzanych podeszwach, stłumiony i powłóczysty. Potem, z nadejściem metalowych fleków w męskich butach i damskich szpilek, w mieście zaroilo się jakby od miliardów cykających świerszczy, a jeszcze później ten wielki chór umilkł, onieśmielony podeszwami z kauczuku.

Umiałbym chyba napisać książkę o tych dźwiękach: o syrenach promów, o zmieniających się młotach pneumatycznych, o silnikach autobusów i pneumatycznych autobusowych drzwiach, które z biegiem lat stały się skomplikowane jak muzyka Debussy'ego; o tym, jak zniknęły pajęczyny schodów przeciwpożarowych, tłumiące dotąd hałas, i wysokie budynki przeobraziły

się w kolosalne gwizdki, w które dał zimowy wicher; o tym, jak pojawiały się i znikwały katarynki, dudniące zestawy stereo i drzewa – kiedyś bowiem nawet na Manhattanie słychać było drzewa. Zimą skrobały w okna kościstymi gałęziami, wiosną miękkimi liśćmi ściszały inne dźwięki miasta do spokojnego *adagio*, latem wchłaniały nagłe deszczowe nawałnice niczym wysoka morska fala lub wodospad, jesienią zaś stukwały i podzwaniały, jakby przygotowując się do Bożego Narodzenia. I przez trzy pory roku mieszkaly na nich ptaki. Dziś nawet jeśli zobaczy się ptaka na Manhattanie, ponoć ledwie go słycać: człowiek patrzy na niego i zastanawia się, czy ma problem ze słuchem, czy znalazł się w niemym filmie, czy może ptak jest głuchoniemy, czy nie podejdzie za chwilę z zadrukowaną karteczką w dziobie.

Miliony miejskich dźwięków zmieniają się z biegiem lat, lecz tak powoli, że ich dawne brzmienie można usłyszeć jedynie w pamięci. W 1918 roku, gdy miałem czternaście lat, muzykę miasta wygrywały końskie kopyta, syreny promów, gwizdki parowozów, otwarte okna, wiatr wśród kratownic i drabin, skórzane podeszwy sunące po chodnikach, stukające laski, nawoływania śmieciarzy i ulicznych sprzedawców jedzenia, pyrkoczące z rzadka silniki oraz setki tysięcy drzew wiążących ulice z tkaniną lasów i pól.

Mieszkałem wówczas u wujostwa, trzydzieści trzy mile na północ od stacji Grand Central, w miasteczku Ossining. Sypiałem w powozowni, żeby nie narażać się na kontakt z fetorem parzonej dwa razy dziennie kawy. Ciotka i wuj pili kawę od wielu lat, od czasu do czasu próbowali też przygotowywać ją i pić w mojej obecności.

Mieszkałem wprawdzie w stosownym oddaleniu, ale gdy wiatr powiał kapryśnie, dostawałem ataku: skręcałem się w konwulsjach na podłodze, wymiotując i z trudem łapiąc oddech. Czasami, kiedy przechodziłem obok śmietników, również zaleciał mi z nich zapach kawowych ziaren, co doprowadziło do moich pierwszych kontaktów z karetkami pogotowia, wówczas jeszcze konnymi. Teraz omijam śmietniki szerokim łukiem.

Lato 1918 roku upłynęło pod znakiem takich nazw jak Château-Thierry, Belleau Wood, Cantigny i druga bitwa pod Marną. Choć amerykańskie zwycięstwa będące punktem zwrotnym wojny przypisywano głównodowodzącemu nazywanemu przez nas krzywogębym, wszyscy wiedzieli, że są one dalekim echem działań Theodore'a Roosevelta, który swą prezydenturą i osobowością na zawsze ukształtował amerykańskiego żołnierza. Przez cztery lata Europejczycy bawili się w okopach w swoje cholerne ćwiczenia pozycyjne, aż przyszedłszy my i od razu wszystko ruszyło z kopyta.

Niektórzy moi znajomi zdążyli się zaciągnąć, inni już nawet służyli. Ja czekałem na swoją kolej, licząc na to, że jesienią Amerykanie podejda pod Berlin, a wojna potrwa jeszcze ze trzy lata, zdążę więc się wykazać. (Sądziłem zapewne, że zajęcie stolicy wroga będzie bardzo czasochłonne).

Kiedy tylko mogłem, włóczyłem się po polach i lasach z moim karabinem Springfielda. Robiłem to od szóstego roku życia, strzelałem więc celnie i umiałem się poruszać bezszelestnie, z oczyma naokoło głowy. Moje przygotowania wojenne nie były zwyczajną dziecięcą fantazją. Miałem jakieś wyobrażenia na temat rzeczywistości i z jakichś powodów, których dziś nie potrafię już zrekonstruować, rozumiałem, że to nie zabawa. Swoją drogą miałem dopiero czternaście lat.

Gdy w 1918 roku, jak zwykle 12 czerwca, skończyła się szkoła, musiałem pójść do pracy. Praca nie była mi obca od najmłodszych lat, ale teraz, w świecie odmienionym przez wojnę, nie dołem już krów, nie zrywałem fasoli, nie rozrzuciałem gnoju i nie patroszyłem ryb, tylko dzięki koneksjom mego wuja zdobyłem posadę gońca i recepcjonisty w banku Stillman and Chase, czołowej instytucji finansowej na świecie.

Praca była koszmarna, wolałem już harować w polu. Ponieważ wymagano ode mnie, bym

stawiał się w biurze na rogu Broadway i 100th Street o ósmej rano, musiałem wstawać o piątej. Zostało mi to na całe życie, na farmie jednak nigdy tak wcześnie się nie zrywałem, więc z początku było to dla mnie dość trudne. Nim się ubrałem, przygotowałem sobie śniadanie i wyszedłem na stację, była szósta. O 6.40 wsiadałem do pociągu, przez całą drogę czytałem wiadomości z wojny, potem na Marble Hill przesiadałem się w metro linii Broadway IRT i docierałem na miejsce.

Jeśli pociąg się spóźnił, spóźniałem się i ja, a kto w Stillman and Chase nie podbił karty punktualnie o ósmej, temu potracano z wypłaty całą dniówkę. Do moich obowiązków należało parzenie kawy maklerom, nie byłem jednak w stanie tego robić, dobiłem więc targu z pewnym murzyńskim chłopcem: on parzył kawę, a ja przez godzinę czyściłem za niego buty. Od dziewiątej do dziesiątej polerowaliśmy bankowe mosiądze, drewna i marmury, potem, gdy wybrzmiał dzwon otwierający sesję, on polerował dalej, a ja zaczynałem biegać.

Codziennie robiłem cztery pełne kursy między 100th Street a Wall Street, ostatni kończył się na stacji Grand Central, gdzie łapałem pociąg do domu. Nosiłem dużą płóciennie-skórzaną torbę zamkniętą na dwufuntową kłódkę i oznaczoną zieloną skórzaną plakietką z napisem S&C-1409. W środku znajdowały się pisemne zlecenia, potwierdzenia, certyfikaty akcyjne i pieniądze.

Nigdy nie nosiliśmy w torbach niczego, co byłoby warte więcej niż tysiąc dolarów, ale za tysiąc dolarów i tak można było kupić dwa automobile, gońcy byli więc częstym celem napadów. Czasem znikali bez śladu: niektórzy zaczynali pewnie nowe, dostatniejsze życie w jakimś małym miasteczku w rodzaju Los Angeles, inni spływali twarzą w dół na falach East River. Był to niebezpieczny fach: w metrze nie można było sobie poczytać, trzeba było mieć oczy szeroko otwarte.

Tamtego lata próbowali mnie obrabować kilkanaście razy – dorośli mężczyźni, czasem w grupach. Ponieważ torbę miałem przypiętą pasem wokół bioder, musieli albo mnie porwać, albo ją rozpruć, albo odciąć ode mnie.

Gdy próbowali odciąć torbę, robili to potężnymi przecinakami i w szamotaninie nigdy nie wychodziło im to zbyt dokładnie. Do dziś mam biodra pokryte bliznami po przecinakach, choć już nieco przybladły. Wszystkie kobiety, z którymi później znajdowałem się w sytuacjach intymnych, były bardzo ciekawe, skąd mam te blizny. Marlise na ich widok powiedziała:

– Och, ty taki stary, że masz pogryzienia od dinozaura!

Rozprucie torby również nie było łatwym zadaniem. Nazywaliśmy to burmistrzem Gainorem, od nazwiska burmistrza, którego zamordowano serią mechanicznie precyzyjnych pchnięć nożem w brzuch. Z mojej niezbyt szczęśliwej perspektywy noże próbujące rozciąć moją torbę wyglądały jak ramiona wiatraka w filmach, które oglądałem w tanich kinach. Po tych nożach również zostały mi blizny.

Najgorsi byli porywacze: przykładali pistolet do głowy i grozili, że zabiją, jeśli się z nimi nie pójdzie. Kto usłuchał, narażał się na niemal pewną śmierć, dlatego stawialiśmy opór. Niektórzy dostawali kulę. „Nic nie mam, same zlecenia!”, krzychałem, gdy złapali mnie w trakcie kursu na obrzeża miasta. W drodze do centrum zmieniałem okrzyk: „same potwierdzenia!”. Czasem wołałem też: „w następnym wagonie siedzi staruch z diamentową szpilką w krawacie!”. Lub: „gliniarz nadchodzi!”. Lub: „muszę biec do łazienki, zaraz będę rzygał!” i w decydującym momencie wymykałem się prześladowcom. Zawsze robiłem to bezbłędnie.

Nie wszystko w tej pracy było tak okropne. Zapoznałem się na przykład z Maggie, kasjerką w sklepie z nutami przy Times Square. Maggie to niezbyt ciekawe imię, ale dla mnie było wtedy najpiękniejszym dźwiękiem na świecie. Miała piętnaście lat – jej starszeństwo było dla mnie przytłaczające – i traktowała mnie z lekceważeniem, które jednak przeszło w

zdumienie, gdy zacząłem jej wręczać dwudziestostronicowe listy miłosne, układane w soboty i niedziele.

W obecności Maggie ogarniał mnie paraliż, a moja twarz przybierała barwę surowego mięsa. Pewnie zastanawiała się, czemu zawsze wyglądam tak, jakbym wstrzymywał oddech. Zwykle nie mogłem wydusić słowa, czasem tylko pomrukiwałem jak małpa. A gdy raz dotknęła przypadkiem mojej ręki, dostałem tak niepowstrzymanej erekcji, że musiałem wyjść ze sklepu z rękoma przyciśniętymi do ud, i szedłem tak przez całą Wall Street. Z torbą Stillman and Chase przypiętą do grzbietu wyglądałem jak dzwonnik z Notre Dame.

Maggie miała rumianą cerę o lekko marchewkowym odcieniu – była Irlandką – oraz rudawe blond włosy, zielone oczy, szerokie ramiona i piękne dłonie. Gdybym nie był tak nieporadny, może zrozumiałaby, jak bardzo ją kocham. Byłem tylko stukniętym czternastolatkiem, ale może pokochałbym ją tak, jak nie kochał jej potem nikt w życiu.

Ktoregoś razu wuj spojrział na mnie podejrzliwie i spytał:

– Czemu co drugi dzień przynosisz do domu nowiutki egzemplarz *I'm a Yankee Doodle Dandy*? Przecież nawet nie znasz nut.

– Lubię tę piosenkę – odparłem.

– Ale chyba nie są ci potrzebne dwa egzemplarze?

– Są – brnąłem. – Właśnie że są.

– Jak to?

W tym momencie Bóg rzucił mi połówkę koła ratunkowego. Nie mam mu tego za złe, bo ilekroć w późniejszych latach naprawdę potrzebowałem pomocy, rzucał mi już całe koła i to na pęczki.

– To tak jak z pieniędzmi – powiedziałem. – Każdy banknot wygląda tak samo, prawda? A wszyscy chcą mieć ich jak najwięcej.

Wtedy Bóg rzucił drugą połówkę koła wujowi.

– Banknoty nie są identyczne – powiedział z pewnym zakłopotaniem. – Każdy jest inny: ma własny numer seryjny.

– To idiotyczne! – stwierdziłem i spieraliśmy się dalej. Często toczyłem z wujem takie zażarte boje, a przecież jedyna jego wina polegała na tym, że nie był moim ojcem.

Tamtego lata, gdy pracowałem w Stillman and Chase, stracił mnie. A później, innego lata, gdy zacząłem pracę w Stillman and Chase na wyższym stanowisku, ja straciłem jego. W banku przyjęto to bez mrugnięcia okiem. Chodziłem otepiały przez dwa tygodnie, a interes kręcił się nieprzerwanie. Nie podobało mi się to. Instytucje potrafią złamać ludzką duszę swą nieustępliwą, bezkompromisową siłą. Oczekują, że matki będą porzucały swoje dzieci, ojcowie będą zaharowywać się na śmierć, a czternastoletni chłopcy pozwolą się dźgać nożami i wpychać sobie w usta lufy tanich pistoletów z perłowymi kolbami.

Nikt nigdy się na to nie skarży, choć przecież nie pozwolilibyśmy, by jakikolwiek człowiek wymagał od nas takich rzeczy. W latach terminowania uczymy się, że nie należy żywić urazy do abstrakcji, która ograbia nas z czasu, rujnuje nam zdrowie lub żąda ofiary z życia. Mnie nauczono czegoś innego. Korporacje, instytucje, a nawet rządzące nimi zasady, postrzegam trochę tak, jak ludy prymitywne postrzegały gwiazdy. Milion punktów, z których żaden nie odpowiada za nic, łączę w jednego niedźwiedzia, jednego łucznika lub jednego Perseusza dzierżącego głowę Meduzy i traktuję je jako coś odpowiedzialnego, jak gdyby była to konkretna osoba siedząca obok w tramwaju.

Być może ludzi pracujących w instytucjach nie powinno się – ze względu na ich ludzką kruchość – traktować jak odpowiedzialne podmioty, samej instytucji jednak nigdy nie powinno się zwalniać z odpowiedzialności. Instytucja żyje mitem swej integralności i ten sam mit

uprawnia nas do tego, by złapać ją za gardło.

Wszystko to nie ma nic wspólnego z pierwszym człowiekiem, którego zabiłem, wyjaśnia tylko, czemu latem 1918 roku moje myśli obracały się wokół wojska i czemu nie rozstawałem się wówczas z bronią. Nie miałem zamiaru oddać życia rzeźmieszkom – czy raczej rzeźmiorbom – bez walki. Nosilem przy sobie automatyczny pistolet Colt kalibru 45, udoskonalony z myślą o naszych żołnierzach walczących we Francji, a zaprojektowany po to, by powstrzymać fanatyków z Samaru.

Ćwiczyłem w lesie, z odległości dwudziestu pięciu stóp umiałem trafić szklane oko wypchanej sowy. Mało tego: błyskawiczny refleks, silne ręce i młodzieńcza gibkość pozwalały mi wyciągnąć pistolet, zwolnić bezpiecznik, odciągnąć kurek, wprowadzić nabój do komory, wymierzyć i strzelić w czasie krótszym niż sekunda.

Wręczając mi pistolet, wuj wymógł na mnie obietnicę, bym korzystał z niego powściągliwie, więc postanowiłem, że sięgnę po niego dopiero wtedy, gdy śmierć zajrzy mi w oczy. Podszedłem do tego zobowiązania bardzo poważnie. Wyobrażam sobie, jak mógłbym wyglądać w takiej sytuacji: chłopiec okładany pięściami i dżgany nożami walczy jak derwisz, obrywa, krwawi, lecz nie decyduje się sięgnąć po swą potężną broń, do ostatka nie ulega śmiertelnej pokusie. Gdy zabiłem pierwszego człowieka, miałem pistolet, ale nie użyłem go. Znalaziono go przy mnie, gdy aresztowano mnie w pobliżu krytycznego miejsca, i nie uznano tego za okoliczność łagodzącą. Mój „adwokat” starał się to obrócić na moją korzyść, argumentował, że choć mnie brutalnie zaatakowano, mimo wszystko nie sięgnąłem po broń – lecz niestety, na jego wywody miał fatalny wpływ nieodstępny doradca, niejaki Jack Daniels.

Znalazłszy się poza granicami kraju i w szpitalu dla obłąkanych, nie miałem szans się odwołać. Gdy pisze się listy do władz z takich miejsc, trudno jest zachować wiarygodność. A ja znalazłem się w szpitalu dlatego, że sędzia dał mi wybór: zamknięcie w najlepszej prywatnej szkole na świecie w najpiękniejszym regionie szwajcarskich Alp albo krzesło elektryczne.

Nim dowiecie się, co mi się przytrafiło pięknego upalnego wieczoru 20 sierpnia 1918 roku, proszę was, zrozumcie, że oprócz prześladowań, jakich zaznałem ze strony kawy – każde dziecko w świecie Zachodu musi zaakceptować ten narkotyk – miałem jeszcze jeden problem z przystosowaniem: od najmłodszych lat cierpię na wrodzoną niezdolność do akceptowania swego miejsca wśród ludzi.

Ilekcio słyszałem, jak idealistyczni politycy i mówcy rozprawiają o amerykańskich ideałach, wspinając się przy tym na wyżyny retorycznego kunsztu, wierzyłem im. Nadal im wierzę. Wierzę, że wszystkie dzieci boże są równe przed Jego obliczem. Wierzę, że tymczasowa ziemską władza jest nieistotnym złudzeniem. Wierzę, że zarówno prezydenta Stanów Zjednoczonych, jak i, powiedzmy, niepiśmiennego, bezrolnego wieśniaka Bóg umiłował sobie wyłącznie według własnych, bożych kryteriów, dlatego obu należy się dokładnie taki sam szacunek. Są to rzeczy, w które wierzę, ale istnieją też rzeczy, które wiem: wiem, że na takich ideałach została oparta amerykańska demokracja, że każdy obywatel ma prawo w każdych okolicznościach domagać się przestrzegania ich i że każdy służy tylko jednemu panu.

Wyobrażacie sobie pewnie, ile miałem z tym problemów. Ponieważ moje miejsce w rozmaitych hierarchiach było złudzeniem akceptowanym przez wszystkich oprócz mnie, na każdym kroku oskarżano mnie o niesubordynację. Mimo to gdy udawało mi się na przykład kilkakrotnie spotkać osobiście z prezydentami Stanów Zjednoczonych, dogadywaliśmy się świetnie – choć nie potrafię rozmawiać z nimi za pomocą tego samego języka co wszyscy naokoło i nie umiem się płaszczyć.

Wszyscy prezydenci, premierzy i papieże, z którymi miałem okazję się zetknąć, okazywali się ludźmi bezpretensjonalnymi i cudownie egalitarnymi, ciężkie boje musiałem

natomiast toczyć z nauczycielami, konduktorami, policjantami, profesorami i przedstawicielami wielu innych profesji, uważającymi, że przez wzgląd na ich rangę powinienem na przykład uskoczyć im z drogi, gdy idą ulicą. Niektórzy ludzie sądzą, że jeśli ubierają się w określony sposób, należy im się respekt ze strony ludzi ubranych inaczej. Czy to nie obłąd?

Tego rodzaju rzeczy irytują mnie tak bardzo, że niekiedy potrafię być grubiański. Gdy na zlecenie Stillman and Chase latałem między Stanami Zjednoczonymi a różnymi krajami Europy, zauważyłem na przykład, że piloci zawsze przeprowadzają rzekomą inspekcję kabiny pasażerskiej. Pasażerowie wiedzieli, że ich życie zależy od kaprysów umysłowej i biologicznej konstrukcji lotników, wykonywali więc poddańcze gesty, kapitanowie chłonili je zaś łapczywie, królewskim krokiem przemierzając alejki między fotelami.

Ale co właściwie było przedmiotem ich inspekcji? Fotele, rozmieszczenie wagi w kabynie, szczeliny w kadłubie? Oczywiście, że nie. Nie mieli nic do sprawdzania. Oni po prostu chodzili do łazienki. Gdy zdałem sobie z tego sprawę, zdarzało mi się czasem opuścić odrobinę okulary do czytania i bez podnoszenia wzroku powiedzieć kwaśno, tak by wszyscy słyszeli:

– Panie i panowie, pan kapitan triumfalnie udaje się do toalety.

Możecie sobie wyobrazić, jak serdecznie mnie potem traktowano. Pewnego typu ludzie, kobiety i mężczyźni, złościli się na mnie, że drwię z tych, którzy mają nas w swej władzy. Wymyślali mi i grozili palcem, bali się, że kapitan za karę runie samolotem do morza. Ja naprawdę runąłem samolotem do morza, wiedziałem więc doskonale, że piloci nie biorą takiej ewentualności pod uwagę.

Zważywszy, jakie trudności sprawiało mi uznawanie rang i hierarchii, dziwię się czasem, że tak dobrze rozmawiało mi się z papieżem.

Pracowałem wtedy jako pełnoprawny wspólnik Stillman and Chase, co znaczy, że gdybym był inny, w rozmowie z papieżem uważałbym się za kogoś lepszego – pełnoprawni wspólnicy Stillman and Chase byli antypapistów jak armia Cromwella, uważali papieża za kogoś w rodzaju szamana z dżungli.

Dobrze, że wysłano tam akurat mnie – uważałem, że papież jak każdy inny człowiek jest mi po prostu równy, było więc mniej prawdopodobne, że go obrażę. Może wysłano mnie właśnie dlatego – ale chyba nie, nikt się specjalnie nie przejmował, czy obrażę papieża, czy nie. Zlecono mi tę misję raczej dlatego, że podczas wojny spędziłem dużo czasu we Włoszech i znałem język.

Stany Zjednoczone, jedyny większy uprzemysłowiony kraj, który wyszedł z wojny bez szwanku, były wówczas przedmiotem ogromnego zainteresowania Watykanu – Kościół szukał sposobów bezpiecznego inwestowania swoich funduszy. Po kilku dniach spotkań z różnymi kardynałami skarbnikami, w czasie których czułem się tak, jakbym bronił dysertacji doktorskiej o naszych strategiach inwestowania za granicą, zezwolono mi na audiencję u Ojca Świętego. Kardynałowie sądzili pewnie, że podczas spotkania będę się trząsał jak galareta i każdą jego sekundę odliczał jak największy skarb, trafił jednak chciał, że zamiast w pokoju audiencyjnym spotkaliśmy papieża na korytarzu. Rozochocony sukcesem swoich werbalnych występów podbiegłem do niego i powiedziałem:

– O, cześć! Właśnie się do ciebie wybieraliśmy.

Kardynałom się to nie spodobało, podobnie jak to, że zaraz na początku rozmowy podszedłem do otwartego okna na korytarzu i wychyliłem głowę na wieczorne słońce. Był maj, a w maju Rzym staje się wcieleniem doskonałości: światło równoważy się z mrokiem, jaskrawe słońce z oślepiającym księżycem, Tyber toczy się mocnym, chłodnym jeszcze nurtem, ptaki surfują na falach świeżej zieleni wieńczących aleje i wzgórza.

Cały ten dzień przesiedziałem we wspańskiej komnacie o ścianach pokrytych freskami, słuchając, jak ciepły wiatr czesze korony drzew. Teraz nie mogłem się oprzeć otwartemu oknu i

gdy tylko poczułem słońce na policzkach, moja twarz musiała chyba przybrać wyraz anielskiej błogości. Gdy oprzytomniałem, papież zdążył już odprawić resztę towarzystwa i stał obok mnie, również wychylał głowę na zewnątrz, trzymając swoją małą białą czapkę w ręku.

– Jak często wychodzisz na zewnątrz? – zapytałem.

– Mam ogród, wychodzę tam codziennie.

– I to wszystko? Nigdy nie pływasz w morzu, nie jeździsz na parę tygodni w góry?

– Właściwie nie, od kiedy byłem chłopcem.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Słuchaj – powiedziałem – jutro jest niedziela. Może ubierzesz się po cywilnemu i pojedziemy sobie pociągiem do Ostii?

– Nie mogę – odparł. – Jestem papieżem.

– Och, daj spokój. Nie będzie wielkich tłumów. Włosi uważają, że Morze Tyrreńskie jest jeszcze za zimne do pływania, ale i tak jest cieplejsze niż Atlantyk w Southampton w środku lata, a ja pływam tam w maju. Już w czerwcu pływam na Mount Desert Island.

– Na Wyspie Pustynnych Gór? – spytał papież. – Gdzie to jest, w czyścicu?

Zaczęliśmy rozmawiać: o miejscach, które znamy, o dzieciństwie, o naturalnej muzyce morskich fal, wiatru, o śpiewie ptaków, poruszyliśmy wiele tematów od polityki po pszczelarstwo.

Wyszedłem około dziewiątej. Zdążyliśmy w małym papieskim ogrodzie zjeść kolację podaną przez zakonnice i zagrać w bocce. Pamiętam, co jedliśmy: sałatkę z pomidorów, rukoli, sałaty i cieniutkich plasterków mozzarelli, bulion wołowy z gnocchi, kawałek ryby z rusztu i chleb, piliśmy wodę mineralną. Kolację podano na małym drewnianym stoliku, który miał pewnie pięćset lat, a nakrycie i sztucce były tak proste, jak gdybyśmy znajdowali się w pensjonacie przy dworcu, obsługującym głównie żołnierzy, przyjezdnych z Sycylii i studentów z Afryki.

Papież był zaskoczony, wręcz zdumiony i poruszony, gdy zagadnąłem go o rodziców.

– Przez te wszystkie lata – wyznał – nikt nigdy nie zapytał mnie o ojca ani matkę, a przecież myślę o nich każdego dnia. Co cię skłoniło, by zadać mi to pytanie?

– Wydało mi się – odparłem – że pewnie dużo wspominasz i że twoje wspomnienia muszą być bardzo żywe.

– Tak właśnie jest – przyznał. – Ale skąd o tym wiesz?

– Cóż, w żadnym cudzie natury Bóg nie uobecnia się silniej niż w miłości między rodzicami i dziećmi – wyjaśniłem, odkładając widelec. – To jest najpierwsza analogia, najważniejsze objawienie, oznaka Jego obecności na ziemi. A skoro nie masz własnych dzieci, na pewno poświęcasz tej świętej relacji dużo uwagi w swoich wspomnieniach, wrytych głęboko w twój umysł i pełnych wielkiej miłości.

Papież przymknął oczy i skinął głową, jak gdyby słuchając mnie, jednocześnie wspominał.

– Ja też tak robię – powiedziałem. – Kocham dzieci, ale jeszcze nie mam własnych, często więc wracam myślą w przeszłość. Używam pamięci nie po to, by sobie folgować, lecz jako świętego pouczenia.

– Tak... – Papież skinął głową. – Często odwiedzam sierocińce. Te dzieci... One...

– Łamię ci serce – wszedłem mu w słowo – ponieważ w nich także luk Przymierza został rozerwany i boże ciepło musi przepływać nad otchłanią.

Teraz pewnie dziwicie się, że w mej opowieści tak gładko przeskakuję ze świętych tematów na przyziemne, ale przecież w życiu dzieje się tak nieustannie. Jedno zawsze następuje

po drugim. Oba wymiary wydają się wręcz połączone i wzajemnie zależne, dlatego moja pamięć w sposób nieuchronny, jakby zaplanowanym kursem, prowadzi mnie od cichego ogrodu w Watykanie, gdzie jadłem sam na sam kolację z papieżem, do wielkiej hali dworca Grand Central, gdzie znalazłem się 20 sierpnia 1918 roku o 17.06.

Był wtorek. Panował taki upał, że schodząc do olbrzymiej hali, mężczyźni połuźniali krawaty, a gołębie siedzące na wysokich gzymsach machały skrzydłami, jak gdyby właśnie wyszły z ptasiej kąpieli. Z podziemnych tuneli dochodził gwizd lokomotyw, przez okna wlewało się słońce, a ja miałem czternaście lat.

Nie miałem właściwie pojęcia o świecie. Płonałem namiętnością do młodej Maggie ze sklepu z nutami, której nigdy nie pocałowałem, nie objąłem. Zastanawiam się, czy ona jeszcze żyje i zastanawia się, czy ja żyję. Może się zastanawia.

W tej brzemiennej godzinie zaprzętała mnie głównie myśl o tym, że może uda mi się przed powrotem do domu popływać wieczorem w Hudsonie: na obiad miał być zimny kurczak i sałatka, mogłem się więc spóźnić bez skrpułów. Kupiłem popołudniową gazetę, napiłem się wody z kranu i czekałem na pociąg. Powierzchnia betonowej rampy wiodącej w dół na perony miała w sobie domieszkę sproszkowanego szkła, jak to się często zdarza w Nowym Jorku, chodnik połykiwał bajkowo.

Choć dziś nie umiałbym z zamkniętymi oczyma powiedzieć, w co jestem ubrany, pięć minut po kolacji nie pamiętam, co jadłem, i stale zapominam, czy zamknąłem na klucz drzwi od domu lub skrytkę depozytową, mogę wam dokładnie opisać, co miałem na sobie tamtego dnia.

Kanotier. Latem wszyscy nosili kanotery. Wszyscy. Wszyscy prócz kobiet, rzecz jasna, ale kobiety nie dojeżdżały do pracy. W porannych pociągach można było czasem napotkać kobiety jadące do miasta, z wizytą lub po zakupy, lecz zwykle wracały wczesnym popołudniem: musiały jeszcze zdążyć pójść na targ, a potem ugotować obiad.

Wieczorem pociąg zmieniał się w męski klub. Alkohol lał się strumieniami. Na stolikach i planszach rozłożonych na kolanach grano w karty, a rozmowy zwykle ograniczały się do siedmiu głównych tematów: łowienia ryb, pieniędzy, wojny, polityki, samochodów, kobiet i stolarki. Gdyby nie to, że pędziliśmy z prędkością czterdziestu mil na godzinę i nikt nie ścinał włosów, można by odnieść wrażenie, że siedzimy w zatłoczonym zakładzie fryzjerskim.

Niebieski garnitur z whipcordu. Był to mój pierwszy garnitur. Jeszcze do niedawna chodziłem w krótkich spodenkach, gońcy Stillman and Chase musieli jednak nosić garnitury. Nie mogli wyglądać jak chłopcy. Ja na pewno wyglądałem, ale byłem wysoki na swój wiek, od biedy mogłem więc uchodzić za młodego mężczyznę. W pociągu zajmowałem zawsze miejsce przy oknie od strony rzeki i na całą godzinę zatapiałem się w oglądaniu widoków lub lekturze popołudniówki. Dzięki temu nie musiałem się do nikogo odzywać, nie zdradzał mnie łamiący się głos i mogłem udawać starszego.

W lipcu słońce świeciło zbyt mocno, a brzeg rzeki był skryty w cieniu, ale w sierpniu dało się już z powodzeniem patrzeć przez okno. Tego wieczoru szyba była opuszczona i gdy pociąg pędził na północ, do środka wpadał świeży powiew. Był to ciepły powiew, ale i tak znacznie przyjemniejszy niż gorące sprężone powietrze Manhattanu.

Mężczyzna siedzący po mojej prawej stronie wypił dwie whisky z wodą sodową, próbował czytać wiadomości z wojny, potem zapadł w głęboki sen. Obudzony przez konduktora, wysiadł w Tarrytown, pozostawiając mi cenne puste miejsce. Oparłem prawą rękę na pleconym siedzeniu, założyłem nogę na nogę i zacząłem cicho pogwizdywać. Mimo że byłem właścicielem co najmniej dwudziestu partytur *I'm a Yankee Doodle Dandy*, na widok rozległych rzecznych rozlewisk, zielononiebieskich wzgórz na drugim brzegu i czapli kołujących w popołudniowym wietrze lub skradających się wytwornie po mokradłach, gwizdałem *Trzeci koncert*

brandenburski.

Wtedy na pustym miejscu obok mnie usiadł Walończyk.

– Cicho bądź – rozkazał. – Zdejmij tę nogę i zamknij się.

Wypowiedział te polecenia napiętym głosem i z niewytłumaczalną nienawiścią. Byłem nawykły do tego, że nagle ktoś powalał mnie na ziemię lub przystawiał nóż do gardła. Wiedziałem, jak sobie radzić z czymś takim, ale nie z nieuzasadnioną nienawiścią.

O tym, że był Walończykiem, dowiedziałem się dopiero po wszystkim, po jego akcencie i ubiorze poznałem jednak od razu, że jest cudzoziemcem. Miał jakieś sześć stóp i cztery cale wzrostu. No dobra, miał dokładnie sześć stóp i cztery cale wzrostu, sekcja zwłok wykazała też, że ważył sto dziewięćdziesiąt sześć funtów. Miał dwadzieścia siedem lat, krótko ostrzyżone blond włosy o srebrzystym odcieniu i choć wyglądał blado i niezdrowo, był wytrenowanym atletą. Nieistotnym, lecz dla mnie niezapomnianym elementem jego wyglądu były okulary w cynowych oprawkach powiększające intensywnie niebieskie oczy.

Ja ważyłem sto siedemnaście funtów i byłem o pół głowy niższy. Przywykłem do tego, że mnie napastowano. Wszyscy chłopcy bywają napastowani przez starszych chłopców.

Pewnie mimo wszystko przełknąłbym dumę, zdjął nogę z nogi i przestał gwizdać, gdyby nie jedna rzecz.

Walończyk trzymał w rękach kubek parującej kawy. Latem nikt nigdy nie pił kawy w pociągach, do dziś nie mam pojęcia, skąd ją wziął. Nie mogła tego ustalić także policja i prawnicy podczas procesu. Detektywi wysnuli dość dziwny domysł, że pewnie ktoś podał mu ją z peronu w Tarrytown.

Staralem się zachowywać uprzejmie, stłumiłem nawet odruchy obrzydzenia. Lecz po pięciu minutach nie mogłem już wytrzymać, odór kawy wywołał we mnie niewypowiedzianą odrazę i wstręt. Wstałem, obróciłem się na pięcie, zwymiotowałem i rzuciłem się do ucieczki. Po drodze wylałem kawę, całą zawartość kubka. Część poplamiała mi garnitur – co sprawiło, że zwymiotowałem ponownie i wzdrygnąłem się z przerażenia, jak gdybym poczuł, że na plecach siedzi mi tarantula – większość jednak wylądowała na kolanach Walończyka.

Kawa wciąż jeszcze była bardzo gorąca, a w tamtych czasach, podobnie jak teraz, letnie garnitury szyto z lekkiego, a co jeszcze ważniejsze, porowatego materiału. Walończyk wrzasnął tak głośno, że trudno to sobie wyobrazić komuś, komu nigdy nie wylał się na kolana wrzątek, rozsunął rozporek – pewnie dla ochłody – i zaczął desperacko wachlować oburącz poparzone miejsca, wrzeszcząc nieprzerwanie:

– Aaa! Aaaaaa! Aaaaaaa!

Całe to zajście wprawiło resztę pasażerów w wesołość. Mało tego: w histerię. Kiedy Walończyk, nie przestając się wachlować i krzyczeć, wstał i popędził za mną, ktoś zaczął śpiewać i po chwili dołączył do niego cały wagon:

– Daleka droga jest do Tipperary! Daleka droga jest, że hej!

– Daleka droga jest do Tipperary, daleka droga jest, że hej! – śpiewali wszyscy, gdy pędziłem przejściem między siedzeniami, na wpół dusząc się z niepowstrzymanego śmiechu, na wpół martwiejąc ze zgrozy.

Gdy dotarłem do przedsiönka wagonu, usłyszałem, jak ktoś woła:

– Łapaj go!

Mój Boże, pomyślałem, zaraz mnie stłucze na kwaśne jabłko. Mógł mnie nawet zabić – przypadkiem lub umyślnie, niewielka różnica, przynajmniej dla mnie. Mam sięgnąć po broń? Nie, nie, nie, mówiłem sobie. Jeśli go zabiję, skończę na krześle elektrycznym!

Musiałem znaleźć konduktora. Ale konduktorzy sprawdzili już bilety, wiedziałem, że są na końcu pociągu, wciśnięci w swoje grube czarne garnitury niczym misjonarze jadący do Konga

ślęczą nad księgami, papierami i pieniędzmi, zapisują wpłaty i składają bilety.

Im dalej biegłem, tym wagony wydawały się bardziej puste. Wysforowałem się nieco, gdy Walończyk w pewnej chwili zatrzymał się, by zapiąć rozporek, choć w pobliżu nie było już nikogo. Gdy zatrzaskiwałem za sobą drzwi wagonu, słyszałem, jak otwierają się z hukiem drzwi na drugim końcu.

Walończyk był lepszym biegaczem, z większą łatwością otwierał też ciężkie drzwi. Błyskawicznie zmniejszył dystans, już prawie mnie doganiał. Przemknęliśmy przez Scarborough. Wiedziałem, że jeśli wytrwam do Ossining, będę ocalony, lecz jeśli wbrew rozkładowi pociąg zatrzyma się w Sing Sing, Walończyk mnie zabije.

Pociąg, rzecz jasna, zaczął zwalniać przed Sing Sing. Zima czy lato, na tej właśnie stacji skazańcy opuszczali towarzystwo zadowolonych współpasażerów dojeżdżających do pracy i ruszali kanionem z szarego kamienia wznoszącym się stromo po obu stronach torów.

Teoretycznie można było założyć, że jestem bezpieczny. Na peronie w Sing Sing na więźniów nie czekała eskorta, ale i tak przecież musiał im towarzyszyć jakiś przedstawiciel prawa. Wystarczyło wyskoczyć z pociągu i pobiec w ich stronę.

Pociąg miał jednak czternaście, może szesnaście lub nawet osiemnaście wagonów. Jeśli skazańcy siedzieli na samym końcu, równie dobrze mógłbym wysiąść w Ossining: nie mieli szans mnie zauważyć z takiej odległości. Moim jedynym ratunkiem byli maszyniści – lub labirynt miasteczka, w którym mogłem się bez trudu zgubić, bo znałem je tak dobrze, jak szczur zna swój tunel.

Nagle jednak odkryłem z przerażeniem, że wagon, do którego właśnie chcę wbiec, jest zamknięty. Od lokomotywy dzieliły mnie tylko trzy wagony, ale nie mogłem biec dalej. Obróciłem się i spojrzałem za siebie: Walończyk już wbiegał do wagonu, który właśnie opuściłem.

Otworzyłem z powrotem drzwi, przestąpiłem próg i zrobiłem krok w jego stronę. Zatrzymał się. Był zamroczony gniewem, ale górę wzięła ostrożność – na widok mojego śmiałego, niewytłumaczalnego posunięcia zastygł w miejscu. No, może słowo „zastygł” nie jest jeszcze w tym momencie najtrafniejsze.

Nie miałem ochoty strugać bohatera – Walończyk uzmysłowił to sobie, gdy zacząłem się rozpaczliwie dobijać do drzwi łazienki. Były stalowe i zamknięte na klucz. W mojej pierwszej śmiertelnej walce zamierzałem się ufortyfikować w toalecie. I w mojej pierwszej śmiertelnej walce zacząłem odruchowo śpiewać do siebie, piosenką tą było zaś – nie mogłem się powstrzymać – *I'm a Yankee Doodle Dandy, I'm a Yankee Doodle Boy!*

Łazienka była zamknięta naглуcho. Duch, który grasuje po całym kraju i zamyka łazienki w pociągach i parkach miejskich, widać istniał już wtedy. Wróciłem do przedsionka i próbowałem otworzyć drzwi wyjściowe, lecz ku mojej rozpaczcy zablokowały się o opuszczaną platformę zasłaniającą zewnętrzne schodki – wklinowane w nią utworzyły barierę nie do przebycia.

Gdy usiłowałem rozbroić przeszkodę, nadbiegł mój prześladowca. Oskoczyłem do tyłu. Nawet gdybym miał czas na wyjaśnienia, nie zawracałbym sobie nimi głowy: Walończyk miał mord w oczach.

– Wylałeś na mnie kawę! – krzyknąłem z gasnącą złością.

Słyszac tę niezamierzoną drwinę, Walończyk rozwarł szeroko oczy i obnażył zęby. Pomyślałem, że mógłbym wyjąć swoją czterdziestkę piątkę i zastrzelić go, ale była to zbyt straszliwa perspektywa, jeszcze straszliwsza niż to, że za chwilę mogę mieć zdefasonowaną twarz. Do tej chwili zdążyłem ocenić sytuację na nowo i miałem nadzieję, że Walończyk zamierza mnie jedynie ukarać, a nie zabić.

Skuliłem się w kącie i zakryłem twarz rękoma. Pociąg ruszył ze stacji. Walończyk chwycił mnie za kark i klapy marynarki i zaczął grzmocić moją głowę o stalową ścianę. Choć zamroczony bólem, wiedziałem już, że moje ostatnie nadzieje są płonne. Im dłużej walił moją głowę o metal, tym bardziej purpurowiał na twarzy, tym mocniej zaciskał pięści i tym soczyściej kłął po walońsku.

Próbowałem sięgnąć po broń. Równie dobrze mógłbym próbować zaśpiewać walońską kołysankę – pistolet tkwił w torbie Stillman and Chase i łomotał dostojnie o ścianę, z półsekundowym opóźnieniem w stosunku do uderzeń mej głowy. Ja tu ginę, a mój pistolet drwi sobie ze mnie, pomyślałem.

Zastanawiałem się, czy mój mózg doznaje już rozległych obrażeń, dręczyła mnie też paskudna myśl, że w końcu moja czaszka może pęknąć i mózg zostanie zmiżdżony. Czułem się winny, że nie zastrzeliłem Walończyka. Usiłowałem coś zrobić. Nie byłem w stanie.

I wtedy Bóg zesłał mi jeden ze swych małych darów, które spadają czasem na ziemię niczym mżawka. Pociąg przejechał po jakiejś nierówności, ze stukotem podobnym do trzasku bicia, jak wtedy, gdy koła przeskakują z jednego odcinka szyn na drugi. Szklanki w wagonach na pewno się zachybotwały, rozlał się dżin, ręce trzymające karty podskoczyły jak koguty.

Najpewniej jakiś młodociany chuligan z Ossining położył na szynie kawałek metalu lub bryłkę skały metamorficznej. Platforma osłaniająca schodki odskoczyła z hukiem, otwarły się drzwi, do wagonu wpadło powietrze.

Walończyk zawahał się na moment, odwrócił się, by zobaczyć, co się dzieje. W tej chwili, która długo, bardzo długo przepływała mi przed oczyma, jak gdyby moje życie zatrzymało się i oglądałbym je z daleka, uczułem, że jestem adresatem pytania wypowiedzianego pomału i wyraźnie przez jakąś cudowną niezmierną istotę.

Chcesz żyć czy umrzeć?

Mój strach zniknął. W huku i szamotaninie nie czułem już trwogi, docierało do mnie jedynie to proste pytanie. Zapłakałem – a przynajmniej czułem się tak, jakbym płakał, nie miałem czasu, by uronić choćby jedną łzę. Potem się uśmiechnąłem.

– Żyć! – zawołałem pełną piersią. Od tamtej pory nigdy nie wypowiedziałem żadnego słowa z taką siłą.

Było to słowo nie tylko piękne, lecz także elektryczne, pełne dźwięku i światła, miało historię, uśmiechało się, przypominało najpotężniejsze uderzenie najpotężniejszych organów w najpotężniejszej katedrze. Po namyśle stwierdzam, że nawet organy nie mają w sobie takiego dramatyzmu.

Gdy przyjmujemy ciosy, oczy zwięzają się nam, a gdy je wymierzamy, rozszerzają się – i tylko gwałtownie rozwartymi oczyma zdołałem przyzwać siłę, która następnie przyzwała inne siły i eksplodowała w jednym prostym ruchu. Z rykiem godnym bestii buszującej w sawannie podniosłem się razem z Walończykiem, uniosłem go w powietrze i z potężną siłą wypchnąłem na zewnątrz przez otwarte drzwi.

Ponieważ ciało będące w ruchu ma tendencję do pozostawania w ruchu, a nic nie stało na drodze jego lotu, Walończyk zeglował na zewnątrz pociągu jak astronauta odrzucony w kosmos ciśnieniem powietrza ze śluzu. Leciał plecami do przodu, z wyrazem zdumienia na twarzy. Nie do końca udało mu się zebrać myśli, a przynajmniej nie zdołały się przebić do mięśni jego twarzy. Gdyby miał czas, pomyślałby pewnie: „jak on to zrobił?” – bo dzięki mnie naprawdę leciał.

Walończyk był typem człowieka, który jest wiecznie blady, mizerny, spięty i pechowy (brzmi to trochę jak lista nazwisk w nazwie firmy prawniczej, ale nie, firmy prawnicze nazywają się jeszcze gorzej). Spotykałem takich ludzi na swej drodze przez całe życie. Mają w duszy jakąś

szałość, która oddala od nich wszystko, co słodkie i kolorowe i co każdy inny człowiek może zrywać z powietrza jak owoce. Jeśli pojedą na Hawaje, będzie padał śnieg. Jeśli zaczną zbierać siano, będzie lato. Jeśli przyjdzie im stoczyć bitwę, jej miejsce przypadnie na zbiegu czterech różnych map w atlasie.

Lecz on był wśród tych pechowców pechowcem największym. W Ossining właśnie remontowano peron. Jego część wyburzono i tuż za południowym skrajem stacji, od strony Sing Sing, leżała sterta gruzu. Może któryś ze skazańców miał szczęście i dogrzebał się w tej stercie jakiegoś magicznego kawałka stali lub świętego kamienia, sam nie wiem.

Dowiedziałem się natomiast, już po fakcie – choć prokurator posunął się do sugestii, że sam sobie to wcześniej przygotowałem – że na szczyt owej sterty ktoś cisnął fragment starego żelaznego ogrodzenia. Był to szereg ostro zakończonych prętów wpuszczonych w beton, które sterczały teraz pod idealnym z wojskowego punktu widzenia kątem czterdziestu pięciu stopni. W dawnych czasach ogrodzenia musiano naprawdę robić z ostro zakończonych prętów.

Pechowy, szary Walończyk leciał tyłem naprzód, zdumiony do ostatnich chwil, aż w końcu nadział się gładko na szereg szpikulców, idealnie prostopadłych do końcowego odcinka trajektorii jego lotu.

Od ponad trzech lat Belgów uważano za największych męczenników. Na widok tej egzekucji przeszło mnie nawet poczucie winy – aż odruchowo pomacałem się po głowie, czy aby nie sterczy z niej szpikulec germańskiego hełmu. Sędzia również był Walończykiem z pochodzenia, co raczej nie pomogło mojej sprawie. Podczas procesu zadał mi mnóstwo niezbyt subtelnych pytań, starając się chyba udowodnić, że wywodzę się z hugenotów. Przy każdym z tych pytań mój wuj musiał szturchać Jacka Danielsa i podrywać go jak marionetkę, żeby zgłosił sprzeciw. Bardzo chcieliśmy zmienić adwokata, powiedziano nam jednak, że takie działanie wskazywałoby na jeszcze większą winę, niż twierdziło oskarżenie, ponadto Jack Daniels był dziekanem rady adwokackiej w Ossining, a prawnik spoza Ossining nie miałby żadnych szans.

To, że działałem w samoobronie, było tak oczywiste, że pewnie udałoby mi się wymigać, mimo wszelkich nietypowych okoliczności i mimo pomocy Jacka Danielsa, który swą olśniewającą ostatnią mowę rozpoczął słowami: „Wysoki Sądzie, z całą pewnością był to istny flur de tors!” – i przemawiał w tym stylu przez godzinę lub dwie, podczas gdy sędziowie przysięgli nadstawiali uszu i marszczyli czoła, usiłując zrozumieć, co mówi.

Pograżył mnie mój wybuch i napaść na sędziego pod koniec rozprawy. Myślę, że powinienem był się tego domyślić, powinienem był się spodziewać prowokacji: w Ossining na koniec rozprawy zwyczajowo podawano sędziemu kawę, by mógł wytrzeźwieć przed wygłoszeniem końcowego monologu.

I tak zakończyło się moje dzieciństwo w Nowym Świecie, a zaczął wiek męski w Starym. Był to dla mnie potężny i uzdrawiający wstrząs. Zostałem wprowadzicie za młodu wyrwany z ukochanego domu rodzinnego, okryłem się wstydem na ulicach Paryża w drodze do górskiego szpitala, ale za to spłynęło na mnie wspaniałe światło cywilizacji.

W tamtej chwili światło to było mocno przyćmione dymem wojny światowej, ale dzięki temu mogłem spojrzeć prosto w tę osłabłą jasność, nie ryzykując, że mnie oślepi. Gdy zaś zaczęło odzyskiwać siłę, umacniałem się wraz z nim, toteż moja edukacja, jakkolwiek nietypowa, przypadła na najlepszy możliwy moment.

Odebrano mi dom, ale dano mi pannę Majewską, godło mego serca. Wygnano mnie z Hudsonu, ale dano mi Alpy. Oderwano mnie od ojczyznojęzyka, ale dane mi było poznać języki Europy. W młodym wieku musiałem odbyć karę, ale za to, może wskutek zamętu wydarzeń, otrzymałem najcudowniejsze dary. Wielkie miłości moich młodych lat – do rodziców, do domu, do panny Majewskiej, do samego Boga, w którego nieskalaną obecność nigdy nie

przestałem wierzyć – są ciągle żywe.

CONSTANCE

Jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, odłóżcie przeczytane kartki do mrówkoszczelnej kasety.

Może to głupie, ale ilekroć myślę o Constance, tylekroć przypomina mi się mała, czerwona plastikowa czapeczka, nie większa od mojej dłoni, kołysząca się przede mną pewnego pogodnego mroźnego wieczoru w White Mountains w stanie New Hampshire. Czapeczka jechała na czubku kędzierzawej czupryny wieńczącej masywną głowę ekonomisty, który szedł przede mną po drewnianym moście w stronę sali konferencyjnej.

Żeby nie spadła, trzymał dwoma palcami jej maleńki daszek. Czapeczka na przemian zasłaniała mi gwiazdy i dopuszczała ich światło do moich oczu, przed wejściem do sali zaś ekonomista położył ją na skraju puszystej śnieżnej zasy.

Gdy znaleźliśmy się w środku, zaczęły się rozmowy, nadęte, rubaszne, nadmiernie jowialne, typowe dla mężczyzn, którzy w duchu manewrują wokół siebie niczym okręty liniowe w bitwie pod Trafalgarem, i wszyscy zapomnieli o czapeczce. Zasiedliśmy w sali z widokiem na rozległą, zasypaną śniegiem równinę, by rozmawiać o polityce monetarnej i odbudowie Europy. Kogo obchodziła maleńka plastikowa czapeczka wyprodukowana w Japonii?

Mnie obchodziła. Patrzyłem, jak leży na skraju zasy, i myślałem sobie (a raczej czułem), że ktoś musi przygarnąć tę sierotkę, bo może jest to dla niej ważne i przyniesie jej radość. Wyszedłem więc na zewnątrz, podniosłem ją ze śniegu i włożyłem do kieszeni płaszcza. Gdy potem ją wyjąłem i położyłem na stole, przez chwilę ogarniały mnie błogość, zadowolenie i miłość – uczucia, które przejmują nas wówczas, gdy tulimy niemowlę.

Moja twarz chyba zdradzała te uczucia. Ludzie zgromadzeni w sali aż się rwali, by przedstawić swoje stanowiska i popisać się przed innymi, ja jednak byłem najmniej skłonny do konfrontacji i w najmniej bojowym nastroju. W tamtym momencie mogłem myśleć jedynie o małych dzieciach, zalała mnie więc wielka fala czułości.

Wydarzyło się to na początku 1947 roku, na konferencji o polityce monetarnej – jednej z wielu, jakie zorganizowano po zawarciu powojennego porozumienia gospodarczego w Bretton Woods. White Mountains ekonomiści traktowali tak, jak niegdyś artyści Paryż. Niezgodne było też to, że w czasie wolnym mogliśmy tam jeździć na nartach.

Nie paliłem się do udziału w tej sesji. Nie byłem ani ekonomistą, ani uczonym, nie znałem się też zbyt na teorii monetaryzmu. Moje zadanie w Stillman and Chase polegało na badaniu kondycji różnych krajów i sporządzaniu prognozy ich rozwoju, stabilności politycznej, zdolności obronnych i pokoju wewnętrznego. Na podstawie tych ocen finansowe gnomy smażyły własne rekomendacje, które następnie przekazywano mnie i innym współnikom, a ja w miarę możliwości komentowałem je podług moich pierwotnych ocen.

Jeśli na przykład chcieliśmy sfinansować gdzieś budowę linii kolejowej, mogłem nalegać, by poprowadzono ją z dala od rejonów, gdzie działają ruchy separatystyczne, które w przeszłości wysadzały linie kolejowe. Albo mogłem powiedzieć: nie pożyczajcie złamanego grosza państwu C, bo w ciągu dwóch lat wchłonie je państwo B.

Swoje rozumienie gospodarki opierałem na znajomości dziesięciu czy dwudziestu podstawowych relacji ekonomicznych oraz głębokiej intuicyjnej sympatii dla Szwajcarów. Perspektywy gospodarcze analizowanych krajów odnosiłem do modelu szwajcarskiego, ale badałem również zjawiska zdecydowanie nieekonomiczne – moje szacunki jednak zawsze okazywały się trafne, choćby dlatego że badania nad gospodarką uwikłane są przecież w refleksję nad polityką, sztuką i ludzką psychiką.

Gospodarkę Szwajcarii można zrozumieć za pomocą szesnastu słów: wolność, demokracja, dyscyplina, oszczędności, inwestycje, ryzyko, odpowiedzialność, tajność, duma, przygotowanie, perfekcjonizm, asceza, pokój, przewidywanie, determinacja i honor. Szwajcarzy mają milion doskonałych powodów do tego, by dobrze sobie radzić, pierwotny impuls stanowiło jednak to, że nie mieli absolutnie niczego i byli w swoich górach zbyt odcięci od reszty świata, by ktokolwiek mógł usłyszeć ich skargi.

Całą swoją mrówkoszczelną kasetę mógłbym zapełnić esejem o Szwajcarii. Dorastałem tam, moja sympatia dla tego kraju bierze się właśnie stąd, że spędziłem parę długich lat w szwajcarskich górach. Góry, otulone mgłą lub lśniące w słońcu, są sercem tego kraju, a być może także całego świata.

Dyrektorzy Stillman and Chase chcieli, bym liznął trochę teorii monetaryzmu i zniknął na jakiś czas z biura. Nigdy nie zdołałem przywyknąć do pracy w biurze. Moją mocną stroną były badania terenowe. Jechałem do wybranego kraju, zakładałem plecak na grzbiet i całymi tygodniami chodziłem pieszo: rozmawiałem z napotkanymi ludźmi, odwiedzałem fabryki, warsztaty i sklepy, przepytywałem redaktorów wszelkich możliwych gazet w średnich miastach, przeglądałem wszelkie możliwe statystyki, ślęczałem nad mapami, sprawdzałem, jak zaprojektowane i wykonane są miejscowe produkty. Wędrowałem wzdłuż linii kolejowych, by sprawdzić, czy są dobrze utrzymane, z jaką prędkością kursują pociągi i czy panuje w nich duży tłok. Po kilku tygodniach, zahartowany, opalony, z pełnym obrazem gospodarki kraju w głowie, składałem wizyty liderom jego rządu i miejscowego biznesu – i przysłuchiwałem się, jak pomijają milczeniem wszelkie felery, które na pewno ukryłyby się przed moim wzrokiem, gdybym nie przemierzył pięciuset mil na piechotę.

Byłem dla Stillman and Chase tym, czym T.E. Lawrence był dla angielskich generałów: nie mogli się beze mnie obejść, ale rozpaczliwie o tym marzyli. Zarobiłem lub zaoszczędziłem dla nich olbrzymie sumy – według dzisiejszych kursów dosłownie miliardy dolarów.

Dlatego tolerowali moje dziwactwa. W większości banków inwestycyjnych mimo wszystko nie przetrwałbym nawet pięciu minut, pracę w Stillman and Chase zacząłem jednak w 1917 roku, miałem więc taki staż, że moje osobliwości starano się traktować jako część firmowej tradycji.

Zacznijmy od tego, że wstawałem o piątej – wspominałem już, że nauczyłem się tego, gdy zdobywałem w banku pierwsze szlify. Przy biurku siedziałem już o 5.45. Moim szefom bardzo się to podobało, byłem w ich oczach idealnym protestantem, z takim jednak wyjątkiem, że... po południu musiałem uciąć sobie drzemkę. Gdziekolwiek bym się znalazł, po obiedzie muszę się przespać godzinę lub dwie.

Mam swój ulubiony koc, pendletona z dziewiczej wełny, z jednej strony rdzawy, z drugiej stalowoszary. Ktokolwiek prócz mnie śmie go tknąć, jest trupem. Gdy tylko zawinę się w niego na podłodze, momentalnie zasypiam. W 1929 roku personel biura sądził, że popełniłem samobójstwo. Nikt nie mógł się dostać do mojego pokoju, bo zamknąłem drzwi na klucz, miałem też zwyczaj wyłączać telefon. To nie moja wina, że amerykański świat biznesu uważa ucinanie krótkich drzemek za przejaw skandalicznego upadku moralnego. Skąd się to bierze? W Europie wszyscy drzemą po obiedzie.

Codziennie musiałem też trzy godziny ćwiczyć. Teraz już nie jestem do tego zdolny ale kiedyś przebiegałem pięć mil, dziesięć przejeżdżałem na rowerze, dwie przepływałem kajakiem, a do tego pełną godzinę poświęcałem na rytmikę, gimnastykę, boks i podnoszenie ciężarów. Przez to wszystko robiła się dość duża wyrwa w moim porannym planie dnia, zwłaszcza że po trzygodzinnych ćwiczeniach miałem zwyczaj – wręcz przymus – przez dwie godziny ćwiczyć grę na fortepianie. Nie jestem dobrym pianistą, ale nawet dziś walczę jeszcze z moim

mrówkoszczelnym, ocynkowanym schrobenhausenem produkcji brazylijskiej, który brzmi tak, jak gdyby spuścić czterdzieści pudeł sztuców ze schodów Empire State Building. Dwie godziny ćwiczeń dziennie pozwalają zachować dostateczną giętkość palców, by móc zagrać wszystkie swoje ulubione utwory. W biurze Stillman and Chase stał wspaniały fortepian koncertowy, głównie dlatego tam przychodziłem. Był to najlepszy fortepian do grania Mozarta, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia, a grywałem głównie Mozarta, czy muszę więc jeszcze cokolwiek dodawać?

Moi przełożeni nie byli też zachwyceni tym, że nie jestem w stanie nosić krawata. Noszę krawat, owszem, ale luźny. W ciasno zawiązanym krawacie czuję się tak, jakby kat zaciskał mi pętlę na szyi. Nie jestem w stanie wytrzymać tak dłużej niż pół godziny. Nawet gdy rozmawiałem z papieżem, miałem poluźniony krawat. Papież nawet tego nie zauważył. Sam zresztą przecież krawata nie nosi.

Moje inne osobliwości? Nie mogę nosić półbutów. Z powodu znacznej krzywizny nóg mam wyjątkowo niestabilne stopy. Urodziłem się kilka miesięcy przed terminem, wielu kości nie miałem jeszcze dostatecznie uformowanych. Dzięki krzywym nogom mam niemal nadludzką siłę – niczym rzymski łuk – ale potrzebuję bardzo stabilnego obuwia, noszę więc wyłącznie buty do wspinaczki. W sytuacjach oficjalnych zazwyczaj rzucają się w oczy.

No i potrzebuję też tlenu. Czy to dlatego, że cztery lata spędziłem w Chateau Parfilage, czy ze względu na nieustanne pertafleksje mózgu, potrzebuję go w ogromnych ilościach. Ponieważ przyjmuję tlen głównie na otwartym powietrzu, w pomieszczeniach muszę mieć wentylator wiejący prosto w twarz.

Niedługo po incydencie w White Mountains w Stillman and Chase piętra zajmowane przez zarząd przebudowano w taki sposób, że nie dało się już otwierać okien. Byłem zdumiony. Świeże powietrze jest niezbędne do życia. Kto w to wątpi, niech spróbuje wstrzymać oddech na dwie minuty. Jak można rozmyślnie odcinać sobie dostęp powietrza? Instalowanie w budynkach okien, które się nie otwierają, jest może ekonomiczne, ale jest też szaleństwem.

Inżynierowie powiedzieli mi, że gdyby wycięli dla mnie otwierane okno, uciekłoby przez nie całe powietrze z budynku, a powstały w ten sposób ciąg wyssałby na zewnątrz wszystko, co nie jest przytwierdzone do podłogi: papiery, książki, lampę, mój koc, nawet mnie. Byłem zrozpaczony. A potem przyszedł mi do głowy akwalung.

Wiedziała o nim jedynie moja sekretarka i ostrzegała mnie zawsze, ilekroć ktoś zbliżał się do mego gabinetu, mogłem więc w porę ukryć butle. Pewnego razu zapomniałem, że mam je na sobie, i poszedłem w akwalungu na służbowy obiad z włoskim ministrem finansów. Dyrektorzy byli przerażeni, lecz minister, z którym znaliśmy się już wcześniej, powiedział:

– Czy ma pan także te, no... jak wy na to mówicie... płetwy? Następnego lata musi mnie pan odwiedzić w moim domu w Portofino. Można tam zobaczyć wiele kolorowych ryb.

Z jakiegoś powodu firma wysłała mnie zatem na tę zimową konferencję, a ja chętnie pojechałem, bo lubiłem góry, zwłaszcza zimą, gdy są zalane światłem i tlenem. Tak oto znalazłem się przy wielkim stole w trzydziestoosobowym gronie, a gdy zaczęto omawiać te teorie ekonomiczne, do których zawsze odnosiłem się z wyjątkowym sceptycyzmem, niańczyłem w ramionach wyimaginowane dziecko niczym karmiąca matka.

W strategicznych miejscach między dyskutantami rozmieszczone były srebrne tace z butelkami whisky Glenlivet, lodem, wodą, szklankami i orzeszkami ziemnymi. Wkrótce wszyscy popijali szkocką i zajadali się orzeszkami. Pachniało jak w edynburskim zoo. Gdy dorośli ludzie jedzą orzeszki, wpychają je do ust tak gwałtownymi ruchami, jak gdyby sami siebie wyzywali na pojedynek. Na dodatek moi współrozmówcy byli akademickimi ekonomistami i mieli już trochę w czubie, był to więc widok jeszcze dziwniejszy. Brakowało tylko muzyki, na przykład *Dziadka*

do orzechów.

A potem kątem oka zauważyłem jedyną kobietę w grupie. Siedziała po mojej prawej stronie, w odległości trzech profesorów, mocno zasłonięta. Ci trzej, którzy nas rozdzielali, byli dość zwalśni, a ona nerwowo udawała, że jej nie ma, jakby nie wiedziała, co robić ani co powiedzieć. Nikt się do niej nie odzywał, podobnie jak do mnie – i podobnie jak ja, nie zniewazała siebie samej spożywaniem alkoholu i orzeszków.

Jak to możliwe, że nikt z nią nie rozmawiał?! Wyglądała tak, że nawet teraz, po trzydziestu siedmiu latach, na drugiej półkuli, po odwrotnej stronie świata, płonę na samo wspomnienie. Wiele kobiet potrafi przykuć uwagę pięknem swego ciała, swych włosów, ich kolorem – Constance wszystko to miała, ale najbardziej oszałamiającym jej przymiotem była twarz, ten podstawowy, elementarny portal i wyraz duszy. Układ rysów twarzy, który inne kobiety starałyby się zmienić, ulepszyć lub ukryć, momentalnie przyciągnął moją uwagę i wyzwolił tysiąc silnych emocji.

Nie wymienię ich – zbyt długo by to trwało. Na widok tej kobiety uczułem przypływ witalności, którego dotąd doświadczyłem tylko raz w życiu: gdy wyskakiwałem z płonącego samolotu. Na chwilę wstrzymałem oddech. Starłem się na nią nie patrzeć.

Żeby na nią spojrzeć, musiałem albo wychylić się naprzód, albo odchylić do tyłu, i jawnie obrócić w prawo. Pozycja mego ciała zdradziłaby mnie. Jej wpływ był więc taki, że doznałem paraliżu i zacząłem się nad sobą zastanawiać. Ilekroć spotykam taką kobietę jak Constance (zdarzyło mi się to tylko trzy razy w życiu, z czego pierwszy raz byłem jeszcze za młody, a trzeci raz za stary), tylekroć mam ochotę zmienić zawód, zamieszkać w górskiej chacie lub na stacji meteorologicznej na jakimś atolu i całą resztę życia spędzić w jej objęciach.

I zawsze wtedy zachowuję się nierozważnie.

Siedziałem z łomoczącym sercem, czerwony na twarzy, czując, jak fale rozkoszy przelewają się przez moje ciało niczym letni szkwał chłuszczący morze. Modliłem się, by nie była mężatką i by zgodziła się mnie poślubić. Chyba już wtedy wiedziałem, że tak się stanie, lecz mimo to śmiertelnie bałem się, że do tego nie dojdzie.

Gdy wreszcie znalazłem się z nią sam na sam – wybiegam teraz naprzód – zdumiała mnie jej tabliczka z nazwiskiem: Constance Olivia Phoebe Ann Nicola Devereaux Jamison Buckley Andrews Smith Faber Lloyd.

– Która z nich to ty? – spytałem przebiegle.

– Wszystkie – odparła dokładnie takim samym tonem.

– W twoim nazwisku nastąpiła chyba fuzja Anglii i Wenezueli.

Co ja robiłem najlepszego? Kochałem tę kobietę każdym atomem swego ciała i całym eterem swej duszy.

– Spodziewam się – rzekła – że zaraz spytasz, czy jestem Włoszką.

– Nie. Zastanawiałem się tylko, czy jest was cały pluton, i chciałem ci powiedzieć, że z takim nazwiskiem będziesz miała problem z zakwaterowaniem się w hotelu. Musisz zająć pokój z aneksem.

Wyprostowałem się, jak gdybym wciągnął haust tlenu azotu. Szwedzki stół z kolacją ustawiono pod oknem wychodzącym na śnieżną równinę. Ogień płonął w kominku, a od chwili, gdy ujrzałem Constance, także we mnie.

Żeby dostać się z pociągu do ośrodka konferencyjnego, należało wezwać sanie – nadjeżdżały potem w świetle księżycy, dzwoniąc dzwoneczkami. Doprawdy trudno pojąć, że dla samochodów pędzących tam i z powrotem jak karaluchy porzuciliśmy coś tak niepowtarzalnie pięknego jak sanie zaprzężone w konie.

Ponieważ po drodze na konferencję musiałem się zatrzymać w filii w Bostonie,

przyjechałem ostatnim pociągiem. Moja sekretarka powiedziała, że o tej porze sanie będą już wynajęte na przejażdżki po lesie, muszę więc dojść ze stacji pieszo. Było to jakieś pięć mil, włożyłem więc futrzaną kurtkę i grube spodnie, a cały mój dobytek spakowałem do plecaka.

Wspaniale mi się szło w świetle księżycy w pełni, na dziesięciostopniowym mrozie, który zdawał się oczyszczać powietrze z wszelkiego zepsucia. Miałem czterdzieści dwa lata, przeżyłem wojnę i byłem gotów ponownie się zakochać. Panna Majewska, jej mąż i dzieci nie żyli. Czułem, że zawdzięczam jej swoje szczęście i że w swoich dzieciach zobaczę jej własne. Targały mną sprzeczne uczucia, postanowiłem jednak, że przy każdej okazji będę szukał tego, co żywotne, święte i piękne, że przez wzgląd na nią i na wszystkich innych ludzi jestem zobowiązany wykorzystać życie w najlepszy możliwy sposób. Sądzę też, że moje radości i smutki nigdy nie były podszyte wyrachowaniem.

Na konferencję dotarłem w ostatniej chwili, wszedłem więc na obrady z plecakiem i zostawiłem go w kącie. Zanim jeszcze spostrzegłem Constance, twarz miałem rumianą od mrozu, a do tego byłem rozluźniony i szczęśliwy po marszu, pewnie nie wyglądałem więc na swój wiek.

Okoliczności, na które nie miałem wpływu, oszczędziły mi wielu oznak wieku średniego. Zostałem zdemobilizowany zaledwie półtora roku wcześniej, zachowałem jeszcze zwyczaj codziennych ćwiczeń, a nawet rozwinąłem go do trzech godzin dziennie, uzupełnionych o popołudniowe drzemki i codzienne dziesięciomilowe marsze na Wall Street (a właściwie Broad Street) i z powrotem. No i, jak wiecie, nie piłem kawy (co z miejsca odejmowało mi dwadzieścia lat).

Wszystko to sprawiło, że uczestnicy konferencji wzięli mnie za studenta. Przy wejściu wręczono mi tabliczkę z nazwiskiem, a ponieważ nie miałem okularów do czytania, przypiąłem ją sobie, nie spostrzegłszy, że jest na niej napisane: STUDENT OBSERWATOR, WABASH COLLEGE. Nie byłem tego świadom aż do następnego dnia, gdy już tyle się wydarzyło, a Constance zaproponowała, że odwiedzi Wabash College.

– Po co? – zapytałem.

– Żeby być bliżej ciebie.

– Jesteś kochana – odparłem, sądząc, że może Wabash College leży gdzieś niedaleko Wall Street – ale ja nie mieszkam w śródmieściu.

– Nie mieszkasz w kampusie?

Zaśmiałem się.

– To inaczej niż większość.

– Jaka większość? – spytałem.

– Ta, co mieszka w kampusie. Nieprawdaż?

– W jakim kampusie?

– Wabash College.

Byłem zakłopotany.

– Constance, o czym ty właściwie mówisz?

– Większość studentów Wabash College mieszka w kampusie Wabash College, nie mam racji?

– No tak, to logiczne.

– Ale ty mieszkasz gdzie indziej?

– Oczywiście, że tak – obruszyłem się.

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego mieszkasz gdzie indziej? Czemu nie mieszkasz w kampusie?

– W kampusie Wabash College?

- Tak.
- A czemu miałbym tam mieszkać?
- Gdzie właściwie jest ten kampus? – spytała nieco rozdrażniona.
- Nie wiem.
- Nie wiesz?
- Nie.
- Założę się, że nie jesteś najlepszym studentem – stwierdziła.

Sądziła, że poszedłem na studia dzięki stypendium dla byłych żołnierzy. Tak samo myśleli ci wszyscy profesorowie z Harvardu, Yale, Columbii i Wharton. Dlatego właśnie mnie ignorowali – a przynajmniej starali się mnie ignorować – ilekroć zabrałem głos. Dlatego byłem tak irytująco niewidzialny.

Nie zdawałem sobie sprawy, że wkrótce doprowadzi to do gwałtownego konfliktu. Człowiek siedzący po mojej lewej ręce miał jakieś problemy. Prawie nic mu się nie podobało, a jeszcze więcej rzeczy go złościło. Na początku obrad wygłosił stwierdzenie, które moim zdaniem było kompletnie bezpodstawne. Forsował czysto akademickie poglądy, zupełnie nie brał pod uwagę realiów, w jakich żyły narody wchodzące w skład międzynarodowej wspólnoty (była to moja specjalność, potwierdziłem w niej swoją biegłość tyle razy, że mogłem mieć własną opinię). Sprzeciwiłem mu się – w otwarty, ale grzeczny, hipotetyczny sposób, który prędzej sprawdziłby się na seminarium magisterskim lub na dworze szoguna.

On spojrzął na mnie i pewnie przeczytał to, co miałem napisane na tabliczce.

- To nonsens – stwierdził. – Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Zamurowało mnie. Nie dalej niż dwa miesiące wcześniej rozmawiałem z Harrym Trumanem, który, choć rozmowa była szczerą i nie zawsze się zgadzaliśmy, nie miał w sobie nawet krzty podobnej arogancji. Wyszedłem z Gabinetu Owального pełen podziwu, który potem tylko rósł, gdy widziałem jego kolejnych następców.

Kim był ten profesor, który zbył mnie jak Królowa Kier, jak gdybym zwracał się do niego z uniżonym błaganiem? Przeczytałem napis na jego tabliczce. Igor Jaguar. Profesor ekonomii, Harvard University. Igor Jaguar? No cóż, rzeczywiście miał niecodzienny akcent.

Gdy skończył już zachwalać piękno i uniwersalną wartość prognostyczną teorematu Jaguara, zaoponowałem raz jeszcze: wyprowadzałem argumenty jak najstaranniej i najdobitniej – raz już przecież zostałem znieważony.

Jaguar uśmiechnął się protekcyjnie i rzekł:

– Dobrze, przedstawiłeś swój bezsensowny pogląd, ośle, i siedź cicho. Wystarczy nam twoich komentarzy do końca obrad.

Zamiast prychnąć i powiedzieć: „o, przepraszam bardzo!” czy coś w tym stylu, zaśmiałem się. Byłem dorosłym mężczyzną, widziałem kawał świata i nawet gdy jeszcze studiowałem – na Harvardzie, nim pojawił się tam profesor Jaguar – nikt nigdy się tak do mnie nie odzywał. Zerknąłem na zgromadzonych ekonomistów, szukając poparcia, że pan Jaguar przekroczył swoje uprawnienia, ale go nie znalazłem. Sądząc po wyrazie ich twarzy, raczej mieli pretensje, że zdemaskowałem jego wariactwo, a mój śmiech odebrali jako nerwowe przytaknięcie.

Ktoś zabrał głos na zupełnie inny temat. Potem ktoś inny, później jeszcze ktoś. Czuję się urażony, byłem jednak gotów puścić zającie w niepamięć i zachowywać się dyplomatycznie. Pod koniec obrad, gdy dyskusja zesłała na konsekwencje decyzji podjętych w pobliskim Bretton Woods, zadałem pytanie. Brzmiało ono mniej więcej następująco:

– Nie do końca wiem, jak doszło do podjęcia tej uchwały. Jakie było jej tło, jej historia legislacyjna, że się tak wyrażę?

Jaguar zachował milczenie, odezwał się za to ktoś inny, i to tak, jakby mnie serdecznie nienawidził, choć nie mogłem pojąć dlaczego:

– Jeśli jesteś na tyle zaawansowany, by uczestniczyć w tym seminarium, nie musimy ci chyba tego tłumaczyć. Sam powinienes się dowiedzieć, co działo się w Bretton Woods.

Zdawało mi się, że śnię albo że zwariowałem. Zaczął we mnie narastać bojowy nastrój. Czulem, że wzbiera we mnie ta sama furia co pewnego strasznego dnia na Brooklynie – gdy popełniłem swoje drugie zabójstwo, za które mnie jednak nie osądzono, lecz raczej pochwalono.

Czasem narasta we mnie taka wściekłość, że mam wrażenie, jakbym urodził się do machania buzdyganem. W tamtym momencie zdołałem ją stłumić, uznałem, że wybuch byłby niestosowny. Pozwoliłem sobie jednak na bardzo stanowczą ripostę.

– Nie mogłem wziąć udziału w tamtej konferencji – powiedziałem – a jeśli nie umie lub nie chce pan odpowiedzieć na moje pytanie, to na pewno nie dlatego, że jest ono nieuzasadnione. Przeciwnie, jest w pełni uzasadnione.

Rozległ się pomruk. Potem cisza. A później odezwał się ktoś jeszcze inny, tonem ociekającym pogardą:

– Oczekujemy pewnego poziomu kompetencji. Konferencja w Bretton Woods odbyła się zaledwie dwa lata temu. Gdzie byłeś, że nie masz o niej pojęcia?

Tu ich miałem. Miałem ich w garści. Uroniłem swoją jedyną Izę. Nie wiem, co sobie wtedy pomyśleli, ale ilekroć jestem przyparty do muru, zawsze przypomina mi się wszystko, co kocham w życiu najbardziej, i głęboko się wzruszam. Była to jedna, samotna łąka, szybko stłumiłem w sobie najgłębsze emocje – uznałem, że przywołanie tych uczuć zadziało w ich obronie i że jestem gotów.

Zmrużyłem oczy i powiedziałem, bez gniewu, ale z nieludzkim pomrukiem sygnalizującym, że mówię najprawdziwszą prawdę:

– Latałem, kurwa, samolotem. Nad pierdolony Berlin.

To uciszyło wszystkich oprócz Jaguara, który wciąż ignorował oznaki nadchodzącej burzy.

– Mogę tylko powiedzieć, gówniarzu na rządowym stypendium, że to twoje Wabash College byłoby miejscem mniej dennym, gdyby cię zestrzelono – powiedział z czymś w rodzaju triumfalnego uśmiechu, nieświadom grożącego mu niebezpieczeństwa.

Jeszcze nie eksplodowałem. Zawsze sam decyduję o tym, kiedy eksplodować.

– Zestrzelono mnie – oznajmiłem. – Dwa razy.

– No więc szkoda, że nie zginąłeś, ty mały idioto! – krzyknął.

Byłem tak wściekły, że zaniemówiłem. Mijały sekundy, może nawet cała minuta. Ktoś zaczął o czymś rozprawiać, jak gdyby seminarium miało się toczyć dalej, ale ja w zamroczeniu podniosłem się z krzesła i wbiłem wzrok w Jaguara. Gdy upływały sekundy, słyszałem, jak zamiera głos mówcy. A potem, gdy nie spuszczałem wzroku z Jaguara, zapadła cisza.

Spojrzałem w stronę bufetu. Wspomniałem swoich bliskich, którzy na wojnie wyzionęli ducha, i powiedziałem do Jaguara, tak cicho, że omal niesłyszalnie, chrapliwym szeptem:

– Jesteś głodny? Wyglądasz na głodnego. Pora na obiad. Ale nie wstawaj, obsłużę cię.

Takie postęпки widuje się rzadko, siła ludzkich zahamowań jest naprawdę wielka. Czasem jednak wybuch dzikiej furii można usprawiedliwić, na przykład gdy w grę wchodzi kawa i jej nikczemne manifestacje lub gdy trzeba bronić niewinnych, czyli tych, którzy nie mogą zabrać głosu ani wykonać ruchu, którzy nie mogą wyjawic swoich zyczeń, dla których miłość jest czysta i skazana na nieodwzajemnienie, ponieważ już odeszli i nigdy nie wrócą.

Wśród nich był mój kuzyn Robert. Prawie go nie znałem. Gdy byliśmy mali, bawiliśmy się razem na imprezach rodzinnych, a podczas uroczystości religijnych wykazywaliśmy ten sam

współczynnik rozdrażnienia i zniecierpliwienia. Byliśmy zbyt młodzi, by rozumieć, że jesteśmy w jakiś sposób spokrewnieni, że ma to jakieś znaczenie i że jesteśmy do siebie podobni fizycznie.

Pewnego razu podczas niekończącego się zjazdu rodzinnego, na którym dziewczęta nosiły buty z naturalnej skóry, a w pokojach panował okropny zaduch, wymknęliśmy się do piwnicy i próbowaliśmy rozmontować lodówkę. A w któreś Święto Dziękczynienia, gdy było wyjątkowo zimno, uciekliśmy na obrosnięte trzciniami jezioro i przez parę godzin jeździliśmy na łyżwach w mroźnym wietrze.

Robert zginął w swoim bombowcu B-25. Była to broń, którą Amerykanie masakrowali Amerykanów, jeden z najgorszych i najniebezpieczniejszych samolotów, jakie kiedykolwiek wyprodukowano, latająca trumna. Jedną trzecią tych maszyn straciliśmy podczas treningów, możecie więc sobie wyobrazić, jak sprawowały się w walce.

Myślicie, że załogi o tym nie wiedziały? Wiedziały bardzo dobrze. Wiedziały też ich rodziny. Pamiętam doskonale czarno-białą fotografię osiem na dziesięć cali, przedstawiającą mojego wuja, ciotkę, Roberta i jego młodszą siostrę. Była też z nimi moja babka i jeszcze jakaś kobieta, pewnie siostra matki Roberta.

Cała szóstka stała przed samolotem Roberta na lotnisku w południowej Kalifornii i spoglądała w obiektyw takim wzrokiem, jak gdyby zobaczyła śmierć. Tylko Robert się uśmiechał, choć wiedział równie dobrze lub nawet lepiej, jakie ma szanse przeżycia. Był niesamowicie odważny, umiał stawić czoła śmierci, ilekroć wznosił się w powietrze.

Zrobiłem krok naprzód i lewą ręką chwyciłem Jaguara za klapy, zacisnąłem na nich dłoń jak imadło. Jaguar bezmyślnie chwycił mnie oburącz za przedramię. Pociągnąłem go kawałek w swoją stronę, uniosłem prawą rękę do lewego ucha niczym miecz i na odlew chlasnąłem go w twarz.

Pewnie jeszcze nigdy w życiu nie został uderzony, zachował się więc tak, jakbym go zabił. Mój cios miał go jednak tylko obrócić – i doskonale spełnił swe zadanie. Zgiąłem Jaguara wpół i pchnąłem go na stół twarzą do dołu. Ponownie użyłem lewej ręki jak mechanicznego chwytaka i nagłym, niepowstrzymanym ruchem chwyciłem go z tyłu za pasek od spodni.

Zawsze odznaczałem się niezwykłą siłą, a w tamtym okresie życia byłem wręcz w szczytowej formie. Bez trudu uniosłem go za pasek i szyję w powietrze i poniosłem przed sobą, jak gdybym wiózł go na noszach. Nikt w sali nawet nie drgnął, fizyczne konfrontacje nie były specjalnością uczestników konferencji. Wszyscy siedzieli z otwartymi ustami, niektórzy pewnie nawet wstrzymali oddech – cisza miała w sobie coś dziwnego, jak gdyby z sali nagle zniknął cały tlen.

Zaczęliśmy u szczytu szwedzkiego stołu.

– O proszę, rostbef – powiedziałem. Rostbef był tylko częściowo pokrojony, w czerwonym świetle podgrzewaczy wyglądał jak wyjęty z obrazu Hieronima Boscha. – Lubisz rostbef. Zjedz trochę – rozkazywałem, grzmocąc głową Jaguara o pieczęń.

Uderzenia były amortyzowane, ale solidne. Jaguar wciąż oddychał i wydawał dźwięki, wiedziałem więc, że jeszcze nie dostał zawału.

– Co ci to bardziej przypomina? – spytałem, kołyszając nim wściekle w powietrzu, aż jego głowa rąbnęła o niepocięty kawał wołowiny i posłała go na drugi koniec sali. – Golfa czy baseball?

Skowyt protestu wskazywał, że jego duma ucierpiała bardziej niż ciało, powiedziałem więc:

– Co to było? Baseball? Niech będzie. Teraz najesz się po uszy sałatki.

Gdy jego głowa wynurzyła się z misy z sałatką, wyglądał jak Święty Mikołaj.

– Robert był moim kuzynem! – krzyczałem. – Jednym z wielu durniów, którzy zginęli w

swoich B-25! Jednym z wielu gówniarzy, którzy nawet nie dożyli rządowego stypendium! Dla ciebie nie doczekał się nawet numeru, ty nawet nie musisz o nim myśleć!

Byłem w takim samym stanie psychicznym, w jakim wątro zbudowana matka odkrywa, że jest zdolna podnieść sześćsetfuntową bramę, która przygniotła jej dziecko – mógłbym bez trudu zadławić go na śmierć.

– Ale teraz już będziesz o nim myślał. Będziesz o nim myślał, ilekroć znajdziesz się na zebraniu. Będziesz o nim myślał, ilekroć zobaczysz jedzenie. Będziesz o nim myślał, ilekroć zobaczysz lub usłyszysz samolot. Przyrzeknij! – wrzeszczałem, potrząsając nim tak, jak terier potrząsa szczurem. – Przyrzeknij!

Gdyby nie zaczął wydawać z siebie dźwięków, które, choć niezrozumiałe, stanowiły nieomylny znak potwierdzenia, zabiłbym go.

– Powiedz: „dziękuję ci, Robercie, że zginąłeś dla mnie w swoim parszywym B-25”. Powiedz to!

Powiedział. Puściłem go. Nim zdążył się otrząsnąć z szoku, wziąłem plecak i wyszedłem na arktyczne powietrze, roztrzęsiony i zrozpaczony, że to właśnie Robert został zestrzelony, a nie ja – bo na tych wszystkich rodzinnych zjazdach, na stawie, podczas naszych nielicznych spotkań, wiedziałem swoje. Wiedziałem już wtedy, choć nie wiedziałem, skąd to wiem, że ja przeżyję, a on nie. Byłem sprytny. Byłem pełen furii. I byłem szczęściarzem.

Taki właśnie byłem – on zaś był delikatniejszej konstrukcji, trochę nieporadny i nie tak pewny siebie. Lecz już wówczas był lepszym człowiekiem, cichszym, i zginął, a ja nie. Prawda jest taka, że to ja powinienem był zginąć, ale nic nie mogłem z tą prawdą zrobić.

Często o nim myślę. Widzicie, kolory w powietrzu są inne, a powietrze... też jest inne. Przez połowę czasu w powietrzu człowiek czuje się jak we śnie, a siły, jakie na niego oddziałują – oślepiające światło, grawitacja podczas przewrotów czy nurkowania, przejmujący ziąb, powietrze tak rzadkie, że nie da się nim oddychać – sprawiają, że w każdej chwili ociera się o śmierć i wtedy łatwo, nazbyt łatwo, wpaść w jej sidła. Wciąż pamiętam, jak spadałem z nieba, z ramionami odrzuconymi siłą odśrodkową na boki, jak po chwili rozbłysła kula pomarańczowego ognia i rozległ się huk eksplozji, jak wiatr świszczwał w uprząży spadochronu.

Moje zachowanie na konferencji wprawdzie nie wpłynęło na moją karierę (miałem już ustaloną reputację), ale czułem się trochę podminowany tym, co zrobiłem. Nierozważny postępek jednak mi się przysłużył, bo gdy wyszedłem z ciemnej świerczyny na zalaną światłem księżycą drogę, usłyszałem kroki.

Z ciemności wyłoniła się Constance. Piękno jej ruchów uspokoiło mnie, a kiedy się do mnie zbliżyła, byłem zauroczony. Mimo wszystko działo się to jednak w innych czasach. Pamiętam, że odnosiłem się do niej powściągliwie, z delikatnością, przez co dystans między nami zmniejszał się dłużej, niżbym chciał, i choć już w pierwszej chwili pragnąłem porwać ją w ramiona, nastąpiło to dopiero później. Miłość rozwijała się w nas w odpowiedni sposób, wewnętrzna dyscyplina nie pozwalała nam się do siebie zbliżyć zbyt szybko.

Choć byłem już mężczyzną w średnim wieku, nasz romans miał w sobie jakiś niezmierny akcent. Spotyka się to często u ludzi młodych i niedorośli, lecz moja zdolność do

odczuwania takich rzeczy z czasem poważnie się zmniejszyła. Pocieszam się, że w zamian łatwiej doceniam to, co rzeczywiste. Proces ten wciąż trwa – dziś, w wieku osiemdziesięciu lat, w pełni zadowolam się drobiazgami, które niegdyś wydawały mi się mało istotne. Wszystko widzę głębiej, a satysfakcja z rzeczy małych niepokojąco rośnie – boję się, że już niedługo dotrę do kresu mego życia i będę w pełni usatysfakcjonowany kompletną nicością.

Wspominam Constance tak, jakbym oglądał ją na fotografiach. Widzę, jak tańczy, jak obraca się z gracją, każdy jej ruch jest zastygły i towarzyszy mu cichutki trzask, jakby migawki aparatu. Gdy podchodzi do mnie, światło lśni na jej włosach, w jej oczach, w jej uśmiechu. Obraca się do mnie, otwarta, ufna, pełna miłości. Ubrana jest w bluzeczkę z cekinami, odbijającą włócznie światła niczym czarodziejski oset. Tak właśnie było.

Pociąg, którym przyjechałem, zdążył zawrócić i odjechać z powrotem do miasta, i był to pociąg ostatni, dworzec zamknięto, a jedynym hotelem w okolicy okazał się ten, gdzie zatrzymali się Jaguar i jego koledzy po fachu. Szliśmy całą noc. Nie napotkaliśmy ani jednego samochodu na białej drodze, ani jednego światła w nielicznych miastach, które mijaliśmy w milczeniu, by nie budzić śpiących mieszkańców.

Przez całą drogę szło nam się doskonale, równie dobrze moglibyśmy pokonać ją biegiem. Maszerowaliśmy szybko – nim wstał ranek i słońce weszło nad górami, zrobiliśmy trzydzieści mil. Kupiliśmy bilety na pociąg, wsiedliśmy do osobnych przedziałów, obłóczyliśmy łóżka i przespaliśmy całą drogę do Nowego Jorku. Wysiedliśmy na stacji Grand Central w porze wieczornego szczytu.

Idealnie wypoczęci, ogorzali od wiatru, umyć w zimnej wodzie i pachnący wodą kolońską dostępną w zestawie toaletowym pulmanowskiego wagonu daliśmy się wciągnąć w szaleńczy wir Nowego Jorku, doświadczając go jednak bez zwyczajowego filtra w postaci znużenia, i zjedliśmy kolację w barze ostrzygowym.

Constance miała dwadzieścia osiem lat i z początku nie chciała wierzyć, że po raz pierwszy odwiedziłem ten bar z ojcem tydzień po otwarciu, czyli w 1912 roku. Była w szoku, gdy dowiedziała się, ile mam lat, a przynajmniej udawała. Oczywiście pochlebiało mi to.

Do tej pory sądziła, że naprawdę jestem studentem Wabash College na stypendium dla weteranów. Z królewskim wdziękiem napomknąłem, że studiowałem na Harvardzie i zrobiłem magisterium z filozofii w Magdalen College w Oksfordzie.

Potem nastąpiła seria zaskoczeń i wymyków, która miała trwać aż do końca naszego związku.

– Na Harvardzie! – powiedziała.

Byłem przyzwyczajony do takich rozkosznych jęków feudalnego samoponiżenia, które ludzie wydają z siebie na dźwięk tej nazwy (dziś wydaje mi się to obrzydliwe), uznałem więc, że... no... rozumiecie, że zrobiłem na niej wrażenie.

Ona jednak wcale nie była pod wrażeniem, jedynie przyjemnie zaskoczona: studiowała w Radcliffe, co oznaczało, że mimo różnicy wieku mamy ze sobą trochę wspólnego. Nawet się ucieszyłem: skoro studiowała w Radcliffe, mogła przynajmniej zrozumieć, co mówię – na Harvardzie byliśmy przekonani, że właśnie do tego służy owo kolegium. Owszem, tamtejsze studentki, nazywane przez nas cliffies, miały lepsze oceny, ale tylko dlatego, że były bierne, a przez to łatwiej dawały się urobić swoim wykładowcom, nie pragnęły współzawodniczyć z profesorami, nie wyżywały się w sporcie ani rozpuście – jak my to robiliśmy, a przynajmniej tak twierdziliśmy – i poświęcały studia na wkuwanie, bo nie zamierzały robić karier.

Lecz Constance, jak szybko się przekonałem, nigdy nie była bierna i nie miała w zwyczaju dawać się komukolwiek urabiać. A do tego pływała kajakiem.

– Pływałaś kajakiem? – spytałem.

Skinęła głową.

Nic dziwnego, że górna część jej ciała – ramiona, ręce, piersi – była tak piękna, tak idealnie ukształtowana, tak dobrze wyrzeźbiona.

– A co uprawiałaś po studiach? – Spodziewałem się, że grała na przykład w dwa ognie.

– Wciąż wiosłuję. W cieśninie Long Island.

Nic dziwnego, że górna część jej ciała – jej ramiona...

– Ja pływałem jedyneką – powiedziałem zdumiony. – Może wybierzemy się kiedyś razem na kajaki? Wiosłowałem sześć lat, cztery na Harvardzie i dwa na Oksfordzie.

– Ja osiem – odrzekła.

– Chcesz powiedzieć, że pływasz już cztery lata od skończenia studiów? Powinnaś liczyć tylko te lata, gdy studiowałaś lub należałaś do jakiegoś klubu.

– Nie – odparła, jak zwykle radosnym tonem. – Cztery lata na uczelni i cztery lata na studiach trzeciego stopnia.

– Na studiach trzeciego stopnia? – spytałem, mocno zaskoczony.

– Tak.

– Gdzie?

– Na Harvardzie.

– Ojej. Ale co... co...?

– Ekonomię.

– Zrobiłaś doktorat?

– W zeszłym roku. Napisałam pracę o wpływie filozofii politycznej na teorię ekonomii. Zostanie opublikowana – dodała, mrużąc oko. – W przyszłym miesiącu.

– Przez kogo?

– Przez Oxford University Press. A ty? Czym się zajmujesz?

Nie chciałem o tym mówić.

– Dopiero niedawno zostałem zdemobilizowany – powiedziałem. – Byłem pilotem.

– Wiem – odparła. – Latałeś nad Berlinem.

– Tak. Wiele razy.

– Dwa razy cię zestrzelono.

– Tak. Dwa razy, ale tylko raz nad Berlinem. I raz nad Morzem Śródziemnym.

– Ale co robisz teraz?

– Nie ustatkowałem się jeszcze – odparłem.

Nie chciałem, by wiedziała, że pracuję w Stillman and Chase. Nie chciałem robić na niej aż takiego wrażenia. Nie chciałem sugerować jej – choćby tylko zdradzając, czym się zajmuję – że jej wiedza, chociaż godna podziwu, jest czysto spekulatywna i teoretyczna, a moja wręcz przeciwnie, ma mocne oparcie w rzeczywistości. Nie chciałem też onieśmiewać jej swoimi zarobkami, przynajmniej na razie.

Moja pensja i coroczna premia były porażające. Mieszkałem na szczycie wieżowca przy Fifth Avenue, zajmowałem całe piętro, miałem widok na Central Park. Miałem też dach w East Hampton. Owszem, pragnąłem ją tym wszystkim zaskoczyć i uszczęśliwić, ale wolałem, by najpierw pokochała mnie samego, postanowiłem więc urządzić wszystko jak w bajce.

Następnego dnia wynająłem małe mieszkanie w szeregowcu na Upper West Side. Gdy później spotkaliśmy się pod zegarem Biltmore, powiedziałem jej, że mieszkam w szeregowcu. Wspomniałem o tym mimochodem. W ciągu kilku dni urządziłem mieszkanie tak, jak mógłby mieszkać zdemobilizowany pilot, który jeszcze nie doszedł do siebie po przeżyciach wojennych i wciąż rozgląda się za pokojowym zajęciem. Przeniosłem tam część swoich książek, część pamiątek z wojny – paradną laseczkę, czapkę, oprawione patenty oficerskie, łuski po pociskach –

i wstawiłem parę mebli. Powiedziałem Constance, najzupełniej zgodnie z prawdą, że nie mam telefonu, ale powinien zostać zainstalowany w ciągu tygodnia.

– A ja nigdy nie spytałem ciebie, Constance, gdzie mieszkasz. Gdybyśmy nie spotkali się tutaj, nie wiedziałbym, gdzie cię szukać, straciłbym cię na zawsze.

– Mieszkam w hotelu Barbizon – powiedziała nerwowo, a potem zalała się od stóp do głowy wspianiałym rumieńcem. Wyglądała tak, jakby była na plaży na Krakatau tuż przed wybuchem tamtejszego wulkanu. Rumieniec przypląwał i odpływał przez dobre trzy czy cztery minuty.

Niedługo później przekonałem się, że właśnie taki kolor przybiera jej twarz podczas uprawiania miłości, być może przybrała go także w ową księżycową noc, gdy biegła moim śladem, choć w świetle księżyca nie mógłbym tego zobaczyć. Gdy płonęła tą czerwieńią, pod wpływem gorączki ulatniały się z niej drogie dyskretne perfumy, które wspianiale umiała nosić – sprawiało mi to rozkosz.

Dlaczego jednak zarumieniła się, gdy powiedziała, że mieszka w Barbizonie? Dlatego, że tam nie mieszkała. Wiedziałem, że kłamie, ale nie umiałem jej tego udowodnić. Ilekroć do niej zachodziłem, albo była gdzieś w mieście, albo spała. Gdy przychodziłem tam po nią, podchodziła do recepcji, jak gdyby wynajmowała tam pokój, płaciła za pobyt, ale nigdy nie była zameldowana.

Czy miałem prawo się skarżyć? Sam przecież wymyśliłem podstęp z mieszkaniem na West Side, udawałem przed nią ubogiego pilota, który w swej zakłóconej wyobraźni wciąż jeszcze przemierza niebo nad Europą.

Nasze zaloty były podszyte kłamstwem, ale urocze. Ponieważ nie dane mi było znać Constance w późniejszym wieku, nasza miłość nie wykroczyła poza wstępny etap wszechogarniającej namiętności, jakby żywcem wziętej z kart *Romea i Julii*, miłości, która zaślepia. Taką miłość można czasem zobaczyć w restauracjach, gdy mężczyzna i kobieta siedzą naprzeciwko siebie przy stoliku i patrzą sobie w oczy, niezdolni odwrócić wzroku, wzajemnie zahipnotyzowani jak marczujące koty. Teraz taki widok budzi we mnie raczej coś w rodzaju znużenia i wzgardy, ale tamte chwile wspominam z przyjemnością. Jest to stan, wobec którego miłość cielesna jest służebnicą i bez którego miłość cielesna jest jak taniec bez muzyki.

Wkrótce, co w dawnym kalendarzu znaczyło sześć-osiem miesięcy, tysiące godzin pocałunków, przytulania i pieszczot doprowadziły do nieopanowanych, pełnych, wilgotnych, długotrwałych... o Boże... których wcześniej ze względu na przyzwoitość unikaliśmy. W tamtych czasach, inaczej niż dziś, akt miłosny nie był dziesięciominutowym spotkaniem, ćwiczeniem gimnastycznym, wymogiem społecznym czy orgazmiczną formą siłowania się na rękę. Był ukoronowaniem wielomiesięcznych prób, przymierzania się i rozterek moralnych. Był sygnałem prawdziwej miłości i oddania na całe życie. Był obopólną kapitulacją przed niezwykłym żywiołem, ale dopiero po długiej bitwie, która pozwalała obu stronom sprawdzić się przed sobą nawzajem, może też przed światem.

Największe nawałnice zaczynają się od drobnutkiemu śniegu. Musiałem być szalony, że narzuciłem sobie tak wymagający reżim po czterdziestce, gdy fizyczną świetność miałem już dawno za sobą. Leżeliśmy spleceni ze sobą całymi dniami. Myślę, że tak właśnie robią owady. Widziałem kiedyś dwie muchówki połączone ze sobą w idealnie symetryczny sposób, siedzące na górnej części drzwi od łazienki. Dmuchałem w nie, a one odleciały, połączone w jeden organizm. Ich lot był szybki i wdzięczny. Jakim cudem umiały tak nagle, bez namysłu i przygotowania, zmienić się w dwupłatowiec?

Na plaży widuję wyuzdanych młodych ludzi w kostiumach kąpielowych zakrywających ich ciała mniej więcej tak, jak proca mogłaby zasłonić melon. Czy oni wiedzą cokolwiek ponad

to, co najbardziej oczywiste? Co opalona lubieżnica z tatuażem na wylewającej się ze stanika piersi może wiedzieć o Constance, o jej szczupłych, silnych ramionach, o jej nieugiętej skromności i o wielkiej seksualności, którą wybuchła, gdy w końcu pozwoliła sobie odsłonić się przede mną?

Słucham, jak dudnią ohydne diabelskie rytmy lambady, słucham, jak drwią z Północy. Drwią z tego, czego myśmy nauczyli się od zimnego morza i porywistego wiatru. Drwią z kuszenia i upadku.

Nie wiecie, dlaczego Constance mnie oszukiwała, ale wiecie, czemu ja oszukiwałem ją. Nie chciałem, by mnie kochała dla moich pieniędzy, nie chciałem, by odniosła wrażenie, że w porównaniu z tym, co robię w rzeczywistym świecie, z rzeczywistymi ludźmi i gospodarkami rzeczywistych narodów, jej zajęcia są jałowymi akademickimi ćwiczeniami.

Wiele historii miłosnych kończy się, jak przypuszczam, z jeszcze większym hukiem i w sposób jeszcze bardziej niszczący – gdy rozdzierająca namiętność wypala się na służbie zwyczajnej próżności. Mogliśmy się przeprowadzić do Connecticut, kupić parę kucyków i postać dzieci do szacownej szkoły, mogłem skończyć w siodle jako pan na martwych włościach. Nie doszło do tego, bo w którąkolwiek stronę się zwróciłem, tam napotykałem kolejny podstęp.

Pierwsze podejrzenie, że nie wszystko jest tak, jak być powinno, naszło mnie bodaj latem 1947 roku. Był sierpień – miesiąc, w którym upał opada na Nowy Jork niczym rozmigotany, oślepiający welon. Pamiętam, że miasto było wtedy jednym wielkim studium w czerni i bieli, z odcieniami szarości, o jakich światu się nawet nie śniło. Było cichsze i bardziej zgaszone niż obecnie, pewnie dlatego, że stare formy osiągnęły już szczyt swego wzrostu i pojawiła się pauza przed upadkiem. Śmierć dawnego królestwa i narodziny nowego nastąpiły, jak mi się zdaje, podczas wielkiej zamieci 1947 roku – miasto spowił wówczas wielki biały całun, niespotykany nigdy przedtem i nigdy potem. Ugrzązł pod nim każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko, stanęły tramwaje, stanęły teatry, stanęła giełda, stanęły autobusy, stanęły zegary.

Rodziny Ignęły do siebie w zupełnej ciszy i gdy całe miasto skupiło się w sobie, napięte jak cięciwa, wszyscy niespodziewanie doznali wielkiego szoku. Śnieg zaczął się osuwać z gzymsów i dachów w taki sposób, jak gdyby ktoś podniósł Manhattan do góry i cisnął nim o ziemię. Ulice zniknęły w białym oparzu, jak gdyby dziecko obróciło szklaną kulę z zimowym pejzażem, potem postawiło ją z powrotem i przyglądało się, jak dawne czasy bezpowrotnie odchodzą w przeszłość.

Mój wielki szacunek dla tamtego okresu bierze się stąd, że są w nim obecni ci, do których nie mam już dostępu. O niczym tak nie marzę jak o tym, by do nich wrócić – gdy wspominam świat, w którym żyli, ogarnia mnie czułość, zapewne opaczna, ale jednak czułość.

Gdybym nie udał się na wygnanie, zostałem w Nowym Jorku, miasto zmieniłoby się i przytłoczyło mnie. Tymczasem mam je dla siebie w dawnej postaci – od lat jest poza moim zasięgiem, ale widzę je i będę widział doskonale, póki nie umrę. Zresztą kto wie? Być może nieskończonemu rozpadowi towarzyszy nieskończona prędkość – i zostaną ciśnięty w przeszłość, w samo serce swych umiłowanych czasów.

Widzę to wszystko, jak gdyby działa się naprawdę. Constance i ja płyniemy statkiem do parku Bear Mountain. Podobnie jak wszyscy na tym szarym tle, Constance mieni się kolorami. Jest tak opalona, że jej biała sukienka nabiera różowego odcienia. Gdy w lekkiej bryzie płyniemy na północ po Hudsonie, ryk samochodów z West Side Highway dociera do nas ponad wodą jak szum dalekiego przypiływu.

Obejmuję ją lewą ręką i delikatnie przyciągam do siebie. Przez swój garnitur i jej sukienkę czuję jej ciało, jak gdyby nie oddzielała nas żadna tkanina. Zaciskam lekko palce na jej ramieniu, a ona tak samo delikatnie obejmuje mnie w pasie. Za nami zostało miasto: jeszcze lśni

w swej starodawnej chwale, ale niebawem zmieni się na zawsze. Promy nie będą już wypuszczać kłębow pary i dymu w złotych zatokach, z ulic znikną konie. Minął czas drewna i kamienia, szerokich płaszczy, otwieranych okien w pociągach i irracjonalnych manier chroniących delikatność i czar ludzkiej duszy.

Constance jest kobietą młodą, znacznie młodszą niż ja, ale jeszcze z tej samej epoki, i rozumie, że niebawem to wszystko przepadnie na zawsze. Stoję na pokładzie w sierpniowym upale i nie mogę oderwać od niej wzroku. Jestem zdumiony, że aż tak bardzo ją kocham.

Ale ona nie była osobą, za jaką ją brałem. Pierwsze podejrzenia naszyły mnie, gdy przepłynęliśmy przez rozlewisko Tappan Zee, spowite niebiesko-białą mgiełką. Dłuższą chwilę po tym, jak minęliśmy Ossining i bezskutecznie wyteżałem wzrok, by dostrzec poprzez drzewa swój dawny dom – nigdy nie dało się zobaczyć go z rzeki, choć rzekę zawsze było widać z domu – okrążyliśmy zakole i wpłynęliśmy w górny bieg.

Na zboczu jednego ze wzgórz ukazała się wielka posiadłość, idealnie uporządkowana, symetryczna, majestatyczna. Z pokładu niespiesznie płynącego statku widzieliśmy tysiące jabłoni zakręcające w równiutkich rzędach, schludnie utrzymane pola, drogi bez kolein, idealnie pionowe kamienne murki, bramy i drewniane płyty pomalowane na jednakowe jasne kolory oraz potężne stodoły, po których nie było widać działania pogody ani upływu lat.

Wszyscy na pokładzie przyglądali się temu imponującemu majątkowi, byli pod wrażeniem trudu, jaki włożono w jego utrzymanie, i piękna jego rozplanowania. Lecz o ile na twarzach pasażerów gościł wyraz podziwu, pragnienia i zazdrości – nawet ja szybko policzyłem w myślach, że nawet za milion lat nie byłoby mnie stać na tak olbrzymią i ustronną siedzibę – o tyle policzki Constance przybrały barwę cynobru, a minę miała jak włamywacz, któremu nagle latarka zaświeciła w oczy.

Gdy statek podpłynął bliżej brzegu, spieniona biała fala chlusnęła spod burty, przetoczyła się przez bazaltowo-czarną wodę i objęła głązy rozrzucone na brzegu. Biały dom stał wysoko nad nami, idealnie okolony drzewami, gładkie pilastry i kolumny zdawały się wyrastać z pnia potężnego dębu.

Odwróciłem się i popatrzyłem na góry po drugiej stronie rzeki, by zobaczyć, jaki widok mają mieszkańcy posiadłości – i ujrzałem, że w prawym oku Constance załśniła łza. Gdy przyjrzałem jej się baczniej, zniknęła.

Mój zawód, moje powołanie wypełniane przez wiele lat, nauczyły mnie zauważać takie drobne sygnały, ulotne świadectwa istnienia niewidzialnych sił, wyćwiczyły mnie, jak dostrzegać, że niezmacony krajobraz podmywają rwące podziemne rzeki.

– Czemu tak cię wzruszył widok tego domu? – zapytałem. Miałem wrażenie, że Constance uległa silnym emocjom i usiłuje je zdławić.

– Tak po prostu – odparła łamiącym się głosem.

– Tak po prostu?

Pod moim czujnym spojrzeniem pomału opadła z niej zbroja. Objąłem ją, a ona ukryła twarz, przytulając mi się do szyi. Płakała, póki nie minęliśmy posiadłości, a następnie, gdy już się pozbierała, wyjaśniła, że jej rodzice – o których dotąd nie wspomniała nawet słowem – pracowali tam i tam też umarli.

– Oboje?

– Są pochowani na wzgórzu.

Wydawało się nieprawdopodobne, by córka feudalnych wręcz służących pracujących w wielkim majątku mogła pójść do Radcliffe na studia.

– Właściciel był absolwentem Harvardu i wielkim dobroczyńcą – powiedziała. – Dzieci jego pracowników i służących miały zapewnioną doskonałą edukację średnią, wszystkie bez

wyjątku dostały się potem na najlepsze uniwersytety – A jego własne dzieci?

– Chodziły do tej samej szkoły.

– To chyba było dla nich trudne?

– Nie – odparła. – Gdy były małe i niewinne, nie wynosiły się nad nikogo. Gdy dorosły, były już świadome pozycji swoich rodziców, ale znały się z nami od najmłodszych lat, więc to ich nie zepsuło.

– To musiała być cudowna szkoła – stwierdziłem.

– Czworo nauczycieli, siedmioro dzieci – powiedziała. – W jednej ze stodół, którą widziałeś, była biblioteka, w drugiej laboratorium.

– *Noblesse oblige.*

– Tak myślę.

– Nie gniewało cię to?

– Nie. Bardzo kochałam rodziców. Nie byli idealni, czasem czułam się zakłopotana ich pozycją społeczną, ale myślę, że przez to jeszcze bardziej ich kochałam. Rodziców najpierw kochamy dlatego, że wydają się wszechpotężni, potem odkrywamy, że są straszliwie bezbronni, ale kochamy ich mimo wszystko, choć w codziennej krzątaninie czasem zdarza się nam o tym zapominać.

Pomijając jeden unik przypominający ustawienie Śmigła w chorągiewkę oraz spore przemilczenia, gruntownie zmieniające sens całej wypowiedzi, wszystko to było najprawdziwszą prawdą. Constance bywała tajemnicza i nieprzystępna, ale nigdy mnie nie okłamywała. Wiele rzeczy jednak zatajała.

Trudno to uznać za grzech. Sam przecież udawałem kogoś innego, co prawda po to, by pewnego dnia sprawić jej niespodziankę, ale z każdym dniem spędzonym u jej boku coraz mocniej przekonywałem się, że ta zabawa w Kopciuszkę jest zupełnie niepotrzebna. Kochałem ją – nic innego się nie liczyło.

Niedługo po naszej rzecznej wycieczce, pewnej sierpniowej soboty, przeszedłem przez park i skręciłem w Fifth Avenue, by spotkać się z nią w Barbizonie. Byłem prawie połowę młodszy niż teraz, mogłem bez trudu przeskakiwać przez ławki, których dziś wypatruję z nadzieją, niczym tonący kół ratunkowych.

Gdy mijałem wielkie wille przy Fifth Avenue, kryjące się w prywatnych parkach za potężnymi kamiennie-żelaznymi płotami, ujrzałem nagle, jak z jednej z nich wybiega Constance. Drzwi zamknęły się za nią, jakby pchnięte ręką służącego. Stałem jak wryty. Po chwili uderzyła się w czoło i zawróciła, najwyraźniej o czymś zapomniała. Wbiegła po schodkach, wyciągnęła klucz, po czym weszła do środka i wybiegła z powrotem tak szybko, że nawet nie zdążyłem zwątpić, czy to na pewno ona. Wybiegła przez bramę jak akrobatka, stanęła na krawężniku i zatrzymała przejeżdżającą taksówkę władcym gestem, godnym generała MacArthura.

Gdy odjechała, przyjrzałem się domowi. To, co zobaczyłem, najpierw po prostu zapało mi dech, dopiero później poznałem szczegóły. Dom miał pięć pięter i suterенę, łącznie czterdzieści osiem tysięcy stóp kwadratowych, nie licząc garaży, oranżerii, pawilonu z basenem i kortu do squasha. Na parterze znajdowała się ogromna sala balowa, wysoka na osiemnaście stóp. Biblioteka miała wysokość dwóch pięter, była wyposażona w antresolę i sześć ruchomych drabin, francuskie okna wychodziły na ogród z wielkimi dębami.

Kuchnie mieniły się miedzią i stałą nierdzewną, dwóch kucharzy w śnieżnobiałych czepkach przez większość dnia przesiadywało przy stole pod wielkim oknem i grało w szachy. Jedna osoba była zatrudniona wyłącznie do polerowania drewna, inna polerowała metale i marmury, jeszcze inna tylko szkło. Połysk to jednak połowa chwały domu, drugą połowę

stanowią kwiaty – i były tam kwiaty, były wszędzie, niczym w ogrodach Niterói. No, niezupełnie: nic nie może się równać ze starannie wypielegnowanym ogrodem w tropikalnym słońcu. Taki ogród jest równie piękny, jak młodzi ludzie, którzy go doglądają – młode dziewczęta w słomkowych kapeluszach i ciemnych purpurowo-niebieskich bluzkach, o rumianych i doskonale wyprofilowanych twarzach, i silni, energiczni chłopcy, którzy nie mogą oderwać wzroku od swych ślicznych współpracownic. Widok pięknej dziewczyny z konewką w ręce, skapaniej w gorących promieniach słońca potrafi przyprawić o drżenie serca.

Stałem na Fifth Avenue i przyglądałem się posiadłości i ogrodowi, w których Constance czuła się jak w domu. Co tu się dzieje?, zastanawiałem się. Lecz wszystko było jasne: miałem przed sobą jej dom. Jakiś czas potem, gdy już nie dało się dłużej zachować pozorów, zaprosiła mnie tam, a jeszcze nieco później, gdy ją poślubiłem, stał się także moim domem.

Choć nie z własnej winy, Constance Olivia Phoebe Ann Nicola Devereaux Jamison Buckley Andrews Smith Faber Lloyd była miliarderką. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że rodzinne fortuny mogą nie tylko dzielić się w postępie geometrycznym, ale też w taki sam sposób koncentrować – dzięki jakiejś formie primogenitury lub strategicznie zawieranych małżeństw. Przodkowie Constance byli tak roztropni, zapobiegliwi i wyrachowani, że stopili kilkadziesiąt potężnych fortun w wielką śniegową kulę bogactwa, do której Ignęły kolejne majątki. Constance była głęboko przekonana, że nigdy, pod żadnym pozorem, nie pozwoli sobie na więcej dzieci niż jedno. I że to dziecko, na Boga, nie poślubi plebejusza.

– W takim razie co ze mną? – zapytałem: w końcu wyszła za mnie, a ja, choć pełnoprawny wspólnik banku Stillman and Chase, wedle jej kryteriów byłem nie tylko plebejuszem, ale wręcz prostaczkiem, proletariuszem, pikusiem.

– Ty jesteś wyjątkiem – powiedziała. – Poza tym u nas dziedziczy się po matce.

Nie miałem wątpliwości, że Constance kocha mnie tak samo jak ja Kocham ją, ale od kiedy ujrzałem, jak otwiera sobie kluczem drzwi potężnej willi, w miejsce robaka wątpliwości zaatakowała mnie, że się tak wyrażę, ośmiornica lęku.

Tu, w ogrodach Niterói, mogę powiedzieć prawdę, choć wciąż przyprawia mnie ona o chorobę morską. Owszem, byłem pilotem myśliwca, asem odznaczonym Zaszczytnym Krzyżem Lotniczym. Dwukrotnie zostałem zestrzelony, a po pierwszym zestrzeleniu dotarłem wpław do brzegu, przebrnąłem przez pustynię i już po tygodniu znowu wzbiłem się w powietrze, z pełnym bakiem i uzbrojony po zęby.

No dobra, nie uzyskałem doktoratu na Harvardzie, ale zrobiłem tam licencjat, a potem magisterium w Oksfordzie. Byłem pełnoprawnym partnerem i starszym wspólnikiem w Stillman and Chase. Dochrapałem się tego stanowiska pozornie dzięki sprzyjającym okolicznościom, a w rzeczywistości dzięki starannej kalkulacji mego wuja. Przekroczyłem czterdziestkę, ale miałem doskonałe zdrowie i krzepę atlety. Coraz swobodniej czułem się w towarzystwie prezydentów i królów, przy papieżach wręcz zupełnie swobodnie. Lecz gdy Constance wprowadziła mnie do swego wspaniałego domu – i to nie jedyne, miała też inne domy – stało się ze mną coś okropnego.

Od tego wieczoru – Chryste Panie, jej ojciec był laureatem Nagrody Nobla, na dodatek nieżyjącym – ilekroć spojrzałem w lustro, widziałem chomika: przygarbionego, ze spiczastym pyszczkiem, w kolorze brudnego brązu, małego pulpecika z nóżkami i białymi wąsikami. Jej miliardy mnie pomniejszały. Byłem utrzymankiem. Żigolakiem. Gryzoniem. Próbowiałem temu zaprzeczać, ale gdy nawet udało mi się stanąć przed lustrem i odzyskać pewność siebie, już po chwili zaczynałem się kurczyć we własnych oczach i zmieniałem się w chomika – choć czasem myślałem sobie, że mógłbym być chociaż świnką morską.

Nie przyznawałem się, rzecz jasna, do tej przypadłości, Constance jednak i tak na

wszelkie możliwe sposoby starała mi się w niej ulżyć. Z wrodzonym sobie wdziękiem przywracała mi pewność siebie swymi działaniami, siłą faktów. Mianowała mnie współspadkobiercą wielu trustów, które przejęła w spadku. Na moje protesty odpowiadała, że skoro dostała je przypadkiem dzięki urodzeniu, ja mogę dostać je przypadkiem dzięki miłości. Kazała swoim prawnikom wystawić wszystkie papiery na oba nazwiska.

– No i mamy – oznajmiła, gdy wszystko zostało podpisane. – Przyklepane. Co moje, to twoje. Zresztą może powinniśmy rzucić to wszystko i zamieszkać w jakiejś chacie na plaży.

– Na jakiej plaży?

– W Southampton.

– A co z fortepianem?

– Obok chaty moglibyśmy urządzić studio muzyczne, trochę w williamsburskim stylu, z eleganckim ogrodem okolonym terenami zależnymi, stajniami, basenami pływackimi, kortami tenisowymi i oranżeriami po drugiej stronie wielkiego trawnika.

– Co byśmy jedli? – spytałem cokolwiek sarkastycznie.

– Łowilibyśmy ryby i zbierali jagody, zamawialibyśmy też prowiant pocztą lotniczą z Fortnum and Mason i z Petrossiana.

Constance była olśniewająco inteligentna, ale miała bardzo szczególne poczucie rzeczywistości. Któregoś dnia na przykład wróciłem do domu i ujrzałem, jak przechadza się tam i z powrotem po bibliotece w bardzo kwaśnym nastroju. Spytałem, co ją tak zdenerwowało. Powiedziała, że weszła do sklepu żelaznego przy Lexington Avenue, żeby kupić maleńkie przyrządiki do odrywania szypułek z truskawek. (Nazwałbym je pincetkami, ale przy pincetkach wyglądają jak modliszka przy hipopotamie).

Sprzedawca był tak niemiły, że zwróciła mu uwagę, iż jako istota ludzka, a do tego jego klientka, zasługuje przynajmniej na zwykłą uprzejmość – wtedy wybuchł stekiem obrzydliwych wyzwisk, śliny i piany.

– I co w tym dziwnego? Jesteśmy w Nowym Jorku – stwierdziłem, gotów pobiec do sklepu i rozedrzeć właściciela na strzępy.

– Załatwię go po swoim – powiedziała.

– Wykupisz cały kwartał i wyeksmitujesz go?

Pokręciła głową.

– Otworzysz pięćdziesiąt sklepów żelaznych po drugiej stronie ulicy?

– Nie.

– Więc?

– Sprawię, że zaczniesz wierzyć w pogańskiego boga – odparła – a potem mu tego boga zabiorę.

– No jasne – potwierdziłem. – Domyśliłem się, tylko nie powiedziałem tego na głos.

Wówczas wyjawiała mi dość zdumiewający plan. Aż wstrzymałem oddech – wiedziałem, że naprawdę ma środki, by go zrealizować.

– Sam powiedz – ciągnęła tonem słodkim i przerażającym zarazem. – Chyba mam prawo mu się zrewanżować, prawda?

– Pozwól, że zrobię to za ciebie.

– On ma kij baseballowy.

– Groził ci nim?

– Trzymał go w ręce.

– Każę mu zjeść sitko do herbaty.

– Nie możesz tego zrobić – stwierdziła. – Nie wolno ci już robić takich rzeczy. Gazety oskarżają nas, że go szykanujemy.

– Chcesz powiedzieć, że skoro jesteś bogata, musisz się zachowywać jak wycieraczka do butów?

– Nie, ale musimy działać w sposób określny.

– Czyli na przykład sprawić, by ktoś uwierzył w pogańskiego boga...?

– Tak.

– A potem mu go odebrać?

– Otóż to.

– Ale czy to nie jest nazbyt oczywiste? – zaoponowałem.

– Ani trochę – odparła – ale potrwa jakieś cztery-pięć lat. W rezultacie zamknie swój sklep i przejdzie na emeryturę jako człowiek zgorzkniały i zdezorientowany.

– Nic dziwnego, że boisz się gazet. Za to, że powiedział ci parę słów, zamierzasz go zrujnować.

– Tak, a po drodze przysporzyć mu pieniędzy.

– Wielkich?

– Milionów, jeśli będzie roztropny. I jeśli oprze się pokusie.

– To dobra zemsta – powiedziałem pogodnie. – Naprawdę dobra.

Taki plan mógł się zrodzić jedynie w nieskrępowanej wyobraźni kogoś, kto przez całe życie usiłował pojąć, na czym polega wartość pieniędzy, ponieważ miał ich zawsze niewyczerpaną ilość i przez to wydają mu się pozbawione immanentnej wartości.

Constance najpierw zamierzała zatrudnić sztab menedżerów i umieścić ich w osobnym biurze. Mieli wyszukać i nająć aktora, który byłby uderzająco podobny do Ojca Czasu, a następnie wysłać go w lipcu do sklepu żelaznego i poprosić o sanki. Constance zauważyła, że jej dręczyciel trzymał w kącie sklepu stosik sanek na metalowych płozach. Aktor miał być tak ucharakteryzowany, żeby roztaczać blask. Constance zaprojektowała – czysto teoretycznie – system ultrafioletowych lampek zasilanych małymi baterijkami, mających rozświetlać fluorescencyjny puder rozsypany na jego pelerynie i kosie.

Ojciec Czas miał się pojawić w sklepie podczas letniej burzy z piorunami, poprosić o sanki, kupić i wyjść. Nazajutrz mieli się pojawić dwaj podstawieni klienci i również poprosić o sanki. Następnego dnia trzej kolejni, potem czterej i tak dalej, niemal *ad infinitum*.

Po blisko trzech latach – dokładnie trzech latach bez dziewięćdziesięciu pięciu dni – każdego dnia, jesienią, zimą i latem (w Nowym Jorku nie ma wiosny), do sklepu przychodziłyby już tysiące ludzi, wszyscy kupowaliby sanki, lecz wyłącznie między godziną dziewiątą a piątą.

Znaczyło to, że co niespełna trzydzieści sekund właściciel sklepu sprzedawałby parę sanek jednego typu – inne modele i akcesoria byłyby ignorowane – i za tę samą cenę. Gdyby chciał podnieść cenę lub nawet ją obniżyć, kupujący mieli od razu wychodzić.

Koniec końców po odliczeniu kosztów stałych i podatku właściciel sklepu zarabiałby około pięciu milionów ówczesnych dolarów rocznie. Gdyby nie było go w sklepie, legion podstawionych kupców miał rezygnować z zakupu. Sklepikarz byłby bardzo zajęty, utonąłby w sankach po uszy.

W końcu, w najgorętszym dniu lata, gdy raczej nie należy się spodziewać przypadkowych klientów, umyślni zostaliby odwołani. Poprzedniego dnia, przy zaledwie czterdziestoośmiostopniowym upale, sprzedał tysiąc sanek. Przez następny tydzień nikt nie pytałby o sanki. Sąsiedni kupcy – którzy również próbowaliby sprzedawać sanki, reklamowałoby je w przebraniu Świętego Mikołaja, obniżali ceny, lecz bezskutecznie – uznaliby, że jego dobra passa się skończyła.

Sklepikarz zacząłby myśleć o przejściu na emeryturę, lecz nagle do sklepu znów wkroczyłby Ojciec Czas – i bez namysłu poprosił o brytfannę. Cały cykl zaczęły się od nowa,

potem niespodziewanie skończył, następnie znów zaczął, i tak dalej, ilekroć Ojciec Czas prosiłby o kolejne artykuły.

Gdy właściciel sklepu byłby już niekwestionowanym królem sanek, brytfann i nożyków do obierania jabłek, pewnego dnia Ojciec Czas zażyczyłby sobie czarnej poduszki z końskiego włosia z wyhaftowanym purpurowym pajakiem. Takich rzeczy oczywiście nie zamawia się w jednym egzemplarzu, jeśli zamierza się sprzedawać je w setkach tysięcy.

Tymczasem w katalogach wytwórców hurtowych Constance od kilku lat umieszczałyby fabrykę w New Bedford, specjalizującą się w haftowanych poduszkach z końskiego włosia. Fabryka byłaby opisana jako „podupadająca”, wymagałaby dużego zastrzyku kapitału, przypadkiem wynoszącego dokładnie tyle, ile do tej pory zaoszczędził sklepikarz. Ten naturalnie nie miałby ochoty ryzykować świeżo zarobionego majątku, ale Ojciec Czas pojawiłby się znowu, znów zażądałby poduszki i zaofiarował za nią bajońską sumę. Potem do sklepu znów zaczęłyby walić drzwiami i oknami podstawieni klienci, za ciężkie pieniądze zamawialiby identyczne poduszki i niecierpliwie się o nie dopytywali.

Gdy zamówienie zostałoby zrealizowane, podupadająca gospodarka New Bedford stanęłaby na nogi (choć dzięki technologii niespecjalnie rokującej na przyszłość), a magazyny kupca wypełniłyby się poduszkami, Constance zakończyłaby całą operację i zatrudniła bataliony specjalistów od kontaktów z mediami, a ci zapełniliby gazety i czasopisma opowieściami o sklepikarzu z Lexington Avenue, który został na lodzie z pół milionem czarnych poduszek z końskiego włosia z pajakami wyhaftowanymi purpurową nitką.

Wtedy, i dopiero wtedy, Constance odwiedziłaby ponownie znękanego sklepikarza i poprosiłaby o pincetki do truskawek. Gdyby wszystko skojarzył, świetnie. Jeśli nie, to trudno.

– Myślisz, że skojarzy? – spytałem.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała.

Mogła to zrobić. Naprawdę mogła. Ale nie zrobiła. Zamiast tego podarowała dwadzieścia pięć milionów dolarów szpitalowi Alberta Schweitzera w Lambaréné.

Starałem się jakoś pogodzić z tym, że nagle wszedłem w posiadanie banalnych kilku miliardów dolarów. Nie czułem się usprawiedliwiony w wydawaniu tych pieniędzy – i nigdy ich nie wydawałem. Mieszkalem z Constance w naszych domach w Paryżu, Rzymie, Londynie i Palm Beach, ale czułem się w nich mniej więcej tak samo jak w pustych luksusowych hotelach. Z moimi zarobkami w Stillman and Chase, z których opłacałem sobie udawane kawalerskie mieszkanie, stać mnie było na noclegi w takich hotelach i sądzę, że czułbym się w nich nawet swobodniej, ponieważ można tam było spotkać innych ludzi.

Olbrzymie sumy pieniędzy wisiały mi nieustannie nad głową jak urwisko. Odbijały każdy dźwięk, zasłaniały słońce.

Ich przytłaczająca obecność była nie do uniknięcia. Opiekowaliśmy się nimi, a one miały nas w swym posiadaniu, nie na odwrót. Nigdy nie zapomnę, jak w dzieciństwie ojciec zabrał mnie do Wirginii na objazdową wycieczkę po polach bitew, w których walczył podczas wojny secesyjnej. Był 1913 rok. Niektóre miejsca obchodziliśmy pieszo, czasem wynajmowaliśmy konie.

Nieopodał jednego z piękniejszych pół bitewnych, z widokiem na Pasma Błękitne, znajdowała się podupadła posiadłość. Jechaliśmy przez należące do niej lasy i pastwiska z jednego miejsca potyczki do innego. Po drodze napotkaliśmy właścicielkę, jechała konno przez kotlinę, a gdy się przedstawiliśmy, zaprosiła nas na herbatę – herbaty również nie piłem – do olbrzymiego bukszpanowego ogrodu.

Dom się rozpadał, pola wyglądały kiepsko, za to bukszpan był w doskonałym stanie. Kobieta poświęcała całą energię i wszystkie środki na jego pielęgnację. Wyjaśniła, że robi to,

ponieważ ogród ma dwieście pięćdziesiąt lat i znajduje się na liście zabytków.

Poczułem, jak mróz przebiega mi po krzyżu. Siedzieliśmy otoczeni miliardami liści i prastarą, nierozwikłaną płataniną korzeni sięgającą w głąb ciemnej ziemi, w groteskowym labiryncie, który tkwił w wirginijskiej glebie od dwóch i pół wieku, mógł żyć przez kolejne dwa i pół, a kobieta siedząca z nami przy stoliku była jego niewolnicą. Ilu ludzi przed nią sobie podporządkował, ilu jeszcze miał zniewolić w przyszłości?

Ojciec, który nigdy nie owijał w bawełnę, podzielał mój wstręt i uznał za wskazane obrazić – a może uratować – tę kobietę, mówiąc przy pożegnaniu:

– Szanowna pani, to ohydne zielsko wzięło panią w niewolę. Musi pani je unicestwić dla dobra swych jeszcze nienarodzonych dzieci, bo inaczej one także się od niego nie uwolnią. Niech pani je wytnie, wyrwie z korzeniami i spali, a ziemię posypie solą.

Podobnie było z Constance i jej fortuną. Constance była zbyt inteligentna, by nie zdawać sobie z tego sprawy, ale nie miała odwagi porzucić swoich pieniędzy. A ja, choć miałem tę odwagę – marzyłem, by uwolnić się od ich dławiącego ciężaru – nie chciałem porzucić jej.

Nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko wieść jałowy żywot bogaczy. Magia pieniędzy i kapitału bierze się z uwznioślenia. Popatrzcie sobie na taki George Washington Bridge: w tym, co ujrzyte, technologia zajmuje tylko niewielką część. Reszta to kapitał. Setki tysięcy ton stali zostały wyrwane i wytopione ze skał w głębi ziemi, uformowane, przetransportowane i podniesione przez armię ludzi, których nigdy nie udałoby się zebrać i skoordynować, gdyby nie to, że dolary da się gromadzić w miliardach i wznosić do jednego abstrakcyjnego punktu – nie umiałby go znaleźć sam Euklides, a to w nim zyskują moc godną czarodziejskiej różdżki lub śmiercionośnych laserów z filmów science fiction.

Przekonałem się, że jeśli nastąpi odpowiednio wielka koncentracja kapitału, jego właściciele przeobrażają się w próżne, rozkapryszone potwory lub wypełnia ich nieukojonny smutek. Constance była pełna smutku – i jest to nieuniknione, gdy można mieć wszystko, czego tylko się zapagnie.

Któregoś dnia zachciało jej się, bym został prezydentem.

– Prezydentem czego? – spytałem.

– Stanów Zjednoczonych.

– Ja? – powiedziałem bezgłośnie, samymi ustami, celując sobie palcem w splot słoneczny.

– Tak – odparła i rozpoczęła typową dla siebie rytmiczną kanonadę: – Jesteś dobrym mówcą. Jesteś nieskazitelnie uczciwy. Jesteś doświadczonym analitykiem polityki międzynarodowej. Całkiem niezłe znasz się na ekonomii. Jesteś bohaterem wojennym. Jesteś przystojny. Urodziłeś się w Stanach, a teraz masz na koncie miliardy dolarów. Dlaczego nie?

– Ale przecież...

– Studiowałeś na Harvardzie jak Rooseveltowie i Adamsowie. Miałbyś poparcie na Wall Street nawet jako populistą hipnotyzujący tłumy.

– Ale przecież...

– Mógłbyś zacząć od senatu. Wykupię kilka strategicznych gazet, będą cię popierać. Masz taką wolę walki! Co za cudowny pomysł! Wcześniej zupełnie mi to nie przyszło do głowy.

– Constance...

– Co?

– Nie mógłbym zostać prezydentem, nawet gdybym chciał.

– Oczywiście, że możesz, jeśli zechcesz.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo byłem skazany za morderstwo i wychowałem się w zakładzie dla obłąkanych. Oto dlaczego.

Zamyśliła się. Niemal widziałem, jak przegląda w głowie encyklopedie historyczne.

– Nie sędzę, by była to przeszkoda nie do przejścia, skarbie.

Na poparcie swego planu przedstawiła gruntowną analizę historyczną, ale nie dałem się przekonać. Zresztą w głębi duszy wcale nie chciałem być prezydentem Stanów Zjednoczonych. Jeśli zapłaci się odpowiednią sumę, zależną od aktualnej pozycji politycznej prezydenta, można stanąć obok niego i zrobić sobie z nim zdjęcie – prezydent musi się wtedy uśmiechnąć. Oprócz prezydenta znałem tylko jedną istotę, której płaciło się za możliwość zrobienia wspólnego zdjęcia: szympana na promenadzie na Coney Island. Na imię miał Tony, a uśmiechał się tylko do tych, którzy mu się spodobali. Niestety ja mu się spodobałem. Miałem dwanaście lat, myślał pewnie, że jestem dziewczynką, bo pocałował mnie w usta. Był to mój pierwszy pocałunek...

To chyba słuszna kara, wybraliśmy się bowiem wtedy z kolegami w trzygodzinną podróż na Coney Island w bardzo określonym celu: żeby stać pod promenadą z zadartymi głowami i zaglądać kobietom pod spódnice. Ponieważ pole widzenia było ograniczone mniej więcej do jednego stopnia, a kobiety przechodziły ze średnią prędkością dwóch-trzech mil na godzinę, to, cośmy widzieli, widzieliśmy jedynie przez jakąś jedną piątą sekundy. Jeśli dodać do tego nietypową perspektywę oraz to, że nie wiedzieliśmy, czego właściwie szukamy, nie widzieliśmy właściwie nic – i za karę szympana pocałował mnie w usta (mylem potem zęby przez półtorej godziny). Mimo to jeździliśmy tam raz po raz – aż tak potężna jest potrzeba kontynuowania gatunku (zakładając, że Tony to osobny gatunek).

Mój rzeczywisty, uporczywy dylemat uzmysłowiłem sobie z całą jasnością nie na promenadzie, lecz na moło. Dziadek Constance pan Devereaux zbudował ustronie w górach Adirondack. Nazywano je co prawda obozem, ale domek miał powierzchnię ośmiu tysięcy stóp kwadratowych, własny hangar dla wodnopłatowca, przystań dla łodzi, pokój muzyczny, hotelową kuchnię, podgrzewane wieszaki na ręczniki i radiostację.

Pewnego letniego dnia pojechaliliśmy tam popływać czółnem. Woda była czysta, jezioro ogromne i błękitne, las pusty i cichy. W nocy padał deszcz, moło było mokre, parowało we wczesnorannym słońcu. Odwiązywałem właśnie rufową cumę, a Constance siedziała na dziobie, gdy nagle przypomniała sobie, że zapomniała o olejku do opalania.

Popędziłem do domu, by go przynieść. Stuknęło mi już czterdzieści pięć lat, ale miałem doskonale wyposażoną siłownię i czas, by jej używać. Wbiegłem na wzgórze, przeskakując po cztery stopnie naraz, wpadłem do domu, jak rakieta wleciałem na piętro, porwałem plastikową butelkę pachnącą jak piña colada i postanowiłem, że wracając na miejsce na rufie, pobiję wszystkie rekordy szybkości.

Takiego biegu nie powstydziliby się Jesse Owens. Leciałem. Im szybciej biegiem, tym szybciej biegłem. Tak się jednak nieszczęśliwie – a może szczęśliwie – złożyło, że moło dzieliło się na dwie części, w połowie długości obniżało się o jakieś pięć stóp, na niższą część schodziło się po drabinie. Constance siedziała w czólnie przy końcu moła, osłoniła oczy przed słońcem i przyglądała się, jak pędzę.

Pokonałem wyższą część pomostu i zamierzałem zeskoczyć na niższą, lecz to mi się nie udało. Zapomniałem, że deski są mokre, i gdy próbowałem się zatrzymać, nogi poleciały mi do przodu, jak gdybym pośliznął się na skórce od banana.

Najpierw wyleciałem w górę, a potem runąłem na niższą część pomostu, wylądowałem jak długi. Łącznie musiałem spaść z wysokości jakichś siedmiu stóp. Upadłem z taką siłą, że po całym jeziorze rozeszły się fale. Mało brakowało, by deski pękły na pół jak po potężnym ciosie karate. Upadek czułem w każdym mięśniu mojego ciała, nie wyłączając głowy. Constance

twierdziła, że huk był taki, jakby wybuchła bomba. Sądziła, że złamałem sobie kręgosłup, że umrę lub spędzę resztę życia w śpiączce.

Stała się jednak rzecz przeciwna: radość spadania, a potem nagłe trzeźwiące zderzenie z pomostem ożywiły mnie, i to pod wieloma względami. Moje obrażenia nie były większe niż po łaskotkach. Obudziło się moje dawne „ja”, wiedziałem, że ono wciąż żyje, że to, co miałem kiedyś, mogę jeszcze mieć – w mięśniach, w kościach, w wewnętrznej iskrze, która zawsze się tli, w ogniu walki i trwogi.

Uderzenie o deski, a potem ulga, że jednak nic mi się nie stało, uwolniły mnie z jarzma moich miliardów. Koniec z kabrioletami, motorówkami, jachtami i basenami. Koniec ze służbą domową, otwieraniem nowych oddziałów w szpitalach, fundowaniem regałów dla bibliotek. Koniec z siedzeniem w ogromnych, pięknie umeblowanych pokojach i zastanawianiem się, czy jeszcze żyję. Koniec tęsknoty za dzieciństwem, w którym nie miałem nic i dlatego miałem wszystko. Koniec z listami od zbiegłych z Polski klawikordzistów z prośbami o wsparcie dla instytutów mechaniki muzycznej. Koniec z belgijskimi czekoladkami i skórzanymi teczkami od Dunhilla. Koniec ze wszystkim.

Postanowiłem, że porzucę pieniądze, nie porzucając jednak Constance – że zacznę od zera, że sam zostanę miliardem. Musiałem to zrobić, choć wiedziałem z góry, że to, co zgromadzę, również będę musiał porzucić.

Może się to wydawać sprzeczne z ludzką naturą, ale ze wszystkich chwil mojego życia najwspanialsze były te, które przeżyłem o krok od otchłani, największą zaś moc czułem zdany na łaskę żywiołów, ponieważ wtedy stapałem się z nimi w jedno i każdy atom mego ciała stawał się czystą, bezbolesną, nieskończoną błyskawicą.

Myślę, że w chwili, gdy eksplozja samolotu odrzuciła mnie do tyłu i w oczach miałem tylko blask ogniowej kuli, połączyło się ze sobą tyle przeciwieństw – prędkość i bezruch, dźwięk i cisza, wiatr i próżnia wyższych warstw atmosfery, świadomość i śnienie – że może stałem się wówczas, ledwie na moment, aniołem.

Czym jest anioł? Anioł jest istotą, która ujrziała Boga. Anioł przeniknął przez zasłonę śmierci w nieskończone światło po drugiej stronie, w nieważką i srebrzystą jasność, w brak grawitacji, w nieustający pęd, w lekkość. Oczywiście tylko na chwilę. Z początku byłem zdumiony, wisiałem zupełnie bez ruchu, a potem, gdy szukałem ręką linki spadochronu, uśmiechnąłem się.

Jak mogę to wyjaśnić, skoro sam u kresu życia nie umiem tego pojąć?

Zawsze dziwiłem się, słuchając wspomnień starych ludzi. Jak to jest, zastanawiałem się, że tak często łączy się w nich elegijność, płynność i oszczędność? I to bez względu na to, kim jest bohater: dyplomatą spisującym zmyślane wspomnienia, Eskimosem zatraconym w opowieści o polowaniu na wieloryba sprzed półwiecza, staruszką spokojnie rekonstruującą dzieje przepadłej w czasie rodziny? Wszyscy oni mówią tonem elegijnym, ponieważ wspominają zmarłych, robią to płynnie, ponieważ wyleciały im z głowy drobiazgi spowalniające bieg opowieści, i muszą robić to oszczędnie, bo po prostu brakuje im energii.

Ja stanowię wyjątek od tej reguły. Znać mnie już. Wprawdzie jestem stary, a moje refleksje bywają czule, ale w swym wnętrzu płonę jak lont ukryty w róży. Jestem nieokrzesany jak siedmiolatek, a czasem niecierpliwy i nadpobudliwy jak rozpalony czternastolatek. Dlaczego?

Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Nie uznaję już wielkich idei, które przyświecają nam za młodu, nie wierzę w bajki o sprawiedliwości, a miłość jest dla mnie czymś pośrednim między wspomnieniem i marzeniem.

Skąd bierze się moja energia, mój apetyt, moja przekora, moje pragnienie? Coś chyba utkwiło mi w mózgu, nie klin, nie blokada, raczej jakby pulsujący węgielek, maleńki piec

tętniącej krwi, gorący diament czy szmaragd, coś szalonego, pięknego i słodkiego. To coś pcha mnie naprzód, jak gdybym nie był sędziwym starcem, tylko jeźdźcem, który z łomoczącym sercem przeskakuje na koniu przez strumienie i mury. Odurza mnie to niczym owe piękne kobiety, które przez większość czasu wydawały mi się niedosiężne, wymagające jak bitwa, a dziś są drogie memu sercu jak religijna wizja. Lecz do czego właściwie tak się garnę, do jakiej abstrakcyjnej energii, do jakiej magii, jakiego życia?

NIEBO NAD EUROPA

Jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, odłóżcie przeczytane kartki do mrówkoszczelnej kasety.

Jak sądzicie, jakie środki bezpieczeństwa stosuje akademia brazylijskiej marynarki wojennej wobec nauczyciela języka angielskiego, zważywszy, że Brazylia nie ma innych wrogów niż lenistwo i olej kokosowy? Marynarka brazylijska nie przywiązuje wielkiej wagi do bezpieczeństwa, choć wraz z innymi formacjami sił zbrojnych i tak jest pod tym względem skrupulatniejsza niż reszta kraju.

Tak czy owak, nie sądzę, by kiedykolwiek badali moją przeszłość, od kiedy przyjęli mnie do pracy, a gdyby nawet, znaleźliby bardzo niewiele: miałem ten przywilej, że większa część mego życia rozegrała się przed pojawieniem się komputerów. Nie jestem zresztą pewien, czy sformułowano wobec mnie jakieś zarzuty, a jeśli tak, to jakie. Pewne rzeczy trzyma się w tajemnicy, by uniknąć politycznej kompromitacji. Możliwe, że wcale nie musiałem szukać kraju, z którym Stany Zjednoczone nie mają umowy o ekstradycję, i równie dobrze mogłem się ukryć choćby w Londynie czy Madrycie.

Całkiem niedawno *comandante* zainteresował się moją przeszłością i wszczął niemrawe śledztwo. Mam nadzieję, że szybko się nim zmęczy i da sobie spokój, jak to zwykle robi z większością spraw.

Brazylijskie siły powietrzne postanowiły zakupić lepsze samoloty, a z najlepszych starych maszyn utworzyć eskadrę do zwalczania działań partyzanckich. Jest to całkiem rozsądne: stare śmigłowe AT-26 nie mają szans w starciu z nowoczesnymi myśliwcami i obroną przeciwlotniczą, za to dzięki niewielkiej prędkości przelotowej są idealne do zadań nad dżunglą.

Pilotów rekrutowanych do tej grupy szkoli się na samolotach T-27 Tucano, mniejszych niż AT-26, ale ogólnie dość podobnych. Ponieważ potencjalnym celem ich działań ma być partyzantka, wielu z nich wysyła się do Stanów Zjednoczonych, by uczyli się od nas. Ja wysłałbym ich raczej do Wietnamu Północnego.

Wszyscy ci rekruci mówią po angielsku, przydzielono ich jednak do mnie, bym trochę oszlifował im język – to znaczy język angielski, a nie języki, które mają w ustach. Zamiast jednak uczyć ich dyplomatycznych uprzejmości, które uważali za przydatne na Północy („Mogę zerznąć twoja siostra?”), wzbogaciłem ich słownictwo aeronautyczne, przy okazji nie mogłem się też powstrzymać od udzielenia im paru wskazówek na temat latania.

Ale co ja mogłem wiedzieć o lataniu? Sądząc po moim wyglądzie, urodziłem się jeszcze przed epoką lotnictwa, a żeby umieścić mnie w kokpicie którejś ze swoich maszyn, musieliby użyć dźwigu. Co mogłem wiedzieć o jednopłacie o metalowym kadłubie, z karabinami maszynowymi w skrzydłach i opływowymi zasobnikami na bomby? Co ja mogłem o tym wszystkim wiedzieć? Dobre sobie.

W ciągu trzytygodniowego kursu nie tylko wpoilem im lotniczy język, ale udzieliłem im też tyłu prawdziwych, ciężko wyuczonych lekcji pilotażu i używania broni, że mogliby się zmierzyć w walce nie tyle z siłami powietrznymi Paragwaju czy asami z Surinamu, ile nawet z samą Luftwaffe. Wprawdzie nie należało się spodziewać, by mieli walczyć z Luftwaffe, ale za to całkiem niedawno ich argentyńscy kuzyni niemądrze porwali się na RAF.

Pokazałem im manewry, o jakich nie śniło się ich instruktorom – połowę z nich uważali za niemożliwą do wykonania, choć zmuszony byłem wykonywać je wielokrotnie i zawsze mi się udawały.

– Skąd pan to wszystko wie? – pytali z osłupieniem.

– Po prostu wiem – odpowiadałem.

– Ale skąd?

– Na starość zmieniają się procesy chemiczne w mózgu – wyjaśniłem – i człowiek staje się mądrzejszy. Sami się kiedyś przekonacie, że to, czego się nauczyliście, liczy się w życiu mniej, niż wam się wydaje. O wiele ważniejsze jest to, co mieliście w sobie od początku.

Nie zdążyli jeszcze zamknąć otwartych ze zdumienia ust, gdy jeden z nich spytał:

– Chce pan powiedzieć, że sposoby radzenia sobie z wyciekami płynu hydraulicznego w trakcie walki czy sztuczki z ustawianiem śmigła w chorągiewkę podczas nurkowania miał pan w głowie od urodzenia?

Byłem w pułapce, ale co z tego? Skinałem głową z niezachwianą pewnością siebie.

Tydzień przed końcem kursu wezwał mnie *comandante*. Spytał odruchowo, czy napiję się kawy, po czym zamknął oczy i wstrzymał oddech. Przemilczałem to.

Widzicie, jaka to potężna substancja? Ludzie potrzebują jej, żeby nawiązać kontakt z innymi ludźmi, żeby się obudzić, żeby nie zasnąć, żeby zasnąć, żeby pracować, żeby się bawić, żeby jeść, żeby wyruszyć w podróż, żeby wysiąść z pojazdu.

Ileż to razy zdarzało się, że wchodziłem do jakiegoś pomieszczenia i pytano mnie ni w pięć, ni w dziewięć: „napije się pan kawy?”.

Oczywiście, że się nie napiję. Dlaczego wszystkim się wydaje, że mam ochotę na kawę? I jeszcze te kelnerki! Zawsze pytają, „czy mam już ochotę na swoją kawę”.

To nie jest moja kawa, a poza tym jak one mają czelność zakładać, że jedyne, o co powinny mnie spytać, to kiedy się jej napiję? Ilekroć odpowiadałem „nie”, później i tak przychodziły i pytały, czy może zmieniłem zdanie i jednak napiję się kawy. Nigdy nie zmienię zdania co do kawy, odpowiadałem. Prędzej padnę trupem.

Musiałem przestać chodzić do restauracji. Widok ludzi raczących się kawą był tak przykry, że zwykle wybiegałem z obrzydzeniem. Ludzie piją ją z nieprzytomnym wyrazem twarzy, niczym zombi, jak gdyby przeżywali jednocześnie rozkosz seksualną, uniesienie religijne i ceremonię państwową.

Użytkownicy i apologetyci kawy spoglądają na mnie ze zdziwieniem i mówią: „ale ja ją przecież piję z przyjemnością!”. Owszem, jakżeby inaczej? Tak jak narkomani z przyjemnością biorą heroinę, zboczeńcy z przyjemnością uprawiają swoje zboczenia, a Hitler z przyjemnością najechał na Francję. Co więcej, ta przyjemność bierze się stąd, że bez niej cierpieć. Mechanizm jest podobny jak przy szantażu czy wyłudzeniu, tyle że gangsterem jest tu maleńkie ziarenko, które przejęło kontrolę nad połową świata.

– Jak się pan miewa? – zapytał *comandante*.

– Doskonale.

Nigdy przedtem nie zadał mi tak troskliwego pytania. O ile pamiętam, od zarania dziejów nikt, kto nosi mundur, mnie o to nie pytał. Zważywszy, że wojskowy w każdej chwili może wyparować lub zostać rozerwany na strzępy przez pocisk artyleryjski, pytania w rodzaju: „jak się pan miewa?” wydają się niedorzeczne. Sądzę, że zawsze tak było, we wszystkich armiach świata, nawet w czasie pokoju.

– Zaintrygowała mnie wieść – ciągnął *comandante* oficjalnym tonem – że zgłębił pan wiedzę z dziedziny aeronautyki.

Nie odezwałem się.

– I uświadomiłem sobie, że nigdy dotąd nie rozmawialiśmy o pańskiej przeszłości.

Nie odezwałem się, ale przybrałem surowszy wyraz twarzy.

– Czym się pan zajmował, nim trafił pan do nas?

Wstałem i ruszyłem w stronę drzwi. Ledwie się podniosłem, *comandante zawołał*:

– Nie! Niech pan zaczeka! Proszę usiąść! Nie chciałem pana urazić! Po prostu jestem ciekaw!

– Pracowałem dla banku. – Nagle postanowiłem odpowiedzieć. Nie bałem się, że go urażę, zależało im na mnie bardziej niż mnie na nich. Po prostu wiedziałem, że jeśli nie uchylę choćby rąbka tajemnicy, będzie jeszcze bardziej ciekawski, lepiej więc rzucić mu strzępek informacji.

– W jakim banku?

– Bardzo małym – powiedziałem, mając na myśli rozmiary jego siedziby. – W Nowym Jorku.

– Nie w Manufacturing Funeral Holdinx? – spytał, próbując mi zaimponować tym, że umie (mniej więcej) wymienić nazwę nowojorskiego banku.

– O nie, nic z tych rzeczy. Manufacturing Funeral Holdinx ma bardzo wiele oddziałów, my tylko jeden. – Przemilczałem, rzecz jasna, krajowe filie i oddziały zagraniczne.

– Co pan tam wykonywał? – *comandante* przeszedł na swoją wyborną angielszczyznę.

– Byłem posłańcem – odparłem, wracając w myślach do 1918 roku.

– A czemu pan tu teraz?

– Tu gorąco. – Przejąłem jego składnię. – Bez śniegu. Dobro dla ciała. Bardzo relaksująco.

– Bez umowy o ekstradycję? – zapytał.

– A co to?

– Czemu pan opuszcza mały bank?

– Rozbieżność interesów.

– Rozbieżność interesów?

– Tak. Sam postanowiłem odejść, z nieprzymuszonej woli, po tym, jak oskarżono mnie o działanie na szkodę banku. Takie coś można bez trudu sprokurować jednym wpisem w rejestrach i pewnie tak zrobiono.

Comandante, który nie był w ciemnię bity, zamknął jedno oko, uniósł brew i spytał:

– Ile zer?

Uznałem, że pyta o liczbę moich zestrzeleń, a ponieważ nie chciałem się przechwalać, skorzystałem z tego, że miałem na koncie jedynie messerschmitty i heinkele, nie japońskie zera, i zapewniłem:

– Absolutnie żadnych. Zero zer.

– A więc pańskie odejście z banku było wyłącznie sprawą honoru? – spytał, przechodząc na język ojczysty.

– Sprawą honoru i moją wyłączną decyzją.

Miałem wrażenie, że przyjął to z ulgą, choć nie mam pojęcia, czemu miałby się niepokoić.

– Wśród pilotów jest chłopak o przezwisku Popcorn, zna go pan?

– Jest w mojej grupie.

– Twierdzi, że był pan pilotem myśliwca, ale nie może się rozeznąć, w której wojnie.

– Nic dziwnego – powiedziałem. – Urodziłem się w 1904 roku. Gdy podpisano traktat pokojowy kończący pierwszą wojnę światową, miałem czternaście lat, a gdy przystąpiliśmy do drugiej, trzydzieści siedem, o wiele za dużo na pobór.

Nie dodałem na ochotnika, że zgłosiłem się na ochotnika.

– A więc nie był pan pilotem myśliwca.

– Od małego interesuję się aeronautyką i teorią lotu – odparłem zgodnie z prawdą. – Czytam książki. Wyobrażam sobie różne rzeczy. Uważam, że byłbym w stanie poprowadzić

boeinga 747 wyłącznie dzięki logice. Często śni mi się, że lecę jako pasażer, wszyscy trzej piloci dostają zawału serca i zostają wezwani, by posadzić maszynę na ziemi.

– Dziwny sen.

– Owszem. Jedyne, co mi się w nim nie podoba, to że jestem ubrany w bardzo niewygodny habit zakonnicy. Ale uwielbiam latać! Jeśli pan chce, przelecimy się małym samolotem, pokażę panu, jak dobrze można teoretyczną wiedzę zastosować w praktyce.

– Nie! – Wyciągnął przed siebie obie dłonie z rozczapierzonymi palcami. – To nie będzie konieczne. Popcorn najwyraźniej zwariował.

– Najwyraźniej.

– Nie będzie pan z nim latał?

– Nie, skądże – odparłem. – Jestem za stary na latanie.

Jestem za stary na latanie. Te słowa w czarodziejski sposób przeniosły mnie w czasy wojny. Poczułem się tak, jakbym brnął przez mgliste wrzosowisko, ledwie widziałem *comandante*, prawie nie czułem, jak upalne jest Rio w środku lata – nagle stałem się o wiele młodszy i znalazłem się na niebie nad Europą.

Musiałem opuścić pokój w stanie półprzytomności, nie pamiętam, ani jak wyszedłem, ani czy zrobiłem to uprzejmie – aż tak bardzo zahipnotyzował mnie ryk silnika Merlin w moim P-51. Na myśl o merlinie zawsze przychodziło mi do głowy tysiąc pięćset dwadzieścia koni pracujących nieprzerwanie przez dwanaście godzin. Mój ojciec kupił pierwszy automobil, gdy miałem sześć lat, wcześniej wszędzie jeździliśmy konno, w siodle lub wozem – a nawet później używaliśmy samochodu tylko przy wyjątkowych okazjach, bo ciężko się go uruchamiała i często trzeba było zmieniać opony.

Zdawało mi się, że ludzie nigdy nie przestaną używać koni, i zdumiałem się, że nim zdążyłem ukończyć dwudziesty rok życia, na ulicach Nowego Jorku zrobiło się tłoczno od samochodami, i że ludzie pokonują nimi spore odległości, na przykład z Albany do Syracuse.

Konie były moim pierwszym językiem. Wiedziałem, jaką moc ma dobry koń, a była to moc imponująca: dobry koń mógł uciągnąć wóz, który z pełnym ładunkiem ważył tonę. Mówię o jeździe po równym terenie – jeśli chciało się pociągnąć taki wóz pod górę, trzeba było zaprząć drugiego konia. Cztery konie mogły cały dzień jechać przez najbardziej strome wzgórza Ossining, nawet zimą, gdy z rynien zwisały sople, a odłamane bryły zbitego śniegu ślizgały się w dół po Main Street z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę.

Dobry koń udźwignie człowieka ważącego sto pięćdziesiąt funtów i nawet nic nie poczuje. Wiele razy gnałem jak szalony po krętych, niebezpiecznych szlakach tylko dlatego, że mój wierzchowiec zapomniał, że niesie mnie na grzbiecie. Jeśli sto pięćdziesiąt funtów jest dla jednego konia ciężarem niemal niezauważalnym, co powiedzieć o tysiącu pięciuset dwudziestu koniach dźwigających pięć ton w pełni obciążonego P-51, z uzbrojeniem, amunicją, bombami oraz paliwem w bakach i odrzucanych zbiornikach? Gdy dolatywało się nad cel, samolot był lżejszy i smuklejszy, bo zdążył już spalić dwa tysiące funtów paliwa i odrzucić zapasowe zbiorniki. Gdy zużyło się amunicję, robił się jeszcze lżejszy.

Z prostego dzielenia wynika, że każdy z tych tysiąca pięciuset dwudziestu koni dźwigał sześć i pół funta – mniej więcej tyle, ile ważą cztery podkowy. Mówimy więc o nieobciążonych koniach, które umiały latać, nigdy się nie męczyły, nie czuły tarcia ze strony podłoża i miały mniejszy opór powietrza, rzadszego na dużej wysokości niż nad samą ziemią, połowę manewrów wykonywały zaś z wykorzystaniem grawitacji. Myśliwiec P-51 naprawdę umiał latać. Ja też umiałem.

Choć w 1941 roku pracowałem w dziale, który doradzał bankowi w kwestii ryzyka politycznego, i byłem przekonany, że Stany Zjednoczone prędzej czy później przystąpią do

wojny, bardzo mało wiedziałem o Dalekim Wschodzie i szacowałem, że nastąpi to raczej w 1943, może 1944 roku, czyli gdy będę miał czterdzieści lat. W tamtych czasach taki wiek jednoznacznie wskazywał na ubytek sprawności fizycznej niż dziś, miałem więc pewność, że tak jak byłem za młody, by wziąć udział w pierwszej wojnie światowej, teraz będę za stary, by wziąć udział w drugiej.

A potem nastąpił atak na Pearl Harbor. Miałem trzydzieści siedem lat, ale zgłosiłem się na ochotnika. Przyjęto mnie do służby przy biurku w Waszyngtonie. Krążąc po rozmaitych sztabach i dopraszając się o przydział na front, dowiedziałem się, że w rekrutacji bardzo przydaje się umiejętność latania – żeby pozyskać wykwalifikowanego pilota, oficerowie potrafią nagiąć wszelkie możliwe przepisy.

W Stillman and Chase oświadczyłem, że biorę urlop, poszedłem do zwykłego banku, wypłaciłem pięć tysięcy dolarów w gotówce i pojechałem pociągiem do Poughkeepsie. Stamtąd przeszedłem piętnaście mil pieszo na lotnisko Alford Field, odszukałem kierownika szkoły latania i poprosiłem, by nauczył mnie latać jak akrobata.

– Nie mogę – powiedział. – Za trzy tygodnie jadę do San Antonio szkolić pilotów wojskowych.

– To świetnie – odparłem. – Mamy całe trzy tygodnie.

– Nie zrobimy wiele przez ten czas – stwierdził. – To niebezpieczne.

– Czy powiedziałem, że ma być bezpiecznie?

– Nie, ale ja mówię.

– Jest wojna – oznajmiłem. – Wszystko jest niebezpieczne. Dam ci pięć tysięcy dolarów.

– Pięć tysięcy dolarów za trzy tygodnie pracy?

Była to wówczas olbrzymia suma.

– Nie ciesz się za wcześnie – powiedziałem. – Chcę, byś pracował ze mną po czternaście godzin na dobę. Oznacza to mnóstwo wylatanych godzin, mnóstwo benzyny, wypłaty za nadgodziny dla twoich mechaników, koszt części zamiennych, noclegu i sali lekcyjnej, i prawdopodobieństwo, że rozbiję ci samolot lub nawet cię zabiję.

– Kusząca propozycja – stwierdził z przekąsem.

– Słuchaj, ja naprawdę szybko się uczę – nalegałem. – Wypróbuj mnie, a wycisnę z ciebie siódme poty. Umiem poprowadzić praktycznie wszystko.

Parę lat młodszy ode mnie, znacznie wyższy, nieskomplikowany, był świetnym pilotem.

– No dobra – rzeki. – Przez cały ten czas, jaki mi pozostał, czyli prawdopodobnie ostatnie trzy tygodnie maja, być może ostatnie trzy tygodnie mojego życia, zrobię, co się da. Będziemy pić mnóstwo kawy!

– Ja ci dam kawę! – powiedziałem. – Nie wypijemy nawet jednego kubka.

Zaczęliśmy od teorii. Od razu, z miejsca: po prostu wyjąłem zeszyt i rozmawialiśmy do końca dnia. Chłonałem wiedzę z taką zachłannością, jakbym rabował biżuterię u Tiffany'ego lub (jak miałem robić później) opychał się wiśniami w czekoladzie, a słysząc kroki Constance na schodach, starał się przełknąć, nim wejdzie do kuchni. Po przełknięciu zawsze udawałem, że myję naczynia w jednym z głębokich zlewów ze stali nierdzewnej, w rzeczywistości natomiast wypijałem wówczas cały galon zimnej wody – wiedziałem, że Constance będzie chciała uprawiać seks na kuchennym stole, a przy pierwszym pocałunku wszystko wyszłoby na jaw.

– Jak to jest – pytała – że ilekroć zastaję cię w kuchni, stoisz zgarbiony nad zlewem jak struś, a gdy się prostujesz, ociekasz lodowatą wodą, jak gdybyś przed chwilą poszedł na dno razem z Titanikiem?

– Nie wiem – odpowiadałem, a potem Constance rozpinęła swój jedwabny szlafrok i zapominaliśmy o wszystkim.

Lecz jedynym powodem, dla którego mogliśmy spędzać trzy godziny na kuchennym stole, było to, że żyłem. Gdybym zginął, nie mógłbym tego robić, jakkolwiek Constance umiała odsłaniać swoje ciało – już wcześniej doprowadzone do perfekcji (podczas gdy ja potajemnie opychałem się wiśniami w czekoladzie), a teraz jeszcze czekające na zaróżowienie, wypełnienie i odprężenie – w sposób, który postawiłby na nogi umarłego. Gdybym jednak zginął na wojnie, nie poznalibyśmy się, a to, że nie zginąłem, po części zawdzięczałem mordędze, jakiej przez trzy tygodnie doznawałem z rąk Larry'ego Browna, mojego instruktora.

Przekazał mi wszystko, co wiedział. Nawet w trakcie posiłków – bez kawy, nawet bez kawowych lodów – udzielał mi wskazówek teoretycznych lub krytykował moją technikę. Wylatałem ponad sto pięćdziesiąt godzin, z czego ostatnie pięćdziesiąt samodzielnie, a z tych ostatnie dwadzieścia pięć w formie symulowanych walk. Ponad dziesięć razy omal się nie rozbiłem, zerwałem kilka linii telefonicznych i pokochałem latanie nie tylko za to, jakie jest, ale i dlatego, że uczyłem się go w taki właśnie sposób.

W maju 1942 roku pogoda była idealna. Śmigąłem nad Hudsonem z prędkością stu pięćdziesięciu mil na godzinę dwie stopy nad powierzchnią wody, przelatywałem pod mostami, a potem pełnym przewrotem wyskakiwałem ponad strome, porośnięte wysokimi drzewami brzegi, jak kamień wystrzelony z procy. Larry nauczył mnie, jak pojawiać się znikąd i niemal tak samo szybko zniknąć. Pokazał mi, że każda wypukłość na ziemi jest przykryta poduszką ruchomego powietrza, że wzdłuż gór, żywoplotów i wzgórz płyną niewidzialne rzeki, obmywają je jak woda zaporę, i że można się nimi posłużyć, by zacieśnić skręt, zamortyzować nurkowanie i odbić się na znaczną wysokość szybciej, niż kiedykolwiek mi się śniło.

Ten Larry Brown już nie wrócił z San Antonio. Często się tak zdarzało. Zbyt wiele samolotów budowano zbyt szybko. Nawet P-51, wspaniały myśliwiec, zaprojektowano w ciągu stu dni. Dziś przez sto dni projektuje się klamrę pasów bezpieczeństwa.

Larry Brown musiał latać całe życie, by ujrzeć rzeki powietrza. Być może przeczuwał, że już nie wróci do domu, i nie chciał, by te piękne srebrzyste fale pływały nad Hudsonem i jego zielonymi wzgórzami niezauważone. Być może aż tak intensywne było moje szkolenie. Być może piękna pogoda zrobiła swoje. Sam nie wiem. Wiem tylko, że nim minęły te trzy tygodnie, ja też je już widziałem.

Mimo wszelkich starań, mimo wyjątkowego szkolenia nie mogłem się pochwalić tak szybkim refleksem jak piloci o piętnaście lat młodszy. Nie mogłem też przewyciężyć wrodzonych zahamowań związanych z przeciążeniem, lataniem do góry nogami i robieniem becdek. Mój układ nerwowy nie umiał przyswoić sobie tych rzeczy tak gładko jak młodszy koledzy.

Gdy zaczęliśmy latać, widać było jak na dłoni, że ustępuję im zręcznością i śmiałością. Byłem już starcem, mimo że odjąłem sobie dziesięć lat i wstąpiłem do wojska jako dwudziestosiedmiolatek. W ostatnim roku wojny miałem już czterdziestkę na karku i wciąż walczyłem z messerschmittami Me-109 nad Niemcami.

Gdy stacjonowaliśmy we Włoszech i lataliśmy nad Alpami, lekarz wojskowy, który mnie badał, połapał się, że oszukuję.

- Ile macie lat? – spytał.
- Trzydzieści, panie pułkowniku – odpowiedziałem.
- Akurat! – odparł. – Jesteście starsi ode mnie.
- A ile pan ma lat, panie pułkowniku?
- Pięćdziesiąt pięć.
- Ja tak naprawdę mam osiemdziesiąt dziewięć – powiedziałem.
- Pięćdziesiąt?

– Nie.
– Czterdzieści pięć?
– Skądże.
– Czterdzieści. Macie czterdzieści lat, nie powinniście wykonywać lotów bojowych. Mówię wam, nie nadajecie się już do tego.

– Jestem w doskonałej formie jak na swój wiek, zważywszy, czym się zajmuję.
– Mógłbym was uziemić, albo dlatego, że jesteście za starzy, albo dlatego, że jak na trzydziestolatka jesteście ludzkim wrakiem. Myślę, że tak zrobię. Jeszcze ktoś przez was zginie.

– Nikt przeze mnie nie zginie. Zestrzeliłem jedenaście Me-109 i choć coraz trudniej je znaleźć, wiem, że zestrzelę jeszcze parę. Zgadza się, mam czterdzieści lat. Nie mam już szybkiego refleksu, ale nadrabiam to taktyką i modyfikacjami technicznymi. I nie piję kawy.

– Chcę rozmawiać z waszym skrzydłowym.
– Nie mam skrzydłowego. Od przenosin z Tunezji moja grupa działa metodą rozproszenia i zbiórki. Moja ulubiona sytuacja to taka, gdy napotykam nieprzyjacielski klucz i walczę jeden na trzech.

– Dlaczego?
– Bo wtedy używam płomienistego pawia. Przydaje się, gdy wróg ma przewagę liczebną lub jestem w sytuacji bez wyjścia. To działa.

– Czego używacie?
– Płomienistego pawia.
– A cóż to takiego?
– To tajemnica.

Pozwolił mi latać, mimo że miał mnie za wariata, a może właśnie dlatego, że miał mnie za wariata. Ja jednak naprawdę używałem płomienistego pawia, wynalazłem go w Tunezji, niejeden raz uratował mi życie.

Nasza grupa od początku przeznaczona była do patroli indywidualnych. Nawet później, gdy eskortowaliśmy bombowce nadlatujące z Anglii, spotykaliśmy się z nimi po drodze, a na miejsce spotkania docieraliśmy pojedynczo, jak partyzanci, którzy kolejno wyłaniają się z lasu i dołączają do maszerującej kolumny. Przelot nad Niemcami zawsze wykonywaliśmy samotnie.

W Tunezji stacjonowaliśmy nieopodal Monastyr, a nasz obszar patrolowy rozpościerał się aż w głąb Morza Tyrreńskiego, choć tam akurat nieczęsto spotykało się wroga, jeśli jednak komuś na tym zależało, wystarczyło się zbliżyć do Sycylii. Trójkąt między Licatą, Maltą i Pantellerią był niczym arena: kto tam wstąpił, czekała go walka. Na północ od Sycylii można było patrolować przez tydzień i nie napotkać nikogo, chyba że zbliżyło się do wybrzeży Włoch. Bez dodatkowych zbiorników rzadko zbliżaliśmy się do brzegów kontynentu, po lądowaniu w Anzio startowaliśmy jednak z Sycylii i mogliśmy zatankować maszynę w Kalabrii.

Kwestia paliwa była z wielu względów zasadnicza. Nie należało zaczynać walki z pełnym bakiem. Przede wszystkim samolot stawał się wtedy paraliżująco ciężki. Messerschmitty były lżejsze i mniejsze. Szybciej się wznosiły i zwinniej się poruszały, choć tylko odrobinę. Zabierały o wiele mniej paliwa, gdy więc lecieliśmy z pełnym obciążeniem, staraliśmy się ich unikać ze względu na samą trudność manewrowania.

Sytuacja polepszała się, jeśli wcześniej zużyło się benzynę ze zbiorników skrzydłowych: były one bardziej odsłonięte i nie miały opancerzenia, a gdy były puste, samolot szybciej wykonywał przewroty i łatwiej zmieniał kierunek lotu, ponieważ środek ciężkości przesunął się na lepszą pozycję w kadłubie. Leciąco się wtedy płynniej, lżej, zgrabniej.

Swoją drogą w powietrzu wszystko jest kwestią kompromisu: im mniej się miało paliwa, tym mniejszą miało się szansę powrotu. Przez jakiś czas byłem przekonany, że Luftwaffe jest

skazana na porażkę nie dlatego, że jesteśmy od niej lepsi w walce, lecz ze względu na położenie Niemiec jako kraju centralnego, zwartej potęgi lądowej o krótkich szlakach komunikacyjnych. Ich maszynom brakowało dobrego zasięgu.

Brytyjczycy i my zawsze projektowaliśmy samoloty z myślą o pokonywaniu znacznych odległości. W zbiornikach messerschmitta mieściło się sto sześćdziesiąt galonów benzyny, w moich dwieście sześćdziesiąt dziewięć. Gdy doczepili odrzucane zbiorniki, czego nie lubili robić, bo nie mogli wtedy używać działek skrzydłowych, mieli do dyspozycji dodatkowe sto czterdzieści galonów. My mogliśmy zabrać tyle samo i jeszcze dwadzieścia pięć galonów, nie poświęcając przy tym uzbrojenia. Nawet jeśli Me-109 górowały nad nami w walce, często nie były w stanie potem wrócić do domu. Taką przynajmniej miałem teorię – ukułem ją sobie w następstwie mego pragnienia, by być jak najlżejszym w walce.

Zresztą i tak byliśmy lepsi, choć nie do końca wiem dlaczego. Luftwaffe miała bardzo dużo typów samolotów, większość z nich to były konstrukcje kompetentnie opracowane, pomysły i skomplikowane. Może właśnie tu tkwiła przyczyna. Ich maszyny miały wygląd groźny i okrutny, nasze zaś wydawały się miłe i bezpretensjonalne, wyglądały zgrabnie, na pierwszy rzut oka nawet nie jak maszyny bojowe. Wytworne, eleganckie spitfire'y i P-51, nieafiszujące się ze swoim uzbrojeniem, dzielnie stawiały czoła przerażającym, barbarzyńskim maszynom niemieckim, najeżonym bronią, antenami i eksperymentalnymi wypukłościami kadłuba – mknęliśmy w powietrzu jak błyskawice i raziliśmy je z nagłą, by przejąć niebo w wyłączne, niepodzielne władanie.

Choć wylatywałem na patrole niemal każdego dnia i często musiałem walczyć o życie, z niejasnych do dziś powodów miesiące spędzone w Monastyrze wspominam jako najspokojniejszy, najbardziej zrównoważony okres swojego życia.

Mieszkałem samotnie w przewiewnym namiocie z podniesionymi ściankami. Wstawałem przed świtem, myłem się, ubierałem i udawałem się na dziesięciominutową odprawę, gdzie informowano nas, że zapowiada się idealna pogoda, podawano nam kierunek wysokich wiatrów i przydzielano sektor patrolu. To, który sektor się otrzymało, nigdy nie miało wielkiego znaczenia. Z rzadka zdarzało nam się też eskortować bombowce przy nalotach na Sycylię, nasze główne zadanie polegało jednak na utrzymywaniu przewagi w powietrzu, czyli na wykonywaniu wielogodzinnych samotnych lotów, niekiedy kończących się śmiertelną walką.

Wracałem z patrolu w południe. Po zdaniu raportu i rozmowie z mechanikami jadłem obiad złożony z zupy i sałatki. Potem wracałem do namiotu i kładłem się na łóżku polowym, wyczerpany, wyciszony, niezdolny do ruchu. Gdy odpocząłem, rozpoczynałem ćwiczenia pozwalające zachować młodość i zdolność do lotu.

Przebiegałem sześć mil wokół lotniska. Gimnastykowałem się, podnosiłem ciężary i przepływałem milę w morzu. Podczas pływania w przyboju ciało musi się nieustannie dostosowywać do sytuacji, na przykład takiej, że nagle znika pod nim woda lub od spodu uderza nagła fala. Człowiek przetacza się z grzbietu jednego śliskiego wieloryba na drugi, lecz dzięki tym utrudnieniom nabiera gracji, stapia się z morzem w jedno. Nie przeszkadzają mu już fale, piana ani to, że zniecka zapada się w głąb, uczy się poruszać i oddychać jak delfin.

Po ćwiczeniach rozpalałem ognisko i gotowałem sobie wodę na golenie – rano nie miałem na to czasu. Z początku podgrzewałem wodę w kuchennym palenisku, ale dno kociołka zapaskudziło mi się resztkami z obiadu. Wtedy odkryłem, że golenie się późnym popołudniem, po godzinie spędzonej w morzu, działa odświeżająco. Woda wydawała się wtedy zdumiewająco słodka i cudownie gorąca.

Potem udawałem się na niespieszny spacer do pobliskiego zagajnika, przechadzałem się

wśród niezwykle strzelistych palm daktylowych i słuchałem, jak wieczorna bryza świszczę wśród rozłożystych, przypominających żaluzje liści. Po powrocie ze spaceru wołano mnie na kolację. Była to jedyna godzina w ciągu dnia, którą spędzałem w towarzystwie ludzi.

Nasze skrzydło zgrupowane było w trzech bazach, w Monastyrze stacjonowały cztery dywizjony po dwadzieścia cztery samoloty każdy. Mieliśmy też bombowce, jednostki rozpoznawcze i samoloty transportowe. Baza była rozległa, z dużymi pustymi przestrzeniami.

W jednym z takich pustych zakątków stały nasze namioty. Każdy dywizjon dzielił się na cztery eskadry, każda eskadra na dwa klucze po trzy samoloty. Namioty stały w niewielkich skupiskach na ogromnym obszarze. Po zmroku równina rozjarzała się blaskiem ognisk, tak jak na wszystkich wojnach od zarania dziejów.

W moim kluczu byli jeszcze dwaj chudzi młodzieńcy, Malcolm Gray i Eddy Pond. Malcolm był matosem z Yale i nie dane mu było wyrosnąć z matolectwa, bo zestrzelono go nad Darmstadt, i opłakiwali go tylko rodzice. Kochali go od małego, liczyli więc na to, że z czasem przestanie być matosem; zresztą gdy dziecko jest matosem, kocha się je może nawet bardziej, ponieważ cierpi się za nie. Ale kto wie, może jego ojciec też był matosem i uważał Malcolma za księcia?

O ile mogłem się rozeznąć, problemem Malcolma było to, że studiował w Yale i z tego powodu naprawdę uważał się za kogoś lepszego od innych.

– Yale jest dla snobistycznych dupków – mówiłem mu.

– Och, doprawdy? A ty gdzie studiowałeś?

– Na University of California w Zarazueli – odpowiadałem.

– Co to jest? – pytał z nieskazitelnym akcentem z Connecticut, zaciskając zęby w zwarty dwuszereg. – Szkoła tańca dla meksykańskich królików? – Uważał tę odpowiedź za zabawną, ja szczerze mówiąc także, zważywszy na sposób, w jaki to mówił.

Niemcy trafili go, gdy leciał w eskorcie dziennego nalotu. Jego samolot ponoć złamał się na pół na wysokości kabiny.

Malcolm nie wyskoczył na spadochronie, ostrym korkociągiem poleciał w dół razem z tylną częścią.

Eddy Pond przeżył, po wojnie sprzedawał polisy ubezpieczeniowe. Wpadłem na niego na Grand Central pewnego listopadowego dnia, gdzieś około 1951 roku. Przyjechał na mecz futbolowy – Holy Cross grał bodaj z St. John's – a spotkałem go na niższym poziomie dworca. Szedł ze szklanką piwa w rękę. Chyba wstydił się tego piwa, ale nie miał go gdzie odstawić, trzymał je więc, nie pijąc, przez całe pięć minut, gdy staliśmy przy budce z informacją i rozmawialiśmy o Tunezji. Potem pojechał na mecz, ja pojechałem do domu i nigdy więcej go nie widziałem.

We trzech spotykaliśmy się co wieczór przy kolacji na małym piaszczystym placu przy namiotach. Mieliśmy tunezyjskiego kucharza, który przyrządzał nam ryby, jagnięcinę, kozinę, drób i bezpieczne warzywa i owoce. Tunezja była wcześniej francuską kolonią, gdy zajął ją Rommel, warunki sanitarne nie ucierpiały. Na deser jedliśmy zawsze to samo: daktyle. To samo mieliśmy też co rano na śniadanie: świeże bagietki, ser, dżem i herbatę. Nie można było wypić więcej niż jedną filiżankę herbaty (w moim przypadku gorącej wody), żeby w trakcie lotu nie musieć sikać do butelki. Często zabierałem sobie do kabiny batonik czekoladowy i chleb. Gdy otworzyłem boczną szybkę i zrobiłem przewrót, wiatr wysysał okruszki do czysta.

Może dlatego, że sądziłem, że zginę, a może dlatego, że znajdowałem się w tak odizolowanym, niezemskim miejscu, że mogłem pływać w falach przyboju, że wiatr wiał nieprzerwanie od strony starożytnych krain leżących niegdyś wzdłuż wybrzeża, lub dlatego, że morze po horyzont mieniło się zielenią, błękitem i bielą – sam nie wiem, wiem tylko, że z

jakiegoś powodu były to dla mnie szczęśliwe dni.

Cała ta błogość przyskała jednak z chwilą, gdy zapuściłem silnik swojego samolotu. Wszyscy wiedzą, że młodzi piloci myśliwców są aroganccy, lecz mało kto rozumie, że ta arogancja to tylko nieudana próba osiągnięcia stanu, który jest niezbędny podczas walki powietrznej. Żeby stoczyć i wygrać walkę, trzeba naprawdę mieć w sobie coś, co przypomina – zwłaszcza młodemu chłopcu – arogancję.

W rzeczywistości jednak potrzebna jest nie tyle arogancja, ile oczarowanie i poddanie się szybkości. Podczas lotów często zdarzało mi się śpiewać do akompaniamentu silnika. To dość intymne wyznanie, ale ponieważ przeczyta je (o ile nie padnie łupem mrówek) tylko jedna osoba, pozwolę sobie też wyznać, że nie tylko śpiewałem, lecz także tańczyłem.

W powietrzu zawsze jest coś do roboty, wskaźniki i przyrządy można sprawdzać w nieskończoność, trzeba też obserwować całe niebo, nawet z tyłu, jak również, na ile się da, od strony słońca – zwłaszcza od strony słońca. Czasem jednak trzeba powściągnąć ostrożność i skrupulatność, zapomnieć o tym, co się umie, i dać się ponieść życiu zakłętemu w silniku, w powietrzu i w nagłych wzlotach na wielką wysokość.

Lecąc samotnie nad Morzem Śródziemnym, zagubiony w błękitnym bezkresie i wolny jak anioł, umiałem wychwycić głębokie nuty w tupocie tysiąca pięciuset koni, wtórowałem im swoim śpiewem, unisono lub w kontrapunkcie.

Tańczyłem niezdarnie – przypięty do spadochronu, do fotela, obciążony ekwipunkiem. Wykonywałem samolotem zbędne, niedozwolone, niebezpieczne, piękne manewry: przechyły tak gwałtowne, że ładunek omal nie rozrywał maszyny na pół, nurkowania prosto w hipnotyczny błękit morza, wzloty tak wysokie, że gdybym chwilę dłużej przytrzymał otwartą przepustnicę, zbliżyłbym się chyba do posterunków Boga.

Odkryłem, że gdy wsłuchuję się w srebrzysty ryk silnika, nieznośne lęki dławiące mnie wcześniej zostają oswojone, i że mogę dotrzeć w tym, co robię, do najdalszych granic, tańczyć na ostrzu noża z absolutną pewnością siebie, wzbijać się potężnie na owych niezmiernych falach łaski, które nie znikają ani w walce, ani gdy wraca się pomału do bazy, ani przy lądowaniu, lecz dopiero po kąpieli w morzu, i odsyłają muzykę tam, skąd przyszła.

Pierwszy messerschmitt, jakiego ujrzałem, wytrącił mnie z rytmu. Znajdowałem się wtedy w jednym z olbrzymich pustych sektorów Morza Śródziemnego, z którego nie widać ani wybrzeża Afryki, ani brzegów Sycylii. Pojawił się w odległości kilku mil na 10.30, zobaczył mnie pierwszy, wzbijał się już do góry.

Leciałem na południe, poranne słońce miałem po lewej stronie, on nabierał wysokości, chciał dopaść mnie od strony słońca płytkim lotem nurkowym. Mimo woli powiedziałem na głos:

– I co mam teraz zrobić?

Nie dało się zrobić zbyt wiele, był wysoko nade mną, już rozpoczynał zwrot. Najbezpieczniej byłoby zanurkować pod nim i zrobić pętlę przez plecy, żeby zrównać się z nim wysokością lub przynajmniej zmniejszyć jego przewagę. Ale potężne rytmy silnika bijące mi w piersi i kołyszające moje serce dyktowały inną taktikę.

– Pierdole to – powiedziałem i zwróciłem się w stronę słońca, wyciskając pełną moc z doładowania.

Lewą rękę trzymałem na wysokości twarzy i spoglądałem przez maleńki otvorek między palcem wskazującym a kciukiem. Zobaczyć samolot nadlatujący od strony słońca nie jest rzeczą niemożliwą, ale trudną i bolesną. Oczy nieustannie szukają wytchnienia, nie spogląda się więc stale naprzód, tylko co chwila odwraca się wzrok. Widzi się wtedy serię nieruchomych obrazów, parametry ruchu celu oblicza się z klatki na klatkę. Nie umiałbym tego zrobić, gdyby nie towarzyszył mi rytmiczny kontrapunkt silnika oraz wrażenie, że jestem poza samolotem i zza

chmur obserwuję jego lot. Z tą pomocą zdołałem obliczyć wszystko jak należy. O, naprawdę zdołałem.

Namierzyłem messera i nie traciłem go z oczu, mimo że okalała go paląca biała aureola.

Gdybym tego ranka nie był w tak wzniosłym nastroju, nie zdołałbym utrzymać w polu widzenia tej czarnej kropki nadlatującej od strony słońca. Od zderzenia dzieliły nas zaledwie sekundy, obaj otworzyliśmy ogień, wiedząc, że albo jeden z nas zostanie trafiony, albo zginiemy obaj. Tory lotu pocisków z moich działek skrzydłowych zbiegały się w odległości trzystu jardów, nasza łączna prędkość sięgała zaś tysiąca mil na godzinę, co znaczyło, że od chwili, gdy się w niego wstrzele, od kolizji będzie nas dzielić dwie trzecie sekundy.

Nie wiedziałem, w jakiej odległości zbiegają się tory jego pocisków, zakładałem też, że on nie wie tego o moich działkach, ale wiedziałem, że wie to, co ja wiem. I to on się złamał, ponieważ chciał żyć, a ja miałem go w szachu i strzelałem do niego, ponieważ nie zależało mi zbytnio na życiu, ponieważ byłem gniewny i szczęśliwy, i najprawdopodobniej na poły szalony.

Wykonaliśmy przewrót i pętlę, nie wiedząc dokładnie, jak potem będziemy usytuowani względem siebie. Był to rzut kostką – ale teraz przynajmniej obaj mieliśmy równe szanse. Gdy dokończyłem pętlę i wyrównałem lot, zobaczyłem go. Strzelał z działek czołowych. Zanim się zorientowałem, seria pocisków przejechała po mojej maszynie i zrobiła kilka dziur w części ogonowej. Nie miałem możliwości oddania strzału, za to on nie miał już dobrej pozycji. Zanurkował po mojej lewej stronie, bo żeby wejść ponownie na pozycję do strzału, musiał mnie wyprzedzić. Ryzykował życie, by móc trafić mnie od dołu, ale czy atak od dołu mógł zaszkodzić tak opancerzonemu myśliwcowi jak P-51? Musiałby mieć dużo szczęścia, a nie miał.

Zanurkowałem za nim – wiedział o tym. Skręcił gwałtownie – na próżno. Ja skręciłem za nim i wkrótce siedziałem mu na ogonie. Otworzyłem ogień, ale bez skutku. Czekałem, aż poderwie się do góry i odsłoni swój bok, szeroki jak wrota stodoły. Musiał to zrobić, inaczej za chwilę werżnąłby się w morze, i gdy w końcu wyszedł z lotu nurkowego, puściłem w niego bardzo długą serię – i trafiłem.

Wyrównał lot, zaczął się kopcić. Osłona kabiny otworzyła się, mijały długie sekundy, minuta, potem następna. Leciałem nad nim, czekając, aż wyskoczy.

– No dalej! – krzychałem. – No dalej, wylaż!

Maszyna wciąż traciła wysokość, dym z białego zrobił się czarny. Gdy mijały sekundy, a płomienie skakały mu po osłonie silnika, myślałem, że pęknie mi serce.

W końcu ujrzałem, jak wynurza się z kokpitu i stawia stopę na ścianie kabiny, jak zawsze, gdy zamierza się wyskoczyć. Poczuję ogromną ulgę, że wyeliminowałem ze służby jedną maszynę Luftwaffe, lecz zarazem nie zabiłem człowieka. Wiedziałem, że Brytyjczycy wyłowią go w Cieśninie Maltańskiej i do końca wojny będzie wyplatał koszyki.

Ucieszyłem się na jego widok. On jednak zbyt długo się wahał. Nie wyskoczył, tylko spadł. Przechyliłem maszynę, by go okrążyć, i patrzyłem, jak leci w dół, machając rękoma i nogami, a zarazem jakby nieruchomy, nie otwierając spadochronu – aż w końcu zniknął w morzu.

Potem zawróciłem do bazy, nie śpiewając już ani nie tańcząc, ale z mocnym postanowieniem, że gdy wystartuję ponownie (czyli następnego ranka), będę miał tyle muzyki i tańca, ile mi potrzeba.

Pierwsze starcie z wrogiem wygrałem o włos, potem stoczyłem kilka walk jeszcze ryzykowniejszych. Choć wiedziałem, jak włączyć się do walki, choć umiałem wykorzystać owo szczególne połączenie euforii i mocy, jakie daje uśmiech w obliczu śmierci, nie chciałem umierać – zacząłem więc udoskonalać taktykę.

Chłopcy, z którymi latałem, rośli w siłę, moje siły zaś kurczyły się z wiekiem. Sedno ich życia formowało się w walkach, które stacjali w powietrzu, obaj pomału zaczynali zapominać, że kiedykolwiek robili coś innego, choć przecież nie zdążyli jeszcze zrobić wiele. I nie było im dane niczego robić lepiej, żadne z ich wspomnień nie mogło już mieć nawet połowy tego blasku, jaką miały owe chwalebne dni w powietrzu. Ja natomiast pomału wkraczałem w wiek średni i musiałem znaleźć sposób, by oszukać śmierć. W konspiracji z mechanikami zacząłem modyfikować swój samolot.

Wojna powietrzna była wtedy jeszcze dość rycerska. Nawet dziś jest bardziej rycerska niż wojna na morzu czy na lądzie, może dlatego że tak otwarte jest w niej pole bitwy, że tak czyste są siły konieczne do osiągnięcia przewagi, że tak ceni się w niej indywidualizm. Czterdzieści lat temu oszustwo w walce powietrznej sprowadzało się do maskującego malowania maszyn, zachowania ciszy radiowej i ataku z zaskoczenia. Pomijając te czynniki, powszechnie oczekiwano, że piloci będą zwyciężać dzięki przewadze technologicznej oraz większej biegłości i dzielności w walce.

Ja uznałem, że to może nie wystarczyć. Zacząłem od zainstalowania grubszych przewodów łączących kokpit z powierzchniami sterowymi. Zastosowaliśmy kable z lekkich bombowców – zwiększyły masę samolotu bardzo nieznacznie, ale i tak byliśmy na tyle ostrożni, że likwidowaliśmy różnicę, tankując przed operacją nieco mniej paliwa.

Potem wzmocniłem – w niektórych przypadkach wręcz zdublowałem – zawiasy, kryzy, śruby i inne dodatki, rozmaite sworznie, sroźnie i poroźnie, które podczas manewrów narażone były na duże naprężenia. Mechanicy z początku byli sceptyczni.

– Płatowiec nie wytrzyma naprężeń, które chcesz mu narzucić – mówili.

Odpowiedziałem im pytaniem:

– Nie zbudowano go chyba bez marginesu bezpieczeństwa?

– Nie.

– Jaki to margines?

Wzruszyli ramionami. Nie wiedzieli.

– Powiedzmy, że dziesięć procent – powiedziałem. – Zmniejszcie do dwóch.

– Jeśli zmniejszymy do dwóch – stwierdził jeden z nich – i odrobinę zadrzy ci ręką, popękają ci wręgi. Albo odpadną skrzydła. To się już zdarzało.

Przekonałem ich bez trudu, że moje nowe limity operacyjne przydadzą się jedynie w sytuacjach beznadziejnych, gdy zostaną zapędzony w kozi róg, gdy nie będę miał możliwości manewru i będzie mi groziło zestrzelenie. Piloci Me-109 wiedzieli, co potrafimy, i podług tej wiedzy opracowywali swoje ruchy. Miałem zamiar ich zaskoczyć.

Potem kazałem mechanikom zbudować płomienistego pawia. Była to stalowa skrzyneczka wmontowana w kadłub w tylnej części kokpitu. W przeciwieństwie do pokrycia kadłuba, które było aluminiowe, od góry nakrywała ją stalowa płyta zamocowana klinem. W skrzyneczce pod ekranem zabezpieczającym przed wybuchem umieszczono flarę magnezową, a wokół niej cztery prezerwatywy wypełnione najgorszą tunezyjską oliwą z oliwek oraz dwie duże papierowe torby z mielonym pieprzem. To wszystko obsypane było prochem strzelniczym z trzech naboju kalibru 50 i obłożone wełną drzewną.

Przetestowaliśmy to na ziemi, robiąc przy tym okropny chlew, a potem w powietrzu, gdzie wielkie ilości tlenu i ciśnienie wiatru pomogły wytworzyć dokładnie taki efekt, na jakim nam zależało. Najpierw pociągałem za linkę, która zrywała klin, a potem za drugą, odpalającą flarę. Od flary zapalał się proch, ten z kolei podpalał oliwę i pieprz i wysadzał osłonę. Z pawia buchała na zewnątrz wielka kula ognia, iskier, różnych płonących śmieci oraz potężne kłęby białego dymu – a oliwa z oliwek, jak się domyśla każdy kucharz, podtrzymywała ogień.

Podczas pierwszej walki zauważyłem, że gdy mój przeciwnik został trafiony i odpadł z walki, wyrównałem lot i wstrzymałem ogień. Było to działanie instynktowne, a przy tym rycerskie. Miało też względy praktyczne: nie traciło się wtedy wysokości i nie wystawiało się samemu na atak. Zarazem jednak czuło się przymus, by pozostać na terenie walki. Ten sam impuls, który każe psu pozostać na własnym terytorium, a bykowi tupać w ziemię, kazał pilotom oderwać się od przeciwnika, gdy spadał do morza. Im bardziej metodyczny pilot, tym większe było prawdopodobieństwo, że zastosuje się do tego schematu – a pilotami Me-109, dzięki Bogu, byli Niemcy. Gdy pierwszy raz użyłem pawia, nawet nie spodziewałem się, że zadziała. Wracałem wtedy znad Licaty, znajdowałem się pięćdziesiąt mil od brzegu, ale jeszcze widziałem ląd. Połowę paliwa i połowę amunicji zużyłem na ostrzał gaju oliwnego, w którym stały ukryte wojskowe ciężarówki.

Trzy Me-109 pojawiły się na 9.30, dwa tysiące stóp wyżej ode mnie. Prowadzący ruszył prosto na mnie płytkim lotem nurkowym, a dwaj skrzydłowi oderwali się od niego, by utrudnić mi życie. Ten po północnej stronie wzleciał wyżej i zrobił przewrót, by zejść mnie od tyłu, a południowy zanurkował i zaczął się wznosić, oczekując, że zrobię unik.

Gdybym zrobił pętlę, by namierzyć maszynę lecącą za mną, odsłoniłbym brzuch środkowemu. Gdybym zanurkował na wschód, dałbym szansę tylnemu, a na zachód – temu przede mną. Tymczasem środkowy zajmował pozycję do porządną długiej serii.

Mogłem zrobić jedynie to, co zrobiłem: zwróciłem się w stronę środkowego i pociągnąłem długą serią, z nadzieją, że zmieni plany. Poskutkowało: wiedział, że skrzydłowi i tak się mną zajmą, odleciał więc w lewo.

Prawie na pewno nie spodziewał się, że polecę za nim – gdybym to zrobił, obaj skrzydłowi znaleźliby się za mną i mieliby mnie na celowniku, co byłoby fatalne. Lecz tak właśnie zrobiłem. Próbował oderwać się ode mnie, ale bezskutecznie – otworzyłem ogień i trafiłem go, widziałem, jak leci w dół w kłębach dymu.

W normalnej sytuacji byłbym już martwy. Dwa Me-109 siedziały mi na ogonie, leciały zbieżnym kursem na różnych wysokościach i strzelały jak szalone. Były żądne zemsty i pewne zwycięstwa – na ich miejscu prawdopodobnie czułbym się tak samo. Pociągnąłem linkę uruchamiającą pawia. Klapa wystrzeliła na zewnątrz, za nią buchnęły śmieci mające udawać płonące wnętrze samolotu. Obniżyłem lot charakterystycznym, rozpaczliwym manewrem ściganego ptaka i zacząłem bezwładnie spadać w stronę morza.

Oderwali się ode mnie. Śledzili moje poczynania, ale z dużej wysokości. Kilka stóp nad falami wyrównałem lot i popędziłem prosto przed siebie. Do tego czasu paw się wypalił, byłem niewidoczny na tle morza, a oni zawrócili. Zrobiłem przewrót w lewo i zacząłem się wznosić. Potem włączyłem doładowanie. Gdy wzbiłem się na znaczną wysokość, już ledwie widziałem oba messerschmitty, pojawiały się i znikwały w oddali jako małe punkciki. Gdyby wróciły do bazy, zgubiłbym je, ale one skręciły na zachód i kontynuowały patrol. W ten sposób ustawiły się bokiem, a ja miałem słońce za sobą.

Wykorzystałem sytuację. Trafiłem jednego tak mocno, że eksplodował w powietrzu, drugi zwyczajnie uciekł. Teraz miałem już bardzo mało paliwa i amunicji, zrobiłem więc pętlę i zawróciłem do bazy, z nadzieją, że ostatni messer nie wróci. Nie wrócił.

Starczyło mi paliwa, by przed lądowaniem przelecieć się nad samą plażą. Nie wolno nam było tego robić, ale czasem nie potrafiliśmy się oprzeć pokusie. Było to jak krzyk, że wciąż jeszcze jesteśmy wśród żywych – krzyczeliśmy nie własnym głosem, lecz głosem szybkiego i potężnego samolotu, z silnikiem wprawiającym ziemię w drżenie, sześcioma działkami oraz lekkimi skrzydłami, które niosły go jak strzałę przez chmury. Samoloty wracały jakby znikąd, kręcąc śmigłami w złotym świetle, mściwe anioły zstępujące na ziemię po jakichś

niewyobrażalnych wojnach w eterze. Po pierwszym zestrzeleniu zrozumiałem, że śpiewamy straszliwie smutną pieśń. Nie wstydę się jednak, że ją śpiewałem, ponieważ – cokolwiek byście sobie wyobrażali – była to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem.

Po wielu miesiącach codziennych patroli upewniłem się, że choć zwyciężam zaledwie o włos, jestem urodzonym zabójcą messerschmittów. Sądzę, że osiągnąłem wówczas stałą, nieprzewycięzoną przewagę nad przeciwnikami, taką jaką cechuje największych sportowców. Kolarz, który kilka razy z rzędu wygrał Tour de France, wyprzedzając na ostatnim odcinku o dziewięć czy dziesięć sekund swego stałego rywala, może popijać gorące kakao i leżeć do góry brzuchem do końca świata. Gatunek ludzki upaja się ryzykownymi zwycięstwami, ponieważ życie samo w sobie jest właśnie ciągiem takich wygranych, nanizanych jak perły – gdy sznur pęknie, rozsypują się i toczą po podłodze w doskonale anarchiczny sposób.

Któregoś dnia patrolowałem morski szlak komunikacyjny na północ od Bengazi. Odrzuciłem puste zbiorniki i cieszyłem się ostatnimi beczynnymi chwilami, nim będę musiał przeciąć górną część Syrty i wrócić do Monastyru.

Morze pode mną było puste i martwe, Pustynia Libijska wciąż jeszcze zasłana trupami i wrakami, a droga do Egiptu rzadko uczęszczana. W tym czasie Niemcy i Włosi już prawie nie pojawiali się nad obszarem, z którego zostały wyparte ich armie, choć mieli jeszcze dość sił, by to robić. Startowali z lotnisk na Sycylii, zwłaszcza jednego, u stóp wzgórza i miasta Erice. Było to potężne gniazdo szerszeni na urozmaiconej, gościnniej równinie.

Przywykliśmy do latania tam, gdzie koncentrują się ich największe siły, szlak do Bengazi traktowaliśmy więc jako czystą formalność, okazję do odpoczynku. Dlatego właśnie nie zwracałem należytej uwagi na niebo wokół siebie. Nieprzyjacielskie samoloty nigdy nie pojawiały się nad Syrtą – nie miały już po co tego robić – zatopiłem się więc we wspomnieniach o kobiecie, którą poznałem kiedyś w Bostonie. Gdyby nie wojna, może byśmy się pobrali. Przy akompaniamencie bardzo łagodnej i wesołej tubylczej muzyki, którą moje radio odbierało wśród trzasków z Francuskiej Afryki Zachodniej, zza olbrzymich połaci milczącej pustyni i kobaltowobłękitnego nieba, spojrzałem jej w oczy, ręce oparłem na ramionach i kiwałem się w tył i w przód, zbliżałem się i oddalałem od jej twarzy, całując ją z uwielbieniem. Trwało to długi czas i działało kompletnie hipnotyzująco – zarówno w rzeczywistości, jak i we wspomnieniu.

Zlekceważyłem instrumenty i zegary, na kompas zerkałem nieświadomie, niebo kojarzyło mi się tylko z kolorem jej oczu. Całowałem ją długo, do szaleństwa. Był mroźny zimowy dzień, siedzieliśmy w mieszkaniu w Back Bay, szumiał grzejnik, świszczwał wiatr. Całowałem ją w taki sposób, bo uwielbiałem widzieć radość na jej twarzy.

Gdyby wiedziała, że wciąż jeszcze ją całuję, dwadzieścia tysięcy stóp nad Wielką Syrtą, może ogarnęłaby ją tak samo otepiająca rozkosz jak mnie. I w tym tkwił problem. Usta miałem półotwarte, wzrok wbity w nieskończoność i gdy roznamiętniałem się coraz bardziej w pocałunkach, w ciągu sekundy seria pocisków zagrzechotała mi po kadłubie i skrzydłach. W jednej chwili straszliwie oprzytomniałem.

Nie zdołałem dostrzec samolotu, który mnie trafił. Na pewno zrobił pętlę, żeby jeszcze raz zająć mnie od tyłu, ale byłem zbyt zajęty, by się za nim rozglądać. Instynkt podpowiedział mi, żeby zrobić przewrót w lewo, ale stery nie reagowały.

Gdy w filmie samolot zostaje trafiony, zapala się i płynnie nurkuje, po czym znika za wzgórzem i „wybucha”. Pilot symulujący krakę może oczywiście lecieć płynnie, bo jego maszyna jest nietknięta. Mój lot nie miał w sobie nic płynnego – pociski rozłupały tyle żeber i wręg kadłuba, że samolot trząsł się jak zbuntowana pralka. Im bardziej się trząsł, tym więcej rzeczy psuło się i odpadało. Żeby nie rozlecieć się na kawałki, zdławiłem przepustnicę prawie do

końca, właściwie niemal szybowałem. Panowałem nad maszyną tylko połowicznie, za wszelką cenę starałem się utrzymać wysokość.

Gdzie on był? Nie mam pojęcia. Domyślałem się tylko. Pewnie leciał tysiąc stóp nade mną i patrzył, czy wystarczy jeden atak, czy może będzie musiał mnie dobić.

– Ty chuju! Ty chuju! Ty chuju! – powtarzałem bez przerwy, jak gdyby mógł usłyszeć moją szamotaninę. Czułem się jak robak, który obudził się ze snu we wnętrzu młota pneumatycznego.

Ciągle też plułem, jak gdybym był po długim i żmudnym zabiegu dentystycznym. W kabinie się nie pluje, bo potem trzeba latać z tym, co się wypluło.

– Czemu ja pluje? – spytałem sam siebie. Rozejrzałem się i zdałem sobie sprawę, że pluje krwią. Nie czułem jednak bólu. Na pewno gdzieś dostałem, przeszło mi przez myśl, ale mam dużo siły i nic mnie nie boli. Kombinezon opasywał mnie jak bandaż uciskowy.

Potem zapalił się silnik. Dlaczego wybuchł z tak dużym opóźnieniem? Dziwiłem się. Dopiero później zdołałem odpowiedzieć sobie na to pytanie: wszystko rozegrało się w ciągu paru sekund, które niezmiernie rozciągnęły mi się w czasie.

– Ta cholerna szyba jest zachlapaną krwią – powiedziałem na głos. Nic przed sobą nie widziałem.

Lecz to nie była krew, tylko olej, który pryskał z silnika – powietrze rozmazywało go na szybie jak aerograf działający z prędkością trzystu mil na godzinę. Gdyby udało mi się dotrzeć do bazy, podczas lądowania miałbym jedynie widoczność z boków. Spojrzałem na zegary. Były potrzaskane i pokryte krwią. Szybki popękały w ramkach, kolana miałem zasypane odłamkami szkła. Coś ściekało po panelu sterowniczym.

Czyja to krew? – zastanawiałem się.

Wstrząsy nie ustawały. Gdy silnik zgasł, lot wygładził się nieco, ale znacznie trudniej było zapanować nad maszyną. Postanowiłem skakać.

Silnik był martwy, samolot płonął i leciał bezwładnie, nie widziałem nic przed sobą i plułem krwią. Odblokowałem osłonę kabiny i pchnąłem, ale nie chciała się otworzyć. Rama się zgięła, szyba nawet nie drgnęła. Musiałem wodować.

Popatrzyłem w dół – do morza było już niedaleko. Od brzegu dzieliło mnie dziesięć, może piętnaście mil, ale nie zdołałbym podlecieć bliżej, samolot był niesterowny. Przypomniła mi się sztuczka, która ponoć pomagała w wodowaniu, zdradził mi ją kiedyś w klubie oficerskim w Algierze brytyjski pilot hurricane'a. Tuż przed posadzeniem maszyny należy otworzyć ogień równocześnie ze wszystkich działek. Dzięki prostej zasadzie, że każda akcja wywołuje reakcję, trzydzieści sekund nieustannego strzelania z sześciu luf potrafi zwolnić lot maszyny, może na tyle, by uratować życie.

Ściągnąłem lotki maksymalnie w dół, by utrzymać przód samolotu jak najbardziej w górze. Dzięki temu jedna częstotliwość drgań jakby zanikła, lecz uruchomiła się inna. Choć silnik nie pracował, a śmigło ustawione było w chorągiewkę, robiłem okropny hałas: wiatr wył przez potrzaskaną szybę, huczały podsycane tlenem płomienie, kadłub i skrzydła wibrowały jak metalowy dach podczas lipcowej ulewy.

Leciałem z dużą szybkością, a fale były nieprzyjemnie wysokie. Ponieważ musiałem posadzić maszynę na brzuchu, nie mogłem jej wyhamować przez wypuszczenie podwozia, bo nie zdołałbym go później schować. Gdy morze zbliżyło się nieubłaganie, otworzyłem ogień i poczułem, jak działka spowalniają lot. Ich huk był ogłuszający.

Samolot uderzył w wodę, odbił się i przewrócił na grzbiet. Następną rzeczą, jaką pamiętam, było to, że wisiałem w kokpicie do góry nogami pod wodą i pomału tonąłem.

Rozpiąłem pasy i upadłem na kopułę kabiny. Myślałem, że złamałem sobie kark. Jak

miałem się wydostać? Siedziałem po uda w wodzie, a kabina nie chciała się odsunąć. Woda była cicha, błękitna i czysta, nie miała w sobie nic prócz rozpuszczonego lazuru i sączących się z góry promieni słońca.

Po krótkiej szamotaninie uwolniłem się od spadochronu, potem na poły ściągnąłem, na poły rozszarpałem kombinezon – on także był pękaty, a do tego pokryty rozmaitymi przyrządami i sterzącymi elementami, które mogły się zaczepić o metal i pociągnąć mnie na dno.

Nóż, który nosiłem przy sobie, miał ciężki, twardo zakończony trzonek – zaatakowałem nim osłonę kabiny, jak gdybym toczył śmiertelną walkę z wilkiem. Do środka wlała się woda, już nieco zimniejsza – samolot pogrążał się coraz głębiej. Wziąłem ostatni haust powietrza i wystawiłem głowę przez otwór. Gdy przeciskałem się na zewnątrz, maszyna zaczęła kręcić zgrabnego młynka, ogon wznosił się po łuku do góry, nie zdołał jednak przebić srebrnej powierzchni morza. Byłem wolny. Popłynąłem w górę, ku falom, ciągnąc za sobą smugę bąbelków powietrza.

Gdy wydostałem się na powierzchnię i fala chlusnęła mi w twarz, krztusiłem się słoną wodą, broczyłem krwią, krzyczałem, śmiałem się i płakałem z radości. Czekał mnie parogodzinny rejs wpływ, lecz choć byłem ranny, pierwszą milę pokonałem jak morświn. Rzucąłem się w niecki między falami, piana kipiała i pryskała mi w twarz. Byłem sam w smaganym wiatrem wodnym przestworze. Morze Śródziemne jest stare i łagodne, płytkie i ciepłe, niebieskozielone – ma barwę szafiru i morskich żółwi.

Nigdy się nie dowiem, ile właściwie mil przepłynąłem – czy dziesięć, czy piętnaście, czy jeszcze więcej, czy może mniej – ale gdy dotarłem do brzegu, byłem wyczerpany jak nigdy dotąd.

W morzu zacząłem czuć ból w lewym boku i gdy wyczołgałem się na piach poza zasięg fal, odkryłem, że mam tam dziurkę wielkości małokalibrowej kuli. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że wbił mi się tam nit. Gdyby dotarł do serca, zginąłbym w walce nie od trafienia niemieckim pociskiem, tylko amerykańskim metalowym nitem.

Teraz kaszlałem krwią już tylko co jakiś czas, nie miałem więc powodu się martwić. Niepokoiłem się jednak na tyle, że nie położyłem się spać na plaży, najpiękniejszej, najbardziej pustej plaży, jaką kiedykolwiek widziałem – a widziałem w życiu wiele urokliwych plaż (byłem w końcu bankierem inwestycyjnym).

Plaża była szeroka na kilkaset jardów, a do tego spadzista, fale rozbijały się więc o nią z grzotem jak na plaży w Southampton, piasek zaś miał łagodną białą barwę dobrej koszuli z popeliny – czyli mienił się odcieniami żółci i złota, delikatnymi, lecz na tyle wyraźnymi, że wyglądał jak krewniak słońca, które prażyło w niego od świtu do zmierzchu.

Niestety czułem już pragnienie. Wydało mi się ironią losu, że jedynym wyjściem jest dla mnie iść w głąb lądu – jestem pewien, że gdyby ktoś lądował awaryjnie na pustyni, bez wahania ruszyłby w stronę morza. Nie zauważyłem jednak w okolicy żadnych hoteli, nadmorskich restauracji ani mahoniowych jachtów, poszedłem więc w stronę drogi.

Wcześniej dokładnie przestudiowałem mapę. Przez całą długość wybrzeża Libii droga biegnie wzdłuż plaży. W niektórych miejscach bardzo się do niej zbliża, w innych oddala się niemal czterdzieści mil w głąb lądu. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję, uznałem więc, że pewnie wyczerpałem limit szczęścia i wydostałem się na brzeg właśnie w miejscu, gdzie droga jest oddalona o czterdzieści mil. I tak właśnie było.

Byłem osłabiony, odwodniony i krwawiłem, nie cieszyła mnie perspektywa czterdziestomilowego marszu w palącym słońcu, miałem jednak nadzieję, że nie będę do tego zmuszony. Dobrze, że przynajmniej nie straciłem butów: gdy w morzu poczułem, że jeden zsuwa

mi się z nogi, zanurkowałem nawet, by go złapać. Przed rozpoczęciem marszu obciąłem nogawki spodni i jedną z nich obwiązałem sobie ranę.

Wkrótce zszedłem w rozległą, usianą skałami depresję. Przez wiele godzin rozglądałem się z nadzieją, że natrafię na jakąś roślinę, ale znalazłem się w świecie minerałów. W trakcie marszu podśpiewywałem sobie:

– Zwierzę, warzywo... minerał! Zwierzę, warzywo... minerał!

Próbowałem też nucić Beethovena, Mozarta, Haydna i Schuberta – Bacha nie, Bach niespecjalnie nadaje się do nucenia – ale jakoś nie pasowało mi to do sytuacji.

Po czterech czy pięciu godzinach i przejściu jakichś piętnastu, może dwudziestu mil ledwie trzymałem się na nogach, przestałem też śpiewać. Pozwalałem powiekom odpocząć: przez większość czasu trzymałem je zamknięte, otwierałem tylko co parę sekund, fotografowałem oczyma to, co miałem przed sobą, a potem w myślach przekształcałem zapamiętany obraz. Byłem w tym dobry, praktykowałem to już w dzieciństwie: najpierw chciałem się przekonać, jak to jest być niewidomym, lecz oszukiwałem, potem zaś ciekawiło mnie, czy dzięki samej pamięci można sobie poradzić z czasem, przestrzenią i odległością.

Dlaczego oszukiwałem, gdy udawałem, że jestem ślepy, czemu każde dziecko tak robi? Z tego samego powodu, dla którego nasze współczucie dla umarłych i miłość do nich nie są na tyle silne, byśmy poszli ich śladem. Wiemy, że nasza kolej i tak nadejdzie, oszukujemy więc naszą miłość i trzymamy się życia. Otwierałem oczy, bo po prostu wiedziałem, że pewnego dnia i tak oślepnę, i nie mogłem się oprzeć światłu.

Brnięcie przez pustynię tak mnie wyczerpało, że marzyłem tylko o tym, by zasnąć – i nad ranem poddałem się wreszcie, ległem jak długi na garbie idealnie białego, gładkiego piasku. Był chłodniejszy, niż się spodziewałem, i miękki jak mąka kukurydziana. Na tym wspomniałym łożu zasnąłem głębiej niż kiedykolwiek przedtem i potem. Gdy zacząłem tracić świadomość, miałem nadzieję, że nie umrę, choć wiedziałem, że nawet jeśli śmierć jest ceną za odpoczynek, nie oprę się pokusie. Rozluźniłem mięśnie i momentalnie zapadłem w sen.

Zbudziłem się nocą w prehistorycznym, zimnym powietrzu, pachnącym wiecznymi skałami i piaskiem. Gdy otworzyłem oczy, oślepił mnie blask nieprzebranych gwiazd, musiałem zamrugać, by przywyknąć do światła.

Był to jedyny raz w moim życiu, gdy w zasięgu wzroku nie miałem nic żywego ani stworzonego przez człowieka. Niebo leżało nad ziemią jak wielka misa, niezakłócone wzgórzami, szczytami ani liniami drzew. Powietrze było jednak w ruchu, słupy gorąca załamywały światło gwiazd, wprawiały te fosforyzujące pinezki w nieregularny płas – miałem wrażenie, że spoglądam z góry na miasto w lodowatą noc i widzę ruchome wstęgi powietrza nad czynnymi kominami. Niebo było poprzelamywane takimi właśnie falującymi kolumnami – tyle że wznosiły się nie z pieców, lecz z większych skał lub ciemnych spłachetków piachu.

Widok gwiazd zawsze potężnie mnie ożywia, gdy więc ruszyłem na zachód-południowy zachód, kierując się Gwiazdą Polarną wiszącą prostopadle nad wybrzeżem, cieszyłem się, że jestem w Afryce, że jest noc i że prócz mnie nie ma nikogo (jak mi się zdawało) w promieniu setek mil. Gdybym ruszył na południe, mógłbym przejść przez pustynię tysiąc mil i nie napotkać nikogo, nawet jaszczurki czy palmy, aż nie dotarłbym do oaz Francuskiej Afryki Równikowej.

Afrykę postrzegałem wówczas – i postrzegam do dziś – jako ostatni bastion marzeń. Jej obrzeża opisano i ustabilizowano za pomocą języków pisanych i maszyn, lecz w głębi kontynentu nie sposób zapamiętać nic prócz tego, co pochodzi z serca. W prawdziwej Afryce czas jest niepodzielny, płynie między zamglonymi zielonymi brzegami. Barwa i faktura krajobrazu, gracia zwierząt i cierpliwość ludzi łączą się tam ze sobą w cierpieniu, radości i krzepiącym nieistnieniu czasu.

Nawet na tym północnym skraju kontynentu, przeorany przez zmechanizowaną wojnę, czułem, że daleko na południu są takie miejsca jak Libreville, Mbeya czy Lourenço Marques. Znałem je tylko z nazw, lecz wiedziałem, że istnieją pod tym samym oceanem nieba. W tej samej chwili, gdy maszerowałem skrajem Śródziemnomorza, inni ludzie szli pod gwiazdami wzdłuż dłuższych brzegów, po cichszych przymorzach – nad Morzem Czerwonym, Oceanem Indyjskim i Atlantykiem.

Czy jest coś bardziej przejmującego niż miejsce, gdzie zniknęła historia, ponieważ wartość ma tam jedynie to, co teraźniejsze? W Afryce istnieje tylko chwila obecna. Myśmy wynaleźli pismo i planowanie, lecz za to unicestwiliśmy natychmiastowość, która z kolei tam jest wszechobecna. Wkroczyłem do jej królestwa z chwilą, gdy zostawiłem za sobą wybrzeże i ruszyłem w kierunku Senegalu (do którego i tak bym nie dotarł) pod tymi samymi lśniącymi gwiazdami, które rozświetlają ciepłe i wilgotne Brazzaville. Choć byłem w bardzo marnej kondycji fizycznej, na samą myśl o tym, co leży na południu, rosło mi serce.

Potem weszło słońce, ten pomarańczowy zegar Afryki, i oświetliło przede mną pustynię. Teren był teraz płaski, skały zdarzały się rzadko, a jeśli już, nie były właściwie skałami, tylko kamieniami nie większymi od grejpfruta. Horyzont z nieokreślonego stopu szarości i czerni przeobraził się w wyraźnie narysowaną kreskę – i jakby dostosowując się do jego zdecydowania, przede mną nagle pojawiła się droga. Gdybym dotarł do niej pięć minut wcześniej, nawet bym jej nie zauważył, wyznaczały ją bowiem jedynie dwa rzędy kamieni ułożonych co jakieś piętnaście stóp; między nimi nie było nic prócz płytkich kolein.

Gdyby nie słońce, które wstało chwilę wcześniej, dwoma krokami przeszedłbym przez drogę i bezpowrotnie przepadł na pustyni. W czasie, gdy pisane mi było poznać Constance, moje zbieleńskie kości leżałyby tam, na wpół zagrzebane w piachu. Jedyne wspomnienie po mnie byłyby zapisy w rozmaitych rejestrach, ostatnia notka w Pentagonie informowałaby zaś z niezrównaną ironią, że zaginałem na morzu.

Spojrzałem na północ i zobaczyłem, że coś tam stoi. Ruszyłem w tamtym kierunku, sądząc, że może jest to mężczyzna lub jeszcze lepiej – kobieta. Gdybym spotkał tam kobietę, powiedzmy Ingrid Bergman, która byłaby w podobnych opałach, na pewno zakochałobyśmy się i stali sobie tak bliscy, że żylibyśmy razem szczęśliwie do końca życia.

Nie była to jednak Ingrid Bergman, tylko drogowskaz podparty stertą kamieni, słup z dwiema pobielonymi deskami, na których widniał czarny napis: CANTIERE di BONIFICA, Azi SAFIEDDIN EL SENUSSI Ca, 148 KM i strzałka wskazująca na południe.

Czekałem przy tym znaku przez większą część dnia i gdy już zacząłem się martwić, że przyjdzie mi tam umrzeć, ujrzałem kolumnę kurzu. Przesuwała się w moją stronę. Po półgodzinie widziałem już, że kurz wzbija grupa brytyjskich ciężarówek.

Po chwili ciężarówki podjechały bliżej i zatrzymały się. Pięćdziesięciu ludzi zeskoczyło na ziemię. Przyglądałem im się bez słowa. Wysoki oficer – major, o ile dobrze pamiętam – podszedł do mnie, a gdy spostrzegł, że istota, którą ma przed sobą, jeszcze żyje, zdjął czapkę. Zawsze bardzo mi się podobały brytyjskie czapki oficerskie i nawet teraz, w mieniących się szkarłatem i zielenią ogrodach Niterói, pamiętam ich niezrównaną czerwień.

Ściskając w rękę oficerską laseczkę z zatkniętą na jednym końcu łuską kalibru 50 i pustym magazynkiem od karabinu Enfield na drugim, major pochylił się nade mną i powiedział:

– Dzień dobry. Czy mówi pan po angielsku?

Patrzyłem na niego przez chwilę, widziałem, że czeka na odpowiedź.

– Z pańskiego punktu widzenia pewnie nie – odparłem.

Pobyt w północnych Włoszech zepsuł we mnie lotnika, wiele połączonych ze sobą

czynników odarło mnie z kunsztu, jakiego nabrałem, latając nad Morzem Śródziemnym.

Jednym z nich był wiek. Miałem już czterdzieści lat. Nigdy bym się nie spodziewał, że dożyję osiemdziesiątki, w tamtych czasach ludzie tacy jak ja – nieszczęśliwi, nieżonaci, mezomorficzni bankierzy inwestycyjni, dla których zarobienie miliona dolarów na korporacyjnych i publicznych obligacjach znaczyło tyle, co mucha fajdająca nad Zatoką Meksykańską – dożywali mniej więcej sześćdziesięciu pięciu lat. Niektórzy zajadali się na śmierć – nie uwierzylibyście, jakimi sosami mógł się objadać wspólnik Stillman and Chase – już po pięćdziesiątce, niektórzy nawet po czterdziestce. Kilku moich kolegów po fachu dochrapało się zawału serca krótko po trzydziestce. Jeden wypisał się w wieku lat dwudziestu siedmiu, poległ wskutek nagłego ataku duszności, a wraz z nim poległy gospodarcze perspektywy Sudanu. Historycy rzadko wspominają o takich rzeczach, choćby mimochodem. Doszukują się przyczyn strukturalnych, przedstawiają czytelnikom wymyślne analizy, tymczasem niekiedy wystarczy wiedzieć, że na przykład Fryderyk III miał nieprzewartą słabość do mózdzku jagnięcego w podwójnej porcji sosu śmietanowego. Jeśli ktoś mierzy pięć stóp i trzy cale wzrostu, waży czterysta dwadzieścia pięć funtów, a jego tętnice są w osiemdziesięciu pięciu procentach zablokowane przez smalec, kurzy tłuszcz i *marisco*, lepiej nie wysilać się na Turnieju Squasha Absolwentów Szkoły Pieczeniowej. Fryderyk umarł z zaciśniętymi zębami.

Jako urodzony pesymista szacowałem, że (zakładając, iż przeżyję wojnę) mam przed sobą dwadzieścia lat, może nawet tylko dziesięć. Te czterdzieści, które miałem za sobą, minęło zaś tak szybko, jakbym je zgubił. Grzebałem w pamięci, usiłowałem odnaleźć ich sens, jak gdybym macał w ciemności w poszukiwaniu okularów, lecz go nie znalazłem – dlatego zacząłem zazdrośnie pożądać lat, które były jeszcze przede mną, jakkolwiek miałyby wyglądać. Dlatego bywałem niekiedy nadmiernie ostrożny, co oczywiście znacznie zwiększało prawdopodobieństwo, że zginę w powietrzu.

Nie miałem takiej kondycji jak moi dwudziestoletni czy nawet trzydziestoletni koledzy, nie umiałem też szybko wypocząć między jedną misją a drugą. Było to niebezpieczne.

Wszyscy też czuliśmy, że wojna zmierza ku końcowi. Nasze zwycięstwo wydawało się przesądzone. Od kiedy zdaliśmy sobie z tego sprawę, każda śmierć wydawała się już nie tyle ofiarą, ile niepotrzebną stratą. Każde działanie, nawet w walce powietrznej, podejmowaliśmy z niechęcią. Straciliśmy dawną szybkość, tę cudowną piorunującą szybkość wojownika, która bierze się z desperacji i gniewu i rozstrzyga o życiu i śmierci.

Pogoda nad Niemcami była okropna: myśliwce czasem zderzały się z osłanianymi bombowcami lub partnerami ze swoich kluczy, a te poważnie uszkodzone często nie umiały odnaleźć drogi do bazy przez dławiące chmury. Wiedziałem, jakie to przytłaczające uczucie, gdy leci się w nieskończoność przez szare kłęby, sam przeżyłem kiedyś coś podobnego. Któregoś razu, gdy w chmurach wysiadły mi przyrządy, zdawało mi się, że lecę na południe, na tyle wysoko, by przeskoczyć nad Alpami, lecz w pewnym momencie poraziła mnie eksplozja błękitu – i znalazłem się nad Francją, w czystym, zimnym powietrzu. Potężna wichura, czoło arktycznego frontu atmosferycznego, zniosła mnie z kursu i uratowała.

Wydaje mi się też, że Wiochy same w sobie są tak piękną alternatywą dla wojny, że traci się tam zamiłowanie do walki, na ogół podsycane obecnością rzeczy banalnych, będących świadectwem porażki naszej cywilizacji. We Włoszech miałem wrażenie, że każda, nawet najzwyczajniejsza czynność odsyła do jakichś wznioślejszych tematów i zamierzeń, że nie ma potrzeby porzucać tego wszystkiego i ginać w ogniu. Wydawało mi się też, że z kolei palą się do tego Niemcy, do bólu rozdrażnieni panującym w ich kraju mrokiem.

Chadzałem sobie spacerem z lotniska do miasta wzdłuż rzeki, ścieżką pod szumiącymi wierzbnami. Rzeka była wąska, świeża i czysta. Widać było grupy brązowawych pstrągów,

krające w przezroczystych stawach przykrytych tańczącym deszczem. Na zaporach i w odpływach woda nabierała szybkości i okrywała się peleryną ze srebra, chłodzącą powietrze. Nieskazitelne języki wody przeciskające się między zębami zapory kojarzyły mi się z klawiszami fortepianu – patrzyłem na nie i przypominałem sobie utwory skomponowane na cześć pięknych zjawisk w rodzaju tańczących rzek i ulewnych deszczów.

W miasteczku wymieniałem mój przydział kawy na oliwę z oliwek z pierwszego tłoczenia, makaron, paprykę, pomidory i maleńkie porcje długo suszonej szynki parmeńskiej. Nie mogłem się nadziwić, że wszyscy gotowi są rozstać się z takimi pysznościami dla paru garści wstrętnego brązowego żużlu. Gdy jakiś czas temu jechałem kolejką do akademii, mignął mi gdzieś plakat adresowany do brazylijskich matek. Pouczał on, że jeśli dziecko zatruje się szkodliwą substancją – jedną z wymienionych na plakacie – powinno się wywołać wymioty. Jak to zrobić? Kazać dziecku zjeść papierową torebkę lub garść ziaren kawy.

Kawę nosiłem w zapieczętowanym woreczku na końcu tyczki. Na targu zdejmowałem tyczkę z ramienia i manewrując ostrożnie, kładłem woreczek na straganie. Gdy zrobiłem to po raz pierwszy, ludzie myśleli, że przyniosłem ładunki wybuchowe, i uciekli z placu. W końcu przyzwyczajali się do mojej metody transportu, lecz nigdy jej nie zrozumieli. Nie chciałem umniejszać wartości towaru, który miałem na wymianę, wyjaśniłem więc, że w Ameryce kawę nosi się na końcu tyczki po to, by nie rozgrzała się od ludzkiego ciała, ponieważ pogarsza się od tego smak.

Jedzenie, które otrzymywałem w zamian, było oczywiście nieporównanie lepsze niż wojskowe racje żywnościowe. Był to jedyny rodzaj posiłku, jaki mogłem przełknąć, gdy następnego dnia miałem eskortować dzienny nalot na silnie broniony cel. Nawet po wojnie, nawet dziś, gdy muszę się zmierzyć z czymś, czego się boję, najczęściej jem spaghetti.

Ilekoć jem makaron ze świeżymi warzywami lub linguine z tartymi pomidorami i ostrą papryką, ogarnia mnie melancholijny spokój. Jeśli zamknę przy tym oczy, widzę dziesiątki samolotów ze śmigłami połyskującymi jak srebrna woda na zaporze, czekających na swoją kolejkę do startu nad Alpy.

Kiedy trzy lub cztery dywizjony startują razem do grupowej misji, powietrze i ziemia naokoło drżą. Samoloty tłoczą się pod najróżniejszymi kątami, a gdy pierwsze z nich wznoszą się w powietrze, te jeszcze czekające na start ogarnia lęk bezczynności. Gromada pokrytych kamuflażem maszyn wyłania się z hangarów jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i na parę chwil przed odlotem lotnisko staje się najbardziej ekscytującym miejscem na świecie. Lecz gdy ostatni samolot wzbije się w powietrze, słychać już tylko wiatr.

Gdy na lotnisku zapadała cisza, ja już leciałem na północ, szukałem wielkiego wału powietrza, który przeniesie mnie nad Alpami. Jak w szybowcu wlatywałem na szczyt tej niewidzialnej platformy, a potem zsuwałem się po niewidzialnej rampie i leciałem do walki nad ruinami Niemiec.

Od samego początku naszą metodą operacyjną było rozproszenie i zbiórka. Miała ona sens taktyczny tylko wtedy, gdy nie mieliśmy przewagi w powietrzu, ale stosowaliśmy ją też później, gdy niemieckie myśliwce spotykało się już równie rzadko jak odrzutowce (głównie dlatego, że wówczas były to już odrzutowce): piloci bombowców, których mieliśmy osłaniać, czuli się podniesieni na duchu, gdy widzieli nasze idealne zgranie w czasie oraz naszą osobliwą metodę pojawiania się.

Nadlatywaliśmy jeden po drugim od strony słońca, jeśli akurat było słonecznie, lub przynajmniej z góry. Bardzo nie lubiliśmy wzbijać się w stronę innego samolotu, skrupulatnie unikaliśmy wszelkich form tego manewru, nawet przy spotkaniach z własnymi bombowcami.

Zupełnie na odwrót było z tym, co zostało z Luftwaffe – pod koniec wojny Niemcy nieodmiennie dawali nam się zaskoczyć, może dlatego, że mieli już zniszczoną sieć komunikacyjną, więc żeby z nami walczyć, zawsze musieli się wznosić.

Gdy eskorta z lotnisk brytyjskich zawróciła do domu, przez chwilę trzymaliśmy się jeszcze poza polem widzenia bombowców, pozwalaliśmy im lecieć samotnie. W terminologii muzycznej można by to nazwać pauzą, w gastronomii wodą między posiłkami, w poezji średniówką, a w teologii próbą oddalenia, która jest wielką próbą egzystencji.

Wiedzieliśmy, że osłaniamy ich w olbrzymiej pustej kopule światła i powietrza, że nie spuszczały z nich wzroku, wiedzieliśmy, że się boją, że w swych ogromnych maszynach w milczeniu wyglądają eskorty, że chcieliby już zobaczyć, jak myśliwce wznoszą się ku nim lub nadlatują z góry, by ich chronić. Wiedzieliśmy, że są tacy jak my. Wiedziałem, że każdy z nich mógłby być moim synem, że właściwie wszyscy oni są synami, i dlatego właśnie lecieliśmy nad nimi z tyłu, gotowi w każdej chwili wyskoczyć naprzód.

Pamiętam, jak ich twarze pojawiały się w połyskujących szklanych kopułkach, gdy w końcu nadlatywaliśmy i zajmowaliśmy miejsce obok nich. Gdy już sądzili, że nikt nie przyleci, że są zupełnie sami, pierwszy z nas pojawiał się znikąd i podlatywał niepostrzeżenie. Potem z innego kierunku nadlatywał kolejny i jeszcze jeden, i jeszcze, aż w końcu myśliwców było tyle, że nie umieliby ich zliczyć, a każdy z nas gotów był dla nich zginąć.

Dla niektórych tych chłopców była to pierwsza misja lub jedna z pierwszych. Uśmiechałem się do nich i pokazywałem wyciągnięty kciuk, tak jak nasi mechanicy przy starcie pokazywali nam – był to gest banalny, lecz oczyszczony i uświęcony tym, że w ciągu najbliższych godzin czy minut część z nas miała spotkać swoją śmierć.

Gdy fala bombowców była już w pełni otoczona naszą tarczą, rozciągaliśmy szyk i pilnowaliśmy jej z większej odległości. Jeśli podczas zbliżania się do celu nie przywitały nas nieprzyjacielskie myśliwce, wysforowywaliśmy się na spotkanie kluczy, które były już zajęte niszczeniem obrony przeciwlotniczej.

Kiedy bombowce docierały do celu, wzbijaliśmy się na większą wysokość. Była to chwila najczarniejsza z czarnych, modliłem się wtedy o szybki koniec wojny. Choć znajdowaliśmy się tysiące stóp nad ziemią, w przejrzystym, niewyczuwalnym powietrzu, nasze samoloty drżały od wybuchów bomb jak stary samochód pędzący po wyboistej drodze. Szybki zegarów, choć szczelne, dźwięczały w oprawkach, a gogle przesuwwały mi się naokoło oczu niczym wskaźnik na planszy do wywoływania duchów.

Wiedzieliśmy, że tam, w dole, są fabryki broni i stacje przeładunkowe, ale także matki z dziećmi – ile z nich pogrzebaliśmy, nie mieliśmy pojęcia. W chwili, gdy bomby odnajdywały cel lub w przeraźliwy sposób chybiały, byliśmy łatwym łupem dla każdego myśliwca, który zechciałby pomścić swoje anioły, lecz właśnie wtedy myśliwce się nie pojawiały i dlatego pozostaliśmy przy życiu.

Zbieraliśmy się w powietrzu tylko po to, by osłaniać bombowce, i trzymaliśmy się razem tylko póty, póki nie przejęła ich z powrotem eskorta z Anglii. Odlatywaliśmy wtedy tak, jak się pojawiliśmy – samotnie. Nasza samotność była sednem tego, co robimy, a naszym znakiem rozpoznawczym był pojedynczy samolot panujący na ogromnym oceanie powietrza.

Pod sam koniec wojny, na początku kwietnia 1945 roku, brałem udział w likwidowaniu obrony przeciwlotniczej na przedmieściach Berlina. Nienawidziłem tego zadania, miało zupełnie inny charakter niż klasyczna walka powietrzna, do jakiej byłem przyzwyczajony. Nienawidziłem nurkowania z bombami – długo przytrzymanej nuty, podczas której trzeba było zwalczyć w sobie co najmniej trzy naturalne skłonności. Nie jest rzeczą naturalną lecieć wzdłuż linii ognia i ścigać go do samego źródła, jakby się nadstawiało głowę pod lufę karabinu. Nie jest rzeczą naturalną

kierować samolot w stronę ziemi i rozpędzać go w tym locie do dużej prędkości. Nie jest rzeczą naturalną nie uchylać się przed nieprzyjacielskim ogniem. Nie do tego stworzone były moje nadgarstki, nie do tego był wyćwiczony mój refleks, muzyczna harmonia mego pilotażu najlepiej sprawdzała się w szybkich walkach w powietrzu przypominających dynamiczne tańce.

Jedyną zaletą bombardowania obrony przeciwlotniczej było to, że po pozbyciu się bomb nie miało się ani chwili na próżnowanie, a to z tego prostego powodu, że im więcej bomb zabierało się nad ceł, tym mniej tankowało się paliwa. Gdy mieliśmy tylko działka, odrzucaliśmy zewnętrzne zbiorniki i przełączaliśmy się na wewnętrzne zbiorniki tuż przed spotkaniem z bombowcami, lecz gdy dźwigaliśmy bomby, robiliśmy to już przed Norymbergą i choć w drodze powrotnej byliśmy lżejsi, docieraliśmy do domu zaledwie z łyżeczką paliwa w baku.

Zniszczyć przeciwlotniczą osiemdziesiątkę ósemkę było bardzo trudno. Nawet jeśli po ataku przestawała strzelać, nie znaczyło to jeszcze, że została trafiona. Działa często łączono w baterie, dzięki temu osłaniały się nawzajem, zarazem jednak były na tyle rozproszone, że musieliśmy je atakować osobno. I choć z biegiem czasu niszczyliśmy ich coraz więcej, w miarę zbliżania się alianckich armii Niemcy ze swymi działami przeciwlotniczymi zamykali się w coraz ciaśniejszym kręgu, aż w końcu można było odnieść wrażenie, że im więcej ich się niszczy, tym więcej ich zostaje.

Widząc, jak zaciska się ten pierścień, nie mieliśmy wątpliwości, że wojna jest już niemal skończona – przynajmniej w Europie – i potwornie trudno było nie być ostrożnym.

Kiedy zajęty przez Niemców obszar pod względem wielkości i siły przypominał już mniej więcej stan Rhode Island – był zrujnowanym miastem-państwem, które obracaliśmy w pył – któregoś dnia odrzuciłem zbiorniki tuż przed Norymbergą i nadleciałem nad Berlin z zapasem dwustupięćdziesięciofuntowych bomb. Pierwsza osiemdziesiątka ósemka, jaką napotkałem, stacjonowała w parku, czy raczej w czymś, co kiedyś było parkiem, w obrębie samego Berlina. W oddali widziałem kurz wzbijany przez kolumny rosyjskich czołgów, a na ziemi pośrodku baterii wielkie koło – kiedyś pewnie stała tam karuzela.

Park znajdował się z dala od budynków, przynajmniej więc nie ryzykowałem, że moje bomby trafią w piwnicę pełną dzieci. Wspiąłem się na wysokość piętnastu tysięcy stóp i zanurkowałem w stronę wykwitających w powietrzu obłoczków dymu. Miałem wyjątkowe szczęście: baterie osiemdziesiątek ósemek zwykle rozmieszczano na polach i w lasach, na irytująco rozległej przestrzeni, tu natomiast stały w bardzo ciasnym kręgu wokół karuzeli, z tej prostej przyczyny, że w niewielkim parku nie było miejsca na żaden inny szyk. Najprawdopodobniej umieszczono je tam z pełną świadomością, że zostaną zniszczone – i tak właśnie się stało.

Nie ma sposobu, by trafić wszystkimi bombami w jedno miejsce. Niejednokowy moment zwolnienia, siła wiatru, wzajemne oddziaływania i inne zaawansowane fizyczne zmienne powodują, że bomby w nieunikniony sposób się rozpraszają.

Im później się je wypuści, tym rozpraszają się mniej – im wcześniej, tym bardziej.

Skierowałem nos maszyny w dół i z trudem łapiąc dech, wycelowałem w karuzelę. Dział było pięć lub sześć, przy odrobinie szczęścia mogłem trafić trzy, może cztery. Nienawidziłem przeciążenia przy lotach nurkowych. Z nosa ciekło mi do środka, bolała mnie głowa. Trudno jest panować nad maszyną, gdy ciało waży kilka razy więcej niż normalnie i wraz z całym swoim refleksem wgniata się w fotel.

Nurkując niemal pięćset mil na godzinę w stronę źródła wystrzeliwanych we mnie pocisków, starałem się utrzymać w celu maleńki krąg na ziemi. Oddychałem z trudem, czułem się tak, jakby na piersi siedziało mi dwóch potężnych zapaśników. Z szeroko otwartymi oczyma i zaciśniętymi zębami wypuszczałem nieprzerwany strumień ognia, który gazety określają mianem uzupełniającego. (Był to jednak ogień na tyle gęsty, że aż chciałoby się go nazwać inaczej,

jakimś mocniejszym słowem, przywodzącym na myśl coś innego niż napełnianie beczki wodą).

Stłamszony, roztrzęsiony, obolały, wypuściłem cały ładunek i poderwałem maszynę. Przeciążenie osiągnęło maksimum w najniższym punkcie lotu, potem – jak mi się zdawało – niebezpieczeństwo minęło. Zrobiłem pętlę przez grzbiet, by sprawdzić skutki mojego nalotu, i ujrzałem, że choć park spowity jest dymem i wstrząsany eksplozjami, jedno działło ciągle strzela. Obsługujący je żołnierze na pewno byli pokrwawieni, krztusili się pyłem i gotowi byli walczyć do końca. Na pewno zaciskali zęby i trzęśli się od swoich wystrzałów.

Byli uparci i mieli szczęście. Działło było wymierzone dokładnie w tę wysokość, na jakiej leciał cel, a cel – czyli ja – leciał głową w dół, odsłaniając żywotne miejsca.

Jeden z pocisków wybuchł tak blisko, że zdawało mi się, iż trafił w samolot. Może nawet trafił. Każdy pilot bombardiera potrafiłby opowiedzieć o bezpośrednich trafieniach, które grzmotnęły w jego maszynę, maszynę, na którą właśnie patrzył, lub maszynę pilotowaną przez jego znajomego.

Pierwszą rzeczą absolutnie dla mnie pewną było to, że zostałem zestrzelony. Nie zawsze łatwo się do tego przyznać, czasem jeszcze przez dobre pół godziny nasłuchuje się, jak wysiadają kolejne elementy płatowca i niesamowicie złożony silnik. Podobnie jak w przypadku diagnoz lekarskich, proces ten w dużym stopniu nie podlega regułom logicznego i naukowego wnioskowania, przez długi czas człowiek po prostu wmawia sobie, że to, co mu się przytrafiło, jest niemożliwe.

Mój samolot jednak nie potrzebował czterech miesięcy w sanatorium. Żadna rzadka czy trudna do ustalenia choroba nie zwodziła mnie swoją tajemniczością. Jeśli już zastosować terminologię medyczną – mój samolot miał urwaną głowę.

Przewód paliwowy został zerwany, ogień buchał z niego jak z szybu naftowego. Silnik oczywiście przestał działać. Kopuła kabiny była roztrzaskana. Kokpit wypełniało ulatniające się paliwo, świszczące w pogruchotanej ramie kopuły. Jedno skrzydło miało potężną dziurę, nie wątpiłem, że zaraz odpadnie. Ciało pokieroszowały mi odłamki. Modliłem się, by żadna z ran nie była głęboka, bo czułem się tak, jak gdyby po przedarciu się przez kępę jeżyn nacierano mnie spirytusem.

Z nadzieją, że dziurawy płat wytrzyma, jednym płynnym ruchem zrobiłem przewrót i wyrównałem lot. Skrzydło zachwiało się, ale nie odpadło. Śmigło było już ustawione w chora-giewkę.

– Kto to zrobił? – zapytałem, trzepocząc wargami na wietrze. Prawdopodobnie zrobiłem to sam, nieświadomie: w końcu nie było tam nikogo prócz mnie.

Desperacko pragnąłem przelecieć nad linią frontu, byłem pewien, że jeśli wyskoczę na spadochronie po niemieckiej stronie szalejącego dokoła *Götterdämmerung*, zostanę po prostu zastrzelony. Pod koniec – a był to koniec – wojna nabiera niepojętej zaciekłości.

Lecz przecież samolot miał za chwilę wybuchnąć, i tak już byłem poparzony, a do tego nie wiedziałem, którędy dokładnie przebiega front. Opóźniałem moment wyskoczenia, jak długo się dało: pomału wspiąłem się na fotel, pomału przełożyłem jedną nogę nad burtą kabiny, upewniłem się, czy spadochron się nie pali, co mogło przysporzyć dodatkowych kłopotów, i z trudem łapałem oddech.

Byłem tak oszołomiony, że równie dobrze mógłbym tkwić w kabinie aż do chwili wybuchu, w końcu jednak zdałem sobie sprawę, że samolot leci w dół, a ponieważ chciałem mieć wokół siebie więcej powietrza, gdy będę otwierał spadochron, wreszcie wyszedłem w niebo.

Gdy tylko to zrobiłem, może chwilę później, samolot eksplodował. Byłem już nieco z tyłu i widziałem to – niemal idealnie okrągłą żółtopomarańczową kulę, która nagle wykwitła w eterze. Wybuch oślepił mnie, a potem odrzucił do tyłu: grzmotnął mnie w serce niczym pięść i odebrał

dech, moje ręce i nogi leciały bezwładnie jak ogon komety.

Spadochron otworzył się, choć wcale nie pociągnąłem za linkę, zrobiła to za mnie siła wybuchu. Najłżejsza, najwspanialsza chwila mego życia, chwila obiecująca i pełna uniesienia, z niepojętych przyczyn nastąpiła właśnie wtedy, gdy spadałem w powietrzu, oślepiony nieznośną jasnością i porażony niemal nieznośnym uderzeniem. Jedno i drugie w okamgnieniu przebyło pustkę i omal mnie nie zabiło. Fałdy mego ubrania były osmalone niczym kartki książki, którą uratowano z płomieni.

Przez całe życie nawiedzał mnie pewien sen – zawsze budzę się z niego z wdzięcznością. Śni mi się, że jest pogodny lipcowy dzień na plaży w Amagansett, w czasach mego dzieciństwa, gdy było tam jeszcze zupełnie dziko. Jestem nieważki, wiszę parę stóp nad huczącymi spienionymi falami. Wiatr jest silny, a ja z rozpostartymi ramionami wiruję w słońcu, krążę nad pianistym tygłem skąpany w złocie.

W porównaniu z tym, co przeżyłem nad Berlinem i co, jak sądziłem, miało być ostatnią chwilą mego życia, ten piękny nawracający sen jest fraszką. Gdybym nie znajdował się wtedy w kruchym, ochronnym powietrzu, zginąłbym niechybnie. I jestem pewien, że wkroczyłem wówczas – przynajmniej na krótką chwilę – do królestwa jasności.

PRZEZ WIELKI DZIAŁ

Jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, odłóżcie przeczytane kartki do mrówkoszczelnej kasety.

Dziś rano zbudziłem się skąpany w świetle księżyca, trzydzieści minut po straszliwej godzinie czwartej, w pełni świadom, oślepiiony jasnością – jak gdyby był środek dnia, nie byłbym stary, a księżyc nie miał upiornie srebrnej barwy.

Brazylijczycy twierdzą, że rozróżniają pory roku, ja nie. Moja niewrażliwość na to, czy wiecznie zielone listowie wszechobecnych krzewów na stokach wzgórz powleczone jest specyficzną woskową warstwą lub nie, czy wraz z nadejściem zimy zmienia się nieznacznie kąt nachylenia promieni słonecznych albo czy pojawiają się bądź znikają określone kwiaty, jest dowodem na to, że wychowałem się w kraju, gdzie istnieją cztery wybuchowe pory roku, a każda z nich trafia człowieka jak dobrze wyszkolony strzelec z dubeltówki, rozsypuje mu cały świat i wprowadza go do nowego życia. Zima to dla mnie krajobraz pokryty mroźną glazurą i omiatany śmiertcionośnymi sinymi wiatrami, a nie zmiana zabarwienia na grzbiecie żaby drzewnej wywołana sezonowymi mdłościami.

Tutaj nie potrafię się też zorientować, gdzie powinien się znajdować Księżyc ani kiedy może się pojawić. Trajektoria Księżyca była dla mnie myląca nawet w Stanach, rzadko jednak zaskakiwała mnie tak jak w Rio: tu Księżyc pojawia się jakby znikąd, zwłaszcza w takie niewytłumaczalnie pogodne i chłodne noce. Gdy dziś rano otworzyłem oczy i ujrzałem, że świeci we mnie jak latarka włamywacza, poczułem się, jakbym odbierał jakąś wiadomość.

Nie była to wiadomość od Boga, natury ani niczego w tym rodzaju, raczej od moich własnych porażek i wyrzutów. Oczywiście czułem obecność Boga, zawsze ją czułem i czuję nadal, ale jestem pewien, że jeśli On tam był, to tylko ze względu na obecność prawdy. Nie mógł się oprzeć prawdzie, prawda Go przywabia.

Prawdą zaś było w tym przypadku zwyczajne, pospolite wspomnienie, mianowicie moja droga do szkoły. W wieku osiemdziesięciu lat obudziłem się zalany chłodnym srebrnym blaskiem, krocząc z powagą po ścieżkach i drogach, którymi siedemdziesiąt lat wcześniej chadzałem do szkoły. Nie pamiętam wprawdzie każdego źdźbła trawy, każdej koleiny, każdego gładkiego, pylistego spłachetka białej ziemi, pamiętam jednak wszystkie dróżki, dłuższe odcinki i główne zakręty.

Dlaczego? Skąd wziął mi się w głowie taki drobiazg? Dlaczego nie przyśniło mi się, jak biorą mnie do niewoli wycofujące się armie niemieckie, zacieśniające obronę wokół centrum Berlina? Każdy ich żołnierz był Dürerem, tak wyraziście, szaleńczo wyrzeźbionym, tak zmęczonym, tragicznym i czystym, że ze swoim zwycięstwem wydawałem się sobie nieokrzesany. Zaprowadzono mnie na dziedziniec zrujnowanego budynku i trzymano pod gołym niebem przez dwa dni i dwie noce, bez żadnej ochrony przed ogniem artyleryjskim i bombardowaniem. Było tam ze mną jakichś dwudziestu Rosjan, Czechów, Chazarów czy kogo tam jeszcze. Mówili, że gdy tylko dziedziniec się zapełni, zostaniemy rozstrzelani. Wierzyłem im i jestem pewien, że się nie mylili.

Lecz nim dziedziniec się zapełnił, Berlin padł – po raz kolejny uratowała mnie niepojęta łaska idealnie wybranego momentu. Przez dwie pogodne noce, które spędziłem na tym dziedzińcu, czekając na egzekucję, księżyc świecił na nas z góry, jak gdyby swą jasnością chciał wskazać nam drogę ucieczki. Pojawiał się uparcie, niezrównanie piękny, wśród rzek dymu i pyłu, które za dnia wzbijały się wskutek bombardowań, a nocą płynęły cicho w nieruchomym powietrzu. Był dla nas wielkim pocieszeniem w naszych – jak sądziliśmy – ostatnich godzinach,

krzepiącym posłańcem z innego świata.

Dlaczego jednak, gdy obudziłem się tyle lat później, nie oświetlił swym blaskiem upadku Berlina, tylko moją drogę do szkoły? Można by pomyśleć, że skoro przeżyłem tyle wielkich wydarzeń, taki drobiazg sprzed lat powinien już dawno zostać zapomniany. Upadek Niemiec obserwował cały świat, nikt nigdy natomiast nie odprowadzał wzrokiem samotnego dziecka idącego do szkoły – a przynajmniej nie mnie.

Nie umiem wyjaśnić, czemu tak jest, ale jeśli starego człowieka budzi coś w nocy, są to właśnie pierwsze wspomnienia, pierwsze wrażenia, pierwsze miłości, z czasów, gdy życie było czyste i niezmacone. Może dlatego, że jest stary i znów bezradny, jak wtedy, gdy był dzieckiem.

Tak jak robiłem to niemal trzy czwarte wieku wcześniej, zbudziłem się dziś w świetle księżycy, ubrałem się szybko, spakowałem papier i pióro (teraz już nie do teczki, tylko do mrówkoszczelnej kasety) i wyszedłem samotnie na ciemne leśne ścieżki. O tej porze jeszcze nie śpiewają ptaki, ale zaczynają niebawem. Pamiętam tę porę. To dobry moment, wypełniony oczekiwaniem. I jeśli dobrze pamiętam, dla siedmio- czy ośmiolatka wędrownica po takich ciemnych ścieżkach wymagała pewnej odwagi.

Dziś znalazłem się w ogrodzie znacznie wcześniej niż zwykle, musiałem czekać, aż się rozjaśni. Gdy tam dotarłem, księżyc tonął już w morzu. A kiedy zniknął, jeszcze przez parę chwil leciutko pulsowały gwiazdy.

Cieszyłem się panującą naokoło ciszą, o tej porze dnia oddaję się jednak zajęciom cokolwiek szpiegowskim. Zawsze zmieniam marszrutę i porę przybycia, jeśli wyczuję pewne nieokreślone ciśnienie, napięcie, którego nie sposób określić zmysłami. Gdy zbliża się zabójca, poprzedzają go nikłe fale, delikatne niczym światło gwiazd. Śmierć stąpa lekko, lecz jeśli się wsłuchać, można usłyszeć ją z daleka.

Tym razem również przyszedłem inną trasą, a pojawiłem się w ogrodzie jeszcze przed brzaskiem, gdyby więc ktoś nadszedł później, zobaczyłbym go pierwszy – chyba że akurat garbiłbym się nad tymi kartkami. Moje oczy potrzebują mniej więcej minuty, żeby zmienić ogniskową z drobnego pisma na frachtowiec na horyzoncie lub zabójcę w bramie ogrodu. Gdybym mógł to jakoś przyspieszyć! Muszą być jakieś olejki, jakieś ćwiczenia. Ech, za późno już na to.

Niedługo po wschodzie słońca, gdy zaczynało prażyć, serce mi podskoczyło, wyprostowałem się na ławce i ujrzałem coś, co zdjęło mi z barków ciężar sześćdziesięciu lat: po ścieżce biegło dziecko, podskakiwało jak baranek, krótkie nóżki obracały się pod nim szybciej niż ręczny mikser do jajek. (Czy produkuje się jeszcze takie miksery? Ostatni raz miałem coś takiego w rękach w roku zatopienia Lusitanii).

Od razu pomyślałem, że to pewnie moje własne dziecko. I tak było. Marlise przykazała Funiowi, by po drodze do szkoły zaniósł mi wiadomość. Nikt nie umiałby z taką szybkością i łatwością wspiać się na tę górę. Gdy dotarł do mnie, nawet nie był zdyszany, choć przez całą drogę biegł.

Na plecach miał tornister, ubrany był w codzienne spodenki i koszulkę. Teraz już nie zachowuje się jak kiedyś, gdy był jeszcze prawdziwym maluchem: potrafił wtedy zapomnieć nagle o całym świecie, rzucić wszystko, czym się akurat zajmował, i przytulić mnie. Teraz przytula mnie już tylko na powitanie i pożegnanie, a jeśli wilgotnieją mu oczy, to dlatego że wie, iż niedługo mnie utraci.

Zaraz jednak o tym zapomina, oczy mu się rozjaśniają i już po chwili szczebiocze jak ptaszek – po angielsku czy po portugalsku, jak kto woli.

Większość dzieci przekazałaby mi wiadomość napisaną na kartce, ale nie Funio. Funio pamięta każdy szczegół, potrafi przekazać ustnie dowolną ilość informacji – słowo w słowo, w

streszczeniu bądź szyfrem. Gdyby mu wręczyć Konstytucję Stanów Zjednoczonych Ameryki, nauczyłby się jej, przybiegł na szczyt góry i powtórzyłby ją co do słowa.

Marlise poleciła mu kiedyś przekazać serię numerów kont z jednego oddziału banku do drugiego. Nauczył się ich na pamięć, a na wypadek, gdyby porwali go Indianie i torturami chcieli wydobyć z niego dane depozytorów, podzielił parzyste numery przez 7,35, a nieparzyste przez 11,14. Z tym zasobem informacji pobiegł ulicami miasta, a gdy dotarł na miejsce, przetworzył je z powrotem.

– Mama kazała ci powiedzieć, że fryzjer powiedział, że jakiś człowiek kogoś szuka.

– W Niterói?

– W Niterói. Fryzjer poszedł za nim do miasta. Ten człowiek mieszka w hotelu. Jest bardzo brzydki i nosi kucyka, i ma dużo włosów w nosie, nozdrza ma płaskie i nosi kolczyk, i ma wielkie kości. Aha, i ma turecki paszport.

– Turecki paszport można kupić w automacie – powiedziałem.

Mały Funio, który wiedział, że grozi mi skrytobójstwo, zaczął płakać.

– Funio, Funio – powiedziałem, sadzając go sobie na kolanie. – Ja się wcale nie boję. Spójrz. – Wyciągnąłem rękę, która nawet nie drgnęła. Mimo osiemdziesiątki na karku nigdy nie drżą mi ręce. – Trzymaj się od tego z daleka, ja się wszystkim zajmę.

Był niepocieszony.

Wyciągnąłem walthera i włożyłem mu w dłoń.

– Funio, przeżyłem wojnę i nie tylko. Wiem, jak się z tym obchodzić. Nie boję się. Napełnia mnie to nawet dziwnym szczęściem, walka zawsze była nierozzerwalnie związana z moim życiem...

– No ale... – szepnął.

Cóż mogłem powiedzieć? Pocałowałem go i długimi susami popędził do szkoły. Nigdy nie umiałem mu powiedzieć, jak bardzo go kocham – choć może tak właśnie powinno być, słowa nie mogą wyrazić tego, co czujemy, nasze uczynki również do tego nie wystarczą. Przyjdzie taki czas, kiedy zrozumie swego ojca, jak każdy syn.

Tymczasem muszę zachować czujność.

Siedzę więc w ogrodzie i staram się mieć oczy szeroko otwarte, a jednocześnie daję się ponieść wstecz pocieszającej sile pamięci. Potrafię w ciągu jednej chwili przypomnieć sobie cały dzień, a w ciągu jednego dnia cały rok – dla kogoś, komu nie zostało wiele czasu, to bardzo ważne. Mogę siedzieć na ławce i ponownie przeżywać to, co bezpowrotnie minęło, czując, jak zalewają mnie fale czułości, zachwytu i smutku, które w połączeniu z bujnością ogrodu, ciepłem słońca i błękitem morza dają pełnię mojemu życiu. Choć nie mam wyboru i muszę to wszystko spisać, nie podejrzewałem, że będzie to takie łatwe.

Gdy byłem w średnim wieku, nie zdawałem sobie sprawy, że wciąż jeszcze jestem młody. Byłem zahartowany tym, że tyle już w życiu straciłem, wojną, zwyczajnym upływem czasu oraz coraz to nowymi irytującymi właściwościami coraz bardziej niedoskonałego ciała. Nie miewałem jednak okropnych bólów nóg. Nie nosiłem na sobie żadnych urządzeń. Słowo „urządzenie” kojarzyło mi się ze zmywarkami i lodówkami, dopiero później odkryłem, że są to jedynie te większe urządzenia. Nie zdarzało mi się zemdleć w miejscu publicznym. Nie miałem zakładanego cewnika, a co ważniejsze, nie miałem zakładanego brazylijskiego cewnika. Miałem żonę o ciele i gracji zawodowej tancerki, wiecznie młodą niczym miś koala, o naturalnie połyskujących blond włosach, z doktoratem z ekonomii i o cudownie czarujących przymiotach wynikających z posiadania kilku miliardów dolarów. Życie było jakby pozbawione grawitacji. Potrafiłem się kochać z zapałem przez całą noc, nie przyplacając tego wizytą w Mayo Clinic.

Daleko było mi jeszcze do pięćdziesiątki, kiedy to – mimo wszelkich wysiłków – zacząłem przypominać Konrada Adenauera. Nie zazdrościłem młodości i fizycznej witalności nietoperzom, wiewiórkom i tym podobnym stworzeniom.

I właśnie w tamtym czasie, gdy płonął we mnie jeszcze żywy ogień bez najmniejszej drobinki popiołu, Constance mnie opuściła. Po prostu odeszła. Nie bardzo pasowało to do jej imienia, nie okazała się „constans”, cóż jednak po imieniu?

Teraz mam Marlise. Marlise jest piękna jak zawsze. Postarzała się, ale nie straciła urody – w przeciwieństwie do wielu swoich krajanek nie upodobniła się do żółwia ani owocu liczi. Nie przestaje mnie fascynować jej sposób mówienia, nie tylko po angielsku, ale nawet po portugalsku. Nie zmienia to jednak faktu, że Constance mnie opuściła, a w jej miejscu powstała pustka, której nic nie zapełni.

Panna Majewska również odeszła, lecz choć ją opłakuję – ją i jej dzieci, które na pewno kochała ponad wszelką miarę, zwłaszcza w ostatnich chwilach życia, gdy je od niej zabierano – wierzę, że jeśli istnieje Bóg, na pewno tuli ją teraz żarliwie do swego serca.

Mój związek z Constance zakończył się z przyczyn bardziej doczesnych, dlatego umiem o niej myśleć bez pomocy łez i teologii – są to jednak dwie rzeczy, którym w swej słabości niekiedy nie umiem się oprzeć, dlatego resztkę swych prawdziwych sił zostawiam sobie na koniec, mam nadzieję, że odejdę jak prawdziwy pilot myśliwca.

W maju 1950 roku poleciliśmy z Constance do Denver, a stamtąd do Jackson Hole. Tam kupiliśmy dwa wierzchowe quartery, dwa konie juczne, siodła, uprzęże, sprzęt biwakowy, kurtki puchowe, płaszcze nieprzemakalne oraz kapelusze kowbojskie, które ratowały nam życie w deszczowe dni. Mieliśmy kompasy, mapy, karabiny powtarzalne i kilka pudełek amunicji, trochę drutu i przecinak.

Na szlaku, który sobie obraliśmy, przeważały tereny otwarte, nie znaczy to jednak, że nie musieliśmy przechodzić przez ogrodzenia. Konie, na których jeździliśmy na co dzień, umiałyby z zamkniętymi oczyma przeskoczyć druciany płot sięgający po pas, ale nawet gdybyśmy mieli je ze sobą i gdyby były w stanie znieść niewygodę naszej wędrówki, problemem byłyby konie juczne – te na pewno nie zdołałyby przeskoczyć żadnego płotu.

Żeby przedostać się przez ogrodzenie, przecinaliśmy dwa górne druty i przeprowadzaliśmy konie nad trzecim, najniższym. Potem odcinaliśmy z naszego zapasu kawałek długości od sześciu cali do jednej stopy (zależnie od tego, jak bardzo napięty był przecięty drut), naprawialiśmy szkodę i jechaliśmy dalej. Z szacunku i kurtuazji dla właścicieli te naprawy wykonywaliśmy bardzo starannie, traktowaliśmy je jako myto za przejazd po cudzym terenie. Nauczyliśmy się robić to jak należy, po naszym przejeździe ogrodzenie było dwa razy mocniejsze niż przedtem. Mniej więcej coś takiego chciałem zawsze osiągnąć w swoim życiu, lecz nigdy mi się to nie udawało, choć może jeszcze nie wszystko stracone.

W miarę możliwości trzymaliśmy się Wielkiego Działu Kontynentalnego, linii oddzielającej zlewiska Atlantyku i Pacyfiku. Na wielu odcinkach biegnie on wzdłuż nieprzebytych łańcuchów i szczytów górskich, po obu stronach jednak ciągną się płaskowyże, czasem płaskie są nawet wierzchołki – przez wiele mil jedzie się wtedy po samym szczycie świata, jak najdalej od miast i innych ludzkich siedzib, z rzadka tylko spotyka się pasterzy i ich zaskoczona stada.

Od pasterzy, z którymi porozumiewaliśmy się – nie znając baskijskiego – za pomocą mieszanki francuskiego, hiszpańskiego i włoskiego, kupowaliśmy baraninę. Zawsze lubiłem baraninę, z wielu powodów wolę ją od jagnięciny. Tam, w górach, piekliśmy ją bardzo długo, aż wytopił się niemal cały tłuszcz, i porządnie wędziliśmy, żeby dało się ją przechować bez lodówki, czyli tak jak lubię. Było to dla nas główne źródło białka, uzupełniane skromną ilością

soczewicy i ryżu. Mieliśmy też w workach suszone owoce, mąkę, cukier, zupy w proszku oraz butlę soku z limonki, z której pociągaliśmy codziennie po łyku jak brytyjscy żeglarze.

Nie wydaje mi się, bym na początku wyprawy planował, że będę polował na dziką zwierzynę. Zabijałem już ludzi, ale niemal zawsze byli to ludzie uzbrojeni po zęby, którzy próbowali zabić mnie. Zabijanie zwierząt wydaje mi się moralnie naganne, ale godzę się z tym, że człowiek musi je zjadać. Tak czy owak, sam nie lubię ich uśmiercać. Patroszenie, skórowanie, odcinanie głowy i kończyn, cała ta koszmarnie krwawa papranina, to nie moja, że się niezbyt zrećcznie wyrażę, bajka.

Moje nastawienie zmieniło się dzięki koniom. Konie wyjątkowo głupio reagują na węże, tych zaś na naszej krętej siedmusetmilowej trasie z Jackson do Denver spotkaliśmy mnóstwo. Zaskakiwaliśmy je, gdy wygrzewały się na łagodnych zboczach wzgórz lub leżały na pokrytych śniegiem skalach, poskręcane niczym bawole wnętrzości. Spały przy tym głęboko, a gdy je budziliśmy, bardzo się awanturowały: grzechotały, syczały, pozowały jak politycy w telewizji. Konie w takiej sytuacji nie potrafiły po prostu zmienić trasy i ominąć zagrożenia, tylko wykonywały własną ceremonię, opracowaną niewątpliwie przed milionami lat, odziedziczoną po swych przodkach eohippusach: stawały dęba i piorunowały wzrokiem wstrętnych nieprzyjaciół.

Z fizycznego punktu widzenia było to rozsądne. Wąż nie mógł ich dosięgnąć, gdy wzbijały się na osiem stóp, a tylnych nóg nie ośmieliłyby się zaatakować, mając nad głową wierzgające przednie kopyta i wstrząsaną gniewnie głowę z obnażonymi zębami. Dla jeźdźca było to jednak istne piekło.

Dość szybko nauczyłem się wyciągać karabin z olstra, przeładowywać, mierzyć i ukatrupiać węże. Mogłem to robić dzięki temu, że sprzedawca w sklepie, gdzie kupiliśmy nasz ekwipunek, namówił mnie do wzięcia dwóch pudełek naboju na ptactwo. Ja marzyłem o amunicji na dużą odległość, o dużej szybkości początkowej, on jednak przekonał mnie do naboju na ptaki i węże.

Konie oczekiwały, że każdy napotkany wąż po spotkaniu z nami będzie sflaczały jak stara kanapa na wysypisku, a ja posłusznie spełniałem te oczekiwania, zabijanie weszło mi więc w nawyk. Gdy skończyła nam się baranina, polowałem na dzikie ptactwo. Przez całą sześciotygodniową podróż jadaliliśmy sporadycznie, straciliśmy przez to na wadze, ale było to dobre jedzenie. Głód, wytrzymywany czasem przez dwadzieścia godzin lub dłużej, nigdy niezaspokajany do końca, podsycany całodzienną jazdą konną, był lepszym kucharzem niż wszyscy paryscy szefowie kuchni razem wzięci.

Przez cały ten czas ani razu nie zbliżyliśmy się do ludzkich siedzib. Był to nasz punkt honoru. Ani razu nie spędziliśmy nocy pod dachem, nie szukaliśmy miast ani restauracji. Przez półtora miesiąca nie czytaliśmy gazet, byliśmy więc w szoku, gdy w końcu wjechaliśmy do Denver – było to 26 czerwca, bodaj w poniedziałek – i zobaczyliśmy wielkie nagłówki obwieszczające, że Korea Północna najechała na Południową. Wiedzieliśmy, że niektórzy nasi krewni i znajomi pójdą na wojnę, mnie to jednak nie dotyczyło: byłem już naprawdę za stary, nie chciałem też nadużywać poważnie przekroczonego limitu szczęścia.

Postępując się tyleż kompasem i mapą, co metodą prób i błędów, kierując się zwykle ku miejscom kuszącym z daleka swym pięknem i nie bacząc na to, że po drodze będziemy musieli przekroczyć niebezpieczne rzeki lub wzgórza nazbyt strome dla koni, wyruszyliśmy z Jackson przez Shoshone Forest w stronę gór Wind River, tam dotarliśmy do Wielkiego Działu i mimo zimna staraliśmy się wjechać jak najwyżej. Opuściliśmy Wind River na przełęczy South Pass i wjechaliśmy na Antelope Hills, które nazwano tak nie bez powodu: setki antylop śmigają przed nami niczym samoloty tuż przed poderwaniem się w powietrze, gdy już ledwie dotykają kołami pasa startowego.

Z antylopih wzgórz zjechaliśmy na Red Desert, stamtąd wjechaliśmy w Sierra Mądre, gdzie znów przebiegał Wielki Dział, potem przemierzyliśmy niekończące się puszcze i łąki wokół Columbine, minęliśmy od wschodu Steamboat Springs i przez Arapaho Forest dotarliśmy do Denver. Wielki Dział przekraczaliśmy nieświadomie pewnie ze dwadzieścia razy.

Nauczyliśmy się rozumieć słońce i cień, rozmiłowaliśmy się w obserwowaniu dalekich równin. Wydłużyło się nam poczucie czasu, wzmocniły nam się ciała, pogłębiła się nasza cierpliwość, błyszczały nam oczy – zatraciliśmy się i byliśmy szczęśliwi.

Constance twierdziła, że wiatr i palące słońce niekorzystnie działają na jej twarz, ale nigdy, przenigdy nie widziałem kobiety równie pięknej jak ona – właśnie wtedy, gdy miała włosy potargane od wiatru i spłowiałe od słońca, policzki zarumienione, a oczy utkwione przed siebie, nawykłe do spoglądania w wielką dal: za dnia w horyzont, a nocą w gwiazdy. Dzięki temu wyostrzyła się jeszcze jej niepowtarzalna zjawiskowość, cecha, którą uwielbiam w kobietach ponad wszystko.

Widziałem wiele aktorek filmowych grających kobiety z Dzikiego Zachodu, niektóre miały wielki talent i umiały zagrać tę rolę w sposób znośny, żadna jednak nie umywała się do Constance po paru tygodniach spędzonych na wysokości dziesięciu tysięcy stóp, w słońcu i wietrze, na skąnym prowiancie. Jej kobiecość wydawała się wypolerowana do połysku.

Czasami odpoczywaliśmy przez kilka dni nad małymi jeziorami ukrytymi w górach. Kładliśmy się od północnej strony na skałach, nagranych słońcem i schowanych przed wiatrem, i kochaliśmy się w środku dnia, bez zahamowań, wiedząc, że w promieniu setek mil nie ma żywej duszy.

Pogoda nam sprzyjała, niebo było czyste, usiane gwiazdami – stanowiło istne mrowie błysków, migotań, przyozdobione fosforyzującą smugą Drogi Mlecznej, chyba najbardziej tajemniczy, a zarazem najbardziej krzepiący widok na świecie. Staliśmy się ekspertami od nawigacji według gwiazd, wynajdywania wody wśród gęstych traw, spania na śnieżnych zaspach, opatrywania skaleczonych koni, naprawiania ogrodzeń i strzelania do ptaków, pięknych jak zaskoczona zniecka anioły.

Ponownie dowiedziałem się, co najbardziej w świecie kocham, i byłem szczęśliwy. Którejś nocy, w południowej części Wind River, na skalnym bloku pięćdziesiąt razy większym od Madison Square, gdy przeżywaliśmy najwspanialsze dni naszego życia, powiedziałem Constance, że chcę, byśmy mieli dziecko, a ona się wtedy rozplakała. Tamta noc, spędzona o chłodzie i głodzie, w niemal oślepiającym blasku gwiazd, w nieustającym huku pobliskich wodospadów, była szczytowym punktem mojego życia – obok chwili, kiedy wyskoczyłem z eksplodującego samolotu, i późniejszych o wiele lat narodzin Funia, był to moment, dla którego przyszedłem na świat.

Choć nie zdawałem sobie jeszcze z tego sprawy, choć łudziłem się, że wszystko mi idzie doskonale, od tamtej nocy zaczął się mój upadek. Teraz, z oddalenia, nie żałuję tego. Nie można pozostać zbyt długo na niebiańskich przyczółkach, nie powinno się nawet na to liczyć. Po namyśle stwierdzam też, że mój upadek był nie tylko błyskawiczny, ale i piękny.

Wyjechaliśmy z Denver 28 czerwca o dziesiątej rano, wielkim transkontynentalnym pociągami do Chicago, pełnym dzieci urodzonych tuż przed wojną lub w trakcie walk, jadących na wschód na letnie obozy. Dziewczynki miały na sobie letnie kapelusiki, sukienki, czasem rękawiczki. Chłopcy byli ubrani nie mniej odświętnie, w eleganckie koszule, czasem nawet muszki, choć na równinach Kansas było naprawdę gorąco. Choć poubierane w niewygodne stroje i machinalnie uprzejme wobec dorosłych (każdego, kto miał więcej niż pięć stóp wzrostu, traktowali jak policjanta), te dzieci były już chyba ostatnim pokoleniem, które mogło naprawdę żyć własnym życiem – ostatnim, dla którego Ameryka była jeszcze nieskończoną skarbnicą

ustronnych, nietkniętych krain, dla którego nazwa „Stany Zjednoczone” miała prawdziwą liczbę mnogą.

Serce mi rosło na widok tych dziewczynek w białych kapelusikach i chłopczyków w muszkach. Było to przejmująco rozkoszne uczucie – ojcowskie, matczyne, rodzicielskie – którego Constance, obawiam się, nie podzielała. Dziś wiem to na pewno: przez ostatnie trzydzieści lat nazywałem się w gazetach i czasopismach o jej małżeństwach i romansach, wtedy jednak jeszcze o tym nie wiedziałem, bo przypisywałem jej własne najgłębsze pragnienia. Nawet ona jeszcze wtedy nie wiedziała – a tym bardziej o tym nie mówiła ani nawet nie myślała – że nie chce mieć dzieci. Powiedziała mi dopiero później i były to jedne z ostatnich słów, jakie od niej usłyszałem:

– Szczerze mówiąc, wolę już jazz niż dzieci.

Sękał w tym, że ona wcale nie przepadała za jazzem.

Wszystko to zaczęło się ujawniać tamtego ranka, gdy wsiedliśmy do pociągu, a ja wciąż czerpałem potężną siłę z krajobrazu. Patrzyłem przez okno na jeszcze zielone łąki pszenicy, spoglądałem na Constance. Była przepiękna, gdy wpatrywała się w horyzont. Po paru tygodniach spędzonych w rozrzedzonej górskiej atmosferze bogatsze w tlen powietrze równin wprawiało nas w stan uniesienia. Wiedzieliśmy, że ten stan potrwa jeszcze dobry tydzień, a półtora miesiąca w siodle i w wietrze pozostanie w nas, jeśli tylko zechcemy, do końca życia.

Znajdowaliśmy się w samym sercu kraju, w środku lata, w wieku niewinności. Wiedziałem wtedy prawie tyle, ile wiem teraz, i była to wiedza czysta, nieprzeżarta zepsuciem. Jeśli słowo „niewinność” komuś źle się kojarzy, to tylko temu, kto nie pamięta lub nie chce pamiętać, czym jest czystość.

Kochałem Constance całym sercem i niósł mnie wielki rytm życia – owe powolne oscylacje, które wyczuwa się dopiero w ciągu pokolenia lub nawet dłuższym czasie, i trzeba lat, by w ogóle zrozumieć ich istotę. Było gorąco i pogodnie, stukot kół po szynach zszywał ze sobą światło i skwar. Miałem zamiar kochać się z Constance jak jeszcze nigdy dotąd, przez całą drogę z Kansas do Chicago, choćbym miał to przypłacić dwudziestoma zawałami.

Nachyliłem się ku niej i wziąłem ją za rękę. Była zaskoczona, ale podała mi dłonie. Gdy to zrobiła, jej szyja i ramiona przybrały kształt, któremu nie umiałem się oprzeć. Przyciągnąłem ją do siebie, a ona wykonała serię pięknych gestów, które kobiety wykonują na chwilę przed pocałunkiem: wstrzymują oddech, mówią oczyma i poruszają wargami, jak gdyby chciały coś powiedzieć. Złote włosy spływały jej na kark. Zęby miała bielsze niż wszystkie kobiety, które zdarzyło mi się potem widzieć. Zamknęła oczy. Pocałowałem ją, a gdy sięgnąłem jej pod bluzkę, przemknęło mi przez myśl, że następną rzeczą, jaką usłyszę w doczesnym świecie, będzie nagły pisk hamulców – znak, że pociąg wjeżdża na Union Station w Chicago i trzeba czym prędzej zakładać zmiętoszone ubrania.

Lecz nawet podczas najdłuższej ekstazy trzeba oddychać. A gdy Constance zaczerpnęła tchu po pierwszym długim pocałunku, rzekła:

– O niczym teraz tak nie marzę jak o filiżance dobrej gorącej kawy.

Gdy wyciąga się rybę z wody i nagle dociera do niej, że znalazła się w jaskrawym świetle i niematerialnym powietrzu, przeżywa szok. Wielu rybaków – zapewne, by oszczędzić jej żalu, że opuściła świat płynnego szmaragdu – uderza głową swej ofiary o pokład. Rybi pyszczyk przybiera wtedy dokładnie taki sam wyraz, jaki przybrała moja twarz po zdumiewającym wyznaniu Constance.

– Wydaje mi się, że mają tu świeżo mieloną. Może nawet palą ją w pociągu? Widziałam, jak jeden z kuchcików wsypuje coś, co wyglądało jak ziarna kawy, do czegoś, co wyglądało jak piec. Czy mógłbyś wezwać stewarda?

Nawet nie drgnąłem, wpatrywałem się w nią jak dinozaur w bursztynie. Tymczasem Constance, jak gdyby opętała ją diabeł, z prędkością karabinu maszynowego rozgadała się o rozmaitych odmianach kawy:

– Ja osobiście uwielbiam żywe, pikantne aromaty arabian sanani, tatuś najbardziej lubił kawy etiopskie. Miał swojego człowieka w Fortnum and Mason, który dwa razy w roku jeździł na Wyżynę Abisyńską i przywoził mu sidamo, yirgacheffe i harrar. Muszę zajrzeć do jego notatnika, może znajdę nazwisko tego człowieka. Wariuję z tęsknoty za yirgacheffe, ale wezmę wszystko, co przywiezie. Bądź tak dobry i wezwij stewarda. Wezwij już teraz. Nie chcę czekać. Nie mogę czekać.

Przejechaliśmy sporą część Kansas, nim odzyskałem zdolność mówienia.

– To zabawne – powiedziałem.

– Co jest zabawne?

– No wiesz.

– Nie, nie wiem. Co jest zabawne?

– To, co mówisz o kawie.

– A co w tym zabawnego?

– Nigdy dotąd nie wspominałaś o kawie. Wiesz, że nie mogę nawet przebywać w pomieszczeniu, gdzie podaje się kawę. Wiesz, że chodzimy do restauracji tylko latem, gdy można siedzieć na zewnątrz.

Wydawała się speszona. Gdy zbierała myśli, poczułem, że wpadam w panikę.

– Nie przypuszczałam – skwitowała tonem, jakim zwykła przeprowadzać racjonalne argumentacje – że odrzucasz kawę w tak kategorię i ideologiczny sposób.

– Nie, wcale nie – odparłem. – Po prostu uważam, że kawa zastępuje ludziom seks, ćwiczenia, zdrową dietę, właściwą ilość snu, szczęście, cel życiowy oraz mózg.

Połknąłem przynętę. Co za dureń ze mnie. Teraz już wiem wszystko. Ona po prostu nie chciała mieć dzieci.

– Cóż – powiedziała z rozdrażnieniem – większość ludzi nie ma tego przywileju i nie może wieść tak wydziwionego życia jak ty. Ludzie cierpią. Kofeiny ich powszedniej daj im dzisiaj.

– Wydziwionego? Kto tu jest wydziwiony? Nie sądzisz, że posiadanie kilku miliardów dolarów jest przynajmniej odrobinę wydziwione? Wchodziłem w życie jako goniec, chłopak na posyłki. W kajdankach i kaftanie bezpieczeństwa wylądowałem w szwajcarskim szpitalu dla obłąkanych. Szedłem przez życie wiedziony żelazną wolą. Mój ojciec nie miał posiadłości w Afryce, nie nosiłem do szkoły kanapek z mięsem antylopy, nie chodziłem do Nizyńskiego na lekcje tańca. Kocham cię, Constance, kocham cię nad życie – oznajmiłem zgodnie z prawdą – ale mówisz rzeczy w rodzaju „o niczym teraz tak nie marzę, jak o steku z żyrafy” i wydaje ci się, że jesteś zwyczajną Amerykanką. Nie masz pojęcia, co to jest cierpienie.

Gdy wypowiadałem słowa „kocham cię nad życie” i z emocji zadrżał mi głos, sądziłem, że Constance rzuci mi się w ramiona. Jej jednak stały w oczach łzy. Odsunęła się do tyłu i wprowadziła ripostę:

– Dobrze wiem, co to jest cierpienie.

– Naprawdę?

– Tak.

– No to powiedz – podjudziłem.

Constance przygryzła górną wargę i zmarszczyła brwi. Po pięciu minutach milczenia rzekła:

– Dziadek Lloyd płynął Titanikiem.

– Przecież nie było cię jeszcze wtedy na świecie.
– Płakałam, gdy się o tym dowiedziałam. Jak tylko spojrzałam mu w twarz, w głębi serca czułam jego cierpienie.

– On przeżył?

– Oczywiście. Mieli szalupy.

– Constance – powiedziałem – kocham cię. Chcę się z tobą kochać. Teraz. Nigdy dotąd nie kochałem cię tak jak przez te ostatnie tygodnie, a w ciągu tych tygodni nigdy nie kochałem cię bardziej niż w tej chwili. Chodź do mnie. – Rozpostarłem ramiona. Czułem potężną siłę pchającą nas ku sobie oraz siłę, która nas rozdzielała. Obie ścierały się ze sobą we wspianiały i zatrważający sposób.

Constance się nie poruszyła. Wpatrywałem się w jej twarz, w światło połowy kontynentu, które biło z jej srebrzystych blond włosów i z oczu przypominających oczy psów zaprzęgowych, i czułem, jak potężna masa jej duszy oddala się ode mnie niczym olbrzymi statek odpływający od nabrzeża. Przestrzeń między nami była niespokojna i udręczona jak zorza. Zdałem sobie sprawę, że aby osiągnąć Constance, musiałbym przemierzyć mgławice, galaktyki i etery.

– Nie możesz mi mówić, co mam robić – odezwała się.

– Nie mówię ci, co masz robić.

– Dobrze. – Wstała. – Idę napić się kawy.

Może chciała, bym rzucił się do drzwi, zasłonił je własnym ciałem, objął ją. Moze powinienem był to zrobić, ale wszystko zostało pomyślane tak, że nie mogłem sobie na to pozwolić. Jej oświadczenie, że idzie na kawę, złamało mi serce, a co można powiedzieć komuś, kogo się kocha, gdy ten ktoś z rozmysłem lamie nam serce?

– Wyglądasz, jakbym zamierzała zdradzić cię z masażystą – powiedziała z ręką na klamce. – Ja tylko idę na kawę. Zaraz wracam.

Nie było jej dwadzieścia minut. Przez ten czas tak cierpiałem i rozpacziałem, jak gdyby poszła uprawiać miłość ze wszystkimi akrobatami z Ameryki Południowej. Kiedy wróciła, była w stanie narkotycznego uniesienia, przez co pogrążyłem się w jeszcze większej rozpacz.

Ta szatańska substancja sprawia, że człowiek uśmiecha się w obliczu tragedii. Przeobraża jego wnętrze w radośnie połyskujący mechanizm, hipnotyzuje go sztuczną wesołością, pozbawia go smutku i namysłu, które są kotwicami miłości.

Lecz powiedzieć, że Constance była zadowolona, to mało. Była w radosnej ekstazie, bezwarunkowo gotowa wszystko przebaczyć i puścić w niepamięć. Miała ochotę na seks. Widziałem, że pragnie tego całym swoim ciałem. Kipiła seksem. Była tak roznamiętniona, że gdybyśmy teraz zaczęli się kochać, pociąg mógłby wypaść z szyn, połowa kobiet w Afryce przestałaby ubijać maniok, od Nowej Fundlandii po Azerbejdżan stanęłyby zegary, a Bank of England zacząłby wystawiać w holu talerzyki z pączkami.

– Nie – powiedziałem. – Namiętność, która wypełnia każdy atom twojego ciała, została uwolniona przez narkotyk, kryształ, substancję.

– No i? – spytała. Jej ciało desperacko domagało się mojego ciała.

Ja też chciałem wytworzyć magnetyczne trzęsienie ziemi na kansaskich równinach, które sprawi, że Bank of England zacznie wystawiać pączki w holu, chciałem zatrzymać zegary, być bogiem, przynajmniej przez chwilę. Ale Bóg jest tylko jeden – kto fałszywie ludzi się, że jest inaczej, płaci za to słońną cenę.

Jednym z rezultatów działania kawy jest to, że potrafi ona niemal niepostrzeżenie przestawić sanki na najbardziej przepaściste zbocze góry. Constance nagle straciła zainteresowanie seksem i zaczęła mnie prowokować do intelektualnej potyczki, jałowej, lecz na tyle szybkiej, by mogła dotrzymać kroku jej galopującemu tętnu. Kawa nie działa na naszą istotę, nie

wzmaga zdolności rozumienia, jedynie przyspiesza tętno. Sądzę, że Constance w swym kofeinowym otumanieniu znalazłaby nie mniejszą satysfakcję w bębnieniu palcami lub przepisaniu na maszynie cudzej pracy dyplomowej – aby tylko puls był dostatecznie nagły i niejednolity, aby tylko mieć poczucie, że nieustępliwie posuwa się naprzód. W tym momencie jednak jej ekstaza przybrała maskę tolerancji dla kompulsywnej dyskusji. Constance zaczęła mówić bez zająknięcia, jak adwokat na sali sądowej:

– Powiedz mi zatem, co właściwie leży u podstaw twojej niechęci do kawy. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że w świetle zwyczajów i praktyk panujących na świecie ciężar dowodzenia spoczywa na tobie. Większość ludzi pije kawę. Wśród tych, którzy tego nie robią, jedynie ty jej się tak otwarcie sprzeciwiasz. – Znów spjrzała na mnie, jak gdyby mnie nie znała. – A przynajmniej jesteś jedyną osobą, która sprzeciwia się jej z taką... taką...

– Zaciekłością – odpowiedziałem.

– Właśnie. Zaciekłością. Jesteś w tym osamotniony.

– Wiem o tym.

– Powiedz więc, co odkryłeś. Wyjaśnij mi, skąd się biorą twoje uczucia. Zamieniam się w słuch.

– Czy nie mogłabyś jednak zrobić mi prezentu i po prostu zaakceptować tego, jaki jestem? – rzuciłem.

– Rzeczy, które pozostają niewyjaśnione, mają krótki żywot.

– Owszem – przyznałem – nie licząc miłości i piękna, które są zupełnie niewyjaśnione i żyją wiecznie. Przynajmniej kiedyś tak było.

– Ale dlaczego? – spytała, szczerze zbита z tropu. – Dlaczego właśnie kawa?

Prychnąłem i odsunąłem się od niej urażony.

– Nienawidzę kawy – powiedziałem z cierpliwością człowieka zdruzgotanego.

– Wiem o tym.

– Kawa jest zła.

– Wiem, że tak uważasz.

– Tak. Jest bardzo zła.

– Ale dlaczego?

– Nie mam przygotowanej tyrady – odrzekłem, bo wówczas naprawdę nie miałem. Od tamtej pory mam ich kilka. Najkrótsza trwa trzydzieści sekund, najdłuższa godzinę i czterdzieści pięć minut.

– Mów wszystko, co ci przyjdzie na myśl.

– Uważasz, że mam nie po kolei w głowie.

– Nie. Nie uważam, że masz nie po kolei w głowie, po prostu kocham kawę, a ty zachowujesz się tak, jakbym wypijając filiżankę kawy, zdradzała cię z kimś. O co chodzi?

– Kochasz kawę – powtórzyłem. – Nie powinno się kochać substancji.

– To niedorzeczne. Równie dobrze mogłabym powiedzieć: kocham piezzonego kurczaka.

– Może i tak, ale gdy powiedziałaś, że kochasz kawę, twój głos obniżył się o półtorej oktawy, każde słowo oddzieliłaś średniówką ślepej namiętności i poruszyłaś się tak, jak gdyby pieścił cię męski sukub.

– Znaczą się inkub.

– Niech będzie nawet inkubator. Gdy zaś powiedziałaś, że kochasz piezzonego kurczaka, słowo „kocham” było tylko błahym półtonem o tej samej wysokości, co pozostałe słowa, nie wyczuwało się tam ani pauzy, ani przystojnego inkuba.

– Inkub jest przystojny?

– Tak.

– Widziałeś go?

– Nie, ale widziałem ciebie, kiedy go widziałaś.

Constance z miłością wypowiedziała moje imię. A potem dodała:

– Jesteś obłąkany.

– Wręcz przeciwnie – oświadczyłem. – To ci, którzy piją kawę, są obłąkani. Obłąkani i opętani, a co gorsza, chcą być opętani. Większość ludzi w szpitalach psychiatrycznych pije kawę. Gdyby pozwolić im jej nie pić, odzyskaliby równowagę psychiczną na tyle, że można by ich wypuścić. Ale nie, oni nie przestają. Przeciwnie, piją coraz więcej, i coraz bardziej im odbija. Z każdą cholerną kroplą coraz bardziej się odczłowieczają i choć to czują, są jak lemingi czy bawół, który skacze z urwiska. Ludzie piją kawę, a ona sprowadza na nich obłąd. Czy musicie pić właśnie kawę? – ciągnąłem. – Dlaczego nie kakao, herbatę, mate, wywar z yoco czy guaranę? Dlaczego kofeina? Czemu nie teobromina czy teofilina? Zdarzyło mi się parę razy w życiu zjeść kostkę czekolady. Owszem, wprawia w nieopanowaną ekstazę, ale po chwili doprowadza do prometejskiej rozpacz.

Zauważ – mówiłem dalej – że kawę przywieziono do Europy w siedemnastym wieku, już po epoce renesansu. Jak sądzisz, dlaczego sztuka renesansowa i okres klasycyzmu do dziś nie mają sobie równych? Tych wspaniałych wzlotów dokonano na skrzydłach aniołów, a nie dzięki wstrętnej brei wytoczonej z ziarna, które zatrąwa własny krzew. Tak, kawowiec sam siebie zatrąwa! Ziarno spada na ziemię i po dziesięciu-dwudziestu latach... *sayonara!* Nie mów mi, że flirt z tą uzależniającą trucizną ma dobroczynne działanie. Przypuszczam, że nigdy nie słyszałeś o skandalach z podrabianiem kawy na początku dziewiętnastego wieku. Wiesz, co dodawano do mielonej kawy, żeby zwiększyć jej objętość?

– Co? – spytała Constance z szeroko otwartymi oczyma.

– Korzenie, orzechy, żołądź, kamienie, pieczoną końską wątrobę, glinę, palone skorupki orzeszków ziemnych, kopre, szałwii, pierze i świńskie gówno. A ludzie nie mieli o tym pojęcia.

Skąd mieliby wiedzieć? Zdażyli się już zmienić w zombi, jak postacie z rysunków Hogartha, ślubowali posłuszeństwo... komu, czemu? Królowi? Mesjaszowi? Wierze? Komu? Komu? Nawet nie fałszywemu mesjaszowi ani samozwańczemu uzurpatorowi, nawet nie błędnej idei ani hipnotyzującej religii, tylko ziarnu, ziarnu, ziarnu, ziarnu, ziarnu!

– I co byś chciał z tym zrobić, zakazałbyś go?

– Czemu nie? De Valera próbował zakazać w Irlandii picia herbaty. Dlaczego musieliśmy się zatrzymać w pół drogi? – Mówiłem dalej, broniłem światła przed wszechogarniającą ciemnością: – Kofeina, moja droga Constance, przypomina kod genetyczny.

– Jak to?

– No tak. C₈H₁₀N₄O₂. 1,3,7-trimetylo-1H-puryno-2,6(3H,7H)-dion. Jak wiesz, DNA się replikuje, kofeina jednak zakłóca ten święty proces z taką siłą, jakby tajfun uderzył w łódki na Tamizie, i rozsadza system genów. Kofeina zastępuje adenozyne i wiąże się z jej receptorami na powierzchni neuronów, przez co neurony zaczynają się spalać z przepracowania. Ta uzurpacja i jej nieopanowane skutki, ten atak na równowagę panującą w naturze, to wyzwolenie ognia i światła mające służyć jako taran dla duszy, jest grzechem najcięższego rodzaju.

– Kofeina wywołuje niepłodność u owadów – dodałem.

– A co z ludźmi? – spytała Constance. – Ludzie to nie owady.

– Zgadza się – potwierdziłem. – Przyznaję uczciwie, kofeina nadaje spermie większą ruchliwość, czyli tak naprawdę wspomaga płodność. Czy to uczciwe?

– A czemu nie?

– Bo plemnik odurzonego kofeiną tępaka, słabeusza i nałogowca dostaje w ten sposób dodatkowy napęd. Plemnik szlachetny, który nie akceptuje dodatkowych napędów, nie dostanie

się do jaja, a ponieważ ten dodatkowy napęd pozostaje, że tak powiem, poza murami komórki jajowej, co dostaje się do środka? Tylko słabeusz, tępak, osioł nieumiejący pływać, bezogoniasty niedojda, niechlujny matoł, który przebił się pod prąd tylko dlatego, że miał silnik przywiązany do grzbietu. Spengler kompletnie przeoczył tę kwestię, gdy zastanawiał się, co dolega Zachodowi.

– Skarbie... – powiedziała Constance. – Skarbie mój najdroższy. ..

– Największe na świecie spożycie kawy na głowę odnotowuje się w Finlandii. Owszem, Finowie dali odpór Rosjanom, ale to najbardziej nerwowi ludzie na świecie, nikt nie rozumie ich języka, a do tego tłuką się gałęziami po głowach. Przeciętny Amerykanin wypija siedemset dwadzieścia galonów płynów rocznie, z czego mniej więcej połowę stanowi kawa. Wychodzi jeden galon dziennie, czyli szesnaście filiżanek. Trzy procent populacji wypija pięćdziesiąt filiżanek dziennie, piętnaście procent pije czterdzieści. Sześćdziesiąt siedem procent dorosłych Amerykanów i trzydzieści trzy procent dzieci jest uzależnionych od kofeiny lub rozmaitych kwasów kawowych.

– Skarbie...

– Katarzyna Wielka zalewała funt kawy czterema filiżankami wody i bądźmy szczerzy, właśnie dlatego różni się z końmi. Zresztą pomyśl tylko: pięć tysięcy miligramów kofeiny jest dawką śmiertelną. Ktoś kiedyś popełnił samobójstwo za pomocą lewatywy z kawy. Nie rozumiesz tego? Co będzie, jeśli stracisz rachubę i zapomnisz, ile już wypiał filiżanek? Umrzesz. A wszystko to wiadomo od wieków, od kiedy tylko kawa pojawiła się w Europie. Już dawno William Corbett pisał, że kawa „niszczy zdrowie, osłabia konstytucję cielesną, prowadzi do zniewieściałości i lenistwa, deprawuje młodych i sprowadza nieszczęście na starych”. Constance, posłuchaj mnie – zakończyłem. – Zaufaj mi. Wiem, o czym mówię, i zapewniam cię, nie jestem ani odrobinę uprzedzony.

Milczeliśmy do końca podróży. Odezwałem się dopiero w Chicago, gdy żebrak na dworcu spytał mnie grzecznie, czy nie dałbym mu dziesięciu centów na kubek kawy.

– Spierdalaj! – krzyknąłem tak potężnie, że mój głos odbił się kilkakrotnym echem od wysokiego sufitu i spłoszył siedzące tam bezprawnie stado gołębi.

Taki język tolerowano wówczas w miejscach publicznych znacznie gorzej niż dziś, zobaczyłem więc, jak w moją stronę rusza para chicagowskich policjantów, nie wiedzieć czemu ubranych jak taksówkarze. Constance jednak osadziła ich w miejscu piorunującym spojrzeniem prawdziwej miliardarki.

Idąc przez dworzec, widzieliśmy kawiarnie The Chaparral i The Twentieth Century, a między jedną a drugą jeszcze tuzin innych szyldów z napisem „kawa”. Drobni mężczyźni w kapeluszach i garniturach z krepy stali przy kontuarach i pili, odchylając głowy do tyłu niczym pacjenci w szpitalach psychiatrycznych wychylający kubeczki chlorpromazyny. Zimą ci sami ludzie tłoczą się przy tych samych kontuarach i piją z tych samych filiżanek, tyle tylko, że w workowatych płaszczach i filcowych kapeluszach wyglądają trochę jak europejscy inspektorzy policji. A gdy w Chicago jest bardzo zimno, światło wpada przez okna do wnętrza pod postacią olbrzymich promieni i połyskuje na skrzydłach gołębi unoszących się wśród drobinek kurzu niczym w ławicy migotliwych gwiazd.

Wyznaję, że gdy zbliżyliśmy się do Nowego Jorku, nabrałem nieco optymizmu. Bądź co bądź Nowy Jork był moim domem. I wciąż nim jest, choć podobno zmienił się nie do poznania. Zachowałem go w pamięci takim, jaki był kiedyś, i kocham go tak, jak kocha się kogoś, kto umarł – z łagodną rezygnacją, nieustępliwą wiarą i absolutną pewnością. Widzę go jako miasto bezgłośnie, lecz wiem, że gdybym miał dość siły, gdybym tego zapragnął, tak jak pragnie się latać we śnie, w jednej chwili usłyszałbym wszystkie jego dźwięki. Mógłbym wtedy wkroczyć w ten

pełniejszy obraz i odszukać ludzi, których adresy wciąż noszę w swoim sercu. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym ich odnalazł (i czy by mnie poznali), ale na pewno ucieszyłbym się na ich widok. Odszukałbym na przykład mojego ojca w 1910 roku, kiedy był jeszcze młodym mężczyzną, a ja miałem sześć lat. Pojechałbym za nim kolejką, może nawet skrzyżowalibyśmy spojrzenia. Mógłby wtedy pomyśleć, że uprzejmość, jaką wyczuł ze strony białowłosego starca, zapewne weterana wojny secesyjnej, wynika z mądrości i starczej dobrotliwości. Nigdy nie zdarzyło wam się spotkać takiego starego dziada jak ja, nigdy nie spojrział na was w taki sposób, jak gdyby znał przyszłość i doskonale wiedział, kim jesteście? Może był to wasz własny syn, który tak was ukochał, że zdołał siłą swej woli przenieść się w czasie.

Nowy Jork dawał mi siłę. Hudson również dawał mi siłę, był dla mnie niejako rajskim ogrodem. Postanowiłem, że z miłości do Constance zdołam się zmienić, a wtedy ona również się zmieni i w ten sposób naprawimy nasz podupadający związek. Chyba niczego nie pragnąłem wówczas bardziej niż chodzić z nią cienistymi, anonimowymi letnimi ulicami, zagubiony w czasie, wciąż zakochany.

Mój optymizm rozrósł się ponad wszelką miarę, zupełnie jakbym sam napił się kawy. Gdy zajechaliśmy taksówką pod dom, wbiegłem do środka jak generał, który właśnie wygrał wojnę. Zaczynała się nowa era, w której wszystko było możliwe wedle mojego zachcenia. Najpierw wpadłem do łazienki i potargałem ręczniki. Pomieszałem ustawione alfabetycznie flakony perfum Constance (doprowadzałem ją do szału, domagając się, by rapture stawiła za quantum mechanique, rapture to były jej ulubione perfumy, a w ten sposób trudniej było po nie sięgnąć), po czym wjechałem windą do kuchni i zrobiłem to samo z serami, a jeden kawałek zdjąłem nawet z półki z nabiałem i włożyłem niedbale między owoce. Pozwalając się zdeprawować do końca, sięgnąłem jeszcze po kawałek stiltona i wcisnąłem go asymetrycznie między poprzesztawiane puszki z piwem.

Nie mogę powiedzieć, że te akty niechlujstwa poprawiły mi samopoczucie, że przyszły mi łatwo ani że miały jakiś sens – lecz w imię mego serca chciałem się zmienić do końca, działałem więc dalej.

Po kuchni przyszła kolej na mój gabinet. Łzy stanęły mi w oczach, gdy robiłem tam bałagan: pomieszałem znaczki pocztowe o różnych nominałach, poprzekrzywiałem ułożone równolegle spinacze i przechyliłem abażur lampki o trzy czy cztery stopnie, porzucając tym samym wszystkie wysiłki, jakie dotąd podjąłem w życiu – przynajmniej symbolicznie – by wprowadzić porządek do nieporządnego świata, bronić tego, co sensowne i dobre, przed tym, co bezsensowne i złe, jak gdybym przygotowywał aerodrom na powrót dawno zaginionej eskadry.

Gdyby w końcu wyleciała z chmur, chciałem, by miała gdzie wylądować. Chciałem, by jej piloci wiedzieli, że personel naziemny nigdy nie stracił nadziei na ich powrót, że wciąż na nich czekam, że nie opuściłem gardy, że wierzę. Żeby w jednej chwili zaakceptować ideę nieporządku, poddać się jej, przestać się troszczyć o piękno i harmonię wszystkich rzeczy – wszystkich rzeczy – musiałem zaprzeczyć każdej bez wyjątku lekcji, jakiej udzieliło mi życie, i każdej walce, jaką zwycięsko stoczyłem.

Schludność jest tak mocno wpisana w moją naturę, że wystarczy drobne zakłócenie porządku, by wyprowadzić mnie z równowagi. Wierzę jednak niemal od początku mego życia – być może bezwiednie, instynktownie – że życie i miłość tworzą nierozzerwalną jedność, że jeśli chce się uszanować jedno, trzeba też uszanować drugie, że miłość może przybierać różne postacie i może być przyczyną wielu wyjątków, wśród nich zaś możliwy jest też wyjątek największy: w miłości Bóg może nam przyzwolić, czy wręcz nakazać, byśmy wypowiedzieli wojnę Jego porządkowi, któremu przysięgliśmy służyć, wojnę przeciw innym ludziom, przeciw naturze, przeciw samemu Bogu.

Tylko miłość może zawrzeć w sobie takie przesłanie, tylko miłość może być tak silnie odczuwana, obarczona tak potężnym brzemieniem, tak słuszna, tak czysta, tak doskonała. Tylko miłość. Postanowiłem, że napiję się kawy, a przynajmniej spróbuję.

Oczywiście nie mogłem tak po prostu pójść do restauracji czy jednej z wielu innych obrzydliwych spelunek, gdzie serwuje się kawę, poprosić o filiżankę i wypić. Constance traktowała moje niezdecydowanie jako przyzwolenie na rozpustę i podczas sześciu czy siedmiu tygodni, kiedy odwlekałem swoją konfrontację i konwersję, zaczęła się spotykać z ludźmi pijącymi kawę. A potem, pograżając się w coraz większym zepsuciu, otoczyła się gronem jej sympatyków, apologetów, miłośników, maniaków i trutni. Wracła do domu zaczerwieniona, nerwowa, wytrącona z rytmu. Czułem zapach kawy na jej ustach przez całą szerokość stołu w jadalni – czyli przez dobre dwadzieścia stóp.

Pod koniec lipca przyjechało kilka furgonetek firmy S.S. Pierce z zaopatrzeniem do diabelskiego aparatu specjalnie sprowadzonego z Włoch – maszyny, która przepuszczała sprężoną parę wodną przez zmielone ziarna kawy. Widziałem takie urządzenia w Europie i trzymałem się z daleka. Jedno z nich stało teraz na głównym stole w kuchni deserowej. Na miedzianym dzwonowatym korpusie siedział przycupnięty gargulec z brązu. Rzemieślnik, który go wykonał, znał swój fach. Nie mogłem patrzeć na to okropne widziadło: oczy z brązu były jak żywe, a uśmiech wyraźnie wymuszony narkotykiem.

Pewnego sobotniego ranka, gdy wróciłem z przebieżki wokół parku, w saloniku dla gości siedział dyrektor jednego z muzeów, które Constance wspomagała finansowo. Nasz salonik dla gości był istnym rajem. Trzymaliśmy tam tyle kwiatów, że zatrudnialiśmy na pełen etat specjalnego służącego do odpędzania pszczoł – łapał je w bawełnianą siateczkę zaprojektowaną przez znanego przyrodnika Franka Bucka. Świeżych kwiatów nie brakowało nawet zimą, gdy między klifami z kremowego marmuru ogień pożerał hikorowe polana. Przechodząc obok saloniku, zajrzałem do środka. Na pozór wszystko było po staremu. Constance miała umyte zęby, znów śnieżnobiałe, wolne od chorobliwych plam po napoju przypominającym destylat z szamba. Była ubrana w biały strój do tenisa – miała słabość do wszelkich strojów sportowych, nosiła nawet kostium baseballowego łapacza.

Dyrektor muzeum siedział na skraju krzesła pochylony do przodu i w wymuszony sposób śmiał się z jej słów, które nawet nie były bardzo zabawne. Słuchałem, jak Constance opowiada zmienionym głosem z głupkowatą szczerością:

– W sobotę lubię pograć w tenisa, umyć włosy, a potem pójść na Jefferson Market i kupić sobie kawę.

O kupowaniu kawy powiedziała w taki sposób, jakby mówiła o mężczyźnie, w którym jest ekstatycznie zakochana. Biła z niej miękkość i ciepło, którą pamiętałem z naszego pierwszego spotkania. A potem rozległ się przeraźliwy trzask, gdy posłałem kopniakiem w kąt jej rakiety do tenisa, która stała oparta o jednego z marmurowych egipskich lwów w drzwiach saloniku.

Niech ci będzie, powiedziałem w duchu, biegnąc na górę (Constance nie lubiła, gdy ktoś łamał jej rakiety), jeśli naprawdę mam to zrobić, już najwyższa pora.

Zacząłem od sporządzenia testamentu. Ponieważ byłem współwłaścicielem przedsiębiorstw, nieruchomości, dzieł sztuki i instrumentów finansowych wartych kilka miliardów dolarów, miałem już testament i to dość skomplikowany. Umieszczony był w segregatorze z marokańskiej skóry, który lubiłem wachać dla rozrywki, sporządziła go szacowna firma prawnicza dziadka Fabera. Algorytm postępowania opisany był na pierwszych dwudziestu stronach, a inwentarz, skrętnie uzupełniany co kwartał, ciągnął się do strony trzysta dwudziestej piątej.

Ten testament nie mówił jednak nic o moich emocjach, żalach i aspiracjach. Owszem, aspiracjach – nawet tych, które można mieć, gdy ustanie respiracja.

W testamencie, który spisałem sam, bez pomocy prawników, nie wspomniałem ani słowem o pieniądzach. Była w nim mowa jedynie o tym, że wiem, iż jestem zmuszony opuścić ten świat, i o ludziach, których kochałem – była to moja rozmowa z nimi, nawet z tymi, co odeszli przede mną.

Zwróciłem się w nim także do Constance. Wiele jej powiedziałem. Pozwoliłem sobie wypomnieć sprawę, która przyczyniła się do naszego upadku. Pozwoliłem sobie na słowa potępienia. Pozwoliłem sobie na przypowieść z morałem, zilustrowaną przykładem mojej własnej śmierci. „Umarłem, bo pozwoliłaś swemu kobiecemu sercu zadurzyć się w martwym obiekcie. Umarłem, ponieważ opętał cię gargulec z brązu, łypiący z kuchennego stołu. Umarłem, bo pozwoliłaś, by twoja piękna dusza zmechanizowała się wokół kryształu kofeiny – napisałem. – *Adieu*”.

Potem poszedłem do lekarza. Mój stały lekarz mieszkał w Hamptons, kazałem więc konsjerżowi znaleźć najlepszego internistę, jaki przyjmuje jeszcze na Manhattanie. Był nim doktor Xavier Gburr z New York Hospital. Wiedziałem, że jest dobry, bo liczył sobie za wizytę jak prawnik.

- Panie doktorze – powiedziałem – zamierzam wypić filiżankę kawy.
 - Słucham? – spytał doktor Gburr.
 - Co by mi pan polecał, jeśli chodzi o preparację, stabilizację, profilaktykę i kurację?
 - Na co się pan skarża?
 - Słucham? – spytałem, bo nie dostyszałem. Przyłożyłem do ucha dłoń zwiniętą w trąbkę, jak weteran bitwy nad Antietam.
 - Na co pan jest chory?! – krzyknął.
 - Jestem zdrow jak ryba.
 - Więc o co panu chodzi?
 - Zamierzam wypić filiżankę kawy.
 - Och – powiedział, sądząc, że może okazał się nieuprzejmy, nie proponując mi kawy. – Ma pan ochotę na kawę?
 - Nie. – Pokręciłem głową, spoglądając na niebo między filarami 59th Street Bridge. Zapadła długa cisza.
 - Więc co mogę dla pana zrobić? – spytał z nadzieją w głosie.
 - Proszę mi pomóc – odparłem.
 - Oczywiście, oczywiście. Proszę powiedzieć, co panu dolega.
 - Zamierzam wypić filiżankę kawy.
 - Każę przynieść.
 - Nie teraz!
 - W porządku. Jak pan sobie życzy. – Doktor był uprzejmy i zdezorientowany. – Czy dobrze się pan czuje?
 - Doskonale – odparłem. – Muszę się pochwalić, że jak na mężczyznę w swoim wieku jestem w świetnej kondycji. Służyłem w lotnictwie. Latałem P-51 i poprzysiągłem sobie, że póki będę mógł, nie stracę krzepy, jaką wtedy miałem.
 - W takim razie co pana gnębi?
 - Nic. Jestem w idealnej formie.
 - Ach, rozumiem – powiedział lekarz. – Myśli pan raczej o prewencji.
 - O prewencji, stabilizacji, profilaktyce i kuracji.
- Lekarz odrzucił głowę do tyłu jak sowa, potem zamrugał, również jak sowa.

- Zamierzam wypić filiżankę kawy – powiedziałem.
- Teraz?
- Nie, później.
- Świetnie. Jak pan sobie życzy. A może wolałby pan herbatę?
- Nie.
- Zatem woli pan kawę.
- Tak.
- Mogę kazać przynieść, kiedy tylko pan sobie zażyczy.
- Tutaj?
- Moja asystentka robi doskonałą kawę.
- Macie państwo odpowiedni sprzęt?
- Mamy melitę.
- Co to jest?
- Przyrząd do filtrowania.
- Dobrze, poproszę też o pompę do płukania żołądka, atropinę, profilaktykę przeciwtarczycową, lewatywę z soli morskiej, środki przeczyszczające, miętówki i pastę do zębów.
- Nie rozumiem, o co panu chodzi – powiedział lekarz. – Naprawdę nie rozumiem.
- Proszę pana – tłumaczyłem – przyszedłem do pana, bo jest pan lekarzem.
- Owszem, jestem lekarzem, ale...
- Oczekuję od pana porady z zakresu prewencji, stabilizacji, profilaktyki i kuracji.
- Dobrze – odparł. – Proszę mi powiedzieć, na co pan jest chory, na co pan niedomaga, jakie pan ma urazy i wady wrodzone, a ja zaproponuję panu odpowiednią prewencję, stabilizację i całą resztę.
- Ja – powiedziałem, celując w siebie lewym palcem wskazującym – zamierzam – zrobiłem pauzę i powtórzyłem: – zamierzam...
- Co pan zamierza?
- Wypić – kończyłem, markując, że wlewam sobie do gardła napój z bukłaka, choć zdałem sobie sprawę, że doktor Gburr pewnie nigdy nie widział takiego naczynia – filiżankę – wykonałem kilka ruchów naśladujących obracanie kołem garncarskim – kawy.
- Jeanie – powiedział do interkomu – przynieś kawę, natychmiast.
- Nie! – wrzasnąłem, rzuciłem się do interkomu, wielkiego jak pojemnik na chleb, i wcisnąłem dźwignię.
- Panie doktorze? – odezwał się interkom. – Czy mam przynieść kawę?
- Nie – powiedział doktor Gburr. – Odwołuję. – Zwolnił bakelitową dźwignię. – I tak nigdy nie chciałem być lekarzem. Chciałem być kawalerzystą. Może uda mi się w następnym wcieleniu, kto wie?

Nie zdołałem się doprosić od doktora Gburra żadnej porady medycznej, postanowiłem więc, że przeprowadzę całą operację samodzielnie. W domu nie miałem dość prywatności. Mieliśmy zaledwie trzy kuchnie, w każdej chwili mogła wejść Constance lub któraś ze służących i zaburzyć mi koncentrację. Czy wyobrażacie sobie, że pokojówka lub ogrodnik mogliby wejść akurat w chwili, gdy podnoszę do ust cuchnącą filiżankę? Oczywiście wszyscy byli pouczeni, że w naszym domu nie wolno przyrządzać, pić ani trzymać kawy, nie wolno nawet rozmawiać o kawie, ale poza domem i tak pewnie dwa lub trzy razy dziennie nurzali się w tej ohydzie – w swoich ciasnych mieszkankach, na oczach dzieci – i mogliby nawet nie zauważyć, do czego się przymierzam. Całkiem możliwe, że właśnie w chwili, gdy kroczyłbym po swojej linii nad

Niagarą, zaczęliby coś bezmyślnie paplać lub co gorsza wypowiedzieliby któreś z szatańskich zdań zarezerwowanych na takie okazje, na przykład: „smacznej kawy!”, okupujących serca opętanych jak wijące się robactwo. Smacznej kawy, też coś.

Mógłbym zamknąć się na klucz, ale co by było, gdyby w chwili, od której miało zależeć moje przyszłe życie, szczęknęła klamka, bo na przykład Maise chciałaby wyjąć z lodówki kanapkę z pastą jajeczną?

Constance aplikowała właśnie swoim włosom kurację tlenową, dom wypełniony był świeżym, słodkim zapachem. Lawrence z Arabii – nie T.E. Lawrence, tylko fryzjer o imieniu Lawrence – powiedział jej, że jeśli włosy mają być piękne, potrzebują tlenu i niskich temperatur. Nie szczędząc grosza, Constance zainstalowała za domem obok śmietników obiekt wielkości wagonu towarowego, coś w rodzaju miniaturowych zakładów chemicznych z wyprowadzoną na zewnątrz długą rurą. Na końcu rury umieszczony był przedmiot zadziwiająco podobny do czegoś, co poznaliśmy znacznie później jako hełm astronauty. Constance wkładała sobie ten hełm na głowę, wciskała zielony przycisk w czymś, co przypominało panel sterowniczy dźwigu, i w jej włosy uderzał mroźny strumień sprężonego tlenu. Po bokach, z przodu i na szczycie hełmu znajdowały się czerwone, zrobione od szablonu napisy: „NIE PALIĆ”, przy których podpisywałem woskowym ołówkiem: „I NIE PIĆ KAWY!”

Wyszedłem z domu i snułem się po ulicach. Był sierpień, poszedłem więc w stronę Bronksu. Teraz ponoć Bronx jest niebezpieczny, w tamtych czasach jednak największym zagrożeniem były żydowskie babcie pędzące tam i z powrotem po Grand Concourse jak samochodziki w wesołym miasteczku. Były wyposażone w coś, co w siłach powietrznych nazywaliśmy podwoziem trójkołowym – funkcję koła ogonowego pełniły wózki z zakupami. Gdy po raz pierwszy ujrzałem je po wojnie, skojarzyły mi się z wielką armadą bombowców B-29 kołującą w silnym wietrze na start.

Nie wiedziałem, dokąd idę. Ledwie widziałem na oczy. Włączyłem się, żeby odwlec krytyczny moment, mając nadzieję, że znajdę jakieś rozwiązanie – jak osioł, który maszeruje w stronę marchewki wiszącej na końcu kija przymocowanego do uprzęży. Chciałem, żeby ta brzemienna chwila była jasna, krótka i żeby nieprzerwanie się ode mnie oddalała.

Odwiedzaliśmy wprawdzie niektórych dalekich krewnych Constance w Riverdale i Fieldston, któregoś lata pracowałem też jako sanitariusz w punkcie analizy kału Montefiore Hospital, tak naprawdę jednak Bronx był mi zupełnie nieznaną. W pobliżu Yankee Stadium wezwałem taksówkę.

– Poproszę w głąb – zażądałem.
– W głąb czego? – spytał taksówkarz.
– Bronksu. Do samego środka. Niech mnie pan wrzuci w ciemną studnię nieskończoności.

Po dwudziestu minutach jazdy wysadził mnie przy przecięciu dwóch linii kolejki naziemnej. W sierpniowym cieniu stalowych platform, po których pędziły pociągi, świeciły się neony, mimo że był środek dnia. W witrynach cukierni leżały na matowych szybkach hordy pączków z galaretką. W salonach piękności siedziały zastępy kobiet w średnim wieku i przylizywały sobie świeżo lakierowane fryzury do czaszek, jak gdyby marzyły o tym, by powrócić do łona, czyli kręglarskich toreb ich mężów. Były też delikatesy mięsne, gdzie w dżungli kapusty kiszonej pocily się gorące sztuki mięsa, a penisokształtne kiełbaski obracały się w nieskończoność na rolkach z nierdzewnej stali. Można było tam dostać kawę, lecz uznałem, że nie będę jej pił w takich okolicznościach: czynność ta była dostatecznie paskudna sama w sobie, a co dopiero w otoczeniu cielejących nówek, ozorów wołowych, wątróbek...

Nie odważyłem się też pójść do cukierni: bałem się, że po wypiciu kawy oszaleję i zjem

za jednym zamachem trzy tuziny pączków z galaretką. Nawet bez kawy potrafiłem ich pochłonąć co najmniej tuzin, ponieważ wynaleziono je w moim rodzinnym miasteczku. Od czasu do czasu próbowałem przynieść do domu torbę takich pączków z cukierni, w której je wymyślono, ale miałem do przejścia cztery mile, zazwyczaj więc – zwłaszcza gdy był ziąb i pełnia Księżycy – przychodziłem z pustą torbą, a wełniane palto miałem przyprószone cukrem pudrem. Teraz też potrafię zjeść dziesięć czy dwanaście tutejszych wypieków, nazywanych przez dzieci *pusatas*, nadziewanych suszonymi śliwkami i zaplecionych na podobieństwo korony cierniowej.

Włóczyłem się parę godzin po ulicach mieszkaniowych, co pewien czas wracałem jednak pod ocienioną platformę metra: Nowy Jork to jedyne miasto, w którym metro biegnie głównie nad ziemią. Robiło się coraz ciemniej, coraz goręcej. Był środek popołudnia, ale świat wydawał się czarny, czerwone neony migotały niczym małe węgorze wijące się na dnie oceanu. Znajdowałem się w stanie bitewnego zamroczenia, które podczas rzeczywistych bitew skutecznie jednak rozpraszała bitewna furia. Byłem pewien, że zdołam raz jeszcze stanąć do walki, bo wiem, że zaraz za murami strachu rozciąga się błękitne niebo, na którym moje serce i umysł są jednym.

– Weź się w garść – powiedziałem do siebie łagodnie.

Parę minut później ujrzałem pizzierię wciśniętą w ocieniony zakątek pod torem kolejki. Podawano tam kawę. Podchodząc do drzwi, zbliżając się do celu, czułem się tak, jakbym mknął nad Berlinem miotany wiatrem i kanonadą osiemdziesiątek ósemek. Im bardziej lotnik zbliża się do celu, tym bardziej jest przerażony, tym bardziej skupiony, tym większe czuje uniesienie i tym mniej się boi. Jest w tym paradoks. Gdy wszystko dokoła wyostrza się i lśni tak intensywnie, że nawet najbardziej błyskawiczna walka wydaje się odbywać w zwolnionym tempie, narastający strach zaczyna zarazem maleć.

Moja odwaga okrzepła, kiedy wszedłem do środka. Na widok maszyny do kawy żywiej zabiło mi serce. Szereg srebrzystych pieców pracował na pełnych obrotach, w pizzerii musiało być dobre siedemdziesiąt stopni, gorzej niż w lipcu w Meksyku. Z zaplecza wyszła dziewczyna, jedyna pracownica lokalu. Była blondynką niemal mojego wzrostu. Potworny upał uwidaczniał się na jej ciele, błyszczącym od kropli. Żeby przeżyć, musiała wypijać w ciągu dnia wiele galonów wody, przez co stawała się seksualnie nienasycona, wrażliwa na każdy impuls. Nawet jednak nie zauważyłem, że pożera mnie swymi błękitnymi oczyma, aż tak bardzo byłem pochłonięty swoją misją. Wpatrywałem się w kawiarkę. Nareszcie się na to zdobyłem. Nad naszymi głowami łomotały pociągi. Serce miałem dzikie, spływałem potem. Byłem gotów to zrobić.

– Lepiej na gorąco? – spytałem, sądząc, że może mrożona kawa będzie mniej wstrętna.

Kelnerka dyszała jak konające zwierzę.

– Tak – powiedziała z błędnym spojrzeniem w oczach.

– Chcę teraz – odparłem powoli, z rozmysłem. – Zróbmy to.

– Och! – krzyknęła. Okrążyła ladę, podbiegła do drzwi, zamknęła je na klucz i powiesiła tabliczkę z napisem: „ZAMKNIĘTE”. – Chodźmy na zaplecze. Na worki z mąką.

– Tu będzie w sam raz – stwierdziłem.

– Okno – wskazała wzrokiem witrynę. – Ludzie zobaczą.

– Masz rację – zgodziłem się. – Nie chcę, żeby ludzie widzieli. Chodźmy na zaplecze.

Ruszyłem za nią.

– A co z kawą? – spytałem.

– Z kawą?

– Napiłbym się kawy.

– Nie jest ci jeszcze dość gorąco? – spytała, splatając ręce na karku i trzymając go niczym

sznur. – Dam ci całe mnóstwo gorącej kawy – powiedziała i zaprowadziła mnie na zaplecze.

Worki z mąką leżały na podłodze w małym kantorku bez okien, jedynie ze świetlówką i wentylatorem nad drzwiami. Kawy nie zauważyłem, zerknąłem więc przez ramię w stronę kawiarki. Gdy ponownie zwróciłem wzrok na worki, kelnerka na poły klęczała na nich, na poły siedziała i kołysząc się rytmicznie, melodyjnie, rozwiązywała białe sznureczki fartucha.

Gdy nastał wieczór, po raz pierwszy i wbrew swojej woli zdradziwszy Constance, ruszyłem dalej ulicami w głąb Bronksu. Było jeszcze jasno, ludzie jedli kolację lub kosili trawniki. Najosobliwszą właściwością klimatu tej dzielnicy jest to,

że w styczniu można zostawić gruby stek na werandzie i po dwóch minutach będzie zamrożony, w sierpniu zaś można położyć go dokładnie w tym samym miejscu na nierozpalonym grillu i upiec się sam. Wiosna trwa wprawdzie tylko dziesięć dni, za to jesień jest rajem, który wydaje się nie mieć końca.

Włóczęga sprawiła, że poczułem się młody, nie zaspokoilem też głodu. Jestem prawie pewien, że w ciągu dwóch-trzech godzin nie napotkałem ani jednego bankiera inwestycyjnego, ani jednego posiadacza choćby jednej akcji. Nie widziałem proporczyków Yale, jaguarów ani duesenbergów, tartanowych spodni i idealnych zębów. Zauważyłem natomiast, że ludzie patrzają na mnie wrogo. Uznałem to za znak jakiegoś resentymetu, którego jako absolwent Harvardu, wspólnik Stillman and Chase, a teraz także miliarder nie byłem w stanie przemoć, bez względu na mój prawdziwy charakter, bez względu na to, że zaczynałem jako nękanym przez bandytów chłopak na posyłki, że wrosłem całkowicie w swoją „klasę” – czyli swój emocjonalny dom – nim zdążyłem skończyć dziesięć lat, i że byliśmy raczej ubodzy.

Sądziłem, że może zdradza mnie mój strój, fryzura albo, Boże dopomóż, zachowanie i wyraz twarzy. Gdy człowiek należy do elity finansowej, przywyka do tego, że wzbudza w innych pewną wrogość. Nie miałem jednak pojęcia, iż dzieci uciekają na mój widok do domów, a kobiety spoglądają na mnie z przestachem dlatego, że cały tył, od pięt po czubek głowy, miałem umączony, podobnie jak włosy, twarz i szyję. Wyglądałem jak mim albo duch z *Opowieści wigilijnej*.

Podczas tej włóczęgi powziąłem plan. Łut szczęścia oraz mój wstręt sprawiły, że nigdy dotąd nie napiłem się kawy, a moje próby dostosowania się do Constance, poddania się temu, co ona uważała za normalne życie, ja zaś uważałem za poważne uzależnienie, które szalenie zniekształca osobowość, zakończyły się niepowodzeniem. Nie byłem w stanie nie tylko napić się kawy, ale nawet podejść do niej bliżej niż na dziesięć stóp.

Jeśli miałem jakoś osiągnąć normalizację, to tylko siłą. Siła to ciekawe narzędzie: gdy zagraża naszemu życiu, budzi w naszej duszy potencjał, który wcześniej pozostawał uspijony niczym bajkowy olbrzym. Mój pomysł był prosty: przekupię policjantów, by zmusili mnie do wypicia kawy. Mieli przecież broń, a do tego powszechnie wiadomo, że gotowi są zrobić praktycznie wszystko za odpowiednią zapłatą. Kierowniczką biura Stillman and Chase co miesiąc udawała się na spotkanie z naczelnikiem miejscowego komisariatu, zabierając ze sobą kilka tysięcy dolarów „na fundusz”.

Gdy spytałem, po co to robi, odparła, że po to, by nasi gońcy byli bezpieczni, a nasze operacje finansowe odbywały się bez zakłóceń. Kierowniczką składała kapitanowi policji kurtuazyjną wizytę i przekazywała na jego ręce dwieście dolarów na fundusz dobroczynny. Kapitan dziękował i wychodził z pokoju, żeby włożyć pieniądze do sejfów. Gdy kierowniczką zostawała sama przy małym biurku z jedną szufladą, upychała w niej tysiące dolarów w dziesiątkach i dwudziestkach, po czym zamykała ją z głośnym trzaskiem. Słyszając ten trzask, kapitan wracał, dziękował za dar, który właśnie umieścił w sejfie, i ścisnął jej dłoń. Cykliczne pojawianie się w szufladzie wielkich sum pieniędzy tłumaczył jako cud analogiczny do rozmnożenia chleba.

Kiedy w Nowym Jorku umiera bogaty człowiek i nie ma krewnych, którzy dopilnowaliby jego spraw, policja pieczętuje dom – lecz najpierw go plądruje. Policjanci czasem wracają jeszcze w nocy i zrywają pieczęcie, by sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyli. Nie lubią jednak rozmawiać o takich rzeczach, uważają, że to obraża ich godność.

Ku memu wielkiemu zdziwieniu w pewnym momencie podjechał do mnie radiowóz i zwolnił, by dotrzymać mi kroku.

– Wsiądziesz, czy mamy cię pogonić z siecią? – padło pytanie z wnętrza wozu.

– Co takiego? Mógłby pan powtórzyć?
– Wolisz sieć i kaftan bezpieczeństwa czy będziesz współpracował?
– Czytacie mi w myślach – powiedziałem. – Moje myśli były tak potężne, że przywiodły was do mnie, ale nim się dogadamy, nie zgrywajcie ważniaków. Poza tym nie zamierzam rozmawiać z nikim poniżej rangi kapitana.

Wskoczyłem do radiowozu i śmiałem się przez całą drogę na komisariat. Tam, gdy skuli mnie kajdankami, poprosiłem, by założyli je z przodu, bo chcę się napić tej kawy.

– Tej kawy?

– Tak.

– Jak to: tej kawy? Czemu mówisz w ten sposób? Nie jesteś Amerykaninem?

– Oczywiście, że jestem. Nie wyglądam?

– Nie.

– A na jaką narodowość wyglądam?

Sierżant spojrział na mnie zza biurka.

– Z Księżycyca.

Miałem problem. Nie chcieli spełnić mojej prośby, oskarżyli mnie o zakłócanie porządku i zamknęli w tymczasowej celi. Jej jedynym lokatorem był brodaty staruszek z różowym kikutem zamiast prawej ręki. Bardzo przypominał Świętego Mikołaja, ale w oczach miał przerażenie. Widać było, że nigdy nie przestaje się bać, że przełącznik w jego mózgu, który uruchamia strach, zaklinał się na trwałe i że ten prosty problem był przyczyną jego upadku.

– Boisz się słońca? – zapytałem.

Skinał głową z przestraszonym wyrazem.

– Boisz się meteorów?

Skinał znowu.

– Kartonowych pudeł?

Wzdrygnął się ze zgrozy.

– Mnie też się boisz, prawda?

Pokiwał głową gorliwie, zaciekle.

– Nieważne, że nic ci nie zrobię, prawda? Boisz się mnie dlatego, że tu jestem. Boisz się wszystkiego. Boisz się zawsze, gdy tylko nie śpisz.

Nie zareagował. Wtedy zrozumiałem.

– Nie zasypiasz, prawda?

– Nie – szepnął. Za bardzo się bał, żeby spać. Był jak ryba. Może ryby śpią, lecz nie on.

– Ale dlaczego boisz się właśnie mnie? – spytałem.

Odskoczył ode mnie w kąt celi, co było równie dobrą odpowiedzią jak każda inna.

O czwartej nad ranem zabrano mnie na inne piętro, gdzie w otoczeniu drewnianych biurków, w kręgu światła, siedział jakiś detektyw.

– Czy tacy jak ty nie noszą przypadkiem sukienek? – spytał.

– Co?

– Gdzie masz sukienkę?

Pewnie zbzikował, pomyślałem.

– Czemu miałbym nosić sukienkę?

– A czemu się malujesz?

– Czemu się maluję? – powtórzyłem.

– Aha?

Wyciągnąłem ręce w uniwersalnym geście dezorientowania.

– Nie maluję się.
– Jesteś ze śródmieścia – powiedział. – Nie stąd.
– Zgadza się.
– Więc co tu robisz? Tu nie ma barów dla transwestytów.
– Barów dla transwestytów?
– Ktoś ukradł ci sukienkę? Zrobił ci krzywdę? He?
Uznałem, że jest niespełna rozumu, ale co to zmieniało?
Był policjantem. Nachyliłem się i powiedziałem konspiracyjnym szeptem:
– Niech pan posłucha. Zapłacę wam, jeśli zmusicie mnie bronią, żebym wypił tę filiżankę kawy. Pieniądze nie grają roli.
Nie do końca pojmował, o co mi chodzi, ale zrozumiał wzmiankę o pieniądzach.
– Tę filiżankę kawy.
– Tę.
– Którą?
– Pierwszą.
– A co z drugą?
– Niech pan nie będzie taki chciwy. Jeśli wypiję pierwszą filiżankę, drugą już sobie załatwię.
– Masz osobistego lekarza?
– Mam.
– Jak się nazywa?
– Doktor Gburr.
– Na Manhattanie?
– Oczywiście.
– To lekarz od czubków?
– Nie, internista.
– Kto jest twoim psychiatrą?
– Nie mam psychiatry. Po co mi?
– To już ty wiesz najlepiej.
– Myślę, że Freud trochę przedobrzył – stwierdziłem. – Prawie wszystko, co wymyślił, było albo kompletnie oczywiste, albo kompletnie bezsensowne.
W tym momencie do pokoju wtargnęła Constance w towarzystwie kilku skrajnie drogich prawników. Wiedziałem, że jestem uratowany, ale nie wiedziałem, przed czym. Detektyw niemal stanął na baczność na ich widok: uznał pewnie, że jestem albo miliarderem, albo obłąkanym bratem bliźniakiem prezydenta Trumana, albo kosmitą, który uciekł z ośrodka przesłuchań sił powietrznych.
– Gdzieś ty się tak urządził? – spytała Constance. Była wyraźnie zakłopotana, że spotyka mnie, pobielonego jak nowogwinejski łowca głów, mając u boku starszego wspólnika kancelarii Radoshny, Tzwaniack, Byddlaq i Bogatch.
– Niby jak?
– Popatrz na siebie.
Popatrzyłem na swoje ręce, stopy, nogi: wyglądałem zupełnie jak z żurnala.
Constance wyjęła kosmetyczkę z torebki i otworzyła ją z taką furją, z jaką odciąga się kurek rewolweru, gdy od szybkości przeładowania zależy nasze życie. Podsunęła mi lusterko.
– Spójrz.
– Ojej – powiedziałem na widok swej twarzy. Potem w milczeniu popatrzyłem po wszystkich twarzach w pokoju.

- Co się z tobą stało?! – wrzasnęła. Wychowana jak arystokratka, rzutka z natury, nie znosiła, by cokolwiek pozostało bez interwencji lub wyjaśnienia.
- To mąka – obwieściłem tonem podszytego zdziwieniem samozadowolenia.
- Mąka?
- Mąka do pieczenia.
- Skąd się na tobie wzięła?
- Jadłem pizzę.
- To musiała być niezła pizza – odezwał się detektyw.
- Najlepsza – odparłem z fanatycznym przekonaniem. – Najlepsza, jaką w życiu jadłem.

Prócz tamtego razu nigdy się nie rozwodziłem, nie wiem więc, czy zawsze przy rozwodzie człowiek czuje się tak samo, wiem jednak, że gdy ktoś, kogo kochamy, chce nas opuścić, Bóg nie okazuje litości. To tak, jakby kończyć partię szachów z samym królem, mając przeciw sobie dwie królowe, dwie wieże i zbójowatego gońca dżudokę na dokładkę.

Nocami nawiedzał mnie sen, w którym cały świat wyglądał jak miasto Gary w stanie Indiana, pełne wielkich fabryk i hut, tyle że zamiast wytwarzać stal i gumę, palono w nich, mielono i parzono kawę. Roilo się tam od umęczonych kobiet, ubieranych przez krawców Trzeciej Rzeszy i pijących po pięćdziesiąt filiżanek dziennie. Te koszmary zupełnie wyparły sen, w którym wiszę nad falami. Co gorsza, w tle rozlegało się szalone, obłąkańcze, napędzane kofeiną walenie w klawisze klawesynu, instrumentu, który już dawno pozbawiłby świat zdrowych zmysłów, gdyby nie to, że tuż po nim wynaleziono fortepian.

Budziłem się przerażony, zlany potem, i obracałem się w stronę Constance, ta zaś, choć spała, odwracała się ode mnie. Wszystko między nami było skończone. Dzwoniłem wtedy do Holmesa, kazałem mu wyłączyć alarmy, i schodziłem do pokoju muzycznego, żeby pograć na fortepianie.

Pokój muzyczny miał sześćdziesiąt stóp długości, trzydzieści szerokości i dwadzieścia wysokości, wyłożony był specjalnym akustycznym parkietem z mozambickiego bzikowca. Osiem francuskich okien wychodziło na marmurowy taras, a dalej na trawnik. Nad czarnymi wierzchołkami drzew widać było wieżowce jaśniejące w wilgotnym letnim powietrzu. Otwierałem okna, pozwalając, by nocny wiatr przemieniał białe zasłony w baleriny i łabędzie, i aż do rana grałem Mozarta i Beethovena – utwory pełne idealnej równowagi, piękna i nadziei niczym piosenki, które matki śpiewają dzieciom. Dzięki nim wszystko układało mi się w głowie, nawet jeśli były smutne, i dzięki nim mogłem to wszystko przetrwać.

Koniec końców zacząłem błagać Constance, by ze mną nie zrywała, lecz wcześniej długo trzymałem emocje na wodzy, mając nadzieję, że ten pozór niewzruszoności wzbudzi w niej pożądanie i szacunek i zasieje ziarno wątpliwości. Ona jednak nie miała żadnych wątpliwości: naturalnie chłodne, cieniste zakątki jej temperamentu były stale rozświetlane i nagrzewane przyjmowanymi regularnie dawkami kawy, pobieranymi z kelnerskiego wózka, który wtaczano z samego rana do sypialni, a potem jeszcze przy drugim śniadaniu, przy obiedzie, przy „herbacie” i po kolacji. Pięć filiżanek dziennie... Constance była stracona, kompletnie poza moim zasięgiem.

Stała się przez to harda, okrutna i ambitna. Rozumowała bezlitośnie, lśniła jak metal. Chadzała na tańce z innymi amatorami kawy, całymi godzinami poruszała się jak w transie.

- Jak to jest? – spytałem kiedyś cichutko jak mysz.
- Jak gdybyś jechał rowerem po nadmorskiej drodze w East Hampton, w słoneczny dzień, nie widząc dokoła ani jednego samochodu, i rozpędzał się coraz szybciej, aż poczułbyś, że twoje płuca, serce i mięśnie są perfekcyjną maszyną i potrafisz oddychać jak silnik odrzutowy. Najlepsze jest poczucie, że możesz tańczyć w nieskończoność, że nie tracisz sił, że im bardziej

się wysilasz, tym więcej masz energii. Może pójdziesz z nami? – spytała z serdecznością skalpela z nierdzewnej stali.

– Chyba nie powinienem – powiedziałem. – Jestem jedynie twoim mężem.

– Jeszcze tylko chwilę – stwierdziła. – Zupełnie cię nie rozumiem. Jesteś silniejszy i tańczysz lepiej niż wszyscy faceci, których tam spotykam.

– Nie mógłbym pić kawy – skwitowałem.

– Wiem, ale może dałbyś radę bez kawy. Kto wie. Moglibyśmy przetańczyć całą noc, a potem...

– Constance?

– Tak?

– Czy ty sypiasz z tymi kawoszami, z którymi chodzisz na tańce?

– A myślisz, że piję bezkofeinową?

Złamało mi to serce.

Gdy byłem dzieckiem, wuj zabrał mnie kiedyś do Baltimore na wystawę maszyn. Widziałem tam maszynę parową: pracowała w magiczny, równomierny sposób, ani na chwilę nie wypadając z urzekającego rytmu. Jej barwne lewary i wypolerowane ramiona tańczyły na okrągło w hipnotycznej ekstazie. Światło mocnych lamp podkreślało idealną miarowość jej ruchów, obrotów i wydechów. Karmiona węglem i wodą, mogła pracować w nieskończoność, wystarczyło ją od czasu do czasu naoliwić. Chodziła przez cały dzień i całą noc. Ani na chwilę nie traciła mocy i choć była przyśrubowana do podłogi i nigdzie się nie wybierała, czułem się tak, jakby swym posapywaniem prowadziła mnie przez gwiazdy.

Constance przeobraziła się w taką maszynę. Szanowałem jej siłę, ale odsunąłem się od niej, bo przehandlowała swoją kobiecość za posunięcie, które nie mogło jej przynieść zwycięstwa. Gdy już byliśmy w separacji, choć moje serce niekiedy wyrывało się do niej w wielkiej tęsknocie, zacząłem o niej myśleć jak o czymś w rodzaju lokomotywy – i przestałem zazdrościć opitym kawą facetom, z którymi tańczyła.

Sam rozwód nie był prosty, było w niego przecież uwikłanych kilkaset firm, fasadowych spółek w Alpach i dziesiątki prawników ubranych o wiele lepiej niż ja. Gdy się pobieraliśmy, Constance w geście zaufania uczyniła mnie współwłaścicielem swej wielkiej fortuny. Teraz, nie umiając stawić czoła ogarniętym paniką doradcom prawnym, szykowała się, by ją odzyskać.

Do sprawy rozwodowej nie zaangażowała Radoshny'ego, Tzwaniacka, Byddlaqą i Bogatcha, tylko kancelarię, która zaczynała jako Furmann, Trend i Balloon, potem przekształciła się w firmę Trend, O'Vatty i D'Uraq, w branży zaś była znana po prostu jako Trend, O'Vatty. Nawet oni nie byli jednak tak paskudni jak Vredné, Schmall, Miernotta i Schuye, o których mówiło się w skrócie Vredné, Schuye, na przykład: „moi prawnicy to Vredné, Schuye”. Te ludzkie wrzody z firmy Trend, O'Vatty zaproponowali mi pięćset milionów ugody. Myśl o tym, że mogę się zgodzić, pozbawiając ich niezliczonych słono płatnych godzin procesu, wprawiała ich w takie przerażenie, że gdy zacząłem przeżuwać ich ofertę w myślach, omal nie dostali zawału.

– Nie – powiedziałem.

Ich serca wyskoczyły naprzód niczym sfera ogarów. Gdy spojrzałem im w oczy, widziałem w nich nowiutkie korty ziemne do tenisa, letnie wille w Nowej Szkocji, sportowe maserati.

Byli okopani na pozycjach niczym obrońcy Iwo-jimy, od razu więc spytali mnie, ile żądam. Nie mieli zamiaru przedstawiać kontrpropozycji, nim nie poznają moich oczekiwań.

– Chcę tylko jednej rzeczy – powiedziałem. – Żeby Constance mnie pokochała.

– Jeeezu! – powiedzieli chórem.

Wiedziałem, że to kiepsko zabrzmiało. Głos zabrał starszy wspólnik.

– I ty jesteś bankierem inwestycyjnym? – spytał z niedowierzaniem. – Chłopie, rozmawiamy o dwóch miliardach dolców. Bądź poważny. Myślisz, że nas nabierzesz na tę ckliwą gadkę? Przerobiliśmy już tysiące takich jak ty, dobrze wiemy, na czym ludziom zależy.

– Ale to prawda – powtórzyłem. – Chcę tylko, żeby Constance mnie pokochała.

Sądzę, że wypięła wcześniej (co najmniej) filiżankę kawy. Była nieporuszona. Jej oczy miały w sobie mniej więcej tyle wilgoci i blasku, ile bryłka piaskowca na pustyni Sonora.

– Jaka jest twoja oferta?

– Nie mam żadnej oferty. Nie chcę pieniędzy ani nic innego.

– W takim razie proponujemy ci dwieście milionów dolarów i od razu zamykamy sprawę.

– Nie chcę dwustu milionów dolarów.

– Sto milionów?

– Nie chcę pieniędzy. Chcę swoje książki i ubrania, swoje biurko z gabinetu, Rafaela, którego dostałem od Constance na urodziny, i gwarancję, na piśmie, że nikt nigdy nie zabije Browniego.

– Kto to jest Brownie? – spytał starszy wspólnik.

– Jego świnka – wyjaśniła Constance. – Trzymamy ją na wsi.

– Naprawdę? – dopytywał się starszy wspólnik. – To wszystko, czego żądasz?

Skinąłem głową.

– Może jednak weź ze sto milionów, żebyś przynajmniej miał co włożyć do garnka? – zaproponowała Constance.

– Ja mam pracę, Constance.

– Praca nic nie znaczy. Pracę można stracić. I co wtedy? Będziesz głodował.

– Znajdę sobie inną.

– Niby jaką? – spytała drwiąco.– Jesteś bankierem inwestycyjnym. To oznacza, że nie potrafisz kompletnie niczego prócz wysysania forsy z normalnych ludzi.

– Może zatrudniliby mnie w fabryce sera? – odparłem.

– Słuchaj – powiedziała, poprawiając sobie sowiokształtną fryzurę. Wyglądała w niej naprawdę seksownie, szyja i ramiona nabrały wspaniałych kształtów, sprawiała też wrażenie osoby bardziej przemyślnej, zrównoważonej, mądrzejszej. – Wolę się nie zamartwiać, czy nie zobaczę kiedyś, jak zebrzesz na ulicy o dziesięć centów na kubeczek kawy.

Uniosłem ręce i uśmiechnąłem się triumfalnie.

– No dobra, na kieliszek wódki.

– Wolałbym już pić czterochlorek węgla.

– Będę się martwić. Zrób to dla mnie.

– Nie mogę.

– Ale ja nalegam. Wszyscy będą wiedzieli, ja będę wiedzieć, że nie przyjąłeś pięciuset milionów dolarów, że mogłeś powalczyć o okrągły miliard lub więcej i że błagałam cię, byś przyjął ten ochłap. Nikt nie pomyśli, że jesteś czy byłeś utrzymankiem. Nikomu to nawet nie postanie w głowie, tak jak nie powstało nigdy dotąd.

– Nie mogę. Te pieniądze są splamione.

– Niby czym? – spytała zadziornie, gotowa bronić prawowitości swej fortuny przed zarzutami o handel niewolnikami, wyzysk, praktyki monopolistyczne, eksploatację robotników niezrzeszonych w związki, kumulację kapitału przed wprowadzeniem podatku dochodowego i tysiącem innych oskarżeń, które obrastają wielkie sumy pieniędzy w sposób równie naturalny jak mech porasta północną ściankę beczki na deszczówkę.

– Kawą.

– Chcesz powiedzieć, że skoro piję kawę, moje pieniądze są niedobre?

– Zgadza się – przyznałem. – Nie chcę kawowych dolarów. Wolałbym umrzeć z głodu.

Jednym z niezbywalnych praw gwarantowanych przez Konstytucję Stanów Zjednoczonych jest to, że nikt nie może być zmuszany do oglądania innych ludzi pijących kawę. Nie przekupicie mnie. Za żadne pieniądze nie kupicie ode mnie honoru i wolności przysługujących mi z natury. Żadna łapówka nie złamie mojego postanowienia. Żadna synekura nie skazi mojej czystości.

To oświadczenie mocno przysłużyło się trawnikom w Westchester i na Long Island, mogły sobie rosnać w najlepsze na słoneczku, niezagrożone przez buldożery i ekipy budowlane. Odetchnęły też wietrzne łąki Nowej Szkocji, nietknięte dotąd ludzką stopą, powód do zmartwienia miały natomiast włoskie firmy produkujące luksusowe samochody.

Po raz ostatni widziałem Constance, gdy sunęła po marmurowej podłodze w stronę wyłożonej drewnem windy. Nie wiedziała, że się jej przyglądam. A może wiedziała. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w przycisk windy, kółko z białego szkła lśniąca jak księżyc. Wiedziałem, że gdybym podczas tej ostatniej rozmowy powiedział: „kocham cię, Constance”, całe prawnicze towarzystwo w drogich garniturach wybuchłoby śmiechem. Ale to była prawda. Najprawdziwsza prawda na świecie. Powinna mieć taką moc, by odwrócić smutny bieg naszej wspólnej historii. W głębi serca czułem, że mogła ją mieć, że powinna. Ale nie miała.

Czasem miłość zostaje nam odebrana niesprawiedliwie, a mimo to wierzy się w nią do ostatnich chwil, potem zaś przychodzi wielka gorycz. Ta gorycz bierze się stąd, że nie przestaje w nas istnieć idealny wzorzec tej miłości, czyste oczekiwanie, na którego tle klęska i zdrada odcinają się kontrastowo niczym cienie padające na oświetloną księżycem drogę.

DRUGI (CZŁOWIEK, KTÓREGO ZABIŁEM)

Jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, odłóżcie przeczytane kartki do mrówkoszczelnej kasety.

Nie umiem rozmawiać z żoną, bo ma dopiero pięćdziesiąt lat i wciąż jeszcze sobie wyobraża, że jej ciało może być fortecą szczęścia. Ćwiczy, wciera sobie w twarz różne drogie mikstury, a w lustro patrzy jak detektyw przyglądający się podejrzanemu podczas przesłuchania. Jej niepoprawna angielszczyzna, niegdyś tak urocza, stała się (mówiąc jej stylem) „kuślawka”, „koszmerna”.

– Ty myślisz, że ja to kto? Już stara jak ty. Nie mam już ministruacji i ty też nie masz ministruacji. Choruję w banku, a ty co?

Odpowiadając na własne pytanie, co zresztą lubi robić, skrytykowała kiedyś moją coraz mniejszą wydolność, przekreśliła jednak to słowo na „wydulność”. Gdy potrząsnąłem głową, poprawiła się:

– Wdolność?

Znów pokręciłem głową, wtedy ona:

– Wgórność?

Zacząłem już tracić nadzieję, gdy znów spytała:

– Wydurność?

Wpadłem w rozpacz, bo sam już zapomniałem, o jakie słowo chodziło.

Czy wiecie, że prezydent Stanów Zjednoczonych urzęduje przy „Biuurku Owalnym”? Zapewne właśnie tam ogląda wyścigi „Firmuły 1”, rozmyśla o „raz-tu-raz-tam-anach” i „marysiuanie”, martwi się, czy amerykańskie „błotniskowce” mają pod dostatkiem „szałupków” ratunkowych albo czy „krajdeci w akwademiamiach” żołnierskich czytają „Kompleks Pornoja”, czy sympatyzują z „sangwinistami” w Nikaragui, czy nie woleliby jednak studiować w „Yeti University” i czy jeżdżą na wakacje do parku narodowego „Yosemineta”, czy jak ona to jeszcze, do cholery, nazywa.

Jestem na tyle stary, że pamiętam wodewile, nigdy jednak nie wyobrażałem sobie, że ożenię się z jednym z nich. Gdy byłem młody, spodziewałem się, że poślubię kobietę mówiącą jak poetka, a skończyłem u boku kogoś, przy kim kubańskie tancerki w Ameryce porozumiewają się harwardzką angielszczyzną. Do tego Marlise ma romans z niemieckim komiwojażerem. Cały ten kraj ma fioła na punkcie seksu – nawet kobiety w średnim wieku. Zwłaszcza kobiety w średnim wieku.

Ten teutoński niedźwiedź sprzedaje słoiczki z mazią w morskim kolorze, która nazywa się bodaj Zipfinster Mitgaloist Herbeschungen i jakoby sprawia, że wygląda się dziesięć lat młodziej, bez względu na wiek. Spytałem Marlise, co by było, gdyby zaaplikować ją ośmiolatkowi, ale nie zechciała rozważyć tego kosmicznego pytania. Ten specyfik wygląda dokładnie tak jak środek, którym woźni pastują olbrzymie posadzki w miejscach publicznych, by ograniczyć osiadanie kurzu. Być może to ten sam środek. Marlise miesza go z sokiem z papai, a gdy go pije, Funio i ja wstrzymujemy oddech.

Funia kocham ponad wszystko na świecie. To nic, że nie jest moim biologicznym synem. I tak jest moim synem. Choć pojmuję już, jak działa świat, swym delikatnym umysłem nie umie jeszcze ogarnąć jego doniosłości. Zresztą gdybym nawet zdołał mu jakoś przekazać, jak doniosłe jest to, co czuję, ograbiłbym go z dzieciństwa. Najbardziej zależy mi na tym, by ten okres w jego życiu upłynął bez zakłóceń, bo nigdy nie widziałem piękniejszej rzeczy niż dzieciństwo i jeśli nie zostanie mu ono zbyt szybko odebrane – tak jak mnie – może znajdzie siłę, by przeżyć swoje

życie bez udreki.

Nie mogę więc rozmawiać z Funiem, nie umiem rozsądnie rozmawiać z Marlise, nie umiem też rozmawiać z nikim innym. Mieszkam w miejscu, gdzie nie ma pór roku. Rozmyślam o śniegu i zimnym powietrzu. Na długie godziny przenoszę się do świata, którego już nie ma, świata jak ze snu, świata, który porzuciłem. Oglądam wschód słońca, zastanawiam się, kiedy umrę, i bardziej martwi mnie to, co już minęło, niż to, co jeszcze ma nadejść.

Dawno temu, w 1961 lub 1962 roku, nim rozpętało się szaleństwo na punkcie piosenki *Girl from Ipanema*, wybraliśmy się z Marlise na wycieczkę statkiem po Rio Veloso. Ta „Dziewczyna z Ipanemy” jest bardzo sympatyczna, ale słyszałem ją stanowczo zbyt wiele razy, a na hymn nie do końca się nadaje, nawet na hymn Brazylii. Nie wyjechałem z Brazylii ani razu, od kiedy tu przybyłem – niczym zbuntowany anioł z *Raju utraconego* – czasem jednak wyobrażam sobie, że wracam do kraju, jestem na koktajlu w Southampton czy na Beekman Place i narzuca mi się kobieta z nadwagą, zbyt jaskrawym makijażem, sztucznymi pieprzykami oraz nadzieją, że choć jeszcze nie zamieniliśmy ani słowa, będziemy mieli romans.

– Skąd jesteś? – pyta.

– Z Brazylii – odpowiadam.

– Och! – wykrzykuje. – A ja jestem „Dziewczyną z Ipanemy”!

– Chyba po długoletniej chirurgii plastycznej.

– Słucham?

– Co pani zrobiła ze swoim mężem? Ugotowała go pani?

– Słucham? – pyta powtórnie.

– Nie jest pani kapkę za stara na miłostki? Romansiki pani w głowie? Zważywszy, ile tysięcy czekoladek odwinęła pani w swym życiu ze sreber, ma pani niemałe oczekiwania. Założę się też, że pije pani kawę.

– Że co proszę? – pyta i zaczyna odsuwać się ode mnie, wcześniej jednak w obraźliwy sposób wywraca puste czarne oczy ku niebu, ruszam więc za nią przez tłum zdumionych gości i demaskuję jej tępotę, gnuśność i uzależnienie od kawy.

Lecz nagle – kto by pomyślał! – mąż tej cudzołożnej jędzy, który jednak jeszcze żyje, w rycerski sposób wkracza pomiędzy nas i jestem w pułapce. Nie mam innego wyjścia: przewracając bar, rzucam się w kąt po pokrywą od kosza na śmieci, która będzie moją tarczą. Zaopatrzywszy się w oręż obronny, przechodzę do ataku. Wyrywam laskę jakiemuś starcowi uderzając podobnemu do mnie, roztrącam tłum – i zostaję sam w cudzym mieszkaniu.

Rio Veloso to bardzo piękna rzeka, tyle że nienawidzę przyjemnych wycieczek. Nienawidzę przyjemności. Staralem się cieszyć urokliwymi widokami, ale w tamtym czasie toczyłem ze sobą coraz bardziej zażarte wewnętrzne zmagania, rzece nie udało się więc podbić mego serca. Nie udało się to też zielonej, nakrapianej słońcem gęstwinie ani rozśpiewanym ekstatycznie ptakom, ani krętym kłębowi białego dymu pykającym z komina parowca, który przez ostatnie pół wieku nie robił nic, tylko przecinał słodkie powietrze dżungli, kołyszając pnączami i orchideami na brzegach.

Napędzająca go maszyna parowa skojarzyła mi się z ekspresem do kawy. Przy każdym jej sapnięciu i syknięciu oczyma duszy widziałem, jak małe filiżanki spływają niebiańskim lukiem prosto w ręce pograżonych w samozatrąceniu akolitów kawy. Przeszedłem na przedni pokład, licząc na to, że chlupot czarnej wody spod dziobu zagłuszy dźwięk silnika. Rzeka była ciepła, woda czarna. Wiatr w tropikach jest słaby i nieokreślony, czasem jednak ma się wrażenie, że da się go objąć.

Raptem z samego środka rzeki wynurzyło się jakieś zwierzę, trudno powiedzieć jakie, ale

na pewno rozwścieczone – statek najechał na któreś z jego młodych. Z rykiem wzbilo się osiem stóp nad wodę niczym połamany ksylofon lub ubogi wodny krewny amerykańskiego Dzwonu Wolności, odslaniając przeraźliwe uzębienie i trzęsąc tłuszczem niczym rozszalała gospodyni domowa z Filadelfii.

Lecz zamiast przegryźć statek na pół, wycofało się ku brzegowi i tam wylądowało swą wściekłość: wrzeszczało, wyło, waliło głową o pień przewróconego kokosowca. Nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego. W Brazylii raczej nie ma hipopotamów, zdarza się jednak, że zwierzęta uciekają z ogrodów zoologicznych, czasem też dzieci przynoszą dzikie stworzenia do domu, by je hodować, i spuszczaają w ubikacji – potem rosną one w kanałach do ogromnych rozmiarów.

Marlise nic nie widziała, siedziała wtedy w łazience i piła kawę (zawsze wozi ze sobą bardzo mocne miętówki i często znika na pięć-dziesięć minut). Gdy zagadnałem innych współpasażerów z nadzieją, że podzielą moje zdumienie, okazało się, że tylko nieliczni wiedzą, o czym mówię. Właściwie byłem chyba jedyną osobą, która cokolwiek widziała.

Na końcu żeglownej części Rio Veloso, tuż przy potężnym wodospadzie, leży małe kolonialne miasteczko, w którym nie uświadczą się ani jednego prefabrykowanego bloku betonu, ani jednego samochodu, ani jednego neonu. Po przyjeździe zakwaterowaliśmy się w małym pensjonacie z widokiem na rzekę i gimnastykowaliśmy się w łóżku, aż sprężyny rozgrzały się do czerwoności. Lokator z pokoju niżej przyszedł na górę i załomotał do drzwi.

– Wyłączcie tę cholerną maszynę! – krzyknął. – Nie mogę zmrużyć oka! Co to ma być, klimatyzator napędzany przez kangury w kieracie?

– Betoniarka.

– W pokoju hotelowym?

– Budujemy aneks.

– Nocą?

– Przez całą dobę.

– Jesteś brygadzystą?

– Tak.

– Otwieraj. Mam z tobą do pogadania. Skąd ty w ogóle jesteś? – Usłyszał mój akcent.

– Jestem Eskimosem. I nie mogę otworzyć.

– Dlaczego?

– Moja żona jest nieubrana.

– Twoja żona? A co tam robi twoja żona?

– Pomaga mi.

– Na golasa?

– To będzie aneks dla nudystów.

Gawędziliśmy tak jeszcze przez jakiś czas. On zadawał nerwowe pytania, ja udzielałem spokojnych odpowiedzi.

Nazajutrz wybraliśmy się pod wodospad, wróciliśmy potem wykończeni i przemoczeni. Z platformy zainstalowanej tuż pod kopułą wodnej mgiełki patrzyliśmy na rozlewisko: woda najpierw wahała się przez chwilę, zaczynała kipieć, uspokajała się, a potem płynęła dalej w dół nurtu. Powietrze było chłodne i świeże. Gdy wychyliło się głowę, można było ujrzeć, jak wysoko w górze rzeka wypada z łożyska, kompletnie zaskoczona, leci w powietrzu pod postacią wirujących płacht, wyciąga się niczym akrobata spadający z liny, ciągnąc za sobą smugę nieważkich kropel, rozpościera w powietrzu lodowatą białą kurtynę, a potem uderza o powierzchnię rozlewiska, kona w nim i natychmiast odradza się pod postacią napowietrzonej czarnej wody i płynie ku morzu.

Próbowałem objaśnić Marlise, jak to jest, gdy się spada.

– Jak to wiesz? – spytała.

Opowiedziałem jej, jak to jest, gdy zawisa się na szczycie wielkiego łuku, rozbłysk eksplozji wypełnia oczy, nim jeszcze rozlegnie się huk i doświadczy się szoku, a potem przez chwilę, przez okamgnienie, jest się sparaliżowanym miłością, która wydaje się otwierać drogę ku wieczności.

Marlise jest osobą bardzo praktyczną, jedną z tych, dla których śmierć oznacza wyłącznie nieplanowaną papierkową robotę.

– Jak to wiesz? Umarłeś kiedy?

– Zostałem zabity – odparłem.

– I zdołasz wrócić?

– Tak. Wróciłem i potem jeszcze dwieście razy byłem żywy.

Sądziła, że jestem stuknięty, ale wielu ludzi tak myśli. Oni po prostu nie wiedzą, jak to jest, gdy się dotknie nieba, a potem zostaje się odrzuconym z powrotem. Po takim spotkaniu świat wygląda zupełnie inaczej. Szczerze mówiąc wiem też, że wielu ludzi, którzy uważają mnie za wariata, sami są wariatami. Ja nie mam w sobie ani odrobiny wariactwa.

Odchyliłem się do tyłu i wpatrywałem się w rzekę stojącą w powietrzu niczym wypełniona światłem smuga raketowego odrzutu. Słońce przenikało przez mgiełkę i muskało nasze twarze, tęcze krzyżowały się nad nami jak pnącza, a ziemia huczała pod naporem wody, nieprzerwanie od miliona lat.

Wieczorem, przyjemnie zmęczeni po forsownym wysiłku, spacerowaliśmy po nielicznych uliczkach miasta. Na rynku Marlise nakłoniła mnie, bym sprawił sobie portret. Wciąż byłem w miarę młody, nie miałem siwych włosów, nie garbiłem się, a moje oczy nie były jeszcze puste.

Nie lubię pozować i nigdy tego nie robiłem. Constance zamówiła kiedyś mój portret u Buckmana Wilgisa – naturalnej wielkości, mroczny, heroiczny, w stylu Sargenta. Byłem na nim ubrany w czarny garnitur i żółty krawat. Zapłaciła za niego pół miliona dolarów, ale na początku swego okresu kawowego powbijiała w niego szpilki.

Rysunek znad Rio Veloso wykonany jest węglem, techniką wyjątkowo nie na miejscu w Brazylii, królestwie pastelii. Portrecistka jednak domyśliła się, że jestem Amerykaninem, i chciała uchwycić bijące ze mnie siłę i gniew. Udało jej się to, lecz nawet przez najmniejszy ułamek sekundy nie zdołała uchwycić nawet najmniejszego ułamka mej radości.

Może dlatego że trwał właśnie kryzys berliński, a może z powodu zaostrenia się sytuacji w Wietnamie zagadnęła mnie o moją przeszłość wojskową.

– Owszem, byłem w wojsku – potwierdziłem.

– Och – rzekła, jak gdybym był nazistą z São Paulo.

– Biłem się z Niemcami – powiedziałem ze wzburzeniem i z dumą – przez cztery bardzo trudne lata, w miejscach, gdzie bywało zimniej i wilgotniej niż Brazylijczycy mogą to sobie wyobrazić.

– Och – odparła znowu.

– Czasem bywało czterdzieści stopni poniżej zera – dodałem. – Świat lodu i światła, w którym nigdy nie byłaś i nigdy nie będziesz.

Marlise kopnęła mnie lekko, ale to mnie tylko jeszcze bardziej podburzyło.

– Działo się to w tym samym czasie, gdy twój ojciec tańczył, rznął się i obżerał smażonymi krewetkami, aż w końcu zmienił się w miękki wór jednolitego łajna, a jego poczucie etyki rozpadło się w pył jak fusy od kawy.

Marlise pociągnęła mnie za rękaw, lecz rysownicza, która zdążyła już spoznać błysk w

moich oczach – wciąż można go zobaczyć, nawet w węglu – w przeciwieństwie do poczucia etyki jej domnianego ojca wcale nie rozpadła się w pył. Dawno już nauczyłem się, że nie należy lekceważyć siły tutejszej roślinności. Nawet jeśli wdeptać ją w ziemię, prędzej czy później i tak wyrwie się ku słońcu i zakolysze na wietrze.

Prawdziwym klejnotem Rio nie jest turkusowe morze, lecz zielony lont życia.

– Gdy był pan w wojsku... – zaczęła rysowniczką.

– W siłach powietrznych – wtrąciłem.

– Tak. Czy wtedy zabił pan kogoś?

Nagle ogarnęła mnie miłość do tej kobiety. Miałem ochotę ją przytulić, ale, jak często bywa w takich sytuacjach, zmuszony byłem ciągnąć dyskusję.

– Tak – odpowiedziałem, powiększając dzielący nas dystans. – Z wielkiej odległości. Tamci byli tylko drobinkami w sercach konstrukcji z aluminium i stali, przywiązany do swych zabójczych maszyn, tak jak ja do swojej. Wszystko działo się w skali, której przedtem nie znałem: minuty wznoszenia i sekundy spadania, w rozrzedzonym powietrzu i bezlitosnej temperaturze, z takimi prędkościami, że zwycięzcy groziło rozerwanie na strzępy pospołu z pokonanym. A gdy zabijałem ludzi na ziemi, byli niewidoczni, tkwili u stóp swoich dział i pluli z nich ogniem, a ja nurkowałem na nich, jak gdybym prosił się o śmierć. Wszyscyśmy byli ubrani jak karaluchy: w gogle, pancerze, w ciśnieniowe kombinezony z pęcherzami, maskami, rurami i paskami po bokach.

Rysownicze jakby ulżyło.

– Ale nie zabił pan nigdy człowieka z bliska, własnoręcznie, prawda? – spytała.

Nie odpowiedziałem.

Historia o drugim człowieku, którego zabiłem, sięga tak daleko wstecz, że trzeba by właściwie zacząć od początku świata. Ze względów praktycznych można ją jednak wywieść od postaci Eugene’a B. Edgara, najstarszego ze starszych wspólników Stillman and Chase.

W 1934 roku był już starszy niż ja teraz. Wszystkich zawsze uważał za dzieciaków. Wszystko przeżył, wszystko robił i wszystko widział, ale i tak nie miało to żadnego znaczenia – ważne było, że wszystko miał. Urodził się w samą porę, by podczas wojny secesyjnej zawyżyć swój wiek i zaciągnąć się do nowojorskiego regimentu ochotników. W wieku osiemnastu lat przeszedł do cywila w stopniu kapitana kawalerii, z właściwą niedorostkom pogardą dla śmierci wzięwszy udział w połowie głównych operacji. W złotym wieku miał na tyle szczęścia i rozsądku, że uczył się od Edisona, Henry’ego Forda i paru pomniejszych, lecz również wielkich indywidualności. W niedługim czasie zdołał uczynić ze Stillman and Chase jedną z czołowych instytucji finansowych świata.

Gdy w latach dziewięćdziesiątych przyszedł kryzys, rozpoczął atak. Kupował wszystko od wszystkich, narażając firmę na takie ryzyko, że jej akcje poleciały w dół. Wtedy je także kupował. Jeszcze kilka miesięcy i poszedłby na dno, ale wszystko robił dokładnie w samą porę i gdy gospodarka wyszła z zapaści, miał już pełną kontrolę nad Stillman and Chase, a Stillman and Chase miał niepodzielną kontrolę nad niemal całą resztą.

Przez całe życie Eugene B. Edgar nie tracił z oczu wielkich cyklów, w jakich rozwija się świat, a których większość ludzi nie zauważa, nawet niekoniecznie z braku mądrości, lecz z braku odwagi. W 1928 roku wszystko sprzedał. Firma przetrwała ciężkie półtora roku, lecz gdy półtora roku później rynek akcji się załamał, okazało się, że siedzimy na gigantycznej górze pieniędzy.

Ludzkie postrzeganie świata zmienia się, gdy zawieje wiatr: wszyscy nagle zaczęli przedkładać gotówkę nad akcje, choć jeszcze parę miesięcy wcześniej bardziej cenili akcje.

Odczekaliśmy trochę, a potem, w 1934 roku, Eugene B. Edgar zaczął po kolei wykupywać całe Stany Zjednoczone.

– Pomału – mówił. – Ostrożnie.

Gdy firma okrzepła, byliśmy już właścicielami banków, korporacji, dzieł sztuki, praw energetycznych, praw autorskich i nieruchomości. Mieliśmy wrażenie, że gdybyśmy roztrwonili nasze bogactwo, cały kraj zachwiałby się w posiadach. Mogliśmy być pierwsi po Bogu.

Gdy zwróciłem uwagę panu Edgarowi, że już od dawna jesteście pierwsi po Bogu, wysunął skórzastą, żółtawą głowę z wykrochmalonego białego kołnierzyka, przekreślił ją o ćwierć obrotu w lewo i w prawo, schował ją z powrotem i rzekł:

– Pomnożymy wszystko przez osiem.

Wtedy jeszcze nie byłem starszym wspólnikiem, w ogóle nie byłem żadnym wspólnikiem. Poruszałem się po obrzeżach koterii pochlebców, którzy wkradli się w łaski Eugene'a B. Edgara i potrzebowali kogoś stojącego znacznie niżej, by móc się na nim wyżywać. Gdy muł dostaje po nosie, wierzga do tyłu – moim zadaniem było stać za ich plecami.

Miałem już trzydzieści lat, ale wciąż jeszcze byłem tylko cenionym chłopcem na posyłki. Trudno się temu dziwić: zaczynałem jako goniec, wszyscy najważniejsi ludzie w firmie przyszli natomiast prosto z Harvardu, Yale lub innych wielkich firm i do pewnych zajęć nigdy się nie zniżyli.

Lecz przecież ja też studiowałem na Harvardzie. Byłem jak mieszaniec: pocziwy i nieszkodliwy, ale zarazem wstrętny, omijany z daleka. Mój status komplikowało też to, że nie byłem weteranem wielkiej wojny: tak jak Eugene B. Edgar podczas wojny secesyjnej, byłem na to po prostu za młody. Najwspanialszą część swojej młodości spędziłem zaś nie w Groton, tylko w szpitalu dla obłąkanych. Poradziłem sobie tam jednak z tak nerwową błyskotliwością, że do dziś aż drzę na samo wspomnienie.

Czasem w trakcie meczu krykieta lub regat żeglarskich padało pytanie:

– Wiem, że studiowałeś na Harvardzie, ale do którego liceum chodziłeś?

Harvard był obowiązkowy, ale wciąż jeszcze plebejski. Tym, co naprawdę wyróżniało i decydowało o przynależności do koterii, było ukończenie któregoś z prestiżowych liceów: St. Paul, Groton lub pięciu-sześciu innych. Ja zamiast w liceum uczyłem się w wariatkowie. Zawsze jednak udawało mi się ominąć pułapkę. Wystarczyło, że odpowiedziałem:

– W Chateau Parfilage.

– Naprawdę? – padała odpowiedź. – W Szwajcarii?

– W Oberlandzie Berneńskim. Świetne warunki narciarskie. I żabi skok do Paryża.

Któregoś dnia w połowie maja 1934 roku siedziałem wraz z grupą lizusów i panem Edgarem przy obiedzie w jadalni zarządu Stillman and Chase. Ledwie go słyszałem: mówił bardzo cicho, był nawykły do tego, że ludzie wyciągają uwagę i chłoną każde jego słowo.

Przez okna wpadało słońce, ale chłodne, jak gdyby lazururowe niebo zrobione było z lodu. Czułem się silny, jak tylko może się czuć trzydziestoletni mężczyzna. Nie śledziłem przebiegu rozmowy, zapatrzyłem się w promienie światła i przepływające chmury. Nagle usłyszałem swoje nazwisko: przemówił do mnie sam wielki szef.

– Słucham, proszę pana? – powiedziałem.

– Lubisz chodzić pieszo, prawda?

– Tak, proszę pana. Skąd pan to wie?

– Czasem widzę, jak chodzisz tu czy tam, a kolor twojej twarzy za każdym razem wskazuje, że byłeś na powietrzu dobrych parę godzin. W Święto Dziękczynienia widziałem cię na plaży w East Hampton. Nie zauważyłeś mnie, siedziałem przy teleskopie w Maidstone Club. Brałeś udział w świątecznej paradzie, trzymałeś sznur od balonu.

To akurat była bzdura – nigdy czegoś takiego nie robiłem.

– Kiedyś widziałem też, jak schodziłeś z Madison Avenue, tego pagórka, gdzie trzymamy nasze dojne krowy. – Wyglądał na rozbawionego, a my czekaliśmy, aż skończy wspominki. – Chciałbym mieć taką krzepę – mówił dalej – żeby móc chodzić po dwadzieścia mil albo zbiegać ze wzgórz, przeskakując przez obalone drzewa i ślizgając się po biocie. Gdy skręcasz w miejscu, robisz to jak narciarz.

Uśmiechnęliśmy się. Nawet lizusy były szczerze zadowolone.

– Chcę cię o coś spytać. Jak się nazywa bank w Brooklynie na północno-wschodnim rogu Montague i Clinton?

– Brooklyn Trust, proszę pana – odpowiedziałem. Nie było to trudne.

– Pójdiesz do ich biura – polecił Eugene B. Edgar. – W dziale kredytów pracuje tam pewien młody człowiek. Podobno wie wszystko o wszystkich komercyjnych i przemysłowych nieruchomościach na Brooklynie i zna na wylot każdą firmę czy trust, które mają jakikolwiek majątek. Zatrudnij go. Dzięki niemu będziemy dokładnie wiedzieli, co i za ile kupować.

– Jak się nazywa ten człowiek? – spytałem.

– Wiedziałem, ale zapomniałem.

– Czy jest pan pewien, że można mu zaufać? – zapytał ktoś.

– Oczywiście, że tak. To mój siostrzeniec.

– A co mam mu zaoferować? – zabrzmiało moje kolejne pytanie.

– Jeśli będzie trzeba, obiecaj mu trzykrotność jego obecnej pensji, ilekolwiek zarabia.

Widząc, że pan Edgar ma przyływ szczodrości, skorzystałem z okazji.

– Czy mógłby pan przy okazji podwoić moją pensję?

– Tak, pod warunkiem że go przyprowadzisz – oświadczył najbogatszy człowiek w Ameryce. – Jeśli nie, obetnę ci ją o połowę.

Następnego dnia o dziesiątej rano wyruszyłem na Brooklyn. Większość ludzi po przebudzeniu jest optymistycznie nastawiona do świata, zauważyłem też, że u członków zarządu i pracowników przedsiębiorstwa poziom optymizmu wyraźnie rośnie, gdy przyswoją sobie poranną dawkę kawy. Piętnaście-dwadzieścia minut po tej poniżającej czynności wpadają w euforię. Wystarczy, że podniosą filiżankę i zanurzą wargi w tej kloace, a ich twarze przybierają anielski wyraz. Między dziesiątą trzydzieści a jedenastą przypada najlepszy moment na składanie ofert nałogowcom. Wtedy mogłem zaatakować.

Niestety, wsiadłem w niewłaściwy pociąg metra – zawsze mi się to zdarza, gdy jadę na Brooklyn, zresztą nie tylko mnie, ale wszystkim, nawet mieszkańcom Brooklynu – i wylądowałem na drugim końcu dzielnicy. To nic, pomyślałem, jeszcze dam radę. Możliwe nawet, że jeśli dotrę do siedziby Brooklyn Trust odrobinę później, trafię na jeszcze większą euforię. Popędziłem przed siebie, sadząc susy po krawężnikach.

W pewnej chwili ujrzałem przed sobą nietypowe zbiegowisko: ulica zagrodzona była liną, a na chodniku stał tłum, jak gdyby przechodziła jakaś parada. Muszę pobiec naokoło, pomyślałem. Na następnym skrzyżowaniu tłum był jednak równie gęsty, ludzie napierali na policyjne liny. Cały teren wokół Borough Hall zagrodzono i zastawiono radiowozami. Co pewien czas słyszałem odgłosy strzelaniny, jak gdyby toczyła się bitwa, w oddali rozbrzmiewały zaś policyjne syreny, ich wycie odbijało się zniekształconym echem od kamiennych i szklanych ścian.

Nie dalej niż dwadzieścia stóp za linami leżała na ziemi nieruchoma postać, a nad nią klęczała zapłakana młoda dziewczyna. Leżący mężczyzna, najwyraźniej martwy, ubrany był w niebieski kombinezon, pewnie pracował jako pucybut lub dozorca w którymś z okolicznych rojowisk biurokratów. Dziewczyna nie chciała odstać od niego na krok, była jeszcze dzieckiem,

miała siedemnaście, może osiemnaście lat. Na jej ramieniu wisiała szkolna torba, połowa książek wysypała się i leżała rozrzucona dokoła, niektóre pootwierały się i trzepotały kartkami na wietrze.

Mężczyzna miał wełniste białe włosy, a choć dziewczyna kołysała go z wolna w tył i w przód, nawet nie drgnął, udał się już na wieczny spoczynek. Kobieta obok mnie rozpląkała się, nikt jednak nie pospieszył na plac, bo dziewczyna była kolorowa, tak samo jak jej ojciec. Właściwie trudno było kogokolwiek winić, że nie chce sprowadzić jej z placu. Kto chciałby odciągać ją od ojca? Ja nie.

Sercem byłem jednak przy niej: wiedziałem, że ta chwila rozstrzyga o dalszym życiu tej dziewczyny, o tym, czy nie odgrodzi się od ludzi i nie pograży w beznadziejnej, upartej dewocji, w wykańczających dysputach z Bogiem, w długich i smutnych medytacjach nad losem, sensem życia i miłością.

Odgłosy strzelaniny przywróciły mi siłę. Huk i terkot broni palnej zawsze oczyszcza mnie ze strachu i troski o siebie – ilekroć je słyszę, budzi się we mnie krew moich przodków żołnierzy, czuję, jak gotują się do marszu.

W miejscu, gdzie stałem, przez szpaler ludzi przedarła się karetka, zaporą została na chwilę przerwana, wkroczyłem więc na plac szybko i niespokojnie, ze zmartwionym i gniewnym wyrazem twarzy, udając inspektora policji. Tylko jeden oficer w cywilu spytał, kim jestem, na co odparłem tonem pełnym bezbrzeżnej cierpliwości:

– Houlihan, Manhattan Południe.

Może był jakiś Houlihan w okręgu Manhattan Południe.

Policjanci kucali jak idioci za samochodami, choć te, z wyjątkiem kół i silników, nie były w stanie zatrzymać karabinowej kuli. Stałem prosto i rozglądałem się po placu, na którym leżały porzucone trzy ciała – dwóch kobiet i mężczyzny.

– Houlihan! – oznajmiłem. – Manhattan Południe. Niech ktoś mi powie, co się tu dzieje, szybko!

Po chwili wiedziałem wszystko. Na najwyższym piętrze budynku po drugiej stronie placu zabarykadował się snajper. Zabił już co najmniej siedem osób i jak doskonale było słychać, strzelał jak wariat w głąb Brooklynu, gdzie wprawdzie po ulicach krążyły radiowozy na sygnale, ale przechodnie – jak przystało na nowojorczyków – nie kryli się zbytnio.

– Skoro ostrzeliwuje ulice, czemu się chowacie za tymi puszkami? – spytałem.

– Nas też ostrzeliwuje – powiedział jeden z gliniarzy.

Wiedziałem, że jeśli pozostanę nieosłonięty jeszcze przez chwilę, zaczną wątpić, czy naprawdę jestem policyjną szycią. Od szycy wprawdzie oczekuje się, że będzie dzielnie stać na linii ognia, ale nie jest to wymagane. Raczej nieobowiązkowe.

Choć gliniarze o tym nie wiedzieli, nie byłem bardziej odsłonięty niż oni, zresztą niebezpieczeństwo i tak nie było wielkie. Strzelec wydawał się wzburzony, bo kiepsko celował. Gdyby nawet do mnie strzelił, i tak by chybił, zresztą prażył w stronę pomnika wojny hiszpańskiej, setki stóp ponad moją głowę. Poza tym coś mnie pchało pod jego kule – gdyby któraś mnie ugodziła, spełniłoby się moje przeznaczenie. W miejscu zbrodni przeznaczenie zawsze się odsłania. Ci, którzy spędzają całe życie w kapciach, wyśmiewają ideę przeznaczenia, ale wśród gradu kul czy nawet nawałnicy przeznaczenie jest wszystkim: staje się namacalne, odczuwa się je nie mniej niż gorące słońce czy huraganowy wiatr. Gdybym tego dnia zginął, byłbym zadowolony. Gdybym osunął się na chodnik, brocząc krwią, czułbym się ukojony jak dziecko wreszcie przygarnięte przez matkę.

– Co to za jeden? – spytałem trochę niecierpliwie, bo sierżant dowodzący akcją spoglądał już na mnie jak buldoga na człowieka udającego buldoga.

– A ty kim jesteś? – zapytał, nadłamując kruchy łód, na którym stałem.

– Houlihan, Manhattan Południe.

– Nie znam cię – powiedział. – Ciekawe dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Gdzie twoja odznaka? – dopytywał się, wciąż oparty o koło radiowozu niczym pijak przytulony do muru.

Wiedziałem, że póki śmigają kule, nawet jeśli wysoko nad naszymi głowami, nie odważy się stamtąd ruszyć.

– Nie noszę biżuterii.

– Boże wszechmogący! – zawołał. – Kolejny pomylenieć!

– Nie jestem pomyleniećem – odparłem. – Jestem bankierem inwestycyjnym.

– Jesteś aresztowany! – wykrzyknął dramatycznym tonem.

Wyszedłem dalej na otwartą przestrzeń, tam, gdzie moje miejsce. Strzelec spostrzegł mnie i posłał w moją stronę metodyczną serię wystrzałów. Kule rykoszetowały od chodnika, rozbiły szyby w radiowozach. Samochody były wtedy kwadratowe, z wielkimi oknami.

Szedłem dalej, żeby utrudnić mu skorygowanie ognia. Za każdym razem chybiał o parę stóp, w jedną lub drugą stronę, w przód bądź w tył.

– Zejźdź stamtąd, ty głupi sukinsynu! – krzyknął sierżant. Starł się nadać głosowi władcze brzmienie, ale w ogniu walki był tylko skulonym gryzoniem.

– Chodź i mnie ściągnij – powiedziałem.

Zamknął oczy i jęknął.

– Dajcie mi spluwę – zażądałem.

– Przydałyby ci się raczej ładunki wybuchowe – próbował się spierać sierżant. – Ten gość siedzi za drzwiami przeciwpożarowymi, zaryglowanymi i zabarykadowanymi.

– Wejść po schodach przeciwpożarowych.

– Oszalałeś.

– Do diabła, on zabił już siedem osób – powiedziałem. Byłem opanowany, ale wypełniała mnie autentyczna wściekłość. – Co zamierzacie zrobić? Czekać na czołg, który wjedzie na górę po ścianie?

– Zostaw to nam! – zawołał.

– Nie. Nie mogę.

Przebiegłem przez plac, przeskakując przez ławki i robiąc zygzaki w lewo lub w prawo, kierując się wyłącznie wskazaniem swego serca. Kule padały coraz bliżej, widziałem już lufę karabinu i błyski wystrzałów. Policja otworzyła ogień. Brzmiało to tak, jakby miasto ostrzeliwało się przed samolotami – choć wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak brzmi taki ostrzał. Chroniąc się pod gzymsem, zdałem sobie sprawę, że mogę nie dotrzeć do Brooklyn Trust przed końcem urzędowania.

No i co z tego, pomyślałem. Wypełniała mnie burzliwa, cudowna mieszanina energii i gniewu, która zawsze pojawia się, gdy jesteśmy pod ostrzałem. Przypuszczam, że kabelki w mojej głowie już wtedy były trochę poplątane: ilekroć ktoś do mnie strzela, zamiast uciekać, jestem raczej skłonny biec w jego stronę. Czuję wtedy – i tylko wtedy – spokój i radość. Nawet gdy latałem, gdy świat wydawał się pełen światła, a wszystkie jego krawędzie były tak wyraźne, że lśniły jak srebro, ogień otwierałem dopiero wówczas, gdy usłyszałem terkot działek wroga – jak gdyby ktoś przesuwiał we mnie jakąś dźwignię, jak gdyby w jednej chwili zapalały się wszystkie światła wielkiego miasta.

Po namyśle i krótkiej modlitwie pobiegłem za róg budynku, podskoczyłem i chwyciłem

się drabiny przeciwpożarowej. Mój potężny skok wydał mi się trochę zabawny, więc wisząc na najniższym szczeblu, zacząłem się śmiać, co tak mnie osłabiło, że omal nie spadłem na ziemię. Szybko zbeształem się w myślach i rozpocząłem wspinaczkę. Myślę, że gdyby strzelec usłyszał mój chichot i okrzyki, jakimi dodawałem sobie otuchy, pewnie od razu by się poddał – znajdował się jednak o wiele za wysoko, pewnie był też zbyt roztrzęsiony, by cokolwiek słyszeć.

Zejsście pożarowe zasypywały odłamki muru, żelaza i ołowiu, czułem się tak, jakbym wspinał się na jedną z owych wysokich wież, w których dawniej badano jakość kul karabinowych, lub brnął pod wodospadem zalewającym gąszcz obalonych drzew. Każda kula, odprysk kamienia i kawałek żelaznej poręczy spadały nie z pojedynczym czy dwukrotnym, lecz ze stukrotnym rykoszetem, trafiały w różne powierzchnie, pod różnymi kątami i z różną prędkością, wygrywały wielki koncert brzęknięć i szczęknięć. Wspinając się na kolejne piętra, byłem jedyną kulką w tym jednokierunkowym fliperze. Czułem się bezpiecznie. Pod naporem policyjnej kanonady snajper nie był w stanie strzelać w dół.

Siedział na dziesiątym piętrze. Gdy dotarłem do dziewiątego, zatrzymałem się. Nawet ja nie wyszedłbym pod lufę z tak bliskiej odległości i pod tak wąskim kątem. Nie miałyby to w sobie już nic radosnego. Przeszedłem na drugą stronę budynku i dopiero tam wdrapałem się na dziesiąte piętro. Nie mogłem jednak skręcić z powrotem za róg, przeciwpożarowy chodnik urywał się tam bowiem pod narożnym wykuszem. Mógłbym się przekraść na palcach po gzymsie, ale jeśli snajper spostrzegłby mnie w oknie i wypalił przez szybę, zestrzeliłby mnie niczym ptaka w locie.

Wspiałem się na wyłożony łupkiem dach i usiadłem na samym szczycie, zwieszając nogi na drugą stronę. Żeby zleźć przez gzyms na chodnik pożarowy w miejscu, gdzie snajper umieścił swój karabin, musiałbym się zsunąć po dachówkach jakieś dwanaście stóp. Nie mogłem wyrzeć za krawędź, w polu widzenia miałem tylko plac sto stóp niżej.

Mój problem przedstawiał się następująco: jak się zsunąć, żeby siłą rozpędu nie wylecieć w powietrze i nie dokonać ostatniego, najbardziej widowiskowego zjazdu saneczkowego w swoim życiu? Byłem w martwym punkcie. Zająłem wąskie, odsłonięte, smagane wiatrem miejsce, sto dziesięć stóp ponad ziemią i setką karabinów, ostrzeliwujących – zdumiewająco nieprecyzyjnie – cel znajdujący się ledwie parę stóp pode mną. Od czasu do czasu kule trafiały w dach, odpryski łupkowego pokrycia zsuwały się przez gzyms i ze szczękiem spadały po schodkach pożarowych.

Nie wiedziałem, co robić, czekałem więc, a gdy tak czekałem, całkiem uleciały ze mnie dotychczasowe szczęśliwość i zajadłość i dopadł mnie strach. Zaczęło mi doskwierać coś, co Marlise nazywa *impetigo*, czyli przemożny lęk wysokości. Chwyciłem się kurczowo piorunochronu i zapatrzyłem się w swoje zniekształcone odbicie w szklanej kuli, z nadzieją, że coś się w końcu zdarzy i że nie zmieni się pogoda. Strzelanina się zagęściła: z sąsiednich dzielnic dotarły posiłki z pistoletami maszynowymi. Tommy gun to broń krótkiego zasięgu o wątpliwej celności. Strugi pocisków świszczały w powietrzu i po bokach, roztrzaskując dachówki. Przyszło mi do głowy, że ta miążdżąca kanonada niebawem powybija w dachu na tyle duże dziury, że będę mógł się ześliznąć do środka – lecz nim się to stanie, pewnie sam zostanę rozstrzelany.

Wtedy usłyszałem głos:

– Nie rób tego.

Rozejrzałem się dokoła, nie wypuszczając z rąk piorunochronu. Znad krawędzi dachu po zawietrznej wychylał się człowiek, przysadzisty okularnik o piaskowych włosach, mniej więcej w moim wieku. Byłem oczywiście zbyt zaaferowany, by zwrócić uwagę na jego uszy. Były nieprzeciętnie wielkie, choć zauważyłem to dopiero później, po latach, gdy pokazał na nie i powiedział, że zawsze były kawał jego życia, i że jego zdaniem wszyscy ludzie na ulicy,

zwłaszcza piękne kobiety, zauważają je od razu, jak gdyby miały wielkość Skały Gibraltarskiej. Pomijając uszy, wyglądał jak ojciec Flanagan w filmie *Miasto chłopców*. Oczywiście film powstał później, prawdziwy ojciec Flanagan był wtedy jeszcze młodym księdzem i nikt nie wiedział, jak wygląda, nie licząc tych, co znali go osobiście, no i może Spencera Trący, wyczuwającego instynktownie swoją przyszłą rolę.

Myślałem, że chce mnie odwieść od ataku na snajpera, on jednak sądził, że zamierzam się zabić.

– Mam swoje powody – powiedziałem.

– Nigdy nie ma dostatecznie mocnych powodów.

– Skąd wiesz?

– Pracuję w komunikacji miejskiej.

– Rozumiem – stwierdziłem. – Pracownicy komunikacji miejskiej są nieomylni jak papież.

– Nie o to chodzi. Zajmuję się utrzymaniem torów. Do moich zadań należą negocjacje z samobójcami. Jeszcze nigdy nie słyszałem, aby ktokolwiek (zwłaszcza na tyle zdrów, by wspiąć się na sto stóp po linie nośnej) miał naprawdę dobry powód, żeby skończyć z życiem.

– Ja nie jestem samobójcą.

– Czyli co, pracujesz tutaj? – Spojrzał na mój garnitur z Savile Row i buty Peale.

– Oczywiście, że nie.

– Więc po co tu wlałeś?

– Żeby dorwać tego sukinsyna tam, w dole.

– Diabła?

– Nie wiem, kto to taki. Jak myślisz, czemu policja praży ze stu luf w naszą stronę?

– Jaka policja?

Z powodu wiatru zupełnie nie słyszał, co dzieje się po mojej stronie dachu. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, gdy spojrział na dół i zobaczył armię zgromadzoną na placu.

– Coś ty narobił? – spytał. – Żle zaparkowałeś?

Nie umiem wyjaśnić tego inaczej: ten człowiek musiał mi zostać zesłany przez anioła. Zobaczył mnie ze swojego biura w sąsiednim budynku, uznał, że przymierzam się, aby z sobą skończyć, i przyszedł mi to wyperswadować. Wielu ludzi odwiódł już od skoku z wiaduktów i wysokich platform, wielu innych przekonał, by zdjęli głowę z szyn przed nadjeżdżającym pociągiem, nie bał się wysokości i był nawykły do niebezpieczeństw. Połowa tras nowojorskiego metra wiedzie po estakadach i mostach, spędził więc wiele dni w głębokich tunelach i na dużych wysokościach.

– Jak przeleźć przez gzyms, żeby przy tym nie spaść? – spytałem.

Przez chwilę przyglądał się uważnie krawędzi dachu.

– To proste. Chwyć się piorunochronu, a ty zejdziesz po mnie jak po drabinie. Potem, gdy już będziesz bezpieczny, ześliznę się, ty złapiesz mnie za nogi i ściągniesz na dół jak belkę.

– Jak Belga? – Nie dosłyszałem na wietrze. – Jesteś Belgiem?

– Nie, Szwedem – odparł i chwycił się mocno piorunochronu.

Zszedłem po nim. Przez parę minut trzymałem się kurczowo jego kostek, nie chciałem ich puścić, choć kopał mnie po twarzy, jak gdybym był psem, który gryzie go po nogach. Wreszcie puściłem, sunąłem po dachu przez kilka długich sekund, aż w końcu moje stopy zatrzymały się na gzymsie.

Wtedy on puścił się, tak lekko, jak gdyby znajdował się ledwie parę stóp nad ziemią, i ściągnął go jak belkę.

– Co teraz? – spytałem, nie do końca przekonany do naszej misji.

– Odwróćmy się.

Odwróciliśmy się. Chodnik przeciwpożarowy znajdował się zaledwie sześć stóp pod nami, ale miał zaledwie dwie i pół stopy szerokości i bez ryzykownego wychylenia się przez krawędź nawet go nie widzieliśmy. Czułem, że niewidzialna siła spycha mnie przez gzyms prosto w próżnię. Oczywiście umiałem ją przemóc, ale starałem się też jej nie rozdrażnić.

– Co dalej? – spytał Szwed.

– Zeskoczymy na chodnik przeciwpożarowy i rzucimy się na niego – improwizowałem.

– On ma broń. Idź pierwszy.

– Nawet jeśli cię trafi, wcale nie jest powiedziane, że zginiesz – stwierdziłem.

– Mimo wszystko idź pierwszy.

– Nie, nie – zaoponowałem. – Ten, który pójdzie najpierw, będzie bezpieczniejszy. On w pierwszej chwili dozna szoku, w drugiego już starannie wyceluje.

– To nic, idź pierwszy.

– No dobra, skoro nalegasz... – powiedziałem.

– Świetnie. Idę zaraz za tobą. Kiedy zeskoczę, skieruje się w moją stronę. Wtedy rzuć się na niego.

Przystałem na to. Myślę, że w tamtym momencie mógłbym przystać na wszystko.

Pomachałem do policjantów, by wstrzymali ogień, i gdy kanonada ucichła, zsunąłem się. Myślałem, że nie trafię w wąski chodnik i polecę w dół, było to jeszcze trudniejsze niż pierwszy skok ze spadochronem – wtedy przynajmniej miałem spadochron. Szczęście mi jednak dopisało. Wylądowałem nie tylko na chodniku przeciwpożarowym, ale i na samym karabinie podpartym na framudze okna. Karabin zadziałał jak dźwignia – kolba grzmotnęła snajpera w szczękę z taką siłą, że aż poleciał do tyłu w głąb pomieszczenia.

Następne, co pamiętam, to że Szwed z impetem wylądował obok mnie. Był obrócony tyłem, cały i zdrowy, jedynie lekko oszołomiony.

Chwyciłem karabin i rycerskim gestem wyrzuciłem przez okno. Po chwili usłyszałem, jak uderza o chodnik.

– Czemuś to zrobił, idioto?! – wrzasnął Szwed.

– Stracił przytomność – stwierdziłem z przekonaniem.

Minęła sekunda.

– Wcale nie! – obwieścił Szwed, uskakując w bok przed snajperem, który próbował przebić go bagnetem.

– Przestań! – krzyknąłem.

Snajper rzucił się w moją stronę. Cofnąłem się, uderzyłem plecami o barierkę.

– Przestań!

Moje okrzyki poskutkowały – strzelec znieruchomiał. Dopiero wtedy naprawdę go zobaczyłem. Muszę przyznać, że inaczej go sobie wyobrażałem. Miał jakieś pięć stóp trzy cale wzrostu, przeredzone rude włosy i rudą brodę, a do tego najbardziej wylupiaste oczy, jakie widziałem w życiu – wyglądał tak, jakby go ktoś dusił.

– Nie spinaj się! – wrzasnąłem i zanurkowałem przez okno do wnętrza jego mieszkania, biura, cokolwiek to było. I zaraz tego pożałowałem.

Podłogę zaścierała gruba na dwie stopy warstwa rozkładających się resztek jedzenia i kawowych fusów. Na piecyku bulgotał dzbanek z kawą, wszędzie walały się papierowe tacki z kurczakami z różną, niektóre pewnie z wczoraj, inne sprzed roku. Wyglądało to jak trójwymiarowy film przedstawiający klatka po klatce rozkładanie się kurczaka.

Podniosłem się z podłogi, starając się nie zwymiotować z obrzydzenia. Lepiej nie zajmować się wymiotowaniem, gdy ktoś ściga nas z bagnetem. Spostrzegłem, że wanna jest wy-

pełniona do połowy jakąś zieloną breją, a nad toaletą wisi zdjęcie znanego komika Ala Jolsona z wbitym w gardło nożem do rzucania.

Koło pieca stała kopułkowata klatka dla ptaków, w której leżały kości papużki, a na drzwiach wejściowych wisiał kalendarz z 1922 roku, otwarty na styczeniu, z przyklepioną listą rzeczy do zrobienia.

Mój towarzysz wskoczył do środka.

– Co za ohyda – brzmiały jego pierwsze słowa. – Co za ohydny koleś.

Strzelec rzucił się posuwistym krokiem w moją stronę. Uskoczyłem w bok, uchylając się przed ciosem, wpadł więc na ścianę, obrócił się jednak w okamgnieniu. Był wzburzony do ostatecznych granic.

– Czy ty nigdy nie sprzątasz? – spytałem.

– Tylko nie każ mi sprzątać! – krzyknął. Były to jedyne słowa, jakie od niego słyszałem.

– Nie każę ci sprzątać, pytam tylko, czy to robisz.

To wprawiło go w furję.

– Tylko nie każ mi sprzątać! – wrzasnął i rzucił się na mnie z uniesionym bagnetem, jak samuraj z mieczem. Był szybki, piorunująco szybki, i zamierzał mnie zabić.

Przecinając powietrze, ostrze wydało cudowny dźwięk – nic dziwnego, była to jedyna czysta rzecz w tym przeraźliwym chlewie. Odskoczyłem do tyłu zahipnotyzowany. Szwed natarł na snajpera z boku, ten jednak zrobił szybki ruch, niczym pstrąg chwytający muchę, i chlasnął go bagnetem po twarzy. Krew trysnęła jak z fontanny, Szwed osunął się w zwały odpadków.

Snajper ponownie natarł na mnie, patrzyłem, jak nadciąga, wymachując rękoma niby wiatrak. Nie mogłem go obejść, nie mogłem nad nim przelecieć, nie mogłem pod nim zanurkować. Z początku byłem przerażony. Sądziłem, że za chwilę dołączę do kurczaków gnijących na podłodze.

Gdy zbliżył się na tyle, że czułem na twarzy powiew od ostrza bagnetu, zrozumiałem, że mogę zrobić tylko jedno: przyjąć cios, utrzymać się na nogach i złapać skurwysyna za gardło. Wyłupiaste oczy były jego przeznaczeniem – miałem zamiar wypełnić to przeznaczenie, choćbym nawet miał się przy tym zalać krwią.

Bagnet uderzył mnie w bok. Cięcie było głębokie, ale z początku nawet go nie poczułem. Za drugim razem ostrze wbiło mi się w ramię. Modląc się w duchu, żebym tylko nie miał przeciętej tętnicy, złapałem napastnika za szyję. Próbował wyciągnąć bagnet, ale dla niego odległość między nami była już ustalona na zawsze.

Jeszcze nigdy dotąd nie byłem tak zdeterminowany. Ale czy miałem jakiś wybór? Cała siła spłynęła mi do rąk. W pewnym momencie usłyszałem tupot nóg na schodkach przeciwpożarowych. Policja. To też już nie miało znaczenia. Gdy wpadli do środka, krzywiąc się z obrzydzenia, wstrętny wyłupiastooki konus wisiał mi bezwładnie w rękach, z oczyma jeszcze bardziej na wierzchu i ciałem białym jak chmura.

Tego dnia nie udało mi się dotrzeć do siedziby Brooklyn Trust i Eugene B. Edgar, najbogatszy człowiek w Ameryce, obciął mi zarobki o połowę. Nie przejąłem się tym zbytnio – w czasie wielkiego kryzysu nawet połowa mojej pensji była prawdziwie królewską sumą.

ISKRA WYSTĘPKU

Jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, odłóżcie przeczytane kartki do mrówkoszczelnej kasety.

Wróciłem do moich pokojów na najwyższym piętrze Hasslera, niosąc kolejną butelkę lodowatej wody mineralnej. Trzymałem ją za szyjkę, najpierw w prawej ręce, a potem, gdy otwierałem drzwi, w lewej. Wcześniej mój apartament zajmowała kobieta, zapach jej drogich perfum zachował się w najmniej spodziewanych miejscach: poczułem go na dłoniach, gdy rozsunąłem zasłony, przez dobrą minutę wahałem leż jak opętany obudowę telefonu.

Nie były to aż takie perfumy, jakich używała Constance, lecz na tyle wysokiej klasy, że przypomniały mi o jej odejściu. Wszedłem na taras, usiadłem wygodnie, podparłem nogi i zacząłem pić wodę. Nazywała się Aqua Impala, miała mocny, słodki smak. Była późna noc, Rzym pogrążony w ciszy, słyszałem tylko szum wiatru wśród drzew w Villa Borghese. fontanny schładzały letnie powietrze, ich plusk odbijał się od budynków, które w swych ochrowych ścianach wciąż jeszcze przechowywały upał minionego dnia.

Na moim małym tarasie stały doniczki wypełnione czarną ziemią i kwiatami w pełni rozkwitu, a gwiazdy błyszczące nad Morzem Tyrreńskim użyczały nocy swego miękkiego, tajemniczego światła, ekscytującego i obiecującego. Wiele czasu w swoim życiu spędziłem na takim przesiadywaniu, więcej niż śmiałybym się przyznać, zatopiony w powolnym, ale doskonałym rytmie słońca lub gwiazd, obserwując ptaki, wodę tryskającą z fontann lub kolby kukurydzy kołyszące się w złotym powietrzu cichych sierpniowych popołudni.

Przypomniałem sobie, że pod koniec lat dwudziestych i przez całe lata trzydzieste większą część lata zmuszony byłem spędzać w Nowym Jorku. W soboty i niedziele często spacerowałem ulicami niższego Manhattanu, tak opustoszałymi, że można było usłyszeć, jak gołąb wlatuje w duszne powietrze pięć ulic dalej. Właśnie tam, w samotne niedziele, przesiadując na ławkach w parkach bez nazw, powziąłem swoje postanowienie.

Czy mogło być inaczej? Do dziesiątego roku życia wychowywałem się na farmie, bez trudu i wprost od natury przyjmując to, co całe populacje pozbawione tego przywileju uważały za bezpowrotnie utracone, a filozofowie starali się odkryć mozolną, wieloletnią pracą. Nie miałem pojęcia o świecie, ale umiałem to dostrzec – wystarczyło, że spojrzałem przelotnie na rozświetlony słońcem strumień.

Czasem dobrze radziłem sobie w społeczeństwie, umiałem grać o duże pieniądze i dominację (czasem też szło mi bardzo kiepsko). Lecz to wśród pól uprawnych, poprzesywanych koronką niepokornych strumieni i pasami lasów, na rozległych łąkach i w jasnych odludnych zakątkach nieodmiennie znajdowałem pocieszenie i siłę. Właśnie tam zawsze chciałem mieszkać, choć rzadko już bywam w takich miejscach, właśnie tam chciałbym umrzeć pewnego wspaniałego wietrznego dnia, takiego jak te, które kochałem w dzieciństwie.

Przez tę krótką godzinę spędzoną na tarasie Hasslera byłem na powrót tym samym mężczyzną co dawniej, a raczej chłopcem, zdolnym uknuć swój plan z ową szczególną, niezachwianą pewnością siebie, charakterystyczną dla tych, którzy wiedzą dokładnie, kim są, co kochają, gdzie byli i dokąd zmierzają.

Wiedziałem, co muszę zrobić, choć wciąż jeszcze nie miałem pojęcia jak, i podczas tej smutnej, spokojnej rzymskiej nocy, gdy siedziałem samotnie z butelką wody mineralnej, zacząłem sobie przekładać moje przyrodzone rozumienie świata na kategorie, które będą dla mnie zrozumiałe także wtedy, kiedy opuszczą mnie siła i równowaga ducha.

Jeśli uznać, że nieszkodliwe wybryki w rodzaju przewracania ekspresów do kawy, podrzucania myszy do zasobników z kawą w supermarketach A&P i odruchowego grzmocenia pięścią kelnerów i kelnerek przynoszących mi kawę w trakcie jedzenia nie są przestępstwem, to nigdy dotąd nie popełniłem zbrodni.

Zabójstwo, za które mnie skazano, było najzwyczajszą samoobroną, popełniłem je, bo nie miałem innego wyjścia. Gdyby nie to, że napastnik był Belgiem, a Hunowie zaczęli wojnę właśnie od najazdu na Belgię, zostałbym uniewinniony. Czy to, że sędzia był nieustannie pijany, nie stanowiło wystarczającej przesłanki unieważnienia procesu? To wymiar sprawiedliwości był winien, nie ja. Ja byłem tylko dzieckiem, bez powodu zaatakowanym przez opitego kawą dorosłego.

A wyłupiastooki? Postąpiłem z nim brutalnie, ale trudno to nazwać zbrodnią. Policja aresztowała mnie i Szweda, przetrzymała jakiś czas za kratkami, a potem wypuściła w środku nocy bez żadnych zarzutów i komentarzy. Wielu oficerów otrzymało potem pochwały za bohaterskie przywrócenie bezpieczeństwa publicznego. Nie musieli nawet tłumaczyć, dlaczego przyczyną śmierci snajpera było uduszenie: gdy policjanci przybyli w końcu na miejsce, strzelali do trupa przez całą minutę, faszrowali go ołowiem z zapalem odkrywcy, który wbija flagę na górskim szczycie lub na okolonej palmami plaży.

W moich kalkulacjach ważną rolę odgrywała specyfika nowojorskiej policji – bo, rzecz jasna, właśnie tam zamierzałem ograbić Stillman and Chase. Okolicznością sprzyjającą było to, że większość policjantów w Nowym Jorku miała bardzo sporadyczny kontakt z jakąkolwiek przestępczością. Byli to umundurowani biurokraci i karierowicze i prócz kilku świętych i bohaterów wypełniali swoje obowiązki w stopniu minimalnym, by tylko stworzyć pozór, że robią to, czego się od nich oczekuje.

Nie wiem, czy nauczyli się tego od innych miejskich biurokratów, czy gdzie indziej, czy też w jakiejś mglistej przeszłości – może jeszcze w epoce dinozaurów – wszyscy oni nauczyli się tego równocześnie. W każdym razie nowojorscy policjanci byli skorumpowani, nieskuteczni, niekompetentni, niezorientowani, nieświadomi, nie przybywali na wezwanie i stanowili prawdziwą śmietankę Nowego Jorku.

Te oskarżenia są już dostatecznie uzasadnione, gdy mowa o przestępczości ulicznej, zbrodniach z namiętności, nieprawidłowym parkowaniu i napadach z bronią w rękę, jeszcze bardziej zaś w przypadku przestępstw finansowych na wysokim szczeblu: w całej tej potężnej umundurowanej na niebiesko armii mało kto (o ile w ogóle ktokolwiek) odnosił się z szacunkiem do zasad i instytucji, które sprawiły, że Wall Street przeobraziła się w osobny świat, ewidentnie przekraczający ich zdolność pojmowania.

Co nowojorski detektyw z początku lat pięćdziesiątych mógł myśleć o nielegalnych transakcjach stelażowych czy arbitrażowych? Czy mógł traktować je inaczej niż wyuzdane perwersje seksualne? Nawet przy oczywistych naruszeniach prawa zwyciężało powszechne przekonanie, że elita finansowa i tak o sobie zadba. Policję miałem więc w zasadzie z głowy: nawet gdyby podjęła jakiegokolwiek kroki, miałem olbrzymie fory.

Jeśli chodzi o moralną stronę zagadnienia, nie trzeba się wysilać, by znaleźć uzasadnienie dla ograbienia banku inwestycyjnego, przynajmniej w tamtych czasach. Banki inwestycyjne były zamkniętą grupą niezwykle skutecznych karteli, które uciekły konkurencji i utrzymywały swą pozycję dzięki istnieniu niezliczonych przepisów prawnych i wyrafinowanych, niezgłębianych praktyk. Przepisy tworzyli mianowani i wybierani politycy, którzy albo byli przez te firmy opłacani, albo wkrótce mieli się w nich zatrudnić, przestrzegania praktyk pilnowała zaś rozległa sitwa kumpli i przekupnych urzędników średniego szczebla.

Na rynku papierów wartościowych Bank Federalny przyznał firmie Stillman and Chase

licencję na kradzież. Był to zamknięty system, który zabierał pieniądze milionom ludzi i oddawał je wąskiej klicy, nie dając tym milionom ani wyboru, ani korzyści. Gdy pracowałem jako goniec, nie mogłem się nadziwić, w jaki sposób handluje się akcjami. Makler przyjmował na przykład od nauczyciela czy mleczarza zlecenie zakupu stu udziałów firmy Kornishon International, po pięć dolarów każdy, i mówił: „dam panu znać pod koniec sesji, czy jestem w stanie kupić je za tę cenę”. Potem mógł poczekać, aż cena akcji spadnie do czterech dolarów, kupić je i sprzedać mleczarzowi za pięć. Albo kupić za pięć, poczekać, aż pójda w górę, sprzedać za sześć i powiedzieć mleczarzowi, że nie zdołał uzyskać oczekiwanej ceny. W obu przypadkach klient stanowił gwarancję dla interesów maklera. Widziałem takie machlojki tysiące razy. Stillman and Chase postępował tak stale, nie tylko z pieniędzmi mleczarzy, ale też z funduszami emerytalnymi, darowiznami, finansami miasta.

Wewnątrz organizacji wysokość wynagrodzenia nie wiązała się z zaangażowaniem w pracę, lecz z zajmowaną pozycją.

Urzednicy i gońcy zarabiali grosze, czasem ryzykowali życie, szefostwo natomiast szczyliło się tym, że jedno wypowiedziane w porę słowo mogło im przynieść miliardy dolarów i zapewnić fortunę w komisjach. Nie jest to może dokładnie ten sam przypadek, ale byli trochę jak owi złodzieje, którzy chwalą się, że potrafią jednym udanym skokiem ograbić człowieka z oszczędności całego życia. Jeśli ktoś uważa, że wspólnicy Stillman and Chase są bardziej godni potępienia niż zwykli złodzieje, mówię mu: nie sądź po czynach, lecz po nieuczciwości. Wartość rzeczy materialnych jest płynna, zmienia się, czasem znika, uczciwość zaś to właściwość stała – albo jest, albo jej nie ma.

Bank Stillman and Chase miał jeszcze jeden, wyjątkowo obrzydliwy zwyczaj, choć nie praktykował go w aż tak wyrafinowany sposób jak jego szwajcarskie odpowiedniki: przechowywał splamione krwią pieniądze tyranów i szejków. Był skarbcem dla okrutnych królestw nad Morza Arabskiego i południowoamerykańskich dyktatur, butnych, bitnych i bezwzględnych.

Mnie pieniądze nie były potrzebne, nie chciałem ich. Miałem ich w bród, ale nic dla mnie nie znaczyły. Tak naprawdę zależało mi tylko na jednym: wzniesieniu bariery, która oddzielałaby mnie od kawy. Nie miałem też obsesji na punkcie ograbienia Stillman and Chase. Nie sposób było ich usprawiedliwić, ale okradając ich, nie uczyniłbym świata ani lepszym, ani gorszym miejscem. Siedząc na tarasie swego apartamentu w Hasslerze i słuchając rzymskich sów pohukujących na spadające gwiazdy, postanowiłem, że ograbię swoją firmę po prostu dlatego, że istnieje, że będzie to słuszne, że w moim życiu zabłyśnie wtedy promyk słońca, że cnota jest swoją własną nagrodą, że *ars gratia artis* i że *excelsior timidus protectat*.

Podczas wojny szwajcarski minister spraw zagranicznych zaprotestował przed ambasadorem Stanów Zjednoczonych przeciwko naruszeniu neutralności swego kraju: amerykański samolot wojskowy wtargnął z północnego wschodu nad jego terytorium, przeleciał wzdłuż doliny Renu, po czym okrążył z niewielkiej odległości Matterhorn, i to nie raz, dwa czy trzy, ale sześć razy – kręcąc ósemki, pętle i beczki. Mieszkańcy Zermatt byli wstrząśnięci, kilka stad kóz na wiele dni przestało dawać mleko.

Jak myślicie, kto tak wystraszył szwajcarskie kozy? Oczywiście ja. Zrobiłem to, bo sądziłem, że zginę. Lecz gdy już to zrobiłem, nabrałem pewności, że jednak będę żył. Naruszając zasady, naruszyłem też inne rzeczy, między innymi zasłonę fałszu, która skrywała prawdę niczym burzowe chmury.

Gdyby świat był miejscem idealnym, naruszenie porządku zawsze byłoby złem – ale nie jest idealny, czasem więc trzeba pogwałcić reguły. Kto to uczyni, czuje, że żyje, uwalnia się, leci. Trzeba to jednak robić odpowiedzialnie, nie wolno krzywdzić niewinnych ludzi. Jeśli spełni się

ten warunek, wszystko działa jak powinno, przynajmniej póki nas nie złapią.

Wiem, że tak jest, i wierzę, że jest tak, ponieważ iskra występku pochodzi wprost z serca Boga.

Następnego ranka, choć przez większość nocy nie spałem, a miałem już pięćdziesiątkę na karku, byłem pełen energii. Poszedłem do recepcji krokiem pewnym i zuchwałym, takim samym jak przed laty, gdy chodziłem ulicami Rzymu jako lotnik. Moje plany nie były jeszcze przemyślane do końca, ale zamiar miałem jasny. Pozostawało jedynie znaleźć sposób, uknuć intrygę, a to, jak sądziłem, mogło być całkiem przyjemne. Może wystarczyłoby, żebym poszedł na przechadzkę po mieście, a wpadłby mi do głowy błyskotliwy plan? Bądź co bądź sam pomysł nasunęło mi przypadkowe spotkanie ze śpiewakami.

Mój bagaż posłano bezpośrednio do hotelu Georges V w Paryżu, do odjazdu pociągu byłem wolny. Zaplanowałem sobie podróż przez Frankfurt, nie przez San Remo – wiedziałem, że w chłodnym alpejskim powietrzu najlepiej się wyśpię. Zawsze tak robiłem: o siedemnastej wyjeżdżałem z Rzymu wagonem sypialnym, jadłem obiad w Mediolanie, przed nadejściem zmroku dojeżdżałem do podnóża ośnieżonych gór i zapadałem w głęboki, doskonały sen pod kocami z dziewiczej wełny, w powiewach lodowcowego powietrza wlewającego się przez otwarte okno.

Do Paryża miałem dotrzeć po południu. Potem prysznic i do samego zmroku spacer po mieście: czytanie „Le Monde” na ławce w Passy, przyglądanie się z rodzicielską radością dzieciom wychodzącym ze szkoły w błękitnych mundurkach, wizyta w Hermesie i zakup krawata pasującego do garnituru, który miałem potem odebrać u swojego krawca w Londynie. Być może, myślałem, spotkam w Paryżu kobietę, w której się zakocham – choć uważałem, że jestem już na to za stary, i czułem się tak póty, póki nie spadłem aż do Brazylii i nie odrodziłem się na nowo.

Za to wszystko pobierałem pensję i kwalifikowałem się do premii. Sama praca, gdy już naprawdę ją wykonywałem, polegała na spotykaniu się z politykami o przerośniętym ego, nieumiejącymi mówić o niczym innym niż o sobie i mającymi nie większe pojęcie o polityce i gospodarce swego kraju niż ślepy kurczak na prowincjonalnej farmie. Zarząd Stillman and Chase przedstawiał propozycje i liczby – ja byłem fachowcem, którego wysyłano w teren. Byłem im potrzebny do oszacowania ryzyka, co następnie przeliczało się na koszt kredytu. Miałem doskonałe osiągnięcia, nigdy się nie myliłem. Moja technika była prosta. Zgłębiałem podstawy, czytałem, ile się dało, gruntownie studiowałem historię i rozmawiałem z ludźmi, z którymi bankierzy inwestycyjni rozmawiają rzadko: drobnymi rolnikami, murarzami, studentami, policjantami, robotnikami, inżynierami, rybakami, dentystami i kobietami wieszającymi pranie. Z ich słów wyczytywałem nadzieje i rozmiar zepsucia, decydujące o tym, czy kraj się rozwija, czy nie.

Lubiłem swoją pracę, plan doprowadzenia Stillman and Chase do ruiny zamierzałem więc obmyślić bez pośpiechu. Byłem tylko człowiekiem, pozostawało mi prawdopodobnie jakieś piętnaście-dwadzieścia lat życia. Mogłem odejść na emeryturę, zamieszkać w East Hampton lub Palm Beach, zapuścić wielki brzuch, nosić okulary w rogowych oprawkach i cytrynowy blezer i w chłodnej piwnicy każdego z moich domów trzymać po pięćdziesiąt skrzynek laphroaig lub innej drogiej whisky. Widzę siebie, jak wtaczam się do Maidstone Club na nieproporcjonalnie chudych nogach, ze srebrnym grawerowanym obcinaczem do cygar dyndającym u paska, kijem golfowym w jednej ręce i najnowszym numerem „The Singapore Business Digest” w drugiej.

Wybawił mnie od tego – a raczej był narzędziem mego wybawienia – recepcjonista w Hasslerze. Wręczył mi rachunek. Oczywiście oddałem mu go, nie rzuciwszy nawet okiem.

– Wszystko na koszt firmy Stillman and Chase z Nowego Jorku – powiedziałem. W moim

głosie pobrzmiwała już pewność tego, co zamierzam im zrobić. – Mamy u państwa otwarty rachunek. – Oparłem się pokusie i nie dodałem: „a w naszych rękach jest przyszłość gospodarki pańskiego narodu”.

Wiedziałem, że coś tu nie gra, gdy przez twarz przemknął mu bolesny grymas, zrodzony z konfliktu między koniecznością zachowania uniżonej grzeczności a obowiązkiem wyciągnięcia ode mnie pieniędzy.

– Oczywiście, proszę pana – powiedział. – Rachunek za pokój zostanie opłacony bezpośrednio z Nowego Jorku, całą resztę jednak tym razem wpisano na pańskie konto.

– Moje konto?

– Tak, proszę pana.

– Moje osobiste konto?

– Tak, proszę pana.

– Nie mam u was osobistego konta.

– Otworzyliśmy je dla pana po otrzymaniu listownego polecenia od signora Pulpetta.

– Signora Pulpetta? Z Nowego Jorku?

– Tak, proszę pana.

Miał na myśli Gnoya Pulpetta, współnika zarządzającego w Stillman and Chase, złośliwego alkoholika, znanego lizusa, który wzenił się w przegniłą gałąź rodziny Edgarów, by nie rzec: w jej odbytnicę.

– Co było w tym liście?

– To, że powinien pan sam uregulować wszystkie rachunki prócz opłaty za pokój, proszę pana.

– A to kutas – powiedziałem. – Menda ze Scarsdale, która wzeniła się w odbytnicę.

– Tak jest, proszę pana. – Recepcjonista był Włochem, nie rozumiał aż tak obrazowej angielszczyzny.

– Za co są te dodatkowe rachunki? – dążyłem.

– Mogę wymienić, proszę pana – powiedział i odczytał całą listę ze wspaniałym północnowłoskim akcentem, starannie i niepoprawnie wymawiając każdą sylabę: – O-biad w kawiarni. Woda mi-ne-ral-na. Woda mi-ne-ral-na. Śniadanie. Rozmowa telefoniczna. Rozmowa telefoniczna. Rozmowa telefoniczna. Woda mi-ne-ral-na. Woda mi-ne-ral-na. Pistacje. Rozmowa telefoniczna. Pralnia. Woda mi-ne-ral-na. Rozmowa telefoniczna. Rozmowa telefoniczna. Rozmowa telefoniczna. Śniadanie. Rozmowa telefoniczna. Pistacje. Woda mi-ne-ral-na. Woda mi-ne-ral-na. Pistacje...

Jeszcze nigdy dotąd nie przedstawiono mi tak obiektywnego opisu moich zwyczajów. Potulnie zapłaciłem rachunek, który – jako że był to pięciogwiazdkowy hotel – przekroczył osiemset dolarów. Z początku wyglądało mi to na kolejny przejaw kretynstwa i nieudolności Gnoya Pulpetta, ale mógł to też być jeden z psikusów Edgara.

Jak to możliwe, zastanawiałem się. Czy Stillman and Chase był aż tak potężny, że przewidział decyzję, którą podjąłem tej nocy, i z samego rana ugodził mnie listem wysłanym tydzień wcześniej? Niemożliwe, musiała to być pomyłka lub przypadkowy zbieg okoliczności. Ale jakich okoliczności? Jedną było moje postanowienie, a drugą? Czy to możliwe, że czystym przypadkiem rozpoczęli bitwę dokładnie w tym samym momencie, gdy ja w najtajniejszych myślach zrobiłem to samo?

Wypełniłem zadanie w Europie, poleciałem z Londynu do Nowego Jorku i prosto z Idlewild pojechałem do firmy, gdzie wszystko na pozór wyglądało po staremu – póki nie dotarłem do swego biura. Mojej sekretarki nie było, podobnie jak jej stanowiska. W jej pokoju w

ogóle nie było już żadnych mebli ani nawet telefonu. Został tylko dywan.

– Gdzie jest pani Ludwig? – spytałem diabelsko atrakcyjnej dziewczyny z pokoju obok, absolwentki Bryn Mawr, która marnowała się, pomagając jednemu z większych firmowych bubków śledzić sprzedaż podgardli wieprzowych na chicagowskiej giełdzie towarowej, a mnie nienawidziła, bo kiedyś powiedziałem jej prosto z mostu, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu, ale nigdy nie znajdzie miłości, ponieważ pije kawę.

Poczuła się urażona – sądziła, że uważam, iż tylko kobiety nie powinny pić kawy. A ja uważam, że nikt nie powinien pić kawy. Obie płcie stają się przez to jednakowo obrzydliwe.

– Przeniesiono ją do działu obligacji komunalnych – wyjaśniła.

Nerwowym krokiem udałem się do działu obligacji i rzeczywiście zastałem tam panią Ludwig. Komenderowała młodszymi sekretarkami, okulary miała zawieszona na granatowym sznureczku niepasującym do sweterka.

– Co pani tu robi? – spytałem jak mąż, który zastał żonę w objęciach innego mężczyzny.

– Przeniesiono mnie – odpowiedziała. – Myślałam, że pan wie.

To było... zwykle kłamstwo.

– Kto panią przeniósł?

– Pan Pulpett.

– No cóż, zapytam pana Pulpetta – stwierdziłem.

Wiedziałem jednak, że jestem na przegranej pozycji. Żadna racjonalna (ani nawet irracjonalna) istota ludzka nie jest w stanie wygrać z biurokracją. Nawet gdy podbije się państwo biurokratów, i tak świetnie sobie radzą, bez wysiłku przemieszczając się między arteriami wojny a żyłami pokoju. Wielki biurokratyzm jest niezwycięzony. Tak czy owak, wtargnąłem do pokoju Gnoya Pulpetta, chwyciłem go za gardło i pchnąłem na wyłożoną boazerią ścianę. Czerwony z wściekłości potrząsałem jego wieprzowatym cielskiem i ryczałem chrapliwie jak aktor, który w bajkach dubbinguje potwory.

– Przeniosłeś panią Ludwig, nie pytając mnie o zdanie! – wrzasnąłem. – Pracuję w tej firmie od 1918 roku, a ty od 1951, parszywy mały czopku!

– Decyzję podjął komitet administracyjny – zaskomlał przedśmiertnie. – Jeśli chcesz się poskarżyć, rozmawiaj z panem Edgarem!

Wiedziałem, że to niemożliwe. Eugene B. Edgar był tak wiekowy, że nie rozmawiał z nikim prócz swych oszałamiających „pielęgniarek”. Właściwie tylko nieliczni umieli powiedzieć, czy jeszcze żyje, czy już umarł. To prawdziwa tragedia, że człowiek, który niegdyś wiedział prawie wszystko, doszedł do tego, że wszystko zapomniał. Ale wciąż jeszcze rządził. Rządził tak, że choć nie mógł już chodzić, przestał mówić i ledwo słyszał, wszyscy traktowali go jak księcia, nawet osoby, które go nienawidziły. Stu czy dwustu ludzi na świecie, którzy urodzili się w tym samym roku co on i dotąd nie pomarli, tkwili owinięci w pledy, traktowani jak chomiki. Ludzie omijali ich jak kłody gnijącego drewna. Lecz pan Edgar, choć fizycznie nie bardziej atrakcyjny niż rozjechana żaba po czterech miesiącach leżenia na szosie, przykuwał taką uwagę, że dziewczyna z Bryn Mawr nie miałaby przy nim szans, choćby nawet przyszła do pracy w sukni bez ramion i z tiarą we włosach.

Na miejsce pani Ludwig, jak się dowiedziałem, nie przyjęto jeszcze nikogo. Jej następczyni miała zostać zatrudniona, gdy tylko nadarzy się sposobność. Tłumacząc to na ludzki język: do końca mojej pracy w Stillman and Chase miałem być pozbawiony sekretarki.

Komitet administracyjny zrzucił też na mnie obowiązek pokrywania wydatków w podróży służbowych. Dowiedziałem się, że wprawdzie to zarządzenie jest przejawem ogólnej zmiany polityki w firmie, ale dotyczy wyłącznie mnie. Poczułem, że moja gwiazda zaczyna gasnąć.

Poszedłem do domu. Byłem bezsilny, samotny i spałem trzy dni.

Gdy się zbudziłem, byłem nie mniej bezsilny i samotny, ale też porządnie wypoczęty i znów pełen nadziei. Był piątek, czerwcowy wieczór, jeden z tych nowojorskich wieczorów, gdy powietrze jest słodkie, a światło miękkie. W blasku zachodzącego słońca całe szkło miasta zmieniło się w złoto. Bryza była łagodna jak we śnie, a gdy przybrała na sile, stała się ciepła i krzepiąca. Wiedziałem, że nie prześpię tej nocy, że będę patrzył, jak o brzasku ptaki zrywają się z wiatrem do lotu, że o piątej ujrzę, jak niebo powleka się błękitem.

W Stillman and Chase byłem skończony nie dlatego, że nie wykonywałem należycie swojej pracy – robiłem to aż za dobrze – tylko dlatego, że opuściła mnie Constance, a opuściła mnie z powodu kawy.

Moja kariera toczyła się gładko już wtedy, gdy sumiennie i kompetentnie wypełniałem swoje obowiązki, lecz z chwilą poznania Constance wystrzeliłem jak rakietą. Gdy tylko zaczęto mnie kojarzyć z jej olbrzymim bogactwem, sukces Ignął do mnie jak kocia sierść do dłoni. Bankierzy inwestycyjni śnią miliardowe sny – na zebraniach i przy obiedzie każdy chciał siedzieć obok mnie. W błyskawicznym tempie zbliżałem się do wewnętrznej koterii, która w coraz większym stopniu myślała za pana Edgara i z zawieruchy związanej z jego zgonem wyszłaby cało, z krwią na owłosionych łapskach i pieniędzmi w kieszeniach.

Przyjmowałem to obojętnie. Sukces w Stillman and Chase nie był mi potrzebny do szczęścia, mogłem bez trudu kupić lub otworzyć własny bank inwestycyjny. Zdawało mi się wtedy, że do końca życia będę stukał obcasami o podłogi z wypolerowanego marmuru. Lecz gdy przeprowadziliśmy z Constance separację, zostałem oddzielony od stada.

Po trzech dobach spania byłem głodny. Postanowiłem pójść na długi spacer i zjeść porządną kolację. Stanąwszy twarzą w twarz ze swoją nową sytuacją, poczułem się wręcz szczęśliwy – tak jak się jest szczęśliwym, gdy spłaci się dług, nawet jeśli zostaje się wtedy bez grosza.

Ubrany w khaki i biel wyszedłem w ten wspniany wieczór i ruszyłem na ukos przez park. Miałem nadzieję, że nie zobaczę Constance w trakcie jakichś kawowych tańców na łące, i na szczęście tak się nie stało. Ciepłe powietrze pełne zapachu kwiatów kłębiło się nad stawami i polanami. Nim dotarłem do Columbus Circle, maszerowałem już szybko, a gdy niespełna godzinę później wkroczyłem do restauracji, byłem gotów się zmierzyć ze swoim przeznaczeniem.

I zrobiłem to, choć nie wprost. W tamtych czasach nikt prócz hinduskich bożków i biochemików nie miał pojęcia, jak groźny jest tłuszcz, jadłem więc stosownie do tej niewiedzy. W Blue Mill zamawiało się dania z wypisanej kredą tablicy, którą kelner stawiał przy stoliku – tego wieczoru wchodziły w grę jedynie żeberka jagnięce. Nie miałem nic przeciwko żeberkom jagnięcym. Podawano je z chrupiącymi pieczonymi ziemniaczkami, sałatką polaną sosem z roqueforta, który (niemal dosłownie) przyprawiał o palpitację serca, i kieliszkiem santa maddaleny. Na wszelki wypadek zamówiłem dwie porcje, choć wiedziałem, że po kolacji i tak wyruszę w rozpustny rajd po cukierniach.

Na Hudson Street roіło się od zakochanych par – dziewcząt w letnich sukienkach i ich adoratorów w garniturach z whipcordu i granatowych krawatach. Był piątkowy wieczór, mieli przed sobą jeszcze sobotę i niedzielę, całe dwa dni na poprawienie błędów i zapomnienie o smutkach minionego tygodnia.

Przy pobliskim stoliku spostrzegłem bardzo piękną kobietę. Musiała przyjechać z Hamptons – świeża opalenizna nadawała jej dziewczęcej twarzy mocną, żywą barwę. Letnia sukienka odsłaniała przepyszne ramiona i różany dekolt w sposób, który paraliżował wszystkich mężczyzn naokoło. A ja dokonałem owego cudownie niepokojącego odkrycia, że choć przyszła z

kimś innym, spogląda na mnie.

Nigdy nie byłem specjalnie atrakcyjny, ale z jakiegoś powodu nieustannie wikłałem się w romanse – może dlatego, że potrafiłem tak mocno kochać. Marlise ma na ten temat inne zdanie. „Kobiety cię zakochują, bo kobiety zakochują stuknięte mężczyzny”, mówi. Tak czy owak, piękność z Hamptons zauroczyła mnie i do reszty zapomniałem o wszystkim prócz posiłku.

Ten przyjemny lot zakończył się twardym lądowaniem, gdy zdałem sobie sprawę, że obiekt mojego zauroczenia odczuwa wyraźny dyskomfort. Kobieta już nie patrzyła na mnie, przestała rozmawiać z narwanym studencikiem, który starał się dotrzymać jej towarzystwa przy kolacji, i rzucała lękliwe spojrzenia przez ramię, muskając przy tym nerwowo wspaniałe kasztanowe włosy.

Czujnie podążyłem wzrokiem w ślad za jej spojrzeniem i ujrzałem, że w odległym kącie toczy się jakaś awantura. Z początku w ogóle jej nie zauważałem, wkrótce jednak napięta, zadyszana, napędzana adrenaliną scysja wypełniła cały lokal. Wszyscy umilkli i znieruchomieli.

Wokół stolika, przy którym siedział samotny mężczyzna, zgromadziło się trzech kelnerów. Zwykły pijacek, pomyślałem. Ale sądząc po głosie, nie był pijany. Młody włóczęga, pomyślałem. Ale nosił się mniej więcej tak jak ja i wydawał się w podobnym wieku. Do tego, choć był tęższy i odrobinę niższy, mieliśmy identyczną karnację i podobne głosy, z tą tylko różnicą, że tamten miał ewidentnie jezuickie wykształcenie: sposób mówienia jezuitów ma niepowtarzalne tempo, intonację, rytm i ton, rozpoznawalne niczym styl tańczenia ze słynnej szkoły samby.

Jezuita toczył właśnie gorącą dysputę. Z kuchni wybiegła kelnerka, za nią jakiś mężczyzna – sądząc po cieniutkim wąsiku, właściciel lokalu. Kelnerka była ubrana tak jak jej koleżdy, tyle że pod fartuchem zamiast spodni miała spódnicę. Przez lewe ramię przewiesiła białą serwetę, tak jak to robią kelnerzy w Paryżu.

– Rzucił we mnie! – piszczała, urażona, zdumiona i przestraszona zarazem. Zabrzmiało to tak, jakby nad Bensonhurst nadlatywał pocisk raketowy. – Wyrwał mi z ręki i rzucił we mnie. Wezwijcie policję!

Na fartuchu miała wielką mokrą plamę. Czym w nią rzucił? Kieliszkiem wina? Szklanką coca-coli?

– Mógł mnie poparzyć na śmierć! Oszpecić! – krzyczała z coraz większą złością.

Usta miałem pełne jedzenia, ale przestałem przeżuwać. Spoglądałem na boki, choć sam nie wiedziałem, czego szukam.

Jezuita nie siedział sobie ot tak. Jezuici nigdy tak nie siedzą. Lewą rękę wyciągnął przed siebie i palcem pokazywał na kelnerkę, trzymając ramię blisko ciała niczym wojownik lub uliczny opryszek – gestem, którego nigdy nie widziałem u człowieka dobrze wychowanego i o prawidłowych skłonnościach.

– Ona – powiedział oskarżycielskim tonem, a jego słowa niosły się jezuicko przez całą salę – postawiła tu oto, na tym stoliku, przed moim nosem i to gdy jadłem, filiżankę gorącej kawy!

Podniosłem się z miejsca. Serweta spadła mi na podłogę.

– I co z tego? – spytał któryś z kelnerów.

Jezuita zerwał się z krzesła.

– Co z tego? A jakbyś się czuł, gdyby ktoś chlusnął ci w twarz strumieniem ścieków?

Kelnerzy zrobili krok do tyłu. Ja zrobiłem krok do przodu.

– Ta szatańska substancja – grzmiał jezuita – zgubiła Adama, zgubiła Ewę i od wieków nie jest niczym więcej, jak tylko oliwą diabła. Jeśli nie proszę was o to paskudztwo – ryknął – to, na Boga, nie stawiajcie go przede mną!

- Zapłacę za jego obiad – powiedziałem, podchodząc do jezuita, mówiłem jednak z pełnymi ustami, nikt więc mnie nie zrozumiał. Przełknąłem, omal się nie dławiąc, i powtórzyłem.
- Dlaczego? – spytał właściciel.
- Dlatego – odparłem powoli – że to mój brat.

Rzecz jasna, wcale nie był moim bratem. Nigdy nie miałem brata, byłem jedynakiem. Ale braterstwo ma przecież różne oblicza, najważniejsze jest zaś chyba owo braterstwo w klęsce, gdy dwóch ludzi nie zdoła osiągnąć jakiegoś szlachetnego celu i ta sama wszechpotężna siła zrzuca ich w dół. Wyszliśmy razem w noc, rozmyślając o walce ze wspólnym wrogiem.

Nie wiedzieć czemu jezuita wydawał mi się uderzająco znajomy, miałem wrażenie, że gdzieś już go spotkałem.

– Postawiła mi przed nosem filiżankę gorącej kawy – powiedział, nie mogąc się otrząsnąć ze zdumienia. – Choć wcale o to nie prosiłem. Powiedziała: „proszę, oto pańska kawa”.

– Zawsze tak robią – przyznałem.

– Wcale w nią nie rzuciłem, po prostu zepchnąłem filiżankę ze stolika, jak gdybym zrzucał węża, a ona akurat stała na drodze. A mogłem rzucić. Gdy czuję ten smród, robię się brutalny. Ta wstrętna breja opanowała cały świat – ciągnął. – Jest jak wirus z kosmosu wysłany na Ziemię, by spętać ludzkość, tyle że nie łańcuchami, a ziarnem. Czy wiesz, że gdy pracownicy zoo chcą wywołać wymioty u hipopotamów, wpychają im do paszcz garść ziaren kawy? Hipopotamy tak rzygają, że omal nie wywracają się na lewą stronę.

– Wiem o tym – odparłem. – Wszyscy o tym wiedzą, ale zapominają.

– Kawa powoduje, że wszyscy myślą tak samo. Nie umieją pojąć, jak ktoś mógł mieć odwagę powiedzieć im, że to niemoralne.

Gdy siadaliśmy na podmurówce przy rampie załadunkowej, stwierdził:

– Wiesz, że nic nie da się z tym zrobić, równie dobrze możesz od razu strzelić sobie w łeb. Potęga kawy jest zbyt wielka. – Spojrzał na mnie z ukosa. – Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali?

- Ja też mam takie wrażenie. Byłeś w wojsku? – spytałem.
- Aha.
- W lotnictwie?
- W oddziałach kolejowych.
- We Włoszech?
- W północnej Francji i Niemczech.
- Gdzie przechodziłeś szkolenie oficerskie?
- W szkole sierżantów.
- Studiowałeś na Harvardzie? – Naprawdę wydawał mi się znajomy. Twarz wykrzywiła mu się w niekontrolowanym grymasie obrzydzenia.
- A ty?
- Tak. Rocznik dwudziesty szósty.
- Dwudziestu sześciu dupków?
- Co proszę?
- Znałem bardzo wielu ludzi po Harvardzie – powiedział – i każdy z nich mocno się wyróżniał.
- Trzeba się wyróżniać, żeby się tam dostać – skwitowałem pompatycznie.
- Nie to miałem na myśli.
- Co więc twoim zdaniem ich wyróżniało?
- Każdy z nich uważał się za kogoś lepszego od innych.

I wiesz co? Trudno ich od siebie odróżnić. A jeśli już któryś naprawdę jest inny, to tym gorzej, bo to znaczy, że jest jeszcze gorszy niż reszta. Ludzie z Harvardu za młodu pokrywają się intelektualnym żelem, który potem, gdy idą przez życie, zastyga w szkło. Ich przemądrzałe dzieciaki oczywiście również idą na Harvard i sądzą, że są wyjątkowe, ale cykl płodzenia i prężenia mięśni zmienia ich w puste skorupy. Nienawidzę ludzi po Harvardzie jeszcze bardziej niż pilotów myśliwców, bankierów inwestycyjnych i innych aroganckich sukinsynów.

– Bardzo mi miło – powiedziałem i przedstawiłem się.

– Bardzo mi miło. Jestem Paolo Massina – odparł. – Cieszę się, że cię poznałem. Mam nadzieję, że będziesz dalej robił porządek z kawą, ale nie dane nam jest maszerować w jednym szeregu.

Podniósł się i ruszył przed siebie.

Poszedłem za nim, mówiąc po włosku, ale widać było, że nie rozumie ani słowa.

– Nie znasz włoskiego – stwierdziłem podejrzliwie.

– I co z tego?

– Nazywasz się Paolo Massina?

– Zmieniłem nazwisko ze względu na rodziców żony. I tak już im podpadłem, że nie jestem z Brooklynu. Padliby trupem, gdyby ich córka miała się nazywać Angelica Smedjebakken.

Zniknął za rogiem. Znałem go. Wiedziałem, że go znam, ale nie mogłem sobie przypomnieć skąd.

Kłęska ponoszona na raty w sprawach pozornie nieistotnych jest boleśniejsza, niż może się z początku wydawać, natura nie przynosi bowiem urzędnikowi bankowemu takiego ukojenia jak na przykład komuś, kto zlatuje z Niagary. Nie można liczyć na przyływ adrenaliny, gdy upada się na sam dół biurowej hierarchii (jak mnie zaczęło się to przytrafiać), próżno szukać pociechy w mistycyzmie, gdy mimo hossy na giełdzie nasze akcje spadają lub gdy pogryzie nas pies, a jego właściciel wymyśla nam, że musi mu teraz dać zastrzyk przeciwzęczowy. Z dnia na dzień, jak gdybym cierpiał na złośliwą chorobę skóry, coraz bardziej traciłem w oczach kolegów po fachu – z których, mógłbym dodać, każdy pijał kawę.

Miałem nadzieję, że odbiję się od dna na letnim bankiecie firmowym, niedługo wcześniej przeszedłem bowiem sam siebie, wykonując ruch, który w następnych latach mógł przynieść firmie miliardy dolarów.

Świat znacznie później dowiedział się o radziecko-egipskim sojuszu wojskowym, moja analiza komunikatów radiowych i posunięć dyplomatycznych wskazywała jednak, że został on zawarty już w okolicach maja. CIA nie miała o tym pojęcia, a jeśli miała, stosowna informacja zagubiła się w biurokratycznym labiryncie – tak czy owak, nie pisnęli nawet słowa.

Tymczasem na początku czerwca, tuż po moim powrocie do pracy, mimo że gnębiono mnie już i sekowano, uważnie śledziłem odpowiednie sygnały i wyciągnąłem z nich właściwe wnioski. Powinienem dodać, że w tej kwestii bardzo przysłużyli mi się nauczyciele języka arabskiego na Harvardzie, co do którego niedługo wcześniej zacząłem mieć poważne obawy, oraz sir Hamilton A.R. Gibb z Oksfordu.

Brzmi to pewnie nieźle, ale oznacza po prostu tyle, że przez parę lat tyrałem jak wół, jak osioł, jak koń roboczy, a gdy już powiesiłem na kołku absolutoryjną szatę, złożoną z czarnej togi z motywem białych drzew, obszytej szkarłatem peleryny i czterech pomponów z lisiego futra, byłem w stanie słuchać radia nadawanego po arabsku. Następnie, zamiast spędzić kolejne sześć lat na kolejnej wyższej uczelni, nająłem rosyjskiego imigranta, by monitorował rozgłośnie radzieckie.

Już wcześniej pojawiały się oznaki, że coś wisi w powietrzu, zelektryzowało nas też wstąpienie na scenę polityczną Nasera, gdy więc wyjeżdżałem za granicę, moi podwładni – z wyjątkiem pani Ludwig – gromadzili nagrania, zapisy, notatki oraz dane z egipskich portów lotniczych.

Dzięki temu dowiedzieliśmy się, że Egipt przyjął wiele oficjalnych wizyt radzieckich oficjeli. Były to loty cywilne, ale – jak zdradziło nam brytyjskie MI5 – głównie z lotnisk wojskowych. Przez trzy dni jak w psychozie wsłuchiwałem się w majowe wiadomości z Egiptu. Dało się w nich zauważyć, podobnie jak w audycjach radzieckich, wyraźną zmianę. Polegała ona przede wszystkim na tym, że Egipcjanie nagle stali się zrelaksowani i triumfalni, jak gdyby właśnie połknęli kanarka i w tajemnicy rozkoszowali się smakiem pozostałym na języku.

Niezwłocznie udałem się do ledwie żywego ciała pana Edgara i oznajmiłem, że wedle moich szacunków Egipt zdecydowanym krokiem maszeruje w stronę obozu radzieckiego. Edgar uwierzył mi na słowo – może dlatego że do tej pory nie myliłem się w takich sprawach, a może dlatego że był z natury hazardzistą (lecz dobrze poinformowanym hazardzistą) – i nakazał generalny odwrót.

Postanowiliśmy, że Kompania Kanału Sueskiego, złożona w całości ze spółek z anglo-egipskim i egipsko-amerykańskim kapitałem, a także pewne kategorie inwestycji na całym Bliskim Wschodzie, zwłaszcza w mniej stabilnych krajach, otrzymają rekomendację negatywną. Pomału zaczęliśmy się pozbywać wszystkiego, co mieliśmy w tamtym regionie, i wyprzedawać akcje i obligacje firm, od których zależała jego stabilność. Fundusze przenieśliśmy do innych rejonów, zamierzając je w ten sposób wzmocnić – na przykład do konserwatywnych szejkanatów, które, jak się domyślałem, często wzbogacają się na takiej ucieczce kapitału. Dzięki tej nowej polityce zaczęliśmy otrzymywać potężne zastrzyki złota jako zabezpieczenie pożyczek oraz w ramach wsparcia dla transgranicznych inwestycji między bogacącymi się królestwami znad Zatoki Perskiej.

Rezultaty miały się wprowadzić stać widoczne dopiero po kilku latach, mimo wszystko jednak uważałem te posunięcia za trafione i koniec końców okazało się, że przewidziałem wszystko co do joty. Moje odkrycia i analizy wydawały się przekonujące na długo przed faktem i stanowiły wówczas główną siłę napędową firmy.

Letni bankiet odbywał się w Sleepy Hollow Country Club. Trudno sobie doprawdy wyobrazić, jak wspinały jest świat, póki nie stanie się na rozległych trawnikach tego ośrodka i nie obejmie wzrokiem otaczających go okolic – widok ten krzepi serce bardziej niż wszystko, co widziałem w życiu. Wiele bym dał, żeby znów znaleźć się na tamtych wzgórzach przed 1918 rokiem, gdy jako młody chłopiec przekradałem się przez teren sąsiedniej posiadłości i z każdym krokiem wykuwałem swój obecny charakter. Tuż obok, u stóp wzgórza, znajdowała się bowiem moja szkoła, a w oddali, w zakolu Croton Bay, prawie było widać mój dom.

O zmroku skończyliśmy popijać szkocką i poszliśmy na kolację. Tego wieczoru bardzo łatwo było mnie zranić, właśnie dlatego że z przeszłości dobiegło mnie echo dawno minionych zdarzeń, a niedalekie światła wciągały mnie w przyjemny mrok wspomnień.

Wewnątrz lśniły kandelabry, stoły zastawiono jak na zgromadzenie królów. Przyjechałem samotnie pociągiem, przeszedłem pieszo przez włoskie ogrody. Nie mówiłem nikomu, że znam pobliską posiadłość Vanderlip i że tuż obok chodziłem do szkoły. Przechodząc obok niej, na dziedzińcu czegoś, co nazywaliśmy Szkółką, zobaczyłem mniej więcej siedmioletniego chłopca o piaskowych włosach. Wyglądał jak ja w jego wieku i z przyczyn, których nigdy nie poznam, zdawał się dźwigać na swych barkach ciężar całego świata. Puściłem do niego oko i uśmiechnąłem się. Odwrócił wzrok. Zdawało mi się, że w jego oczach ujrzałem odbicie mojej własnej historii. A potem poszedł swoją drogą.

U szczytu stołu na tle gzymsu kominka siedział pan Edgar. Jakikolwiek obraz wisiał wcześniej nad kominkiem, zastąpiono go naturalnych rozmiarów portretem Edgara z sali obrad zarządu, przedstawiającym go w mundurze – i kapeluszu – komandora. Cóż to był za kapelusz! Na sam jego widok poprawił mi się humor.

Wszyscy prócz mnie przyjechali limuzynami i wszyscy prócz mnie byli już wstawieni. Ja wciąż czułem na sobie zapach lasu, przez który przeszedłem. Byłem zadowolony, choć nikt nie chciał ze mną rozmawiać, a niektórzy nawet odwracali ode mnie wzrok – wiedziałem, że i tak jestem zwycięzcą. Ta pewność była moją nagrodą, moją tarczą, moim berłem. To, że nie umiem się pogodzić z kawową większością, nie miało znaczenia. W głębi ducha czułem spokój. Mogli mnie nie lubić, ale musieli przyjąć do wiadomości, że trafiłem w dziesiątkę.

Podano kolację. Nie brałem udziału w pogawędkach, ale ponieważ nie częstowano kawą, postanowiłem, że zostanę przy stole jako czarna owca. Ilekroć poczułem ukłucie bólu, przypominałem sobie, że w tym momencie to moja strategia napędza firmę.

Najpierw zaserwowano nam kawior białugi w zmrożonych srebrno-szklanych miseczkach. Zdawało mi się, że moja porcja jest wyraźnie mniejsza niż u sąsiadów przy stole, ale nie protestowałem. Nie przejąłem się też zbytnio, że ich kawior jest czarny, a mój czerwony – i tak uważam, że kawior jest mocno przeceniany. Potem wjechały gigantyczne krewetki, długie na osiem cali, ważące po pół funta, złowione w Zatoce Meksykańskiej specjalnie na bankiet Stillman and Chase i przywiezione wycarterowanym samolotem. Moje z jakiegoś powodu były malutkie. Miały też inny kolor – były matoworóżowe, a nie jak reszta w odcieniu marynowanej papryki. Pocieszałem się myślą, że skoro są mniejsze, pewnie będą smaczniejsze, mimo wszystko jednak odczuwałem lekki niepokój. Właściwie to zaczynałem już wpadać w panikę.

– Z radością ogłaszam – obwieścił pan Edgar z zaskakującą żywością jak na kogoś, kto już prawie się nie odzywał – że zjemy dziś steki przyrządzone dokładnie tak, jak niedawno przyrządził mi je w Białym Domu mój przyjaciel Dwight David Eisenhower!

Salę wypełniły ogólne ochy i achy. Co za rozkosz! Dziś już rozumiemy, że tłuszcz to paskudna rzecz, wtedy jednak mięso było jednym z cudów Pax Americana, nagrodą za podbicie świata. Było rzeczą powszechnie wiadomą, przynajmniej wśród elity biznesowej, że prezydent, bądź co bądź pochodzący z Kansas, ma swój ulubiony sposób przyrządzania steków. Brał wielki poćć najlepszej starzonej wołowiny, który kucharze w Stillman and Chase nazywali eisenhowerowskim, i rzucał go wprost na czyste gorące węgle. Wszystko, co dziś staramy się z mięsa wytopić, pozostawało zamknięte w środku, mięso piekło się zarówno od żaru, jak i wskutek wewnętrznego wrzenia. Choć zaczynałem już wtedy być nieco pulchny, oczekiwałem tego dania z wielką przyjemnością.

Kelnerki w azbestowych rękawicach (uch! och!) wносиły na salę niebezpiecznie gorące talerze o złotych brzeżkach i stawiały przed wdzięcznymi biesiadnikami. Na każdym spoczywała wielka sztuka aromatycznej wołowiny, skwiercząca niczym głośnik taniej krótkofalówki. Gdy zbliżała się moja kolej, czułem, że cieknie mi ślinka. Kelner – Cygan łudzaco podobny do Gilberta Rolanda – postawił przede mną talerz z dość pospolitej porcelany, może nawet z plastiku.

Zamrugalem. Pomyślałem, że może wypilem za dużo szkockiej.

– Kelner! – zawołałem. – Co to jest?!

– Zdaje się, że koszerne indyczy odbył – powiedział. Głos drżał mu z przestachu, ale przynajmniej mówił prawdę.

– Nawet nie jest upieczony – stwierdziłem.

– Jest zamarynowany w sosie grillowym, proszę pana.

– Zaraz, chwileczkę. Nie jadam koszerne. Mogę jeść steki. Proszę to zabrać i przynieść

mi stek.

– Obawiam się, że wszystkie porcje steku już podano, proszę pana. Czy życzy pan sobie porcję amerykańskiego sera? Mogę przynieść cały blok.

– Nie! Chcę steku, jak wszyscy!

Obawiam się, że w moim głosie spod gniewu przebijała desperacja, niemal rozpacz. Spojrzałem na pana Edgara, którego szczęki obracały gigantyczny kęs mięsa. Gdy tylko zaczął jeść, wszyscy dołączyli do niego jak na komendę, pomrukując z zachwytem.

Rozejrzałem się dokoła. Gnoy Pulpett siedział obok dziewczyny z Bryn Mawr i wpychał jej rękę pod sukienkę, która miała bardzo głęboki dekolt i działała na mnie odstręczająco, a zarazem budziła wściekłe pożądanie.

– Panie Edgar – powiedziałem, śmiejąc się jak idiota – panie Edgar, proszę spojrzeć: podano mi indyczy odbyt w sosie grillowym!

Pan Edgar wzruszył ramionami, jak gdyby mówił: „i co z tego?”. Od powrotu z Rzymu nienawidziłem go bardziej, niż mógłby to sobie wyobrazić ktokolwiek z siedzących przy stole – wiedziałem, że któregoś dnia go zabiję.

A potem, jak to często bywa, gdy ponosi się srogą klęskę, dołożyłem się do własnego upokorzenia. Słabym, łamiącym się głosem zapytałem:

– Czy ktoś chciałby się ze mną podzielić swoim stekiem w zamian za kawałek kosztownego indyczego odbytu?

Oczywiście wszyscy jak jeden mąż wybuchli śmiechem. A to był dopiero początek.

Mój upadek zaaranżowano tak błyskotliwie, że wspominam to z niejaką sympatią, mimo że wówczas nie było mi do śmiechu. Nigdy nie udało mi się odkryć, kto za tym stał ani czy nie była to jednak seria niewinnych zbiegów okoliczności, wyolbrzymiona moim stanem psychicznym. Ale nie, to niemożliwe. Moja degradacja miała zbyt złożony przebieg, nie mogła być przypadkowa.

Do tej pory miałem w swym biurze Rembrandta wypożyczonego ze zbiorów Edgara w Metropolitan. Pod osłoną nocy podmieniono go na Dürera. Nie przeszkadzało mi to: uważam, że Dürer był pod wieloma względami większym wizjonerem, choć jego warsztat, jakkolwiek wielki, nie dorównywał warsztatowi mistrza. Po tygodniu jednak on także zniknął, zastąpiony przez Moneta. Uznałem, że jeśli ktoś stara mi się coś zakomunikować, robi to z niesamowitą subtelnością. Rzeczywiście tak było. Następnego dnia Monet także zniknął, na jego miejscu pojawił się Vuillard. Nie był to wówczas malarz tak ceniony jak dziś, ale bardzo go lubiłem. Nie ulegało jednak wątpliwości, że coś jest nie tak.

Niebawem Vuillard został zastąpiony przez Bonnarda. Potem pojawił się Duffy (właśnie Duffy, nie Dufy), po nim Chamade, a wreszcie, po kilku innych malarzach, których nie umiałem rozpoznać, obraz Brooklyn Bridge na tle z czarnego aksamitu. Zażądałem, by usunięto go z mego pokoju, i gdy nazajutrz przyszedłem do biura, zastałem na ścianie tanią ramę z szyby i płyty pilśniowej, a w niej czarno-białą fotografię panoramicznego wagonu kolejowego wyciętą z reklamy w „The Saturday Evening Post”. Zdjęcie było poszarpane na brzegach.

Rośliny również stawały się coraz nędzniejsze. Z początku co dzień w gabinecie czekał na mnie starannie ułożony bukiet ulubionych kwiatów – w Stillman and Chase każdy starszy wspólnik podawał w kwestionariuszu, jakie lubi kwiaty, wina, *hors d'oeuvres* i desery – potem zaś ich miejsce zajęła wyjątkowo piękna pelargonja o dwudziestu kwiatach. Nim zdążyła przekwitnąć, zabrano ją, a pojawiła się owinięta w folię doniczka ze stokrotkami. Nie lubię stokrotek, nigdy nie lubiłem, lecz zatęskniłem za nimi, gdy przyniesiono mi pojemnik z mchem. Mech jednak przynajmniej ładnie pachnie i jest cudownie zielony, po nim dostałem porostnicę,

którą trudno już nazwać rośliną, bo wygląda jak gnijąca bibuła.

Mimo wszystko była to jednak roślina, a ponieważ postanowiłem nie odsłaniać ran, zasnuwałem wargi, nie puszczałem pary z ust i gryzłem się w język. Tymczasem któregoś ranka wszedłem do mego pokoju i ujrzałem dziewczynę z Bryn Mawr – miła niespodzianka! – nachyloną nad podłużną donicą obitą mosiądzem.

– Czy to nie śliczne? – Odsunęła się na bok, bym mógł lepiej widzieć.

Zadrżałem ze zgrozy. Była to korzeniówka.

– Co to jest? – spytała. – Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Jak to możliwe, że roślina jest biała?

– Przynieś narzędzie do kopania – rozkazałem.

– Co to jest narzędzie do kopania?

– Szpadel.

– Nie mam szpadla.

– Znajdź coś! – poleciłem.

Wróciła po paru minutach.

– Co masz?

– Swoją łyżeczkę do kawy.

– Wyparz ją, proszę.

– Wyparzyć?

– Tak.

– Jest czysta.

– Proszę cię.

Gdy wróciła z wyparzoną łyżeczką, zacząłem kopać w ziemi wypełniającej korytko.

– Korzeniówka nie zawiera chlorofilu – powiedziałem głucho. – Czerpie pokarm nie ze słońca, tylko ze śmierci.

Nie odpowiedziała. Po chwili wrzasnęła i chwyciła się za pierś: wygrzebałem głowę kota.

– Co to?!

– Kot – odparłem – po dwóch miesiącach leżenia w wilgotnej ziemi. Proszę, zwracam łyżeczkę.

– Nie chcę!

– Dlaczego?

– Jak mogłabym włożyć ją do kawy po tym, jak dotknęła rozkładającej się czaszki tego...
oooch!

– Myślę – stwierdziłem – że twojej kawie by to pochlebiało.

Nie zrozumiała, co mam na myśli, i sądząc, że ją obraziłem, wybiegła z pokoju.

Dopiero wówczas, może pod wpływem stresu, spostrzegłem, że moje biurko i krzesło się kurczą. Z dnia na dzień stawały się coraz mniejsze, tak że po kilku miesiącach siedziałem z kolanami wciśniętymi pod szkolny stoliczek dla pierwszaków z wrytym serduszkami i napisem: „Jimmy & Buffy”.

Przy obiedzie nikt się do mnie nie przysiadł, może dlatego, że nikt nie lubił zapachu taniej makreli, którą codziennie podawano mi z tej samej piętnastofuntowej puszki. Nie mogłem też znaleźć partnera do squasha. Na szczęście w squasha można grać w pojedynkę. Lecz gdy potem szedłem się wykapać, z mojego prysznicza nagle przestawała lecieć woda. Przechodziłem pod kolejne stanowiska, których było dziesięć, ale nic to nie dawało, choćbym nie wiem, ile razy i jak szybko to robił. W rezultacie przywykłem do wkładania ubrań na namydłone ciało. Z początku nie jest to nawet złe, ale po paru godzinach ubranie przykleja się do skóry i poskrzypuje podczas chodzenia.

Wszystko to dość mocno mnie przygnębiało. Mimo wszystko, choć błdziłem we mgle cierpienia i zwątpienia, jakoś się trzymałem, nawet gdy oznajmiono mi, że mój gabinet zostanie przebudowany, a mnie przenoszą do maleńkiej klitki bez okna. Dozorca, który był sympatycznym jegomościem, spytał, czy może zostawiać w niej swoje mopy i wiadra. Gdy zapytałem dlaczego, powiedział, że zawsze je tam trzymał.

Cóż, teraz mogłem przynajmniej wyglądać na otwartą przestrzeń biura, gdzie stały kwiaty i wisiały pięknie oświetlone portrety. Pewnego razu jednak przyszedł szef ochrony przeciwpożarowej i oznajmił, że drzwi muszą być zamykane.

– W porządku – powiedziałem ledwie słyszalnym głosem i zamknąłem je.

Było mi ciężko. Naprawdę ciężko. Siedziałem samotnie w schowku na miotły, z gołą żarówką wiszącą nad głową, z kolanami wciśniętymi pod maleńkie szkolne biurczko. Żarówka działała chyba na ukrytym reostacie: z dnia na dzień coraz bardziej przygasiała, siedziałem więc całymi godzinami w tym zmierzchu bogów, póki nie zgasła zupełnie.

Praca, przy której wyęczałem wzrok, sprowadzała się teraz do żmudnych ćwiczeń. W normalnych okolicznościach pewnie czytałbym wszystko, co mi wpadło w ręce, na przykład o Boliwii, śledziłem wiadomości radiowe, rozmawiał z ekspertami z rządu i uniwersytetów, a potem, nasyciwszy się wiedzą, wyruszyłem z jucznym mułem na wędrowkę wokół jeziora Titicaca.

Mogłem bez zmruczenia oka lecieć do Tokio, przemierzyć góry Argentyny lub siedzieć przez tydzień w tanim hotelu w Algierze, chłonąc wszelkie drobne informacje pozwalające nie gorzej od ogólnych wskaźników określić równowagę sił w kraju, który za chwilę ma wystrzelić do przodu. Bywało to bardzo ekscytujące, czasem nawet niebezpieczne. We wrogich krajach często brano mnie mylnie za agenta amerykańskiego wywiadu (bądź co bądź robiłem dokładnie to samo), w sojuszniczych zaś niekiedy podejrzewano, że planuję zbrodnię.

Teraz, w mojej półmroczej, a w końcu zupełnie ciemnej pakamerze zajmowałem się układaniem słownika terminów finansowych w języku tagalskim. Jeśli dany termin nie istniał, musiałem go wymyślić. W tym celu musiałem przynajmniej odrobinę poznać język ogólny, dlatego przez kilka miesięcy, nim w mej dusznej klitce zapadła zupełna ciemność, ślęczałem nad książką z ćwiczeniami, robiłem je raz po raz, aż straciłem rozeznanie, czy jestem jeszcze normalny, czy może już zwariowałem, czy jest dzień, czy noc. Wiele razy okazywało się, że jest już północ lub druga czy trzecia w nocy i wszyscy już dawno wyszli. Byłem zupełnie niezdolny do śledzenia upływu czasu, bez reszty pochłonięto mnie wkuwanie zdań w rodzaju: *Nagkakaubo ako* (Mam kaszel), *Ang aso atpusa ay mga bayop* (Pies i kot to zwierzęta), *Magtakip ka ng panyo sa mukha* (Zakryj twarz chusteczką) oraz użytecznymi ze względów politycznych narzędziami analizy, na przykład tagalskiej wersji: „sto lat, sto lat niech żyje, żyje nam”:

*Malagayang bati
Sa inyong pagsilang
Maligaya, Maligayang
Maligayang bati!*

Nie mogłem się od tej przyśpiewki uwolnić. Śpiewałem ją w swoim schowku godzinami, aż zaczęło mi się roić, że jestem wielkim mosiężnym gongiem – podobnym do tego z czołówki filmów J. Arthura Ranka – przez który przepływa ciemność i puls wyjątkowo niemiłego i rozczarowującego wszechświata. Śpiewałem też w domu, a nawet w metrze, dzięki czemu nigdy nie miałem trudności ze znalezieniem miejsca do siedzenia.

Mimo wszystko wciąż nie odchodziłem z firmy. Postanowiłem, że wytrzymam, póki mnie

nie wyniosą, i wytrzymałem, jak buldog, oddychając pomału przez zbity, upokorzony nos.

W końcu mnie wynieśli – nie na zewnątrz, tylko na dół, w samo wnętrze ziemi, dziesięć pięter poniżej parteru naszego potężnego, zajmującego cały kwartał biurowca, do kamiennego sarkofagu ze zbrojonego, grubego na pięć stóp betonu, obmywanego wodami pradawnych podziemnych rzek.

Gdy kłębiące się we mnie rozterki zaczęły się odbijać na moim wyglądzie, zesłano mnie do pograżonych w niemal zupełnej ciszy, niezmiennie stabilnych podziemi, do siedliska śmierci, absolutnie bezpiecznego i wyzutego z życia. Wciąż pomału oddychając, wylądowałem w najbardziej beznamiętnym miejscu na świecie: skarbcu ze złotem.

– Przenosimy cię do nadzoru – usłyszałem.

Oczywiście byłem zdezorientowany. Nie śmiałem spytać, czy to oznacza, że utraciłem swoje współnictwo, ale tak właśnie było: wiceprezes do spraw nadzoru to dość poślednie stanowisko. Tytuł wiceprezesa nadawano szefowi straży jedynie po to, by poprawić samopoczucie potentatów, którzy powierzali jego pieczy swoje złoto. Sądziło się, że będzie bezpieczne pod opieką tego wstrętnego, megalomańskiego brutala nazywanego się Wolf Brutus. Nienawidziłem, gdy wynurzał się ze swoich jaskiń i przychodził do jadalni zarządu, byłem bardzo rad, gdy w końcu awansowano mnie do najściślejszego szefostwa i mogłem jadać w mniejszej, urządzonej ze znacznie większym przepychem sali z grotianem.

– Nie mam ochoty szefować Wolfowi – powiedziałem. – Przecież wiecie, że go nie znoszę.

– Nie będziesz mu szefował.

– Kto go zastąpi?

– Nikt.

– Odszedł?

– Nie. To ty będziesz pracował dla niego. Ale niebezpośrednio. Twoim przełożonym będzie Sherman Oscovitz.

– O nie, o nie, o mój Boże! – zawołałem, i właśnie wtedy mnie znieśli: nie byłem w stanie chodzić.

Sherman Oscovitz był szefem ekipy opiekującej się złotem. Był to człowiek bardzo miły, ale matoł. Pracował w firmie jeszcze dłużej niż ja, jego zadaniem było pilnowanie rotacji złota i przenoszenie go z klatki do klatki, zgodnie z przepływem środków między rachunkami. Zawsze nosił niebieski laboratoryjny fartuch, a jego żółknące rude włosy okalały kopułową łusą głowę, symetryczną niczym Panteon.

I on, i wszyscy jego pracownicy mieli na koncie zatargi z prawem. Gdy pracował dla jednego z dużych banków komercyjnych, przyłapano go na tym, że podnajmuje małe pokoiki, w których najemcy skrytek odcinali kupony. Innych przyłapywano na zaglądaniu do skrytek klientów, podawaniu kolegom przez telefon uniwersalnego szyfru otwierającego depozyty lub obstawianiu zakładów z pomieszczeń banku – drobiazgach, na które pan Edgar w swej błyskotliwości przymykał oko.

Oscovitz i jego ekipa poparzyli się więc, próbując podkraść parę krewetek z grilla, i teraz byli godni zaufania jak eunuchowie w haremie. I tak samo egzotyczni. Sam Oscovitz, czy to wskutek choroby, diety, czy wrodzonych skłonności, miewał istic królewskie wzdęcia. Byłyby one trudne do zniesienia nawet w normalnych okolicznościach, a w bankowym skarbcu dziesięć pięter pod ziemią... Owszem, mieliśmy wentylację, ale nie aż tak wydajną.

„Protegowanym” Shermana Oscovitza był zwalisty akromegaliczny olbrzym, który wyglądał jak powiększona szesnastokrotnie i upieczona w cegielnianym piecu Marlene Dietrich.

To on śpiewnym tonem pouczył mnie, jak obchodzić się ze sztabkami złota: nie wolno było ich upuścić ani zadrapać paznokciem i zawsze trzeba było nosić białe bawełniane rękawiczki.

– Dlaczego?

– W zetknięciu z tłuszczem ludzkiego ciała złoto zaczyna gnić.

– To niedorzeczne – powiedziałem. – Złoto jest chemicznie obojętne, nie może zgnić.

Chyba że pocisz się rtęcią. .

– Mylisz się. Widziałem, jak gnije. Potem musimy je wyrzucać.

– Wyrzucacie złoto?

– Tak.

– Wyrzucacie złoto.

– No, i to w sporych ilościach.

– Gdzie je wyrzucacie?

– Do śmietnika.

– Poza skarbcem?

– Tak.

– Co się z tym potem dzieje?

– Z czym?

– Ze śmieciami.

– Zabierają je śmieciarze.

– Wiedzą, co w nich jest?

– Tak, ale nie zależy im na zgniłym złocie. Wszystko im wyjaśniliśmy. Kiedy zgnije, jest nic niewarte. Narzekają tylko, że jest ciężkie.

– Od jak dawna to robicie?

– Niby co?

– Wyrzucacie zgniłe złoto.

– Trzy, może cztery lata. Kiedyś się to nie zdarzało, ale od końca wojny dostajemy sporo złota kiepskiej jakości.

– Ile sztabek tygodniowo wyrzucacie?

– To zależy. Czasem sześć, czasem dwie, czasem dziesięć.

– Następnym razem, gdy wpadnie wam w ręce zgniłe złoto – powiedziałem – dajcie je mnie. Śmieciarze nie będą już musieli go wywozić.

– Nie mogę tego zrobić.

– Dlaczego?

– Sherman mówi, że zgniłe złoto trzeba wyrzucać do śmieci. Gdyby wydostało się na zewnątrz, ktoś mógłby pomyśleć, że ma wartość. Wiesz, jacy są ludzie, kiedy chodzi o złoto. Ale nie my!

– O nie, nie wy!

– I ty też! – powiedział z uśmiechem, dźgając mnie palcem w pierś. – Ty też tu teraz pracujesz!

Gdy pierwszy raz zostałem zamknięty w schowku ze złotem – należało do Argentyny – czułem się bardzo źle. Sherman kazał mi poobrać to argentyńskie złoto i policzyć. Musiałem poprzekładać tysiące sztabek.

Przy śledzeniu rotacji złota posługiwaliśmy się kartkami papieru i czymś, co Sherman nazywał systemem „zmiennych oznaczeń”. Jeśli w danym schowku było na przykład o trzydzieści pięć sztabek mniej niż powinno, Sherman brał ołówki, stawiał na kartce trzydzieści pięć kresek i to było wszystko. Nigdy nie zawracał sobie głowy przenoszeniem sztabek z jednego schowka do drugiego, bo i tak nikt nie przychodził tego sprawdzić. Gdyby nawet przyszedł,

Sherman poprzekładałby parę sztabek z miejsca na miejsce i nikt nie zauważyłby różnicy. Groźnie zrobiliby się wtedy, gdyby wszystkie kraje postanowiły sprawdzić swoje zasoby równocześnie, ale nie robiono tego nawet pojedynczo.

Najbardziej zdumiewało mnie nawet nie to, że w skarbcu brakowało prawie tysiąca dwudziestosiedmioletnich sztabek złota, ale że brakowało ich bynajmniej nie z powodu kradzieży – półgłówki z obsługi po prostu beztrudno je wyrzucili. Według dzisiejszych cen złota na śmietnik poszło blisko trzysta pięćdziesiąt milionów dolarów.

Przyznam się uczciwie, obiektywnie i bez uprzedzeń, że w owym czasie byłem chyba obłąkany. No ale właśnie o to mnie przecież posądzano, zapewne więc robiłem to, czego się po mnie spodziewano. Po paru tygodniach przekładania złotych sztabek byłem w doskonałej kondycji, praca przestała mnie męczyć. Poszedłem na rozmowę do Shermana Oscovitza głównie z poczucia odpowiedzialności.

– Sherman – rzuciłem – przyszedłem z tobą pogadać o zgniłym złocie.

– O! – rzekł. – Znalazłeś zgniłą sztabkę?

– Nie, przyszedłem ci powiedzieć, że złoto nie gnije. Nigdy.

– Oczywiście, że gnije.

– Nie, mylisz się. Nie gnije.

– To ty się mylisz, Dave – odparł. (Nie mam na imię Dave). – Ciągłe znajdujemy zgniłe sztabki.

– Nie, Sherman. Złoto nie może zgnieć. Może zmatowieć, jeśli wystawi się je na działanie pewnych odczynników, ale tylko na powierzchni. W środku nie może zgnieć.

– Nie?

– Nie. Nie może.

– My uważamy, że może. Dlatego je wyrzucamy – Wiem, że tak uważacie. Rozumiem. Powiedz mi, co według ciebie oznacza gnienie.

– To nie myśmy winni, że gnije. – Potrząsnął łysą kopułą. – Jeśli w stercie jabłek znajdzie się jedno zgniłe, zagną gnienie pozostałe.

– Wiem, że nie gnije przez was, Sherman. Pytam, skąd wiesz, że jest zgniłe.

– To widać.

– Ale co właściwie widać?

– Zgniłe złoto.

– Co to jest zgniłe złoto?

– Złoto, które zgniło.

– Hm... – zastanawiałem się przez chwilę. – Powiedz mi, jak ono wygląda.

– Nie błyszczy się.

Czekałem, aż powie coś więcej, ale się nie doczekałem.

– I tyle?

– Ile? – spytał, szykując się, by coś policzyć na palcach.

– Nie błyszczy się?

– Co się nie błyszczy?

– Zgniłe złoto.

– Tak jest, Dave. Właśnie po tym widać, że jest zgniłe. – Przewrócił oczyma, jak gdyby chciał stwierdzić: „co za idiota!”.

– A więc chcesz powiedzieć, że złoto jest zgniłe, jeśli się nie błyszczy.

– Nareszcie zaczynasz kojarzyć. Ale to, że się nie błyszczy, nie jest przyczyną. Nie wiemy, czemu gnije.

– Sherman.

- Tak?
- Macie tu cholernie dużo zgnitego złota, prawda?
- Prawda.
- Czemu nie składujecie go na przykład w przedziale czterdziestym ósmym? Jest pusty.

Może to by pomogło.

– Nie mógłbym tego zrobić – odparł. – Jak tylko widzę zgniłą sztabkę, wyrzucam ją. Nie chcę, by to się pleniło.

- Wkładaj je do worka.
- Do worka na śmieci?
- Tak, do worka na śmieci.
- Żartujesz? Wiesz, jak drogie są worki?

Poddałem się. Przez jakiś czas próbowałem gonić śmieciarki, ale dałem sobie spokój. Staralem się, ale byłem fizycznie niezdolny do biegu za załadowaną śmieciarką aż do samej bazy. Ładunek zsypywano na barkę na Hudsonie, potem złoto wracało do morza, tam, skąd przyszło – czy mogłem się temu sprzeciwić?

Jeśli mogę powiedzieć, że czegoś naprawdę nienawidzę, to siedzenia w czterech ścianach podczas pięknej pogody. Nawet gdy jest zimno lub szaleje burza, wolę chodzić piechotą przez wzgórza i lasy, przemierzać słoneczne polany, na których nigdy nie stanęła ludzka stopa, a jeśli nawet, to ledwie przez parę chwil. Nigdy nie bywałem szczęśliwszy niż nad czystym jeziorem czy strumieniem lub na szczycie góry w Nowej Anglii, gdy słońce połyskuje na zadbanych polach i dachach cichych miasteczek.

Już z tego tylko powodu, pomijając nawet udrękę, jaką była praca dla idioty, zaczęło mi odbijać. Kiedyś rzadko bywałem w biurze, a jeśli już, mogłem otworzyć okno – teraz otaczały mnie lite skały. Na górze szalały burze, zamiecie, huragany, mijały dni pogodne i pochmurne, a myśmy nie mieli o tym pojęcia. Zimą w ogóle nie widziałem światła dnia: gdy schodziłem na dół, było jeszcze ciemno, wychodziłem po zmroku. Oscovitz miał nad biurkiem kalendarz ze zdjęciem krowy na górskiej łące w Szwajcarii. Głębia, przestrzeń i kolory tego widoczku były tak piękne, że ilekroć na niego spojrzałem, myślałem sobie: Po co ja żyję? Co ja tu robię?

W dzieciństwie lubiłem się bawić klockami, teraz była to moja praca, pod ziemią, w świetle, które nigdy się nie zmieniało, nawet nie zamigotało. Przekładaliśmy złoto, by zachowało świeżość. Jeśli sztabka zbyt długo pozostawała na spodzie sterty, bez dostępu do powietrza, mogła ulec rozkładowi.

Na wypadek upuszczenia dwudziestosiedmifuntowej sztabki nasze buty były powleczone magnezowym pancierzem, oczywiście nosiliśmy też białe rękawiczki, żeby chronić złoto przed żrącym ludzkim tłuszczem. Sztabki miały siedem cali długości, około trzech i pół cala szerokości i jeden i trzy czwarte cala wysokości. Te odlewane w Ameryce były prostokątne, europejskie trapezoidalne. Niektóre były stuprocentowo czyste, złote jak włosy bajkowej księżniczki, inne czerwonawe, z miedzianym odcieniem, jeszcze inne białe, zanieczyszczone platyną i srebrem. Nie miałem nic przeciwko przekładaniu sztabek, złoto nie przestawało mnie zdumiewać swą gęstością i jednolitością. To, że było warte olbrzymie pieniądze, może zaciemniało mój punkt widzenia, ale i tak zachwycała mnie jego czystość, rzadkość występowania, gładkość i niepodatność na zepsucie. Złoto było pierwiastkiem, najszlachetniejszym w całym układzie okresowym, a ja miałem wokół siebie tysiące ton, wewnątrz murów, które wyglądały jak ściany samych niebios.

Niebawem odkryłem, że najbardziej uderzającą różnicą między mną a matołami ze skarbcza jest to, że oni nie zadają pytań. Nie interesowało ich, jak działa świat, jakie są przyczyny

wydarzeń, jak rzeczy mają się do siebie nawzajem.

Moje pytania przyjmowali z wrogością, bo nie potrafili na nie odpowiedzieć, moją ciekawość odbierali więc jako próbę podjudzania. To prawda, że absolutnie każde z moich pytań służyło uzyskaniu informacji niezbędnych do rabunku, ale kto by o tym nie myślał w takich okolicznościach? Trzeba być wyjątkowo otepiałym lub zahukanym strachajłą, żeby siedząc w zamknięciu z największym bogactwem tego świata – żyjąc nim, oddychając nim, jak w grobie – nie pomyśleć choć przez chwilę o ukradzeniu go. Matoły przeznaczały dla mnie spojrzenie pełne urażonej niewinności, jak gdyby w samych moich pytaniach było coś niemoralnego.

Tymczasem w tysiącach ton złota, jakie nas otaczały, nie było ani jednej uncji, którą wydarto by z ziemi w sposób moralny. Ani go moralnie nie wydobywano, ani nie kupowano, ani nie sprzedawano, ani nie gromadzono, ani nie przyjmowano. Sherman Oscovitz mieszkał w jednopokojowym mieszkanku na Brooklyn Heights, bez lodówki i toalety. Jadał w tanich barach po drodze do pracy i do domu i choć wydawał pieniądze jedynie na hot dogi, kiszoną kapustę i maślankę, a ubierał się w garnitur tak tani, że miałem ochotę zedrzeć mu go z ciała, rozszarpać, spalić, a popiół wrzucić do kwasu siarkowego, oszczędności starczyłoby mu najwyżej na kupienie nart wodnych lub na trzy noce w tanim hotelu w Antwerpii.

Całą swą dyscyplinę i ubóstwo oddawał na służbę złotu będącemu własnością szejków, którzy mieli niewolników, i południowoamerykańskich dyktatorów rozmiłowanych w skórzanych butach, pasach i ładownicach. Po co mu była ta uczciwość? Co dzięki niej osiągnął?

Mnie interesowało tylko to, jak działa układ elektryczny i procedury bezpieczeństwa, jak głęboka jest skała, jaką architekturę ma skarbiec, jak księgowane są zasoby, i inne intelektualne kwestie związane z moim środowiskiem pracy, lecz gdybym nie przestał się o to dopytywać, wyrzucono by mnie, przeistoczyłem się więc w niemego obserwatora.

Nie było szans wynieść złota na górę. Nie dało się go przemycić, każda osoba wchodząca do skarbcza musiała bowiem stanąć na wadze o dokładności jednej tysięcznej uncji. Dokładną wilgotność powietrza odnotowywano w pizogramie Gretzla, a następnie wraz z masą ciała, charakterystyką metabolizmu i budowy tkankowej każdego pracownika trafiała ona do algorytmu wyliczanego w niewielkim gabinecie tuż za drzwiami skarbcza. Firma wiedziała dokładnie, ile kto traci wskutek pocenia się, nie wolno nam było wysmarkiwać nosa ani spluwać, a jeśli po wyjściu ważyło się więcej niż przed wejściem, zaglądano nam do środka fluoroskopem i sprawdzano nasze otwory.

Można było, rzecz jasna, zostawić w środku jakiś fragment ciała, ale nie dałoby się tego ukryć. Zresztą ilu ludzi byłoby gotowych oddać kawałek własnego organizmu za obiad w Mamma Leone czy kaszmirowy płaszcz?

Cerber, który nas ważył, korzystał z osobnego wejścia, nikt nie wiedział, gdzie mieszka, a po zamknięciu skarbcza pędził do domu samochodem z przyciemnionymi szybami. Z nikim nigdy nie zamienił słowa, był nieprzekupny, a jego bladość, zacięty wyraz twarzy i ogólne zaniedbanie świadczyły o tym, że złapanie złodzieja jest jego jedyną ambicją – był oddany i lojalny jak opat dominikanów. Lecz czy można go winić, że pozwalał matołom wnosić zgniłe złoto i wyrzucać je do śmietnika? On też był przekonany, że złoto gnieje. Wy byście tak nie myśleli? Sam w końcu zacząłem się nad tym zastanawiać, ale gdy pokazałem Shermanowi parę sztabek, stwierdził, że są idealnie zdrowe.

Sforsowanie wejścia do skarbcza było możliwe, ale nie dla mnie. Potrzebowałbym do tego zdyscyplinowanej stu pięćdziesięcioosobowej armii, a nigdy nie byłem zdolny znaleźć nawet jednego sprzymierzeńca. Stalowe wrota ważyły dziewiętnaście ton, osadzono je w stuczterdziestotonowej framudze. Były stożkowate i szczelne, a gdy się je zamknęło, nawet wojsko nie byłoby w stanie ich otworzyć.

Wydrążenie tunelu również odpadało. By przekopać się przez dziesięciopiętrową warstwę manhattańskich łupków, trzeba by wszcząć tak potężną inwestycję budowlaną, że dla jej sfinansowania Stillman and Chase musiałyby wypuścić serię obligacji.

Pomyśleli o wszystkim. Zacząłem nawet podejrzewać, że Sherman i jego pomocnicy zostali poddani lobotomii. Zawsze byli tacy mili! Tacy sympatyczni! W Nowym Jorku nikt się tak nie zachowywał, chyba że miał odcięte płyty czołowe mózgu lub szykował się, by nas okraść z całego majątku.

Dzień za dniem przenosząc sztabki, czekałem na znak, ale żaden znak nie nadchodził. Tkwiłem pogrzebany w krystalicznym, migotliwym składowisku bogactwa, będącym zarazem fizyczną metaforą niemożliwości. Zdawało mi się, że żaden plan nie sprosta niezliczonym środkom bezpieczeństwa, jakie podjęli projektanci skarbcza. Chyba żeby natchnęła go boża iskra występku.

I gdy tak czekałem, dotarło do mnie, że ta iskra może nigdy nie zostać skrzesana i że mogę skończyć jak Oscovitz. Parędziesiąt lat później (czyli teraz) najbardziej ekscytującym doświadczeniem mego życia mógł być spacer po promenadzie na Coney Island i rozmowa z tłustą wdową, która przysiadłaby się do mnie na ławce i zaczęła opowiadać o frytkach. Zadyszany i rozplómienny wróciłbym metrem do domu, drżąc z zachwytu i pożądania, wspomnienie tej chwili podniecałoby mnie do końca życia. Głęboko w złotym skarbcu rozpamiętywałbym ten nieco pochmurny czerwcowy dzień, gdy rozmawiałem z wdową o frytkach i zerkałem jej w dekolt. Półboski stan, jaki osiągnąłem po drodze do domu, jaśniejac niczym drucik w żarówce, stałby się moją prywatną legendą. I ilekroć słyszałbym pod podłogą skarbcza stłumiony rumor dobiegający z tunelu metra, byłbym... byłbym...

To było to! Poskoczyłem do góry jak rażony prądem kot. Siedziałem wtedy w tylnej części przedziału siedemdziesiąt jeden, odpoczywając po przeniesieniu ciężkiego ładunku. Wszystko momentalnie ułożyło mi się w całość. Szwed z komunikacji miejskiej, który zajmował się konserwacją torów, i znajomo wyglądający wróg kawy z Blue Mill – w rzeczywistości jeden i ten sam Smedjebakken. I ja, siedzący głęboko pod ziemią wśród złota należącego do krwawych szejków. Mój lęk, że mogę się zmienić w Oscovitza. Wizja schyłku życia w samotnym pokoiku w nieskończonych czeluściach Brooklynu. Odwaga Smedjebakkena na dachu. Jego nienawiść do kawy. Łoskot metra pod podłogą skarbcza.

Obrabowanie takiej instytucji jak Stillman and Chase musiało się wiązać z ryzykiem, ale fiasko mych rabunkowych planów równało się śmierci, nie musiałem się więc długo bić z myślami. Przy odrobinie szczęścia i z bożą pomocą, która w razie potrzeby nadchodzi czasem w ilościach hurtowych, Smedjebakken i ja byliśmy w stanie zrujnować tych aroganckich, opitych kawą łajdaków i to tak, że nim się zorientują, będziemy już na drugim końcu świata, w czystym, cichym kraju, gdzie kawa jest zupełnie nieznaną.

ZATRUTY SZAMPANEM

Jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, odłóżcie przeczytane kartki do mrówkoszczelnej kasety.

Znalazłem Smedjebakkena w Astorii, mieszkał tam pod pseudonimem, jako Massina. Jego żona była do bólu praktyczna, skupiona na karierze. Gdy stanęła w progu ich skromnego szeregowego domu, wyglądała jak prawniczka z Wall Street: miała na sobie kostium, apaszkę i broszę, wszystko najwyższej jakości. Domyślałem się, że właśnie przyjechała z Manhattanu z aktówką z florenckiej skóry wypełnioną prawniczymi dokumentami. Myliłem się, ale to się okazało dopiero później.

– Słucham pana – zagadnęła.

Była poważna w sposób nieosiągalny dla swego męża. On urodził się po to, by toczyć mityczny bój, którego mu jednak odmówiono, wszystkie siły oszczędzał na chwilę, która mogła nigdy nie nadejść. Ona z kolei wydawała się stworzona do zadań w tym gorszym świecie, który w nim nie wzbudzał zainteresowania.

– Szukam Smedjebakkena – powiedziałem.

Wyraz jej twarzy zmienił się natychmiast. Słyszając prawdziwe nazwisko męża, uznała pewnie, że jestem kimś z jego przeszłych czasów, być może zdolnym do rozbudzenia jego wikińskiej wrażliwości.

– Jest za domem – powiedziała chłodniejszym tonem. – Horowitz kupuje fortepian.

– Co proszę?

– Dziś wieczorem Vladimir Horowitz kupuje fortepian. Wybrał sobie dwa i będzie grał najpierw na jednym, potem na drugim, póki się nie zdecyduje. To się zdarza kilka razy w tygodniu, ale nieczęsto mamy samego Horowitza.

– Kupuje fortepian od was?

Spojrzała na mnie jak na idiotę.

– Od Steinwaya – powiedziała. – Studio testowe wychodzi na nasze podwórze. Mamy widok nieco z góry, a oni zawsze, z wyjątkiem późnej jesieni i zimy, otwierają francuskie okna.

– Ojej – powiedziałem. – Jaka szkoda, że zimą was to omija.

– Nie omija – odparła. Widziałem, że zaczyna wyrabiać sobie fatalną opinię na mój temat.

– Zimą Paolo siedzi w studiu. Ma tam swój stolik i krzeselko ogrodowe. Pije herbatę, gryzie suchary i słucha tak jak latem.

– Cóż za przywilej... co za szczęście tak mieszkać... to zdumiewające... – bełkotałem. Straciłem trzeci punkt.

– Można to nazwać przywilejem – powiedziała zimno – ale oni mu płacą.

– Kto mu płacą? – spytałem.

Minus cztery punkty.

– Kto mu płacą?

– Płaci, płaci!

– Steinway.

– Dlaczego?

– Z biegiem lat artyści zaczęli brać sobie do serca jego opinie. Są przesądni pod tym względem, nie kupią fortepianu, jeśli Paolo nie pomoże im wybrać. Ma dobry słuch. Zaczęło się od Toscaniniego: gdy zobaczył mojego męża w ogrodzie, siedzącego na podwyższeniu, sądził, że to ktoś w rodzaju arbitra.

– Toscanini? – spytałem.

– Arturo Toscanini – powtórzyła i dodała wyjaśniająco: – Taki muzyk.
– Ależ tak, oczywiście, Toscanini, to nadzwyczajne!
– Jemu się wydaje, że Paolo to Włoch, który zapomniał, jak się mówi. „Wszystkie władze umysłowe uciekły ci do ucha – powiedział – i jest to przepiękne ucho. *Bellissimo!*”

Usłyszałem muzykę dobiegającą z wnętrza domu. Skinąłem w tym kierunku i spytałem:

– Mozart?

Niestety, nieumyślnie skierowałem palec na stojące w korytarzu popiersie Beethovena. Angelica zaczęła tracić cierpliwość.

– Nie, Beethoven – powiedziała i zaprowadziła mnie za dom.

– Proszę się nie odzywać, póki pan Horowitz nie skończy i nie wyjdzie – rozkazała. – Chyba że pana o coś zapyta, rzecz jasna.

Skinąłem głową. Zaprowadziła mnie na taras całkowicie ukryty w cieniu potężnej bryły fabryki Steinwaya. Mury były zbudowane z prastarej, intensywnie czerwonej cegły, oplecione bluszczem oraz płataniną drabinek przeciwpożarowych i klamer od okiennic, starego brązowego żelaza, które – podobnie jak stare drewno – działa krzepiąco nie dzięki swemu wyglądowi, lecz dzięki temu, co widziało. Od dawna już tkwiło spokojnie na swoim miejscu, podczas gdy wszystkie rzeczy, które dziś wyprowadzają mnie z równowagi, przepływały obok i to nie raz i nie dwa, ale setki razy. Fabryka była cierpliwą platformą dla grubego śniegu zimowych zawiei, pochłaniaczem dla żaru sierpniowego słońca, boiskiem dla dziesięciu tysięcy zadumanych wiewiórek w szarych flanelowych garniturkach, treliązem dla bluszczu, glicynii oraz kwiatów, które kwitły już wtedy, gdy moi rodzice byli jeszcze narzeczonymi.

W tej ramie z masywnych cegieł i mocnego żelaza tkwiły szeregi okien z nierównego szkła, przez które sączyło się światło i dźwięk. Mimo późnej pory fabryka pracowała pełną parą – wiele fortepianów zostało zniszczonych przez wojnę, fabryki w Europie leżały w gruzach, a dzieci żołnierzy, którzy wrócili z frontu, osiągnęły już odpowiedni wiek, by pobierać pierwsze lekcje muzyki.

Nigdy dotąd nie słyszałem tyle stukotania, tylu kamertonów, tylu uderzeń knypli – stanowiących osobne dzieła sztuki – które głuchym *basso profundo* zbijają drewniane kadłuby fortepianów. O tym zaś, jak różniły się poszczególne instrumenty, decydowały nie tyle kaprysy samej techniki wykonania, ile przypadki, które z biegiem lat przytrafiały się drewnu, gdy rosło jeszcze w dalekich lasach, oraz różnice w jakości rud metali, u zarania będących płynnymi rozżarzonymi rzekami, lecz ostygłych na długo nim pojawiły się chmury i narodziły się morza.

W cieniu tego wszystkiego siedział niemłody już Vladimir Horowitz i grał jak szatan, zatracony w muzyce, niebaczny na upływ czasu – o którym zresztą każdy litościwie zapomniał. Cóż to były za piękne kadencje! Wybuchwały wśród nocy niczym ogromne białe fale, które podczas sztormu wdzierają się na brzeg. Odbierały powietrzu całą ciemność późnego wrzesniowego wieczoru i przepięknie wypełniały wszelkie puste miejsca istniejące po to, by poddawać duszę próbie zwątpienia.

Smedjebakken wyglądał jak trup. Nie dość, że się nie ruszał, miał otwarte usta, szeroko rozwarte oczy i sztywne ciało, to jeszcze widziałem, że dusza uleciała z niego (naturalnie na uwięzi) w jakąś nieodległą eteryczną przestrzeń, niczym balon meteorologiczny. Zdawało się, że magia muzyki wprawiła wszystkie jego władze psychiczne w oczyszczający odśrodkowy ruch. Mimo oczywistych związków z tańcem muzyka to emblemat bezruchu, bo gdy jest naprawdę wielka, wstrzymuje czas i zamyka go w swym niewidzialnym uścisku. Sam doświadczyłem tego wielokrotnie – teraz zaś miałem przed sobą korpulentnego inżyniera na tarasie swego domu w Astorii, na tyłach fabryki Steinwaya, który wyznawał dokładnie tę samą religię.

Byłem jednak w szoku, bo okazał się narkomanem. Na stoliku ujrzałem przekłete akcesoria: talerzyk z sucharami (jako aperitif), filiżankę z obrzydliwymi resztkami listków na dnie, a pośrodku, jawnie i bezwstydnie, stał dzbanek z herbatą.

W dawnych latach, gdy jeszcze mało wiedziałem o świecie i młodzieńcza nierozwaga popychała mnie czasem do czynów rozwiązłych, zdarzyło mi się przeprowadzić eksperyment z herbatą. Pewnego styczniowego wieczoru w restauracji Harvey's nad Niagarą byłem tak zmarznięty i wyczerpany, że zanurzyłem torebkę z herbatą w gorącej wodzie co najmniej sześciokrotnie i wypilem.

Cóż za wizji wtedy doświadczyłem! Jakiej ekstazy, jakiej równowagi ducha! Umiałem dostrzec gołym okiem powstawanie barw, poruszały się jak ogień, tyle że bardziej miarowo. Pszczoły ponoć również to widzą, widziałem więc tak samo jak pszczoła. Patrzyłem, jak padający śnieg przyćmiewa światła Buffalo, i czułem, jak wzbierają we mnie wszystkie wspomnienia, jak gdyby głęboka, uśpiona dotąd rzeka przebiła się przez krajobraz teraźniejszości i odnalazła miejsce, z którego wzięła początek.

Zaiste potężna była to substancja, ale jak każdy narkotyk zwodnicza i niebezpieczna. Potem przez dwa tygodnie leżałem i jęczałem w najtańszym motelu w Buffalo, z całej duszy pragnąłem się zabić, nie miałem jednak do tego odwagi ani nawet siły, by wyjść z pokoju. Taka była cena za mechaniczną ekstazę – a jeśli nie, był nią rachunek za dwa tygodnie mieszkania w Buffalo.

Gdy zapaliły się światła, zdałem sobie sprawę, że muzyka ucichła. Horowitz podparł lewą ręką głowę i powiedział ze śmiertelną powagą na twarzy:

– Klnę się na swoje życie, Paolo, nie umiem zdecydować, który jest lepszy. Oba brzmią jednakowo.

Smedjebakken się nie poruszył.

– Który wybrać, Paolo? Pomóż mi.

– Hmmm... – odezwał się Smedjebakken. – Hmmm... Vladimir... Sądzę... Sądzę... Sądzę, że ten po prawej ma w sobie tę wspaniałość tonu, której szukasz.

– Ten?

– Nie, ten jest po lewej. Ten po mojej lewej dla ciebie jest po prawej. Artyści! – rzucił w moją stronę, po raz pierwszy zauważając moją obecność, choć wciąż jeszcze nie wiedział, kim jestem. – Dźwięczność tego po prawej – ciągnął, zwracając się wyłącznie do Horowitza – mógłbym porównać do claret w opozycji do beaujolais. Tobie potrzebny jest, zwłaszcza do grania Mozarta, dźwięk jak dzwon, tłumiony omal niezauważalną mgiełką interferencji, rozpoczynającą się z uderzeniem każdej nuty i unoszącą się potem niczym subtelne echo.

– Ale co z Beethovenem?

– Beethoven? Beethoven wydaje się... mniej czysty, okrągłejszy, nie tak metaliczny. Ten fortepian jest idealny dla obszaru, na którym Mozart spotyka się z Beethovenem. Gdy grasz któregoś z nich, powstaje magiczny krąg, w którym właśnie chciałbyś się znaleźć. Musisz ich leciutko przyciągać ku sobie nawzajem. Obaj są jak dwubiegunowa gwiazda: żeby zagrać każdego z nich w sposób absolutnie doskonały, musisz wytłumić ich indywidualne skłonności i ciężyc w stronę centrum.

– Bravo! – powiedział Horowitz, posłał Smedjebakkenowi pocałunek, ukłonił się i dał znak pracownikom Steinwaya, że wybiera instrument po swojej lewej ręce.

Nim zniknął w rozjarzonym wnętrzu fabryki, zmierzając zapewne do limuzyny, powiedział:

– Dziękuję, Paolo. Do zobaczenia następnym razem.

Pracownik Steinwaya zamknął za nim drzwi takim ruchem, jakim tłusta kobieta gładzi się

po piersiach. Przyprowadził wózek, przymocował go do trójkątnego podwyższenia, na którym stał wybrany przez Horowitza fortepian, a następnie wytoczył ze studia, gasząc za sobą światło.

– Z Horowiczem tak zawsze – odezwał się do mnie Smedjebakken. – Płaci gotówką i od razu zabiera towar.

– Jak często to robisz? – spytałem.

– Średnio parę razy w tygodniu. Płacą mi za to.

– Wiem. Twoja żona mi powiedziała. Dobrze ci płacą?

– Tyle, ile wynosi moja pensja w transporcie, choć mógłbym to robić za darmo.

– To niesamowite.

– To jedyne, co mogę dać swojej córce.

– Czyli co?

– Muzykę.

– Tak, muzykę... – powtórzyłem, bardzo mgliście orientując się, co ma na myśli.

– Pewnego dnia – ciągnął – powstanie technologia, która pozwoli nagrać muzykę w sposób idealny, nieodróżnialny od brzmienia w sali koncertowej, technologia, o której dziś nikomu się nawet nie śni... Wtedy będzie mogła słuchać wszystkiego, czego zechce i kiedy zechce. Właśnie na to odkładam pieniądze.

Nie śmiałem prosić o dokładniejsze wyjaśnienia, bo to wyznanie w niewytłumaczalny sposób go poruszyło, oczy zaślniły mu w świetle płynącym z górnych pięter fabryki. Uznałem, że lepiej zmienić temat.

– Też trochę grywam – powiedziałem. – Może nie najlepiej, ale na tyle dobrze, że umiem docenić kogoś, kto naprawdę wie, co robi, i zrozumieć, że Mozart był posłańcem Boga. I pewnie wiedział o tym od kołyski. Ciągłe mówi się o Freudzie, Marksie, Einsteinie. Moim zdaniem z nich trzech tylko Einstein był naprawdę wielki, ale nawet jego przyćmiewa Mozart: uważam, że to najwybitniejszy człowiek, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi.

– Tak – powiedział Smedjebakken. – Nie był wielki jak baseballista czy ktoś w tym rodzaju, jego wielkości nie da się opisać.

Po dłuższej, niezręcznej chwili, gdy niepodobna było cokolwiek powiedzieć, bo należałoby powiedzieć tak wiele, Smedjebakken popatrzył na mnie.

– Ty jesteś tym facetem z restauracji.

– I z dachu – dodałem.

– Tak, z dachu! I od kawy.

– Nienawidzę jej – przyznałem, spoglądając na jego herbatę.

– Wejdźmy do środka – rzucił. – Robi się zimno. Usiądziemy przy stole w kuchni.

– Pijasz herbatę?

– Wejdź do środka, wszystko ci wyjaśnię.

– Nie pojmuję, czemu ktoś na tyle rozumny, że wie, czym jest kawa, pozwala sobie na picie herbaty – stwierdziłem.

Smedjebakken nachylił się nad stołem, sięgnął ręką do lampy. Gdy przekreślił włącznik, kuchnia wypełniła się ciepłym światłem, a jego twarz zaślniła jak dynia. Spojrzał na mnie przebiegle.

– Nie jestem doskonały – odparł.

– Ale żeby narkotyzować się we własnym domu, na oczach rodziny...?

– Rodzina mi wybaczyła.

– Czemu tego nie rzucisz?

– W miarę upływu lat – powiedział – odkrywam, że nie jestem już tak sprawny jak za młodu. Wtedy mogłem nie spać przez kilka nocy, pracować do utraty sił, a po krótkiej drzemce

zacząć od nowa. Zdawało mi się, że moje zasoby siły i energii są niewyczerpane. Nie mam już kondycji, żeby nawet oglądać szesnaście orgazmów dziennie, nie mówiąc o tym, by je osiągnąć. Moje obecne ja, choć mądrzejsze, pod względem cielesnym należy już niemal do innego gatunku. Dawniej niespożyta witalność wpływała deformująco na moje poglądy. Czy można się temu dziwić? Zdawało mi się, że wszystko jest możliwe, a czas płynie z litościwą powolnością. Dziś trudno w to uwierzyć, ale pragnąłem wręcz, by płynął szybciej. Potrafiłem do rana słuchać muzyki, a potem przez cały dzień układać tory. Ale młodość minęła, uciekła jak tchórz pod naporem odpowiedzialności – ciągnął. – Już dawno osiągnąłem wiek średni, potrzebuję więcej siły, niż jej mam. Nie wiedziałem co robić, jak sobie z tym poradzić. Potrzebowałem energii na dwa życia.

– I sięgnąłeś po sztuczną substancję.

– Tak! – Zerwał się i wybiegł z kuchni.

Sądziłem, że aż tak bardzo się zawstydził, on jednak po chwili wrócił z książką w rękę. Trzasnął nią o stół tak mocno, że aż podskoczyłem.

– *Rośliny narkotyczne* Williama Embodena – przeczytał z podnieceniem. Potem zaczął pospiesznie kartkować, aż znalazł ustęp, którego szukał. – „W Tybecie zmęczonym koniom i mułom daje się do picia duże naczynia z herbatą, by zwiększyć ich zdolność do pracy. Napojone herbatą muły podobno dokazują jak źrebaki”. I dalej: „odległość między wioskami mierzy się liczbą kubków herbaty, potrzebnych podróżnemu do jej pokonania. Stwierdzono, że trzy kubki są równe ośmiu kilometrom”.

Z hukiem zamknął książkę. Całe to trzaskanie i pośpiech były niewątpliwym dziełem herbaty.

– Skoro ta diabelska substancja ma tak uroczy wpływ na zupełnie niewinne stworzenia na straszliwych wysokościach, czemu miałbym się jej wyrzekać? Herbata jest przejrzysta i jasna, w przeciwieństwie do kawy nie odstręcza brakiem czystości. Główną wadą kawy jest jej obrzydliwość, czyż nie?

– To i inne okropności – podsunąłem. – Konformizm, zobojętnienie, natręctwa, uzależnienie, choroby psychiczne, długo by wymieniać.

– Zgadzam się, ale herbata ma w sobie coś czystego, anielskiego, jasnego, nieprawda? Sam przyznaj.

– Nie wiem. Raz w Buffalo wypłem filiżankę herbaty i gdybym wtedy miał pod ręką broń, popełniłbym samobójstwo.

– Jestem członkiem Kościoła rzymskokatolickiego – oświadczył Smedjebakken. – Nie popełnię samobójstwa. Jakie jeszcze szkody wyrządza herbata?

– Osłabia charakter?

– Mój charakter już jest słaby – powiedział. – Wiem to, od kiedy nie udało mi się zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Pograżyłem się we własnym zepsuciu.

Spojrzałem na niego i powiedziałem:

– Nie jestem pewien, czy nadajesz się do mojego projektu.

Błysk w jego oku upewnił mnie, że nie chce zostać wykluczony, zarzuciłem więc haczyk. Podniosłem się z krzesła.

– Mimo wszystko – oznajmił – nigdy w życiu nie wypłem ani kropli kawy i zaatakowałem setki ekspresów. Demolowałem je w imię wszystkiego, co słuszne i dobre.

– To godne podziwu. – Usiadłem z powrotem.

– Ilu widziałeś ludzi przewracających ekspresy z kawą?

– Oprócz mnie nikogo.

– A zatem, mimo że tak bardzo się różnimy, mimo że jesteś zafajdanym bankierem

inwestycyjnym z bogatej rodziny, powinniśmy działać wspólnie.

– Żle mnie zrozumiałeś – powiedziałem. – Zaczynałem jako kurier, wiele lat temu, a teraz pracuję fizycznie w skarbcu.

– Naprawdę?

– Tak. Właściwie nawet lubię tę pracę. Jest prosta. Utrzymuje mnie w pełni sił, nie muszę zawracać sobie głowy przejściowymi i nieistotnymi szczegółami. Mam mnóstwo czasu na myślenie, jak więzień w izolatce.

– Dlatego właśnie lubię swoją pracę – powiedział Smedjebakken. – Wyruszam na samotne patrole jak Lewis i Clark, którzy udali się na poszukiwanie Pacyfiku. Połowę czasu spędzam pod ziemią, drugą połowę, latając wysoko w górze.

– Lewis i Clark nie byli sami – zauważyłem. – Było ich co najmniej dwóch.

– No ale jacy byli samotni! Powiedz mi, z czym przyszedłeś.

W tym momencie Angelica Massina, czyli pani Smedjebakken, zeszła na dół z tacą pełną naczyń po kolacji.

– I co tam? – spytał Smedjebakken.

– W porządku – powiedziała. – Śpi.

Umyła naczynia i wyszła z kuchni, nie patrząc w naszym kierunku.

– Czy twoja żona jest prawniczką?

– Nie. Pracowała w marynarce wojennej jako maszynistka. Zwolniła się, gdy urodziła nam się córka.

– Och – powiedziałem. – Sądziłem, że właśnie wróciła z Manhattanu: żakiet, apaszka... Wygląda jak kobieta sukcesu.

– Owszem, wróciła z Manhattanu – przyznał Smedjebakken. – Ze szpitala. Słuchaj, nie chciałbym być natrętny, ale o czym chcesz ze mną rozmawiać?

– O pieniądzach.

– Zaczynaj. – Bezcelnie chrupnął sucharem, jak gdyby chciał pokazać, że mój zawód bankiera inwestycyjnego nie robi na nim wrażenia.

– Potrzebujesz ich?

– No jasne. Każdy ich potrzebuje.

– Owszem – odparłem – ale niektórzy sądzą lub udają, że ich nie potrzebują.

– Mnisi i inni tacy.

– Niektórzy mnisi i inni tacy – zgodziłem się. – Ale nawet mnisi i inni tacy potrzebują pieniędzy. Muszą coś jeść. Muszą mieć dach nad głową, w co się ubrać. Muszą jakoś reklamować swoje wina.

– Świetnie. A więc mnisi potrzebują pieniędzy. Przyszedłeś, żeby mi to powiedzieć?

– Nie. Ile pieniędzy?

– Ile pieniędzy potrzebują mnisi?

– Nie, ty.

– Ile ja potrzebuję pieniędzy?

– Tak.

– Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. To jakby pytać, ile chciałbyś mieć wzrostu. Masz tyle, ile masz. Nie możesz urosnąć wyżej.

– Ale? – spytałem.

– Ale co?

– Ale? No dalej. Powiedz, ile byś chciał.

Schrupnął kolejnego sucharka.

– No dobra – odrzekł. – Twierdzisz, że możesz zdobyć więcej pieniędzy.
– Zgadza się – przytaknąłem. – Tak właśnie robią zasańcy z bogatych domów, tak samo robili ich przodkowie. Mówią: „myślę, że mogę zdobyć trochę więcej pieniędzy”.

– Co chcesz, żebym zrobił, obrabował bank?

Gdy nie odzywałem się przez chwilę, tylko patrzyłem na niego intensywnie, rzekł:

– Tak. Ty chcesz, żebym obrabował bank.

Odwróciłem się, podszedłem do okna i dla spotęgowania dramatycznego efektu stałem tam przez jakiś czas, licząc do dwudziestu pięciu.

– Co ty tam liczysz, ptaki?! – krzyknął Smedjebakken przez całą kuchnię, usłyszawszy moje mamrotanie.

Wróciłem na miejsce i powiedziałem cicho:

– Największy bank na świecie. Największe skupisko bogactwa w całym kosmosie. Możemy zrobić to pomału i metodycznie, a oni o niczym się nie dowiedzą. Nim się zorientują, mogą upłynąć lata, a bez względu na to, kiedy się to stanie, jest bardzo prawdopodobne, że wina spadnie na kogoś innego.

Nie musimy używać broni i uciekać się do przemocy. Możemy po równo podzielić się łupem. Jediną niedogodnością jest to, że będziesz musiał przyjąć nową tożsamość i zmienić miejsce zamieszkania. Mógłbyś zostać na przykład szwedzkim hrabią spędzającym emeryturę w Genewie, w domu z widokiem na jezioro. Spacerując szwajcarskimi ulicami, słyszałbyś z okien Mozarta, a nie boogie-woogie.

– Lubię boogie-woogie.

– Ja też. Ale po pięciu minutach...

– Słuchaj – przerwał mi Smedjebakken, pochylając się lekko do przodu – uczciwość jest ważniejsza niż pieniądze.

– Oczywiście, że tak.

– Dlatego nie mogę obrabować banku.

– A co jest nieuczciwego w obrabowaniu banku? – spytałem, urażony tym, że kwestionuje moją moralność. – Zrabujemy złote sztabki. Zastanawiałeś się kiedyś nad złotem? Wydobywa się je przymusową pracą. W Rzymie i średniowiecznej Europie robili to niewolnicy i pańszczyźniani chłopci. Dziś w RPA i ZSRR górnicy w kopalniach złota różnią się od niewolników jedynie nazwą. To oznacza, że od chwili, gdy złoto zostanie wydobyte z ziemi, ktokolwiek wejdzie w jego posiadanie, jest splamiony.

– A co z kopalniami w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie?

– Złoto jest zamienne, a w większości wydobywa się je niewolniczą pracą. Każda sztabka jest nieczysta. Lecz prędzej czy później – ciągnąłem – złoto zostaje zalegalizowane. Nie można oczekiwać od ludzi, że będą wiedzieć rzeczy, których wiedzieć nie mogą. Spora część złota ląduje jednak w skarbcach zbrodniarzy, dyktatorów, handlarzy narkotyków... Żeby mieć je na własność, muszą, by tak rzec, postawić na nim swój znak, żebyś mógł wiedzieć, że należy do nich i że zabierasz je komuś, kto nie ma do niego żadnego prawa, choćbyś nawet przyjął najelastyczniejszą skalę moralności.

– Komu chcesz je zabrać?

– Złoto, które mam na myśli, trzymane jest w klatkach, a najbardziej obiecująca klatka należy do szejka z Półwyspu Arabskiego, który ma dwieście żon, kilka tysięcy niewolników i pięćdziesiąt cadillaców. Jeśli któryś poddany go skrytykuje i zostanie potem schwytany, ginie na torturach. Uważam, że pod względem moralnym ten człowiek jest skompromitowany. Nie da się popełnić wobec niego rzeczy nieuczciwej.

– To, co proponujesz, jest nieuczciwe bez względu na okoliczności – stwierdził Smedjebakken.

– Nie – odparłem. – Działania są warunkowane przez kontekst. Moim zdaniem im dłużej to złoto pozostaje w swojej klatce, tym więcej zła przenika do świata. Jeśli je wyniesiemy, ulżymy światu.

Znów pojawiła się pani Smedjebakken. Wyglądała na wykończoną, wyczerpaną z sił. Widać było, że nie jadła jeszcze obiadu, przeszkadzała jej w tym moja obecność. Bałem się, że jeśli nawet jej mąż przystanie na mój plan, ona go powstrzyma. Nie wydawało się to jednak aż tak istotne, bo na razie nie zdołałem jeszcze przekonać samego Smedjebakkena. Albo popełniłem jakiś błąd, albo to z nim było coś nie tak – może był zanadto bojaźliwy, może miał niewłaściwie ukształtowane poczucie tego, co jest słuszne, a co nie. A może po prostu brakowało mu wyobraźni.

Wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy nagle odwrócił się do mnie i powiedział:

– Słuchaj, Jankesi grają jutro z Kansas City, mam dwa bilety. Proszę, jeśli chcesz, jeden jest twój, spotkamy się na stadionie.

Wyszedł z kuchni, a gdy jego kroki zadudniły na schodach, jego żona, która wyglądała tak, jakby zmagająca się z jakimś niezwalczonym, nigdy nieustępującym bólem, uśmiechnęła się do mnie mężnie i rzekła:

– Lubisz baseball?

Widok i zagadka Angeliki Smedjebakken nie dawały mi spokoju. Gdy zadała mi przez stół niezręczne pytanie, czy lubię baseball, wyglądała – choć była stuprocentową Włoszką – zupełnie jak Japonka.

Następnego dnia musiałem się z jękiem łapać za brzuch, by zwolniono mnie wcześniej z pracy. Oscovitz nie był uosobieniem subtelności, nie wystarczyło po prostu powiedzieć, że się źle czuję, musiałem odegrać coś na kształt ostatniej sceny *Madame Butterfly*. Przyniosło to jednak pożądaną skutek: w południe wydostałem się pomiędzy skał i wyszedłem na słońce.

Potem wprawdzie musiałem znów zejść pod ziemię, do metra, ale w metrze były prądy powietrza i ogromne przestrzenie, a gdy w Bronksie pociąg z klekotem wjechał na naziemną estakadę, mocny blask słońca wlał się przez otwarte okna. Teraz w metrze są chyba plastikowe siedzenia – widziałem w filmach – w tamtych czasach robiono je z drewna, wikliny lub tapicerki. By chronić wiklinę przed uszkodzeniem, pokrywano ją szelakiem. W każdym wagonie nad głowami kręciły się z wolna wentylatory, jak gdyby transport miejski ufał jeszcze, że wyżsi ludzie nie będą się rozmyślnie dekapitować, a potem pozywać miasto o odszkodowania. Dzisiaj tak robią – niech im to wyjdzie na zdrowie.

W tamtych czasach Bronx był bardzo zielony i pełen tajemniczej ciszy. Nie będę chyba zanadto sentymentalny i nie pomyślę się zbyt, jeśli powiem, że świat toczył się wtedy wolniej, dlatego że ludzie mieli pokój w sercach, a ludzie mieli pokój w sercach, dlatego że świat toczył się wolniej. Pamiętam też, że ażurowe cienie estakad wyglądały pogodnie jak Amazonka, neony w witrynach sklepowych lśniły jak oczy jaguarów, a ruch uliczny był powolny, równomierny i połyskiwał jak czarna woda przepływająca pod mostem.

Idąc na Yankee Stadium, zastanawiałem się nad tym, jak Smedjebakken zaaranżował nasze spotkanie. Mając do dyspozycji kartonik z zapisanymi siedmioma informacjami (Yankee Stadium, bramka, sekcja, rząd, miejsce, data i godzina), można było z mechaniczną precyzją sprowadzić w to samo miejsce w określonym momencie dwie osoby z kompletnie różnych części świata.

Pomyślałem sobie, że można by w ten sposób wykorzystać potencjał sytuacji, które zwykle się marnowały, na przykład gdy w późne letnie popołudnie jedzie się w tym samym prze-

dziale kolejowym z kobietą piękną jak samo lato. Czasami wracam myślami do dawnych lat, do kobiet, które widywałem i którym mógłbym się oddać bez reszty, gdybym tylko spotkał je ponownie. Pamiętam blask ich twarzy, kolor i blask ich oczu. Spotykałem je, ubrane w białe sukienki, na plażach Long Island, na jachtach w Three Mile Harbor, w pociągu jadącym o szesnastej do Ossining.

Gdybym tylko mógł wykorzystać te chwile! Zawsze byłem zbyt nieśmiały. Gdybym takiej przypadkowo ujranej kobiecie wręczył bilet na jakąś publiczną imprezę – mecz baseballu, wykład, koncert – przez resztę drogi mogłaby gruntownie przemyśleć sobie to przelotne spotkanie, może nawet oczarowałoby ją owo wspomnienie. A gdyby nie przyszła, mógłbym się pocieszyć meczem, wykładem lub koncertem, siedząc obok żalobnie pustego miejsca.

Smedjebakken jednak nie był kobietą i gdy ujrzałem go na stadionie, ocknąłem się z rozmarzenia. Siedział na swoim miejscu, trzymając na kolanach tekturową tacę pełną stadionowych przekąsek.

- Co to? – Pokazałem na jedzenie w pudełku.
- Jedzenie – odparł. – Słyszałeś kiedyś o czymś takim?
- Jakie jedzenie? – Po latach odżywiania się na koszt firmy przywykłem do eleganckich restauracji, w domu zaś jadłem wyłącznie ryby, ryż i warzywa.
- Piwo – odparł, wręczając mi papierowy kubek. – Rheingold, mocno chmielowe.
- Śmierdzi jak próbka moczu. – Powąchałem kubek.
- Zgadza się – przyznał. – W jednym z tych kubeczków mam piwo, w drugim próbkę moczu, którą potem muszę zawieźć do urologa. Kto wie, co jest w którym?
- A to co?
- Koszerny hot dog wołowy. – Podał mi pudełko.
- A ta breja, w której jest upakowany?
- To takie żółte coś, co większość ludzi w Ameryce nazywa musztardą.
- Nie wygląda jak musztarda. Jest zbyt jasne. Przypomina farbę. – Spróbowałem. – A smakuje jak gówno.
- Miej pretensje do Bronksu.
- A tamto?
- Tamto się nazywa „frytki”. Takie smażone ziemniaki. Od jak dawna mieszkasz w tym kraju?
- Strasznie małe. Ziemniaki lubię pokrojone *en julienne* lub gdy są wielkości koszernego hot doga wołowego.

Piwo okazało się jasnym pilznerem, koszerny hot dog był gorący jeszcze przez kwadrans po odwinięciu z folii aluminiowej, a frytki miały zapach, którego nie czułem od czasu służby w Monastyrze, gdy smażyliśmy ziemniaki w oliwie z oliwek i doprawialiśmy je miejscowymi ziołami. Nie były to żadne luksusy, ale całkiem mi smakowało!

Jankesi wybiegli na murawę witani potężnymi owacjami, ich przeciwnicy wyszli bojaźliwym krokiem i stanęli jak zwierzęta czekające na rzeź. Chwilę po odegraniu hymnu państwowego zaczął się mecz, sprawozdawcy radiowi w swych podniebnych budkach wrzeszczeli w próżnię niczym pacjenci szpitala psychiatrycznego. Przy pierwszym rzucie kij wydał z siebie ów niepowtarzalny, perfekcyjny dźwięk, coś pośredniego między stuknięciem i pyknięciem. Piłka błysnęła leciutko, upiornie, niczym szrapnel lecący na tyle wolno, że da się go zobaczyć, przeleciała nad najwyższymi rzędami siedzeń i grzmotnęła w apartamentowiec za estakadą metra.

– Jasny gwint! – wrzasnął Smedjebakken i zerwał się z krzesła, wymachując rękoma i zrzucając na ziemię tacę z jedzeniem. – Widziałeś to? To się nie powtórzy do końca świata!

– Dobry strzał! – przyznałem, ściągając na siebie ogólne zainteresowanie.

Smedjebakkena tak bardzo cieszyły moje komentarze, jedzenie i sam mecz, że nie mogłem sobie wyobrazić, by odrzucił mój plan – czy można sobie wyobrazić większą uciechę niż obrabowanie skarbcza wypełnionego złotem nikczemników? Zresztą to on zaprosił mnie na mecz.

Pod koniec szóstej rundy powiedział:

– Angelica nigdy nie pozwoli mi napaść na bank.

Do tej pory w ogóle nie wracałem do tematu, on sam zaś zrobił to dopiero wtedy, gdy Jankesi objęli tak potężne i demoralizujące prowadzenie (zupełnie jakby w tamtych czasach zorganizować mecz Stany Zjednoczone-reszta świata), że stadion zaczął pustoszeć.

– Potrzebna ci jej zgoda? – spytałem, przyglądając się barwnemu pejzażowi trybun i wsłuchując we wrzawę pozostałego jeszcze na miejscach tłumu, przypominającą szum morza.

– Owszem, w takich sprawach jak napad na bank, zaciągnięcie się do Legii Cudzoziemskiej lub wspinaczka na Mount Everest wołałbym się z nią skonsultować.

– W takim razie co tu robisz, a raczej co ja tu robię?

– Ujmę to tak: nie sądzę, bym mógł to zrobić, ale nie daje mi to spokoju.

– Dlaczego?

– Po pierwsze: moja córka. Po drugie: wyzwanie inżynierskie.

– Ile lat ma twoja córka?

– Jedenaście.

– Wspaniały wiek dla dziewczynki.

– Być może. Niestety dla niej wiek nie ma żadnego znaczenia.

– Dlaczego?

– Nazwa choroby prawdopodobnie nic by ci nie powiedziała. W każdym razie ona nie może chodzić, nie kontroluje pracy rąk, skręca się, robi grymasy i bezwiednie potrząsa głową. Nigdy nie będzie w stanie wziąć do rąk lalki.

Cóż mogłem na to powiedzieć?

– Ma jedenaście lat – ciągnął Smedjebakken – a już dość się wycierpiała i będzie cierpieć do końca życia.

– Ale kochasz ją. Kochasz, prawda?

– Umarłbym dla niej. Chciałbym móc dla niej umrzeć, gdyby tylko mogło ją to uzdrowić.

– Twoja żona poświęciła się dla niej.

– Gdy widziałeś ją po raz pierwszy, właśnie wróciła z terapii. Dla mojej córeczki najmiłosierniejszą rzeczą jest woda. Trzy razy w tygodniu jeździ z matką na pływalnię. Wołałbym, żeby pływała dwa razy dziennie.

– Myślałem, że Angelica robi jakąś karierę.

– Ubiera się tak, gdy jeździ z Connie na terapię. Zorientowaliśmy się, że lekarze są miłsi i uważniejsi wobec ludzi, którzy wydają się bogaci, wykształceni i ustosunkowani.

– Connie?

– Tak.

– Constance?

– Tak. A co?

– Moja była żona ma na imię Constance.

– To ładne imię. Gdy się urodziła, stwierdziliśmy, że „Connie Massina” to śliczne połączenie. A „Constance” brzmi elegancko. Sądzisz, że nie myślałem o napadzie na bank?

– Każdy myśli o napadzie na bank.

– Nie mówię o zwykłych fantazjach.

– Dla jej dobra?

Smedjebakken skinął głową.

– Dużo to kosztuje? – spytałem.

– Na razie nie – odparł – ale co będzie, jeśli jutro umrę? Angelica musiałaby pójść do pracy, kto wtedy zaopiekowałby się Connie? Jeśli umrzemy oboje, Connie trafi do przytułku na Welfare Island. To piekło. Nawet jeśli dożyjemy osiemdziesiątki, Constance będzie miała wtedy pięćdziesiąt lat. Co będzie później? Nasze oszczędności wyczerpią się w ciągu paru lat.

– Dlaczego więc nie napadłeś na bank?

– Nie chcę wyciągać ręki po cudze pieniądze.

– No cóż – powiedziałem. – W takim razie mam dla ciebie nowinę. Gdy napadasz na bank, musisz wyciągnąć rękę po cudze pieniądze. Na tym to polega.

– A jeśli mnie zabiją lub złapią? Co będzie z Connie i z Angelicą?

– Wygląda na to, że potrzebujesz banku wypełnionego forszą z depozytów, który mógłbyś obrabować ukradkiem, nie ryzykując konfrontacji, i wycofać się tak, by nie było najmniejszego prawdopodobieństwa wpadki.

Zaczynałem już mówić jak przestępca i podobało mi się to.

– W pierwszej i drugiej kwestii ci ufam – powiedział Smedjebakken – ale prawdopodobieństwo złapania istnieje zawsze, dlatego nigdy się tego nie podejmę.

– Nie. Ten plan interesuje cię właśnie dlatego, że... – Urwałem, szukałem najtrafniejszych słów. – Korci cię właśnie myśl, że mógłbyś pozostać nieuchwytny. Nie sądzę, by nas złapali, ale masz rację: nie możesz sobie pozwolić na wpadkę. Nawet jeśli obmyślimy plan idealny, i tak możemy zostać złapani.

– Racja.

– Nie potrzebujesz więc zapewnienia, że nie zostaniesz złapany, bo nikt ci go nie da, tylko bardzo realnej szansy powodzenia oraz ubezpieczenia na wypadek wpadki.

– Taaa, ubezpieczenia rabunku – powiedział Smedjebakken. – Nie wiedziałem, że są takie polisy. W Kasie Ubezpieczeń Rabusiów Bankowych, KURB?

– Rabuś, który byłby na tyle skrupulatny, by wykupić polisę, nie zawracałby sobie głowy rabowaniem kasy ubezpieczeń.

– Głupi żart – skwitował Smedjebakken. – Ale masz rację. Ze względu na mój tryb... na moją sytuację... nie wyobrażam sobie napaść na bank, nie ubezpieczywszy się wcześniej.

– Ile potrzebujesz? – spytałem, przyglądając się, jak Jankesi zdobywają kolejne bazy.

– Daj już spokój.

– Ile?

– Ile? Tyle, żebym mógł kupić mieszkanie w apartamentowcu z windą na Upper East Side. Żebym mógł założyć fundusz powierniczy (prowadzony przez bank, którego nie mógłbym obrabować) pozwalający się utrzymać Angelice i Connie, a na koniec samej Connie. Musiałby pokryć koszt opieki pielęgniarskiej, opłaty za szpital, Bóg wie co jeszcze. W mieszkaniu przydałby mi się też steinway D i ktoś, kto by na nim grał, bo jedyną rzeczą, jaka pozwala Connie zapomnieć o jej losie, jest muzyka, a potrzebowałaby czegoś na miarę studia testowego. Connie słucha muzyki od urodzenia. Byłoby też miło, gdy już je skonstruuja, a jestem pewien, że kiedyś skonstruuja, żeby miała gramofon odtwarzający muzykę w sposób perfekcyjny. Aha, no i musiałaby dwa razy dziennie chodzić na terapię, codziennie prócz niedzieli, aż do końca życia. To sporo forsy, nie sądzisz?

– Sporo, zważywszy, jakie musiałbyś dawać odźwiernemu napiwki na święta.

– Mam konto oszczędnościowe w Seaman's Bank – powiedział. – Oszczędzamy przez całe życie.

– Ile tam macie?

– Sześć tysięcy.
– No dobra. – Odchrząknąłem i złożyłem propozycję: – Mam mieszkanie przy Fifth Avenue, z widokiem na Central Park. Żabi skok od szpitala. Jest tam winda, odźwierny i inne takie. Mam trzy sypialnie, gościnną jadalnię, duży salon z kominkiem i francuskie okna wychodzące na osłoneczniony taras. Mieszkanie jest na szesnastym piętrze, bardzo ciche.

Dam ci je, razem ze Steinwayem D. Dam ci też pół miliona dolarów w gotówce i założę fundusz powierniczy na kolejny milion. Wszystko zostanie zapisane na twoją żonę i córkę, fundusz będzie w banku, którego nie obrabujemy, Morgan lub UST, a zrobię to na długo, nim zaczniemy jakiegokolwiek przygotowania, żebyś miał czas na otrząśnięcie się z szoku i uwierzenie, że to wszystko dzieje się naprawdę.

– Skoro masz tyle forsy, po co chcesz okradać bank?
– Do tego kapitał roboczy do pracy nad skokiem, jakieś sześćset tysięcy. To wszystko, co mam.

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.
– Po pierwsze – zacząłem – pieniądze, o których teraz mówię, to drobniąg w porównaniu z tymi, o jakie toczy się gra. To tylko mój kapitał wysokiego ryzyka. Po drugie, bank bardzo źle mnie potraktował i to zupełnie bez powodu, ale nawet gdyby tego nie zrobił, i tak musiałbym go okraść. Wystarczy, jeśli powiem, że choć potępiłem ich w całostronicowych ogłoszeniach w „The New York Times” i „The Wall Street Journal”, nie wprowadzili zakazu picia kawy w swym biurze. Ogłoszenia ukazywały się przez całe miesiące, dzień po dniu. Kosztowały mnie fortunę, a oni jak gdyby nigdy nic wciąż serwują kawę. To chyba wystarczy. No i jest jeszcze Constance, moja Constance. Nienawidziłem żyć na jej rachunek, chciałem, by wiedziała, że jestem niezależny finansowo. To miliardarka, nigdy jej nie dorównam, ale skoro sama nie zarobiła ani centa, myślę, że paręset milionów to też nie w kij dmuchał. No i jest jeszcze twoja Constance – ciągnąłem. – Nie widziałem jej, ale jeśli mam spędzić następne czterdzieści lat życia w więzieniu, czy mogę zrobić lepszy użytek z pieniędzy, które mam teraz, niż przekazać jej? A jeżeli nie trafię do więzienia, nie będą mi potrzebne. Sumy, jakie wchodzi w grę, są tak potężne, że ani myślę prosić cię o zwrot kapitału, który ci daję. Wszystko elegancko do siebie pasuje.

Mecz dawno się skończył, siedzieliśmy na trybunach sami, nie licząc krzątających się na dole obsługi i sprzątaczy. Żaden z nas nie śledził uważnie przebiegu meczu, domyślaliśmy się jednak, że Jankesi wygrali. Jankesi zawsze wygrywali.

– Podoba mi się to, co mówisz – odezwał się Smedjebakken. – Myślę, że ze względu na korzyści dla Connie gra jest warta świeczki, ale umarłbym, gdybym miał nie zobaczyć jej przez następne czterdzieści lat...

– Wszystko wezmę na siebie – powiedziałem. – Jeśli mnie złapią, nie wsypię cię. Zgódź się, a... – dodałem, nie mogąc oderwać wzroku od tego, co sterczało z jego głowy – dostaną po uszach.

– Co będzie, jeśli nam się uda i będę musiał wyjechać z kraju?

– Wtedy twoja córka będzie miała własnego terapeuta, własny basen, a na terenie swojej posiadłości będziesz mógł wybudować wytwórnię fortepianów.

Byłem przy tym, jak rozmawiał z żoną. Nie miałem wyjścia. Musiałem jej przedstawić plan i wytrzymać krzyżowy ogień nieprzyjaznych pytań. Angelica byłaby dobrym inspektorem celnym, absolutnie nic nie uszłoby jej uwagi. Każdej części planu przypisała osobne prawdopodobieństwo, zanalizowała wszelkie możliwe błędy, dzieląc je na kilka kategorii: błąd w planowaniu, przeoczenie, rozmyślne wykrycie przez ochronę banku lub kogoś innego, wykrycie przypadkowe, nieplanowana przeszkoda ze strony czynników trzecich, prawdopodobieństwo

awarii urządzeń mechanicznych, błąd w obliczeniach, niedyspozycja cielesna w krytycznym momencie oraz kilka innych klas, których, szczerze mówiąc, już nawet nie pamiętam.

Nie byłem inżynierem, nie uwzględniłem więc marginesów bezpieczeństwa. Właściwie miałem tylko sam plan pozbawiony jakiegokolwiek ochrony – żadnych środków bezpieczeństwa, alternatywnych wyjść, nic w tym rodzaju.

Razem mieliśmy jednak do dyspozycji piękno dialektyki.

Ja przedstawiałem surową tezę, Angelica występowała z brutalną antytezą, a Smedjebakken – ze swą niezmiennie konstruktywną naturą, produktywnością dziecięcia i fenomenalną inżynierską błyskotliwością – z syntezą. Do każdego zadania proponował dwie maszyny, obie porządnie przetestowane: jedna miała działać, a druga czekać w chwale swej niezawodności. Gdy mówiłem „przewierć się przez skałę”, od razu wymieniał kilka rodzajów świrdrów i dwa razy tyle zastępników dla każdego z nich. Gdy domagałem się miejsca na lądowisko, on proponował dwa i jeszcze jedno w odwodzie. Gdy wyobraziłem sobie beczki z benzyną obok pasa startowego, on od razu zakopywał je w ziemi.

Bądź co bądź poświęcił swoje życie utrzymaniu w najwyższej sprawności niezwykle skomplikowanego systemu mechanicznego, poddanego tyłu zmiennym, że wprost trudno to sobie wyobrazić. W tamtych czasach metro działało sprawnie, naprawdę można było na nim polegać. Po odejściu Smedjebakkena wyraźnie zaczęło się psuć.

Gdybym nie poznał tego utalentowanego i doświadczonego inżyniera oraz jego krytycznej, wyczułonej na sprawy bezpieczeństwa żony, pewnie złapano by mnie od razu. A nawet jeśli nie, nie zdołałbym przetransportować tego, co ukradłem. Złoto jest bardzo ciężkie. Wiedziałem o tym, rzecz jasna, już wcześniej, ale do tej pory przenosiłem je sztabka po sztabce. Nie zastanawiałem się, co to znaczy przetransportować za jednym zamachem tysiąc sztuk.

Przegadaliśmy całą noc, do wschodu słońca. Kończyło się lato, nocne powietrze było gorące i suche. Z północy wiał silny wiatr, niosąc znaną Bronksu cierpki zapach, jakby kawy, a wrony leciały niesione tym niedobrym wiatrem niczym pierwsi, najszybsi żołnierze panicznie wycofującej się armii. W takiej silnej bryzie nie miały innego wyjścia, niż dać się wystrzelić na południe. Krakaty przy tym, jakby zwiastując nadejście jakiegoś olbrzyma.

Gdy omówiliśmy już dokładnie cały plan i wprowadziliśmy poprawki, spytałem:

– Więc?

Siedzieliśmy w milczeniu przez dziesięć minut. W Angelice Smedjebakken kłębiło się tyle emocji, że wyglądała jak czajnik na nagrzanym piecu.

– Możecie żyć dalej tak, jak żyjecie – powiedziałem. – Biorąc udział w tym przedsięwzięciu, możecie wszystko stracić lub wszystko zyskać. Jeśli powiecie „tak”, być może doprowadzicie się do zguby. Jeśli powiecie „nie”, zguba też może nadejść, i to szybciej niż sobie wyobrażacie. Nasi rodzice, dziadkowie i ich dziadkowie zmuszeni byli podejmować takie decyzje, nim opuścili swe kraje i przybyli tutaj. Choćbyście nie wiem jak wyteżali umysł, oba wyjścia są idealnie równoważne, za każdym przemawia dokładnie tyle samo argumentów, tak samo złowrogich. Musicie zrobić to, co podpowiada wam serce. Wasze rodziny stawały w obliczu podobnych wyborów, sami więc będziecie wiedzieć najlepiej, co robić.

Angelica wybuchła płaczem. Choć głęboko mnie to poruszyło, uśmiechnąłem się, bo widziałem, że najważniejszy ruch w swoim życiu, tę jego część, która została już ustalona, zamierza uzupełnić kadencją – a nie ma chyba nic, co kochałbym bardziej niż ów moment, gdy pianista daje się oczarować granemu utworowi i zaczyna komponować go sam. Kadencje są pełne i szybkie, i nie rodzą się z techniki, lecz z miłości, mocy i uniesienia. Są wielką deklaracją. Grając je, pianista mówi do kompozytora: „Tak. Rozumiem to, co ty rozumiesz. Czuję to, co ty czujesz. Znam cię. Twoje ręce są moimi rękoma, twoje oczy moimi oczyma, twoje serce moim

sercem”. Angelica uzupełniła kadencją nie koncert, lecz własne życie, i zanosła się płaczem, bo podejmując decyzję, ujrzała całą swą egzystencję jakby oczyma kompozytora.

Po raz drugi przyjechałem do Astorii w jednym z owych jesiennych dni, gdy niebo jest modre, a powietrze jak szkło. W takie dni dym unosi się prostymi kolumnami, a w krajobrazie nagle staje się widoczny każdy szczegół, jak gdyby wyrzeźbił go rytownik. Zielone i czarne holowniki sunęły w dół rzeki, spod ich dziobów odchodziły na boki smugi białej piany.

Smedjebakken był przystojnym mężczyzną, może odrobinę zbyt krępy, a jego żona mogłaby pozować włoskiemu malarzowi renesansowemu. Ich córka mimo choroby była jeszcze piękniejsza od matki. Poznałem ją tamtego dnia, siedziała we frontowym pokoju. Zza domu dochodziły kaskady próbnych nut, jak gdyby orkiestra stroiła się przed koncertem, tyle że wygrywano je wyłącznie na fortepianach. Przez okna widziałem błękitne niebo, wiszące nieważko nad sfatygowaną ceglana zabudową Astorii.

Matka i ojciec przygotowywali się do przeprowadzki. Smedjebakken zaprowadził mnie do córeczki, przedstawił nas sobie i wrócił do pakowania kartonów. Prawie nie zwróciłem uwagi na mimowolne ruchy Connie, może dlatego, że tak zachwyła mnie jej niezrównana uroda. Nie zdając sobie z tego sprawy, zacząłem się ruszać jak ona – nie chciałem spuszczać wzroku z jej szaroniebieskich oczu, które wędrowały po pokoju zgodnie z rytmem jej ruchów.

– To dobrze, że ruszasz się tak jak ja, mamusia i tatuś też tak robią – oznajmiła. – Wtedy nie czuję, że sama się ruszam.

Mówiła z wysiłkiem, jak gdyby słowa w jej wnętrzu przytrzymywała elastyczna taśma, rozciągająca się w trakcie mówienia, zdolna zatrzymać je i wciągnąć z powrotem.

– Nawet nie wiedziałem, że to robię.

– To nic.

– Cieszę się, że cię poznałem – powiedziałem. – Wiem, że twoi rodzice bardzo cię kochają, i rozumiem dlaczego. Jesteś przesłicznym dzieckiem. Jeszcze nigdy nie widziałem dziecka o takich oczach jak twoje. Dorosłego zresztą też nie.

– Całe moje życie tam jest – powiedziała. – W oczach.

Skinąłem głową.

– Nie chcę się przeprowadzać na Manhattan.

– Wiem. Twój tata mi mówił. Gdy byłem w twoim wieku, musiałem się wyprowadzić z jedyne go domu, jaki kiedykolwiek miałem. Ale w zupełnie innych okolicznościach.

– Czemu? – spytała i choć brzmiało to jak „czeee-muuu”, jej sposób mówienia miał w sobie idealną naturalność.

– To były straszne okoliczności – odparłem – po prostu straszne, ale dałem sobie z nimi radę, wytrzymałem przeprowadzkę. Ty też wytrzymasz. Tam, dokąd się przenieśliśmy, rosło drzewo nachylone nad rzeczonym rozlewiskiem, miałem na nim zawieszony sznur. Tysiące razy bujałem się na tym sznurze i zeskakiwałem z niego, z każdym skokiem odrobinę uwalniając się od nieszczęścia, jakim była dla mnie utrata domu. Teraz to drzewo nachylone nad rzeką wspominam z takim samym wzruszeniem i takim samym smutkiem, z jakimi wtedy wspominałem miejsce, które musiałem opuścić.

– Ja nie mogę zeskakiwać ze sznura – powiedziała.

– Ale możesz pływać – odparłem. – A w nowym miejscu będziesz pływać dwa razy dziennie.

Uśmiechnęła się.

– A do tego – mówiłem dalej – ponieważ tak często ćwicząc, będziesz spalać mnóstwo jedzenia, założę się, że mama codziennie będzie ci coś kupować w sklepie ze słodyczami.

– Naprawdę?

– Nie mogę ci obiecać, ale zasugeruję jej to. Gdy ja dużo ćwiczę, zawsze pozwalam sobie na smakołyki. Muszę tylko być ostrożny i nie jeść za dużo, bo mam skłonność do przybierania na wadze. Ale ty jesteś jeszcze mała, nie musisz się obawiać.

– Nie muszę – przyznała. – Jestem chuda.

– Jesteś *svelte* – stwierdziłem.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że wyglądasz w sam raz, może troszeczkę chudawo. To szwedzkie słowo.

Nauczysz się go, gdy poznasz język szwedzki.

(Właściwie, jak po latach dowiedziałem się w akademii morskiej, jest to wyraz francuski. Sądziłem, że jest to jedno z takich słów jak „bistro”, które Francuzi zapożyczyli wprost od barbarzyńców).

– Po co miałabym się uczyć szwedzkiego?

– Bo jesteś Smedjebakken.

– Bo jestem czym? – spytała zdumiona.

Najwyraźniej rodzice nie powiedzieli jej wszystkiego.

– Bo wszystkie małe dziewczynki o niebieskich oczach to Smedjebakkeny i prędeż czy później uczą się szwedzkiego. Język szwedzki jest tak piękny, że gdy nim mówisz, czujesz się tak, jakbyś śpiewała, grała na fortepianie lub płynęła wiosłowym czółnem.

– A ty mówisz po szwedzku?

– Nie.

– No to skąd wiesz?

– Znam udawany szwedzki – odparłem, po czym przez parę minut mówiłem do niej udawanym szwedzkim. Potrafię tak mówić godzinami, nieraz wprawiałem w prawdziwe zdumienie szwedzkich biznesmenów i bankierów, racząc ich podczas służbowych obiadów opowieściami w języku niezrozumiałym ani dla nich, ani dla mnie. Gdy skończyłem, powiedziałem do Constance: – Twój tata cię nauczy.

– Jakim cudem?

– On płynnie mówi po szwedzku.

– Naprawdę?

– Tak.

Connie napuszyła się z dumy.

– Chciałabym znać szwedzki – powiedziała. – Uczę się już włoskiego.

– Dobrze. Po włosku mówi się tak, jakby mówiło się do ptaków. Szwedzki to taki język, jakby mówiły ptaki.

Zaśmiała się.

– Powiem ci coś jeszcze – zdradziłem. – Kiedy się przeprowadzisz, będziesz widzieć Central Park, drapacze chmur, piękne jezioro i zachody słońca, wszystko z bardzo dużej wysokości. Będziesz miała taras z wieloma kwiatami: karłowatymi sosenkami w doniczkach, ziołami, pelargoniami, różami, rukolą. I wiesz co?

– Co?

– Na tarasie jest kran z wodą i odpływ. W gorące letnie dni będziesz mogła napełnić sobie gumowy basen i pluskać się w słońcu.

– Dobrze się zapowiada – powiedziała. Pomału zaczynała zmieniać zdanie na temat przeprowadzki.

– Będziesz miała swój pokój na tym samym piętrze co reszta, będzie ci więc łatwiej się poruszać niż tutaj. W budynku jest też winda. Nie będziesz spadać ze schodków. Pójdiesz do nowej szkoły, gdzie będziesz się uczyć wielu nowych, fascynujących rzeczy. A wreszcie twój

tata kupi ci fortepian Steinway D, codziennie będzie na nim ćwiczył student z Juilliard School. Będiesz miała wszystko, co kochasz, bo twój tata i twoja mama cię kochają.

Przytuliłem ją. Wskutek nieustannych ruchów jej ciała czułem się, jakbym przytulał niemowlę, i zdałem sobie sprawę, że w ciągu tych paru krótkich minut pokochałem to dziecko.

Najpewniej nie dane jej było zaznać miłości, małżeństwa i macierzyństwa. W młodym wieku, porze zalotów i płodzenia, ludzie są bezlitośni. To rzecz naturalna. Pomyślmy tylko, jaki wpływ na ludzkie życie potrafi mieć zbyt duży nos lub nieładne zęby. I pomyślmy o Connie Massinie, o jej uduchowionej urodzie, o jej mądrości i głębokiej wrażliwości, o całej jej miłości, która miała się zmarnować. Tak dzieje się wśród łosi, wydr i kolibrów, tak też dzieje się z nami: nawet najwspanialszy z nas, jeśli są kalekami, zostają odcięci od stada. Stado to najokrutniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek istniała na ziemi, dlatego zawsze go nienawidziłem.

Postanowiliśmy, że Smedjebakken i ja odizolujemy się od Angeliki i Connie. Gdyby Angelica straciła to, co niegdyś stanowiło mój majątek, i razem z nami trafiła do więzienia, byłaby to straszliwa katastrofa, nie mogła więc o niczym wiedzieć. Dziś jednak mogę stwierdzić z całą pewnością – choć Smedjebakken nie wyjawiłby tego nawet przed archaniołem Gabrielem – że zdążyła wymóc na nim zadziwiającą obietnicę: że przed napadem na bank zrabujemy coś jeszcze. Uważałem, że to nie ma sensu, on chyba też. Nie chciałem tego robić, on jednak dał jej słowo.

– Jestem amatorem – powiedział mi któregoś popołudnia, gdy w pocie czoła przerabialiśmy dom w Astorii (należący już do mnie) na moją kwaterę oraz warsztat, gdzie mieliśmy wytwarzać specjalistyczny ekwipunek, niezbędny do przeprowadzenia operacji.

– Ja też – stwierdziłem.

– Nie sądzisz, że przed takim dużym skokiem przydałoby się zdobyć trochę doświadczenia?

– Nie.

– Dlaczego?

– Z wielu powodów. Na przykład dlatego, że żółtodziób ma szczęście. Gdy po raz pierwszy strzeliłem z łuku, trafiłem w sam środek tarczy. Podczas swojej pierwszej partii pokera zgarnąłem całą stawkę. Gdy pierwszy raz całowałem się z dziewczyną, unieśliśmy się jak sterowce napełnione wodorem.

– Aż taka była gruba?

– Aż taka była szczęśliwa. Mówię ci: szczęście żółtodzioba.

– Jestem inżynierem z zawodu – powiedział Smedjebakken. – Nie wierzę w szczęście.

– A co powiesz na argumenty inżynierskie? – Staliśmy wtedy w przedpokoju na piętrze (mojego jedyne go majątku), z miotłami w rękach. – Jeśli popełnimy dwa przestępstwa, istnieje dwa razy większe prawdopodobieństwo, że zostaniemy złapani. Nawet jeśli nie złapią nas za pierwszym razem, możemy zostawić ślady, a one w połączeniu z tymi, które zostawimy przy drugim napadzie, mogą doprowadzić do konkluzji, których w przeciwnym razie dałoby się uniknąć. Chcę się pojawić na czystym terenie. Chcę się pojawić znikąd. Gdy byłem pilotem, nauczyłem się jednej rzeczy: atakować cel drugi raz to tak, jak robić to po raz setny.

– Brzmi rozsądnie, ale nie podejmę się tej roboty, póki nie zrobimy sobie jakiejś rozgrzewki.

– Niech będzie – przytaknąłem i żartem zaproponowałem: – Ukradniemy obraz *Madonna del Lago* z Metropolitan Museum.

– Postanowiłeś to ot tak sobie?

– Myślałem, że chcesz coś ukraść? – Byłem gotów bronić swej propozycji.

- Chcę.
- No więc ukradnijmy ten obraz. Mam plan.

Naprawdę miałem plan i byłem już w pełni przekonany, że chcę go wypełnić. Czy raczej popełnić.

- Kiedy go wymyśliłeś?
- W tej chwili.
- W ciągu sekundy?
- Trzeba go jeszcze oszlifować, ale esencja jest gotowa. Esencja zawsze przychodzi w jednej sekundzie, zawsze bez trudu, jak z kapelusza.

Zawsze miałem mnóstwo cudownych pomysłów: skrzynia antygravitacyjna, ranczo wielbłądów w Idaho, poczta wystrzeliwana z działa – nigdy jednak nie umiałem wcielić ich w życie. Smedjebakken natomiast nie robił niczego innego jak wcielanie pomysłów w życie.

Natchnęła mnie zapewne ta oto sprzyjająca okoliczność, że *Madonna del Lago* była ulubionym płótnem ojca Constance. Jest to obraz ogólnie szanowany, ale przez znawców zaliczany do drugiego szeregu wielkich dzieł sztuki. Uważam, że się mylą – a może po prostu są zbyt bojaźliwi. To obraz tak mocny, że musi odstraszyć każdego, kto zawodowo zajmuje się ocenianiem sztuki. Niektórzy doceniają jego jakość, ale go nienawidzą, uważają go więc za obraz średni, inni natomiast, choć go uwielbiają, wiedzą, że jest lekceważony, i obniżają ocenę, by nie narażać się kolegom po fachu. Tak właśnie dzieje się z rzeczami mocnymi i wyrazistymi w tym niełatwym świecie, gdzie do przetrwania niezbędny jest kompromis.

Mona Lisa na przykład zawsze była dla mnie zanadto brązowa. Tytułowa postać za bardzo wypełnia obraz i niestety wygląda trochę jak siostra Burta Lancastera. Z kolei *La Tempesta* jest jednym z tych wielkich płócien, które – podobnie jak *Madonna del Lago* – są zbyt fantazyjne i jasne, zbyt barwne, zbyt frapujące, zbyt kłopotliwe, by dało się je przyjąć bez zastrzeżeń.

Madonna del Lago jest majstersztykiem kompozycji. Madonna stoi z dzieciątkiem w ramionach na spłachetku łądu tak głęboko wysuniętym w jezioro, że jest niemal całkowicie otoczona wodą, a gdy odbiorca patrzy na nią z oddali, wydaje się spowita aureolą czy zorzą. Po jej prawej ręce w powietrze wznosi się gwałtowna fala, lśniąca w słońcu, zastygła na zawsze. Woda po lewej jest spokojna, ale płytka, paleta jej barw i odcieni równoważy falę po drugiej stronie. Swą formą obraz przypomina bizantyjskie mozaiki, na których wodę często przedstawiano pod postacią kolistych pierścieni lub wstęg.

Jest to też majstersztyk kolorystyczny. Niebo mieni się odcieniami błękitu, od bładoniebieskiego, przez turkusowy, szarobłękitny, szarawy, aż po metaliczny, który często zwiastuje nadejście deszczu lub burzy. Jezioro również pełne jest barw: niektóre są niemal tropikalne, jak żółtawy turkus, inne wręcz nieziemskie, niektóre proste, niektóre chłodne. Skały są stalowoszare, a pola powleczone ową szczególną połyskliwą zielenią, którą w czasach renesansu wydobywano chyba z jakiejś sekretnej studni, dziś bowiem nie sposób już spotkać zieleni tak wilgotnej i mocnej, tak głębokiej, lekkiej i świetlistej.

Jest to wreszcie majstersztyk, jeśli chodzi o wyraz twarzy. Madonna nie wydaje się skromna ani zamyślona. Nie wygląda też na spokojną. Uśmiecha się łagodnie, zwycięsko. Czy nie taki właśnie wyraz twarzy mogła mieć Matka Boska? Czy nie zasługiwała na niego? Jest triumfalny, ale nie w sposób zawistny, typowy dla śmiertelników, emanuje raczej anielskim uniesieniem. Do dziś marzy mi się, by ujrzeć go jeszcze raz – w ludzkiej twarzy nigdy nie zdarzyło mi się zobaczyć takiego piękna.

Ojciec Constance miał podobne zdanie, posłał więc swego człowieka do Paryża, by wynajął Hira Matsuyego. W latach dwudziestych Hiro Matsuye był najlepszym kopistą na

świecie. Był tak dobry, że bacznie go obserwowano, muzea starannie, z nieustanną trwogą katalogowały jego dorobek. W tamtych czasach, bez pomocy mikroskopów elektronowych i zaawansowanej analizy spektrograficznej, nie było sposobu, by odróżnić oryginał od kopii sporządzonej przez Matsuyego, choć żeby grać uczciwie, zawsze zmieniał jakiś ważny element kompozycji. Panu Lloydowi dał się jednak namówić – ten jedyny raz i kto wie, za jaką sumę – do sporządzenia kopii doskonale wiernej.

W piwnicy domu, który kiedyś należał do mnie, spoczywała *Madonna del Lago* wykonana przez Matsuyego, perfekcyjnie postarzona, w identycznej z oryginałem ramie. Constance nigdy tego obrazu nie lubiła, może dlatego, że była bardzo podobna do jego bohaterki, a ponieważ jej ojciec i Matsuye już nie żyli, zapakowała go do skrzyni. To mały obraz, nawet z ramą jest niewiele większy niż gigantyczne pudło płatków śniadaniowych.

Ruszyliśmy ze Smedjebakkenem przez Fifth Avenue i po chwili dotarliśmy na miejsce. Dom był pusty, ulica opustoszała. Przeleźliśmy przez żelazny płot tylko dzięki temu, że Constance wbrew mej sugestii nie kazała naostrzyć sterczących w górę szpikulców. Z powodów, których do dziś nie mogę pojąć, ludzie bardzo zamożni mieszkający za takimi płotami wyposażonymi w szpikulce nigdy ich nie ostrzą, mimo że przemawia za tym logika i zdrowy rozsądek. Gdy bez cienia lęku i wahania przemierzaliśmy trawnik (bądź co bądź byłem u siebie), Smedjebakken wyraził zdumienie, że mieszkałem kiedyś w takim miejscu.

– Idea mieszkania w takim przepychu jest lepsza niż rzeczywistość – powiedziałem mu.

Przedostaliśmy się do nieskazitelnie czystego atrium z piaskowca, przycupnęliśmy z plecami przyklejonymi do ściany i czekaliśmy, aż Constance wróci wieczorem do domu. Wiedziałem, że jedno z okien w atrium ma uszkodzoną zasuwkę, wystarczyło je pchnąć – wcześniej jednak ktoś musiałby od środka wyłączyć alarm.

– Nie wiesz, jak wyłączyć alarm we własnym domu? – spytał Smedjebakken.

– Jestem absolutnie pewien – powiedziałem – że wskutek picia kawy Constance staje się coraz większą paranoiczką, na pewno zmieniła już kod do alarmu i zamki. Musimy poczekać.

Smedjebakken zgodził się, po czym dodał, że rzeczywiście, jeśli piła tyle kawy, ile wynikało z moich opowieści, pewnie cierpiała już na ciężką psychozę, a jej dom wypełnił się średniowiecznymi narzędziami tortur i dobermanami o zębach ostrych jak u oksfordzkiego wykładowcy.

– Nie ma co wyolbrzymiać – stwierdziłem. – Żeby osiągnąć taki stan, potrzeba wielu lat picia. Nie jestem pewien, od jak dawna ona pije, wiem tylko, że pije dużo, na pewno jest więc nieprzewidywalna, irracjonalna i ma skłonności do manii, ale nie odbiło jej jeszcze do końca.

Wreszcie usłyszeliśmy cudowny warkot nagy-horvatha z 1927 roku, wspaniałego węgierskiego samochodu luksusowego, który wyprodukowano w liczbie zaledwie piętnastu sztuk, i to w całości ręcznie. Naftowy silnik był siedmusetpięćdziesięciokonnym arcydziełem z nierdzewnej stali, niklu i brązu. Wyglądał (czy przejdzie mi to przez gardło?) jak jeden z owych błyszczących ekspresów do kawy, które można podziwiać w drogich restauracjach, brzmiał zaś jak pracująca pełną parą dzielnica druciarzy z New Delhi. Tyle w nim było drążków, ramion, dźwigni, zaworów, przekładni i tulei, tak głośno to wszystko stukotało, zgrzytało i szczykało, że gdy jeździłem po mieście, weterani wojenni w panice padali na ziemię, święcie przekonani, że horvath za chwilę wybuchnie.

Nigdy nie zrozumiałem, jak to możliwe, że skórzane obicia tak wspaniale pachniały ćwierć wieku po wyprodukowaniu, że wnętrze kabiny ani trochę się nie kurzyło, a metal nie matowieł (mógł z tym mieć jednak coś wspólnego pracownik zatrudniony przez nas do opieki nad wozem). Gdy silnik zgasł, czekałem na niepowtarzalny, paleolityczny zgrzyt hamulca ręcznego, przypominający chrząknięcie triceratopsa – lecz się nie doczekałem. Mijały minuty, a ja pomału

traciłem zimną krew. Oparłem głowę na podciągniętych kolanach i dyszałem jak pies na weterynaryjnym stole.

– Co ci jest? – spytał Smedjebakken.

– Ona się z kimś całuje – powiedziałem.

– Skąd wiesz?

– Zawsze od razu zaciąga hamulec ręczny, chyba że się z kimś całuje. Gdy się całuje, rzuca się na mężczyznę całym ciałem. W tym samochodzie nie da się tego zrobić przy zaciągniętym hamulcu.

– Och...

– O! – powiedziałem. – Słyszałeś to rzygnięcie stegozaura?

– Jakiego stegozaura?

– Dobra, zabierajmy obraz i wynośmy się stąd.

Po dłuższej chwili w domu zapaliło się światło: w suterenie wciąż było ciemno, ale woskowate liście ksyrotombusa nad naszymi głowami rozjarzyły się od dołu żółtym blaskiem – odbitym światłem kandelabrow w sali balowej.

– Po co zapala światła w sali balowej? – spytałem. – A zresztą co mnie to obchodzi? Do tej pory zdążyła już wezwać Holmesa i wyłączyć alarm.

Pchnąłem okno i tak jak oczekiwałem, ustąpiło z cichym skrzypnięciem.

– Wejść pierwszy i znaleźć drabinę – powiedziałem.

Zeskoczyłem z wysokiego parapetu, wylądowałem jednak nieszczęśliwie na prawej kostce i wpadłem na ścianę. Uderzenie pozbawiło mnie przytomności. Wiem o tym, bo gdy się obudziłem, krztusiłem się lafitte'em z rocznika 1933, który Smedjebakken wlewał mi do ust.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknąłem, zapominając, że włamałem się do własnego domu.

– Byłeś nieprzytomny. Zacząłeś się odwadniać. To jedyny płyn, jaki znalazłem oprócz szampana. Nie chciałem otwierać kolejnej butelki szampana, korki robią za duży huk.

Podniosłem głowę i ujrzałem u swych stóp olbrzymią butlę po szampanie – pustą.

– A gdzie szampan?

– W twoim żołądku.

– Nic dziwnego, że czuję się pełny.

– No, wlałem w ciebie też całą butelkę chateau haut-brion.

– Odbiło ci? – spytałem. Język zaczął mi się już plątać. – Nieceaawidze wyna. Jutro będę rzy... rzygał do wieczooaa.

– Nie jedz nic, a wszystko będzie dobrze.

Podniosłem się z trudem i poprowadziłem Smedjebakkena do skarbca z obrazami. Niewiele z tego pamiętam, na pewno jednak z każdą chwilą robiłem się coraz bardziej pijany. Nie byłem w stanie otworzyć prostego szyfrowego zamka, zaległem więc bezwładnie na cztery długie godziny, opowiadając Smedjebakkenowi historię swojego życia i nasłuchując dźwięków pianoli płynących z sali balowej.

– Co się tam dzieje, do diabła? – spytałem.

– Zdaje się, że ktoś tańczy – stwierdził Smedjebakken, patrząc w górę.

– Idź, zobacz, kto to. – Wręczyłem mu latarkę. – Ja jestem zbyt struty, żeby się ruszyć.

– Po co mam ryzykować?

– Muszę wiedzieć.

– Dlaczego musisz wiedzieć?

– Dlatego, że to moja żona! Kiedyś się w niej zakochałem. Kochałem ją, a ona mnie. Miłość nie przemija. To wielkość stała, nawet jeśli nam brakuje stałości.

Smedjebakken wyszedł. Wrócił po półgodzinie, gdy byłem już prawie trzeźwy.

– Co widziałeś? – spytałem.
– Nic.
– Jak to nic? Powiedz mi, coś widział.
– Chcesz znać prawdę?
– Zawsze chcę znać prawdę – powiedziałem. – A ty nie? Każdy zawsze chce znać prawdę.
– Niech ci będzie. Po jakichś dziesięciu minutach udało mi się w końcu dotrzeć do schodów: ta piwnica jest ogromna jak Madison Square Garden. Bałem się, że gdy otworzę drzwi, ktoś akurat będzie przechodził.
– Z piwnic wychodzi się do kuchni, nie do sali balowej.
– Wiem, ale oni ciągle wchodzili i wychodzili. Na szczęście gdy wyszedłem na górę, akurat tańczyli. W kuchni posapywał wysoki na dziesięć stóp ekspres do kawy, wszędzie stały filiżanki. Myślałem, że to impreza na pięćdziesiąt osób, ale było ich tylko dwoje, to oni pili całą tę kawę. Za każdym razem brali czyste filiżanki.
– Kto? – spytałem. Moje serce było w strzępach.
– Piękna, naprawdę piękna kobieta...
– To Constance.
– I wysoki, atrakcyjny gość o zaczesanych do tyłu włosach, z wyglądu Brazylijczyk. Ubrany w buty z długimi czubkami, szerokie czarne spodnie i haftowaną koszulę. Wygląda jak skrzyżowanie kelnera z akrobatą, ma też bardzo wąskie usta, jak Rudolf Valentino.
– A ona co ma na sobie?
– Nic.
– Nic?
– Wszędzie leżały rozrzucone ubrania, majtki. Była zupełnie naga i tańczyła. I to jeszcze jak tańczyła!
– Co tańczyła? – spytałem przez zaciśnięte zęby.
– Wężowe tańce.
– Wężowe tańce – powtórzyłem słabnącym głosem.
– Poruszała się w taki sposób, że przez pół godziny stałem jak sparalizowany.
– Jak to możliwe? Na litość boską, przecież tańczą do pianoli!
– Tak, ale to taniec w kawowym stylu, z powolnym kontrapunktem.
– Całują się?
– Całują, pieszczą i popijają kawę. Przykro mi, chciałeś znać prawdę.
– Zawsze się tego domyślałem – powiedziałem – a teraz wiem na pewno. Lepiej jest wiedzieć, niż się domyślać. Wciąż nie rozumiem, jak można się całować z kimś, kto pije kawę. Tak czy owak, już po wszystkim, to koniec. Teraz chcę już tylko rabować banki.

Po spożyciu całego alkoholu, jaki wlał we mnie Smedjebakken, byłem chory prawie przez miesiąc. Leżałem na podłodze w jednym z pokoiów na piętrze domu w Astorii i patrzyłem, jak Queens stroi się w zimową szatę. Smedjebakken był inżynierem najwyższej klasy, ale kiepskim lekarzem: starał się napoić mnie herbatą. Miałem pić trujące wywary, kiedy i tak już ledwo żyłem? Nie da się opisać bólu głowy, jaki mnie wtedy dręczył, nawet nie będę próbował tworzyć metafor: metafory tworzy mózg, nie powinno się go zmuszać do wysiłku na jego własny koszt. Ręce i nogi łupały jak królestwo, które przegrało wojnę, w moim żołądku skupiły się mdłości wszystkich mórz świata, a głowa – cóż, powiem tylko, że mnie bolała. Naprawdę bolała.

Krażąca w moim organizmie mieszanina toksycznych pozostałości przyprawiała mnie o potworne koszmary na jawie – wrzeszczałem wtedy i waliłem pięściami o podłogę.

Smedjebakken, który ledwie parę tygodni wcześniej uraczył mnie butlą szampana, miał tupet zasugerować, że moja dolegliwość ma charakter psychosomatyczny. I kazał wziąć aspirynę.

– Czyś ty postradał rozum? – spytałem. – Mój wuj raz w życiu wziął aspirynę i chorował potem przez rok. Cały kraj pograża się w nałogu i już nigdy się z niego nie wyleczy.

– Może chociaż jedną?

– Jedna aspiryna prowadzi do dwóch, dwie do czterech, cztery do ośmiu, osiem do szesnastu, szesnaście do trzydziestu dwóch, a trzydzieści dwie do sześćdziesięciu czterech. Zanim się obejrzyś, będę się odurzał aspiryną i kawą. Wierz mi, Smedjebakken, Stany Zjednoczone Ameryki zmieniają się w palarnię opium. Ktoś musi stawić opór, po prostu musi!

Kiedy odzyskiwałem siły, Smedjebakken pracował niestrudzenie nad wyposażeniem domu. Mieszkaliśmy w rejonie przemysłowym, nikt więc nie zwracał uwagi na sprzęt, który taszczył po schodach. Gdy miał już wszystko, mógł spawać, ciąć, walcować, szlifować, odlewać, klepać, wytapiać, platerować, lutować, wiercić i wyłaczać praktycznie każdy metal. Był ekspertem w dziedzinie przetwarzania metali, przez całe życie budował też maszyny. Twierdził, że mając do dyspozycji odpowiedni czas i materiały, potrafiłby zbudować pomniejszoną dwukrotnie kopię rolls-royce'a, elektryczny warsztat tkacki lub skrzynię antygravitacyjną. A ponieważ kochał to, co robił, wszystko przychodziło mu szybko i bez trudu.

Chciał wiedzieć, jak ukradniemy obraz Madonny. Z początku sądził, że zamierzam po prostu wręczyć Angelice replikę, obchodząc w ten sposób jej żądanie. Ja jednak kazałem mu zbudować naturalnej wielkości wózek inwalidzki, napędzany bateriami poupychanymi w metalowych rurkach konstrukcji.

– Nie lepiej byłoby umieścić akumulator pod siedzeniem, jak w wózku Connie?

– Nie, bo to wózek do kradzenia obrazów – odparłem i opadłem z powrotem na podłogę. Nie miałem siły mu tego wyjaśnić.

Po trzech dniach wózek był gotowy.

– Dobra – powiedziałem. – Teraz zrób skrzyneczkę identyczną z komorą na akumulator i umieść ją w zwykłym miejscu. Zainstaluj w niej drzwiczki, które będą się otwierać za jednym dotknięciem, ale tak, by nie było ich widać: mają wyglądać jak zwykła ścianka. Przycisk musi być niewidoczny, drzwiczki muszą się otwierać szybko jak nóż sprężynowy i powinny dać się zamknąć nogą. W środku zainstaluj szyny na łożyskach kulkowych, uruchamiane sprężynowo, tak by wysuwały się z chwilą otwarcia drzwiczek. Między szynami umieść uchwyt na obraz.

– Rozumiem – stwierdził. – Ale co z alarmami, strażnikami?

– Strażnicy? Alarmy? To drobiazg.

Gotowy produkt ujrzałem czterdzieści osiem godzin później. Komora na akumulator wyglądała zupełnie jak komora na akumulator, ale gdy Smedjebakken podniósł osłonę jednego z oparć i wcisnął umieszczony tam guzik (zupełnie jak w samolocie myśliwskim, gdzie spust działek instaluje się w drążku sterowym), uniosły się drzwiczki i ze środka wysunął się obraz, spoczywający wygodnie w obciążonych filcem uchwytach. Po kolejnym naciśnięciu guzika cała operacja została odwrócona.

– Otwiera się i zamyka w pół sekundy – powiedział Smedjebakken. – Zastosowałem wałki olejowe, wyciszyłem przycisk, sprężyny i zatrask. Może tego nie zauważyłeś, ale wszystko działa bezszelestnie.

– Zauważyłem – powiedziałem i znów dopadły mnie mdłości. Na powrót pograżyłem się w długich cierpieniach.

Smedjebakken zaczął tracić do mnie zaufanie. Był tak zaniepokojony, że następnego ranka oznajmił prosto z mostu:

– Jak mogę ufać, że nie zepsujesz całej akcji? Jesteś inwalidą. Nasz plan wymaga

śmiałości, siły i kondycji, a ty jęczysz i skomlesz od miesiąca.

– Zatrujęm się! – krzyknąłem.

– Niby czym?! – krzyknął Smedjebakken w odpowiedzi. – Butelką najlepszego szampana na świecie?!

– Tak.

– Od kiedy picie szampana skutkuje miesięcznym zatruciem? Co z ciebie za człowiek? Co z ciebie za twardziel, skoro twoje ciało nie odróżnia szampana od środka do czyszczenia rur?

– Jestem dokładnie tak twardy jak trzeba. Tyle że wzdygam się przed wszystkim, co jest fałszywe, wstrętne lub nieprawdziwe (nieprawdziwe to nie to samo co fałszywe). Potrafię robić rzeczy nadzwyczajne, ale słabnę w obliczu zła.

– Dlaczego?

– Dlatego że kiedyś mnie pokonało. Rozłożyło mnie na łopatki, byłem bezsilny w jego uścisku, sparaliżowany jak we śnie.

– Ale przeżyłeś – stwierdził Smedjebakken, nie żeby mi się sprzeciwiać, lecz by sprowokować mnie do zwierzeń.

Nie miałem jednak na nie ochoty.

– Czystym przypadkiem.

– No cóż – powiedział – nie jest już z tobą najgorzej, mam nadzieję, że niedługo wydobrzejesz. Kiedy zamierzasz to zrobić?

– Niedługo – odparłem. – Niedługo.

Tej nocy śniło mi się, że było lato i leżałem w lesie, gdzie tylko drzewa napępiały powietrze życiem i głębią, inaczej byłoby czystym eterem. Ptaki śpiewały pięknie, nie wiedząc, o czym śpiewają i dlaczego, jak fale, które w słońcu uderzają o brzeg. Morze było niedaleko, u stóp wzgórza, błękitne i puste. A kwiaty wyglądały jak rozświetlone od środka. Choć wypoczęty i spokojny, nie byłem szczęśliwy: wiedziałem, że to miejsce ostatnie, że po nim nie będzie już żadnego innego.

Gdy się zbudziłem następnego ranka, mój organizm był już wolny od trucizny, choroba minęła bez śladu. Po miesiącu spania byłem silny, pełen energii i pewny siebie.

– Jedziemy do muzeum – powiedziałem do Smedjebakkena, który zabierał się właśnie do jedzenia koszernego odbytu indyczego (od incydentu w Sleepy Hollow zagustowałem w tej potrawie).

– Na zwiad?

– Nie, na robotę.

– Nie bądź śmieszny – odparł. – Czeka nas co najmniej miesiąc przygotowań. Nie widziałem jeszcze obrazu, nie znam nawet planu.

– Ja już przygotowywałem się przez miesiąc – stwierdziłem pompatycznie. – I zrobię to o tak. – Pstryknąłem palcami.

– Leżałeś przez miesiąc w łóżku, niezdolny do ruchu, podczas gdy ja zmieniłem dom w fabrykę i budowałem wydrażony wózek inwalidzki.

– Czy ty nic nie pojmujesz? – spytałem.

– Niby czego nie pojmuję?

– Tego, skąd czerpię swoje zdolności.

– Nie. Nie pojmuję, skąd bierzesz swoje zdolności. Skąd bierzesz swoje zdolności?

– Ze swoich niezdolności.

Czerpiesz zdolności ze swoich niezdolności.

– Tak.

– No cóż, to świetnie. Ja natomiast czerpię zdolności ze swoich zdolności.
– A więc jeszcze długa droga przed tobą. Pewnie jest ci z tym całkiem dobrze.
– Lepiej być nie może.
– Droga, którą ja kroczę – oświadczyłem – wiedzie przez głębokie doliny i wysokie wzniesienia. Potrafię się wdrapać na szczyt wzniesienia właśnie dlatego, że wcześniej byłem na dnie doliny. A tak na marginesie: czy masz цаўки, które po przecięciu drutu pozostawiają poszarpane końce?

Spojrzał na mnie bez śladu zrozumienia w oczach.

– Tak, przypadkiem mam: byłem zbyt skąpy, żeby je wyrzucić.

– Doskonale. Tego właśnie nam trzeba. Plan przedstawię ci w metrze. Załóż jakiś workowaty płaszcz.

– Dobra. Mam taki z czasów, gdy obżerałem się muffinkami. Ale po co?

– Będzie nam potrzebny na kota. Złap jakiegoś kota.

– Mam złapać kota – mruknął.

Nie miałem wątpliwości, że w tej chwili jest absolutnie pewien, że resztę życia spędzimy w więzieniu, ale nie protestował.

– Wyciągnij reprodukcję.

Smedjebakken przyprowadził wózek, wcisnął guzik i wyciągnął obraz z uchwytu.

– Zobacz, co jest na odwrocie – powiedziałem.

Do tylnej strony płótna przymocowany był szereg równoległych złotych drucików, które z kolei podłączone były grupami do dwóch drutów miedzianych, długich na jakieś półtorej stopy.

– Zrobiłem to dziś rano, nim wstałeś – poinformowałem. – Druty trzeba poprzycinać na końcach twoimi цаўkami.

– Wygląda profesjonalnie.

– Tak w Metropolitan podłącza się alarm do najcenniejszych obrazów. Wiem o tym, bo Constance zasiada w zarządzie muzeum. Chadzaliśmy na zebrania, spytałem kiedyś, pokazali mi.

– Rozumiem. – Smedjebakken najwyraźniej odzyskiwał do mnie zaufanie. – Ale czy nie mówiłeś coś o łapaniu kota?

Kot, olbrzymi szaro-perłowy manks schwytyany w Astorii na podwórzu pizzerii, na skrzyżowaniu Madison i Eighty-six, wylądował u Smedjebakkena pod płaszczem. Przez kilka ostatnich ulic przed muzeum i gdy dojeżdżaliśmy już do sali z włoskim malarstwem renesansowym, walczył jak diabeł tasmański, ale Smedjebakken był naprawdę twardy, nawet się nie skrzywił. Od czasu do czasu spomiędzy pól jego płaszcza wystrzelała perłowa łapa, ale Smedjebakken zanosił się wtedy udawanym kaszlem, wypychał ją z powrotem i szliśmy dalej. Nikt nic nie zauważył, obaj doskonale wiedzieliśmy, że na widok osób na wózkach ludzie zwykle odwracają wzrok.

Nie była to łatwa część planu: kot wyorał na torsie Smedjebakkena potężne pręgi, krew płynęła jak z upolowanego ptaka.

W końcu dotarliśmy do *Madonny* i odczekaliśmy, aż sala opustoszeje. Smedjebakken rozpiął się z ulgą, kot wyskoczył spod płaszcza i pognał przed siebie z prędkością dobrych sześćdziesięciu mil na godzinę. Staliśmy tak, by szlak jego ucieczki wiódł obok przyległego pomieszczenia, w którym stacjonowali strażnicy. Na każde trzy sale przypadał jeden senny staruszek w uniformie, któremu nie wolno było ani na chwilę usiąść i nigdy nie przytrafiało się nic nieprzewidzianego.

– Łapać kota! – wrzasnąłem pełną piersią.

Strażnicy rzucili się odruchowo za czmychającym zwierzakiem. Smedjebakken zerwał się

ze szczypcami w dłoni, ja sięgnąłem po obraz. Schowek był już otwarty. Gdy zdjąłem płótno ze ściany, Smedjebakken przeciął drut – i rozdzwoniły się chyba wszystkie dzwonki na świecie.

Smedjebakken wyciągnął replikę ze schowka i rzucił się na ścianę. Schowałem oryginał, nogą zamknąłem drzwiczki i przewróciłem wózek. Ostatnie parę sekund wykorzystałem na rozpięcie Smedjebakkenowego płaszcza, tak by odsłonić okrwawiony tors.

– Jęcz! – rozkazałem.

– Na razie nikogo nie widać – szepnął.

– *Ars gratia artis* – powiedziałem.

Zaczął jęczeć. Wszystko trwało mniej niż dziesięć sekund. Czekaliśmy i czekaliśmy, aż w końcu usłyszeliśmy tupot wielu stóp. Tuż przed tym, jak nadciągnęła falanga strażników – w tym dwóch z karabinami – Smedjebakken przestał jęczeć i powiedział:

– Mieliśmy tyle czasu, że zdążylibyśmy rozwiązać krzyżówkę.

– Jęcz! – odparłem. – To nasza chwila prawdy.

Pierwsze, co zrobili strażnicy, to wzięli obraz z rąk Smedjebakkena. Dzwonek dzwonił, Smedjebakken wrzeszczał (zupełnie szczerze, z podniecenia), ja także zacząłem wrzeszczeć:

– Zaatakował go kot! Zaatakował go kot!

Kot, jak się zdawało, wybiegł już głównym wyjściem i zniknął gdzieś w Upper East Side. Większość strażników zdążyła go zauważyć, przynajmniej w przelocie, rany Smedjebakkena były zaś najzupełniej autentyczne: od jego krwi podłoga zrobiła się śliska jak lodowisko.

Strażnicy nie mieli najbledszego pojęcia, co robić. Zabezpieczyli obraz – jak sądzili, oryginalny – a teraz mieli przed sobą rzekomą ofiarę kocięj napaści. Jeden oznajmił, że zadzwoni po karetkę, i zniknął w nieskończonym labiryncie flamandzkich pejzaży.

Po chwili nadbiegi fircyk w drogim garniturze, zastępca dyrektora. (Dyrektor, jak się można domyślić, był we Florencji).

– Co się stało? – spytał szefa strażników.

Gdy ten zdawał relację, zamarłem: owym zastępcą okazał się mój znajomy z Harvardu Cuckoo Prescott, znany z tego, że w połowie piątego roku studiów zmienił obiekt swoich zainteresowań – czy, jak to określał, swojego „skupienia” – z ornitologii na sztuki piękne. Temat jego pracy magisterskiej brzmiał: *Ewolucyjne struktury lotu ptaków drapieżnych w malarstwie sir Thomasa Boneya*. Poznałem go, on więc równie dobrze mógł poznać mnie, gdyby tylko nie był wytracony z równowagi.

Bałem się, że może mnie dobrze pamiętać, ponieważ ukarałem go kiedyś za picie kawy: czytałem mu dzieło ojca Bobigny-Soissons-Lagare’a *Les Mals du Café*, uprzednio uspiwszy go chloroformem i skrępowawszy prawdziwą taśmą do mumifikowania zwłok, którą zwędziłem na Wydziale Sztuki i Archeologii.

Co było robić? Potargałem sobie włosy, skrzywiłem się i zacząłem wrzeszczeć, jak gdybym był hollywoodzką wersją meksykańskiego bandyty (obawiam się, że w trakcie przygotowań do tej roli Cuckoo Prescott patrzył akurat na mnie).

– Seniores, ten kot prawie murdado mojego syn! Nie zapominajcie was tegos!

Cuckoo popatrzył na nas ze zdumieniem.

– Co to za ludzie? – spytał.

– Zwiedzający – padła odpowiedź.

Prescott całą siłą swych zwiotczałych genów starał się zachować odpowiedzialnie, troskliwie i uprzejmie. Widziałem, jak jego przodkowie wielorybnicy wiercą się w grobach w Salem i Gloucester i przesyłają mu mistyczne komunikaty o jego powinnościach. Zadziałało: zaczął nas tak wylewnie przeproszać, że zapomniał o podejrzeniach. Starałem się nie patrzeć mu w oczy i przekląłem się w myślach, gdy meksykański bandyta przeistoczył się w wodewilowego

Włocha. Nie mogłem nic na to poradzić – jeden po prostu gładko zmienił się w drugiego.

– Ej! Żadna stratta, ambulanza zabierze nas do szpitaliano i wszystko będzie grande.

– Skąd panowie jesteście? – spytał Cuckoo. Jego podświadomość pracowała na pełnych obrotach.

– Z dystryktu Kolumba! – odparł Smedjebakken.

Cóż Cuckoo mógł na to odpowiedzieć? Po chwili przybiegli sanitariusze i posadzili Smedjebakkena z powrotem na wózku. Strażnicy po królewsku odprowadzili nas do wyjścia, na pożegnanie zaproponowano nam nawet dożywotnią kartę wstępu oraz potężny rabat w kawiarni i sklepiku z pamiątkami.

W Lenox Hill Hospital lekarz posmarował pierś Smedjebakkena merkurochromem i dał mu zastrzyk przeciwtężcowy. Potem pojechaliśmy prosto do mojego dawnego mieszkania i pokazaliśmy obraz Angelice. Angelica zrobiła wielkie oczy, po czym owinęła obraz bibułą i zieloną wstążką. Wieczorem wyszedłem na zewnątrz i ruszyłem przez Manhattan, rozjarzony pomarańczowym i żółtym światłem zachodzącego słońca. Przyszedłem do muzeum tuż przed zamknięciem.

– Paczka dla pana Prescottta – oznajmiłem i wręczyłem obraz recepcjonistce, która przyjęła go z wielką wdzięcznością. – Czy mogłaby mi pani coś przekazać?

– Oczywiście. – Sięgnęła po papier i ołówek.

– Po pierwsze: zawsze lepiej jest, gdy w muzeum wiszą oryginały. Oto oryginał. Po drugie: może zatrzymać kopię. Po trzecie: kawa jest niedobra.

Po skradzeniu – i zwróceniu – obrazu Madonny byliśmy gotowi do właściwego skoku.

W krytycznym dniu, którym był 4 czerwca, byłem podekscytowany jak nigdy w całym swoim życiu. Gdy wyszedłem z domu i ruszyłem przez świeżo zazielenioną Astorię, czułem, że wreszcie opuszczam tę akademię konfiskaty i żalu i udaję się do innego świata, zarazem wyrozumialszego, precyzyjniejszego i nowego. Przypuszczam, że tak właśnie czuje się ktoś, kto ma osiemnaście lat, kończy szkołę średnią i cały świat staje przed nim otworem. Ja nigdy nie ukończyłem szkoły średniej. Moja edukacja licealna przebiegała w sposób burzliwy i niespokojny, a gdy dobiegła końca, czułem się tylko tak, jakbym zeskoczył z karuzeli.

O wszystkim tym jednak zapomniałem owego słonecznego ranka, gdy wyszedłem z domu w Astorii i przekręciłem za sobą klucz w zamku, wiedząc, że robię to po raz ostatni. Na stole w korytarzu leżał dokument, w którym zapisaliśmy wszystkie nasze narzędzia miejscowej szkole zawodowej, a dom przekazaliśmy harcerkom ze związku Campfire Girls. Zawsze lubiłem Campfire Girls, bo wypadają słabiutko w zestawieniu z Girl Scouts.

Było tak chłodno, że błękit nad głową wydawał się płynącą rzeką. Cienie były cieplejsze niż jesienią, ale równie głębokie i podobnie kojące. Gdy metro pędziło po estakadach, wspominałem młodość, gdy latem zaczynałem dzień od jazdy pociągiem wzdłuż Hudsonu, lśniącego w okrywie migotliwej mgiełki. Wypełniało mnie wtedy takie samo podniecenie i tak dobry humor jak teraz, czułem się tak każdego dnia, i to nie dlatego, że zamierzałem obrabować największy bank na świecie, lecz zaledwie dlatego, że miałem w nim pracować.

To miała być moja ostatnia jazda metrem. Potem czekał mnie ostatni spacer przez kaniony Wall Street nierozpalone jeszcze letnim słońcem – wiedziałem, że gdy wyjdę wieczorem, granitowe ściany będą zwracać powietrzu całodzienny żar.

Po raz ostatni zjechałem windą do skarbcza, po raz ostatni zważyłem się przed wejściem, po raz ostatni powiedziałem: „dzień dobry, Sherman” – zrobiłem to zaś z takim zapałem, że Oscovitz z onieśmieleniem odwrócił wzrok: zawsze się płoszył, gdy cokolwiek wytrącało go z niezmienniej codziennej rutyny.

– Dzień dobry, Sherman! Ale dziś pięknie! Dzień jakich mało!

W filmie takie pozdrowienie mogłoby wzbudzić jego czujność. W rzeczywistości nic nie było w stanie go zaalarmować. Nachylił głowę jeszcze niżej nad biurkiem i udawał, że czyta „The Daily News”.

– Sherman! Niech wiedzą wszystkie zjednoczone stany, że Sherman Oscovitz jest zakochany. Patrzcie: z powodu pewnej ślicznotki przemiłej strzała Amora trafiła go w tyłek! Jedźże z nią hen, na południowe wyspy, gdzie nagusek w bród, a seks jest ognisty!

Biedny Sherman Oscovitz! Jeszcze nigdy nie całował się ani nie przytulał z kobietą i mijał na ulicy miliony kobiet, które jeszcze nigdy nie całowały się i nie przytulały z mężczyzną, nie mając śmiałości popatrzeć im w oczy na tyle długo, by nawiązać kontakt wzrokowy. Któregoś razu obwieścił: „W Brooklynie spadło dziś śniegu na półtora cala. Powiedziałbym: do penisa z takim śniegiem!” i zarumienił się tak, że wyglądał jak świeżo wyjęty z pieca placek truskawkowy.

– Sherman, Sherman! – kontynuowałem. – Ile lat ci jeszcze zostało? Czemu nie rzucisz tego wszystkiego i nie wybierzesz się na narty wodne? Jedź na jarmark w Syracuse. Mają tam budki do całowania. Kup sobie całusa u kobiety z budki. Zrób to, Sherman, bo stoisz już jedną nogą w grobie.

Sherman miał ochotę rzucić się do ucieczki.

– Jesteś stuknięty! – powiedział, mocno wzburzony.

– Sherman! – krzyknąłem. – Na litość boską, wsiądź do pociągu i jedź do Syracuse! Zrób to jeszcze dziś!

– Przecież jestem w pracy – odparł.

– Pierdol pracę – wyszeptalem.

– On powiedział „pierdol”! – poskarżył się niewidzialnemu sędziemu.

– Zgadza się.

– Zrobiłeś to. Naprawdę zrobiłeś. Zgłoszę to panu Pulpettowi. Zobacysz, że zgłoszę.

– Pan Pulpett jest na Formosie – stwierdziłem. Wiedziałem dokładnie, gdzie tego dnia przebywa każdy wyższy pracownik banku.

– Powiem mu, kiedy wróci.

– Powiedz.

Zostawiłem Shermana Oscovitza, którego twarz przybrała już barwę winogron, i wszedłem do klatki czterdzieści siedem. Jednym z największych zmartwień Smedjebakkena było to, że gdy już nadludzkim wysiłkiem przekopujemy się do klatki czterdzieści siedem, mogą zostać niespodziewanie przeniesiony w inne miejsce. Zapewniłem go, że tak się nie stanie.

– Skąd wiesz?

– Jestem absolutnie pewien, że zostanę w klatce czterdzieści siedem. Jeśli trzeba, to i przez całą wieczność. Oscovitz nie rozumie, czym jest czas. Czas wymaga przynajmniej dwóch rzeczy: ruchu i zmienności. Jeśli wszystko jest nieruchome, czas nie może płynąć, przestaje istnieć. Gdy nie ma zmienności, nie ma mowy o ruchu, a więc i o czasie. Dla Oscovitza nie istnieje ani ruch, ani zmienność. To biurokrata. Gdybyś zatopił go w bursztynie i ten bursztyn rozłupałby się po dziesięciu miliardach lat, Oscovitz nawet by nie mrugnął. Wierz mi, gdyby nawet przez milion lat nikt nie umarł i nic się nie wydarzyło, on przychodziłby codziennie do roboty, z wyjątkiem Jom Kippur i świąt państwowych, i nic by nie zauważył. Jeśli zechcę, mogę siedzieć w klatce czterdzieści siedem i przekładać złoto aż do końca świata, a jemu nawet nie przyjdzie do głowy, że coś jest nie tak.

Naprawdę tak było. Od czasu, gdy powzięliśmy nasz plan, aż do dnia jego realizacji – czyli przez dziesięć miesięcy – tkwiłem w klatce czterdzieści siedem, wykonując pracę, na którą

wystarczyłby mi tydzień.

Inne problemy były poważniejsze i uciążliwsze, ale dzięki inżynierskiemu geniuszowi Smedjebakkena wszystkie udało się rozwiązać. Był to człowiek z minionej epoki i jak bywa z każdym, kto jest w takiej sytuacji, jego nieprzystosowanie stawało się niekiedy źródłem olśnienia.

Smedjebakken powinien być się urodzić w czasach Edisona, Brunela i Johna Dee. Często nawet myślę go z Johnem Dee, bo choć byli zupełnie różni, obu pocałował ten sam zbuntowany anioł i swe przedsięwzięcia, jakkolwiek do siebie niepodobne, podejmowali z podobnym nastawieniem. W połowie stulecia wytwory myśli inżynierskiej nadające ton ówczesnej mechanice nie były jeszcze tak zimne, tak nieprzyjazne ani tak potężne jak dziś. Wciąż jeszcze wykonywano je z metalu i drewna. Wciąż jeszcze pachniały olejem maszynowym, tlił się w nich ogień, buchała z nich para, napędzał je wiatr, powietrze lub nieosłonięte przeguby obracające się na lśniących wałach. Nie sprawiały wrażenia, że sprzeciwiają się lub wymykają prawom natury. Miały zupełnie innego ducha niż te szkaradne, tępe pudła zwane komputerami. Były tyglami ziemi, wody, wiatru, ognia, grawitacji i magnetyzmu. Można było je powąchać, usłyszeć, poczuć, jak drży od nich ziemia. Nie tkwiły bez ruchu jak półgłówki, by potem jednym atakiem opanować miasta. Nie mrugały bezczelnie kretyńskimi zielonymi światełkami, nadmiernie cierpliwe, kompletnie wyzute z głosu i wrażliwości.

Maszyny i procesy, które tak umiłował sobie Smedjebakken, były niemal żywe i nie przekraczały owej sterylnej bariery nieśmiertelnej precyzji oddzielającej człowieka od Boga. Nikt nigdy nie budował ich w ślepej pogoni za doskonałością. Zważcie więc: Smedjebakken nie był arogancki. Nawet gdy się mylił, nie wiedział o tym i wszystkie swe wysiłki doprowadzał do końca z duchową niewinnością, która – śmiem stwierdzić – już na dobre przestała istnieć na świecie.

Naszym największym problemem było wydrążenie w skale tunelu do klatki czterdzieści siedem, tak by wyszedł dokładnie w wyznaczonym miejscu – nie tylko żeby dało się wpuścić do niego złoto w sposób niewidoczny z zewnątrz, ale także, co o wiele ważniejsze, by nie trafić na przewody alarmowe wtopione w betonową podłogę w odstępach jednej stopy od siebie. Było to zadanie niezmiernie trudne, a do tego pokonując jedną trudność, stwarzaliśmy następną, a potem kolejną, pozornie bez końca. Na tym jednak, jak wyjaśnił mi Smedjebakken, polegała inżynieria. Inżynier nie tylko wierzy, że każdą trudność da się pokonać, ale też że ich liczba jest skończona.

Najpierw musieliśmy sporządzić trójwymiarową mapę o bezprecedensowej dokładności. Ponieważ początkowe i końcowe punkty orientacyjne naszego przedsięwzięcia – czyli fundamenty budynku Stillman and Chase oraz miejsce na ulicy nieopodal najbliższego zejścia do metra (oznaczone palikiem geodezyjnym) – oddalone były od siebie o pół mili i pół tuzina zakrętów, a różnica w wysokościach sięgała 250 stóp, wykres przybrał postać wariacko pokręconej linii o długości jakichś 5780 stóp. Musieliśmy zacząć w punkcie, który dało się wyznaczyć jedynie pośrednio i ukradkiem, a następnie, po pokonaniu tych 5780 stóp i ponad stu pomiarach kątowych, wrócić na oślep dokładnie w to samo miejsce. Żeby tunel mógł pomieścić winylową wyściółkę i sztabki złota, a także, co jeszcze ważniejsze, teleskopowe ramiona świdrów, które zmuszeni byliśmy zastosować, musiał mieć osiem cali średnicy.

To oznaczało, że między krawędziami tunelu a drutami w podłodze pozostanie odstęp ledwie dwóch cali. Nawet gdyby w grę wchodziły tylko pomiary liniowe, ten margines miał się do całej długości szybu jak 1 do 34 680 – była to dość wyśrubowana proporcja. Jeśli zaś wzięło się pod uwagę setki pomiarów kątowych, zadanie wydawało się tak precyzyjne, że omal niemożliwe do wykonania.

Na dodatek nie wiedzieliśmy, któredy w podłodze biegały przewody alarmowe. Trudno się

dziwić, że gdy Smedjebakken mi to wszystko uzmysłowił, chciałem się poddać.

– Nie ma mowy – powiedział. – Kiedy przedstawiłeś mi plan, od razu wiedziałem, że trudności będą ogromne. Ale wiedziałem też, że da się je pokonać. Musimy po prostu robić wszystko krok po kroku.

– Jaki będzie pierwszy krok? – spytałem.

– Gdzie kupujesz buty?

– Dawniej kupowałem u Paula Stewarta – powiedziałem z rozmarzeniem.

– Chodź, kupisz sobie kilka par w tak wielkim rozmiarze, by dało się zamontować w nich magnetometri.

Smedjebakken potajemnie robił swoje w doskonale wyposażonym warsztacie, który kiedyś był jego domem, i bez mojej wiedzy skonstruował pięć magnetometrów na wzór tych stosowanych w laboratoriach. Można było umieścić je kolejno w butach i odczytywać wskazania na liczniku udającym zegarek.

Po co aż pięć magnetometrów według trzech różnych wzorów? To proste, wyjaśnił Smedjebakken, po czym wyłożył mi naczelną zasadę, której istnienie przeczuwałem w kościach, a którą stosuje się w wielu technikach inżynierskich.

Ze swej natury magnetometri dawały odczyty dokładne jedynie w granicach dwudziestu procent. Ja ze swej ludzkiej natury byłem w stanie odczytać wyniki i zlokalizować krytyczne punkty z dokładnością zaledwie jakichś dziesięciu procent. Łącznie dawało to dokładność zaledwie siedemdziesięciodwuprocentową, jeśli zaś chcieliśmy zmieścić się w wymaganym stosunku 1:34680, każdy pomiar musiał mieć dokładność rzędu 99,99712 procent.

Wynikała z tego konieczność dość uciążliwa, ale, jak wyjaśnił Smedjebakken, bardzo prosta. Po przeprowadzeniu stu pomiarów każdym z pięciu magnetometrów mieliśmy otrzymać rozproszony wykres przypominający kapelusze Pinokia. Wartość na osi poziomej znajdująca się na samym szczycie kapelusza miała być najbliższa dokładnemu pomiarowi.

Całą procedurę mieliśmy przeprowadzić pięciokrotnie, przy czym największe znaczenie miały mieć pomiary późniejsze, jako przeprowadzone z coraz większą wprawą, w miarę wzrostu moich kompetencji.

Perspektywa wykonania dwóch i pół tysiąca pomiarów magnetometrem przyprawiła mnie o zawrót głowy, ale Smedjebakken przywrócił mnie do równowagi, przypominając, że kradzież olbrzymiej ilości pieniędzy wymaga olbrzymiej ilości pracy.

– W porządku – powiedziałem. – Jak oznaczymy położenie przewodów, żeby dało się odnotowywać wyniki pomiarów?

– Wykalibrujemy podłogę.

– Jak się kalibruje podłogę?

– Za pomocą liniału oraz gwiazdkowego punktaka z diamentową końcówką. I jedno, i drugie wniesiesz w kieszeniach lub w butach. Nic nie zauważą, póki będziesz ważył tyle, ile powinieś. Musisz też wnieść aparat fotograficzny, statyw i mikrometr.

– Po co?

– Sfotografujesz każdy znak, jaki zrobisz na podłodze. Jeśli posłużysz się aparatem na statywie, zdjęcia będą w jednakowej skali. Zamontuję nieruchomy powiększalnik, zrobię zbliżenia i każdy znak będę mógł porządnie zmierzyć mikrometrem według zdjęcia. Cały proces będziemy oczywiście musieli powtórzyć kilkakrotnie.

– Czyli sfotografuję każdy znak na podłodze – podsumowałem – a ty zmierzysz jego szerokość. Dzięki temu będę mógł mierzyć odległość od krawędzi do krawędzi każdego znaku, a ty potem uwzględnisz w obliczeniach ich szerokość.

– Zgadza się. Pomiary wykonasz za pomocą lupy.

- Ile będę musiał ich wykonać?
- Kilkaset.
- Myślisz, że damy radę wszystko zrobić, nim umrzemy?
- Będziemy się mocno starać.

Po kilku tygodniach kalibrowania, po których nastąpiło kilkumiesięczne odczytywanie wskazań magnetometrów, spytałem Smedjebakkena, czy nie można by założyć, że przewody alarmowe są odłączone, gdy skarbiec jest otwarty Bądź co bądź musieliśmy się przez nie przebić tylko raz.

– Nawet jeśli tak jest – odpowiedział mi pytaniem – to co, jeśli będziemy musieli zatkać szyb, bo przedsiębiorstwo komunikacyjne postanowi akurat przeprowadzić nieplanowaną inspekcję tunelu metra albo pan Edgar zaprosi Johna Fostera Dullesa, żeby obejrzał sobie złoto? Co wtedy? W nocy włączą alarm i będzie koniec.

– Masz rację.

– To jeszcze nie wszystko. Kto powiedział, że przewody łączą się w jeden obwód? Myślę, że do pomieszczenia alarmowego prowadzi raczej wiele obwodów i że przerwane są tylko te, które mogą być przerwane, a reszta pozostaje zamknięta.

Precyzję, z jaką przystąpiliśmy do wiercenia tunelu, zawdzięczaliśmy nie tylko inżynierskiemu przygotowaniu Smedjebakkena, ale też mojemu bardziej przyziemnemu doświadczeniu nawigacyjnemu. Łącząc techniki geodezyjne z technikami nawigacji słonecznej i gwiazdnej, uzyskaliśmy dokładniejsze pomiary. Bądź co bądź zlokalizowanie punktu na powierzchni Ziemi z dokładnością do pięciuset stóp – dobremu nawigatorowi wystarczy do tego sekstant i chronometr – odbywa się z dokładnością 1:7000000000: taki jest stosunek powierzchni koła o promieniu pięciuset stóp do całkowitej powierzchni Ziemi, która, jak każde dziecko wie, wynosi sto dziewięćdziesiąt siedem milionów mil kwadratowych.

I to wszystko da się zrobić na statku unoszącym się na falach, mierząc według słońca jedynie za pomocą własnych oczu i nerwów. Nasze pomiary, wykonane podług punktów orientacyjnych wyżłobionych diamentem w marmurze, były o wiele dokładniejsze. Nie traciliśmy nadziei.

Aby dało się przeprowadzić pomiary, wszczęliśmy operację w pobliskim tunelu metra. „My”, czyli głównie Smedjebakken, który cieszył się w kierownictwie transportu publicznego takim poważaniem, że gdy oznajmił, iż według niego wskutek dryftu kontynentalnego skały znajdujące się pod Wall Street poddane są znacznym naciskom i mogą się nagle przemieścić, wywołując trzęsienie ziemi, uwierzyli. Przyznali mu fundusze na badania ruchów skał i dali pozwolenie wstępu na teren każdego obiektu znajdującego się nad megalitem – w tym także do piwnic i skarbcu Stillman and Chase.

Oczywiście byłem na miejscu, gdy zjawił się ze swoją ekipą. W skarbcu nie odstępowało ich na krok sześciu strażników uzbrojonych w karabiny. Gdy Smedjebakken po raz pierwszy ujrzał złoto spiętrzone w olbrzymich, przypominających miasto stosach, na twarz wypłynął mu anielski uśmiech. Wcześniej nie potrafił zrozumieć tego emocjonalnie, gdy opowiadałem, że złoto w skarbcu poukładane jest w szanice, mury i sześciany wielkości małych budynków.

Gdy ja po raz pierwszy stanąłem oko w oko z czymś, co dziś byłoby warte sto pięćdziesiąt miliardów dolarów, doznałem jakby gwałtownego porażenia prądem. Oto ono, pomyślałem sobie, mogę je dotknąć, wziąć do ręki... i ukraść. Smedjebakken, ujrawszy złoto, pracował jak Puszkina w Boldinie lub Haendel w ciągu swych pamiętnych dwóch tygodni. Pieniądze nie znaczą nic i nie dają szczęścia, lecz można je szybko zamienić na wiele ciekawych rzeczy: kaszmirowe płaszcze, duesenbergi, lewitację, idealnie białe i mocne zęby, angielskie strzelby, domki narciarskie, kwiaty, ubrania i inne dobra dla potrzebujących sierot, czekoladę,

lekcje japońskiego, surfowanie w Australii, kwartety smyczkowe, cedrowe gaje, pierwsze edycje, wędzonego łososia, rzadkie muszle. Mógłbym wymieniać jeszcze długo – to tylko niektóre rzeczy, jakie lubię.

Dla Smedjebakkena pieniądze oznaczały kryształowo przejrzysty basen pływacki i oranżerię w sosnowym zagajniku z widokiem na Jezioro Lemańskie (co nie znaczy, że w końcu tam wylądował). Oznaczały, że jego córka może zyskać towarzystwo i należytą uwagę mimo swej dolegliwości. Oznaczały, że może nawet znaleźć miłość. Mogła też z niekłamaną przyjemnością podarować swój potężny majątek tym, których spotkał ten sam los, a być może ujrzeć też, jak jej dziecko czy dzieci uciekają z więzienia, w którym ona tkwi od urodzenia i z którego nigdy nie będzie w stanie się wydostać.

Smedjebakken ze swymi geodetami przychodził kilkanaście razy i wykonał swoją pracę tak starannie, że gdy skończył, wszystko było zapięte na ostatni guzik. Drobiazgowość, z jaką złościł punkty orientacyjne, powtarzanie operacji, obecność aż pięciu mierniczych – wszystko dało się w pełni usprawiedliwić, bądź co bądź należało wykryć w rozległej połaci skał przesunięcia rzędu tysięcznych części centymetra. Nikt niczego nie podejrzewał, a gdy wszystko zostało zrobione, dysponowaliśmy jednym z najdokładniejszych pomiarów i jedną z najdoskonalszych map w dziejach świata.

Trzeba było jeszcze rozwiązać trzy problemy: mechaniczny, logistyczny i czasowy.

Wynylową wyściółkę wykonała dla nas wytwórnia basenów pływackich w New Jersey. Wzbudziliśmy ogromne zainteresowanie, fabryka koniecznie chciała wiedzieć, co zamierzamy zrobić z winylową rurą o średnicy sześciu i siedmiu szesnastych cala i długości stu dwudziestu ośmiu stóp. Nie mogliśmy im wyjaśnić, że sto dwadzieścia osiem stóp to odległość od podłogi skarbcza Stillman and Chase do punktu położonego dwie stopy nad pokładem wagonu towarowego stojącego na boczniczy i że po zrekonstruowaniu złotej sztabki – spędziwszy cały dzień na pomiarach, nakupiwszy potężną ilość złotej biżuterii (w tamtych czasach osoba prywatna mogła mieć złoto jedynie w postaci biżuterii, plomb i antyków), ulepiwszy formę z wosku pszczelego i poparzywszy się ogniem podczas wytapiania – oraz po wielu eksperymentach postanowiliśmy, że wyściółka musi mieć taką właśnie szerokość, jeśli sztabka ma się w niej przemieścić o sto dwadzieścia osiem stóp, ani się nie klinując, przez co powstałby najkosztowniejszy zator na świecie, ani nie nabierając prędkości jak niekierowana bomba.

Gdy spytano nas, do czego ma służyć obiekt przedstawiony na naszym szkicu – który, przynajmniej, wyglądał wyjątkowo dziwnie – powiedzieliśmy:

– Nie wiemy.

Następnie musieliśmy wnieść do tunelu metra silnik i studwudziestoosmiostopowe wiertło i umieścić je w odpowiednim miejscu. Na szczęście bocznicza, przy której mieliśmy wiercić, stanowiła część ślepej stu pięćdziesięciostopowej odnogi torów, mogliśmy tam upchnąć wszystko, co potrzeba. Smedjebakken odgrodził bocznicę ścianą, w ścianie zainstalował podwójne żelazne drzwi z rysunkiem pioruna i napisem: „UWAGA: WYSOKIE NAPIĘCIE!”. Tym sposobem powstała ogromna zamknięta komora, przechowywaliśmy w niej nasz sprzęt oraz skalny urobek z odwiertu. Drzwi zamykane były na dwa zamki o wyjątkowo odstrasającym wyglądzie, jakby żywcem wzięte z filmu o Robin Hoodzie.

Jako silnik posłużyła nam szwajcarska maszyna górnicza. Smedjebakken płał z podniecenia na jej widok. Przekonał swoje kierownictwo, by ją zakupiło, i nie miał wyrzutów sumienia, że marnuje pieniądze podatników, ponieważ – jak wyjaśnił – dzięki niej miasto wreszcie będzie mogło wykonywać precyzyjne wiercenia, oszczędzając przy tym olbrzymi kapitał, a być może też ludzkie życie.

– Maszyny przeznaczone do ciężkich prac – objaśniał – rzadko bywają precyzyjne,

ponieważ rozstrajają się od pierwszego kontaktu z materiałem, do którego je zaprojektowano. Do tego mają niezwykle ciężkie elementy składowe, skutek osiąga się więc w bardzo dużym przybliżeniu. Kto chce, by ciężka maszyna działała precyzyjnie, ma dwa wyjścia: albo rozbudowywać ją póty, póki nie stanie się tak ogromna i ciężka, że nie rozstroi się od kontaktu z materiałem, albo zaprojektować tak, by korygowała się sama, czyli żeby po każdym rozstrojeniu sama wprowadzała poprawki. Maszyna pierwszego typu musiałaby być bardzo duża, nie zmieściłaby się w tunelu metra – ciągnął. – Maszyna typu drugiego jest ładacko droga, ale jesteśmy na nią skazani. Elementy składowe nie mogą być duże, muszą więc być niezwykle mocne. Już same stopy są niewiarygodnie kosztowne, wykonanie odlewów i oprzyrządowania jeszcze potraja koszty. Rezultat jest jednak wspaniały. W maszynie Tinhoffa wał napędowy jest wspomagany i kierowany dwunastoma zestawami mimośrodków, po jednym na każde trzydzieści stopni. Każdy mimośrodek ma po dwa zęby na każdą minutę kątową, osadzone w ciężkiej molibdenowej przekładni pierścieniowej. Gdy mimośrodki są osadzone idealnie, tworzą pełny obieg elektryczny. Kontakt jest tak wykalibrowany, że odpowiada jednej trzydziestej minuty ruchu. Gdy któryś z mimośrodków rozkołysze się na tyle, że przerwie obwód, maszyna wie, że zaczyna się rozstrajać, i wywiera nacisk na ząb mimośrodu, by ten wskoczył z powrotem na miejsce.

Być może trudno sobie to wszystko unaocznic – kończył – ale wynika z tego, że wał świdra jest korygowany z dokładnością do jednej sekundy kątowej: gdy tylko zboczy z kursu o tę wartość, natychmiast zostaje skorygowany. Szwajcarzy wynaleźli tę maszynę do wiercenia tuneli kolejowych pod łańcuchami górkimi.

Odwierty rozpoczęliśmy wcześniej, jeszcze przed ukończeniem innych elementów planu. Przed nastawieniem wału Smedjebakken podwiesił pod skałę czarną atlasową zasłonę – wyjaśnił, że nie chce się podświadomie sugerować krzywizną sklepienia.

– Niechciane poprawki wprowadza się bezwiednie – powiedział. – Dlatego właśnie sprawiedliwość musi być ślepa.

Gdy wiertło przebiło czarny atlas i zaatakowało skałę łupkową, pomyślałem sobie o swoich dawnych kolegach wysoko nad naszymi głowami, którzy z błogim zadowoleniem ćwiczyli uderzenia w golfa na zabytkowych dywanach, wyczekiwali otwarcia sezonu jachtowego, a jeśli myśleli o mnie, to wyobrażali sobie, że jestem bezpiecznie zagrzebany sto stóp pod nimi, we wnętrzu skał, i tyram bezmyślnie jak zombi.

Z początku posuwaliśmy się naprzód o pięć stóp dziennie, pod koniec zwolniliśmy do zaledwie kilku cali – musieliśmy stale kontrolować długość i kierunek poruszania się świdra, a w tym celu za każdym razem trzeba było wyciągać i rozmontowywać cały wał. Przez kilka ostatnich dni w trakcie jednej sesji posuwaliśmy się zaledwie o cal. Nocami, gdy nie prowadziliśmy wierceń, zajmowaliśmy się wieloma innymi zadaniami.

Z myślą o ostatnim odcinku Smedjebakken skonstruował wiele specjalistycznych narzędzi. Gdy obliczył, że do podłogi skarbcza brakuje już tylko jednej stopy, na końcu drążka napędowego zainstalował cienkie wiertło poruszane własnym silniczkiem. Przez dziesięć dni umieszczał je w maleńkim otworze i posuwał się naprzód zaledwie o ćwierć cala dziennie. Był już o włos od celu. Gdy dziewiątego dnia wszedłem rano do klatki, ujrzałem na posadzce maleńki czarny punkcik otoczony idealnie okrągłą kupką marmurowego pyłu, nie większy niż grochy na sukience.

Świder trafił prawie dokładnie pośrodku dwóch przewodów alarmowych. Byłem taki dumny, że przez większą część ranka śpiewałem i tańczyłem za swoją ochronną złotą ścianą. Cieszyłem się, że zadaliśmy sobie tyle trudu, by przeprowadzić wiercenie jak najdokładniej – było to żmudne, ale rozminęliśmy się z celem zaledwie o trzy szesnaste cala.

Smedjebakken wynalazł kolistę frez, którym następnie złobił beton i marmur, aż posadzka stała się nie grubsza niż pokrywa od garnka. Małeńki otwór po wiertle posłużył mu jako punkt centralny dla frezowania, mnie zaś jako środek koła, jakie zatoczyłem cyrklem po marmurze. Po pięciu dniach skrupulatnej, ukradkowej pracy zdołałem wyciąć okrągłą pokrywę, która, jak się okazało, pasowała do wylotu szybu ściśle i precyzyjnie niczym nabój do komory pistoletu sportowego.

Pokrywę podniosłem małym zagiętym szpikulcem. W środku nie zobaczyłem nic, ale uczułem wiew z tunelu metra i usłyszałem łoskot pociągów mknących gdzieś daleko przez podziemne prerie. Szyb prowadził z lekkim nachyleniem w dół aż do stropu nad bocznicą.

Teraz przyszedł czas na wyściółkę. Umieszczenie jej w szybie zajęło nam tydzień, z czego cały dzień trwało przyklejanie górnej części do ścianki szybu pod pokrywą. Byliśmy już gotowi do rabunku, ale jeszcze się wstrzymaliśmy. Przystąpiliśmy do przygotowań logistycznych, chcieliśmy też jak najstaranniej zgrać wszystko w czasie.

Z chwilą, gdy szyb został ukończony i czekał idealnie zamaskowany, aż zaczną nim wędrować złote sztabki, przeżywałem nieustanny zawrót głowy, niczym niemowlę trzymane do góry nogami. Choć nie planowaliśmy ukraść całej zawartości klatki czterdzieści siedem, łącznie była ona warta prawie trzy miliardy dolarów.

Zaraz po zakończeniu wierceń opanowało mnie coś, co przerzuciło most między szczęściem a nieszczęściem. Z początku sądziłem, że nagły przyptyw pobudliwości, optymizmu i radości wiąże się z tym, że skończyłem pięćdziesiąt lat, ale przecież nigdy nie słyszałem, by ktoś mówił: „gdy stuknęła mi pięćdziesiątka, zbudziłem się rano i stwierdziłem, że jestem cudownie szczęśliwy”. Chronologia najwyraźniej nie miała z tym nic wspólnego. Skądkolwiek brało się owo poczucie szczęścia, zupełnie zdławiło we mnie żądzę zemsty i z łatwością wyparło myśli o pieniądzach. Dziś zupełnie mi na nich nie zależy.

Przyznaję, perspektywa ucieczki z kilkoma miliardami dolarów wprawiała mnie w co najmniej lekkie uniesienie, nie było ono jednak większe niż, powiedzmy, gdy wracałem z udanego eskortowania bombowców. Może właśnie o to chodziło. Znów czułem się młody, miałem wrażenie, że przebywam na morzu lub w powietrzu, ożywiało mnie to, że mogę wszystko zyskać i wszystko stracić, cieszyłem się, że ryzykuję, ponieważ w blasku ryzyka każdy ziemski kolor płonie niebiańskim ogniem. Rany, jakie zostały mi po rozwodzie, zblizniły się, przestałem patrzeć na kobiety jak na system drążków i bloczków powiązany z Constance – odrodziły się w moich oczach z całym swym złożonym pięknem i godnością, które niegdyś doskonale rozumiałem. Po latach zapominania o tym, czym jest miłość, zakochałem się ponownie. I jak zwykle bez wzajemności.

Dwa dni po tym, jak ukończyliśmy szyb, w skarbcu zjawiała się grupa meksykańskich bankierów i urzędników skarbowych. Kiedyś to ja przyjmowałbym ich na gorze i podejmował obiadem w niewielkiej jadalni. Oprowadziłbym ich po różnych działach i zaprosił do skarbcu. Teraz robił to ten tłusty wysztafirowany dupek Pulpett.

Gdy goście mijali moją klatkę, prawie nie podniosłem głowy, ale poczułem zapach perfum, od którego głowa zadrżała mi jak bicz. Uniosłem wzrok i zobaczyłem z profilu kobietę. Miała nie więcej niż dwadzieścia sześć-dwadzieścia siedem lat, była jakiejś pół głowy wyższa ode mnie, wyprostowana jak struna, miała białe szerokie ramiona i najbardziej królewską prezencję, jaką kiedykolwiek widziałem. Długie ciemne włosy upięte z tyłu głowy przy każdym poruszeniu się wprawiała w kontrpunktowy taniec, od którego zapierało mi dech. Nie umiem opisać proporcji jej twarzy, głębi i radości jej oczu, gracji jej rąk, piękna jej ruchów. Widziałem, że choć jest podatna na zranienie, postanowiła zobaczyć w życiu wszystko, co tylko zapragnie, czułem

też, że chce, by ktoś jej towarzyszył. Ledwie mogła ustać w miejscu: kroczyła z naturalnym wdziękiem, ale widać było, że wolałaby tańczyć.

Wstałem i wczepiłem ręce w przęty klatki. Usłyszała mnie i obróciła się. W normalnej sytuacji nic nie byłoby w stanie skrzyżować ścieżek takiej kobiety jak ona oraz robotnika w niebieskim kombinezonie – liczącego i przekładającego sztabki, a wieczorem wracającego do wynajętej kawalerki – lecz zapalałem do niej tak wielką miłością, tak pewnie się poczułem, tak wysoko wzbiłem się ponad to, czym jestem, że gdy spojrzeliśmy na siebie przez przęty, nie była w stanie odwrócić wzroku.

Przebiegło mi przez myśl, że może właśnie mnie pragnie. W czarodziejski sposób – wejrzeniem w przyszłość, pamięcią o przeszłości, a także, śmiem twierdzić, swoją miłością – zmiotłem klasowe bariery.

Jej towarzysze obrócili się i zastygli z zakłopotaniem. Twarz jednego z nich pociemniała z gniewu: zapewne zaczęła mu świtać myśl, że nawiązując kontakt wzrokowy i przytrzymując jej spojrzenie, obrażam ją – a ponieważ był Latynosem, może gotował się, by wystąpić w jej obronie.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem z akcentem, którego nauczyłem się od Zorro:

– *Buenos dias.*

Byłem tak butny, że w swej niebieskiej kurtce czułem się jak w rycerskiej pelerynie.

Szkoda, że jej wtedy nie widzieliście. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, rozjaśniły jej się oczy. Oddzielała mnie od niej stalowa siatka, ale czułem, że trzymam ją w ramionach. Zbyt długo tak stała i zbyt pięknie się uśmiechała, by nie wzbudzić poruszenia. A potem się odwróciła.

Mogłem odszukać ją tego wieczoru. Właściwie mogłem ją odszukać jeszcze tego popołudnia, ale miałem już pięćdziesiąt lat, pomyślałem więc o jej ojcu i matce, i spojrzałem ich oczyma: byłoby strasznie, gdyby ich wspaniała, zachwycająca córka, wyruszająca właśnie na podbój świata, uciekła z amerykańskim rabusiem banków. Ani jej nie odszukałem, ani nie poczułem się mniej szczęśliwy. Szczęście było płomieniem, który rozgorzał we mnie już wcześniej, i choć nie umiem tego wyjaśnić, miałem nadzieję, że nie zgaśnie.

Złoto jest bardzo ciężkie i mocno rzuca się w oczy, a ponieważ nie mieliśmy żadnych dodatkowych pomocników, należało się porządnie przygotować pod względem logistycznym. Musieliśmy znaleźć sposób, by zaraz po tym, jak sztabki wpadną w nasze ręce, przewieźć je w bezpieczne miejsce.

Kupiliśmy w tym celu samolot, wcześniej jednak, rzecz jasna, nabyliśmy farmę mleczną w New Jersey. Brzmi to może ekstrawagancko, ale tylko na pozór. Farma była długim prostokątem o powierzchni osiemdziesięciu akrów, przez krótki czas gospodarował na niej zdemobilizowany żołnierz, który niestety nie znał się na uprawie ziemi. Jego krowy zaczęły dawać mleko z cebulowym posmakiem, które zmuszony był sprzedawać po obniżonej cenie zakładom chemicznym produkującym farby dla artystów.

W miarę jak jego interes podupadał, żołnierz zabijał i przerabiał swoje krowy na mięso. Gdy zostały mu już tylko trzy- cztery sztuki, próbował podpalić oborę podczas burzy z piorunami, deszcz był jednak tak ulewny, że szef straży pożarnej od razu wykluczył uderzenie pioruna jako przyczynę pożaru. Towarzystwo ubezpieczeniowe nie wypłaciło ani grosza i żołnierz został z nadpaloną oborą, trzema podejrzanymi krowami dającymi cebulowe mleko i osiemdziesięcioma akrami ziemi, która porośla mleciami jak na obrazie van Gogha.

Żądał 7200 dolarów, daliśmy mu 6000, ponieważ ten bezużyteczny mleczowy prostokąt nadawał się na lotnisko. Oczyszciliśmy oborę, pomalowaliśmy ją, postawiliśmy ogrodzenie i powiesiliśmy wielką tablicę: „MUZEUM LOTNICTWA W RAMAPO”.

Zamówiłem ozdobną papeterię i otworzyłem rachunek bankowy jako Werner Guerneý, emerytowany pułkownik Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych; Smedjebakken wystąpił jako Paul Coligny St. Maurice de Longpoint, *attaché* Korpusu Lotniczego Francuskiej Afryki Równikowej. To nic, że nie znał słowa po francusku ani nawet nie umiał wypowiedzieć własnego nazwiska – samolot kupiliśmy w Arizonie, gdzie jego sporadyczne szwedzkie okrzyki wszyscy uważali za bardzo galijskie i bardzo wytworne. Ilekroć w trakcie doglądania samolotu lub muzeum (którego nie raczyliśmy udostępnić do zwiedzania) spotykaliśmy się z przedstawicielami sił powietrznych, przyjmowano mnie z honorami jako pułkownika Guerneýa – po latach służby w lotnictwie myśliwskim umiałem odegrać tę rolę perfekcyjnie. Nigdy nie spotkałem żadnego znajomego, może dlatego że większość z nich już nie żyła.

Sięgając głęboko do swoich rezerw finansowych – tak głęboko, że mój duch omal nie wyzwolił się z ciała – kupiłem dodatkowo transportowego C-54, który przetrwał wprawdzie drugą wojnę światową i wojnę koreańską, ale pod koniec służby w Korei wyremontowano go, by mógł służyć jeszcze długie lata. Wyposażony był w cztery silniki Pratt & Whitney R2000-11 i tysiąc milowymi skokami mógł przewieźć trzydzieści tysięcy funtów ładunku. Ta ostatnia liczba bardzo zgrabnie przekładała się na 1111 sztabek złota, które dziś byłyby warte jakieś 325 milionów dolarów.

Kupiliśmy też dwa dodatkowe pasy startowe położone w różnych kierunkach od naszego muzeum, zamierzaliśmy bowiem wywieźć w dwa różne miejsca dwa osobne ładunki – jeden dla Smedjebakkena, drugi dla mnie. Mogliśmy wziąć jeszcze więcej, ale nie chcieliśmy być chciwi. Zresztą 2222 sztabki byłem w stanie wyciągnąć ze stosu w taki sposób, by pozostawić z wierzchu na pozór nietkniętą konstrukcję. By się zorientować, że jest pusta, trzeba by zajrzeć do środka od góry, a ponieważ sześcian sięgał niemal do sufitu, żadna istota ludzka nie byłaby do tego zdolna. Jedynym sposobem przekonania się, że stos jest wydrążony, było przestawienie go – robiono to jednak zaledwie co pięć-dziesięć lat, ja zaś miałem ukończyć to zadanie tuż przed odejściem.

Nie mogłem się nadziwić, jak łatwo kupić pas startowy. Mam wrażenie, że gdy od wieśniaka z odludnych okolic ktoś odkupuje niemal bezwartościowy kawałek ziemi na pas startowy, jest to dla niego nie większa sensacja niż dla mieszczucha siedzącego na skrzynkach coca-coli w sklepie ze słodyczami widok kogoś, kto kupuje batonik. Mówicie: „chciałbym kupić pańską farmę”. A on od razu pyta: „na pas startowy?”. Choć w zasadzie mogło to mieć coś wspólnego z moim strojem. Jako właściciel Muzeum Lotnictwa w Ramapo musiałem wyglądać autentycznie, czasem nosiłem więc kurtkę pilota bombowca, pilotkę i gogle, biały szalik i ręczny chronometr (który przed wstąpieniem do sił powietrznych nazywałem zegarkiem).

Część ziemi, której wtedy nakupełem, być może wciąż jeszcze należy do mnie. Farma w Ramapo figurowała pod nazwiskiem pułkownika Wenera Guerneýa, podobnie jak pas na Florydzie, na słonej, inkrustowanej węzami równinie nieopodal Fort Myers, gdzie przeraziliśmy się nie na żarty, bo podczas przyptywu pas startowy zalewało morze.

Ziemię w Kolumbii, na Peninsula de la Guajira, zapewne użytkują teraz handlarze narkotyków. Poprzedni właściciele, dwaj bandyci z miasteczka zwanego Inusu, nie chcieli nawet wiedzieć, jak się nazywam. Zresztą Smedjebakken czuł się wyjątkowo niekomfortowo w południowoamerykańskim buszu, odjechaliśmy więc, nim dostaliśmy cokolwiek na piśmie – wygląda na to, że wpłaciliśmy jedynie zadatek.

Następny przystanek, w mikroskopijnej osadzie Boa Esperanca, w sawannie nieopodal Rio Branco, znajdował się już w Brazylii. Kupiliśmy tam sto akrów za czterdzieści pięć dolarów. Tysiąc mil dalej, w miasteczku Alto Parnaiba, nabyliśmy kolejne sto akrów, również za jakieś czterdzieści pięć dolarów, i tak dalej. Jediną osobą, która wie, gdzie znajduje się ostatni przystanek, jest Funio, lecz nie wie o tym, że wie.

Być może wie też Marlise, ale wątpię. W pewnym zasadniczym momencie naszego życia myślała prawdopodobnie o jakimś francuskim lub rumuńskim akrobacie, my zaś z Funiem byliśmy skupieni na czymś zupełnie innym. Przynależem Marlise, że nie powiem Funiowi o złocie, ale przecież nie obiecałem, że nie będę dzielił się z nim miłymi wspomnieniami, prawda?

Nigdy nie widziałem kogoś, kto byłby bardziej nie na swoim miejscu, niż Smedjebakken udający *attaché* lotniczego Francuskiej Afryki Równikowej w zapomnianym brazylijskim interiorze. Jego szwedzka twarz była zawsze taka rumiana, że co pewien czas sprawdzałem, czy nie oplątał go boa dusiciel. Pewnego razu, gdy dwaj Indianie, wyglądający dokładnie jak moja ciocia Louise i woniejący jakby smażonym kurczakiem, wieźli nas wiosłową łodzią po spokojnym dopływie Amazonki, kapelusz Smedjebakkena nagle poleciał w górę, uniesiony niespodziewanym porywem wiatru, poszybował w olśniewającym błękitnym powietrzu i spadł na lustrzaną powierzchnię rzeki.

– Niech to szlag! – wykrzyknął Smedjebakken. Ze słońcem przeświecającym przez włosy wyglądał jak apostoł ze średniowiecznego obrazu z elektrycznie zasilaną aureolą. – Umrę bez kapelusza! – Potem zawołał do Indian: – Kapeluszado! Kapeluszado! Łapcie kapeluszado!

Indianie byli zdezorientowani, ale za pomocą pantomimy i łamanego portugalskiego udało mi się wyłożyć im, o co chodzi. Problem w tym, że kapeluszado kierował się w stronę rozwidlenia rzeki, nazywanego przez Indian Chmurami bez Powrotu. Zwróciłem na to uwagę Smedjebakkenowi, którego odpowiedź – pamiętam to doskonale – brzmiała:

– Gównu mnie to obchodzi!

Indianie widzieli jego gesty, słyszeli gniewne komendy i byli zbici z tropu. W ich kulturze złość i pośpiech nie istniały. Nie istniało nawet nic takiego jak konflikt. Żyli w całkowitej hipnotycznej harmonii z naturą i byli tak łagodni, że moglibyśmy się od nich wiele nauczyć. Gdyby na przykład czuli taką potrzebę, mogliby spokojnie i delikatnie uśmiercić nas zatrutymi strzałami, wypatroszyć i zjeść oraz wypreparować głowy. Nie wiedzieli, co to niepokój i trwoga, i po prostu nie sposób było ich zirytować. Nawet gdy Smedjebakken dawał upust swej hysterii, przypatrywali mu się z uprzejmym zaciekawieniem, jak gospodyni przeglądająca półki z mięsem w supermarkecie.

Chyba nie bali się też śmierci: doprowadzili czółno tak niebezpiecznie daleko, że czuliśmy już, jak niewidzialne gumy ciągną nas w dół rzeki z tą samą nieodpartą siłą, jaka wypycha nas czasem przez poręcz mostu nad czarną wodą. Może dlatego byli tak nieustraszeni, że żyli z nieustanną świadomością, iż za chwilę mogą skończyć w kotle nad ogniskiem – lecz jakiegokolwiek było źródło ich fatalizmu, wiosłowali z taką precyzją i werwą, że ich mięśnie przeżyły się, a powietrze naokoło przypominało wyziew ze smażalni na Coney Island. Bez słowa zdawali się mówić, że decyzja należy do nas, lecz gdy Smedjebakken poobserwował przez chwilę, jak jego kapelusz podskakuje na coraz bardziej homeryckich falach, stracił zapał do pościgu.

– Niech sobie płynie – powiedział cicho. – Nie potrzebuję go.

– *Avanti!* – rozkazałem, jak gdybym siedział we włoskim pokoju hotelowym i posłaniec przyniósłby mi świeżo wypastowane buty.

Na szczęście w ich języku nie znaczyło to „naprzód”, niebawem znów płynęliśmy więc z miarowym pluskiem wiosł przez nieskończony, rozstłoneczniony gąszcz.

Smedjebakken nie lubił też jedzenia w tych zapadłych siedliskach, ponieważ było to pożywienie trudne i niebezpieczne – ja natomiast je uwielbiałem. Tuż po zachodzie słońca zasiadaliśmy w blasku koksowników, sączyliśmy ciepłe piwo z brązowych butelek bez etykiet, a brodac, który nie golił się od czasów bitwy pod Hastings, piekł na ruszcie coś, co nazywał kabobami z tapira. Później jedliśmy te kaboby, skwierczące od tłuszczu, unurzane w

paprykowym sosie, którego diabeł używał do malowania swego bentleya.

Z oczyma tak okrągłymi, jak gdyby ktoś rozwarł je nam laboratoryjnymi chwytakami, złani potem, z żołądkami krzyczącymi z rozpacz, jedliśmy ten wcielony ogień, żłopaliśmy ciepłe piwsko i braliśmy się za bary z daniem z fasoli, przygotowywanym według przepisu zaczynającego się od słów: „weź jedną fasolę i tysiiąc funtów czosnku...”.

Skrećaliśmy się przy tym i jęczyliśmy, omal nie spadaliśmy z naszych rozklekotanych drewnianych krzesel pod stoły, na których stało straszliwe jedzenie. Mimo wszystko uwielbiałem to, uwielbiałem nawet wówczas, gdy nocą wrzeszczeliśmy w agonii, a miniaturowi niemieccy naukowcy w naszych żołądkach w kółko budowali i wysadzali w powietrze hindenburga. Uwielbiałem to, bo było to trudne, a trudne rzeczy są dobre.

Smedjebakken inaczej się na to zapatrywał. Bądź co bądź był przyzwyczajony do złotych sucharków, śnieżnobiałego mleka i idealnie ocukrzonych borówek.

– Ty chyba to lubisz – powiedział kiedyś. – Naprawdę to lubisz. Myślę, że zwariowałeś. I myślę, że ja też zwariowałem, skoro pozwalam ci wybierać restauracje. Ilekroć zabieramy się do jedzenia, dochodzi do drugiej bitwy nad Marną.

– To jedyna restauracja w mieście – odparłem, pogrążony w radosnych halucynacjach wywołanych przez ból brzucha. – I w ogóle jedyny budynek.

Co wieczór „wybierałem” restaurację i co wieczór historia się powtarzała. Nasze żołądki były jak żołnierze podczas zimowej bitwy, pamiętam te zmagania do dziś tak żywo, jak gdyby czas stanął w miejscu. Nawet jaszczurki przyczajały się poza kręgiem światła z paleniska i obserwowały, jak sobie radzimy. *Olé!*

W Rio zażyliśmy leki na żołądek. Otworzyłem rachunek bankowy, znalazłem sobie mieszkanie i zorganizowałem wszystko tak starannie, że aż zacząłem się robić nerwowy. Mieszkanie było małe i eleganckie, z salonu wychodziło się na taras z fachowo utrzymanymi miniaturowymi drzewkami cytrynowymi, sosenkami i pelargoniami. Już sam ich zapach wystarczał, by zwariować ze szczęścia, nie mniejszej przyjemności dostarczały fale przetaczające się delikatnie po plaży. Kazałem sobie zamontować półki i wyruszyłem na żer do angielskiej księgarni. Do dziś mam książki, które wtedy kupiłem: kieszonkowy wariant jedenastego wydania *Britanniki* (choć musiałyby to być kieszenie jak u klauna), pełną wersję oksfordzkiego słownika języka angielskiego, święte teksty, tragedie greckie, Homera, Dantego, Szekspira, słowniki, encyklopedie zagraniczne, wielkie dzieła historyczne, Clausewitza, *Wiersze zebrane* W.B. Yeatsa, Stary Testament po hebrajsku, *Boską Komedię* Dantego po włosku, dzieła Pagnola, którego cenię wyżej niż Colette i Prousta, oraz czterysta dziewięćdziesiąt pięć innych książek.

Kto przy kamiennej balustradzie nie zemdleł od bijących z dołu kwiatowych woni, mógł podziwiać fale przyboju, biały piasek i setki półnagich kobiet opalających się w słońcu. W pogodne noce gwiazdy rozbłyskały z cichą wspaniałością, a gdy księżyc był w pełni, malował perłowy szlak na wodach zatoki, po obu stronach rozświetlając fale pchane ku brzegowi przez ciepły wiatr.

Moja kuchnia była dobrze zaopatrzona i rozmyślnie prymitywna: otwierała się na podwórze jak balkon i miała odpływ w podłodze. Miałem biurko, lampę, segregator, półkę z papeterią, nie miałem za to telefonu.

– Co będziesz tu robił? – spytał Smedjebakken, gdy siedzieliśmy w gasnącym świetle popołudnia.

– Czemu pytasz?

– Tu jest za dobrze. Umrzesz. No wiesz, jak ci, co umierają na Florydzie.

– Wymyślę sobie jakieś zadanie.

- Na przykład?
- Na przykład zniszczenie wszystkich roślin kawowca w Brazylii.
- Nie da się tego zrobić, dobrze o tym wiesz.
- Masz rację.
- No więc co będziesz robił?
- Pożyję sobie.
- Nie ma czegoś takiego – stwierdził Smedjebakken. – Musisz mieć coś, od czego będziesz planował uciec.
- Wspomnienia.
- Od wspomnień nie uciekniesz.
- Może się ożenię i będę miał dzieci i zacznę wszystko od początku. W międzyczasie poczytam sobie, pochodzę na plażę i postaram się nie utyć.
- Jesteś chudy jak szczapa.
- Po dwóch tygodniach jedzenia kabobów z tapira każdy byłby chudy. Ale to nie potrwa wiecznie, w naszym wieku łatwo przybrać na wadze.
- Ja się tym nie przejmuję. Jestem ojcem rodziny. Nie muszę się martwić, że dwudziestoletnie dziewczyny nie oglądają się za mną jak za galernikiem.
- A co ty zamierzasz robić?
- Przecież wiesz. Byłeś ze mną.
- Nie dalej niż w Szkocji.
- Odpłyniemy statkiem z Glen Lorne. Potem znikniemy.

W dniu, kiedy wszystko miało się dokonać, zbudziłem się rano w domu w Astorii i pomyślałem, że nigdy więcej nie ujrzę Nowego Jorku. Z pewnych względów było to błogosławieństwo, z innych nie. Później słyszałem – i widziałem na zdjęciach i w filmach – że moje miasto zatraciło swą dawną uprzejmość. Zawsze było niełatwym miejscem, jego mieszkańcy umieli jednak to rekompensować szorstką szczerością i ciepłem. Gdy wyjeżdżałem, te uczucia były w pełni rozkwitu, nawet przez sekundę nie wyobrażałem sobie, że kiedyś mogą zniknąć.

Podczas ostatniej jazdy metrem linii RR przyglądałem się rysom i wyrazom twarzy współpasażerów z taką czułością, jak gdybym oglądał je na fotografii z dawno minionych czasów. Nie wiedzieli, że są fotografowani. Nie rozumieli, że zanika tło, na którym rozgrywa się ich życie: bryza szumiąca wśród liści na Union Square i w Central Parku, blask słońca odbijający się złotymi refleksami od łańców złotych okien, połączenie dachów ze zbiornikami na wodę, pajęczyny schodków przeciwpożarowych, niknące kilwatery promów i holowników pyrkających po zatoce, nawet w najgorętszy dzień lata zostawiających za sobą szlaki nieskalanej śnieżnej bieli. Wszyscy wydawali się zupełnie nieświadomi istnienia tych pomników, znaków, pamiątek.

Kochałem to miasto. Była w nim moja krew, moja rodzina. Opuszczałem je i wracałem tylekroć, że musiała to być miłość. Widziałem je w czasie wojny, widziałem bogate, ruchliwe i oczarowane, widziałem metalicznie szare po zamieci, widziałem też w latach wielkiego kryzysu, gdy ulice wypełniał ciepły blask ognia z domowych palenisk jak w średniowiecznych grodach – ciche, skupione w oczekiwaniu na promień światła, pokorne i doskonałe jak małe dziecko.

Widziałem to wszystko i kochałem, a teraz jestem w drodze. Ze smutkiem chłonałem tysięczne widoki, które miałem bezpowrotnie porzucić, wiedziałem jednak, jaką wartość ma moment finału przeszywający włókna czasu niczym cięcie miecza. Choć zatrważająco krótki, obdarza wiecznym życiem wszystko, co wydaje się nagle utracone. I umacnia w nas żarliwość – coś, co po prostu nie istnieje w nienaruszonym, zabieganym życiu, któremu dane było toczyć się zgodnie z planem.

Kiedy wszedłem do banku, iskrząca się w moim wnętrzu elektryczność była jak burza z piorunami widziana z czterdziestu tysięcy stóp, gdy pioruny nie ustają nawet na chwilę, a ich błyski tańczą jak krople deszczu w nasyconym słońcem stawie. Bałem się, że niechcący uruchomię alarmy.

Nie wystarczyło mi wciągnięcie Oscovitz'a w tematykę pocałunkową i egzystencjalną – wyszedłem z klatki i odwiedziłem go jeszcze raz. Na mój widok aż się skulił.

– Sherman! – powiedziałem. – Goryludek przesyła pozdrowienia.

– Kto?

– Goryludek?

– Jaki Goryludek?

– Kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedział Oscovitz, przedstawiając się pomału na tryb „ucieczka”, który uruchamiał zawsze, gdy miałem nastroje dla niego nie do pojęcia.

– Goryludek mówi: L, nasmaruj sobie głowę olejkiem do opalania. B, otwórz serce na miłość kobiety, która cię kocha. F, naucz się galopować na koniu i przecinać dynie na pół samurajskim mieczem. E, gdy jesteś szczęśliwy, pošlij całusa świńskiemu ryjkowi w dziale mięsnym w Aiello's.

– Kto to jest Goryludek? – dopytywał się z niezwykłym dla siebie uporem.

– Ja. – Pokazałem kciukiem na swoją pierś. – Ja nim jestem, Sherman. Jestem Goryludkiem. Pracuję dla ciebie. Goryludek... pracuje dla ciebie. A dziś Goryludek kończy przekładanie sztabek w klatce czterdzieści siedem.

– Dobrze, świetnie – powiedział. – Jutro możesz zacząć przekładać w klatce czterdzieści osiem.

Dla niego była to naprawdę wielka chwila, wierzę też, że wierzył, że wierzę, że to naprawdę wielka chwila. Uśmiechnąłem się jak kot z Cheshire i tanecznym krokiem wróciłem do klatki czterdzieści siedem, a gdy zamknęła się za mną bramka, usłyszałem, jak ze wspaniałym hukiem startują moje cztery święte silniki, i ujrzałem, jak rozwija się cudny okrągły dywan nieba, uszyty z błękitu i kuleczek bawełny.

Miałem już zaplanowaną ścisłą procedurę: jak rozsunąć stos, opróżnić środek, spuścić sztabki na dół i odbudować zewnętrzne ścianki. Po zakończeniu operacji wycięta przeze mnie pokrywa szybu, i tak prawie niewidoczna, miała zostać przykryta tonami złota, a potem do klatki czterdzieści siedem nikt nie miał zajrzeć najprawdopodobniej przez całe lata.

Nigdy w życiu praca fizyczna nie sprawiła mi większej przyjemności niż wtedy, przez te osiem nieprzerwanych godzin, gdy karmiłem złotymi sztabkami skromną, lecz żarłoczną paszczę szybu zbudowanego przez Smedjebakkena. Po spuszczeniu kilkuset sztab byłem już pewien, że Smedjebakken jest na posterunku i je odbiera. Gdyby go tam nie było, utknęłyby w tunelu.

Po jakichś czterech setkach zacząłem odczuwać zmęczenie, lecz im bardziej byłem zmęczony, tym bardziej się rozogniałem. Czułem, że zalewają mnie fale rozkoszy, jak zawsze przy wyczerpanym wysiłku. Moje mięśnie sztywniały i płonęły niczym tragarzowi podczas nadgodzin, zastanawiałem się nawet, czy nazajutrz będę w stanie poprowadzić C-54 do Nowej Fundlandii, jak planowaliśmy.

– Klatka czterdzieści siedem skończona – oznajmiłem Oscovitzowi.

– O, to dobrze... dobrze... Goryludku – odparł Oscovitz. – Jutro zaczniesz czterdzieści osiem.

– Nie, Sherman – powiedziałem cicho, trzeźwo, poważnie. Moje słowa brzmiały dla mnie jak świst maczet wyrębujących drogę przez dławiacą dzunglę, za którą czeka otwarte morze.

– Nie?

- Nie, Sherman.
- A to dlaczego?
- Zawahałem się.
- Bo już nigdy mnie nie zobaczysz – powiedziałem łagodnie.
- Uśmiechnąłem się, odwróciłem i poszedłem do windy.

Trwała właśnie pora huraganów. Mecze baseballu przerywano z powodu deszczu, domki na plaży zabijano deskami, na próżno cumowano lodzie w portowych basenach wzburzanych przez wichę. Próbowałem przekonać Smedjebakkena, żebyśmy odłożyli loty na później, ale odmówił – musiał się zmieścić w swoich terminach.

Podczas gdy ja w pojedynkę organizowałem sobie przeprowadzkę, on, zręczniejszy w kontaktach z ludźmi, ufniejszy i lepiej przystosowany do pracy zespołowej, zlecał innym zadania, na których ja łamałem sobie zęby – na przykład gdy wypełniałem formularze po portugalsku lub czekałem półtorej godziny w kolejce na pocztę, gdzie chłopcy w okienkach czytali groszowe powieści, rozmawiali o baseballu i jedli krewetkowe cukierki. Nie znosiłem brazylijskich krewetek na słodko, śmierdzą prawie równie paskudnie jak kawa. Ale i tak najgorsze słodczyce na świecie to chińskie ciastka z gołębi. Gdy zjadłem kiedyś jeden kęs w Singapurze, musiałem potem przez tydzień leżeć w szpitalu.

Smedjebakken pojechał do pewnego europejskiego miasta, spotkał się z pewnym obywatelem i złożył mu propozycję. Chciał uzyskać obywatelstwo i nową tożsamość dla siebie, żony i córki. Chciał mieć pałac niedaleko stolicy, dyskretnie otoczony olbrzymim prywatnym parkiem. Chciał, by wprowadzono w nim istotne zmiany, na przykład wybudowano kryty basen pływacki. Chciał mieć kompetentną i zaufaną służbę, letni domek na wybrzeżu, kilka samochodów zarejestrowanych na swoje nowe nazwisko oraz skromne, lecz eleganckie mieszkanie w przyjemnej dzielnicy stołecznego miasta. Chciał też w razie potrzeby mieć zapewnioną ochronę rządową – w nieograniczonym zakresie.

- Kim pan jest, dyktatorem? – zapytano go. – Nie znam pana.

Na to pytanie łatwo było odpowiedzieć, przy następnym jednak Smedjebakken się zawahał.

- Czy jest pan przestępcą?

– Kraj ten, którego nazwy nie mogę wyjawic – opowiadał mi potem Smedjebakken – jest krajem filozofów moralnych. Dzieci uczą się tam kategorii moralnych, tak jak dzieci w Ameryce uczą się o Indianach. Powiedziałem mu więc: „Pod względem moralnym nie jestem przestępcą, przywłaszczyłem sobie bowiem olbrzymie bogactwo należące do *immoraliste*. Jestem niewinny jak święty Franciszek z Asyżu”.

– Święty Franciszek z Asyżu? – padła odpowiedź. Mimo wszystko było to dziwne porównanie.

– A każdy, kto mi pomaga, jest *moralistę* wyższego rzędu. Ci, którzy mnie wspierają, nie tylko zostaną wynagrodzeni, ale spłynie też na nich część chwały.

Rozmówca Smedjebakkena nabrał tak potężnego tchu, że pierś wydeła mu się jak gołębiowi. Szybko się zgodził i był bezwzględny w wyznaczeniu opłaty.

Według dzisiejszych cen złota rozpoczęcie nowego życia kosztowało Smedjebakkena trzydzieści pięć milionów dolarów, z czego dziesięć zainkasował gołąb. Nie były to jednak źle wydane pieniądze. Zakładając, że nie spieniężył złota od razu, dziś powinien mieć jeszcze co najmniej dwieście pięćdziesiąt milionów na zakupy w warzywniaku, nie musiał się więc targować o cenę azylu. Ze mną jest trochę inaczej. Wszystko zawsze robię sam i jestem wielkim ciułaczem, dlatego zostały mi jeszcze jakieś trzysta dwadzieścia cztery miliony, co prawda ukryte

w trudno dostępnym miejscu. Miałem ochotę zrobić to samo co Smedjebakken, byłem jednak zbyt dobrze znany w europejskich kręgach, musiałem więc uciec na antypody, gdzie nikt mnie nie zna i gdzie wszystko jest kłopotliwie odwrócone do góry nogami.

By jak najszybciej uiścić opłaty, przekupić urzędników, przysposobić pałac i wybudować pływalnię, Smedjebakken musiał przetransportować złoto przez Atlantyk jeszcze w porze huraganów. Mimo wszystko wrzesień to najlepszy moment do lotu przez północny Atlantyk, huragany nawiedzają go w pomniejszonej postaci, wydaje się wręcz, że wieją tylko po to, by zraszać wilgocią topniejące góry lodowe.

Dla mnie ta pora była nieco niebezpieczniejsza. Zaraz po powrocie z Glen Lorne musiałem załadować samolot i lecieć do Fort Myers, potem nad Karaibami do Amazonii i jeszcze dalej. Samolot miał być maksymalnie obciążony i bez rezerwy paliwa, nie było więc mowy o okrążaniu sztormów czy przelatywaniu nad nimi, musiałem się przez nie mozolnie przebijać.

Wieczorem spotkałem się ze Smedjebakkenem i poszliśmy się pokrzepić dobrą kolacją – czekał nas przeładunek sztabek z pociągu technicznego na ciężarówkę zaparkowaną przy końcu nieużywanej bocznicy metra w Washington Heights. Zawsze jedliśmy porządnie, gdy byliśmy na powietrzu – dziczyznę, świeżą kukurydzę, pomidory, szpinak, bazylię, bulion z małży – tym razem jednak ograniczyłem się do koktajlu mlecznego i kanapek z wołowiną.

Usiedliśmy przy ladzie baru u zbiegu 100th Street i Broadway, w okolicy znanej mi jeszcze z czasów kurierskich. Właściciel lokalu, który wyglądał jak żywa kopia Ottona Premingera, ani na chwilę nie odstępował nas dalej niż na wyciągnięcie ręki, musieliśmy więc rozmawiać szyfrem.

– Odebrałeś biustonosze? – zapytałem.

– No – odparł Smedjebakken. – Co do jednego.

– Widział cię ktoś?

– Nikt. Myślałem, że nie przeżyję tego wyciągania z rury. Cały jestem obolały. A jak u ciebie?

– W porządku. Ale wiesz, ja tylko wpuszczałem je do dziury.

Widziałem, że Ottona Premingera przyciąga do naszej rozmowy coraz potężniejsza siła. Starał się ukryć zaciekawienie, polerując szklanki i gapiąc się w przestrzeń, lecz jednocześnie nadstawiał uszy. Nie przejmowaliśmy się tym zbytnio, nie miał szans się połapać, o czym mówimy.

– Gdzie są teraz biustonosze? – spytałem Smedjebakkena.

– W tunelu, bezpieczne.

– Przewieziemy je po zmroku.

– Może jedźmy od razu?

– Policja stanowa w New Jersey jest znana z podejrzliwości, pełno jej na drogach. Za dnia, zwłaszcza w świetle zachodzącego słońca, biustonosze będą rozsiewać blask. Lepiej zrobić to nocą.

– Mam cholerną nadzieję, że nie złapiemy gumy – stwierdził Smedjebakken. – Nie sądzę, by jakikolwiek lewarek zdołał podnieść tę ciężarówkę. Musielibyśmy wyładować biustonosze i ułożyć je na poboczu.

– Nie martw się – powiedziałem. – Jutro o tej porze będziemy już głęboko w lasach Nowej Fundlandii.

Nie jestem najlepszy w pilotowaniu wielosilnikowych samolotów. Właściwie nigdy przedtem takiej maszyny nie prowadziłem. Przeczytałem parę podręczników i sporo o tym myślałem, nim wróciliśmy do New Jersey, ale takich rzeczy właściwie nie sposób się nauczyć od

razu, trzeba ćwiczyć manewry pod okiem doświadczonego instruktora. Ja musiałem zrobić wszystko od razu i to po raz pierwszy w życiu.

Byliśmy pewni, że zginiemy już podczas startu, gdy podwozie zaryło głupio o jakąś nierówność pasa startowego. Już tak odwykłem od latania, nawet jednosilnikowymi maszynami, że słowo „podwozie” bardziej kojarzyło mi się z samochodem.

Łądowanie też nie wyszło mi najlepiej. Jeszcze nigdy tak nie koziółkowałem podczas lądowania jak wtedy, na porośniętym mleczami pasie Muzeum Lotnictwa w Ramapo. Bałem się też posadzić maszynę z pełnym obciążeniem. Mimo wszystko, choć ryzykowaliśmy życie, nie zrezygnowaliśmy z zabrania nawet jednej sztabki. Mieliśmy po prostu wyznaczone zadanie – nie chodziło nawet o pieniądze, lecz o to, by wykonać je do końca. Większość złodziei uznałaby pewnie takie podejście za niezrozumiałe.

Wszystkie liczby, jakie występowały w naszym planie, musiały być ogromne lub okrągłe, wszystkie godziny dokładne. Kto nigdy w życiu niczego nie ukradł, sądzi zapewne, że kradnie się dlatego, że chce się coś mieć. Tak nie jest. Kradnie się z tego samego powodu, z jakiego się pracuje lub podejmuje wyzwania – a wiercie mi, kradzież to praca. Kradnie się z tej samej przyczyny, z jakiej łyżwiarz ćwiczy przed olimpiadą, kompozytor komponuje, a kierowca ciężarówki stara się skrócić swój kurs.

Decyduje o tym dokładnie ta sama iskra, która każe fabrykom pracować na okrągło, legendarnego siłacza Johna Henry’ego skłoniła do wyścigu z młotem parowym, a psom zaprzęgowym pozwala biec radośnie przez dziesięć godzin na mrozie, przy którym zamarza dym. To dzięki niej śpiewają maszyny, a krew płynie w żyłach.

Nie mówię tu o wyciąganiu portfeli z cudzych kieszeni ani o włamywaniu się do domów i przetrząsaniu szuflad w poszukiwaniu kuponów rabatowych do supermarketu. Ani o sprzedawaniu emerytom z Bensonhurst podmokłej ziemi na Florydzie, w której roi się od aligatorów jak od larw. Ani o wejściu do banku w dynamitowym naszyjniku i narażaniu życia zupełnie niewinnych ludzi. Dla mnie definicją kradzieży jest obrabowanie Luwru, Fort Knox, londyńskiej Tower lub głównego skarbcza Centrum Diamentów w Antwerpii.

Cała reszta jest dla termitów. I pytam was: czego się spodziewaliście? Miałem zapomnieć o tym, co widziałem i co robiłem? Atakowałem Berlin, gdy był tam jeszcze Hitler. Uciekłem ze szwajcarskiego szpitala psychiatrycznego z kobietą, którą ciągle kocham, choć od dawna nie żyje, pojechaliśmy razem za koło podbiegunowe i stanęliśmy u stóp zorzy polarnej. Byłem jednym z najbogatszych ludzi na świecie, byłem też chłopcem, który ciężko harował i odkładał pieniądze, żeby kupić sobie pączek z cukrem pudrem i parę broszurek z nutami. Wałęczyłem u boku aniołów, wysoko nad ziemią, gdzie powietrze jest rzadkie jak hel, a przegrana równa się eksplozji słonecznego blasku. Z zaciśniętymi zębami i zmrużonymi oczyma nurkowałem prosto w artyleryjski ogień, jakby ściągany siłą grawitacji. Byłem żołnierzem wielkiej armii, która w ciągu paru lat zdobyła pół świata. Przepląnąłem ocean, śmigłem wśród chmur, muskałem podwoziem fale Hudsonu, rozcinając Śmigłem korony lilii wodnych. Widziałem, jak giną narody i jak rodzą się nowe.

Czemu więc nie Luwr? To przecież tylko duży budynek wypełniony olśniewającymi odbiciami tego, co znamy z codziennego życia, wielkimi i małymi. Gdyby to było spokojne stulecie, a mój kraj był prowincją, może łatwiej byłoby mnie zadowolić – świat jednak przeorały rzeczy wielkie i straszne, a ja znalazłem się w samym ich sercu. Jawiły się jako siła, która rozpala zorzę, ściskając miriady nieznaczących cząstek i rozstrzeliwując je w ognistą kurtynę na niebie. W wielkich czasach każdy człowiek staje się królem: to cena, jaką płacą królowie, gdy nie potrafią zachować energii, która utrzymuje ich na tronach.

Zabraliśmy więc sztabki co do jednej, nawet ryzykując życie, ponieważ ważne było, by

żadnej nie zostawić. Naszego postępu nie da się usprawiedliwić inaczej, niż mówiąc, że był trochę jak muzyka: żadna teoria nie potrafi wyjaśnić przyjemności i głębi muzyki, żadna matematyka nie umie sprostać jej krnąbrnemu pięknu, lecz gdy wszystko jest w niej na swoim miejscu, rodzi się doskonałość zrozumiała dla wszystkich.

Dlatego kiedy wystartowałem pewnego niespokojnego mokrego ranka, gdy wiatr niósł wysokie, grube chmury i polerował rozległe połacie wilgotnego błękitu, byłem szczęśliwy.

Tego, co zrobiliśmy, nie uważaliśmy ze Smedjebakkenem za akt rabunku i zemsty, lecz śmiałości i wiary. I gdy wzbijaliśmy się w burzliwe powietrze, byliśmy w niepojęty sposób poruszeni.

Obrałem kurs północno-wschodni i odlecieliśmy samotnie ku niebieskozielonym puszczykom Nowej Fundlandii. Niebawem Hudson zwęził się do rozmiarów srebrnego sznureczka, a przecinane przezeń rozległe pola, na których się wychowałem, zniknęły pod chmurami.

1914

Jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, odłóżcie przeczytane kartki do mrówkoszczelnej kasety.

Wyrzucono mnie z akademii. Gdy byłem w szpitalu, moje zajęcia prowadził Watoon. Przyjawszy na siebie dwa razy więcej obowiązków i nie mając do kogo zwrócić się o pomoc językową, doznał niejakiego załamania nerwowego. Niezdolny do pracy szukał ratunku w swej świętej księdze, frazeologii watońskiej angielszczyzny, i kazał kadetom czerpać wiedzę bezpośrednio z niej.

Tymczasem akademię odwiedził angielski ambasador, człowiek wyniosły i pełen godności. Gdy wprowadzono go do sali Watoona, dał znak, by ten sobie nie przeszkadzał – i przez chwilę tak było. Zajęcia musiały wyglądać osobiście, ale ambasadorzy są przyzwyczajeni do takich rzeczy. Potem jednak Watoon zaczął igrzać z losem.

- Jak się pozdrawia angielską osobę z Anglii?! – zawołał do swoich podopiecznych.
- Wal się! – zaintonowali zgodnym chórem.
- Wal się... kto? – spytał, przechylając głowę i przykładając zwiniętą dłoń do ucha.
- Wal się, angielski zasrańcu! – wrzasnęli kadeci, nie mając najmniejszego pojęcia, co mówią.

- Powiedzcie tak jeszcze raz do naszego gościa. Wstańcie z miejsc!

Wszyscy powstali, obrócili się do zdumionego ambasadora i krzyknęli:

- Wal się, angielski zasrańcu!

Ambasador spojrział na *comandante*, ten jednak uśmiechał się błogo, gdy więc zorientował się, że jest osamotniony, posłał wściekłe spojrzenie Watoonowi. Watoon odpowiedział mu z wyrazem absolutnej niewinności i szerokim uśmiechem na twarzy:

- Pocałuj mnie w dupę!

Był to oczywiście koniec jego kariery. Ale też mojej. Usiłując ratować własną skórę, Watoon powiedział *comandante*, że to ja nauczyłem go wszystkiego, co miał w swojej świętej księdze, a ponieważ *comandante* od dawna wiedział, że Watoon przy każdej okazji zwraca się do mnie o pomoc, zwolnił także mnie.

Nawet gdyby starczyło mi energii, by szukać sprawiedliwości w brazylijskich sądach, nie miałyby to już sensu: na nasze miejsce akademii zatrudniła dwóch Anglików, którzy, jak słyszałem, pięknie mówią i są ekspertami w nauczaniu swego języka. Jeśli mam być szczerzy, sądzę, że kadeci będą mieli ogromne problemy z nauczeniem się brytyjskiej wymowy, choćby takich słów jak „ma-hynaaah-ka wo’enna”, ale ich problemy to drobnostka w porównaniu z moimi.

Na odchodne przyznano mi emeryturę wystarczającą na kupienie mango, dwóch tabletek aspiryny i znaczka pocztowego. Mam wprowadzić złoto, ale jestem fizycznie niezdolny, by się do niego dostać. Zresztą i tak zawsze uważałem, że olbrzymi majątek zmieniąby Marlise na gorsze. Wielkie bogactwo przypomina tygrysa: jest piękne, zniewalające, a gdy na nie trafimy, pożera nas. Pożarło również Constance, Marlise zaś nawet w szczytowej formie jest mniej czujna niż Constance po wielkiej butli szampana.

Funio mimo całej swej błyskotliwości nie byłby w stanie wydobyć choćby jednej sztabki ani nawet dostać się do nich. Musiałby być znacznie starszy i większy. Zresztą przyrzekłem Marlise, że nie powiem mu, gdzie znajduje się złoto ani że w ogóle je mamy. Marlise wie o istnieniu tygrysa i nie chce, by pożarł jej dziecko.

Ja już jestem zbyt słaby, by tam dotrzeć, poza tym nikomu nie ufam, bo po prostu nie

mam komu zaufać. Zresztą co mógłbym z tym złotem zrobić prócz przedłużenia sobie życia, które codziennie uświadamia mi coraz dobitniej, że dotarło już do swego naturalnego kresu? Jeśli umrę, wymknę się potencjalnym zabójcom. Jeśli zdążą mnie dopaść, ich kule przyniosą mi wzniosłą satysfakcję.

Siedzę w ogrodzie w Niterói. Znów jest wczesny ranek. Przed chwilą spadł deszcz. Błękitne fale, które z tej wysokości wydają się zupełnie bezgłośnie, znów przyciągają mnie do siebie. Kwiatowe rabatki parują wilgocią, prócz mnie nie ma tu nikogo. Czasami zastanawiam się, po co właściwie żyłem przez te wszystkie lata od 1914 roku. Powinienem być umrzeć już wtedy. Gdy nadszedł mój czas, miałem dziewięć lat, całe moje późniejsze życie przeniknięte było głębokim smutkiem. Śmierć będzie dla mnie jak cudownie krzepiący sen.

Miałem kiedyś fotografię ojca zrobioną na Filipinach podczas wojny amerykańsko-hispańskiej. Ojciec w oficerskim mundurze klęczał na jednym kolanie pomiędzy dwoma filipińskimi żołnierzami, wszyscy trzej wpatrywali się w mapę naszkicowaną na piasku. Filipińczycy podpierali się na karabinach. Ojciec nie był podparty, na nosie miał druciane okulary, w zębach ścisnął fajkę. Ktoś musiał powiedzieć coś zabawnego, bo cała trójka się śmiała. Nie był to ani nerwowy grzecznościowy chichot, ani potężny rechot, przy którym człowiek skręca się i zamyka oczy, tylko zwykły radosny śmiech. Wszyscy trzej wyglądali zdrowo i wesoło, jak gdyby wcale nie byli na wojnie. Przez całe moje osiemdziesięcioletnie życie nie widziałem nikogo, kto byłby równie odprężony, silny i zadowolony. Jako dziecko często wpatrywałem się w to zdjęcie, marzyłem, że gdy urosnę, będę się czuł tak samo jak ci mężczyźni przykucnięci na ziemi – i czasem pewnie się tak czułem, ale nigdy tak bardzo jak mój ojciec w tamtej chwili, przed moim urodzeniem. Widziałem to w cudownym wyrazie jego twarzy.

Zdjęcie mojej matki było zupełnie inne, choć pochodziło mniej więcej z tego samego czasu. Zrobiono je w altanie przy nabrzeżu na wypoczynkowej wyspie na jeziorze Erie. Matka spoglądała w obiektyw, stała wyprostowana w białej wiktoriańskiej sukience i słomkowym kapeluszu ze wstążkami, ciemne włosy spływały jej kaskadami wokół opalonej twarzy. Nigdy nie uchodziła za piękną kobietę, była zbyt wysoka i miała nietypowe rysy, lecz jej twarz cechowało tak wiele wyrazu i tyle życia, że wydawała się naprawdę urodziwa. W tamtych czasach ideałem urody była kobieta pulchna, okrągła i słabowita, moja matka zaś była koścista, chuda i silna. Dziś pewnie podobałaby się bardziej, ale i tak nie mieściłaby się w bezmyślnych standardach, które zwykle biorą górę w ocenianiu kobiecej urody.

W dzieciństwie często medytowałem nad tymi zdjęciami. Byłem przekonany, że nigdy nie będę miał ani siły i witalności swego ojca, ani szczęścia, by poznać taką kobietę jak moja matka... Aż pewnego razu naszło mnie wspaniałe olśnienie, nagłe jak błyskawica: z rozkoszą zdałem sobie sprawę, że skoro jestem ich synem, to jednak mam szansę odziedziczyć ich siłę i grację.

Te zdjęcia stały się dla mnie czymś na kształt świętych ikon. Wystarczył jeden rzut oka i od razu wypełniały mnie wspomnienia i miłość, wystarczyło, że się w nie zapatrzyłem, i do cna zapomniałem o terażniejszości, wystarczyło, że się nad nimi głęboko zamyśliłem, a przenosiłem się w czasie i czułem się tak, jakby moi rodzice jeszcze żyli.

Umiłowałem sobie te fotografie ponad wszelką miarę. Chciałem, żeby pochowano je ze mną lub spalono, byśmy mogli razem zejść z tego świata – czy to przez powolne utlenianie, czy przez szybki ogień. Straciłem je jednak podczas lądowania w Brazylii. Porwała je rwąca woda, woda rozpuszczająca, woda płynąca i pełna tlenu.

Urodziłem się niefortunnie, bo pod koniec grudnia 1904 roku. Zawsze byłem przekonany,

pewnie wbrew logice, że dzieci urodzone w środku lata, gdy świat zalany jest światłem, lubią lato i wszystko co jasne, a dzieci urodzone w ciemniejszych miesiącach jedynie lękają się zimna i ciemności. Czasem lubiłem zimę – gdy była sucha, gdy rozległe połacie ośnieżonych pól rozświetlone były słońcem i księżycem – na ogół jednak źle ją znosiłem. Zimą nigdy nie mogłem się rozgrzać. Nasz dom nie miał centralnego ogrzewania, nie lubiłem zajmować się piecem, nienawidziłem też tego, że gdy pochłonęła mnie książka lub jakiś ciekawy problem w tekście, potem byłem w połowie uwędzony, a w połowie zamrznięty. Zimą przy opalonym drewnem piecu jest trochę jak na księżycu: istnieje tylko ogień i lód, bez stanów pośrednich.

Moje urodziny i Boże Narodzenie były zrośnięte jak syjamskie bliźnięta. Rodzice na tym korzystali, mogli kupować jeden prezent zamiast dwóch, mnie to jednak nie pocieszało: byłem dzieckiem i w swej dziecięcej niewinności chciałem mieć jak najwięcej.

Oczywiście nigdy nie dostawałem wszystkiego, czego bym pragnął, ale i tak największym prezentem był dla mnie styczeń, gdy światło zaczyna nabierać siły i dzień staje się coraz dłuższy – wszelkie świąteczne i urodzinowe podarki bledły wobec oznak powracającej jasności. Prezentem był nawet luty, miesiąc rozpacz, gdy potężniejące światło zasłaniają potężniejące chmury, miesiąc, który – o ile pamiętam – nigdy nie był tak krystaliczny jak jego poprzednik. Nawet marzec, miesiąc zdrady, gdy nadchodzącej jasności stawiają opór burze i wichry, nawet kwiecień, dobrze znany ze swego okrucieństwa i zbyt obfitych deszczów – przez całą tę resztkę zimy, gasnącą pomału, narastało olśniewające *crescendo* światła.

Gdy nadchodził czerwiec, moje pęknięte serce było już dawno wyleczone, świat wydawał się radosny i pełen optymizmu. Mieszkaliśmy nad Hudsonem. Żeby dotrzeć nad rzekę (umiałem to zrobić z niewiarygodną szybkością), trzeba było przemierzyć dwa piękne, zalane słońcem pola i zejść stromą ścieżką przez dębowy las, minąć kamienną zaporę i przesadzić wypływający spod niej strumień, zejść z jeszcze jednego wzgórza i przez gąszcz wysokich traw przedrzeć się do nasypu New York Central Railroad. Dopiero za torami rozpościerała się plaża, potężna misa rzeki i odległe góry. Główny kanał żeglugowy, po którym przez cały rok prócz najciemniejszych miesięcy zimy kursowały żaglowce i parowce, ciągnął się hen, w obie strony, w sporej odległości od brzegu.

W miarę jak roستم i nabierałem sił, pokonywałem tę trasę coraz szybciej: po latach praktyki znałem każdy zakręt, każdy krok, każde zбочe. Umiałem przeskakiwać nad drzewami obalonymi na ścieżkę: wyciągałem naprzód prawą lub lewą nogę, zależy jak wypadł mój krok, i leciałem, nie widząc nawet, co jest po drugiej stronie, bo po tysiącach takich skoków i tak już wiedziałem to doskonale. Moje wyprawy z domu nad rzekę mogły się przez to wydawać lekkomyślne. Im bardziej roستم, tym szybciej biegałem, tym dłuższe były moje skoki, tym wyżej szybowałem nad przeszkodami.

Czasami wręcz zdejmował mnie lęk, gdy moje nogi, lepiej niż ja znające ścieżkę i wiedzące, co robić, wyciągały się jeszcze dłużej i mocniej, niż chciałem. Czasem wybijałem się w powietrze tak daleko, że niemal leciałem.

Nocami śniło mi się, że odrywam się od ścieżki i już nie ląduję. Ten sen wydawał mi się bardziej rzeczywisty niż jawa, dlatego postanowiłem nauczyć się latać – nie szybować czy wznosić się balonem, tylko śmigać jak pocisk, jak strzała wystrzelona przez mocny, pełen gracji mechanizm. Miałem dziewięć i pół roku. Było lato 1914.

Dziś często uważa się, że było to ostatnie niewinne lato w dziejach świata. Jest to jednak punkt widzenia młodszej generacji, która nie może pamiętać – tak jak ja ich pamiętam – weteranów wojny secesyjnej. Czy żołnierze, którzy walczyli pod Gettysburgiem lub Chancellorsville, mogli być niewinni? Jedyne niewinność, jakiej kiedykolwiek doświadczył świat, istniała w raju, w polityce zagranicznej Woodrowa Wilsona oraz w sercach rodzących się

dzieci. W 1914 roku nie każdy żył tak beztrudnie jak ja, i dobrze o tym wiedziałem.

W czwartek 4 czerwca 1914 roku nie byłem już okutany w zimowe ubrania, i tak nie dość chroniące przed zimą, nie musiałem brnąć pięciu mil do szkoły przez błoto i pluchę, byłem jeszcze za młody na egzaminy i nie posiadałem się z radości, że zaczyna się lato. Ponieważ nauczyciele zajęci byli nadzorowaniem egzaminów w starszych klasach, w szkole nie prowadzono już lekcji, młodsze dzieci spędzały większość dnia na wolnym powietrzu. Bardzo mi to odpowiadało.

To czwartkowe popołudnie, które spędzałem po królewsku, wznosząc tamę na strumyku – w końcu to mojemu pokoleniu udało się zatopić połowę stanu Tennessee – zostało nagle przerwane, gdy moją klasę wezwano na warsztaty. Nasz nauczyciel był emerytowanym majorem piechoty morskiej, weteranem bitwy w zatoce Mobile. Był doskonałym mechanikiem i zamiłowanym antykwariuszem. Na ścianach i pod sufitem jego ogromnej pracowni na poddaszu wisiały machina latająca przypominająca aeroplan braci Wrightów, eskimoski kajak, sfatygowany wypchany tygrys i tysiące pomniejszych przedmiotów: bumerangi, cekaemy Gatling, egipskie sztuce, japońskie przybory kuchenne, maski, miecze, malunki z wielorybami wyciągniętymi na brzeg oraz potwornie ciężkie wahadło, które nic sobie nie robiło z gnuśnych obrotów kuli ziemskiej i niezłomnie tkwiło w miejscu, zapatrzone jedynie w nieskończoność.

Major był człowiekiem dobrym, choć porywczym. Przed każdym uruchomieniem maszyn kazał nam się modlić. Klasa zgodnie składała ręce i w milczeniu pochylała głowy, tymczasem snopy rozświetlonego słońcem kurzu pracowicie rozcinały przestrzeń poddasza na idealnie równe części, a zbłąkane pszczoły przemykały przez światło jak krople topniejącego złota. Naszą modlitwę cechowała prostota – prosiliśmy o to, by nie uderzyło nam do głowy nadmierne poczucie stwórczej mocy i byśmy nie poucinali sobie palców.

Maszyny były niebezpieczne – piły taśmowe i tarczowe jak z serialu *Perils of Pauline*, prasy i przecinaki, które mogły pozbawić dziecko członków równie szybko, jak żabi język pozbawia życia moskita, i z równie małymi wyrzutami sumienia. Dziś dzieci nie naraża się już na takie niebezpieczeństwa, w tamtych czasach jednak maszyny uosabiały świetlaną przyszłość, ich moc nie była jeszcze spowita mroczną, złowrogą aurą. A i ku utraپieniu lokalnych władz wiele rąk miało więcej palców niż powinno.

Major nie chciał, by powierzone mu dzieci ucinały sobie ręce, modlitwę uzupełnił więc odpowiednią strategią. Wykorzystywał kawę, a raczej kawowe ziarna, które trzymał w papierowym kubku z czaszką i piszczelami. Ponieważ był nawykły do przeczesywania wzrokiem rozległych morskich przestworów z mostków kapitańskich oraz wypatrywania wrogów na lądzie, łypiących groźnie z leśnych gąszczy, niewiele uchodziło jego uwagi.

Stojąc przed nami z kubańskim cygarem w ustach, potrafił ogarnąć całą klasę jednym spojrzeniem i jeśli spostrzegł, że któryś uczeń trzyma narzędzie w niewłaściwy sposób lub próbuje palcami wyciągnąć zawadę spod rozpędzonego ostrza piły, jednym pociągnięciem wielkiej dźwigni wyłączał umieszczone nad nami koła zamachowe, na których zainstalowane były skórzane pasy napędzające maszyny.

Uratowawszy w ten sposób palce delikwenta, przystępował do ratowania jego duszy – i w takich właśnie okolicznościach 4 czerwca 1914 roku ja także zostałem wezwany do zmierzenia się z kubeczkiem z trupią czaszką.

Major zwrócił się do mnie w oficjalny sposób, zarezerwowany dla młodszych dzieci. Mówił do nas „panno Adams” lub „panie Bernstein”, a gdy chciał podkreślić jakąś cechę naszego charakteru, także „doktorze Smith”, „profesorze Alford”, „generale Osborne” czy „wielebny ojciec Antrobusie”. Pokpiwał sobie z nas, ale łagodnie, a w jego głosie nieodmiennie

pobrzmiwały zachęta i szacunek, jak gdyby umiał wejrzeć w przyszłość.

Od razu wiedziałem, że jestem w opałach, bo zwrócił się do mnie per „więźniu”, a oskarżenie sformułował w pewnym południowoafrykańskim języku, którego nauczył się, gdy służył jako obserwator w armii brytyjskiej, i na który przechodził tylko w chwilach gniewu. Nie wiem nawet, co to był za język, ani co mi wtedy powiedział, zrobił to jednak szybko i z furją, a brzmiało to mniej więcej tak: „*Satto cooca satibelay, amandooka helelay pata pata. Desanday nooca, gezingay po walela. Soocowelay rozkazay sluchanda. Ma me rotsuna contaga tu ay vaca doganda*”. Przypominało to włoski, tyle że urozmaicony licznymi młaśnięciami, i działało na nas hipnotyzująco.

Gdy stanąłem przed kubkiem z trupa czaszką, pozostałe dzieci zbiły się w milczącą grupkę, jak gdyby za chwilę miały ujrzeć moją egzekucję. Po oskarżycielskiej mowie w afrykańskim języku, który – jak mi się zdaje – był raczej wyssany z palca, Major zabił mi ćwieka, zadając po angielsku pytanie:

– No i co masz na ten temat do powiedzenia?

– A co takiego zrobiłem? – spytałem.

– To ty nam powiedz – rozkazał major.

– Nie wiem.

– Przecież ci powiedziałem.

– Kiedy?

– Przed chwilą.

– No tak.

– Więc powiedz nam coś.

– Dobrze – odpartem i z bolesnym grymasem wyteżyłem pamięć. – *Satto cooca?*

– Zgadza się, dalej.

– *Satto cooca satibelay, amandooka helelay pata pata. Desanday nooca, gezingay po walela. Soocowelay rozkazay sluchanda. Ma me rotsuna contaga tu ay vaca doganda.*

– Świetnie – stwierdził major. – Ale nie oskarżaj mnie, przecież nie ja to zrobiłem.

– Przepraszam.

– Brązowe, zielone, brązowe – wygłosił wyrok.

Byłem już świadkiem podobnych egzekucji, wiedziałem więc, co robić. Sięgnąłem do kubeczka i wyciągnąłem brązowe ziarenko kawy. Słyszałem, że brązowe są nieco znośniejsze niż zielone.

Przez chwilę trzymałem je w ręku – rozpeknięte ziarenko ziemistego koloru, bardzo twarde i suche. Takie coś pijali dorośli, żeby obudzić się rano i żeby poczuć smak posiłku. Ziarenko wprawdzie nie było jeszcze przetworzone w popularny napój, ale łudziłem się, że może nie będzie takie złe. W sklepie spożywczym widywałem szklany stój z ziarnami kawy oblanymi czekoladą. Skoro jadano je jako słodczyce, to nie mogły być aż tak okropne. Może moi koledzy, którzy w tej samej sytuacji zginali się wpół i dostawali torsji, po prostu ulegali sugestii? Wcale się nie martwiłem. Zawsze potrafiłem robić rzeczy nieosiągalne dla innych dzieci. Ojciec nauczył mnie pewnej hinduskiej techniki odsuwania bólu w odległy zakątek mózgu, tak że choć się go czuło, stawał się zjawiskiem odległym, jakby obserwowanym u kogoś innego.

Nie licząc tej i innych umiejętności, potrafiłem też odeprzeć wrogą napaść i narzucić sobie wyjątkową dyscyplinę. Panowałem nad sobą tak doskonale, że dentyście zdawało się kiedyś, że nie jestem dzieckiem, tylko dorosłym karzełkiem. Mieszkaliśmy z rodzicami w dawnej stajni, miejscu cudownym, lecz zamieszkałym przez niezwykle duże szczury, nazywane przez nas szczurowołami. Bardzo szybko nauczyłem się zabijać je motyką lub pogrzebaczem, co nie było zadaniem łatwym ani bezpiecznym, bo szczurowoły się odgryzały. Nie były to małe

pulpeciki na chudych nóżkach, wielkością dorównywały świnkom morskim i małym kotom. Walka z nimi nauczyła mnie hartu ducha – podobnie jak brak centralnego ogrzewania w domu, dziesięć mil dziennie do szkoły i z powrotem oraz ciągi, jakie regularnie zbierałem w biedniejszych częściach miasta.

Miałbym się zatem bać małego ziarenka – ja, który nawet nie pisałem, gdy dentysta borował mi ząb bez znieczulenia? Ja, rozszarpany na kawałki podczas wypadku w młynie i poskładany z powrotem setkami głębokich szwów, również bez znieczulenia? To ziarenko umiłował sobie przecież cały świat. Jedzono je jak cukierki.

Włożyłem ziarno do ust i zacząłem pomału przeżuwać jak krowa. W pierwszej chwili nie czułem żadnego smaku i aż napuszyłem się z dumy. Lecz gdy tylko zaczęło rozplływać się w ustach, rozszerzyły mi się oczy i zacząłem szybko oddychać przez nos jak ktoś, kto widzi, że nie uniknie kraksy. W jednej chwili przypomniałem sobie wzgardliwe uwagi, jakie moi rodzice – gustujący w herbacie – czynili na temat kawy, i nie mogłem pojąć, czemu nie robili tego z większym przekonaniem.

Struzka goryczy wsączyła się w sieć strumieni oblewających mój język, niczym rzeka rozcinająca deltę lub błyskawica roztrzaskująca granatowo-czarną taflę nieba. Byłem zbyt nieśmiały, by wymiotować czy kulić się z bólu, cierpiałem w milczeniu, z każdym przełknięciem śliny wchłaniając w siebie ohydą nieczystość.

Potem przysła kolej na ziarenko zielone, które okazało się o wiele potężniejsze od brązowego. Wiedziałem już wcześniej, co to ból, lecz nie miałem jeszcze okazji poznać goryczy. Gorycz, na ile mogłem wtedy pojąć takie rzeczy, wydała mi się stanem, w którym ciało i dusza obracają się przeciw sobie. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyłem. Łzy ciekły mi z oczu, ale stałem dumnie wyprostowany w absolutnym milczeniu. Poradziłem sobie z goryczą, bo się nie ugiąłem, a przez to, że się nie ugiąłem, sądziłem, że wygrałem. Myliłem się jednak: nie rozumiałem jeszcze, że był to tylko znak, tylko zwiastun.

Już dawno nie rozmawiałem z nikim, kto by wiedział, co to znaczy niepogoda, zmiana pór roku, nadejście wiosny, lato w pełnej chwale, mrok Bożego Narodzenia, pejzaże malowane błękitem i bielą. Tropikalne miasto, w którym na obszarze mili kwadratowej mieszka dwieście tysięcy ludzi, trochę różni się od miejsca, gdzie nikogo nie dziwi dziesięciostopniowy mróz, a na milę kwadratową przypada niespełna dwadzieścia osób. Gdybym mógł importować do Rio ciszę, chłód i spokój swej młodości, byłbym najbogatszym człowiekiem w Brazylii. Choć, rzecz jasna, całkiem możliwe, że i tak jestem najbogatszym człowiekiem w Brazylii.

Przez te wszystkie lata wiele razy rozmawiałem z przyjezdnymi Amerykanami i niekiedy wspominałem, że mój ojciec był farmerem. Zauważyłem, że z biegiem czasu coraz więcej ludzi reaguje na takie wyznanie jak jeleń sparaliżowany światłem łukowej lampy. Co prawda nie pytają jeszcze: „a kto to jest farmer?”, ale większość z nich nigdy w życiu kogoś takiego nie spotkała.

Uprawa ziemi to dla mnie coś, co wykracza poza sumę swoich części składowych. Pod pewnymi względami przypomina wychowanie dziecka: wymaga pracy, planowania i gotowości na nieprzewidziane wypadki. Rolnik sieje, zbiera, trzyma rękę na pulsie ziemi i bacznie obserwuje pogodę. Intelktualiści od razu powiedzieliby, że moje wspomnienia z dzieciństwa wyidealizował upływ czasu – ale pamiętam rzeczy, o których oni po prostu nie mają pojęcia, i jestem ich absolutnie pewien, ponieważ je przeżyłem.

Koniec końców zostaliśmy wygnani z naszej farmy – i choć z czasem coraz trudniej się na niej gospodarowało, było to najlepsze życie, jakie mogę sobie wyobrazić. Najbliższe tego ideału jest życie przybrzeżnych rybaków. Rybacy codziennie wychodzą w morze i łowią

wspaniałe ryby, potem je sprzedają lub zjadają. Nigdy nie będą bogaci, ale też nigdy nie zostaną pozbawieni urody morza. Uprawiają wyrafinowane rzemiosło, pełne tajemnic i nauk starych jak świat. I w którąkolwiek stronę podążyłby i obrócił się świat, ono pozostaje.

Mieliśmy siedemdziesiąt akrów na płaskowyżu nad Hudsonem, na północ od Ossining. Płaski grunt w takiej bliskości rzeki był rzadkością, był to też grunt wyjątkowej urody: w wąwozach między polami rosły olbrzymie dęby, mieliśmy widok na góry i rzekę. Uprawialiśmy kukurydzę, jabłka, warzywa i trawę na siano dla dwudziestu mlecznych krów. Gdy byłem mały, wsiadałem z ojcem na wóz, zawoziliśmy zbiory na nabrzeże w Sparcie i ładowaliśmy na żaglowe i bocznokołowe statki. Gdy trochę podrosłem, rozpowszechnił się transport pociągami, potem także samochodami ciężarowymi. Rynkiem zbytu był dla nas jednak niezmiennie Nowy Jork ze swymi nienasyconymi milionami mieszkańców.

Byliśmy konkurencyjni wobec nieporównanie wydajniejszych farm na Środkowym Zachodzie, a nawet w Kalifornii, ponieważ nasze produkty docierały na miejsce świeże. Lecz gdy udoskonalono metody transportu, a rolnictwo się zmechanizowało, ogromne farmy w innych rejonach kraju były w stanie zaoferować atrakcyjniejszą żywność i zminimalizować koszty – podczas gdy nasze koszty stale rosły.

Już od najmłodszych lat widziałem, jak nasza gospodarka podupada. Z początku ojciec nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, w każdym razie nie przyznawał się do tego. Potem stwierdził, że rzeczywiście przeżywamy chudsze lata. Gdy te chudsze lata nie chciały się skończyć, zaczął się obwiniać i pracował jeszcze ciężiej, niemal ponad ludzkie siły. Kiedy i to nie zdołało odwrócić niepomysłnego losu – pamiętam, jak uwielbiałem gotowane ziemniaki, pamiętam uczucie nieskończonej błogości po zjedzeniu kawałeczka mięsa – zaczął próbować nowych strategii. Nagle zaczęliśmy uprawiać niecodzienne, delikatne owoce i warzywa: maliny, cukinie, przedziwne melony. Ojciec zamierzał zmodyfikować gospodarkę z myślą o bogatszej klienteli. Takie uprawy były jednak wrażliwe, musieliśmy też najmować ludzi do zbiorów, żeby owoce i warzywa się nie psuły, niebawem wróciliśmy więc do starych metod. Ojciec snuł rozmaite plany: chciał otworzyć lotnisko, montownię zegarów, stajnię, wytwórnię lodu. Może niektóre by się powiodły, ale ojciec żadnego nie zrealizował: uważał, że nie ma już czasu zaczynać od nowa, zresztą i tak nie było to w jego stylu. Podobnie jak ja, rozumiał, że sukces jest próżnością, i nie miał serca do hazardu.

Dlatego poniósł klęskę, a im ta klęska stawała się większa, tym bardziej go kochałem i tym lepiej go rozumiałem. Jako dziewięcioletni chłopiec znałem tylko dwie rzeczy: miłość i wstyd, a ponieważ nie miałem jeszcze żadnej władzy i mocy, choćby uśpionej, nawet nie przeszło mi przez myśl, by go pomścić. Wypełniała mnie tylko owa niedająca się z niczym porównać tkliwość, którą czuje się, gdy ktoś, kogo kochamy, nie daje sobie rady.

Tak czy owak, w wieku ośmiu lat umiałem już prowadzić konia podczas orki – i robiłem to ze skrytą radością przez długie, ciężkie dni, ponieważ ojciec mnie potrzebował. Ziemia oddaje z grubsza tyle samo, ile się w nią wkłada. To nie ziemia się zmieniała, nie sedno naszej pracy, nie cnoty, tylko cała reszta świata. Rozumieliśmy to. Nawet ja rozumiałem. Już wtedy.

Ojciec nigdy nie zrealizował żadnego ze swoich wielkich planów, dalej pracował na roli. Zimą jeździł pługiem śnieżnym, sprzedawał zioła farmaceutom, malował domy, rąbał drewno. Matka zajęła się krawiectwem: wstawiała jeszcze przed świtem i przy lampie, w przenikliwym chłodzie, szyła sukienki.

My z ojcem także wstawaliśmy przed brzaskiem. Wydojenie dwudziestu krów trochę trwa, gdy nie ma się mechanicznej dojarki, potem jeszcze trzeba je nakarmić, posprzątać w oborze, a jeśli nie jest bardzo zimno, wyprowadzić na pastwisko.

Po śniadaniu zajmowaliśmy się swoimi sprawami: ojciec jechał sprzedać mleko, a potem robił to, co było do zrobienia w gospodarstwie, ja szedłem do szkoły. Matka, jeśli nie szła po zakupy do oddalonego o dwie mile miasteczka, przez cały dzień pracowała w domu: gotowała, sprzątała i szyła.

Nie licząc czasu spędzonego w szkole, na naukę miałem tylko krótką chwilę przed obiadem. Do posiłku siadaliśmy o siedemnastej, kończyliśmy o siedemnastej trzydzieści. Następnie matka zmywała naczynia, my z ojcem szliśmy do krów. Później dorzucaliśmy drewno do pieca i zapalaliśmy lampę naftową na kuchennym stole.

Ojciec garbił się nad ogromną deską nakrytą zielonym filcem i naprawiał zegary. Potrafił zreperować każdą maszynę, był z tego znany od najmłodszych lat. Najpierw robił to za darmo, potem zaczął sobie w ten sposób dorabiać. Miał dwie tace z narzędziami i trzy tace z częściami, a lampa musiała się palić jasnym płomieniem.

Matka szyła, a gotowe sukienki wkładała do wąskich drewnianych pudełek z czerwoną wyściółką – choć niekiedy, w zależności od sklepu, były to niebieskie pudełka z kartonu ze złotym napisem. Gdy jeszcze na początku lat pięćdziesiątych w Nowym Jorku przechodziłem obok starych domów towarowych, wypełniały mnie miłość i smutek. Gdy spoglądałem w rozświetlone witryny i widziałem ciepłe wnętrza i złote logotypy, przenosiłem się myślami do czasów i ludzi, wobec których odczuwałem coraz większą lojalność, w miarę jak powiększał się między nami dystans mil i lat. Matka również potrzebowała mocnego światła: wykonywała precyzyjną robotę, szwy musiały być idealnie proste i równe.

Ja też zajmowałem się chałupnictwem. Z pomocą matki już w wieku siedmiu lat udało mi się nawiązać współpracę z pewnym eleganckim sklepem odzieżowym dla mężczyzn przy Union Square, dziś już od dawna nieistniejącym. Wyrabiałem dla nich medaliony z laku. Nad mahoniowymi drzwiami sklepu wisiała pozłacana płaskorzeźba przedstawiająca dwa małe delfinki. Był to przemiły widok, skutecznie przyciągał uwagę. Myślę, że właśnie te pięknie rzeźbione delfinki, powleczone gładkim, idealnym złotem, zachęcały przechodniów, żeby wejść do sklepu i wyjść z zakupem zapakowanym w głębokie niebieskie pudełko.

Pokrywy tych pudełek wykonane były z błyszczącego papieru i przewiązane złotymi wstążkami, na przecięciu wstążek znajdował się zaś gruby lakowy medalion z delfinkami, przypominający wielkością duże ciastko. Przez wiele lat byłem jedynym dostawcą tych owalnych kamei. Pracowałem dzień w dzień okrągły rok i wyrabiałem ich co najmniej pięć tysięcy rocznie. W dobrym sezonie podwajałem tę liczbę.

Początki były dość prymitywne, lecz nim skończyłem dziewięć lat, udoskonaliłem techniki wytwórcze w sposób niebywały. Nasz piec miał cztery fajerki, na każdej stawiałem żelazne naczynie z długą, prostą, wyłożoną hebanem rączką. Nie były to kuchenne garnki, tylko prawdziwe kociołki odlewnicze. Ponieważ każda fajerka dawała inną temperaturę, wosk roztopiał się w niejednakowym tempie. Cały proces wymagał jednak, by ogień palił się równomiernie, musiałem go więc systematycznie doglądać i dokładać naciętych uprzednio drewn. Stosowałem polana w trzech rozmiarach (ciąłem je i rozłupywałem według miary), wszystkie z drewna w tym samym wieku i o tej samej zwartości i wilgotności. Z pomocą dokładnego zegara oraz termometrów umieszczonych w kociołkach umiałem utrzymać lak w dowolnym stadium topnienia, z dokładnością do dwóch stopni Fahrenheita – opanowanie tej sztuki kosztowało mnie wiele miesięcy eksperymentów. Do pustych kociołków wrzucałem ceglastoczerwone cegiełki laku i obracałem je na fajerkach. Nim zdążyłem dołożyć do ognia i oczyścić narzędzia i powierzchnie, kolejny zapas gorącego laku był gotowy do pracy.

Przez gęste sitko sypałem talk na wypolerowaną do gładkości ceramiczną tablicę wielkości otwartej gazety – pokrywała się bielą jakby mocą czarów. Na przygotowanej w ten

sposób tablicy ustawiałem w rzędku pięć owalnych opasek z nierdzewnej stali – każda była wysoka na cal, a od środka w dwóch trzecich wysokości miała wyżłobioną linię. Potem chochlą wlewałem do nich lak. Żeby lak był płaski i sięgał idealnie do linii, musiał być dobrze stopiony, lecz nie za gorący, bo inaczej przylepiał się do metalu. Gdy odstawiłem kociołek na piec, pierwszy owal był gotowy do stemplowania.

Stempla nie można było posmarować oliwą ani obsypać talkiem, bo zmieniłyby się właściwości powierzchni medalionu, a może nawet kolor. Jedynym skutecznym środkiem zwilżającym, który nie pozostawiał śladu, był ludzki pot, podgrzewałem więc stempel do odpowiedniej temperatury i przykładam go do dłoni – nie mógł być jednak zanadto nagrany, bo wtedy powierzchnia zepsułaby się zupełnie i z delikatnej płaskorzeźby nic by nie zostało.

Na tym etapie nie mogłem już zmierzyć temperatury laku termometrem, gotowość do odcisnięcia sprawdzałem więc na oko, przyglądając się powierzchni. Jeśli była zbyt gorąca, kawałki laku przywierały do stempla. Można było je wprawdzie poodrywać, zanurzwszy stempel w zimnej wodzie, ale było to trudne i czasochłonne. Zbyt gorący lak należało odrywać też od opasek, żeby nie przywarł i do nich. Jeśli natomiast zwlekałem za długo, stempel mógł się przylepić do laku lub niczego nie odcisnąć. Czyszczenie stempla zawsze uważałem za koszmarnie zadanie: laku nie można było zwyczajnie rozpuścić, bo mógł się zwęglić.

Gdy już opanowałem całą sztukę i wszystko szło jak należy, odciskałem stempel, zdejmowałem owale i po chwili miałem przed sobą pięć złotych medalionów przedstawiających wdzięcznie skaczące delfinki, lekko uśmiechnięte i muskające grzbietami górną krawędź pieczęci.

Była to ciężka, jednostajna praca za stosunkowo niewielkie pieniądze, ale czułem się wtedy szczęśliwszy niż po latach, gdy prawie nic nie robiłem, a płacono mi tyle, że pieniądze straciły dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. I właśnie tam, w ciepłe paleniska nagrzewającego moje kociołki, w świetle podkręconej do maksimum lampy, poznałem tak naprawdę swoich rodziców: ich osobne i wspólne dzieje, ich przekonania, ich marzenia. Większość wiejskich dzieci miała jakieś gospodarskie obowiązki, ja zostałem chałupnikiem – i wiedziałem, że rodzice są mi wdzięczni za to zajęcie i jest im smutno, że muszę pracować, i wiedziałem też, że źródłem i sumą obu tych uczuć jest nic innego jak ich miłość do mnie.

Siedzę w ogrodzie w Niterói, spoglądam w dół na morze i snuję wspomnienia. Przywoływanie ich sprawia mi przyjemność porównywalną z pocałunkiem. Podczas pocałunku, o ile nie jest on wstępem do seksu, zamykamy oczy, jak gdybyśmy chcieli, żeby trwał wiecznie. Gdy się kogoś naprawdę kocha, całuje się go tak, jakby miała to być ostatnia rzecz w naszym życiu, po której znikniemy w nieskończonej ciemności.

Może właśnie dlatego na mgnienie oka lub nawet na dłużej wstrzymuje się wtedy oddech – i może dlatego, gdy wspominam proste rzeczy ze swojego dzieciństwa, oddycham lekko, z zadowoleniem, na chwilę przymykam powieki i uśmiecham się, tak delikatnie, że pewnie niezauważalnie.

A gdy otwieram oczy, wypełnia je morze i przypominam sobie, że w soboty i niedziele, a latem nawet przez cały tydzień, łowiłem ryby. Nie robiłem tego dla sportu, nie miałem sprzętu wartego sto razy więcej niż mój dzienny połów, gdybym zechciał go sprzedać. Czasem, gdy ryby dobrze brały lub kraby zjawiały się tłumnie w mojej sieci, rzeczywiście je sprzedawałem, zwykle jednak łowiłem tylko tyle, byśmy mogli się najeść.

Przesiadywałem całymi godzinami na niewielkich plażach Croton Bay. Gdy wolałem łowić w kanale żegludowym, gdzie woda była głębsza i ryby miały swój główny szlak, szedłem na oddalony o pięć mil przylądek Teller's Point. Świat był dla mnie wtedy sklepem rybnym:

znosiłem do domu okonie, ałozy, łososie, kraby, ostrygi i małże. W stawach łapałem sumy, sandacze, okoniopstrągi i raki. W sezonie zbierałem też borówki, maliny, poziomki i morwy. Grzybów nie tykałem. Ojciec polował, ja jednak w dzieciństwie nie przepadałem za tym, bo kochałem zwierzęta, a potem, gdy rodzice zostali zamordowani, nie mogłem nawet znieść myśli o strzelaniu.

Gdy dziecko traci rodziców w taki sposób, jego świat zostaje nieodwołalnie zniszczony, a przynajmniej na zawsze wypaczony. Jeżeli, jak w moim przypadku, morderców nie uda się postawić przed sądem, musi żyć z wiedzą, że oni wciąż gdzieś tam są, że je pokonali, zgnębili, zniszczyli, że mogą po nie przyjść, że każdy człowiek, jakiego spotyka, z jakim ma do czynienia, jakkolwiek byłby uśmiechnięty, dobry czy miły, o ile tylko jest w określonym wieku, może być wcieleniem diabła, dlatego nie wolno nikomu wierzyć i ufać, z nikim się bratać. Życie takiego dziecka musi się też stać szkołą przetrwania, musi ono dożyć stu lat, by mieć pewność, że mordercy umrą przed nim, bo pewnie właśnie tego najmocniej pragnęliby rodzice. Musi również żyć z wiedzą, że gdy jego rodzice umierali, byli przerażeni, że po nich przyjdzie kolej na nie, ich dziecko, za które z radością oddaliby życie, lecz w ostatnich chwilach nie byli w stanie zrobić dla niego absolutnie nic.

W piątek 5 czerwca 1914 roku, dzień po tym, jak musiałem przeżuć trzy ziarna kawy, zwolniono nas ze szkoły dwie godziny przed czasem. Nauczyciele, uczniowie, a nawet dyrektor – może zwłaszcza dyrektor – mieli już dość wyścigów w workach, pikników i zabaw w berka. W południe skończyły się egzaminy, ze szkoły wybiegł radosny, rozkrzyczany tłum uczniów w garniturach i uczennic w sukienkach o wiele za grubych na duszną salę gimnastyczną, w której przez trzy godziny – choć zdawało im się, że to tylko trzy minuty – manipulowali kompasami i kątomierzami z rozpaczliwą skutecznością godną saperów rozbijających niewybuch. Biurka, przy których pracowali, były za małe, salę wypełniały więc postękiwania, westchnienia i pełne napięcia oddechy.

Z głowami puchnącymi od matematycznych twierdzeń przeegzaminowani uczniowie opróżnili salę z mebli i rozpoczęło się czekanie na uroczystość zakończenia roku, która miała się odbyć za tydzień. Ja, dziewięcioipółletni brzdąc, czekałem na tę imprezę z taką samą czcią, z jaką dziś oczekuję śmierci.

Niektórzy chłopcy i dziewczęta z najstarszych klas w ciągu najbliższych tygodni mieli się już pobrać, co oznaczało, że będą mogli wejść do pokoju, zamknąć się od środka i zdjąć ubrania. Już wtedy zdawało mi się, że jest to dobry powód, by przemęczyć się przez szkołę średnią, i choć nie wiedziałem dokładnie, co dzieje się po tym zamknięciu drzwi, na samą myśl o tym zalewały mnie od stóp do głowy fale delikatnie odrętwiającej przyjemności. Sto lat czekania na każdą kostkę i każdą łydkę, dwieście, żeby dotknąć ust, ramion... Nie miałem na ten temat żadnej wiedzy, ani mechanicznej, ani hydraulicznej, ani biologicznej, ani geologicznej, jedynie czystą miłość i podziw.

Poszedłem przez miasto do domu, oglądając po drodze brzytwy i plastry gorczyczne w oknie drogerii, korby, dźwignie i latarnie w witrynie sklepu żelaznego. Na sklepy tekstylne i spożywcze nie zwracałem uwagi, zerknąłem jeszcze tylko na rzeźbione drewniane małpki stojące od wieków w oknie zakładu fryzjerskiego (i od wieków porastające kurzem) i przez dawny akwedukt ruszyłem ku Eagle Bay.

Ojciec właśnie orał pole. Gdy do niego podbiegłem, prawie nie zwrócił na mnie uwagi, żeby się nie rozpraszać i nie skrzywić radlin. Batystową koszulę miał mokrą od potu, oddychał ciężko, widać było jednak, że prowadzenie pługa i trzymanie lejców, te niekończące się zmagania równowagi z siłą, sprawiają mu przyjemność. Zapamiętałem krótką wymianę zdań,

jaka wówczas nastąpiła, bo była to nasza ostatnia rozmowa.

– Już? – spytał.

– Aha.

– I koniec? – Miał na myśli koniec roku szkolnego.

– I koniec – odpowiedziałem jak echo.

– Co będziesz robił?

Ze sposobu, w jaki to powiedział, wywnioskowałem, że nie ma na myśli lata, tylko pozostałą część dnia.

– Łowił ryby.

– Zejdzie mi do ósmej – powiedział ojciec. – Wrócę na kolację.

– Dobra.

– Nie idź do wieży.

Gdy wypowiadał te ostatnie słowa – ostatnie, jakie od niego usłyszałem – szedłem już w stronę domu. Zamierzałem właśnie łowić z wieży, nic więc nie odpowiedziałem. Ale przynajmniej nie skłamałem, mimo że odwróciłem się do niego plecami.

Matka była w domu, gdzieś na piętrze. Gdy wszedłem do środka, wyczułem jej obecność, może nawet ją słyszałem, chciałem jednak tylko wziąć wędkę i pobiec nad rzekę. Przewiesiłem chlebak przez ramię i cichutko przypiąłem go sobie paskiem do biodra, żeby nie obijał się podczas biegu. Potem wyszedłem, szczęśliwy, ale niespokojny, że tak ukradkiem się wymknąłem, choć matka pewnie mnie słyszała, może miała ochotę mnie przytulić, zawsze tak robiła, gdy wracałem ze szkoły, jak gdyby chciała zatrzymać uciekające ze mnie dzieciństwo. Po chwili jednak przestałem o tym myśleć – gdy tylko dotarłem do ścieżki wiodącej nad rzekę, zacząłem lecieć z wędką w rozpostartych rękach, wytkniętą do góry jak skrzydełka aerodynamiczne na końcach płatów myśliwca.

Ojciec kazał mi unikać wieży nie dlatego, że się bał, iż nabiorę złych nawyków – dziewięcioletniemu chłopcu bardzo trudno jest zgrzeszyć, nawet gdy tego chce – lecz dlatego, że-bym się z nimi nie oswoił. Nie chodzi o to, by rodzice koniecznie dawali dzieciom dobry przykład, lecz żeby nie dawali im złego przykładu. Dziecko nie musi widzieć, że – jak fryzjer z miasteczka – ojciec pracowicie rzeźbi małpki z drewna, ale na pewno nie powinno widzieć, jak pali opium czy kopie małe zwierzęta. Jeśli rodzice nie oswoją dziecka z pićm kawy, prędzej zaczną się rujnować na tatuażu, niż sięgnie po kawę.

Miasto Ossining było w tamtych czasach oficjalnie bezgrzeszne, wszelkich niegodziwości i większości cnót uczono się i uprawiano je – jeśli w ogóle je uprawiano – w domowym zaciszu. Wystarczyło więc, że rodzice przestrzegali dziesięciu przykazań, a potem jeszcze paru innych, by zapewnić dziecku dobry start. Wieża stanowiła natomiast siedlisko niebezpieczeństw i najróżniejszych drobnych grzeszków.

Ich warunkiem wstępnym – niekoniecznie grzechem samym w sobie, raczej jakby przedśionkiem do świata występku – było to, że wieża pozostawała otwarta przez całą noc. I nie mogło być inaczej: nastawnia hudsonskiej linii New York Central Railroad musiała pracować nieprzerwanie. W środku zawsze paliło się światło, na tablicy rozdzielczej migały żaróweczki, gdy zbliżał się lub oddalał pociąg, telefon dzwonił o każdej porze. Zwrotniczowie często też słuchali płyt, gdy niemal całe miasto już spało – tubę gramofonu obracali w stronę rzeki, bo gdy muzyka odbijała się od okien wychodzących na tory, robiła zbyt wiele hałasu.

Choć było to zabronione, zwrotniczowie trzymali w schowku za boazerią butelkę szkockiej. Gdyby wypili więcej, mieliby problem z odczytaniem światełek skaczących po tablicy rozdzielczej jak robaczki świętojańskie lub wybraniem właściwej dźwigni z długiego czarnego szeregu sterczącego jak karabiny w arsenale. Stosowali więc zasadę, że jeśli jeden z nich pije,

drugi pije także i za każdym razem w nastawni może się znajdować tylko jedna butelka. W ten sposób ograniczali się do wypicia pół butelki na głowę podczas jednej zmiany – co, jak sądzę, było szczęśliwą okolicznością dla pasażerów zatłoczonych pociągów osobowych i załóg ciężkich składów towarowych, pędzących w obu kierunkach z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę.

Zwyczaj ukrywania butelki za boazerią pozwolił mi odkryć jedną z rzadkich pereł amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Któregoś dnia, gdy szalała burza śnieżna, siedziałem w wieży i z podnieceniem wyczekiwałem lokomotywy z pługiem. Tymczasem z południa niespodziewanie nadjechał pociąg towarowy. Zwrotniczowie również niespokojnie wyglądali pługu mogącego nadjechać z północy w każdej chwili, zapomnieli więc przestawić dźwignię i skład towarowy się wykoleił: dwie lokomotywy, węglarka i trzy inne wagony spadły z toru i do połowy zanurzyły się w bagnie, pozostałe czterdzieści czy pięćdziesiąt wagonów zatrzymało się na krawędzi nasypu.

Poczuliśmy się tak, jakby aż po szyję zalała nas powódź. Obaj zwrotniczowie w jednej chwili zdali sobie sprawę, że zostaną wyrzuceni z pracy, że ich rodzinom bieda zajrzy w oczy, a jeżeli ktoś z pociągu zginął, do końca życia nie wyjdą z więzienia. A wszystko przez to, że tak jak ja nie mogli się doczekać pługu.

Pług nadjechał po krótkiej chwili, nim zdążyliśmy się przekonać, czy są jakieś ofiary. Przemknął po torze, rozcinając zamieć blaskiem reflektora i pozostawiając za sobą oczyszczony szlak.

Nim jednak rzuciliśmy się po odśnieżonym torze w stronę bagna, odbył się błyskawiczny proces, w którym zwrotniczowie odegrali rolę siebie samych i swoich adwokatów, ja zaś byłem prokuratorem, śledczym, sędzią i ławą przysięgłych. Rozprawa trwała jakieś dziesięć sekund, ale była doskonałym przykładem działania wymiaru sprawiedliwości. Jeden z mężczyzn szybko podniósł jedną z desek boazerii i pokazał na butelkę.

– Zobacz, mały – powiedział do mnie. – Nawet nie jest otwarta.

Lak rzeczywiście tkwił nienaruszony, butelka była pełna. W ciągu kilku sekund zrozumiałem, jaka rola została mi przeznaczona, i skinąłem głową, ratując zwrotnicznych od niepotrzebnego ukrzyżowania – znałem bowiem przyczynę ich zaniedbania i zgodziłem się, że nie będę komplikował sprawy przywołaniem istnienia butelki.

Jeden zwrotniczny ogłosił alarm, drugi wybiegł na tory i po paru minutach przyprowadził kilku przemoczonych, oblepionych błotem maszynistów, którzy nawet nie chcieli na nas spojrzeć. Opuszczając tego wieczoru posterunek, obaj pracownicy nastawni zabrali swoje rzeczy i już nie wrócili. Przez całą noc ekipa ratunkowa mozoliła się w zamieci nad postawieniem pociągu z powrotem na szynach, z okien naszego domu widać było silny blask reflektorów. Jako oficjalną przyczynę wypadku podano trudne warunki pogodowe – i w zasadzie była to prawda, choć władze kolejowe o tym nie wiedziały.

Następnego dnia wszystko działało się jak gdyby nigdy nic. Wykolejony skład odjechał, tor naprawiono, wklęśnięcia w ziemi i rozłupane podkłady przykrył śnieg, w nastawni zameldowała się nowa ekipa. Nowi zwrotniczowie aż do wiosny byli bardzo przepisowi, potem zrozumieli, do kogo naprawdę należy wieża, i pozwalali mi łowić ryby z żelaznych schodków przeciwpożarowych nad samą rzeką. Nigdy nikomu nie powiedziałem o szkockiej, jeśli więc mimo rozpowszechnienia się urządzeń automatycznych nastawnia ciągle istnieje (widywałem ją jeszcze na początku lat pięćdziesiątych, gdy jeździłem ekspresem Twentieth Century Limited do Chicago i z powrotem), butelka siedemdziesięcioletniej whisky Glenlivet do dziś tkwi za trzecią deską boazerii od prawej, na ścianie od strony rzeki.

Nowi zwrotniczowie nie różnili się zbytnio od poprzedników. Podobnie jak tamci,

przynosili czasopisma, które według ówczesnych standardów były bezwstydnie pornograficzne.

– Ej, mały! Widziałeś kiedyś cycki?

– Nie.

– Chcesz zobaczyć?

– Nie pokazuj mu, Newton, za młody jest jeszcze.

– Wcale nie jestem.

– Aha, pewnie. Nawet byś nie wiedział, na co patrzysz.

– Właśnie dlatego chcę mu pokazać. Niech się nauczy.

– Tak nie można. Zepsujesz dzieciaka.

– Ale ja chcę zobaczyć cy... – zacząłem, ale zwrotniczy nie dał mi skończyć.

– Cicho bądź. My ci pokażemy cycki, ty powiesz o tym mamie, a potem ona tu przyleci i zmyje nam głowę. Przyniosłem trochę placka. Masz, zjedz sobie na schodkach.

Usiadłem na schodkach przeciwpożarowych, jadłem placek z borówkami i obserwowałem, jak strona po stronie przeglądają czasopismo pod tytułem „Ślicznotki Strażaków”. Sam nigdy go nie obejrzałem. Trzymali je w środkowej szufladzie biurka – żeby się tam dostać, trzeba by odsunąć olbrzymie brzuszysko, którym jeden ze zwrotniczych opierał się o blat, gdy wrzeszczał do słuchawki. Podczas rozmów telefonicznych obaj nigdy nie siedzieli oparci, tylko wychylali się do przodu, lewitowali nad zielonym obiciem blatu jak hipopotamy szybujące nad stadionem Ebbets Field.

Gdy wczesnym wieczorem przejeżdżały nocne pociągi do Montrealu, Chicago i miast na zachodzie, spoglądaliśmy z tęsknotą w rozświetlone okna, w których, jak nam się zdawało, można było zobaczyć prawdziwe życie. W wieży panował wieczny półmrok, jedynym źródłem światła były żarzące się lampki na tablicy rozdzielczej i dwie piętnastowatowe żarówki nad rozkładami jazdy z obu kierunków, gdy więc przemykały przed nami skapane w biało-jaskrowym świetle przedziały i wagony restauracyjne, mieliśmy wrażenie, że oglądamy film z wymieszanymi klatkami.

Ta wężokształtna latarnia magiczna, poruszająca się niekiedy z prędkością siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę, była moim pierwszym naprawdę wypaczonym oknem na świat – to jednak bynajmniej nie oznacza, że widziałem rzeczy niewłaściwe ani że potem skapitulowałem. Jak niemal każdy, wciąż uparcie staram się prostować świat, uważam jednak, że świat przypomina trochę kartkę papieru: da się go złożyć ograniczoną liczbą razy, potem opiera się przed próbami poprawiania. Moim zdaniem historia toczy się nie tylko w cyklach składania i rozkładania, ale też jakby w rytmie tańca.

Zanim poznałem wielkie miasto na południu, nim dowiedziałem się, co to zbrodnia, cierpienie i śmierć, przed moimi zdumionymi oczyma przemykały tysiące jasno rozświetlonych obrazów. Wiele z nich przedstawiało mężczyzn i kobiety w różnym stopniu nagości, splecionych ze sobą jak zapaśnicy. Niewiele z tych scen rozumiałem, bo widywałem je w przypadkowej kolejności – złożenie ich w serię zajęło mi jakieś dwa lata. Ponadto w poszczególnych scenach główną rolę odgrywały zupełnie przypadkowe elementy, na przykład całowanie uszu. Cenniejszy – i częstszy niż można by się spodziewać – był widok nagiej kobiety obróconej do okna: dla tego, kto znajduje się po zmroku w rozświetlonym przedziale, okno działa jak lustro. Mimo wszystko widziałem to rzadko... powiedziałbym, że jakieś cztery razy: raz przy siedemdziesięciu pięciu milach na godzinę, raz przy sześćdziesięciu, raz przy czterdziestu pięciu, a raz – chwala maszyniście – przy pięciu. W tym ostatnim przypadku dowiedziałem się nie tylko, jakie cudowne piękno zakrywa przed moimi oczyma wymóg przyzwoitości, ale też, że nawet pięć mil na godzinę może być o wiele za dużą prędkością.

Choć zawsze szukałem pereł, niekiedy trafiałem na rozdrażnioną ośmiornicę. Pamiętam

na przykład kozłopodobnego mężczyznę w binoklach przebierającego w stosiku kamieni szlachetnych wysypanych z futerału na skrzypce na karciany stolik. Musiał być złodziejem klejnotów, ale jego techniki można się tylko domyślać. Widziałem tłuszciochów w melonikach płasających w triumfalnym tańcu. Widziałem, jak mi się zdaje, operację usuwania wyrostka robaczkowego. Widziałem dziewczynkę pełznącą pomału przed siebie, zaplątaną w sweter, który usiłowała włożyć przez głowę. Z początku w ogóle nie wiedziałem, co widzę. Dziewczynka wyglądała jak miniaturowy słoń lub nosorożec objijający się o ściany przedziału sypialnego. Potem się połapałem i zdziwiłem się, że jej matka, czytająca gazetę na siedzeniu naprzeciwko, nie chce jej pomóc. Po chwili wszystko się wyjaśniło, bo gdy skupiłem wzrok na matce, ujrzałem na jej szyi kołnierz ortopedyczny. Co za rodzina!

Wagony restauracyjne często pękały w szwach, ale wielu pasażerów jadało również w przedziałach. Ludzie bywają nieśmiali, niektórzy też, choć stać ich było na przedział sypialny, najwyraźniej nie mogli sobie pozwolić na pulmanowski obiad, urządzali więc pikniki. Wyobrażałem sobie, że kielbaski w ich rękach to wskazówki zegara, i odczytywałem z nich godziny – gdy wychylały się w stronę Wirginii Zachodniej, mówiłem: „jest dwadzieścia po!”, gdy zaś parę pociągów później kielbaska pokazała na New Haven, stwierdzałem: „trzecia”.

Czasem widywaliśmy bójkę lub mężczyzn bijących kobiety, choć zdarzały się też kobiety bijące mężczyzn. Kiedyś w pociągu z Chicago do Nowego Jorku widzieliśmy dwie małpy (jestem święcie przekonany, że to były małpy): wpatrywały się w siebie jak zakochane.

Któregoś letniego wieczoru przed naszymi oczyma przejechało pomału kilka wagonów z pouchyłanymi oknami, w każdym przedziale siedział jeden muzyk i grał inną partię koncertu fortepianowego Beethovena. Albo była to orkiestra symfoniczna na trasie koncertowej, albo jeden z najbardziej niesłychanych zbiegów okoliczności w dziejach.

Moglibyście wymienić niemal każdą postać, jaką tylko podpowiada wyobraźnia – rabinów, akrobatów, zapłakane kobiety, psy myśliwskie, księgowych, znudzone dzieci, zakochane małpy, śmiertelnie chorych Sycylijczyków – a okazałyby się, że ją widzieliśmy. W tym wszechświecie można było odczytywać godziny z kielbasek, seks uprawiano kompletnie nie po kolei, a nagość niezmiennie czarowała swym pięknem, w pełni oświetlonym zarówno przy pięciu, jak i pięćdziesięciu milach na godzinę. Choć nigdy nie odnalazłbym tej pięćmiłowej naguski, a teraz albo już nie żyje, albo ma sto jeden lat, widziałem ją przez dziesięć sekund w całej okazałości i nigdy nie przestałem jej adorować.

Najwspanialszym łupem były jednak wagony prywatne. W niektórych zdarzały się fortepiany, marmurowe kuchnie, wanny tak wielkie, że dałoby się w nich wykapać słonia. Te daczki na kółkach przejeżdżały po kilka razy dziennie – podawano w nich obiady, odbywały się zebrania, bogacze pracowali przy olbrzymich biurkach, rozparci w bordowych skórzanych fotelach wielkości włoskich samochodów.

Bogate wnętrza rozświetlone blaskiem kominków lub lamp elektrycznych stanowiły cudowny widok nie dlatego, że były barwne i pysznie zdobione, lecz ze względu na to, co sugerowały. Prowokowały do tęsknych rozmyślań o prawdziwym życiu – choć przecież to ja żyłem prawdziwym życiem, nie zdając sobie z tego sprawy. Popełniałem dość typowy chłopięcy błąd: sądziłem, że prawdziwe życie polega na tym, że poznaje się wiele rzeczy i wielu ludzi, przeżywa różne niebezpieczeństwa w odległych miejscach, pływa po morzach, uruchamia elektrownię na rzece Kolumbii lub linię parowców w Boliwii. Często zastanawiałem się, kim są wysokie i eleganckie kobiety w tych prywatnych przedziałach, tak wspaniale ubrane, że podobne do heroicznym kobiecym postaci na monetach. Kim były te grzesznice, spokojnie popijające wino barwy rubinu? Wiedziałem, że kiedyś były małymi dziewczynkami, takimi jak moje koleżanki z klasy, nieśmiały jak faunowie, że były kochane, że nosiły kapelusiki z długimi

wstążkami. Co się stało, że wylądowały w tych wagonach? Czy mogło się to przytrafić i mnie? Czy może po prostu przytrafiało się każdemu, kto urósł do gigantycznych rozmiarów, jak ci bogacze, którzy tak z ogromnieli, że musieli podróżować własnymi wagonami?

W wieku dziewięciu lat wiedziałem już o świecie tyle, że wystarczył mi jeden rzut oka w okno pociągu, by przekonać się, że bogacze jako grupa są przeraźliwie nieszczęśliwi. Ta nieszczęśliwość była z ich wspaniałych kosztownych gniazd niczym odór gnoju z wagonów bydłowych. Jeśli wiatr wiał w odpowiednią stronę i z odpowiednią prędkością, wagon bydłowy można było poczuć na pół godziny przed przyjazdem i długo po tym, jak zniknął. Tak samo było z bogaczami: zgryzota zwiastowała ich obecność w sposób niemal magiczny.

Takich bardzo bogatych rodzin było w kraju co najmniej czterysta, a może dużo więcej, nawet parę tysięcy, znało się jednak tylko najstynniejsze lub te związane z najbliższym regionem. Znało się ich nazwiska, tak jak współczesne dzieci znają nazwiska gwiazd filmowych i baseballistów – i w tym tkwi zagadka, wobec której stanął jedyny detektyw z komisariatu policji w Ossining: otóż w niewyjaśniony sposób zaginął wykaz wieczornych pociągów z naszej linii. Zniknął z biura zawiadowcy nowojorskiej stacji Grand Central, z głównej dyspozytorni ruchu, ze stacji Harmon, nawet z Chicago. W dziejach ruchu kolejowego na tej trasie wieczór 5 czerwca 1914 roku jest białą kartą.

Mniej więcej za dwadzieścia ósma obaj zwrotniczowie i ja poderwaliśmy się z miejsc. Z kierunku południowego po torze towarowym przejechała lokomotywa z jednym wagonem, nieprzewidziana w rozkładzie, zapowiedziana jedynie błysnięciem automatycznej lampki na tablicy rozdzielczej. Kiedy bezprawnie mijiała nastawnię, zwrotniczowie usiłowali odczytać numer seryjny lokomotywy, lecz stwierdzili z irytacją, że takowego nie ma. Ja tymczasem zdążyłem się przyjrzeć wagonowi. Był to wagon prywatny, z zasłoniętymi oknami i zgaszonymi światłami. Wyglądało na to, że jedzie do zakładów Harmon Yards na przegląd lub naprawę, następnego dnia jednak nie pojawił się w Harmon, mógł więc pojechać prosto na zachód, nie zatrzymując się po drodze, i zaszyć się na boczniczy w zabitej deskami dziurze w Montanie lub gaju pomarańczowym w San Diego. Kto wie?

Skład przystanął na chwilę jakieś sto pięćdziesiąt jardów od nastawni. W gasnącym świetle wieczoru zdawało nam się, że dwie postacie zeskoczyły z platformy wagonu. Dlaczego lokomotywa nie miała numeru? Zwrotniczowie stwierdzili, że raczej miała, tylko nie zdołali go odczytać wskutek gapiostwa, przypadku lub niedostatecznego oświetlenia.

– Ale ja widziałem inicjały na boku wagonu – oznajmiłem z dumą.

– No coś ty?

– Tak.

– Co to za inicjały?

Choć byłem jeszcze za mały, by stojąc za biurkiem, widzieć wszystko, co znajduje się za oknem, zdołałem zobaczyć udziwnione, wykonane modernistycznym liternictwem inicjały F.P.F.

Dopiero później główny (i jak już mówiłem, jedyny) detektyw z Ossining przejrzał rejestry w poszukiwaniu inicjałów F.P.F. Znalazł ich trochę, lecz wszyscy F.P.F.–owie – Franklin P. Fellows, F. Paterson Ford, Farley Peter Fainsod i paru innych – umieli wyjaśnić, gdzie przebywali tamtego wieczoru, a także, co jeszcze ważniejsze, gdzie przebywały wówczas ich prywatne wagony, o ile takowe mieli.

Najwięcej światła na całą sprawę rzucił nie detektyw, lecz reporter z lokalnej gazety. Detektyw sporządził gipsowe odlewy śladów stóp (był bardzo skrupulatny, ale nawet ja wiedziałem, że moich rodziców nie zamordował jelen), wypytał robotników kolejowych o pociągi, jakie widzieli tego wieczoru (zrobił to po dziesięciu dniach, oczywiście już nic nie pamiętali, większość ludzi by nie pamiętała), zbadał charakterystykę kul, metodę egzekucji i tym podobne

rzeczy. Używam tu profesjonalnych terminów, jak gdyby cała sprawa była mi obca, ale tak nie jest, do dziś czuję niezgłębioną tęsknotę za rodzicami. Pozostali w mej pamięci tak, jak widziałem ich po raz ostatni – uciszeni, znieruchomiali.

Inaczej niż detektyw, reporter zainteresował się motywami zbrodni. Czy mój ojciec miał jakiś dług? Ani mnie, ani wujowi nie było o tym wiadomo. Czy mógł wchodzić w grę jakiś zatarg z przeszłości? Z czasów wojny? Nie wiedzieliśmy. Reporter miał pewną teorię, ale nie dało się jej ani dowieść, ani obalić. Przypominał trochę Theodore'a Roosevelta, ale tylko z wyglądu, bo zawsze zachowywał się z uniżoną grzecnością – zbyt często musiał rozmawiać z ludźmi, którzy niedawno odnieśli wielki sukces lub przywykli do życia według własnych zasad.

Nie należałem ani do jednych, ani do drugich, reporter zainteresował się jednak moją historią. Byłem już na tyle duży, że sprawa mogła mi się wryć w pamięć naprawdę mocno – tak mocno, bym został na zawsze wywłaszczony ze swojego życia, cokolwiek bym robił, jakkolwiek bym się starał.

Pewnego razu – nie pamiętam dokładnie, w którym momencie – gdy zalewałem się łzami i nie dawałem się pocieszyć, reporter przytulił mnie, a potem posadził na okiennym parapecie i spojrzał na mnie z zaskakującą natarczywością w oczach.

– Przystań płakać chociaż na chwilę i posłuchaj – powiedział łagodnie. – Być może nigdy nie znajdziemy morderców twoich rodziców. Jeżeli tamci dwaj rzeczywiście wyskoczyli z prywatnego wagonu, to znaczy, że byli tylko wynajętymi zbirami. Pozostaje pytanie: kto ich wysłał? Żeby to wiedzieć, trzeba by wiedzieć, dlaczego to zrobił, a na to jeszcze nikt nie wpadł. Mam pewną teorię. Nie znalazłem oparcia w faktach, ale nie mogę przestać o niej myśleć. Ciągłe chodzi mi po głowie. Bóg jeden wie, czy mam rację, a Bóg, jeśli zechce, może nie odsłonić prawdy aż do końca świata. W zeszłym roku słyszałem pogłoskę, że ktoś, pewnie jakiś syndykat, chce zbudować most nad Hudsonem, gdzieś w tych okolicach, i wartość gruntów między drogą a rzeką pójdzie w górę. Nie wszystkich gruntów, jedynie tych, przez które miałby przechodzić most. Przypominasz sobie, by ktoś kiedyś pytał ojca, czy nie chce sprzedać farmy?

Niczego takiego sobie nie przypominałem. Jeśli tak było, nie wiedziałem o tym. Może ojciec i matka od miesięcy rozmawiali ze sobą o tym na osobności, nie chcąc mnie martwić. Dzieci nie lubią się przeprowadzać. A może ojciec zachował to tylko dla siebie.

– Powinien pan spytać mojego wujka – powiedziałem.

– Pytałem go już, pytałem wszystkich. Spróbuj sobie przypomnieć.

– Nie – odparłem. – Tata nigdy nie wspominał, by ktoś chciał kupić naszą ziemię.

– No nic, w takim razie musimy poczekać. Może za jakiś czas ktoś zainteresuje się nieruchomością.

Nie wiedziałem, co to znaczy nieruchomości, ale mi wytłumaczył.

Nieruchomość przeszła pod zarządek powierniczy ustanowiony na moją rzecz. Wuj, będący jednym z udziałowców, dzierżawił nasze pola kilku sąsiednim farmerom. Rok później rzeczywiście zjawił się pewien człowiek i oznajmił, że reprezentuje instytucję zainteresowaną kupnem naszego majątku. Wuj wspominał o tym przy jednym ze smutnych, milczących obiadów, gdy już zamieszkałem z nim i jego żoną. Nie byłem normalnym dzieckiem, nikt tego zresztą po mnie nie oczekiwał. Większość czasu spędzałem samotnie, przez długi okres do nikogo się nie odzywałem – ból był zbyt wielki. A gdy już wszyscy zapomnieli o tym, co mi się przydarzyło, zaczęli się na mnie dąsać o moje zachowanie i moje milczenie, potem mnie za to znienawidzili, co bolało mnie jeszcze bardziej, ale cóż mogłem zrobić? Miałem do spełnienia jedno zadanie, które mogło mi zająć całe życie. To, czy jestem lubiany, wydawało się przy nim zupełnie nieistotne.

Pamiętam, że jedliśmy wtedy pieczonego kurczaka i piłem z kryształowej szklanki. Wuj,

który przywykł już do moich wybuchów złości i okresów milczenia i na swój sposób mnie kochał, w pewnym momencie nerwowo, optymistycznie i najzupełniej niewinnie obwieścił, że jakiś człowiek pytał, czy nasza ziemia jest na sprzedaż.

Momentalnie trzasnąłem szklanką o stół, napiąłem mięśnie, zacisnąłem pięści i uczułem, jak włosy stają mi dęba.

– Kto?! – krzyknąłem, czując, jak łzy napływają mi do oczu.

– Nie wiem – powiedział zdumiony wuj.

– Kto?! – wrzasnąłem. Wtedy po raz pierwszy wywróciłem stół. Kochałem swego wuja, nie chciałem mu przewracać stołu.

Przez wiele dni żyłem na skraju obłądu. Snułem rozmaite plany. Roiłem sobie, że przed wizytą tego człowieka cała policja stanu Nowy Jork zaczai się pod schodami. Próbowałem zbudować w ziemiance więzienie, chciałem go tam zamknąć i torturami wydobyć nazwisko zleceniodawcy. Choć zdawałem sobie sprawę, że jeśli go zabiję, nigdy nie dowiem się, kto go wysłał, polerowałem swoją jednolufową strzelbę kalibru 20, aż zaczęła lśnić jak homerycka zbroja. Polerowałem nawet naboje. Wiele godzin spędziłem też, ćwicząc ładowanie, celowanie i grożenie przed owalnym lustrem, w którym kiedyś matka sprawdzała, czy dobrze jej leży kapelusz i peleryna lub płaszczyk.

Gdy wuj znalazł dwie deski przybite zagiętymi gwoździkami do pali podpierających sklepienie ziemianki, wezwał mnie i kazał wyjaśnić, o co chodzi. Do gwoździków przywiązany był słabiutko sznur do wieszania prania, który miał służyć jako kajdany.

– Może byśmy po prostu poczekali i posłuchali, co ma nam do powiedzenia? – spytał wuj.

Człowiek, którego zamierzałem wtrącić do lochu, okazał się miniaturowym siwym staruszkim o nazwisku Smith. Poza tym, że był żwawy jak mrówka, nie wyróżniał się zupełnie niczym. Nie miał żadnego akcentu, nie mówił żadnym dialektem. Nie gestykulował, nie wyrażał emocji ani entuzjazmu. Byłem pewien, że stoją za nim mordercy moich rodziców.

Reprezentował, jak stwierdził, Siostry Dominikanki Opiekunki Chorych i Biednych. Na każdym etapie rozmów spodziewałem się, że wnet mistyfikacja zostanie zdemaskowana i prawda wyjdzie na jaw. Gdy matka przełożona przyjechała omówić warunki umowy, wedle których mieliśmy zachować prawo uprawy ziemi do 1930 roku, byłem przekonany, że to podstawiona aktorka i naciągaczka. Gdy wreszcie podpisano dokumenty, sądziłem, że są fałszywe. Gdy rozpoczęła się budowa klasztoru, tylko czekałem, aż się okaże, że to budka do poboru opłat. A gdy siostry się wprowadziły, zakładałem, że to tylko wybieg, że niebawem sprzedadzą ziemię milionerowi, który chce budować most. Lecz Siostry Dominikanki Opiekunki Chorych i Biednych zostały. Gdy leciałem ze złotem w stronę Nowej Fundlandii, widziałem opactwo otoczone polami, które wciąż jeszcze nie straciły swej urody i w których znałem każdą piędź ziemi. W poszarpanej kotlinie ujrzałem także swój dom. Wyglądał jak kostka cukru w ceglany kolorze, jak makietka, którą ustawia się przy torach szwajcarskiej kolejki elektrycznej. Z biegiem lat porożrastały się drzewa, ale ceglane ściany domu i łupkowe dachówki pozostały nienaruszone. Nie byłem w stanie dojrzeć, jak zmieniło się wnętrze, ale mogłem sobie to wyobrazić i wiem, że gdybym tam kiedykolwiek wrócił, znów pękłoby mi serce.

Gdy dwie postacie wyskakiwały z wagonu, nie było jeszcze ciemno, ale słońce wisiało już nad horyzontem, słabnąca poświata przeświecała między drzewami na Teller's Point. Gasnące światło dnia i zwarta ściana drzew wzdłuż nasypu utrudniały widzenie: cokolwiek działo się na torach, równie dobrze mogłoby się dziać pod osłoną nocy.

Nigdy dotąd nie widzieliśmy, by na tym odcinku torów wysiadał z pociągu ktokolwiek prócz załóg. Sylwetki rozwiewające się w letnim półmroku niczym ledwie widoczne kłęбки dymu

stanowiły widok ekscytujący i tajemniczy. Ptaki nad torami na pewno już milczały, ale gwar złotego letniego wieczoru wciąż jeszcze brzmiał nam w uszach.

Parę minut przed ósmą opuściłem wieżę i ruszyłem w stronę domu. Nim dotarłem do naszego najbliższego pola, tajemnica wyleciała mi z głowy, myślałem już wyłącznie o kolacji.

Lecz gdy tylko wyszedłem z lasu, zatrzymałem się jak wryty. Tuż na skraju pola, dwadzieścia jardów na lewo ode mnie, stali dwaj mężczyźni i patrzyli w stronę domu.

Ruszyłem w ich kierunku. Gdy byłem bliżej, oznajmiłem trochę zbyt wyniośle:

– To prywatna posesja!

– Przepraszamy – odparł jeden z nich. – Chcemy tylko dotrzeć do drogi. Jesteśmy zmęczeni i głodni.

– Ojej – powiedziałem.

– Mam nadzieję, że nie będziemy musieli wracać w stronę torów. Czy możemy przejść przez pole do drogi?

Ubrani byli po miejsku, w garnitury, kamizelki, kapelusze, z zegarkami na łańcuszkach. Pomyślałem sobie, że byłoby okrucieństwem zmuszać ich do okrążania bagna, powiedziałem więc, że nie ma problemu, mogą iść do drogi.

Obaj reprezentowali typ człowieka, który ma fatalne zdrowie, ale dzięki samym rozmiarom i masie ciała jest dziesięć razy mocniejszy, niż się wydaje – i może z racji potężnych rozmiarów ich przesadna wdzięczność wydawała się na miejscu, nawet szczerza.

– To bardzo miło z twojej strony – powiedział jeden z nich. – Znasz okolicę, prawda? I jesteś szybki, jak to dzieciak. Może pobiegłbyś do miasta i kupił nam coś do jedzenia? Jesteśmy w podróży od wczoraj, przyjechaliśmy aż z Indiany, strasznie zgłodnieliśmy.

– Nie mogę – stwierdziłem. – Muszę iść na kolację.

To dziwne, pomyślałem, że przyjechali z Indiany – mieli nowojorski akcent, ubrani byli jak szczury salonowe z Chelsea, ich pociąg przyjechał od strony miasta.

– Obrócisz w parę minut. Bardzo byś nam pomógł.

Pokręciłem głową. Zacząłem się niepokoić, nawet bać. Miałem ochotę po prostu pobiec w kierunku domu.

– Coś ci powiem – odezwał się znowu ten sam. – Przydałoby nam się coś, co nas postawi na nogi, nic więcej. Czy można tu gdzieś w pobliżu dostać kawę?

– No – odparłem, choć to wcale nie było w pobliżu.

– W takim razie – mężczyzna wyjął coś z kieszeni – trzymaj, to dla ciebie.

Podał mi złotą dwudziestodolarówkę. Mój ojciec próbował takie odkładać, ale rzadko mu się to udawało. Wiedziałem, ile jest wart taki pieniądz, jak trudno go zdobyć i jak trudno będzie mi się teraz oprzeć. Przyjąłem monetę.

– Masz tu jeszcze drobne – dodał – żebyś nie musiał rozmieniać dwudziestki na kawę.

Przez następne lata wielu ludzi pocieszało mnie, że w niczym nie zawiniłem. Nie miałem jeszcze nawet dziesięciu lat. Skąd mogłem wiedzieć, że coś się święci? Lecz gdy biegłem po kawę, wypełniał mnie smutek i poczucie winy. Miałem nadzieję, że załatwię wszystko na tyle szybko, że niebezpieczeństwo nie zdąży ruszyć z miejsca. Jeśli piorunem dotrę na miejsce, zrobię swoje i pędem przybiegnę z powrotem, nic złego się nie wydarzy.

Biegłem tak szybko, że dotarłem do Highland Café zupełnie zadyszany, nie mogłem wydusić słowa. Nie czekałem, aż uspokoi mi się oddech: grzmotnąłem srebrnikiem o ladę, pokazałem na ekspres do kawy, wyciągnąłem w górę wskazujący i środkowy palec prawej dłoni, potem obróciłem je w dół i przebiegłem nimi po ladzie. Po chwili miałem już dwie kawy na wynos, machnięciem ręki zbyłem zwyczajowe pytanie o śmietankę i cukier.

W tamtych czasach większość restauracji oferowała blaszane naczynia, w których można

było wziąć jedzenie lub napój do domu. Ustawiało się je piętrowo, a na górze mocowało rączkę – coś podobnego można zobaczyć w chińskich mleczarniach. Niosłem właśnie dwa takie naczynia ustawione jedno na drugim, nie miałem jednak rączki, parzyły mnie w dłonie. Co parę kroków musiałem je stawiać na ziemi i dmuchać na palce. Po chwili, gdy trochę ostygły, podnosiłem naczynia i pędziłem dalej.

Chciałem wrócić na pole, żeby mieć obcych na oku. Zamierzałem zwolnić dopiero wtedy, gdy zobaczę, że jeszcze tam są. Gdy biegłem, kawa wylewała się z naczyń i gorącymi chluśnięciami parzyła mi dłonie. Spływała po rękach, lała się za rękawy. Cały przód koszuli miałem przesiąknięty, owalna plama rozlała mi się na spodniach wokół rozporoka.

W naczyniach została już tylko połowa kawy, złota moneta tkwiła jednak bezpiecznie w mojej kieszeni, pomyślałem więc, że jeśli mężczyźni nie będą zadowoleni z mojej usługi, mogę oddać im pieniądze. Lecz nim zdążyłem dotrzeć na skraj pola, widziałem między drzewami, że już ich tam nie ma.

Stanałem jak wryty, troskliwie ściskając w rękach blaszane naczynia. Najbardziej bałem się, by rodzice nie uznali, że ich zdradziłem. Błądziłem we własnych myślach, wiedziałem, co się święci, a zarazem nie wiedziałem. Mój ojciec widział w życiu wszystko. Nie ugiąłby się przed żadnym losem. Kiedyś powiedział mi, że z dnia na dzień coraz mniej boi się śmierci i że żaden koniec, choćby gwałtowny i niespodziewany, nie zdoła go złamać. Matka jednak była inna. We wszystko wkładała całe swoje serce, które łatwo mogło pęknąć.

Cisnąłem naczynia na ziemię i zacząłem biec. Zbliżając się do domu, spostrzegłem, że jedna z frontowych okiennic kołysze się pomału na wietrze. Mój ojciec nie pozwoliłby na to, przymocowałby ją.

Mdliło mnie ze strachu. Jednocześnie byłem pewien, że czeka mnie bura za przeszło półgodzinne spóźnienie i poplamienie ubrania kawą. Bałem się, że ojciec mnie skarci, że przyjąłem pieniądze od nieznajomych i opuściłem gospodarstwo, nie powiadomiwszy go, że ktoś nadchodzi, a nawet za to, że zamiast przynieść kawę, rzuciłem ją na ziemię. Ale będzie wstyd, myślałem, jeśli się okaże, że dwaj mężczyźni siedzą w gościnnej izbie i czekają na kawę, ta zaś już dawno wsiąkła w ziemię.

Zarazem byłem świadom, że może się wydarzyć coś kompletnie nieznanego i znacznie gorszego, co wybawi mnie od tych pomniejszych katastrof. Najstraszniejsza rzecz, jaką mogłem sobie wyobrazić, miała swoje dobre strony i choć czułem, że to pocieszenie jest z gruntu fałszywe, nie dawało mi spokoju. Pędząc w stronę domu, starałem się uciszyć myśli, ale czy można zapomnieć o myślach, które już przyszły do głowy?

Mimo wszystko miałem pewność, że będzie dobrze, że moje dzieciństwo nie skończy się w jednej chwili, i nim zdążyłem dobiec do drzwi, moja udręka nieco złagodniała. Nie licząc poplamionych ubrań, wcale nie prezentowałem się aż tak źle. Jeśli zastanę nieznajomych w domu, oddam im pieniądze i przeproszę za kawę. Takie rzeczy się zdarzają. Pomyślał, że jestem uczciwym chłopcem, który bardzo się starał, ale przytrafił mu się przykry wypadek.

W gościnnej izbie jednak ich nie było, domem zawładnęła cisza.

– Mamo?! – zawołałem, ale nikt nie odpowiedział. – Mamo?! – powtórzyłem drżącym głosem.

Cały mój świat zmienił się nieodwołalnie, gdy ujrzałem, że stół w jadalni jest przewrócony, a wszystko, co na nim stało – jedzenie, naczynia, sztućce, woda, świece, chleb – leży na podłodze.

Wszedłem do kuchni. Matka i ojciec leżeli o krok od siebie, bez życia.

Zawołałem ich cicho, ale nawet nie drgnęli. Oczy mieli otwarte. Ojciec trzymał w ręku nóż kuchenny poplamiony krwią. A więc walczył. Mimo to z jego twarzy bił spokój. Twarz

matki, jak przewidziałem, wykrzywiona była cierpieniem.

Z tyłu głowy miała małą dziurkę po kuli. To była egzekucja. Ojciec również miał taką małokalibrową dziurkę, tyle że w skroni, został także trafiony kilkoma kulami kalibru 45. Podłoga była poplamiona jego krwią, ale też krwią napastników, bo na ostrzu noża nie było ani jednego czystego miejsca.

Powiedziałem tylko:

– Ooo, ooo, ooo. – Powtarzałem tak raz po raz, potem umilkłem. Łzy płynęły mi z oczu, ale nie wydałem już z siebie głosu. Położyłem się między nimi, w krwi swego ojca. Położyłem na nich dłonie, mogłem przynajmniej poczuć pod palcami, że moi rodzice jeszcze są, że wciąż mogę ich dotknąć. A potem zamknąłem powieki. Gdy zasypiałem, byłem pewien, że do nich dołączę, i pewnego dnia oczywiście tak się stanie.

ZBOCZE W SÃO CONRADO

Jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, odłóżcie przeczytane kartki do mrówkoszczelnej kasety.

W dzieciństwie często słyszałem wyrażenie „prężność ludzkiego ducha” i jakimś trafem zdawało mi się, że chodzi o brazylijskość ludzkiego ducha. [Gra słów nie do oddania po polsku, oparta na zbieżności brzmieniowej słów *resilience* i *Brazilians* (przyp. tłum.).] Ten lapsus zaszczerpił we mnie wręcz nabożną cześć dla Brazylijczyków – ludzi, których w przeciwnym wypadku uznałbym za beznadziejnych rozpustników. Są wprawdzie rozrzutni, niezdyscyplinowani, rozczocharani moralnie, ja jednak przywiązuję dużą wagę do głosów, które słyszałem u zarania swego życia, i za sprawą tamtego przypadku z dzieciństwa widzę dla Brazylijczyków możliwość odkupienia.

Pamiętam, jak na zewnątrz padał śnieg, w domu palił się ogień, a matka mówiła z półmroku, przykazując mi, bym nigdy nie lekceważył brazylijskości ludzkiego ducha:

– Gdy już będziesz mężczyzną, czeka cię wiele prób, których teraz nawet nie możesz sobie wyobrazić, ale przejdiesz je pomyślnie, jeśli od początku będziesz wierzył we wspianą brazylijskość ludzkiego ducha.

Kto układa im choreografię, gdy roją się w milionowych tłumach, kopulują na plażach jak rybki księżycówki, opętani próżnością i namiętnością, gdy tanecznym krokiem przechodzą z dnia w dzień, z nocy w noc, niczym zwielokrotnieni Paolo i Francesca, ewidentnie kierowani czyjąś ręką jak marionetki? Widać ich na lądzie, w wodzie, a nawet w powietrzu – szybują leniwie krętymi szlakami po niebie, uczepleni lotni, które startują z Gãvea.

Najbardziej lekkomyślni spośród tych lotniarzy nie mają na sobie ubrań ani hełmów, tylko skarpetkę, która na południowoatlantyckich plażach uchodzi za slipki, i gdy tak lecą, tłumnie i nago w rozstłonecznionych przestworzach, wyglądają jak inwazja aniołów, bo żeby dobrze szybować, muszą wyciągnąć nogi i rozłożyć ręce, niczym postacie z renesansowego malarstwa: tancerze, aniołowie, półleżący bogowie. Kto jest choreografem tych niezwykłych lotów? Przypadek? Zawsze mi się zdawało, że w tym świecie już sama maestria, z jaką łączą się kolory, powinna wykluczyć Wielkie Wybuchy i inne „osobliwości”, lecz wiem, że jeśli w dzisiejszych czasach ludzie w coś wierzą, to zwykle raczej w Wielki Wybuch: „Wielki Wybuch jest moim pasterzem, niczego mi nie braknie...”

Wychowałem się w zatoce nad Hudsonem, która za sprawą historycznego i naturalnego zbiegu okoliczności była ostoją orłów. Cały kraj lamentował, że orłów już nie ma, a ja widywałem je wiele razy dziennie i sądziłem, że są pospolite jak mewy. Nauczyłem się wtedy między innymi tego, że zanim orzeł pojawi się w zasięgu wzroku, można wyczuć jego obecność na podstawie nagłych zmian w zachowaniu mniejszych stadnych ptaków. Czasem te oznaki były niesłychanie subtelne. Ptaki nagle traciły pewność siebie, rozpraszały się, napinały skrzydła, by móc błyskawicznie złożyć je wzdłuż ciała, gdy trzeba będzie zanurkować i zrobić unik. Czasem przelatowały na tle chmur nad drzewami w równym szyku, jak cętki na futrze jaguara lub lilijki na tapecie, i nagle uporządkowany szyk rozpadał się w kompletny chaos – był to smutny widok, a zarazem dobra lekcja.

Lotnie w São Conrado roją się chaotycznie i wspianale. Przychodzę obserwować je na tle błękitnego nieba, bo odkryłem, że u schyłku życia człowiek zaczyna pojmować ideę anioła. Przez wiele lat widywałem aniołów w twarzach dzieci, w malarstwie, słyszałem ich w cudownie wyśpiewanych ariach, w poezji. Lecz dopiero niedawno nauczyłem się, że mogą się też pojawiać w formie dalekiej od doskonałości, że nagłe pęknięcie szyku, rozproszenie się po niebie i szybsze bicie przerażonych serc również bywa ich udziałem.

Znalazłem sobie miejsce na stoku ogromnego wzgórza w São Conrado, bloku szarej skały wyciągniętym w stronę morza, i całymi dniami przyglądam się lotniarzom. Mam też ku temu praktyczne powody. Plaża, na której lądują, jest biała i szeroka, ale przynajmniej według moich standardów – o ile nie według standardów brazylijskich – mocno zatłoczona. Ponadto od strony promenady zawiewa woń espresso z kawowych wózków.

Znalazłem sobie zatem występ w skalnym zboczu i przychodzę tu na całe popołudnia, z gazetą, butelką wody i mrówkoszczelną kasetą. Choć pobliska plaża jest zasypana ludźmi jak tort cukrem pudrem, na tych skałach nigdy nie widziałem żywej duszy. Moim jedynym towarzyszem jest niewielkie drzewko.

Jego gładki pokrzywiony pień położyły morze i wiatr. Drzewko, twardsze, a zarazem giętsze niż jego kuzyni, przeżyje ich wszystkich: jest na trwałe wkorzenione w skałę, przez którą wcześniej musiało się przebić, by w ogóle wyrosnąć.

Porzuciłem ogród w Niterói, przynajmniej na razie, bo wyczuwam tam zagrożenie. Przedzieram się przez zatłoczone Rio i docieram tutaj, gdzie mam pewność, że będę sam. Znajduję się wysoko, ale morze jest tak blisko, że czasem wiatr przynosi drobną kropelkę wody i upuszcza mi ją na twarz lub na kartkę, tak blisko, że widzę płetwy przebijające szmaragdową powierzchnię fal. Gdy biorę wdech, czuję smak atlantyckich minerałów.

Pałace słońce odpowiada mi bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Nigdy tu nie jem, choć od czasu do czasu wyobrażam sobie w najdrobniejszych szczegółach, co mógłbym zjeść na kolację, muszę natomiast pić, zawsze mam więc przy sobie butelkę. Napełniam ją tą samą wodą, którą piłem w Rzymie. Tamtego wieczoru, gdy poznałem wielkich śpiewaków, po przejściu z Villa Doria do Hasslera byłem spragniony, poszedłem do baru po wodę i właśnie tam ich spotkałem. Piłem ją podczas naszej rozmowy, piłem też następnego dnia, gdy zobaczyłem tramwaj.

Waham się, czy w ogóle o tym wspominać, skoro dotąd zawsze zasłaniałem ci oczy, ilekroć mijał nas tramwaj z chłopcami jadącymi na dachu (teraz już wiesz, że wiem, kim jesteś). Zależało mi na tym, byś od najmłodszych lat zniechęcił się do tej zabawy, wiele dzieci już zginęło w ten bezsensowny sposób. Co prawda, zawsze wierzyłem w twoją inteligencję, ale dorastającym chłopcom brakuje rozsądku. Jeśli jesteś choć trochę podobny do mnie, zdołasz przetrwać, ale ledwie o włos – i szczerze mówiąc, trapię się tą myślą.

Sądziś może, że zasłanianie ci oczu, byś nie mógł widzieć chłopców jadących na dachach tramwajów, było manipulacją. Owszem – i to nie jedyną. Pewnie zdążyłeś się już zorientować, że nie wszystkim małym chłopcom każe się czytać po kolei tomy *Encyclopaedia Britannica*. Jesteś chyba jedynym chłopcem w całej Brazylii, dużym czy małym, który spełnił takie wymaganie. Nie każde dziecko musi się też uczyć na pamięć tablic logarytmicznych, ja jednak mimo to wierzę, że pewnego dnia, gdy zaczniesz zadziwiać wszystkich naokoło swoimi zdolnościami umysłowymi, podziękujesz mi za to.

Przepraszam cię, choć bez przesadnej pokory, za te manipulacje. Ostatnią z nich jest sposób, w jaki odkryjesz ten pamiętnik. Przez lata zostawiałem czekoladki w ukrytej szufladzie po lewej stronie swojego wielkiego biurka. Wiem, że ilekroć wchodzisz do mojej pracowni, zaglądasz do szuflad. Właśnie tam umieszczę mrówkoszczelną kasetę, gdy już ukończę te zapiski – ufam, że ją tam znajdziesz.

Wiem o tym, bo gdy miałem trzy lub cztery lata, w szufladzie domowego kredensu z porcelaną odkryłem cukrzone owoce. Do dziś nie mogę się powstrzymać przed zaglądaniami do szuflad, nawet w cudzych domach. Często doprowadzało to do kłopotliwych sytuacji, gdy ktoś przyłapywał mnie na obsesyjnym przetrząsaniu jego biurka.

– Przepraszam, co ty robisz? – padało pytanie, z naciskiem na „robisz”. Po ostatnim słowie zawsze słyhać było przyspieszony oddech pytającego.

– Czy masz może cukrzony owoc? – pytałem.

– Nie, nie mam żadnych cukrzonych owoców. – Nacisk zawsze na „nie mam” i jeszcze szybszy oddech, pełen zdumienia i złości.

– To nic – stwierdzałem – i tak wcale nie lubię cukrzonych owoców. – Nacisk zawsze na „wcale”. Bo naprawdę ich nie lubię.

Nigdy nie miałem zbyt wielu przyjaciół, między innymi dlatego. Otwieranie szuflad w zasadzie nie jest naganne, zresztą i tak nie mogę się od tego powstrzymać: własne szuflady otwieram nieustannie, niekiedy zaraz po zamknięciu. Gdy byłem na studiach, jednego razu (z naciskiem na „jednego”) pojechałem na Święto Dziękczynienia do Beverly Farms, gdzie mieszkał mój kolega z roku. Jego ojciec miał firmę spożywczą Wykwintny Kredens i może dlatego w całym domu roiło się od kredensów i szuflad.

Poszliśmy z owym kolegą na górę, by powiedzieć jego ojcu, który właśnie siedział na łóżku i zdejmował buty do jazdy konnej, że znaleźliśmy węża w skrzyni na węgiel. I wyobraź sobie, że podszedłem do komody, otworzyłem szufladę i znalazłem ni mniej, ni więcej, jak nadmuchiwaną lalę do seksu. Oczywiście nie wiedziałem, co to jest, wyciągnąłem ją więc i spytałem:

– Co to jest?

Kolega podszedł do mnie, obejrzał znalezisko i stwierdził:

– Nadmuchiwana lala do seksu. Czyje to, tato?

– Raczej nie twojej matki – powiedziałem.

– Nie, ty mały sukinsynu – odparł ojciec. – Nie mojej żony, ale jeśli już jesteś taki ciekawy, może zainteresuje cię też, że żona ma własną i że nasze lale ze sobą romansują.

– Ojej – skwitowałem.

– Może weź ją sobie? – spytał zgryźliwie. – Nie jest w moim typie.

Nasz świąteczny obiad przebiegł w dość niezręcznej atmosferze.

Tramwaje. Gdyby nie tramwaj, nie trafiłbym tu, a ty pewnie mieszkałbyś w faweli.

To wcale nie musiałyby być złe. Zależy, jak się do tego podejrze. Prawda jest taka, że najcudowniejsze chwile swojego życia przeżyłem wówczas, kiedy byłem strasznie biedny, przynajmniej za młodu. Młodzi ludzie z charakterem nie potrzebują pieniędzy. Dopiero gdy wiek odbiera nam radość, zaczynamy ich potrzebować, żeby podtrzymać słabnącą zdolność przetrwania. Kiedy wracam myślą do najukochańszych chwil swego życia, zdaję sobie sprawę, że świat wydawał mi się najpełniejszy i najbarwniejszy wówczas, gdy nie miałem grosza przy duszy. W Monasterze miałem kilka mundurów, dwie książki i pistolet. Każdego dnia ryzykowałem życie i każdego dnia wracałem do namiotu i prostych posiłków. Żyłem jednak w chmurach. Używaj bogactwa tylko po to, by przedłużyć swoją żywotność – jeśli się od niego uzależnisz, będziesz zgubiony.

Tramwaje. Widuję mężczyzn w garniturach, jadących do pracy w klimatyzowanych limuzynach. Siedzą skrupowani krawatami, pasami bezpieczeństwa i swoją sztywną godnością. Widuję też ludzi przejeżdżających tramwajem przez Lapa Aqueduct w Santa Teresa... Ty też ich widziałeś. Wiszą na wysokości siedemdziesięciu stóp, uczepleni skrzypiących, rozklekotanych, pomalowanych na szafranowo wagonów, pędzących przez próżnię do rytmu afrykańskiej muzyki.

Tramwaj w Santa Teresa to życie w słońcu, to ruch, muzyka, ryzyko i kolor. Klimatyzowane czarne samochody to nic więcej jak trumny. Czy tego właśnie ludzie pragną? O tym marzą? Żeby zamiast lecieć w słońcu przewiewnym tramwajem przez Santa Teresa,

zamknąć się w czarnej skrzyni i utknąć w korku na Assembléia?

Od dawna darzę tramwaje wielką czułością, między innymi dlatego, że widok jednego z nich zbudził mnie z długiego snu. Było to w Rzymie, w tym samym dniu, gdy zbierałem się do odjazdu do Paryża, a recepcjonista mówił mi: „woda mi-ne-ral-na, woda mi-ne-ral-na, pistacje, woda mi-ne-ral-na, woda mi-ne-ral-na...”.

Jakiś cud sprawił, że miałem już wtedy plan obrabowania Stillman and Chase. Do tej decyzji skłonili mnie czterej śpiewacy, a aria recepcjonisty o wodzie mi-ne-ral-nej była pierwszym potwierdzeniem jej słuszności.

Odurzony tym postanowieniem ruszyłem na spacer po ulicach Rzymu. Wiedziałem, że zjem obiad w swojej ulubionej restauracji kilka ulic na południe od dworca, a potem wyśpię się pod lśniącem kocem ze szkockiej wełny, w powiewach zimnego alpejskiego powietrza wpadających przez okno prywatnego przedziału, podczas gdy pociąg będzie mknął przez noc nad wybuchowo świeżymi i chłodnymi rzekami – dlatego przez cały dzień powstrzymywałem się od jedzenia.

Trattoria Minerva serwowała tak dobre jedzenie, że nie chciałem jej obciążać jakąś banalną konkurencją. Była to zwyczajna restauracja przy bocznej ulicy, pomijana w przewodnikach turystycznych. Drzwi i okna były tam zaciągnięte białymi zasłonkami, zimne dania wykładano na stole przy kominku, a jedzenie było niezrównane. Ja, który przez lata żywiłem się bez ograniczeń na koszt firmy, nigdzie nie jadłem lepiej. Ciekawe, czy ta restauracja jeszcze tam jest. Nie podpowiem ci, jak tam trafić – musiałbym pójść tam samemu, a nie mogę tego zrobić. Przede wszystkim ze względów prawnych, powód drugi jest zaś jeszcze poważniejszy: skoro czytasz te słowa, to znaczy, że już nie żyję. Umarli nie chodzą do restauracji (chyba że w Nowym Jorku).

Przez cały dzień chodziłem po Rzymie, przeszedłem dwadzieścia mil, zwiedzając muzea, kościoły, pałace i place, na których przez tysiące lat pracowały setki najwspanialszych artystów i dziesiątki tysięcy najwspanialszych rzemieślników świata. Brazylię co jakiś czas opanowuje mania na punkcie *science fiction*: w ciągu ostatniego dziesięciolecia pojawiło się mnóstwo filmów podsycających to szaleństwo, w każdym z nich przez trzy-cztery minuty obowiązkowo pokazuje się lot przez zakrzywioną czasoprzestrzeń i poza granice wszechświata. W kanonicznych filmach tego gatunku, kręconych z typowo hollywoodzkim nabożeństwem, tunel wiodący na drugą stronę wszystkiego wygląda jak wnętrze oszalałej lampy woskowej, a lot przezeń przypomina tornado, które porwało dziesięć milionów miseczek homarów po kantonku.

Długie tunele sztuki przemierzane przeze mnie tamtego dnia w Rzymie nie miały poszarpanych krawędzi, tchórzliwych kolorów i pastelowych odcieni, które same nie wiedzą, co z sobą zrobić. Mądrość, doskonałość i piękno form oglądane w tak wielkim nagromadzeniu aż nazbyt dobitnie zaświadczały o istnieniu reguł ustanawianych gdzieś po drugiej stronie, gdziekolwiek miałyby się ona znajdować. Nawet jeden detal na obrazie potrafi to niezbitnie uzmysłowić, jeśli tylko umie się patrzeć.

Byłem w stanie uniesienia – i trudno się temu dziwić po dwudziestomilowym marszu wśród tak wyjątkowego piękna, po miesiącach i latach samotności oraz całym dniu niejedzenia, a właściwie nawet dwóch dniach, nie licząc selera, pistacji i wody mi-ne-ral-nej. Mimo wszystko odkrycie, które zbudziło mnie z długiego uśpienia, nastąpiło wskutek czystego przypadku. Był on wprawdzie osobliwie zbieżny z rozmową ze śpiewakami, ale na pewno niezależny od stanu mego umysłu.

Przeszedłszy przez Tyber od strony Trastevere, podążałem wzdłuż Murów Aureliana, aż dotarłem do południowego *borgo*, gdzie znajdowała się restauracja. Pomijając dojścia do Via Appia, nie ma tam nic, co by przykuwało uwagę turystów, co przynajmniej z wierzchu byłoby

naprawdę stare. To miejsce, gdzie zakłada się rodziny, gdzie kocha się dzieci, gdzie toczy się życie małżeńskie prowadzące do mądrej harmonii lub niekończącego się koszmaru. To miejsce ustronne tak jak Brooklyn Heights czy Beacon Hill – gdy tylko się tam wejdzie, od razu spada nam ciśnienie i uspokaja się puls.

Niedaleko mojej restauracji trafiłem na niewielki park z fontanną pośrodku. Kupiłem dużą butlę wody mi-ne-ral-nej, podszedłem do fontanny i usiadłem z ogromną ulgą, normalną u kogoś, kto właśnie przeszedł dwadzieścia mil.

Przez pół godziny wsłuchiwałem się w szum wody, czując, jak krew uspokaja mi się w żyłach. Oddychałem powoli. Puls spadł mi do czterdziestu pięciu, może pięćdziesięciu uderzeń na minutę, co zdarza się nawet dziś, gdy czuję się spokojny i silny. Nie myślałem o Stillman and Chase, o Constance ani niczym innym, a już na pewno o swoich rozczarowaniach. Wyczerpanie napełniło mnie przyjemną falą błogości. Zamknąłem oczy.

Nie wiem, jak długo ich nie otwierałem – raczej niedługo – i czy nie zdrzemnąłem się przez chwilę, wiem jednak, że wybudził mnie trzask iskier. Nie ma na tym świecie drugiego dźwięku, który można by pomylić ze spięciem w przewodach wysokiego napięcia.

Od prawej strony w pole mego widzenia wtoczył się pomarańczowy tramwaj, niemal bezgłośnie, z wyłączonymi silnikami i spuszczonego pantografem. Sunął cicho, jedynie z nieśmiertelnym szczękiem metalu o metal, aż dotarł do małej zatoczki, w której miał czekać na wieczorny kurs. Gdy się zatrzymał, poczułem zapach ozonu i rozgrzanego smaru.

Nie obeszło mnie to, ponownie zamknąłem oczy. Potem znów je otworzyłem. Tramwaj (w krajach północnych tramwaje są zwykle zielone, w południowych pomarańczowe, żółte lub szafranowe) stał zasłonięty do połowy przez niski kamienny murek. Gdybym się podniósł, dojrzałbym podwozie i koła, siedząc zaś, widziałem jedynie górną część wagonu. Mimo wielkiej wagi tego, co ujrzałem, minęła jeszcze sekunda lub dwie, nim zdołałem oprzytomnieć.

Na bocznej ścianie tramwaju wisiała tablica reklamowa długości jakichś dziesięciu stóp i trzech stóp wysokości, widziałem jednak tylko najwyższą jej część. Znajdowały się tam inicjały – a raczej coś, co wziąłem za inicjały – F.P.F. Bardzo szerokie rozstrzelenie wskazywało, że są to raczej pierwsze litery jakichś słów, których ze swojego miejsca nie byłem w stanie dostrzec.

Po raz ostatni inicjały F.P.F również widziałem na boku wagonu – i dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że wtedy także dostrzegłem jedynie górne części liter: byłem za mały, by zobaczyć je w całości zza biurka i krawędzi okna. Nigdy bym nie przypuszczał, że jeszcze kiedykolwiek zobaczę ten ciąg liter na jakimś wagonie.

Przyszła mi do głowy nierozsądna myśl, że jeśli wstanę, odsłoni się przede mną nazwisko mordercy. Był to oczywisty nonsens – skąd miałoby się wziąć na rzymskim tramwaju czterdzieści lat po fakcie? Wiedziałem, że to nonsens, lecz mimo to podniosłem się z miejsca, jak gdybym stawał twarzą w twarz ze swoim egzekutorem. Wstrzymałem oddech, elektryczność rykoszetowała w moim wnętrzu jak burza pod szklanym kloszem.

Jakże się rozczarowałem, gdy na tablicy ukazał się rysunek kawowego ziarna, a nad nim napis: „EXPRESSO BRIGANTE ECCELLENTE”.

Usiadłem. Nie było to oczywiście nazwisko mordercy, tylko reklama – czegoż by innego? – marki kawy. Nie były to nawet litery F.P.F, tylko E.B.E. z zasłoniętą dolną częścią.

– O Boże – powiedziałem. – O mój Boże.

Doznałem olśnienia.

Wtedy, w dzieciństwie, wcale nie ujrzałem liter F.P.F., tylko E. B.E. – lecz choć minęło tyle lat, choć śnieg już sto razy spadł na grób mych rodziców, do tej pory o tym nie wiedziałem.

F. P.F.–owie byli niewinni. Większość z nich nawet nie miała prywatnych wagonów. Jak głupcy szukaliśmy F.P.F.–ów, tymczasem moich rodziców zabił... E.B.E.

Kim zaś był E.B.E., jeśli nie Eugene'em B. Edgarem?

Zaraz, zaraz, pomyślałem. Może to jednak ktoś inny? A potem przeszło mi przez myśl, że to naprawdę dziwny, a może też sprawiedliwy zbieg okoliczności, że mogę zajrzeć do zapomnianych od dawna dokumentów Stillman and Chase i że nauczono mnie dokonywać obliczeń i dedukcji, wyprowadzać z poszlak niezbite wnioski.

Nie poszedłem do swojej restauracji, byłem zbyt poruszony. Nie spałem też w pociągu. Przez całą noc stałem w oknie, nawet gdy pociąg mknął przez piekielne tunele. Piłem wodę mineralną i ciskałem butelki w las. Błyskały przez chwilę w świetle księżycy i zniknęły w mroku, pociąg tymczasem wspinał się na szwajcarskie góry, mijając wielkie białe strumienie, które niedawno rozmarzły i tańczyły z radości, że zbudziły się z tysiącletniego snu. Od 1914 roku nigdy nie czułem się tak pełen życia.

Najpierw postanowiłem, że wrócę do Nowego Jorku, dumnym krokiem Tarkwiniusza wtargnę do archiwów Stillman and Chase, potem dźwignę Eugene'a B. Edgara ze złotomahoniowego fotela na kółkach i złamię mu jego obrzydliwą kurzą szyję. Ale nie było to takie łatwe.

Choć już dawno dowiodłem swojej męskości i byłem niemłody, wiedza podsunięta przez tramwaj pchnęła mnie w przeszłość, na powrót stałem się roztrzęsionym dziesięcioletkiem, jak gdyby całe późniejsze czterdzieści lat nigdy się nie wydarzyło. Byłem tak przerażony i bezbronny, jak tylko może być dziecko, nie potrafiłem też uwierzyć w to, czego się dowiedziałem. Żyłem w dwóch sprzecznych stanach umysłu, w wielkim napięciu, doznałem wręcz lekkiego załamania nerwowego.

Wiem o tym choćby dlatego, że ujrzałem wtedy nowy kolor. Okuliści zawsze uważali mnie za dziwaka. Najwidoczniej nie znają podobnych przypadków, bo ilekroć opisuję, co widzę pod zamkniętymi powiekami, pytają mnie, czy biorę jakieś narkotyki. Jestem chyba najbardziej wolną od narkotyków osobą na świecie, ale gdy zamknę oczy, widuję bitwę pod Baltimore, gwiazdzisty sztandar, bomby rozdzierające powietrze, race, fajerwerki, chiński Nowy Rok, falujące ogniste smoki. Panorama świetlnych rozbłysków jest tak żywa i szczegółowa, tak zaskakująca, przemyślnie skonstruowana i nieprzewidywalna, że gdybym mógł zobrazować z niej choćby pół sekundy, trzeba by godziny, żeby ten obraz opisać. Zawsze tak miałem, natomiast po powrocie z Rzymu błyski zniknęły, a ich miejsce zajął głęboki, jasny kolor. Był naprawdę niezwykły, nie widziałem go nigdy przedtem ani potem i na długie miesiące zastąpił toczące się w ciemności bitwy. Wyglądał trochę jak oślepiająca magenta, nie była to jednak magenta. Był niepokojący, uporczywy i niepojęty.

Pojawił się też problem w stosunkach z płcią przeciwną. Zupełnie straciłem rozeznanie, co należy robić i mówić, perspektywa uprawiania miłości z kobietą wydawała mi się tak zdumiewająca, że brakowało mi słów. Zadzwoiłem do jednej z przyjaciółek Constance, której nie widziałem od czasu separacji. Podobnie jak Constance, była to kobieta niepospolicie atletycznie zbudowana i oszałamiająco piękna. Gdy grywaliśmy razem w tenisa przeciwko Constance – Constance grała tak dobrze, że musiała mieć dwoje przeciwników – i wyciągała się w stronę piłki, czułem się tak, jakbym wypadł z samolotu, a gdy zaczynała się pocić z wysiłku, nie nadawałem się już właściwie do niczego.

Zadzwoiłem do niej i oznajmiłem:

- Sydney, muszę ci coś powiedzieć prosto z mostu.
- Co takiego? – spytała nerwowo.
- Coś mi się stało. Moje liczydło cofnęło się do czasów, gdy miałem dziesięć lat.
- Twoje liczydło?
- Tak. Jestem dorosłym człowiekiem, ale mam dziesięć lat.

– Pod względem umysłowym?
– Nie.
– Fizycznym?
– Nie.
– Emocjonalnym?
– Być może.
– Ojej. Nie wiem, co powiedzieć. To trochę niezwykle, prawda?
– Tak – przyznałem.
– Czy mogę ci jakoś pomóc?
– O tak. Tak, możesz.
– Hm, chciałbyś porozmawiać? Może przeczytać ci bajkę?
– Niezupełnie, Sydney. Potrzebuję czegoś więcej.
– Mów śmiało.
– Sydney – to zbrodnia, że tak niezwykle kobieta nosiła takie imię – jeśli dam radę... a nie jestem pewien, czy dam radę... muszę się z tobą kochać przez jakieś cztery dni bez przerwy, w nieustannym transie.

W słuchawce zapadło milczenie, ale mówiłem dalej:

– Musisz powiedzieć swoim przyjaciółom, że wyjeżdżasz, przestać odbierać pocztę i czytać gazety, odwołać spotkania, wyłączyć telefon i zrobić zapas jedzenia: dużo zimnych kremowych deserów, mrożonych owoców, ostryg, szampana i czekolady. – Nie dodałem: „i wielkich krwistych steków”, żeby jej nie zdenerwować, nie chciałem też, by wzięła mnie za psa.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Nie. Mam dziesięć lat. Jeszcze nigdy nie byłem z kobietą. Chcę się poświęcić odkrywaniu i wielbieniu każdego fragmentu twojego ciała. Potrzebuję do tego co najmniej czterech dni.

Po drugiej stronie linii zapanowała tak długa cisza, że już myślałem, iż Sydney się rozłączyła. Potem usłyszałem jej głos:

– Przyjedź najszybciej, jak się da, ja tymczasem pojedę do Gristedes, kupię truskawki i bitą śmietanę.

Później przyszedł czas na inne rzeczy, inne kobiety, inne kolory, wizyty w Palisades Park i w sklepach zabawkowych – w końcu jednak dojrzałem do tego, by przełamać lęk i przejrzeć dokumenty mogące potwierdzić, że przez czterdzieści lat służyłem człowiekowi, który zabił mi matkę i ojca.

Zacząłem wracać do (jako takiego) zdrowia. Nie widywałem już nieziemskich barw pod powiekami, nie musiałem się kochać z Sydney przez tydzień bez przerwy ani wydawać ogromnych sum pieniędzy na kolejki górskie, watę cukrową i zabawkowe pistolety. Podczas tego dziwnego interludium Pulpett wyczuł, że jestem bezbronny, i przyspieszył łańcuch wypadków, który ostatecznie doprowadził mnie do schowka na miotły.

Moja wewnętrzna maszyna zaczęła jednak ożywać i któregoś dnia na powrót stałem się mężczyzną. Wprawdzie gdy schodziłem do archiwów, denerwowałem się jak dziecko przed recitalem fortepianowym, nie byłem jednak dzieckiem, moje życiowe doświadczenie włączyło się do gry. Kiedy wyszedłem z windy znów byłem sobą – lecz już po chwili pokonały mnie przyziemne trudności.

Nigdy wcześniej nie odwiedziłem archiwów. Były oddzielone od biblioteki, w której przez lata prowadziłem swoje studia, nieprzydatne dla nikogo prócz historyków ekonomii, tyle że ani historycy ekonomii, ani nikt inny nie miał do nich dostępu. Zamierzałem się wedrzeć do tego

skarbcza pradawnych pamiątek po Edgarze, wykorzystując resztki swojej szybko obniżającej się rangi.

Bez problemu wszedłem do wyłożonego boazerią przedśionka – po orientalnym dywanie, tak grubym, że trudno było utrzymać na nim równowagę – i zapytałem, czy mogę zobaczyć archiwa z lat 1913 i 1914.

Kustoszka była skrzyżowaniem stereotypowej bibliotekarki z Sophią Loren. Rozmawiało się z nią tak trudno, że równie dobrze mógłbym prosić o pomoc dwugłowca z książki *Doktor Dolittle i jego zwierzęta*.

– Oczywiście, że nie – stwierdziła. – Archiwa są zamknięte.

– Jestem wiceprezesem wykonawczym do spraw badań i polityki inwestycyjnej – oznajmiłem. – I pełnoprawnym współnikiem.

– A jakie to ma, do diabła, znaczenie? – spytała. I miała zupełną rację.

– Po co są archiwa, skoro nikt nie może z nich korzystać?

– Ktoś może.

– Kto?

– Pan Edgar.

– On prawie się nie rusza i nie jest już w stanie czytać. Nie udźwignąłby szuflady. – Wskazałem na wnętrze archiwum, gdzie przechowywano dokumenty w gigantycznych sejfach, z których każdy, jak zauważyłem, zamknięty był na trzy zamki.

– Pan Pulpett i ja mamy obowiązek towarzyszyć panu Edgarowi przy przeglądaniu materiałów.

– Zatem widuje je pani.

– Nie, nie widuję. Nie wolno mi zaglądać do teczek.

– Ale pani i pan Pulpett macie do nich dostęp.

– Nie. Pan Pulpett ma klucz, ja mam klucz i pan Edgar ma klucz. Wiem, że tylko pan Edgar może oglądać dokumenty, pan Pulpett wie, że tylko pan Edgar może oglądać dokumenty, i pan Edgar wie, że tylko pan Edgar może oglądać dokumenty. Proszę mi wierzyć: tylko pan Edgar ogląda dokumenty.

– Dlaczego? Co w nich takiego tajemniczego?

– Nie mam pojęcia. Są własnością pana Edgara.

– Jak często pan Edgar przychodzi je oglądać?

– Gdyby pan Edgar przychodził je oglądać, powiedziałabym, że to jego powinien pan spytać, ale prawda jest taka, że nie przychodzi ich oglądać.

– Nigdy?

– W każdym razie nie przyszedł w ciągu ostatnich piętnastu lat, od kiedy tu jestem.

– Powiedziała pani, że nie może pani zaglądać do teczek.

– Podtrzymuję to twierdzenie.

– Czemu pani tak powiedziała, skoro nigdy ich pani nie widziała?

– Taka jest procedura, na wypadek gdyby pan Edgar przyszedł.

– On już pewnie zapomniał, że to archiwum w ogóle istnieje. – Moja irytacja zaczęła ustępować zdumieniu. – Jest zasuszony jak kij baseballowy, dobrze pani o tym wie.

Kustoszka rozłożyła ręce, jak gdyby mówiła: „i co z tego?”.

– A więc siedzi pani tutaj, w biurze godnym prezydenta Francji, i raz w roku odbiera pani nowy zestaw materiałów.

Kustoszka pomału pokręciła głową.

– To archiwum obejmuje okres wyłącznie od powstania firmy do utworzenia Komisji Papierów Wartościowych i Giełd w 1934 roku.

– Co pani robi przez cały czas? Po co pani tu siedzi? – dopytywałem się, jak gdyby bank inwestycyjny miał powód się martwić o racjonalność wydatków.

– Jestem tu na wypadek, gdyby pan Edgar chciał skorzystać z archiwów. A co tu robię całymi dniami, to już moja sprawa.

– No niechże pani mi powie, co pani tu robi – nalegałem ze zwykłej ciekawości.

– Niech pan zajrzy tu czasem, przekona się pan – powiedziała, przesywając mnie takim spojrzeniem, że aż straciłem dech. – To bardzo zaciszne miejsce.

Wzdrygnąłem się. Owszem, miała czym oddychać i gdyby zdjęła okulary – czarne plastikowe oprawki ważące prawie tyle, co ona, i szkła, które zmniejszały jej oczy do rozmiaru cekinów – mogłaby być zabójczo atrakcyjna. Nie da się jednak romansować w biurze, jakkolwiek by się chciało. Był jeszcze jeden problem: zważywszy, że pilnie potrzebny był mi jej klucz, cokolwiek bym zrobił, stałbym się zigołakiem.

Działo się to na długo przed moim powtórным spotkaniem ze Smedjebakkenem. Archiwum znajdowało się wysoko ponad ulicą. W tym właśnie czasie zaczął mi chodzić po głowie skarbiec, lecz każda metoda rabunku, jaką rozważałem, wskazywała mnie jednoznacznie jako mordercę pana Edgara, ponadto żadna z nich nie pozwalała mi pracować dalej w Stillman and Chase.

Znalazłem się w martwym punkcie.

Wyobrażałem sobie wszelkie możliwe scenariusze: od romansu z panną Dickstein, archiwistką, który odrzuciłem ze względu na zasady, przez romans z sekretarką Gnoya Pulpetta, który odrzuciłem ze względu na zasady, po romans z jedną z „pielęgniarek” pana Edgara, który odrzuciłem ze względu na zasady, ale nie odrzuciłbym, gdyby nadarzyła się okazja, bo nie mógłbym się oprzeć. Pielęgniarki Edgara były najpiękniejszymi kobietami na świecie. Nie sądzę, by któraś z nich miała mniej niż sześć stóp wzrostu, każda dosłownie zapierała dech w piersiach. Nie mogłem oderwać od nich wzroku. Nikt nie mógł. Pan Edgar miał wprawdzie najlepszych lekarzy na świecie, ale to obecność tych kobiet sprawiała, że żył o wiele dłużej niż powinien – stara sztuczka znana głównie królom.

Ich relacje były, rzecz jasna, czysto platoniczne, ciało Edgara już od dawna nie funkcjonowało. Przy życiu podtrzymywały go cudowne rojenia, wprawiające jego na wpół umarłe serce w nieustanne drżenie. Lecz nawet gdybym zdołał uwieść jedną czy dwie z tych pielęgniarek, szanse uwiedzenia panny Dickstein były bliskie zera, a jeśli chodzi o sekretarkę Pulpetta, to nawet nie wiedziałem, czy ma dostęp do kluczy. Osiągnięcie celu przez seks było perspektywą kuszącą, ale z wielu powodów niemożliwą do zrealizowania, również z takiego, o którym dotąd nie wspominałem: otóż choć zawsze byłem zakochany i prawie zawsze miałem kogo kochać, moje zakochywanie się było serią ślepych przypadków. Ilekroć sobie umyśliłem, że zdobędę określoną kobietę, następowała katastrofa. Obawiałem się wreszcie, że panna Dickstein tak roznamiętni się w swoich amorach, że po pierwszym spotkaniu zostanie ze mnie tajemnicza kupka piór, wskazująca, że w tym miejscu ptaszek stoczył walkę z kotem. Na tym zakończyłem romansowe plany.

Potem przyszyły mi do głowy inne ewentualności: brutalna akcja i komandoska operacja, czyli szybkie wtargnięcie, bezlitosna egzekucja, wysadzenie plastikiem drzwi do sejfów i błyskawiczna ucieczka. Niestety musiałoby się to wiązać z zamordowaniem panny Dickstein lub wymazaniem jej pamięci. Nie mogłem zamordować niewinnej osoby w celu ustalenia, kto zamordował moich rodziców, a wymazanie pamięci panny Dickstein na pewno okazałoby się jeszcze trudniejsze niż uwiedzenie jej, zrozumiałem więc, że nie jestem w stanie wcielić się w komandosa. Musiałem zrobić wszystko po kryjomu. Nikt nie mógł wiedzieć, że tam wszedłem i

stamtąd wyszedłem. Potrzebne mi były klucze, bo bez kluczy musiałbym uszkodzić zamki, ponieważ zaś panna Dickstein przejrzała na wylot moje zamiary, wystawiłaby mnie policji jak na talerzu.

Stąd wziął się pomysł następny: chloroform. Mógłbym po prostu uśpić całą trójkę i sporządzić odciski ich kluczy. Z panną Dickstein nie byłoby to trudne, z innymi sprawa wydawała się zbyt ryzykowna. Nim zdybałbym ich na osobności, mógł minąć milion lat, pan Edgar zaś nie miał przed sobą miliona lat życia. Wręcz przeciwnie, musiałem się spieszyć, by zdążyć go zabić, nim sam umrze.

Do tej pory zabijałem ludzi tylko wtedy, gdy próbowali zabić mnie lub kogoś innego, i zawsze zostawiałem im drogę ucieczki. Gdy odstępowali od ataku, nie robiłem im krzywdy. Teraz było inaczej. Zamierzałem dokonać wyrachowanej zemsty, a jej ofiara była kompletnie bezbronna.

Czy dowody mogły się okazać wystarczające, czy miałem możliwość to ocenić? Rozmyślałem o tym przez jakiś czas i doszedłem do następującego wniosku: jeśli myśl o zemście wzbudzi we mnie opór, uznam, że dowody są wątpliwe. Jeżeli będą jednoznaczne, nie zawaham się jej dokonać. Nie martwiłem się też, że porzucam tradycyjne formy wymierzenia sprawiedliwości i biorę prawo w swoje ręce. Wiedziałem doskonale, że nawet gdyby pana Edgara udało się przed śmiercią postawić przed sądem, wydałby pięćset milionów dolarów na prawników i bez względu na rozmiar swej winy opóźniałby proces, póki nie spocząłby w swoim mauzoleum. (Jego ulubieni służący – kucharze, pokojówki i ogrodnicy, głównie jednak pokojówki – mieli służyć mu tam do końca jego grobowych dni. Ci, którzy jeszcze żyli, mieli odkurzać mauzoleum i odbierać telefony, a ci już nieżyjący byli pochowani obok świątyni, gdzie miał spocząć). Wiedziałem też, że nawet gdyby doczekał wyroku, skazano by go najwyżej na jakieś prace społeczne, czyli za zamordowanie moich rodziców strzałem w głowę i pozostawienie ich w kałuży krwi musiałby na przykład przez trzy miesiące grać w ping-ponga z niepełnosprawnymi dziećmi lub objaśniać właścicielom podupadających pralni chemicznych, jak należy maksymalizować przepływ gotówki i ciąć wydatki. Tyle tylko, że ten skurwiel nawet nie umiał grać w ping-ponga i w ogóle już się nie odzywał – kara sprowadzałaby się więc do tego, że gapiłby się dalej na swoje skandynawskie pielęgniarce.

Zastanawiałem się, czy będę zdolny wymierzyć mu sprawiedliwość, i nie byłem tego pewien. I nadal nie miałem pojęcia, jak się dostać do akt z lat 1913 i 1914.

Dokładniej mówiąc, nie miałem dopóty, dopóki nie opracowaliśmy ze Smedjebakkenem planu obrabowania skarbcza. Wtedy mnie olśniło. Pomysł był prosty, choć Smedjebakken stanowczo sprzeciwiał się folgowaniu uprzedzeniom i narażaniu głównej operacji poboczną akcją, kolejną po kradzieży obrazu. Odmawiał współudziału, póki nie opowiedziałem mu, jak pewnego czerwcowego dnia leżałem między rodzicami i chciałem zasnąć z nimi na zawsze, a potem obudziłem się zimną nocą i ujrzałem, że nie zmieniło się nic prócz stanu ich ciał.

- No dobra – powiedział. – Pomogę ci. Co wymyśliłeś?
- Muszę zdobyć klucze.
- Jak?
- Właśnie do tego jesteś mi potrzebny.
- Nie zapominaj, że nie mogę wejść do waszego biura – zauważył. – Byłem tam już jako geodeta. A nawet gdybym mógł, jak miałbym zdobyć klucze? Nie jestem kieszonkowcem.
- Nie domyślasz się, że mam plan? – spytałem.

Najpierw kupiliśmy furgonetkę. Dziś furgonetki są często spotykane, mają zgrabne sylwetki i wyglądają jak samochody. W tamtych czasach były olbrzymie, miały zaokrąglone tyły

i przypominały karawany. Z boku wycięliśmy okno, a w przestrzeni ładunkowej zainstalowaliśmy stół na kółkach z odpowiednią maszyną. Na burtach namalowaliśmy hasła reklamowe – i mogliśmy działać. Ponieważ maszyny mieliśmy już wcześniej, a furgonetka była używana, koszty początkowe okazały się minimalne.

Napisy na aucie informowały przechodniów, że mogą sobie u nas „wypolerować, wypolerować, wygładzić i trwale nawoskować” klucze. Kto skorzysta, niech wie: „To koniec problemów z otwieraniem zamków! Zaoszczędzisz cenny czas! Nie musisz się już bać, że złamiesz klucz w zamku! Przedłuż życie swoim cennym kluczom! Przekonaj się, jak ładnie będą pachnieć i brzęczeć!”. Najlepsze było to, że usługa kosztowała: „tylko pięć centów!” i wykonywana jest: „Szybko! Szybko! Szybko!”

Wiść rozeszła się lotem błyskawicy. Biedny Smedjebakken dniami i nocami przesiadywał w furgonetce, polerując, wygładzając i woskując klucze urzędników z Wall Street. W przerwie obiadowej ustawiała się dziesięcioosobowa kolejka. Wszyscy bez wyjątku pytali, jak można się utrzymać z usługi kosztującej ledwie pięć centów, na co Smedjebakken odpowiadał, że zastanawia się nad podwojeniem ceny.

Całymi tygodniami furgonetka stała we wszelkich możliwych miejscach wokół Stillman and Chase. Zaczęliśmy cztery ulice od biurowca, potem z czterech zrobiły się trzy, potem dwie, potem jedna, aż w końcu stanęliśmy dokładnie przed głównym wejściem do banku.

Mieliśmy oczywiście nadzieję, że panna Dickstein, sekretarka Pulpetta, a może nawet jakimś cudem pan Edgar przyjdą wypolerować sobie klucze w furgonetce. Sekretarka Pulpetta rzeczywiście przyszła, ale nie przyniosła kluczy do skrytek. Miał je pewnie przy sobie sam Pulpett, a on zawsze mijał furgonetkę w pośpiechu.

Postanowiliśmy wejść do środka. Nie było to zbyt trudne. Cały personel Stillman and Chase zdążył przywyknąć do obecności naszego serwisu, podrzuciłem też ulotki z zapowiedzią, że firma zafundowała pracownikom darmowe polerowanie kluczy przy biurkach.

W umówionym dniu Smedjebakken wtoczył do biura wózek z maszyną do wygładzania, polerowania i woskowania i zaczął od licznych kluczy w głównej recepcji. Pracownicy ochrony nie rozpoznali geodety, z którym niedawno spędzili tyle długich godzin, ponieważ... No cóż, Smedjebakken nie przepadał za tą częścią planu.

Nasze przedsięwzięcie nazywało się Serwis Kluczowy Pana Baryłki. Smedjebakken był panem Baryłką. Kupiliśmy mu spodnie na tłuszczochy przypominające kominy lodolamacza lub wentylatory na liniowcu Queen Mary i obwiązaliśmy go w pasie dwiema poduszkami. Do tego sztuczny wąs, fedora – i Smedjebakken zmienił się w pana Baryłkę.

Pan Baryłka pracował w Stillman and Chase prawie tydzień, wypolerował klucze wszystkim, nawet panu Edgarowi. Ponieważ świadczył tę niezwykle cenną usługę za darmo, pozwalając każdemu zaoszczędzić aż dziesięć centów na kluczu, cała firma, od dozorców (którzy oczywiście mieli mnóstwo kluczy) po samego pana Edgara, nie posiadała się z radości. Potem przez długie tygodnie słychać było komentarze – a nawet rozmowy – o tym, jak ładnie dźwięczą wypolerowane klucze, jak gładko otwierają zamki, jak cudownie i wspaniale wyglądają po nawoskowaniu, jak przyjemnie pachną, jak się błyszczą.

Na swoim wózku Smedjebakken miał woskowe bloczki, które wśród klekoczącej maszynarii i pojemników z gliceryną wydawały się zupełnie na miejscu. Zręcznie odcisnął w nich klucze do skrytek oraz duży klucz do krat blokujących dostęp do archiwów za dnia. Wiedział, które to klucze, bo najpierw obsłużył pannę Dickstein, a potem wjechał na piętro zarządu, gdzie w ciągu pół godziny załatwił Pulpetta i Edgara. Po jeszcze jednym dniu spędzonym w Stillman and Chase pan Baryłka zniknął z powierzchni ziemi. Nikt nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. W Nowym Jorku nikt nie zwraca na nikogo uwagi.

Dostroilem się do przerw obiadowych panny Dickstein. Ponieważ całymi dniami nic nie robiła, musiała wyczekiwać ich z niecierpliwością. A ponieważ była nie tylko zmysłowa, ale i precyzyjna, wychodziła niezmiennie o 11.50. Chodziłem jej śladem przez zalaną słońcem dzielnicę finansową, gdzie ludzie po wyjściu z biur zasłaniają oczy, nienawykli do porannego światła i migotliwych chodników z wtopionym kruszonym szkłem.

Co dzień ta stuknięta kobieta szła dwanaście ulic dalej do kawiarni nieopodal ratusza i co dzień zamawiała ten sam zestaw: miseczkę wędzonych ostryg z rzeżuchą, dzin z tonikiem i deser bananowy. Po posiłku przesiadywała jeszcze dłuższą chwilę nad filiżanką herbaty i czytała jeden rozdział *Historii gospodarczej Liberii*. Podczas czytania zdejmowała okulary, widziałem wtedy, że jest całkiem urodziwa i – choć codziennie raczyła się deserem bananowym – naprawdę szczupła. Cała jej przerwa trwała zawsze półtorej godziny – jeśli skończyła wcześniej, przed wejściem do biura robiła rundę wokół kwartału.

Któregoś dnia o 11.51 wysiadłem z windy na piętrze z archiwami i przeszedłem przez wspaniałe biuro panny Dickstein. Czuję jeszcze zapach jej perfum. Otworzyłem kraty nawoskowanym, wypolerowanym, wygładzonym i pachnącym duplikatem klucza i wszedłem między sejfy. Skrytka z 1913 rokiem znajdowała się po lewej stronie. Gdy przed nią stanąłem, nie było mnie widać ani z biura, ani z korytarza.

Przeszedł mnie dreszcz, gdy po prawej ręce na drzwiczkach sąsiedniej skrytki ujrzałem datę 1914, najpierw jednak otworzyłem swoimi błyszczącymi kluczami szufladę z aktami z 1913 roku. Odemknąłem drzwiczki i wyciągnąłem ją. Ważyła chyba pięćdziesiąt funtów. Przeniosłem ją na obity skórą stół w kącie i włączyłem lampkę do czytania, nieużywaną od tylu lat, że włókno w żarówce aż zadrżało z zaskoczenia.

Teczki pachniały jak Nowy Jork w drugiej dekadzie stulecia. Może sprawił to ówczesny sposób wytwarzania papieru, może taki efekt dawała postarzała skóra, w każdym razie gdy zamknąłem oczy, wyobraziłem sobie, że znów jestem chłopcem, że na każdej ulicy mogę zobaczyć konie, usłyszeć ich parskanie, poczuć zapach uprzęży. Wsłuchiwałem się w trzask płomieni w kominkach, przyglądałem się smugom dymu z palonego drewna i węgla unoszącym się w niebo, które mimo to i tak pozostawało błękitne. Czuję się zupełnie jak w domu i w swoim żywiole. To był mój czas, wiedziałem to: urodziłem się dekadę wcześniej i żadna prawda ukryta w aktach nie mogła mnie zaskoczyć.

Moje obawy, że w dokumentach może panować bałagan, okazały się bezpodstawne. Akta były posegregowane i opisane, wystarczyło przejrzeć tytuły teczek. Był to dla pana Edgara trudny rok: *16. poprawka* (podatek od dochodów), *Raport Pujo* (ustalenia Senackiego Komitetu do spraw Bankowości na temat koncentracji monopolii), *Rezerwa Federalna*, *Ustawa Owena-Glassa*, *Bankructwo Panamy*, *Rewolucja w Meksyku*. To sprawy oczywiste. Były też: *Knox kontra Nichols*, *Stracone obligacje*, *Pacific Palisades*, *Sharpton Steel* i jeszcze inne. Do 12.40 nie natknąłem się jednak na nic, co mogło się wiązać z moją sprawą. Zostało mi tylko pół godziny, zacząłem się robić nerwowy. Bardziej niż nerwowy. Ogarnęło mnie nagłe przerażenie.

Z łomoczącym sercem odniosłem 1913 rok na miejsce i wyjąłem szufladę z rokiem 1914. Miałem wrażenie, że niosę ją całe godziny, nawet otworzenie drzwiczek zdawało się trwać długie minuty.

W drugiej szufladzie znajdowały się takie akta jak: *Ustawa antymonopolowa Claytona*, *Federalna Komisja Handlu*, a także *Podatek dochodowy*, dokumenty poświęcone nie tylko uchwaleniu, ale i konsekwencjom wprowadzenia szesnastej poprawki. Czytałem dalej: *Vera*, *S&O*, *Holenderska umowa stalowa*, *Zyski z tytułu różnic kursowych*, a potem... a potem pociemniało mi w oczach. Przez chwilę nie mogłem oddychać. W rękę trzymałem teczkę opisaną

jako *Most na Hudsonie*.

Zostało mi już tylko dziesięć minut, nawet nie próbowałem więc zaglądać do środka. Zresztą i tak nie do końca nad sobą panowałem. Włożyłem szufladę z powrotem, zamknąłem skrytkę na klucz, zgasiłem lampkę na biurku (skazując ją pewnie na kolejny kilkudziesięcioletni sen) i wyszedłem, niedbale trzymając teczkę w rękach.

Gdy na piętrze z archiwami otworzyła się winda, wysiadła z niej panna Dickstein. Minałem ją i wsiadłem. Uśmiechnęła się do mnie, odpowiedziałem jej uśmiechem. Nawet jeśli zauważyła, co mam w rękach – a nie sądzę, by zauważyła – raczej nie poznałaby, co to jest. Może nigdy nie widziała akt, których strzegła. A jeżeli podejrzewała, że zabrałem coś z jej królestwa, pewnie zaraz się uspokoiła, gdy wróciła na stanowisko i ujrzała, że zamki są zamknięte na głucho.

Był piątek. Gdy oznajmiłem temu matolowi Shermanowi Oscovitzowi, że wychodzę wcześniej, próbował zgrywać medycznego detektywa.

- O! – powiedział. – A to czemu?
- Nie najlepiej się czuję.
- Co cię boli?
- Muśnica.
- To tępy ból czy ostre rwanie?
- Raczej czarująca tortura.
- Masz gorączkę?
- Nie wiem – stwierdziłem. – Sprawdź mi na ciemieniu.
- Gdzie?
- Tutaj. – Pokazałem mu.

Gdy się zbliżył, uniosłem jego prawą rękę, pomału przyłożyłem sobie do czoła, zamknąłem oczy i pomyślałem o wszystkich rzeczach, które Sydney chciała ze mną zrobić, a o których nigdy nie słyszałem, o których ona nigdy nie słyszała, i rozpałem się do czerwoności. Oscovitz aż się wzdrygnął.

- Ty płoniesz!
- Tromboliza kofeinowa towarzysząca – stwierdziłem i wyszedłem.

W tym czasie moje mieszkanie przejęły już Angelica i Constance Smedjebakken, do Astorii nie miałem ochoty jechać, bo gdy nie było tam Smedjebakkena, działała na mnie przynębiająco, do Sydney też nie, bo musiałem zachować zdolność chodzenia.

Pojechałem zatem w górę Hudsonu, do Athens, najcichszego zapomnianego miasteczka na świecie, i zameldowałem się w tamtejszym hotelu. Jadąc pociągiem, raz po raz dotykałem teczki, nie otwierałem jej jednak, czytałem tylko „The Wall Street Journal” i „New York Herald Tribune”. Od dawna już nie czułem potrzeby czytania gazet, ani ze względów zawodowych, ani z ciekawości, zachowałem jednak ten zwyczaj. Teraz cieszyłem się, że mogę odwrócić uwagę od czekającego mnie zadania.

W pokoju hotelowym usadowiłem się przy oknie i przez dwa dni głodowałem. Właściciel sądził, że zamierzam popełnić samobójstwo, co parę godzin przysyłał pokojówkę, by sprawdziła, czy nic mi nie jest. W końcu powiedziałem jej:

– Proszę tu więcej nie przychodzić i przekazać szefowi, żeby się nie martwił, nie zamierzam się zabić. Jestem fizykiem, potrzebuję absolutnego spokoju, zamierzam pogodzić mechanikę newtonowską z teorią względności.

Nie sądzę, by zrozumiała, o czym mówię, bo niedługo później przysłano mi z kuchni talerzyk fig Newtons. Szefostwo jednak najwyraźniej uznało, że teraz przynajmniej zajmę się

jedzeniem, bo nie przeszkadzano mi więcej.

Przez dwa dni wpatrywałem się w Hudson, nie widząc ani jednej łódki, przez dwa dni wlepiałem wzrok w tory kolejowe, nie widząc ani jednego pociągu. Uwielbiam zapomniane miasteczka – w zapomnianych miasteczkach można docenić to, jak firanka faluje na wietrze, można spokojnie odetchnąć, słuchać tykania zegara i patrzeć, jak wstaje dzień. W zapomnianych miasteczkach świat nie jest uprzykrzoną, hałaśliwą symfonią, tylko cudownym szumem wiatru nad wodą i starego drzewa uginającego się pod brzemieniem pięciuset tysięcy młodych, niecierpliwych liści. Przez dwa dni siedziałem bez ruchu przy oknie hotelu w Athens, z zieloną teczką leżącą obok na stole, i wskrzeszałem w sobie świętość dzieciństwa. Gdy byłem mały, znałem Boga, dostrzegałem Jego obecność na każdym kroku. Nie było to trudne: święci, owieczki, bystre oko dopiero co zbudzone i wyczulone na szczegóły. A przede wszystkim byłem szczęśliwy ze swoją bezgraniczną miłością i z oddaniem dla ojca i matki, umiałem więc sięgnąć wzrokiem poza dręczące świat bolączki.

Wiatr cichutko poruszał firankami, marszczył wodę w zakolu rzeki i kołysał drzewami na tyle blisko, że mogłem słyszeć ich szum. Pod sufitem łopotał i świszczał wentylator. Co jakiś czas dobiegały mnie kroki na schodach, trzask zamykanych drzwi, warkot przejeżdżającego samochodu. Nie byłem w stanie otworzyć teczki.

Wpatrywałem się w dywan, zielony z wyszytą girlandą bladych brudnoczerwonych róż. Spałem i śniłem. Patrzyłem na rzekę. Zwlekałem nie dlatego, że się bałem. Nie bałem się. Ani przez chwilę nie bałem się też, że nie zdobędę się na otwarcie teczki. Wiedziałem, że się zdobędę.

Zwlekałem, bo opłakiwałem nadchodzący moment, w którym – jak się spodziewałem – miało lec w gruzach ostatnie czterdzieści lat mojego życia. Przygotowywałem się też na wielką zmianę. Póki śmierć mych rodziców spowijała tajemnica i póki ich nie pomściłem, moje serce było na nich otwarte.

Teraz przygotowywałem się do zamknięcia rozdziału – i bałem się, że zamknę też swoje serce.

Nie mogłem oderwać wzroku od rzeki, od wód, które niegdyś tak dobrze znałem. Patrzyłem, jak półprzezroczysta firanka faluje na wietrze. Pomyślisz sobie pewnie, że nie byłem wtedy przy zdrowych zmysłach, ale się mylisz: kierowała mną miłość. W tym dawno zagubionym, dawno opuszczonym miasteczku, na brzegu Hudsonu, spędziłem dwa bezsenne dni, z miłością rozmyślając o cichych rzeczach, które mi pozostały, przygotowując się, żegnając.

Gdy w niedzielę wieczorem w pociągu do Nowego Jorku otworzyłem wreszcie teczkę, moje oczy były zimne jak stał. Na zewnątrz zapadł już zmrok, a ponieważ studentki Vassar College jechały w przeciwną stronę, pociąg prawie świecił pustkami. W żółtym świetle odbijającym się bezlitośnie od ciemnych okien nie byłem już zdolny do czułości – i dobrze, bo choć czułość jest potrzebna, motorem życia nie jest czułość, lecz wigor.

Teczka miała cał grubości, ale już od pierwszej chwili wiedziałem, że znajdę w niej rozwiązanie tajemnicy. W dziesięć minut przejrzałem dokumenty, połączyłem wszystko w całość i sformułowałem akt oskarżenia, nim zaś pociąg dotarł do Grand Central, zdążyłem przeczytać wszystko od deski do deski i potwierdziłem go niezbitnie.

To było całkiem proste. Pierwszy dokument pochodził z 27 sierpnia 1909 roku, kiedy miałem niespełna pięć lat. Niejaki pan Schellenberger podpowiadał asystentom pana Edgara, że jest fizycznie możliwe zbudowanie mostu na Hudsonie. Miał na myśli niewykorzystany odcinek rzeki między Palisades a wzgórzami Kingsbridge w Bronksie.

Taki most byłby spektakularny, zwłaszcza że brzeg w Palisades jest wysoki, po stronie

nowojorskiej trzeba by zbudować wielką rampę. Byłby widoczny, twierdził Schellenberger, z Catskills, cieśniny Long Island, z Ramapo Mountains i nowojorskich dróg dojazdowych nad morze. Wybór lokalizacji uzasadniano dość prosto: rzeka była tam stosunkowo wąska.

Pan Schellenberger zniknął, lecz w roku wyboru Wilsona na prezydenta pojawił się cały stos memorandów, notatek i listów, w których planowany most coraz bardziej przesuwano na północ. Miasto Nowy Jork nie paliło się do budowania publicznego mostu mającego służyć osiągnięciu czyichś prywatnych celów. Mur okazał się za twardy, pan Edgar musiał drążyć nieco dalej, w Yonkers. Niestety tamtejsi politycy, choć z radością przyjęliby łapówkę, mieli zobowiązania wobec swoich szefów w metropolii, na której Yonkers przycupnęło jak kot na grzbiecie perszerona i wyrokiem dziejów musiało tam siedzieć aż do końca świata.

Na północ od Yonkers rzeka rozszerzała się, w miejsce skał pojawiały się mokradła. Wynajęci przez Stillman and Chase konsultanci stwierdzili, że przerzucenie mostu nad Tappan Zee jest technicznie niewykonalne – rozlewisko zdaje się zbyt szerokie, dno zbyt ruchome. Najbliższym możliwym punktem był Teller's Point: rzeka jest tam szeroka na milę, a geologiczna struktura okolicy sprzyjająca.

Doradcy przekonywali pana Edgara, że gdyby właśnie tam wybudować most i drogi dojazdowe, na obu brzegach Hudsonu wyrosłoby ogromne miasto. Biorąc pod uwagę możliwości, jakie dawał samochód, podróżni jadący do Nowego Jorku z głębi kraju bez większych wahań wybieraliby trasę przez most położony zaledwie trzydzieści mil na północ od miasta.

„Może wystarczyłaby przeprawa promowa?” – dopisał pan Edgar na marginesie. Na tę sugestię musiał uzyskać odpowiedź ustną, bo nie było jej w teczce, wydawało się jednak oczywiste, że żaden prom nie będzie w stanie konkurować z mostem.

W styczniu 1914 roku pan Edgar napisał instrukcje dla swoich asystentów. Projekt został przyjęty. Wszystko należało przeprowadzić w największej tajemnicy, inaczej ceny pobliskich gruntów poszłyby w górę, stawiając pod znakiem zapytania racjonalność całego planu: koszt budowy wzrósłby nieproporcjonalnie w stosunku do możliwych zysków. Najważniejsze były oczywiście działki położone na wprost planowanej przeprawy i tuż przy niej, należało je przejąć wszelkimi możliwymi sposobami. Cena musiała być niska, by nie wzbudzać podejrzeń, było jednak pewne, że farmerzy nie oddadzą ziemi za grosze. „W takim wypadku – pisał pan Edgar – nie oszczędzcie wysiłków, by przejąć nieruchomości. Pierwsze osoby, z którymi będziecie negocjować, potraktujcie najbezwzględniej, jak to tylko konieczne, tak by wszyscy inni zrozumieli i nikt nie miał ochoty się wyłamać”.

Czytając to, pomyślałem o panu Edgarze i choć nie było go przy mnie, powiedziałem:

– Czterdzieści lat to trwało, ale spieprzyłeś sprawę. I zapłacisz za to życiem.

Po lekturze tych kilku zdań zhardziałem do tego stopnia, że moje moralne rozterki związane z zabiciem bezradnego człowieka zmaleły niemal do zera, zupełnie przestałem je odczuwać.

Wśród papierów znajdowała się rozkładana mapa obu brzegów Hudsonu z Teller's Point pośrodku. Farma mojego ojca była wyraźnie zakreślona i opisana. Na naszych gruntach wprawna inżynierska ręka wyrysowała główną rampę dojazdową oraz wschodnie filary i przypory mostu. Droga biegła prosto przez nasz dom.

Myślę, że Edgar miał rację. Mój ojciec nigdy by się nie sprzedał, bo stawką były tu nie pieniądze, lecz miłość. Gdyby Edgar go nie zabił, nigdy nie zdołałby postawić mostu.

Zabił go więc (a na dodatek moją matkę), ale mostu i tak nie postawił. Zrobiłby to, lecz tego lata wybuchła wojna. Zamiast mostu zaczął budować statki i zainwestował kapitał w produkcję stali i gumy. Moi rodzice nie zginęli nawet dla mostu.

Zginęli po nic, jak ptaki, które myśliwy zostawia ustrzelone na polu.

W tym momencie miałem już w ręku dostatecznie mocne dowody – choć sąd mógłby je uznać za niewystarczające – resztę wątpliwości rozwiały zaś dwa rachunki wciśnięte między papiery. Oba nosiły datę 8 czerwca 1914 roku i opiewały na tysiąc dolarów. Jeden podpisał niejaki pan Curtin, drugi Joseph Nevel. Solidnym charakterem pisma, innym niż oba podpisy, ktoś odnotował: „za usługę wyświadczoną 5 czerwca 1914 roku”.

Nigdy w życiu nie myślałem o niczym z lżejszym sercem niż wtedy, gdy snułem plan zamordowania Eugene’a B. Edgara. Zdaję sobie sprawę, że może to brzmieć nieco okrutnie, no ale sam rozumiesz: ten człowiek zamordował mi rodziców. Zdaję też sobie sprawę, że wielu ludzi wolałoby raczej mu pomóc, zrehabilitować go. Mogę im tylko powiedzieć: rehabilitujcie sobie morderców waszych rodzin, ja z zabójcą swojej obejdę się trochę inaczej. To, co zamierzałem zrobić, nie budziło we mnie ani dumy, ani wstydu. Nie sprawiało mi to przyjemności, znałem jednak swoją powinność i po prostu nie mogłem się od niej wymigać.

Nie wziąłem żadnych narzędzi ani broni, ubrałem się tylko w samochodowe rękawiczki z florenckiej skóry, granatową koszulkę polo, spodnie khaki i buty na gumowych podszewkach. Nosilem się tak na co dzień, nie licząc rękawiczek, włożyłem je więc do kieszeni, by czekały na swój moment. Były uszyte z bardzo mocnej i elastycznej skóry, a przy tym niezwykle cienkie, w kieszeni wyglądały jak złożona chusteczka do nosa. Wziąłem trochę gotówki w dwudziestodolarowych banknotach na bilet kolejowy, benzynę i opłaty drogowe, miałem też gazetę. Zawsze lubiłem podróżować bez bagażu.

Złoto było już w samolocie razem z plikiem fotografii i listów oraz paroma pamiątkami: ze scyzorykiem ojca, z jego okularami w złotych oprawkach, obrączką ślubną matki, kosmykiem jej włosów, moim pistoletem z wojska oraz piękną miniaturą Sargenta, którą dostałem kiedyś od Constance: przedstawiała kobietę w białej sukience, spacerującą z małym dzieckiem za rękę po ogrodowej ścieżce.

Smedjebakkenowie już wyjechali, a cały mój majątek był sprzedany, przekazany w darowiźnie lub spalony. Resztką pieniędzy z mojego konta została wymieniona na franki i razem z pistoletem znajdowała się w lotniczej torbie. Lądowiska były przygotowane, w Brazylii czekało mieszkanie. Najbardziej krzepiące było to, że Smedjebakkenowie bezpiecznie dotarli do celu. Wiedziałem o tym, bo dostałem telegram: „WIELKIE SZCZĘŚCIE MOZART GÓRY ZASYPANE ŚNIEGIEM WSPANIAŁE MIASTA MARMUROWE KORYTARZE KRYSTA-LICZNE BASENY I CZEKOLADOWE TORTY STOP PAOLO”.

Nikt nie wiedział, że w skarbcu brakuje złota. Nikt nie wiedział, że w oborze czeka załadowany i zatankowany samolot. Nikt nie wiedział, że zlikwidowałem wszystko, co miałem, a Smedjebakken zaczął nowe życie. Nikt nie wiedział, co planuję ani gdzie mnie szukać. Nawet Sydney zerwała ze mną, tłumacząc, że to, co nas łączy, jest do przyjęcia tylko raz w życiu i przez niezbyt długi czas. Uznałem, że ma rację, i przyjąłem to z wielką ulgą. Byłem wolny. Nie miałem rodziny ani przyjaciół, nikogo, kto by za mną zatęsknił, ale byłem wolny. Chodziłem po ulicach Nowego Jorku jak przybysz z innego świata, lecz było to moje miasto, które dobrze znałem i bardzo kochałem. Mimo wszystko wypełniała mnie lekkość istnienia taka jak wówczas, gdy zdaje się końcowe egzaminy i opuszcza mury instytucji, do której nigdy więcej nie zamierza się wrócić.

Był początek września, wciąż jeszcze panował upał. Wilgotne burze ustąpiły ostatnim upałom, gasnące światło zapowiadało złotą jesień. Wsiadłem do pociągu do Greenwich w porze powrotów z pracy, usiadłem w tylnym wagonie, konduktorzy uwijali się na ostatnim kursie. Wiedziałem, że bankierzy inwestycyjni zajmują przednie wagony, wsiadłem więc wcześniej i

wysiadłem ostatni. W Greenwich nikt mnie nie zauważył. Setki samochodów ruszały z parkingu przy stacji i zajmowały pozycje do wieczornego wyścigu do domów po straszliwie krętych drogach. O zmierzchu wyszedłem szybkim krokiem na Fishcake Lane, a gdy zapadł zmrok, byłem już w Mianus. Stałem na brzegu cieśniny i zapatrzyłem się na pięknie pofalowane wrzosowisko za rozświetloną rezydencją Gnoya Pulpetta.

Willa była ogromna jak oceaniczny liniowiec kołyszący się i migoczący na falach za East Hampton. W środku paliły się wszystkie światła, wśród jeszcze żywej roślinności dom jaśniał tak mocno, jak gdyby w środku kręcono film. Przeszło mi przez myśl, że może Pulpetta odwiedził Ed Murrow, nie widziałem jednak jego samochodu.

Po ciemku przeszedłem przez wrzosowisko, wdychając zapach piasku, wrzosów i wielu innych roślin, których nie umiałem zidentyfikować – w czasie zajęć z botaniki okropnie chorowałem. Uwielbiam rośliny, ale nie znoszę, gdy ktoś zaczyna żonglować ich nazwami. Dość często się zdarza, że ludzie, zwłaszcza bardzo bogaci, unoszą się z radosną pogardą, gdy nie umiem podać nazwy jakiejś zasranej, pieprzonej rośliny. „Chcesz powiedzieć, że nie wiedziałeś, że to *Palustral helichrysum!*” Zawsze takiej osobie odpowiadam, że rośliny, do których podchodzi z tak irytującym nabożeństwem, również nie wiedzą, jak się nazywają. A to, że dwieście lat temu jakiś urzędnik z duńskiego arboretum nazwał roślinę *Palustral helichrysum*, nie oznacza, że naprawdę jest to *Palustral helichrysum*. Roślina jest tym, czym jest, a *Palustral helichrysum* niech idzie do diabła.

Otulony ciemnością i odurzony zapachem morza podszedłem do domu. Im bardziej się zbliżałem, tym wyraźniej słyszałem muzykę z płyty. Jakaś kobieta śpiewała balladę z broadwayowskiego musicalu. Idealnie.

Garaż znajdował się w cywilizowanym oddaleniu od domu. Byłem już kilka razy u Pulpetta na przyjęciach i piknikach, z powodu kawy musiałem jadać właśnie w garażu, wiedziałem więc, że z tej odległości nikt nie usłyszy dźwięku uruchamianego silnika. Muzyka w domu grzmiała tak głośno, że mógłbym rozpocząć ostrzał artyleryjski i nikt by się nie zorientował. Urzeczony błogością wieczoru Gnoy Pulpett najwyraźniej uznał, że nocne powietrze nie zaszkodzi jego samochodom: wrota do garażu były otwarte.

W środku stał mały kabriolet MG. Na płóciennym dachu złożonym za oparciami foteli siedział kot.

– Idź sobie! – powiedziałem, on jednak ani drgnął. Podniosłem go, lecz nim zdążyłem go wynieść, wyskoczył mi z rąk i usadowił się na fotelu pasażera. – No dobra. Jak chcesz, możesz jechać ze mną – stwierdziłem.

Kot, jak to kot, mrugnął po królewsku.

Wskoczyłem do MG, uruchomiłem go kluczykiem podrobionym przez pana Baryłkę i pomału, nie zapalając świateł, ruszyłem w stronę bramy. Gdy wyjechałem na Fishcake Lane, włączyłem reflektory i dodałem gazu. Choć jechałem sportowym wozem po krętych uliczkach w świetle księżycy, czułem się przygaszony. Rozmyślałem o rzeczach smutnych i prawdziwych – i nim się z kotem obejrzelśmy, śmigaliśmy już nad cieśniną po stalowym pokładzie Throgs Neck Bridge.

W domu Edgara na Biscuit Neck byłem już parokrotnie: na przyjęciach, na kameralnych kolacjach z ministrami finansów, w późniejszych latach także po to, by składać raporty scho-rowanemu Edgarowi. Znałem plan domu, otoczenie, okoliczne grunty, ścieżki przez las, pawilony gimnastyczne, korty tenisowe, stawy.

Edgar był właścicielem całego półwyspu, włącznie z miasteczkiem, i jedynym płatnikiem podatków. Do głównych zadań policji, instytucji publicznej, należało więc strzeżenie dwóch tysięcy akrów jego posiadłości. Nie muszę mówić, że miasto było zamożne, mimo że niezbyt

ludne. Ponieważ pan Edgar zapłodnił każdego myślą, że nie powinien płodzić dzieci, w mieście nie budowano szkół. Ponieważ jego posiadłość miała własny wodociąg, kanalizację i sieć elektryczną, miasto nie miało odpowiednich służb: jeśli w głównej ulicy zrobiła się dziura, naprawiali ją ogrodnicy Edgara – wiedzieli, jak się to robi, bo zajmowali się utrzymaniem czterdziestu pięciu mil wewnętrznych dróg w jego majątku. Sklepy w miasteczku były maleńkimi filiami Tiffany’ego, Dunhilla, Marka Crossa, S.S. Pierce’a i tym podobnych firm. Właściwie nawet nie były to sklepy, tylko biura do obsługi zamówień z posiadłości.

Zaparkowałem w ciemności między miasteczkiem a ciężkim, najeżonym szpikulcami płotem ciągnącym się wokół ogromnych terenów Edgara. To, że policja starannie sprawdzi samochód i zapisze jego numer rejestracyjny, było pewne jak to, że dwa a dwa to cztery.

Kot przeszedł sobie między prętami i czekał biernie po drugiej stronie, ja musiałem przeleźć górą. Przez chwilę nasłuchiwałem, czy nie zbliża się patrol policyjny, nie usłyszałem jednak nic prócz egzystencjalnej ciszy, wdrapałem się więc na ogrodzenie, przelazłem na drugą stronę, niebezpiecznie balansując między szpikulcami, i opuściłem się na ziemię. Gdyby szpikulce były naostrzone, nie zdołałbym tego zrobić. Naprawdę nie rozumiem, jak można wydać sześć milionów dolarów na ogrodzenie i pozostawić tępe szpikulce. Za kolejne pół miliona Edgar miałby szpikulce ostre jak brzytwa – i choć dziś i tak by już nie żył, może przynajmniej doczekałby kolorowej telewizji.

Z mrużącym kotem na rękach przez pół godziny przemierzałem łagodne wzgórki, leśne zagajniki, ogromne pola, na których właśnie skoszono siano, i stuakrowy trawnik ocieniony szpalerem zwalistych angielskich dębów.

Pan Edgar jadał obiad o czwartej. To, że raczej nie odżywia się po włosku, było rzeczą powszechnie wiadomą. Nie sądziłem jednak, by już spał, bo w oknach jego pokoju paliło się światło. Najwyraźniej był w domu – nie w żadnej z wiejskich chat ani miejskich willi, ani na żadnym ze swych jachtów, z których trzy największe nazywały się Interes, Dywidenda i Zysk Kapitałowy.

Nagle w moją stronę skrzyły snopy oślepiającego światła, usłyszałem skowyt psów. Gdyby biegały luzem, dopadłyby mnie. W starciu z bulmastifami człowiek nie ma większych szans, namiętność do ścigania ludzi łączy je i dzieli, gdy trzeba.

Na szczęście pan Edgar nie lubił, gdy psy paskudziły na ścieżki, opiekunowie wozili je więc w wózkach golfowych, które, jak wiadomo, są bardzo powolne. Kot i ja rzuciliśmy się do ucieczki wzdłuż ściany żywopłotu osłaniającej staw. Psy zwęszyły nas i tak się rwały do pościgu, że słyszałem jęk resorów zbliżającego się wózka. Był już ledwie piętnaście stóp od nas, reflektory oślepiały mnie przez żywopłot. Kropelki psiej śliny fruwały w powietrzu, przez chwilę łyssały w jaskrawym blasku, po czym wsysała je noc. Wyglądało to jak fontanna di Trevi w silnym wietrze.

Gdy usłyszałem pstrykanie rozpinanych obroży i jęknięcie resorów świadczące o tym, że psy wyskoczyły z wózka, przepchnąłem kota przez żywopłot i uszczypnąłem go w bok. Wystrzelił przed siebie prosto jak rakietą i głośno jak ambulans, wyprowadził psy tak daleko w mrok, że po krótkiej chwili już ledwie słyszałem buczenie pędzącego za nimi wózka. Wkrótce i ono ucichło – zostałem sam, znów otoczony jedynie cykaniem świerszczy.

Usiadłem na leżaku nad stawem. Woda była czarna i czysta, szemrała z cicha. Jedną z możliwości, jakie daje posiadanie tak wielkiego bogactwa, jest to, że można odgradzić dom ćwierćmilowym pasem zieleni i siedzieć nad własnym stawem, nie słysząc łoskotu West Side Highway. Rozparłem się na leżaku i zapatrzyłem w gwiazdy. Niebo nad Nowym Jorkiem okolonę było nierówną pomarańczową poświatą, potężna miejska iluminacja podświetlała z tyłu wierzchołki dębów. Nad moją głową drżały gwiazdy i przemykały bez tchu białe smugi

meteorów. Gdzieś świecił też księżyc, rozjaśniał czarne niebo. Spałem co najmniej godzinę.

Gdy się zbudziłem, byłem spokojny i trochę zmęczony. Wyprostowałem się i opuściłem nogi na ziemię, rozmyślając o sposobach, jakich miał się Edgar, by zgromadzić majątek. Nie da się zaprzeczyć, że zrobił wiele pożytecznych rzeczy. Nie mogły one jednak zrównoważyć jego niegodziwości. Sędziowie i przysięgli okrutnie się mylą, uwzględniając dobre uczynki jako przeciwwagę dla ludzkich grzechów. Taki a taki facet zgwałcił i zamordował czyjaś córkę, ale zawsze był pogodny i brał udział w akcjach dobroczynnych. A przecież w ostatecznym rozrachunku to pierwsze zupełnie unieważnia drugie, bo od czynienia dobra ważniejsze jest to, by powstrzymać się od wyrządzania zła.

Siedząc nad stawem, oprzytomniałem do reszty – zwykle pomaga mi w tym przebieranie palcami u nóg – i przypomniałem sobie, jak byłem kiedyś z Edgarem i paroma innymi osobami na zebraniu w River Club. Poszedłem tam przedstawić wycenę jakiegoś kraju, nie udało mi się jednak dojść do głosu: Edgar był wściekły, jak buldog trzymał się jednego tematu.

– Mamy wiele miliardów na kontach instytucji, rządów i inwestorów indywidualnych – powiedział.

– Miliardy miliardów – zapewnił młody cioteczny wnuk Edgara. I to był jego koniec.

Pan Edgar wyjął nóż do cygar i położył go na stole.

– Włóż tu mały palec, Selwyn – rozkazał.

Wnuk wykonał polecenie.

– Dobrze. A teraz się zamknij. Jeśli jeszcze raz otworzysz japę, nakarmię twoim palcem rybki.

Gdy miał wnuka z głowy, zwrócił się do głównego księgowego:

– Jaką mamy teraz stopę zwrotu?

– Cztery i pół procent netto.

– Z tego większość z pożyczek i inwestycji?

– Tak jest, proszę pana.

– Dokładnie ile?

– Mniej więcej trzy punkty.

– A ile teraz mamy na rękę z udziałów?

– Z grubsza jeden i jedna czwarta.

– Skąd pochodzi pozostałe ćwierć procenta?

– Z najmów i dzierżaw, bezzwrotnych należności ponoszonych z góry i opłat za prowadzenie rachunków.

– Z opłat! – zagrział pan Edgar. – Z opłat!

– Tak jest, proszę pana.

– Ile tego jest?

– Jedna ósma punktu, proszę pana.

– Durnie! – powiedział Edgar. – Opłaty! Nikt ich nie kwestionuje. Ludzie płacą, bo przyzwyczaili się do bierności, nauczono ich tego w domu i w szkole. W dżungli żyją dwa rodzaje stworzeń: tygrys i iguana. Tygrys ustanawia opłaty, iguana je uiszcza. Chcę więcej opłat.

– Arbitralnie, proszę pana?

– A myślisz, że jak się wprowadza opłaty, Nichols?! – wrzasnął Edgar. – Czy mamy opłaty od transakcji?

– Jakich?

– Jakichkolwiek.

– Nie.

– Wprowadźcie opłaty od transakcji. I za prowadzenie rachunku. Za otwarcie rachunku,

za zamknięcie rachunku, za posiadanie mniej niż trzech rachunków i więcej niż dwóch. Chcę mieć opłaty dla stałych klientów, dla nowych klientów i dopłaty do opłat. Chcę mieć opłatę za rachunek zagraniczny, za rachunek krajowy i za rachunek podległy audytom. Rozumiecie? W ciągu dwóch lub trzech lat podwajajcie je lub potrajajcie, uwzględniając wskaźnik inflacji.

Wprowadźcie opłatę za kontakt z bankiem, za telefon, za uzupełnianie ksiąg rachunkowych, za sprzedaż akcji, za umorzenie długu, a ty, Nichols, pojedziesz też do biblioteki publicznej, nie interesuje mnie, ile to może potrwać, i wyszukasz pięć rodzajów opłat, o których nikt nigdy nie słyszał. Szukaj zwłaszcza w historii Babilonii, Sumerów, Bizancjum i Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Ci goście wiedzieli, co robią, i mieli jaja.

– Ależ panie Edgar, odstraszymy klientów.

– Bynajmniej. Bądźcie tylko gotowi obniżyć opłaty klientom, którzy serio myślą o odejściu, a zwiększyć tym, którzy u nas zostają. To zawsze się sprawdza.

– Tak jest, proszę pana.

Gdy Edgar wychodził tego wieczoru z River Club, był bogatszy – choć nie od razu – o kilkaset milionów dolarów. Dziesięć procent tej sumy oddał na cele dobroczynne i zyskał ogólny poklask. Jak powiedział, w dżungli żyją dwa rodzaje stworzeń: tygrys i iguana. Tygrys ustanawia opłaty, iguana je uiszcza.

Wstałem z leżaka i ruszyłem przez trawnik. Wcale nie czułem się jak iguana. Pokój Edgara wychodził na ogromny taras nadbudowany na dachu krytej pływalni. Niczym mały park szybujący czternaście stóp nad ziemią, taras miał dwieście stóp długości i sto szerokości, piękne kamienne barierki, fontannę pośrodku, ścieżki z kruszonego marmuru i maleńkie gęste trawniki, oczywiście rosły tam też kwiaty. Kto nie oślepił od jaskrawych czerwieni, bieli i żółci i zdołał wyrzeć poza barierkę, widział olbrzymi trawnik przecięty strumykami, kępy świerków i sosen, a dalej przystań Biscuit Neck, gdzie stało na kotwicy sześć jachtów, tworząc wzór zaprojektowany przez malarza marynistę.

Rezydencja była oczywiście wspaniale zbudowana, lecz o tyle nieszczęśliwie dla pana Edgara, że precyzyjnie przycięte bloki granitu, stykające się krawędziami jak szuflady w biurku, tworzyły idealną drabinę, po której dało się wejść na każdy taras i do każdego pokoju. Bez trudu wdrapałem się do wiszącego ogrodu.

Szedłem po prostokątnych trawniczkach, omijając ścieżki i przeskakując przez klomby z kwiatami. Robiłem nie więcej hałasu niż salamandra. Francuskie okna wychodzące z pokoju na taras były otwarte na oścież i nieosłonięte. W zależności od lokalizacji, temperatury, wiatru, czasu i wilgotności dzień wyzwolenia owadów na Long Island może przypaść na wrzesień.

Pan Edgar odczytywał właśnie taśmę dalekopisu, pokazującą zapewne notowania z rynku tokijskiego lub z Giełdy Papierów Mentolowych w New Delhi – nie dowiedziałem się tego – i przebierał nią w palcach z wprawą prządki nawijającej nić. Obok na biurku stał aparat z licznymi przyciskami, służącymi zapewne do wzywania ochrony, pielęgniarki, kamerdynera lub sekretarki. Zaszedłem go od tyłu, zobaczyłem, gdzie jest wtyczka, i wyciągnąłem ją z gniazdka. Potem okrążyłem biurko i usiadłem naprzeciw Edgara. Wychyliłem się i zerwałem taśmę dalekopisu.

– Ty idioto, jeszcze pół godziny do zamknięcia sesji! – powiedział. Stary czy nie, był w końcu Eugene'em B. Edgarem, zdobywcą światów.

Edgar mnie znał, ale byłem tu tak bardzo nie na miejscu, że mnie nie rozpoznał. Nie zaniepokoił się jednak. Pewnie miał tylu służących i asystentów, że moje nagłe pojawienie się nocą w sypialni nie wzbudziło jego podejrzeń.

– Nie – skwitowałem. – Raczej kilka minut, ale dzwon na zamknięcie już nie zadzwoni.

– Co?! Włącz to z powrotem!

– Zamknij się i słuchaj – rozkazałem.

Słyszając to, zaczął wciskać klawisze swojego aparatu z szybkością, jakiej nie widziałem nigdy dotąd i wiele lat potem, póki do Brazylii nie dotarły gry wideo. Przebierał palcami jak sądowa stenotypistka, a gdy nie usłyszał żadnych sygnałów alarmowych, spojrzął na ścianę i ujrzał wyciągniętą wtyczkę. Jakby chcąc się upewnić, podniósł kabel i zbliżył wtyczkę do oczu.

– Zgadza się – stwierdziłem. – Wyłączone.

– Pomocy! Pomocy! Pomocy! – krzyknął głosem tak słabym, że ledwie mogłem zrozumieć słowa.

– Posłuchaj – powiedziałem – skoro nawet ja cię nie słyszę, to znaczy, że nie usłyszysz cię nikt. Zdajesz sobie sprawę, że wskutek dziwnego kaprysu natury krzyczysz ciszej, niż mówisz?

– Czego chcesz?

– Most na Hudsonie, 1914.

– Jaki most?

– Dobrze wiesz, jaki most.

– Nie, nie, nie, nie, nie! – zawołał. – Żadnego mostu!

– Postaraj się i powiedz „tak”.

Widziałem, jak w jego głowie błyskawicznie obracają się trybiki wielkiej maszynierii, która przez wiele lat wprowadzała jego słabnące ciało na szczyty władzy, w tej chwili nieznaczącej absolutnie nic.

– No i co z tym mostem? – zapytał.

– Postanowiłeś brutalnie potraktować pierwszych ludzi, którzy nie zgodzą się sprzedać ci ziemi, tak by reszta była skłonna współpracować.

– Jeśli nawet, to co? – odparł i nagle mnie rozpoznał. – Ja cię znam.

– Oczywiście, że mnie znasz. Od tamtej pory z przerwami pracowałem w twojej firmie.

– Jeśli chodzi ci o to, co ich spotkało – powiedział, podlewając słowa dużą ilością bezużytecznej oliwy – możemy wprowadzić poprawki. Przypomnij mi o tym na najbliższym zebraniu. Nie widziałem cię na zebraniach już kawał czasu. Gdzie się podziewałeś?

– Zostałem zdegradowany do obsługi skarbcu.

– Skoro o to chodzi... Tak, pamiętam, ogłoszenia o kawie. Po coś ty to zrobił? Nie miałeś podstaw. Ale dostałeś już nauczkę, możemy przywrócić cię na stanowisko. I przyznać premię.

– Już sobie wziąłem premię. Dodam: wyjątkowo dużą premię.

– Ekhem, ekhem! – odchrząknął. – Jak duża?

– Prawdopodobnie największą w dziejach firmy. Wiesz, co zrobiłem? Opróżniłem jedną z największych klatek w skarbcu. Spuściłem sztabki przez przekop do tunelu metra. Stos złota pozostał, ale pusty w środku. Połowa z tego, co wzięliśmy, jest już w Europie. Druga połowa czeka w samolocie transportowym, którym jutro rano odleczę do Brazylii.

Pan Edgar był bystry, po tych słowach od razu się domyślił, że przyszedłem go zabić. Z żalem przyznaję też, że wykazał się odwagą, bo od tej chwili nie było po nim znac lęku ani wstydu.

– Kim ci ludzie byli dla ciebie? – spytał.

A więc, jak widzisz, wiedział. To była jego sprawka.

– Rodzicami – powiedziałem i uczułem przyływ emocji, ale tylko jednej: smutku.

– Zabiłem ci matkę i ojca?

– Tak.

– Przykro mi.

– Mnie też.

– Aż tyle trwało, zanim to odkryłeś?

- Aż tyle.
- I przyszedłeś mnie zabić.
- Tak.

Zamyślił się na chwilę, a ja nie przeszkadzałem mu w tym, bo widziałem, że nie szuka uników.

– Młody człowieku – odparł w końcu – to była najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem. Niewybaczalna. Na starość, ale dopiero na starość, przysporzyła mi wiele zgrzyoty. Nie musisz mi wierzyć. Kimkolwiek jestem, wiem, co jest dobre, wiem, co jest złe, i wiem, co zrobiłem. – Zaśmiał się i powiedział: – No dalej. Przyniesiesz mi spokój. Mam nadzieję, że to cię pocieszy, choć po tym, co ci zrobiłem tak dawno temu, raczej w to wątpię.

Po tych słowach nie miałem ochoty go zabijać. Zabicie bezbronnego człowieka to najpotworniejsza rzecz, jaką można zrobić. Przez całe życie uważałem, że należy bronić bezbronych, ochraniać niewinnych, kochać dziecko w człowieku.

Miałem przed sobą starca na wózku, o głosie niezdolnym do krzyku, o ciele niezdolnym do ruchu. Wiedziałem, że jeśli go zabiję, umrze co najmniej połowa mojej jaźni i że w ten sposób Edgar dokończy to, czego nie zrobił w 1914 roku, czyli wymorduje całą moją rodzinę. Pomyślałem też, że nie tego chcieliby rodzice. Było jasne, że chcieliby jedynie widzieć, że jestem bezpieczny i szczęśliwy, że takie byłoby ich przedśmiertne marzenie, najczulsze życzenie, ostatnie pragnienie – tak jak ja pragnąłbym tego dla własnego dziecka.

Lecz potem przypomniałem sobie, jak moja matka i mój ojciec leżeli w kałuży krwi, a ja leżałem między nimi, próbując przywrócić im życie. I pomyślałem sobie: do diabła ze mną, ja się w tym wszystkim tak naprawdę nie liczę.

I zrobiłem najtrudniejszą rzecz w całym swoim życiu. Zabiłem go, zabijając zarazem wszystko, co było we mnie najlepsze. Byłem jednak gotów poświęcić siebie, choćby dla miłości, tak wielkiej, że mogącej samą siebie doprowadzić do zguby. Mimo wszystko była to miłość – i poszedłem tam, dokąd mnie prowadziła.

- Prawie nic nie poczujesz – powiedziałem.

Wykonałem szybki ruch i uderzyłem go w podstawę czaszki ciężkim cynowym przyciskiem do papieru. Nie zginął od tego, stracił tylko przytomność. Potem zaparłem się lewą ręką o jego plecy na wysokości łopatek, prawą dłoń podłożyłem pod brodę i złamałem mu kark. Moje dzieciństwo dobiegło końca, koło się domknęło.

Gdy jechałem na zachód w stronę mostów, zacząłem żałować, że chciałem wrobić Gnoya Pulpetta, zamiast więc odwieźć auto z powrotem do Throgs Neck i odstawić po cichu do garażu, skierowałem się do miasta. Z początku bawiła mnie myśl, że Gnoy musiałby się w pocie czoła tłumaczyć z zarzutu morderstwa, lecz zdałem sobie sprawę, że gdyby mu się to nie udało, skończyłby na krześle elektrycznym. Nie wolno posyłać człowieka na śmierć tylko dlatego, że jest wredny, że nas dręczy, że próbuje nas pogrzebać żywcem z nadętymi matołami. Chciałoby się, ale nie wolno tego robić. Ponieważ Gnoy był tego wieczoru w domu, bez alibi, musiałem przekonać policję, że jego MG zostało skradzione i że złodziejem nie był Gnoy Pulpett udający kogoś innego. Zrobiłem więc z jego samochodem rzecz dość dramatyczną i trochę ryzykowną, choć i tak łatwiejszą niż znalezienie miejsca do parkowania na Upper East Side.

Nie chciałem wyrządzić policjantom krzywdy, wiedziałem jednak, że muszę ich unieruchomić, upatrzyłem więc sobie radiowóz i jechałem za nim, póki nie znalazłem się pod odpowiednim kątem – choć zajęcie dobrej pozycji do ataku zwinnym sportowym autkiem i tak nie nastęrcza trudności. Geometria takiego przedsięwzięcia bardzo przypomina geometrię walki powietrznej, jest nawet prostsza, bo ledwie dwuwymiarowa.

Po półgodzinie policjanci nabrali podejrzeń: zjechali na pobocze i zaparkowali przy śmieciarce, dając znak, bym zatrzymał się za nimi. Widziałem, że prawe drzwi radiowozu niemal stykają się z bokiem ciężarówki. Wystarczyło zatoczyć koło i uderzyć ich z lewej. Wiedziałem, że muszę to zrobić szybko. Dodałem gazu, przejechałem kawałek chodnikiem po drugiej stronie ulicy, rozbiłem parę witryn sklepowych i grzmotnąłem czołowo w lewe drzwi radiowozu.

Nie chciałem zrobić policjantom krzywdy, tylko oszołomić ich i uwięzić. Musiałem zmniejszyć prędkość, żeby nie wbić się w ich wóz i ich nie pozabijać, w ostatniej chwili wcisnąłem więc hamulec i wrzuciłem wsteczny bieg. Cóż to był za zgiefk! Koła zapiszczały, z opon uniósł się dym, prędkość osiągnąłem jednak idealną: udało mi się zaklinować drzwi i okna z obu stron radiowozu.

Policjanci rzeczywiście byli oszołomieni. Podbiegłem do nich, nachyliłem się nad przednią szybą i zawołałem:

– Nic wam nie jest?! Nic wam się nie stało?! Co wyście zrobili z moim wozem?! No spójrzcie tylko, coście zrobili z moim wozem?!

Jak mogli zareagować? Nie zabija się człowieka za to, że nie umie jeździć. Przynajmniej nie na miejscu wypadku.

Usiłowali wysiąść, ale służyło to tylko zachowaniu twarzy: wiedzieli, że będą musieli zaczekać na strażaków. Byłem pewny, że nigdy mnie nie zapomną, od razu stwierdzą, że nie jestem podobny do Gnoya Pulpetta, który wyglądał, no cóż, jak czopek. Powiedziałem, że mają siedzieć spokojnie i że pójde po pomoc.

– Czekajcie, wezwę policję! – zawołałem, po czym dyskretnie wezwałem taksówkę i kazałem się wieźć do śródmieścia. Parę ulic dalej poleciłem szoferowi, by skręcił w prawo i jechał aż do Central Parku, potem lotem błyskawicy pomknęliśmy z powrotem do centrum i w końcu wysiadłem przy Grand Central. Wsiadłem w kolejkę, wysiadłem na Times Square i złapałem autobus do New Jersey.

Autobus zatrzymywał się niemal w każdym miasteczku, potem musiałem jeszcze pięć mil pokonać pieszo, do muzeum lotnictwa dotarłem dopiero przed świtem. Wiedziałem, że muszę odzyskać siły przed odlotem, stłumiłem więc naturalny impuls, przez który taka zwłoka wydawała się opóźnieniem.

Nie musiałem się dostosowywać do żadnego planu, przed nikim nie uciekałem. Przeciwnie, sam czas stał się nagle przyjemny jak w czerwcu, gdy zmęczone zimą krzewy zaskakują nas, pokrywając się nie tylko listowiem, ale i kwiatami.

Nikt nie wiedział, gdzie jestem i co zrobiłem, i nigdy nie miał się tego dowiedzieć. Nawet gdyby Stillman and Chase lub policja powiązali wszystkie fakty jeszcze tego ranka, nie miałyby to większego znaczenia. W muzeum mógłbym mieszkać nie niepokojony przez nikogo nawet przez rok.

Wstające słońce oświetliło samolot, który przez ostatnie godziny, wypełnione moją szaleńczą krzątaniną, stał nieruchomy i gotowy do startu. Zbiornik był pełen benzyny, silnik nasmarowany, zastrzały i lotki sztywne jak poprzednio.

Wziąłem prysznic i ogoliłem się, schłodziwszy twarz grubą na dłoń warstwą mentolowej pianki. Potem przez dziesięć minut z gorliwością godną lady Makbet szcztokowałem zęby pięcioma porcjami najmocniejszego miętowego proszku. Nie jadłem śniadania, wypilem tylko kwartę lodowatej wody. Wychudzony, czysty, wyczerpany, nie zadając sobie trudu włożenia ubrań, wziąłem świeżą płachtę brezentu i wyszedłem na środek lotniska.

Brama była zamknięta, zresztą w promieniu pół mili od farmy i tak nikt się nigdy nie kręcił. Znajdowałem się pośrodku siedemdziesięcioakrowej łąki porośniętej dzikimi kwiatami, skąpanej w słońcu prażącym z eterycznie błękitnego nieba. Rozwinałem brezent i położyłem się

na nim. Jeszcze nigdy w życiu nie leżałem w słońcu zupełnie bez ubrania, ale czułem się tak, jakby coś kazało mi to zrobić, jakbym nie miał wyboru.

Poranne powietrze było chłodne, owinałem się płótnem jak narzutą. Koło południa zrobiło się tak gorąco, że zacząłem się pocić, kropelki przez moment rozbłyskiwały na skórze i wysychały. Przespałem się jednak wystarczająco. Włożyłem szorty w kolorze khaki, wyszedłem przez bramę na drogę i dotarłem nad rzekę. Był środek tygodnia, wrzesień, znajdowałem się w najbardziej wiejskim regionie New Jersey. Nie widziałem żywej duszy, wypełniło mnie uczucie cudownego spokoju.

Popływałem w rzece, która była ciepła i świeża, i wróciłem do muzeum. Przyrządziłem sobie obiad złożony z parowanych warzyw, bulionu i pieczonego łososa. Potem znów jak szalenię wyszczotkowałem zęby, poszedłem do łóżka i zasnąłem najbardziej błogim i kojącym snem od czterdziestu lat.

Rano usmażyłem sobie naleśniki. W zasadzie nie jadłem naleśników, nie jadłem ich też wtedy – są zbyt tuczące, a w Brazylii nieczęsto można je spotkać – ale gdy byłem chłopcem, smażył mi je ojciec, udawałem więc, że jestem nim, podałem je sobie i przez ulotną chwilę zdawało mi się, że ojciec jest przy mnie.

Potem znów szczotkowałem zęby, tym razem przez jakieś dwadzieścia minut. Pomyślałem, że jeśli tak dalej pójdzie, zetnę sobie całe szkliwo. Postanowiłem robić to krócej i od tamtej pory staczałem z sobą o to ciężkie boje. Nawet dziś muszę sobie włączać budzik do jajek, żeby skończyć po trzech minutach.

Zastanawiałem się, czy nie powinienem odwiedzić jeszcze grobu rodziców. Tydzień wcześniej spędziłem tam cały dzień – wiedziałem, że już nigdy tam nie wrócę, i wyrzuciłem wszystko, co leżało mi na sercu. Gdy byłem mały, zaraz po ich śmierci, często kładłem się na ziemi i opierałem policzek o nagrobne stele. Potem przestałem tak robić, ale gdy byłem tam ostatni raz, zrobiłem to – na wypadek gdyby ktoś mnie widział, udawałem, że śpię.

Gdy wróciłem z wojny, poszedłem tam ogromnie podekscytowany, jak gdyby matka i ojciec wciąż żyli. Chciałem powiedzieć im, że przeżyłem, ale gdy stanąłem przed nagrobkami, poczułem się niezręcznie i stwierdziłem: „Nie martwcie się, to tylko kwestia czasu. Już niedługo”.

Lepiej było nie wracać tam więcej. Wyprowadziłem samolot na lotnisko i siedziałem obok niego, tym razem kompletnie ubrany, aż o ósmej uczułem przerażenie i żal, typowe dla kogoś, kto zamierza na zawsze opuścić cały znany mu świat. Zrobiłem wtedy to, co robiłem podczas wojny, gdy denerwowałem się przed misją: wstałem, otrzepałem ręce z pyłu i powiedziałem:

– Pierdolę to.

Silniki C-54 ruszyły powoli, rozpędzałem je, aż maszyna z trudem utrzymywała się w miejscu, a śmigła zaczęły zataczać swoje magiczne srebrne koła. Nie wiem dokładnie, o co chodzi z obracającymi się szybko śmigłami – może o to, że nie słyszy się siebie, może o dudnienie w piersi, jak gdyby łomotało nam podniecone serce, może o zakłócenie pola magnetycznego – w każdym razie kiedy nabierają prędkości, budzi się świat.

Zerknąwszy w obie strony, by wzrokiem sprawdzić silniki, zwolniłem hamulce i dałem pełną moc. Najpierw powoli, a potem coraz prędzej maszyna potoczyła się po długim ukwieconym pasie. Pędziłem zbyt szybko, by poczuć zapach kwiatów, choć na pewno się unosił, gdy rozjeżdżałem je kołami.

Po chwili pociągnąłem za drążek sterowy i wzbiłem się w powietrze. Wznosiłem się ciężko, powoli. Z niepokojem przyglądałem się stojącej na wprost barierze wiecznie zielonych

drzew, samolot jednak po prostu przeskoczył nad nimi, zginając ich gibkie wierzchołki.

Po lewej stronie ujrzałem Hudson i zdumiewającą szarą masę Nowego Jorku. Para i dym unosiły się znad błyszczących, podświetlonych z tyłu drapaczy chmur i długich szańców z kamienia. Rzeka odbijała blask porannego słońca, promy sunęły po niej jak po mosiężnej tacy, ciągnąc za sobą smugi perlistej wody. Po mostach pomału jechały samochody, parki były wyludnione, biura jeszcze puste.

Pomyślałem o dzieciach, które w tej chwili budziły się lub jechały do szkoły. Pomyślałem o ich matkach i ojcach, wiecznie zajętych i traktujących je jako coś oczywistego. Gdyby wiedzieli, jak odległe i smutno wyglądają w tej mojej ostatniej, wysokiej panoramie, być może oderwaliby się od swoich zajęć, wzięli dzieci w ramiona i uściskali, jak gdyby nigdy nie mieli ich wypuścić.

Wzniosłem się na dwadzieścia tysięcy stóp i prześliznąłem nad wielkim walem powietrza, przelewającym się niczym głowa cukru z zachodu na wschód nad Appalachami. Nie miałem załogi, samolot był w podejrzanym stanie, byłem mocno obciążony, nie miałem planu lotu i czekały mnie lądowania na pasach niesprawdzanych od miesiący. Mój ładunek stanowiło tysiąc sztabek złota, a pierwszą noc lub część drugiego dnia i drugą noc miałem spędzić na Peninsula de la Guajira, gdzie istnieją tylko trzy zawody: rolnik, ksiądz i bandyta. Czułem, jak narasta we mnie napięcie.

Nie chciałem nocować w Fort Myers, bo nocą miał nadciągnąć przyptyw. Mogłem zaczekać, aż woda opadnie, ale gdyby koła połamały się na solnej skorupie, nie zdołałbym już wystartować. Zresztą gdybym spędził noc w Fort Myers, musiałbym znacznie dłużej czekać w Inusu, nie mogłem bowiem liczyć na to, że zdołam wylądować na następnym przystanku, czyli w Boa Esperanca (i w ogóle go znaleźć) inaczej niż w świetle dnia.

Dręczył mnie też typowy lęk przed lataniem. Pasażerowie samolotów również mają swoje lęki, lęk pilota jest jednak inny. Zadaniem pilota jest utrzymywać niemożliwość na bezpieczny dystans. Samolot ważący wiele ton i składający się z dziesiątków tysięcy części wznosi się i toruje sobie drogę wśród turbulencji i burzowych chmur. Jeśli obluzuje się nit, wypadnie przewód, pęknie kabel lub zatka się zawór, niemożliwość potwierdza swoje istnienie.

Rzeczy nie są stworzone do tego, by w nieskończoność działać wspólnie lub zachowywać siłę. Rzeczy nie mają odwagi, jedynie trwałość, której nie można wydłużać za pomocą cudownych wybiegów serca, tak jak w człowieku. Gdy przychodzi ich czas, psują się bez żalu, nie prosząc o wybaczenie. Dlatego oczy lotnika nigdy nie odpoczywają. Muszą skakać między zegarami – lotnik tymczasem przypomina sobie, co znaczą ich wskazania w ramach całości – i przemykać po szeregach lampek kontrolnych, trwożnie wypatrując ostrzegawczego błysku. Lotnik rozgląda się też na wszystkie strony, przepatruje niebo, odgaduje czekającą go pogodę. Dla pilota myśliwca jest to nawyk szczególnie uciążliwy. Choćbyś nie wiem jak dawno nie brał udziału w walce, nigdy więcej nie przyjmujesz za oczywistość, że niebo jest przestrzenią bezpieczną. Oczy nie rozumieją, że historia poszła swoją drogą, i nadal przeczesują przestwór w poszukiwaniu czarnego, wściekle powiększającego się punkciku. Nie da się powściągnąć tego natrętnego wypatrywania, nie da się nie nasłuchiwać, czy silniki pracują bez zakłóceń, nie da się poskromić rąk, które jak małe ptaszki fruują po kokpicie i dla dodania otuchy muskają ważne przełączniki, dźwignie sterowy i dźwignie otwierające osłonę kabiny.

Podczas licznych lotów służbowych, w które niechętnie wyprawiałem się po wojnie, umiałem rozpoznać weteranów sił powietrznych, ponieważ ich oczy nie znały spoczynku. Tak jak ja wyczuwali, że bezruch panujący w kabinie pasażerskiej to zły znak. Nie lubili latać jako pasażerowie, podobnie jak ja. Cywile biorą to za przejaw wariactwa lub strachu, chodzi jednak o

coś innego: gdy pilot wojskowy jest wieszony i obsługiwany jako pasażer, ma poczucie, że coś zaniedbał, że o wielu rzeczach zapomniano, że coś jest straszliwie nie tak.

Lecąc przez fronty burzowe i przecinając olbrzymie kolumny chmur, pracowałem bez ustanku. Co pewien czas myślałem o rozciągającej się w dole ziemi lub błękitnie nieba, ale zaraz potem znów zaczynałem strzelać naokoło oczyma i gadać do siebie, jak zwykle, gdy nie leciało się od długiego czasu i pilotuje się przeciążony czterosiłnikowy samolot.

Góry zmieniały kolor i kształt, przeobrażały się pola i rzeki, ziemia robiła się bardziej płaska, a powietrze bardziej mokre. Wylądowałem w Fort Myers o drugiej po południu.

Sól i piasek były oślepiające, a wilgoć wręcz nienaturalna – morskie powietrze wpływało przez okno do kabiny niczym woda przez dziurę w kadłubie okrętu podwodnego. Pokołowałem na koniec pasa, gdzie znajdowały się zbiorniki z paliwem, i zawróciłem. Morze było tak intensywnie niebieskie, że zatrzymywało światło jak żel, i choć miałem za sobą nowojorskie lato, to gdy wyskoczyłem na ziemię, omal nie zemdlałem od upału i blasku.

Zjadłem wędzonego kurczaka i kanapkę z rzeżuchą, wypilem dwie butelki coca-coli i przeszedłem przez pas mokradeł nad morze. Tam nachyliłem się nad falami liżącymi brzeg i czując, jak słońce pali mnie w kark, myłem zęby przez jakieś osiem minut, zastanawiając się przy tym, skąd się u mnie wzięła ta obsesja (w zasadzie nie mam skłonności do obsesji). Woda miała jednak przyjemny smak i cieszyłem się, że żyję.

Wróciłem przez mokradła, by zatankować maszynę. Miałem ze sobą pompę paliwową, przy każdej grupie beczek zostawiliśmy też ręczny wózek. Niestety wózek w Fort Myers ktoś ukradł. Nie dość więc, że naobracałem się pompą, by wtłoczyć paliwo do zbiorników, to jeszcze musiałem ręcznie przetaczać i przewracać beczki. Po paru godzinach bolały mnie wszystkie mięśnie, byłem spalony słońcem, włosy miałem zupełnie skołtunione od potu, dłonie pokryte odciskami. Wypilem półtora galonu wody, która była ciepła i niedobra, ale i tak mi smakowała. Czerwony na twarzy, z łomoczącym sercem, zakręciłem w końcu wlewy paliwa, kopnąłem na bok puste beczki i wspiąłem się do kabiny. Czas mnie gonił, musiałem przelecieć nad Karaibami przed zmrokiem.

Gdy zamknąłem drzwi, kątem oka coś zobaczyłem. Na skraju lotniska, na tle trzciny kołyszących się w gorącej morskiej bryzie stał bez ruchu mały chłopiec i przyglądał mi się uważnie. Mógł mieć najwyżej siedem-osiem lat, miał jeszcze szczerby po mlecznych zębach, włosy koloru platyny, a skórę pociemniałą od słońca.

Cóż, stwierdziłem w duchu, dzieci uwielbiają samoloty, lubią też zmyślać. Nikt mu nie uwierzy, gdy opowie, co widział. Ale co z beczkami po paliwie i śladami na piasku? Zablokowałem drzwi i ruszyłem naprzód. Silniki zaskoczyły bardzo ochoczo, jak gdyby już tęskniły za podniebnymi ścieżkami. Trzymałem moc poniżej magicznego progu, za którym samolot zaczyna się rwać do przodu, po chwili jednak zmniejszyłem obroty silników, rozpiąłem pas i pobiegłem na tył. Otworzyłem drzwi, pomachałem do mojego widza, by zbliżył się do samolotu, i zacząłem ciskać na ziemię złote sztabki. Nie wiem, ile ich wyrzuciłem. Musiałem je wyciągać symetrycznie, by nie zaburzyć równowagi, a na koniec z powrotem zabezpieczyłem ładunek. Zeskoczyłem na ziemię i stanąłem pośrodku kilku milionów dolarów rozsypanych na piasku.

Chłopiec zbliżył się ostrożnie. Objąłem go ramieniem i przekrzykując ryk silników i furkot śmigieł, powiedziałem:

– Muszę lecieć! Te sztabki są złote! Ukradłem je! Nigdy nie wrócę, nikt mnie nie ściga! Zabierz je...! – Rozejrzałem się, ale nie zobaczyłem nic prócz mokradeł i piachu. – Zabierz je w jakieś bezpieczne miejsce i zakop! Kiedy podrośniesz, jeśli będziesz potrzebował pieniędzy, wykorzystaj je, ale pomału, po jednej! Nie pozwól, by ktokolwiek zobaczył pieczęcie i numery! Rozpuść sztabki: włóż je do kociołka i powieś nad mocnym ogniem! Stopione złoto przelej do

glinianych form! To łatwe! Złoto jest czyste, możesz je sprzedać mniej więcej po cenach, jakie podaje „The Wall Street Journal”!

Chłopiec patrzył na mnie nierozumiejącym wzrokiem, nigdy nie słyszał o „The Wall Street Journal”.

– Możesz sprawdzić cenę w każdej gazecie! – krzyknąłem. – Bądź ostrożny!

Skinął głową. Wyprostowałem się i uśmiechnąłem do niego.

– Kto ty jesteś?! – odkrzyknął. Swoim piskliwym głosem łatwiej przekrzykiwał ryk silników niż ja.

Musiałem chwilę pomyśleć, nim znalazłem odpowiedź.

– Widzisz to?! – spytałem, pokazując na samolot i wciąż przekrzykując zgiełk. – To wehikuł czasu! Wróciłem, żeby ci pomóc! Rozumiesz?!

– Tak! Ale kto ty jesteś?!

– Nie wiesz?! – Spojrzałem mu prosto w oczy. – Jestem tobą!

Gdy leciałem nad Karaibami, ze słońcem wlewającym się z prawej strony przez przednią szybę kabiny, stałem się mniej ostrożny, ale byłem szczęśliwy. Miałem wiele powodów, by opuścić gardę. Byłem rozkosznie zmęczony i potrzebowałem odpoczynku – nieustanne napięcie mogło mnie tylko jeszcze bardziej wyczerpać. Wierzyłem, że gdy będę leciał w takim półśnie, szczęście mnie nie opuści i nim dotrę do Inusu, uczuję przyływ nowych sił.

Zresztą gdy minąłem Kubę i leciałem nad wodą, po prawej ręce mijając wschodnie wybrzeże Jamajki, nie było już odwrotu. Gdybym teraz spadł, nie byłoby ratunku. Moje przedsięwzięcie skończyłoby się fiaskiem, złoto przepadłoby w morzu, nie mówiąc o mnie. Po co więc sprawdzać ciśnienie oleju? Po co wypatrywać na niebie nieistniejących myśliwców? Po co zadrećcać duszę, gdy ma się pod sobą tylko morze, które tak szybko wsysa samoloty i pilotów w błękitną niewidoczność?

Pode mną zmieniał się świat, wysepki, przylądki i wybrzeża miały zupełnie inny charakter niż na północy. Wszystko było zielone i skąpane w słońcu, morze tętniło kolorem. Palmy były jednorodne i potulne niczym salonowe pieski, okalały plaże i rosły w rzędach jak na komendę. Palma to konformistka, jej pień i liście są regularne aż do monotonii, inaczej niż choćby dąb, który jest niepowtarzalny niby angielski arystokrata, jego twarde drewno musi przetrwać burze i utrzymać się w ziemi. Dąb jest też skromny: rodzi żołędzie, nie orzechy kokosowe. Również fale układały się tu inaczej, toczyły się leniwie, kolor głębin i płycizn wydawał się zaś bujny i rześki nawet z wysokości dziesięciu tysięcy stóp.

Wiedziałem, że lecę do miejsca, gdzie nic nie będzie już takie samo, gdzie rzeczy nie poruszają się, tylko dryfują. Spośród ludzi, którzy gubią się w tych częściach świata, gdzie los nie jest wrogiem, lecz sprzymierzeńcem, większość powraca, po niektórych jednak ślad ginie na zawsze. Umierają w nieświadomej ekstazie, kompletnie zapomniawszy o przejrzystych i chłodnych miastach północy.

Ponieważ nie mogłem wrócić, miałem wrażenie, że dotarłem do kresu wszystkiego, jak gdybym już umarł – i dlatego byłem tak odprężony. Czasem nawet zamykałem oczy i leciałem na wycucie. Nie umiałem rozwiązać problemu, jak wylądować po zmroku na nieoświetlonym lądowisku ani jak obronić ładunek przed bandytami, którzy w swym kodeksie traktują zabijanie jako sposób potwierdzania własnej wartości, przestałem się więc martwić. Z radością gromadziłem siły przed czekającymi mnie improwizacjami.

Lecąc na wschód, traci się sporo dziennego światła, półwysep ujrzałem już spowity mrokiem, mimo że po prawej stronie wciąż jeszcze widziałem pożogę zachodzącego słońca. Działo się tak dlatego, że byłem bardzo wysoko i mogłem obserwować jednocześnie zmierzch i

ciemną noc – na poziomie morza nie spostrzegłbym już nawet resztki dnia.

Jak po ciemku znaleźć lądowisko? Nie przejmowałem się tym zbyt – i nagle, jakby za sprawą czarów, nad horyzontem wzeszedł nieziemsko szafranowy księżyc. Zredukowałem prędkość i zacząłem obniżać lot, wiedząc, że nim dotrę do wnętrza półwyspu, księżyc będzie biały jak dom na greckiej wyspie i na tyle niski, by rzucać wyraźne, ułatwiające orientację cienie. Tak też się stało. Mając po północno-wschodniej stronie światła Inusu, odnalazłem strumień – połyskiwał jak biała nić, potem poczerniał, gdy zmieniłem kąt – i przesmyk między wzgórzami, a za przesmykiem lądowisko: czarny cokół obalony na ziemię i bez tchu leżący na grzbiecie.

Wyłączyłem światła pozycyjne, lądowałem jednak z nieuniknionym rykiem silników. Gdy ziemia była na tyle blisko, że skrzydła nie lśniły już w blasku księżyca, tylko pograżyły się w mroku, włączyłem światła lądowania. Po kilku godzinach w ciemności ich pobłysk wydawał się jasny niemal jak światło dnia. Gdy tylko dotknąłem ziemi całym podwoziem, zgasilem je. Najchętniej wyłączyłbym też od razu silniki, musiałem jednak przeokołować końcowe dwieście stóp do skraju pasa: podobnie jak w Fort Myers, zawróciłem maszynę i ustawiłem ją w pozycji gotowej do startu.

Po całym dniu lotu cisza zdawała się trudna do zniesienia. Słyszałem jedynie krew huczącą w tętnicach.

Nocne powietrze było słodkie. Na Florydzie też pachniało, ale tamtejszą słodycz przełamywała woń soli i jodu znad morza. Tu czułem się jak we wnętrzu osłodzonego ananasa.

Miałem ochotę na gorący posiłek, ale nie odważyłem się rozpalić ognia. Nie wiedziałem, kto mógł słyszeć moje silniki, jak bardzo mógł się tym zainteresować, czy mógł mnie znaleźć, jak dużo czasu może mu to zająć i czego może chcieć. Na razie czułem się zupełnie bezpiecznie, wysiadłem więc i poszedłem po paliwo. Było nietknięte, znalazłem też wózek. Całkiem możliwe, że od kiedy kupiliśmy lotnisko, nie stanęła na nim ludzka stopa.

Wróciłem do samolotu i zjadłem na kolację dwie puszki tuńczyka, kilka selerów i francuski chleb, twardy jak torpeda. Popiłem wodą mi-ne-ral-ną, która nieodmiennie kojarzy mi się ze zdrowiem, choć przecież to tylko woda. Umyłem zęby. Zamierzałem zatankować zbiorniki pod osłoną ciemności, członki miałem jednak odrętwiałe, czułem, że muszę się przespać bez względu na wszystko, wspiałem się więc do maszyny, zamknąłem drzwi i zasnąłem w powiewach słodkiego powietrza wpadających przez okna w kokpicie. Spałem tak głęboko, że nim jeszcze zamknąłem oczy, zapomniałem, kim i gdzie jestem – jedyne, czego byłem świadom, to aromatyczne powietrze. Nie był to niespokojny sen kogoś, kto chce umrzeć, raczej kogoś, kogo już nic nie obchodzi – i pozwolił mi cudownie wypocząć.

Zbudziłem się o wschodzie słońca i otworzyłem drzwi, pod którymi ścielił się dywan złotych traw. Lotnisko było puste, żadnego znaku życia. Nie wyobrażałem sobie, by ktoś, kto chciałby mnie ograbić, mógł już być na nogach, wedle mojego doświadczenia świt to dla przestępców najgorsze przekleństwo. Nie wiedzieć czemu robiłem jednak wszystko w pośpiechu: nie zjadłem śniadania, nie ogoliłem się. Choć miałem wrażenie, że opuściłem Nowy Jork całe lata temu, od wylotu minęła dopiero niecała doba, a już zacząłem się czuć wygodnie z niewygodami. Wygoda wręcz budziła we mnie odrazę.

Tankowałem tak szybko, jak gdyby zależało od tego moje życie – lądowałem beczki na wózek i pędziłem z nimi w palącym słońcu. Im więcej pompowałem, tym lepiej się czułem, choć ramiona i brzuch płonęły mi z wysiłku, a oczy piekły od potu. Im więcej paliwa było w zbiornikach, tym robiło się później, co z kolei zmuszało mnie do jeszcze cięższej pracy. Byłem sam jeden na otwartym terenie, uzbrojony jedynie w pistolet.

Gdy zostały mi tylko trzy beczki i ledwie żyłem po wpompowaniu pięćdziesięciu siedmiu

poprzednich – nabiegałem się od skrzydła do skrzydła, przełaząc pod kadłubem jak Toulouse-Lautrec – wspiałem się, by zamknąć wlew. Przykucnąwszy na skrzydle, rozejrzałem się na prawo i lewo po lotnisku i aż straciłem dech: w odległości około mili szło w moją stronę sześciu ludzi. Gdy pracowałem przy pompie, nie mogli mnie widzieć, lecz kiedy wdrapałem się na skrzydło, zaczęli biec. Każdy z nich miał karabin przewieszony przez plecy i poruszał się z odwiecznym pośpiechem łowcy ścigającego ofiarę.

Jeszcze nigdy w życiu tak się nie spieszyłem. Zakręciłem wlew tak szybko, że pokaleczyłem sobie ręce. Zeskoczyłem ze skrzydła i chwyciłem pompę z taką siłą, że węże smagnęły mnie i ochlapały bok maszyny benzyną. Wrzuciłem pompę do środka i nawet nie zwalniając, jak krasnal przebiegłem pod samolotem i wskoczyłem na drugi płat. Zakręciłem drugi wlew jeszcze szybciej niż pierwszy i po chwili byłem w środku, zdyszany jak antylopa.

Wciągnąłem węże, by móc zamknąć drzwi, i ochlapałem się benzyną. Nie zwróciłem na to uwagi. Zatrzasnąłem drzwi. Nie miałem czasu sprawdzić, jakie postępy zrobili nieznajomi, nie wiedziałem, jak bardzo się zbliżyli. Dopiero z kabiny ujrzałem, że zwolnili. Nie wydawali się dobrymi biegaczami, panował wilgotny upał, a do tego byli obładowani. Wyglądali żałośnie, ale nie rezygnowali – wkrótce zbliżyli się na tyle, że mogłem im się przyjrzeć.

Byli chudzi i brudni, każdy miał na sobie pas z amunicją. Przyspieszając start, jak tylko się da, uruchomiłem silniki – zaskoczyły szybko i ochoczo, jak to często się zdarza w upale. Rozpędziłem je do pełnych obrotów szybciej niż powinienem, wyczuwałem drżenie metalu.

Ryk ponad pięć tysięcy koni mechanicznych dodawał otuchy. Zwolniłem hamulce, maszyna potoczyła się naprzód. Gdy ruszyła z miejsca, moi koledzy zaczęli machać rękoma. Potem kolejno przyklękli do strzału i unieśli karabiny.

Samolot był mocno obciążony, toczył się po nierównej powierzchni, poruszał się bardzo powoli. Grzmociłem prawą ręką w główną konsolę, wrzeszcząc:

– Dalej! Dalej! Dalej! – I nim padły pierwsze strzały, zmrużyłem oczy i schyliłem głowę.

Gdy C-54 zaczął nabierać prędkości, pędząc prosto na napastników, mimo ostrego porannego słońca widziałem błyski z luf. Z początku wszystkie strzały pudłowały, po chwili nabrały celności. Kiedy trafiały w kadłub, brzmiały jak uderzenia śliwkami o ścianę, gdy w śmigła – jak dzwonek w salonie bingo. Ledwie mogłem oddychać.

Im bardziej się zbliżali, tym celniej mierzyli. Wszystkie włosy na ciele zjeżyły mi się jak naelektryzowane, gdy na przedniej szybie zaczęły wykwiatać przypadkowe dziurki, dublowane równocześnie w ścianie kabiny za moją głową. Jeszcze trzydzieści sekund i poześluję nad lufami – strzelanina jednak nie ustawała.

– O Chryste – powiedziałem przez zaciśnięte zęby, gdy kolejna dziurka pojawiła się w prawym oknie, a lewa część przedniej szyby zrobiła się czerwona. Nawet nie mogłem sięgnąć ręką do głowy, bo stało się to w tej samej chwili, gdy pociągałem za drążek. Wzbiłem się w powietrze nad strzelcami, tak nisko, że musieli się rozpląszyć na ziemi niczym cienie na chodniku. Krew jest czerwona – myślałem, gdy tętniła mi w żyłach zgodnie z rytmem mego serca – z tej samej przyczyny, dla której czerwone są strażackie samochody: żeby nie można było jej nie zauważyć.

Wznosząc się pod słońce w południowo-wschodnią stronę, owinałem sobie głowę koszulą. Dziwiłem się, że jeszcze żyję. Wiedziałem, że poważnych ran głowy się nie czuje, dlatego z wdzięcznością przyjmowałem straszliwy ból. Kula rozcięła mi skórę i prześliznęła się po czaszce, do dziś mam tam długą bliznę. Czy to nie dziwne, pomyślałem, że ci, którzy mnie postrzelili, nie mieli pojęcia, co mam w samolocie?

To wszystko nie miało już jednak znaczenia: znów byłem w powietrzu, jak gdybym od lat latał w dziczy i przywykł do takich zająć. Byłem tak odgradzony od swojej niedawnej

przeszłości, jak to tylko możliwe, leciałem nad Zatoką Wenezuelską w stronę wnętrza kontynentu, tak ogromnego, że łamało się na nim ostrze czasu. Wiatr wygwizdywał w podziurkowanych szybach najdziwniejsze harmonizacje, jakie w życiu słyszałem. Brzmiały jak połączenie harmoniki szklanej, flażoletu i chóru z La Scali.

Nie dalej niż dziesięć lat wcześniej robiłem to samo co dnia i choć miałem wtedy więcej szczęścia, teraz też mi go nie brakowało. Podobało mi się to choćby dlatego, że w wyborny sposób potwierdziłem, że nie jestem kolejnym Gnoyem Pulpettem.

Niedługo po tym, jak wszedłem na wysokość przelotową i zostawiłem za sobą Zatokę Wenezuelską, wyleciały mi na spotkanie dwa myśliwce. Miałem prawo niewinnie przelecieć nad ich krajem nawet bez planu lotu.

– Jakie jest twoje miejsce przeznaczenia? – spytał ten z lewej.

– Abadan.

– Gdzie będziesz uzupełniał paliwo?

– W Recife.

– Gdzie rozpocząłeś lot?

– W Los Angeles.

– Jaki wiesz ładunek?

– Lecę pusty – skłamałem. – Z powrotem będę wioził małpę, dwa strusie i boa dusiciela.

Po tej odpowiedzi pilot zamilkł na chwilę, zauważyłem jednak, że mi się przygląda.

– Co masz na głowie? – spytał.

– Koszulę – odpowiedziałem. – Nie mam jej na grzbiecie, bo mam ją na głowie.

– Dlaczego?

– Mam zepsute czujniki temperatury. W kabinie jest bardzo gorąco. Namoczyłem koszulę w wodzie. Macie może trochę lodu?

Powiedzieli, że mi przywiozą, i odlecieli. Byli młodzi, lecieli odrzutowcami, ja byłem podstarzały, miałem koszulę zawiązaną na czole i leciałem sfatygowanym C-54. Nie chcieli zawracać sobie mną głowy. Zlekceważyli mnie. Nie wiem, czy postąpili zgodnie z procedurami, bo nie wiem, co przewidywały ich procedury, tak czy owak, wkrótce byłem sam, poza wszelkim zasięgiem, nad Amazonią.

Amazonia pod wieloma względami przypomina morze. Wydaje się nieskończona, a chmury, tak jak nad morzem, wiedzą, że nie są obserwowane. Wyobrażam sobie, że chmury na przykład nad Chicago, deltą Missisipi czy Ułan Bator starają się zachowywać grzecznie i dlatego są trochę speszone. Takie przynajmniej sprawiają wrażenie. Natomiast nad oceanem, z dala od morskich szlaków komunikacyjnych, gromadzą się w potężne skupiska i wypełniają niebo na przestrzeni tysięcy mil kwadratowych. Wznoszą się tak wysoko, w tak pokazowy i wyniosły sposób, że gdybym nie wiedział, iż jest inaczej, pomyślałbym, że płodzą się tam i umierają. Chmury nad Amazonią to właśnie chmury morskie, choć ich morze jest zielone.

Rzeki z początku były czyste, potem jednak przybrały barwę Afriki Korps czy *café au lait*. Pływały niemal dokładnie na tym samym poziomie co ląd i to wydało mi się niepokojące. Po co żłobią sobie koryta, skoro mogłyby po prostu rozlać się po dżungli? Gdyby w Andach leżało trochę więcej śniegu, rozbuchany zielony gąszcz nasiąknąłby moim najmniej ulubionym napojem. Już choćby z tego powodu nie chciałbym mieszkać w Amazonii, choć są też inne, na przykład robactwo.

Patrząc w dół, myślałem o tych wszystkich zwierzętach zanurzonych w beczasowej wieczności wśród drzew, o ich nienaruszalnej więzi ze wszystkim, co można wyczuć, i wieloma innymi sprawami, których wyczuć się nie da. Jako chłopiec widywałem zwierzęta w lesie,

dyszające ciężko, zasłuchane, węszące, kierujące swój potężny wzrok na tysiąc rzeczy naraz, póki z tła nie wyodrębniła się pokusa bądź zagrożenie.

Zazdrościłem miliardom nieświadomych stworzeń pod sobą – pomijając to, że musiały pić z olbrzymich rzek kawy.

Wylądowałem w Boa Esperanca bez przygód, resztę popołudnia i wieczór spędziłem na tankowaniu, zjadłem szybko, a potem zasnąłem przy drzwiach przedziału ładunkowego. Spałem z pistoletem pod głową, choć wiedziałem, że to zbyt bezpieczne. Byłem zupełnie sam, za towarzystwo miałem tylko sawannę: porośnięta tu i ówdzie małymi drzewkami kazuaryny wyglądała jak zbankrutowane pole golfowe. Świeciły gwiazdy, noc była cicha, słyszałem tylko wiatr szumiący miarowo jak nad oceanem.

Bolała mnie głowa, co było zrozumiałe po postrzale, zabroniłem sobie jednak o tym myśleć, bo nie mogłem odstąpić od planu. Trawy pachniały bardzo słodko, gwiazdy rozsypane były od horyzontu po horyzont, wiatr wiał łagodnie. Zasnąłem, wiedząc, że po przebudzeniu poczuję się tak, jakby od wylotu z Nowego Jorku dzieliły mnie miliony lat.

I gdy się zbudziłem, tak właśnie było. Moje poprzednie życie zniknęło. Skoro już nigdy miałem nie spotkać nikogo, kto mógłby pamiętać to, co ja pamiętałem, skąd miałem wiedzieć, że to wszystko mi się nie przyśniło? Najwyżej ze skrawków papieru. Z niezależnych od siebie zapisków i świadectw sporządzonych przez niezainteresowane strony. Lecz nie dość, że nie mogły one oddać prawdziwego stanu rzeczy, to jeszcze miałem ich nigdy nie poznać.

Siedziałem w świetle wczesnego poranka, z nogami zwieszonymi przez otwarte drzwi samolotu, zupełnie i na zawsze wyrwany z kontekstu. Nie czułem się z tym źle, zresztą i tak nie było odwrotu. Urządziłem sobie wszystko tak, by dożyć swych dni w pokoju i luksusie, co było o tyle dziwne, że przez większość życia gardziłem luksusem i nigdy nie zaznałem pokoju. Właśnie dlatego wojna, choć była szaleństwem, wydawała mi się prawdziwym stanem rzeczy, a czas, w którym wojny nie było – wielkim złudzeniem.

Zastanawiałem się, czy jeszcze się kiedyś zakocham. Wciąż byłem wrażliwy na kobiecą urodę, choć już nie tak jak za młodu. W przeciwieństwie do wielu mężczyzn w moim wieku nie pożądałem jednak kobiet dwudziestokilkuletnich, budziły one we mnie silne uczucia ojcowskie i chęć opieki, nie wyobrażałem sobie umizgów do tak młodej osoby (wyjątkiem okazała się Marlise). Pomyślałem, że pewnie w końcu ożenię się z jakąś majątną wdową o sylwetce limuzyny Pierce-Arrow z 1927 roku. Zresztą w moim wieku sam już mogłem uchodzić za majątnego wdowca, choć byłem idealnie sprawny fizycznie i silny jak małpa.

Gdy machałem nogami nad sawanną, jakieś dziwne, nieładne stworzenie wyszło spod samolotu, zatrzymało się, obróciło, spojrzało na mnie i zastygło w zdumieniu. Wydaje mi się, że był to młodziutki mrówkojad. Miał wielkość psa z kreskówki, barwę płowożółtą z muśnięciami różu oraz wielką trąbę. Wytoczył się spod maszyny jak maleńki prehistoryczny mamut i stał niewzruszenie, wpatrując się we mnie trochę jakby w rozumny sposób. Byłem zapewne pierwszym człowiekiem, jakiego widział w życiu, w pierwszym C-54, a on sam był pierwszym młodym mrówkojadem, jakiego ja widziałem.

– Cześć – powiedziałem. Zapewne przypisywałem mu własne emocje, ale miałem wrażenie, że darzy mnie czułością. Wiedziałem, że to tylko mały mrówkojad, który nie mówi ani nie rozumie po angielsku, ale mniej więcej tak samo czułem się podczas kolacji z papieżem.

Papież promieniował dobrocią, mrówkojad także. Przyszło mi do głowy, że mógłbym go adoptować, nie wiedziałem jednak, jak takiego zwierzęca karmić. Naturalnie wiedziałem, czym go karmić – to było proste. Nie wiedziałem jednak, skąd brać codziennie w swoim mieszkaniu cztery funty mrówek i czy naprawdę bym tego chciał.

– Gdzie twój rodzice? – spytałem, bo nigdzie nie było ich widać.

Mrówkojad nieśmiało odwrócił głowę. Wzruszyły mnie jego skromność, łagodność, niewinność, ufność. Było jasne, że jeszcze nigdy nie spotkał jaguara, myśliwego czy hieny, i miałem nadzieję, że nigdy nie spotka. Tymczasem po twarzy miarowo, jedna po drugiej spływały mi łzy.

– Przepraszam – powiedziałem, ocierając policzki rękawem okrwawionej koszuli. – Rozkleiłem się.

I tak siedziałem sobie na pustej sawannie z głową zawiniętą w skrwawioną koszulę i usprawiedliwiałem się przed mrówkojadem.

Tak jak papież wrócił w końcu do swoich zajęć, tak odeszło też to małe stworzenie: odwróciło się i pobiegło susami w trawę. Zapuściłem silniki, wystartowałem i wzbiłem się w czyste błękitne niebo.

Lot przebiegł bez przygód, nie licząc serii niepokojących grzechotań. Lądowiska szorstko obchodziły się z kołami i zastrzałami, od wylotu z Inusu każdemu chowaniu i wysuwaniu podwozia wtórował dźwięk przypominający wiosenne pęknięcie lodu na jeziorze. Pozostały mi tylko trzy lądowania i dwa starty. Podwozie było wyraźnie w kiepskim stanie, ale miało jeszcze w sobie trochę życia.

O pierwszej po południu dotarłem do Alto Parnaiba, wylądowałem z łoskotem, jak zwykle zjadłem mniej niż powinienem (niewiele mi już zostało), wypilem dużo ciepłej wody i przez parę godzin pompowałem paliwo do skrzydeł.

Gdy skończyłem, moje ciało miało barwę rozżarzonego węgla. Może dlatego że dobrze się czułem po ciężkiej pracy, postanowiłem, że zamiast nocować w Alto Parnaiba rozpocznę od razu przedostatni etap – rano zaś odleczę już do miejsca przeznaczenia, gdzie czekała duża ciężarówka i gdzie miałem na dobre zacząć nowe życie.

Wystartowałem za kwadrans czwarta, na miejscu byłem parę godzin później, tuż po zmroku. Byłem zmęczony, lądowało mi się twardo. Zjadłem ostatnie racje żywnościowe i przystąpiłem do tankowania. W stanie niemal halucynacyjnego wycieńczenia pompowałem prawie sześć godzin, niekiedy wolno jak pijak, powtarzając sobie, że to już ostatni raz.

Gdzieś koło północy zerwał się wiatr, poczułem, jak z boku smagają mnie duże krople deszczu. Czarne niebo w oddali co pewien czas rozjaśniały szybkie błyski – rozpościerały się w obie strony po niskiej komorze zapłonowej przykrytej dachem gniewnych chmur. Dobrze, że nie muszę przez to lecieć, pomyślałem. Deszcz uwolnił zapachy ziemi, wiatr przynosił je szybko i obficie, jakby wprost z serca burzy.

Nie był na tyle silny, bym musiał przywiązywać samolot do ziemi, należało jednak czuwać, na wypadek gdyby burza przemieściła się w moją stronę. Po tak krótkim śnie i ogromnym wysiłku kosztowało to wiele trudu. Musiałem się czymś zająć, nie popadając zarazem w stan rozmarzenia, bo inaczej szybko osunąłbym się w sen. Nie bardzo jednak miałem co robić. Nie zaopatrzyłem się w latarnię, a nie chciałem wykorzystywać pokładowej instalacji do włączenia lamp w kabinie, bo potrzebowałem pełnej mocy do startu. Odpadało więc oglądanie znaczków pocztowych i czytanie czasopisma. Wiedziałem też, że jeśli będę się wpatrywał w burzę na horyzoncie, zahipnotyzuje mnie ona jak rozbujany zegarek na łańcuszku.

Ruszyłem w ciemność, a gdy wpadłem na jedno z drzewek rozsianych po łące, wspinałem się na nie tak długo, aż złamało się pod moim ciężarem. Zaciągnąłem je do maszyny, połamałem na drobne kawałki i ułożyłem w stosik pod skrzydłem.

Paliwo odrzutowe dość trudno się zapala, silniki C-54 jednak napędzane były wysokooktanową benzyną, która jest łatwopalna. Mimo to zaryzykowałem: rozpałem ogień pod tą częścią skrzydła, w której nie było zbiornika. Odległość między płatem a szczytem płomieni wynosiła trzy-cztery stopy, cała konstrukcja pokryta była aluminium, a jeśli nawet się

nagrzewała, żar rozpraszał się nieszkodliwie po dobrze przewodzącej masie metalu.

Napełniłem kociołek wodą i ustawiłem na węglach wśród płonących jeszcze gałęzi. Nie goliłem się ani nie myłem od kilku dni, włosy i brodę pozlepiła krew jak błoto. Niebawem miałem cały galon bulgoczącego wrzątku. Zaczepiłem pełen kubek, odczekałem, aż woda się uspokoi, i wcisnąłem do środka całą butelkę niemieckiego żelu pod prysznicę wytworzonego z kokosów i pieniącego się jak bita śmietana. Wtarłem tę miksturę we włosy i rozmasowałem po twarzy. Wyglądałem jak ktoś, kto przebrał się za watę cukrową. Żel był intensywnie mentolowy, im dłużej go miałem na skórze, tym bardziej mnie szczypał i tym lepiej się czułem, pozwoliłem więc sobie na krótką przerwę na mycie zębów – robiłem to tego dnia już wiele razy, co najmniej dwukrotnie po zjedzeniu obiadu złożonego z wojskowej niespodzianki wieprzowej, zmumifikowanych warzyw i czekoladowego ciastka z czasów pierwszej wojny.

Pasta była biała jak łabędź, nałożyłem jej na sfatygowaną szczoteczkę tak potężną ilość, że spadała mi kaskadami z ust jak piana z gaśnicy. Muszę przyznać, że czasu na mycie miałem w bród. Nagle zdałem sobie sprawę, że ktoś mnie obserwuje, i odwróciłem się.

Za moimi plecami stał drobny, wymizierowany, bosy wieśniak. Wyglądał, jakby właśnie doznał zatrzymania akcji serca. Chciał uciec, ale sparaliżował go strach. Widziałem, jak unosi mu się pierś. Przypuszczam, że wziął mnie za jakiegoś leśnego skrzata.

– Nie, nie – odezwałem się. – *Ecce homo, ecce homo*. – Nie umiałem mówić po portugalsku, a już na pewno nie znałem niewyraźnych dialektów z wiejskiej północy kraju. – Gole się – powiedziałem. – *Rasoio*. – Uniosłem brzytwę i zacząłem się golić, trzymając na wyciągnięcie ręki lustro sygnałowe. Wiadomo przecież, że diabły się nie golarą. – Gorąca woda – powiedziałem, skończyłem się golić i zacząłem splukiwać włosy.

Czułem się cudownie. Gdy skończyłem, wyglądałem jak nowojorscy bankierzy inwestycyjni nowego typu, z przyznanymi włosami, w garniturach za pięć tysięcy dolarów, szelkach oraz okularach w oprawkach grubości włosa. Czemu oni to robią? Przez całe dziesięciolecia bankierzy inwestycyjni nie różnili się wyglądem od dziekanów z Harvardu. Czy tym młodym ludziom naprawdę się wydaje, że przyzlane włosy i krzykliwe garnitury były kiedyś akceptowane na Wall Street? Dawniej w ten sposób nosili się gangsterzy i żigolaki.

Wieśniak pokazał na mój samolot, rozłożył ramiona i zaśmiał się wesoło. Uznałem, że znaczy to: „co ty robisz, do diabła, w tym ogromnym samolocie o pierwszej w nocy na takim odludziu?”, powiedziałem więc:

– *Et tu, Brute?*

Nie zrozumiał.

Próbowałem opowiedzieć mu po włosku historię swego życia. Nieliczne słowa, które zdołał rozpoznać, raczej nie składały się w sensowną opowieść, śmiał się też w zupełnie nieodpowiednich momentach. Skąd mógł mieć choć najbłedsze pojęcie o tym, co mówiłem? Pokazałem mu na migi kradzież samochodu Gnoya Pulpetta, kawowe tańce Constance, zabicie Edgara, spotkanie ze śpiewakami w Rzymie. Potem on tą samą metodą opowiedział mi o sobie – o ile dobrze zrozumiałem, był klaunem w prowincjonalnym cyrku, lecz po tym, jak wół pobócił mu żonę, porzucił cyrk i został elektrykiem. Marzył, by pojechać do Niemiec. Miał radio – albo chciał mieć radio. Zrozumiałem to, bo kręcił gałkami wyimaginowanego odbiornika, a potem nachylił się nad nim, z uśmiechem nadstawiając ucho.

– Dziesięć radiów – powiedziałem. – Pięćdziesiąt radiów, tylko dla ciebie. – Wspiąłem się do maszyny, wyciągnąłem dwie sztabki i wręczyłem mu. – Rozpuść je – poleciłem. Zaczęło mi to już wchodzić w krew. – Pozbądź się numerów i pieczęci.

Wieśniak był niezłe oszołomiony, bo gdy zrozumiał, że w jednej chwili uczyniłem go największym bogaczem, jakiego w życiu widział, chciał całować mnie po rękach, ale mu na to

nie pozwoliłem. W końcu pokuśtykał w mrok, uginając się pod ciężarem swego nowego majątku.

Tymczasem w chmurach szalały pioruny, jak gdyby za chwilę miał nastąpić koniec świata, światło brzasku daremnie usiłowało się przebić przez gęstą ciemność. Choć chłostały mnie niesione wiatrem krople deszczu, w górze huczały już niedalekie grzmoty, a skrzydła samolotu chygotały się przy gwałtowniejszych powiewach, kiwała mi się głowa i zamykały oczy. O drugiej ognisko było już różowe, silniejsze porywy wiatru rozwiewały biały popiół i warstwa po warstwie unosiły go w noc.

Wzrok miałem nawykły do ciemności, w pewnej chwili wyraźnie ujrzałem więc rozkołysaną poświatę nadpełzającą stamtąd, gdzie zniknął wieśniak. Były to światła reflektorów: w moją stronę pędziła kolumna dwudziestu, może trzydziestu samochodów lub ciężarówek. Ten idiota musiał zrobić z siebie widowisko, chwając się złotem przed całą wioską. Być może mieli pokojowe zamiary, ale nie mogłem ryzykować. Na pewno przez całą noc pili kawę, a ze względu na to, co miałem w samolocie, moje życie nie było warte splunięcia. Byłem wykończony, burza szalała coraz bardziej, ale musiałem startować.

Zamknąłem za sobą drzwi, puściłem się biegiem, stuknąłem się w głowę, wskoczyłem na fotel pilota i zacząłem uruchamiać silniki. Gdyby samochody wjechały na lotnisko, nie zdołałbym wystartować, a co gorsza, nie zdążyłbym się też zatrzymać: spaliłbym siebie i wszystko, co stanęłoby mi na drodze, słup ognia rozjaśniłby noc na pięćdziesiąt mil naokoło. Ale czy ci ludzie mieli o tym pojęcie? Byli zdolni wtargnąć na lotnisko, nawet gdybym pędził na nich bez możliwości odwrotu.

Działałem najszybciej, jak umiałem, uruchomienie czterech silników trochę jednak trwa. Przez kilka strasznych chwil patrzyłem, jak sznur zniekształconych perspektywą światła nadciąga przez mrok i deszcz, podskakując i opadając na nierównościach drogi.

Prawy wewnętrzny: działa! Lewy wewnętrzny: działa! Prawy zewnętrzny: działa! Lewy zewnętrzny jednak nie chciał zaskoczyć. Obrócił się, zakaszłał i prychnął. Poprawiłem mieszankę paliwową. Silnik wypluł olbrzymią chmurę białego dymu.

– Ruszaj! – krzyknąłem i spróbowałem ponownie. – No ruszaj!

Obracał się z uporem, znów zakaszłał, prychnął i prychnął, w końcu ruszył. Po chwili łopaty śmigła wirowały jak noże, tak szybko, że zlewały się w oczach, gdy zaś zacząłem otwierać przepustnicę, od zgiełku i wibracji aż uniosłem się w fotelu.

Zwolniłem hamulce. Samolot skoczył do przodu i zaczął się toczyć. Zatankowany do pełna i załadowany metalem, z silnikami pracującymi na najwyższych obrotach stanowiłby wspaniały widok, gdyby werznął się w kolumnę ciężarówek. Jeśli było ich trzydzieści, a w każdej jechało, kto wie, może dziesięć osób lub choćby połowa tej liczby? Zabiłbym lub okaleczył dwie trzecie całej grupy – setkę ludzi.

Musiałem natychmiast zdecydować, czy zapalić światła. Gdybym to zrobił, ludzie w konwoju zobaczyliby, że rozpędzam się do wielkiej prędkości. Być może powstrzymałoby to ich przed wjazdem na pas.

Wcisnąłem włącznik. Wiedziałem, że zobaczą teraz dwa wielkie oślepiające światła pędzące ku nim po równoległym, ale jednak kolizyjnym kursie. Musieliby być szaleni, żeby wjeżdżać na pas.

Byli. Wjechali. Nie czołowy wóz, lecz jeden ze środkowych – reszta podążyła za nim bez chwili wahania. Jechałem za szybko, nie mogłem już się zatrzymać. Gdybym spróbował, werznąłbym się w nich zbyt wolno, by przetoczyć się po nich niczym idealnie wymierzona i sunąca w zwolnionym tempie kula bilardowa.

Otworzyłem przepustnicę do maksimum, przeskakując wzrokiem po instrumentach pokładowych. Nie dam rady, pomyślałem. Mrugnąłem światłami. Ci idioci mrugnęli mi w od-

powiedzi! Cóż oni sobie myśleli?

Nagle, jak gdyby poraził mnie piorun, oświeciła mnie myśl, że z wichurą nadciągającą od czoła moja prędkość startowa będzie aż nadto wystarczająca. Pociągnąłem dźwignię do siebie najszybciej, jak się dało, i oderwałem się od ziemi.

Samolot był jednak tak ciężki, że wznosił się pod minimalnym kątem. Do zderzenia pozostały już tylko sekundy. Zacząłem wciągać podwozie. Nawet gdy było sprawne, działało powoli, a teraz nie było sprawne. Podczas chowania wydawało z siebie coraz to nowe hałasy. Po chwili znalazłem się dokładnie nad dachem pierwszej ciężarówki, która skręciła w lewo, by uniknąć zderzenia.

Lewe koło z potężnym trzaskiem grzmotnęło w dach szoferki. Prawe skrzydło się uniosło. Wyrównałem przechył, ale wtedy poszedł do góry lewy płat – koło odłamało się jak kurza noga. Uniosłem prawe skrzydło, sunące zaledwie parę stóp nad ziemią, a potem, minawszy resztę ciężarówek, odzyskałem równowagę i zacząłem się wznosić.

Nigdy dotąd nie leciałem prosto w burzę: P-51 cechował się taką szybkością i taką zwrotnością, że mógł wyminąć w zasadzie wszystko, a gdy pogoda była zupełnie nie do przyjęcia, nie przeprowadzano nalotów bombowych ani nie wysyłano patroli myśliwskich. Przeszywane piorunami bele czarnej bawełny, które leżały przede mną, stanowiły dla mnie nowość. Byłem przytomny, lecz ani nie miałem pewności siebie, ani nie czułem gniewu, który wzbiera w lotniku przed walką. Nie bałem się jednak. Ogrom nadciągającej burzy był odtrutką na strach choćby dlatego, że nie sposób bać się wszystkiego, a w miarę zbliżania się burza spotężniała tak bardzo, że stała się wszystkim.

Jedynie, co mogłem zrobić, to lecieć do góry. W Alto Parnaiba nie było więcej paliwa, a w zbiornikach miałem tylko tyle, by przebić się przez burzę. Wiedziałem, że zderzę się z nią jak ze ścianą, miałem jedynie nadzieję, że znajdę się nad piorunami.

Woda pryskała do środka przez dziurki w przedniej szybie, spływała po zegarach. Jej masa mogła w końcu ściągnąć maszynę w dół, ale nie byłem w stanie nic na to poradzić. Wleciałem w chmury na wysokości czterech tysięcy stóp. Turbulencje wyczuwałem już przedtem, w chmurach zaś samolot momentalnie spadł o cztery tysiące stóp, schwytny w kolumnę powietrza pchającą ku ziemi jak tłok. Choć nos maszyny skierował się w górę, czułem się jak podczas nurkowania, jedynym wyjściem było posuwać się pomału naprzód.

Wreszcie na dziesięciu tysiącach stóp samolot wyleciał w stosunkowo spokojną ciemność, rozjaśnianą jak żarówką jedynie kilka razy na minutę, gdy przez chmury przenikał błysk pioruna. Skrzydła wibrowały, silniki wyły, woda lała się przez okno. Gdy niebo pokrywało się świetlistymi rysami niczym popękane szkło, błyskawice były mniej przeraźliwe niż wtedy, gdy cały wszechświat przybierał barwę magnezu.

Samolotem ciskało to w górę, to w dół, to na boki tak gwałtownie, że czułem się, jak gdybym tkwił wewnątrz kości przeżuwanego przez nafaszerowanego atropiną teriera. W kabinie wszystko tłukło się opętaczko. Pasy i uchwyty chłostały tylną ścianę jak bicze. Widziałem, jak przekręcają się główki śrub, patrzyłem, jak wskazówki zegarów kiwają się zgodnie to w lewo, to w prawo, niczym tancerki z The Rockettes. W jednym momencie miałem pełne zbiorniki benzyny, ułamek sekundy później baki świeciły pustkami. W jednym momencie znajdowałem się na poziomie morza, chwilę później na czterdziestu tysiącach stóp.

Wibracje były tak paskudne, że oczy zaczęły mi tańczyć w oczodołach. Nie miałem pojęcia, ile minęło czasu, na jaką wysokość się wzbiłem ani czy w ogóle lecę do góry. Przemarzałem do kości, woda chlustała mi na twarz, mięśnie miałem skurczone od zmagania ze sterami. Lecz gdy samolot trząsł się tak i grzechotał i pomału przestawałem nad nim panować, co mogło

się skończyć przewrotem na grzbiet i roztrzaskaniem o ziemię, zaczęło mi się to – jak zawsze – podobać.

Usłyszałem muzykę, pojedynczą nutę wybrzmiewającą znikąd i rozciągniętą w nieskończoność. Słyszałem ją już kiedyś – gdy nurkowałem za nieprzyjacielem usiłującym ratować swoje życie, a gilzy wyfruwały z moich działek jak opiłki metalu z frezarki. Teraz, w sercu burzy, w niewyobrażalnej chmurze, znów byłem niczym, unosiłem się na falach czystej siły.

Nie miałem nic przeciwko temu. Nie czułem ani bólu, ani strachu. Wpadałem z jednej komory w drugą, zatapiałem się coraz głębiej w mrok życia i światło duszy. Właściwie było to zadziwiająco łagodne, bo z im większą siłą wszystko się rozpada, tym wyraźniej pojawia się absolutny spokój. Człowiek czuje się wtedy tak, jakby wracał do domu. Chciałem, by samolot rozpękł się na dwoje – lecz na dwudziestu jeden tysiącach stóp przebiłem się nagle przez powierzchnię nieskończonej masy chmur i wyleciałem w czyste niebo, rozjaśnione już nie szaleństwem błyskawic, tylko solidnością gwiazd.

Suche powietrze zalało kabinę i mimo ryku silników świat stał się cichy. Poda mną chmury rozbłyskiwały w przypadkowych synkopach razem wypełniających je nieustanną jasnością. Włożyłem maskę tlenową, odnalazłem kurs i w świetle księżycy pomknąłem przed siebie.

Pełną przytomność odzyskałem dopiero o świcie. Przez kilka godzin rozmyślałem i śniłem, trząsałem się i mdlałem. Często zasypiałem, po chwili budziło mnie szarpnięcie, gdy maszyna zaczynała pikować lub podrywała się w górę, ale jakimś sposobem udało mi się utrzymać kurs dokładnie według kompasu. Gdy wreszcie słońce zalało kabinę i odzyskałem zmysły, odkryłem źródło tego nawigacyjnego cudu: woda spływająca po panelu kontrolnym wytworzyła spięcie, wyłączając połowę pokładowej instalacji elektrycznej. Kompas przez całą noc wiernie wskazywał pole magnetyczne wytwarzane przez panel. W którąkolwiek stronę zwróciłem maszynę, był ustawiony dokładnie tak samo.

Nie miałem absolutnie żadnego pojęcia, gdzie jestem. Słońce wstało mniej więcej tam, gdzie powinno, wcześniej jednak niebo rozjaśniło się daleko po mojej lewej stronie i nieco z tyłu. Pod sobą miałem raczej interior niż nadmorskie równiny. Wzdłuż całego widnokregu płynęły tłuste chmury jak gromady meduz, ciągnąc za sobą ciemne welony deszczu. Niebo było jednak w większości błękitne i słoneczne, a ziemia przygnębiająco zielona, prawie zupełnie pozbawiona rzek. Nie widziałem też żadnych dróg. Nie była to Amazonia – teren wydawał się zbyt pagórkowaty.

Paliwa zostało mi na niespełną godzinę lotu, pomyślałem jednak, że może wszystko się wyjaśni, jeśli polecę na wschód: zobaczę wybrzeże, a po chwili okaże się, że znajduję się zupełnie blisko celu. Leciałem więc dalej przez pół godziny, wypatrując cienkiej niebieskiej kreseczki, która oznaczałaby ocalenie – lecz na próżno. Paliwa miałem już najwyżej na jakieś dwadzieścia minut. Zrozumiałem, że jestem pokonany.

Poda mną rozciągał się w nieskończoność falisty dywan zielonych wzgórz, tu i ówdzie upstrzony nagimi skałami. W rozpadlinach płynęły strumienie i rzeczki, nigdzie jednak nie widziałem miejsca na tyle płaskiego i rozległego, by dało się awaryjnie lądować. Mógłbym najwyżej osiąść na którymś z łańcuchów wzgórz, były one jednak porośnięte wysokimi drzewami i nie dawały wielkich szans przeżycia.

Możliwe zresztą, że nie miałbym szans nawet na lotnisku: większa część podwozia była odłamana lub zepsuta. Podczas wojny widywałem czasem, jak bombowce próbują lądować na jednym kole, i zapewniam, że nie ma straszniejszego widoku, niż gdy maszyna z pokiereszowaną załogą zaczyna pomału koziółkować i staje w płomieniach.

Gdybym nawet przetrwał kraknę, mogłem nie przeżyć na pustkowiu. A gdybym nawet

przeżył, mogłem stracić złoto – na rzecz leśnych zarośli albo kogoś, kto znalazłby je przed moim powrotem. Teraz najlepsze, co mogło mnie spotkać, to dotrzeć cały i zdrow do mieszkania w Rio de Janeiro i musieć zaczynać od zera w obcym kraju, gdzie nie znałem ani jednej osoby i nie rozumiałem ani słowa. Oznaczało to klęskę, ale na myśl o tym od razu poczułem się młodszy.

Gdy w zbiornikach miałem paliwa już ledwie na dziesięć minut lotu, ujrzałem drogę – jedną z owych pomarańczowych wstęg przeciągniętych niedawno niczym promień światła przez bezkresną zielenią. Pagórkowaty krajobraz urywał się na skraju zielonego morza. Gliniasta droga w porze deszczowej zapewne była nieprzejezdna, bo nie widziałem na niej ani żywej duszy.

Leciałem wzdłuż drogi pogodzony z tym, że gdy skończy mi się paliwo, będę musiał wylądować na niej najlepiej, jak umiem, z nadzieją, że uda mi się skrócić w bok, obłamać skrzydła o drzewa i wbić się samym kadłubem w zarośla. Z góry nie widziałem, że droga jest nachylona, zauważyłem to dopiero wtedy, gdy dwie mile dalej na prawo zobaczyłem rzekę: na sterczącej tam skale widać było, że grunt stopniowo się obniża. Rzeka wylaniała się zza zielonej skarpy i gąszczu drzew, przełamywał ją oślepiająco biały wodospad, a za wodospadem oddalała się pod kątem czterdziestu pięciu stopni od drogi.

Jej koryto nie było szersze niż droga, ale pomyślałem, że może łatwiej będzie wylądować na rzece niż na drodze, i leciałem wzdłuż niej przez kilka minut, wypatrując szerszego rozlewiska. Najszerszy i najprostszy odcinek znajdował się jednak na początku, tuż za wodospadem.

Zawróciłem o sto osiemdziesiąt stopni i zacząłem obniżać lot. Nie sądziłem, że wyjdę z tego żywy, ale widziałem, że rzeka jest przynajmniej biała i świeża i że płynie szybko.

Gdy byłem nieco niżej, okazało się, że jej nie doceniłem. Była szersza niż się wydawało z góry. Ryzykując czołowe zderzenie ze ścianą wodospadu, mógłbym posadzić samolot na wodzie, omijając przeszkody na brzegu. Postanowiłem tak zrobić, choć odcinek na lądowanie nie był długi.

Lewy zewnętrzny silnik zaczął przeskakiwać, co znaczyło, że zbiornik jest już prawie pusty. Wysunąłem klapy podwozia. Wiedziałem, że gdy uderzą o wodę, podziałają jak hamulec i cisną mnie wraz z samolotem naprzód, z siłą, która może się okazać zabójcza. Nie miałem jednak wyboru. Gdybym schował klapy choćby w ostatniej chwili, sunąłbym na tyle szybko, że zderzyłbym się z urwiskiem za wodospadem.

Nie miałem czasu na myślenie. Piana u podnóża wodospadu wyglądała jak śnieg. Samolot uderzył o wodę, lecz z mniejszą siłą niż się spodziewałem, ponieważ woda była skotłowana i nasycona powietrzem. Sunął jednak szybciej niż powinien, co mnie niepokoiło. Nie minęła chwila, a maszyna przebiła wodospad i grzmotnęła o skałę.

Byłem przytomny, gdy woda wypełniała kabinę. Samolot zadarł lekko nos, ponieważ wodospad wpychał ogon w dół.

Rozpiąłem pas i uwolniłem się bez trudu. W oknach ocalały wszystkie szyby, podpłynąłem więc do drzwi, te jednak zaklinowały się na głucho. Byłem pewien, że utonę, spojrzałem więc w górę wzrokiem dumnym i pełnym akceptacji – i w tym momencie ujrzałem, że kadłub jest pęknięty: dokładnie nade mną w suficie kabiny ziała szeroka szczelina.

Ciężko pracując nogami, przedostałem się przez nią do komory wypełnionej wodną kipiela, w której miałem tak małą pływalność, że z trudem się unosiłem. Wziąłem parę wdechów, choć nie było powietrza. Gdy wybiłem się na powierzchnię, zakrztusiłem się i ogłuszył mnie grzmot spadającej wody. Zbiornik za wodospadem był jak fala przyboju w rzeźki jesienny dzień. Panował tam półmrok i prawie nie dało się oddychać.

Próbowałem wypląnąć, ale wodospad z nieprzepartą siłą pchnął mnie w dół, przytrzymał przy dnie, a potem odrzucił do tyłu. Huknąłem głową w jakąś część samolotu i ponownie

wypłynąłem w górę, równie wolno jak za pierwszym razem.

Skoro woda wpadała do komory, w takiej samej ilości musiała być wyrzucana na zewnątrz. Nie wypływała przy dnie, musiała więc wypływać po bokach. Zanurkowałem, przytulając się do ściany, i w połowie odległości od dna poczułem silny prąd. Im dalej się z nim przemieszczałem, tym większego nabierałem przyspieszenia, po chwili nawet nie musiałem już płynąć. Pędziłem tak szybko, że aż się skuliłem i rękoma osłoniłem głowę, na wypadek gdybym został pchnięty na jakąś przeszkodę. Prąd nie cisnął mną jednak o nic twardego, tylko wyrzucił z wody prosto w powietrze. Lecąc przez chwilę, zaczerpnąłem tchu, ponownie wpadłem w pianę, wypłynąłem na powierzchnię, rozprostowałem się i jak zwykle uczułem, że pędzę dalej z ogromną prędkością, niesiony chłodnym prądem rzeki, która mnie uratowała.

NAJWSPANIALSZA SZKOŁA

Jeśli jeszcze tego nie zrobiłeś, odłóż przeczytane kartki do mrówkoszczelnej kasety.

W São Conrado odkryłem, że moje zapiski nie mieszczą się już do mrówkoszczelnej kasety. Przycupnięty na zboczu, walcząc z wiatrem szarpiącym kartki, próbowałem wepchnąć je siłą, bałem się jednak, że wyfruną mi do morza, robiłem to więc bez przekonania. Przyciskając do piersi kwitnącą różę papierzysk, zszedłem chwiejnie po stromej skale, wydostałem na drogę i dotarłem do kawiarni na plaży. Tam usiadłem piętnaście stóp od ekspresu do kawy i dysząc ciężko, spływając potem, usiłowałem wcisnąć rękopis do kasety. Woń kawy doprowadzała mnie do takiej wściekłości, że nie byłem zdolny do niczego. Jadąc autobusem do domu, ponowiłem wysiłki, ale wciąż jeszcze drżałem z powodu kawy i w końcu dałem za wygraną.

Dryfuję na tratwie kłopotów, które nasilają się z każdym dniem. Dawniej wydawało mi się, że pod koniec życia uwolnię się przynajmniej od nieznaczących porażek, takich naprawdę nieznaczących i drobnych. Problemy potrafią jednak udreńczyć: kiedy się poddajemy, rosną w siłę jak psy, które dostają szału, gdy ich ofiara osuwa się na kolana.

Nazajutrz, po długim i niespokojnym śnie, włożyłem szlafrok, zasiadłem przy biurku i drżąc z rozpaczy, usiłowałem wcisnąć zapiski z São Conrado do mrówkoszczelnej kasety. Starłem się z całej siły, ale nadaremnie. Żeby to zrobić, musiałbym je pomiąć, a wolałbym umrzeć, niż pomiąć gładką kartkę papieru.

– No cóż – próbowałem się pocieszyć – prosta sprawa. Pójdę do sklepu, w którym kupiłem kasete, i kupię sobie nową, większą.

Było to o wiele lepsze rozwiązanie niż wciskanie kartek na siłę: potem i tak musiałbym się namordować przy wyciąganiu, a pod wpływem wewnętrznego ciśnienia kasetka mogła się zacząć rozszczelnić – co było niebezpieczne, bo niektóre mrówki są bardzo małe, a inne, choć większe, są maleńkie zaraz po wykluciu.

Na kupienie nowej, większej kasety przeznaczyłem cały dzień. Kupowanie to dla mnie jedno z najbardziej wyczerpujących fizycznie i emocjonalnie zajęć – a to dlatego, że jestem nieelastyczny i doskonale wiem, czego chcę. Umysł sobie na przykład, że chcę mieć krawat w określonym kolorze i wzorze – oczywiście nieznanymi dotąd w historii krawaciarstwa – a potem szukam go do końca życia. Mogę obejrzeć milion krawatów, a i tak nigdy nie znajdę takiego, jaki chcę. Do mojej potężniejszej kolekcji wyrzekań i rozczarowań dochodzi kolejne, niczym utracona i nieodwzajemniona miłość, i potem muszę je dźwigać. Nie potrafię ustępować rzeczom, po prostu nie potrafię. Jeżeli, tak jak Constance, są to istoty ożywione i odtrącają mnie z własnej woli, nie mam wyboru. Nie mam jednak prawa ustępować rzeczom, które są nieme, martwe i na zawsze nieosiągalne... Nie mam prawa pozwalać im się wymknąć.

Boże dopomóż, jeśli naprawdę czegoś szybko potrzebuję. Łążę wtedy od sklepu do sklepu, blokuję linie telefoniczne, snuję się po ulicach do ostatniej resztki cukru we krwi.

Wiedziałem, że znalezienie dobrej mrówkoszczelnej kasety może nie być łatwe, ponieważ tę oryginalną kupiłem w 1955 lub 1956 roku.

Któregoś dnia z samego rana, niespełna kwadrans po otwarciu, wszedłem do sklepu papierniczego, gdzie trzydzieści lat wcześniej kupiłem pierwszą kasete. Przez te trzydzieści lat nic się nie zmieniło. Gdy zamieszkałem w Rio, przychodziłem tam po artykuły papiernicze, ale jak to często bywa ze sklepami, które faworyzuje się po przeprowadzce do obcego miasta, wkrótce go porzuciłem, bo zaczął mi się kojarzyć z okresem ignorancji i naiwności, gdy przepłacałem za wszystko niemal dwukrotnie.

Wczesnym rankiem sprzedawcy są jeszcze przygaszeni, somnambuliczni. Niewiele chcą, niewiele oczekują. Jako pierwszy klient byłem na poły niewidzialny. Wentylator pod sufitem miał powietrze nasycone zapachem zadrukowanego papieru i oliwionej skóry. W kącie mimeograf wypływał z siebie ulotki, na drewnianej grzędzie nieopodal kasy spała papuga.

Wygląd sklepu świadczył dobitnie, że jego właściciel został na trwałe wszyty w rękaw rutyny. Przypuszczam, że ani jedna rzecz nie zmieniła się tam od chwili, gdy jego życie straciło resztę blasku. Półki były prawie puste, towar przestarzały i pokryty kurzem. Sklep sprzedawał jednak garstkę artykułów, które pozwalały mu przetrwać dzięki bliskości dzielnicy biznesowej: pulpity, wskaźniki, maszyny do lizania znaczków. Zbladłe kolory, które otaczały te przedmioty – zieleń, brąz i beż – były raczej rezultatem samorzutnej ewolucji niż świadomego wyboru, za wystrój i dekorację wnętrza odpowiadały bowiem proces utleniania i słońce wlewające się przez witrynę. Wszystko, co znajdowało się w sklepie, spoczywało na swoich miejscach co najmniej od dwudziestu lat.

Mały szpakowaty staruszek w okularach dwucalowej grubości zbliżył się do mnie powolnym krokiem.

– Czy mogę panu czymś służyć? – spytał. Był apatyczny jak pies w sklepie rybnym.

– Tak – odparłem ochotczo, bo choć kiepsko spałem i wstałem wcześniej, złość dodawała mi animuszu. – Szukam mrówkoszczelnej kasety.

– Czego pan szuka?

– Mrówkoszczelnej kasety. Dużej.

– Co to jest mrówkoszczelna kasetka?

– To taka kasetka – wyjaśniłem – do której nie mogą się dostać mrówki.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Mam taką – powiedziałem triumfalnie – i kupiłem ją w tym sklepie.

– Kiedy?

– W 1955 lub 1956.

– Zapytam ojca – odparł sprzedawca i zniknął na zapleczu.

Przez chwilę dolatywało stamtąd ściszone mamrotanie, które – jak sądzę – musi być często spotykanym dźwiękiem w korytarzach klasztornych, po czym podszedł do mnie wolnym krokiem człowiek jeszcze sędziwszy. Jego szkła, dwukrotnie grubsze niż w okularach syna, były tak potężne, że gdyby parał się astronomią, obywałby się bez teleskopu.

– Sprzedawałem kiedyś mrówkoszczelne kasetosze – powiedział. – W latach dwudziestych. Czy wtedy pan kupiżado tę szwoją?

– Nie, zupełnie niedawno, w połowie lat pięćdziesiątych.

Zamyślił się na chwilę, drzemał z otwartymi oczyma.

– To musiał być żedna z osztatnich, jakie mieliśmy. Żakiego była kolorao?

– Zielone płótno, drzewo różane, mosiężne zawiaski, szkarłatna wyściółka.

– A, tak – powiedział w zwolnionym tempie. – Myszłę, że to była osztatnia, jaką sprzedaliśmy. Żak ludzie wyżuszali na ekspedicao do Amazonia, mieliśmy ich dużo grande. Mieliśmy ich pod sufita. – Wyciągnął rękę do góry. – Mieliśmy dla mężczyznesz, dla kobietesz, dla dzieciesz. Duże, male. Każdy rodzajo!

– I nic nie zostało? – spytałem. – Jeśli ma pan jeszcze jedną dobrej wielkości, z radością wymienię ją na moją mniejszą, dopłacę różnicę.

– Nie zostao. To była rzecz na inne czasosze. Ludziom zależao na innych przedmiotosz. Świat był inny. Nikt ich już nie producir. Nikt już ich nie chce.

– Ja chcę!

– Po co pan szobie zawracado głowę? Gdyby terasz robiono takie przedmiotosz (a ludzie

nie przejmujesz się już mrówkami), byłyby de plastico.

- Ja się przejmuję mrówkami.
- Miałyby kolorao z innego świata.
- Mrówki nadal istnieją, tak jak istniały kiedyś.
- Wszystko zest już inaczo.
- Ale nie ja. Ja nie jestem inny. Ja się nie zmieniłem.
- Nie? – spytał.
- Nie.
- Czemuż?
- Nie mogę – stwierdziłem. – Nie mogę ich zostawić.
- Kogo?
- Tych wszystkich, którzy odeszli.
- Skoro pan tak sobie życzy, senhor – powiedział. – Ale fakto zest fakto. Nie mam ani żednej mrówkoszczelnej kasety. Na całym mundo nie ma żuż sklepu, gdzie by pan taką znajdado.

W każdym, nawet najmroczniejszym zakątku osiemdziesięciu lat mego życia udawało mi się znaleźć promyk światła. Lecz gdy nagle dowiedziałem się, że nikt już nie wytwarza mrówkoszczelnych kaset, że już nikogo nie obchodzą, że są jakimś zapomnianym dziwadłem, pomyślałem, że to chyba koniec.

Jakim naturalnym, przewidywalnym, a w pewnych okolicznościach nawet godnym pochwały zakupem wydawała się w moich czasach mrówkoszczelna kasetka. Dziś, jeśli wierzyć astronomowi, nikt już się mrówkami nie przejmuję. Czyżby na świecie było choć o jedną mrówkę mniej niż kiedyś? Całkiem możliwe, że populacja mrówek zwiększyła się o dobre kilka bilionów, a mimo to nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, by posłużyć się mrówkoszczelną kasetą.

Zupełnie jak gdyby wszystkie mrówki zniknęły z powierzchni ziemi. A przecież są wszędzie. Jeśli prezydentowi Francji spadnie z tacy śniadaniowa bułeczka i potoczy się niepostrzeżenie pod łóżko, mrówki z Pałacu Elizejskiego natychmiast wybiegną tajnymi szlakami spod parkietu i adamaszku i porwą ją wspólnym wysiłkiem.

Nie jest to zjawisko typowo francuskie: gdyby mrówki zechciały, mogłyby zatańczyć na biurku w Gabinetcie Owalnym lub zdrzemnąć się w gronostajowych szatach królowej Elżbiety. Mrówki mogą wejść wszędzie, bo są takie małe, że nikt nie zadaje sobie trudu, by je zabijać. Nie mam obsesji na ich punkcie (nie mam obsesji na żadnym punkcie). Po prostu jeśli masz coś naprawdę ważnego, wkładasz to do mrówkoszczelnej kasety, nieprawdaż?

Gdy wydaje się nam, że cokolwiek zmieniło się na lepsze, w połowie przypadków jest dokładnie na odwrót. Wielkie osiągnięcia są niewłaściwie rozumiane przez kolejne pokolenia, ponieważ ulegają obrzydliwemu postępowi ilościowemu. Weźmy takiego Lindbergha. Jego lot był naprawdę wspaniały. Oto jeden człowiek, prostolinijny i nieustraszony, zrobił coś, czego nie zrobił nikt przed nim, i to tam, gdzie zawiodły i stchórzyły hojnie finansowane syndykaty mające do dyspozycji wielosilnikowe samoloty i znacznie większe możliwości. W małej, lecz świetnie zaprojektowanej maszynie z jednym silnikiem, co tamci mogli najwyżej planować. Nie chodzi nawet o to, że przeleciał nad Atlantykiem, ale że zrobił to samotnie.

Teraz już nikt o nim nie pamięta: concorde'y codziennie powtarzają jego wyczyn w kilka godzin, a ich pasażerowie siedzą w milczeniu, popijając szampana i objadając się kawiozem. Nie lepiej być takim Lindberghiem męczącym się nad Atlantykiem ciemnymi bezsennymi nocami niż bogaczem w jedwabnym krawacie, który podróżuje z ponaddźwiękową prędkością i nie

zastanawia się nad tym nawet przez chwilę?

Świat przekreśla rzeczy wielkie, mimo że jeszcze przed chwilą je kochał. Potem znajduje sobie nowe obiekty miłości i również je porzuca. W tym pospiesznym i tchórzliwym pędzie nie ma miejsca na oddanie, nie ceni się stałości, a jedyną nagrodą za miłość jest zapomnienie. Nie podoba mi się to. Wydaje się, że została już tylko jedna mrówkoszczelna kasetka – należy do mnie, niestety nie jest dość duża, by pomieścić wszystko, co mam w sercu.

Dlatego, jak widzisz, zacząłem zapisywać kartki na odwrocie, cofając się ku początkowi. Przyprawia mnie to o lekki zawrót głowy, czuję się tak, jakbym miał wehikuł czasu. Gdybym naprawę go miał! Poleciałbym wstecz do tamtego olśniewającego czerwcowego wieczoru i zaczekał na dwóch dżentelmenów z prywatnego wagonu pana Edgara. Wypatrzyłbym, jak idą przez las, i wpakował im w mózgi po kulce z winchestera, a trupy stoczyłbym do bagna. Potem poszedłbym do domu na kolację, niezdolny o tym opowiedzieć, zbyt poruszony, by wyrzec słowo.

Moja kasetka jest naprawdę piękna. Nie robi się już takich, a gdyby nawet robiono, nie dałoby się ich postarzyć, żeby załśniły takim samym cierpieniem jak moja, nie zdołano by przekazać im tego, co ona w sobie nosi, ani pokazać, gdzie była, nie umiano by wyuczyć ich absolutnej, biernej, sześćdziesięcioletniej cierpliwości. Owszem, ze swej półki przy oknie moja kasetka widziała głównie niebo, leżała jednak na tej półce przez dwadzieścia lat, jest więc wytrawną znawczynią chmur – a także ciszy i mroku szuflady, i powiewów, które muskały ją, gdy spędzała noc na chłodnych płytkach podłogi.

Byłeś moim małym sprzymierzeńcem, zawsze na posterunku – przybiegałeś na wzgórze, by przekazać mi ostrzeżenia od fryzjera, nasłuchiwałeś kroków pod drzwiami. Gdy piszę te słowa, jesteś jeszcze dzieckiem, ale już doskonale rozumiesz takie rzeczy. Nie ma na świecie broni, z którą byś sobie łatwo i szybko nie poradził. Już teraz wiesz, jak przemukać się nocą, jak zjawiać się zniemacka, jak nie dać się przyłapać.

Nie wyobrażam sobie, bym mógł nie udzielić dziecku takich lekcji, lecz muszę też prosić cię o wybaczenie – nie tylko dlatego, że w tak młodym wieku przysporzyłem ci zmartwień, ale też dlatego, że aby wpoić ci tę wiedzę, przywiązałem cię do siebie. Mam nadzieję, że w stosownej chwili – o ile ta chwila nadejdzie – moje nauki uratują ci życie i że wspomnisz mnie czule, tak jak ja z czułością wyobrażam sobie ciebie jako mężczyznę.

Złoto jest w wodzie, czyli tam, gdzie powinno być: w wodzie płynącej, wodzie rozpuszczającej, w wiecznej kolizji tlenu i piany, w chłodnej chmurze, która poddaje erozji skalne ściany i pojęcie czasu.

Spoczywa za skłębionym odmętym, chronione, bezpieczne. Ani nurt, ani wsteczna fala nie zdołają go wymyć, rzeka nigdy też nie wyschnie, a to z tej prostej przyczyny, że ma ogromne lesiste dorzecze. Części samolotu, które miały odpaść, już dawno odpadły i spłynęły z prądem, nikt ich nie zauważył, a jeśli nawet, najwyżej zdziwił się, skąd się wzięły.

Wracałem tam kilkakrotnie, pod osłoną nocy wślizgiwałem się do rzeki. Teleskopową aluminiową tyczką badałem dno w pobliżu wodospadu; wymacałem kadłub, resztki płatów i ogon. Ciężar złota i silników utrzymał samolot na miejscu – wciąż tkwi tam, gdzie był.

Jeśli chcesz, złoto może być twoje. Obiecałem Marlise, że nigdy ci nie zdradzę, gdzie ono jest, i nie śmiem złamać danego słowa. Tym bardziej że pamiętnik mógłby wpaść w niepowołane ręce. Zresztą nawet to, że samolot leży u stóp wodospadu, nie jest wystarczającą wskazówką: umyślnie zmieniłem opis okolicy, by jej położenie pozostało tajemnicą. Czy to jest w Brazylii, czy może w innym kraju? Czy tam naprawdę jest wodospad? Miej otwarty umysł, potraktuj ten opis jak konstrukt, jak szyfr.

A właśnie, Funio, czy pamiętasz miejsce, gdzie kiedyś widzieliśmy kaczki? Jedliśmy tam coś, co mama zabraniała nam jadać w swojej obecności. To był nasz sekret. Potem rozmawialiśmy o tym parę razy. Miałem wtedy ze sobą pistolet pneumatyczny, pozwoliłem ci postrzelać. Wiem, że tamten dzień i miejsce wryły ci się w pamięć, kilka razy upewniałem się, czy nie zapomniałeś.

No i proszę. Przekazałem ci, co trzeba. Właściwie nie ma w tym nic dziwnego: bogaci ludzie często robią dzieciom takie niespodzianki, tyle że zamiast złota ukrytego w wodzie przekazują zwykle numer rachunku w zuryskim banku. Gdyby agenci skarbowi mieli skrzydła, obsiedliby pewnie ściany przedszkoli, a może jak żaby pochowałiby się pod kamieniami w strumieniach, gdzie łowi się pstrągi – ojcowie mają swoje rytuały, przekazują te numery synom i córkom w taki sposób, by odcisnęły im się w pamięci jak żelazne znamię w wosku. Połowa moich znajomych na Harvardzie znała taki numer, tyle że działało się to w innych czasach, wtedy na Harvardzie praktycznie wszyscy – prócz mnie – byli bogaci.

Zastanawiasz się pewnie, dlaczego nie zdecydowałem się odzyskać tego, co słusznie ukradłem. Można nawet powiedzieć, że sobie na to zapracowałem – równie dziwacznie, jak dziwacznie zarabiałem wszystkie pieniądze w swoim życiu, jak dziwacznie robiłem wszystko, co robiłem, jak dziwacznie dowiedziałem się wszystkiego, co wiem.

W tym właśnie tkwi sęk. Nie chciałem tego bogactwa, musiałem je porzucić, by móc żyć w zgodzie z sobą. Ukradłem to złoto nie dlatego, że chciałem je mieć, lecz dlatego, że czułem się do tego zmuszony – gdybym umiał się oprzeć temu przymusowi, cierpiałbym dalej tak, jak cierpiałem. Tak się złożyło, że ukradłem je, a potem porzuciłem i dzięki temu, że go sobie odmówiłem, cierpiałem nieco mniej. Owszem, kiedy zdałem sobie sprawę, że nie jestem już fizycznie zdolny go wydobyć, zmieniłem zdanie – ale wiem, że gdybym w cudowny sposób odzyskał siły, zmieniłbym je z powrotem.

Wszystko, co w życiu robiłem, robiłem nie dlatego, że czegoś chciałem, tylko po to, by wynagrodzić stratę, by przywrócić równowagę, by wprowadzić korekty, by naprawić błędy. Na pieniądzech nigdy mi nie zależało, choć przyznaję, posiadanie ich w wielkiej ilości bywało ekscytujące. Jestem też w pełni przekonany, że złoto utracone na dnie płynącej wody ma w sobie coś słusznego i świętego – jak gdyby w ten sposób wróciła naturalna harmonia, jak gdyby poszukiwacze, którzy wydobyli je z górskich strumieni, zakłócili równowagę, a ja miałbym zadanie ją przywrócić.

Tak czy inaczej, twoja matka i ja nieźle sobie radziliśmy bez złota. Powiem nawet, że gdyby Marlise je miała, stałaby się nieznośna. Kiedy się poznaliśmy, dosłownie wzięta mnie za rękę, zaciągnęła przed witrynę jubilera i chciwym, uwodzicielskim gestem pokazała gargantuiczne złote kolczyki. Były tak duże, że miały drucziany łącznik, który przewlekało się między włosami, żeby nie obciążać małżowin nadmiernym ciężarem.

Gdybyśmy byli bogaci, dziś miałaby za sobą kilka liftingów twarzy, zmarnowałaby swoje i moje życie na pozory. Doświadczyłem tego dostatecznie mocno przez lata pracy w Stillman and Chase, gdy więc ożeniłem się z Constance, nauczyłem się trzymać od tego z daleka. Pamiętaj, Funio: ludzie bajecznie majątni idiotycją.

Niektórzy są idiotami już wcześniej, ale z tych, którzy nie są, siedemdziesiąt-osiemdziesiąt procent później się nimi staje. Wmawiają sobie głupio, że są lepsi od innych, a wynoszenie się nad innych pozbawia człowieka inteligencji i żywotności. Nie mam pojęcia dokładnie, czemu się tak dzieje, ale widziałem to już tyle razy, że wiem, co mówię.

Żyliśmy skromnie i szczęśliwie z moich skromnych zarobków nauczyciela w akademii morskiej i jej pensji kasjerki. Było to najlepsze życie, na jakie mogłem udzielić sobie pozwolenia.

I chyba dlatego, że nigdy nie chciałem, by Marlise dzieliła ze mną moją pokutę, że

wszystkich sił starałem się jej wybaczać, gdy się zestarzałem, a ona pozostała młoda.

Jestem twoim ojcem, ale tylko przybranym. Twoim biologicznym ojcem był pewien akrobata. Ale to nic. Kochałem cię jak syna, a ty byłeś mi oddany nad wszelki podziw. Możesz teraz dochodzić praw do swego spadku albo pójść w moje ślady i żyć spokojnie bez niego.

Nie wiem, kiedy umrę, ile będziesz miał wtedy lat ani ile minie czasu, nim znajdziesz te zapiski. Tak czy owak, zbliżam się do miejsca, z którego rozciąga się widok na bezkresne równiny śmierci – muszę więc wyjaśnić jeszcze parę spraw, póki żyję i jestem w stanie mówić prawdę.

Twoja matka zawsze była pod wrażeniem własnej urody i chciała przestawać z ludźmi, którzy byli jej równi. Właśnie dlatego nie jesteś moim biologicznym synem. Sprawilo mi to ból, ale nie umiałem jej nie kochać – to kolejna kobieta, którą kochałem, a która nie kochała mnie. O ironio, kochałem ją za jej urodę. Kochałem ją też za to, jak mówiła po angielsku.

Trudno się było oprzeć nakazom krwi, chciałem więc uprawiać z nią miłość tak często, jak mogłem, chciałem pomniejszyć swoje ułomności, łącząc je z jej przymiotami: posagowymi zębami bielszymi niż igloo, błyszczącymi zielonymi oczyma, włosami barwy krwi i złota, niewyczerpaną żywotnością. Cała natura popychała mnie ku niej, ją zaś odpychała ode mnie. Gdy mnie dotykała, błędziła gdzieś myślami. Odtruwała ode mnie – jak każda kobieta, którą w życiu kochałem – i piła kawę.

Kawa. Gdy spoglądam wstecz na swoją wojnę z kawą, nie czuję ani wstydu, ani żalu, czasem tylko zastanawiam się, czemu to musiałem być ja, czemu właśnie ja zostałem wybrany. Nie urodziłem się po to, by wyrzucić człowieka z pędzącego pociągu i nabić go na szpikulce, by udusić seryjnego mordercę, stojąc po kostki w gnijących kurczakach na wynos, by zestrzeliwać niemieckich lotników ze śródziemnomorskiego nieba, by unicestwić żołnierzy w ciężarówkach jadących do Berlina i przypieczętować los dziewięćdziesięciolatka na wózku, łamiąc mu kark jak herbatnik. Co mnie do tego wszystkiego przywiódło? Czy tylko kawa? Nienawidzę jej. Kawa podbiła świat. Przegrałem z nią już dawno. Mogę ją najwyżej nękać, póki żyję, ale nie pokonam jej nigdy. Ilu ludzi na świecie ma choćby najbłedsze pojęcie o tym, że to służebnica diabła? Niewielu. Pozostali beztrudnie zajmują się własnymi sprawami, uśmiechają się z zadowoleniem, opętani nią do reszty. W najlepszym razie zdaje im się, że to po prostu gorący napój, neutralny, ani dobry, ani zły. Gdy próbuję przemówić im do rozsądku, bawią się moim strapieniem, a mnie przyprawia to o ból serca. Tylko Smedjebakken wiedział. Inni nie rozumieją. Nie mogą zrozumieć. Dali się złapać – lecz ja pozostałem wolny.

Mówiłem już wielokrotnie: nie jestem w tej kwestii uprzedzony. To tylko czyste fakty – fakty wręcz krzyczą, że mam rację. Jak myślisz, czemu kawę oficjalnie uznano za środek dopingowy na igrzyskach olimpijskich? Che Guevara z powodu astmy uzależnił się od yerba mate, napoju zawierającego kofeinę, i popatrz, jak skończył. Nie ma nadziei. Kawa jest drugim najpopularniejszym towarem, jakim handluje się na świecie, ustępuje tylko ropie. W samej Brazylii spożywa się jej rocznie siedemset pięćdziesiąt tysięcy ton. W Rio i São Paulo serwuje się ją w pracy urzędnikom – co wyjaśnia, dlaczego nasz rachunek za prąd wynosi czasem półtora miliarda dolarów i czemu dostają listy z nagłówkiem: „Szanowny Panie Nieboszczyku”.

Nie powinno się głądzić w kółko o kawie, nigdy tego nie robię, na koniec powiem więc tylko, jaki jest najgłębszy sens mojej wrogości do niej. Kawa jest zła, ponieważ zakłóca wewnętrzny rytm pozwalający mężczyznom i kobietom rozumieć piękno we wszystkich rzeczach. Przyspiesza spoczywający w człowieku metronom, aż serce rozpędza się naprzód jak lokomotywa spadająca z szyn. Zamyka oko na wszystko, co łagodne, wprawia duszę w drzenie, jak gdyby była zamkiem karabinu maszynowego.

Wszyscy jesteśmy doskonałymi zegarami nakręconymi bożą ręką, zaczynamy tykać jeszcze przed urodzeniem, gdy tylko serce ruszy do swego kilkudziesięcioletniego tańca. Jeśli w to wątpisz, powiedz mi, dlaczego gdy karioka nic nie robi, od razu zaczyna bębnić palcami, dlaczego odpowiedni układ nut i interwałów wyciska nam łzy z oczu i dlaczego gdy mężczyźni i kobiety zleją się w cielesną i duchową jedność, poruszają się w zgodnym tanecznym rytmie jak przyływ, odpływ i kołysanie morza?

Ten takt, ten rytm, to uniwersalne tempo to najpotężniejsza rzecz, jaką znam. Unieważnia wszelkie wyrachowanie i chciwość, wdzięcznie omija każdą możliwą zgryzotę, obdarza harmonią i sensem wiele rzeczy, które bez tej nieustającej bezbłędnej synkopy wydawałyby się zupełnie bezsensowne. Lecz gdy popędza się metronom serca, gdy smaga się biczem pulsującą łagodnie duszę, ciemność i nieszczęście nadciągają jak burza.

Wiem o tym, choć nigdy nie piłem kawy. Wiem o tym, bo nigdy nie pozwoliłem sobie zakłócić swego rytmu i nigdy na to nie pozwolę.

Pewnego wczesnego bezwietrznego poranka w czerwcu 1914 roku słońce rozpędziło mgłę nad Croton Bay i powlekło błękitem srebrzystą dotąd wodę. Czaple zlatywały nad Hudson z delikatnością aniołów, przed lądowaniem szybowwały nieskończenie długo nad powierzchnią wody. Potężne drzewa stały na brzegach niczym chmury czy pędzle malarskie, gromadząc w swej skłębionej zieloności więcej czarnych przestrzeni, niż ludzkie serce może sobie wyobrazić, słońce przebijało się jednak od wschodu przez gąszcz. Las kipiał od ptaków, a kwiaty wśród drzew były w pełni rozkwitu – ponieważ czerwiec to miesiąc, któremu pisana jest doskonałość.

Za wcześnie jeszcze było na pociągi, za późno na wędkarzy, nie nadszedł też moment, w którym wiatr zaczyna marszczyć powierzchnię rzeki, rozsypując na niej słoneczne cekiny – oto jednak z mroku między drzewami wychynęło dziecko, po cichu wspięło się na nasyp, przeszło przez tory i przedarło się przez krzaki nad wodę. Oczy miało nieruchome i przygaszone z niewyspania, twarz napiętą i prawie bez wyrazu, ubrania poplamione krwią. Zeszło na piasek, dotarło do wysuniętego na zachód przylądka i oparło stopę na skrytym tuż pod wodą kamieniu.

Wzdłuż Tappan Zee i Croton Bay jak okiem sięgnąć ani dźwięku, ani fali... tylko gęsty gobelin rozbastwionych kolorów, podsycanych blaskiem wschodzącego słońca. Dziecko sięgnęło do kieszeni i wyjęło ciężką złotą monetę. Obejrzało ją ze wszystkich stron, a potem wyciągnęło rękę do tyłu, złożyło się do rzutu i najsilniej, jak umiało, cisnęło monetę przed siebie. Słońce nie musnęło jej nawet przez chwilę, bez szmeru wpadła w beznamietną wodę Hudsonu i zniknęła.

Czy zastanawiałeś się kiedyś, jak wyglądałoby życie kogoś, kto jako dziecko niczego tak nie pragnął jak śmierci, a mimo to przeżył potem siedemdziesiąt lat lub więcej? Teraz już wiesz. Ale nie dlatego to wszystko piszę. Celem elegii nie jest ożywienie czy rewizja przeszłości, spowiedź nie służy do naprawiania zła, rozbitego dzieciństwa nie skleja się po to, by człowiek wędrujący przez pamięć mógł uleczyć swe serce. Nie. Nie chodzi o terapię, lecz o pieśń prawdy. Nie opowiedziałem tego wszystkiego po to, by na koniec napić się kawy. Opowiedziałem to w tym samym celu, w jakim śpiewak śpiewa, a gawędziarz opowiada: gdy docierasz do miejsca, z którego już nie możesz wrócić, coś sprawia, że spoglądasz za siebie i nie możesz się nadziwić, że z drobnych przypadków w tak nieuchronny sposób ułożyło ci się słodkie, okrutne i zaskakujące życie. Pierwsze pieśni są bowiem najłagodniejsze i najpiękniejsze, trwają wiecznie i stanowią próbę wiary.

Jestem absolwentem najwspanialszej szkoły, jaką jest miłość między rodzicem i dzieckiem. Świat jest tak urządzony, że honoruje sławę, sukces i siłę, rodzice i dzieci kochają się jednak mimo swych słabości i wad, a czasem nawet tym mocniej, im więcej ich mają. W tej szkole uczysz się cenić nie władzę, lecz miłość, nie zwycięstwo, lecz łaskę, nie triumf, lecz

przebaczenie. Uczysz się też – czasem bardzo wcześnie, tak jak ja – że miłość może być silniejsza niż śmierć, wymaga to jednak od ciebie pamięci i oddania. Pamięci i oddania. Żeby nie dać swej miłości umrzeć, musisz być uparty, zawzięty, nieracjonalny i prawdziwy, musisz być gotów ułożyć całe swe życie jak sztuczną konstrukcję, metaforę, fikcję, chwyt do ćwiczenia się w wierze. Bez tego będziesz żył jak bestia i nie zostanie ci nic prócz zbolełego serca. Z tym twoje serce, choć złamane, będzie pełne i wytrzymasz w boju do samego końca.

Moje życie pewnie mogło być ciekawsze i bogatsze w wydarzenia, mogłem też być lepszym człowiekiem, z perspektywy czasu chyba mogę jednak stwierdzić, że nie straciłem wiary.

Przez wszystkie te lata serce kazało mi robić tylko dwie rzeczy: kochać i chronić. Cokolwiek się działo, przekaz był prosty i nigdy się nie zmienił. Chronić, chronić i jeszcze raz chronić. Urodziłem się po to, by chronić tych, których kocham.

I niech z bożą pomocą nie braknie mi możliwości, bym nadal mógł ich chronić i im służyć, nawet jeśli już dawno odeszli.